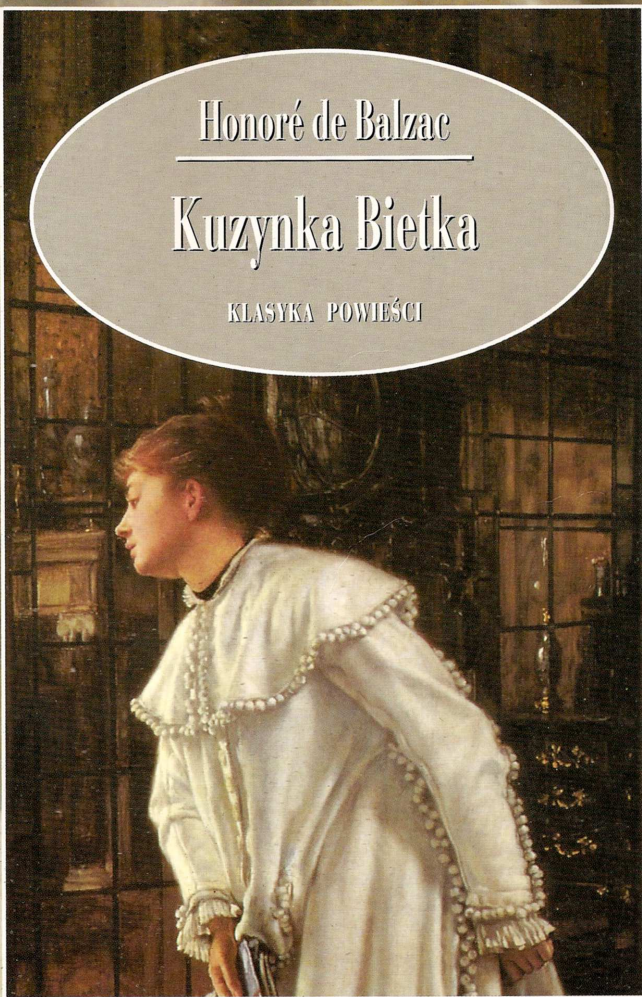


Honoré de Balzac

Kuzynka Bietka

KLASYKA POWIEŚCI



Prószyński i S-ka

Honoré de Balzac

Kuzynka Bietka

Przełożył Tadeusz Żeleński-Boy

KLASYKA POWIEŚCI



Prószyński i S-ka

Warszawa 2000

Honoré De Balzac

Kuzynka Bietka

Przełożył Tadeusz Żeleński-Boy

KLASYKA POWIEŚCI

Prószyński i S-ka

Warszawa 2000

Don Michałowi Aniołowi Cajetani, Księżciu Teano

Ani księżciu rzymskiemu, ani spadkobiercy dostojnego rodu Cajetanich, który dał chrześcijaństwu papieży, ale uczonemu komentatorowi Danta ofiarowuję ten mały ułamek długiej historii.

Tyś mi ukazał, Panie, cudowne wiązanie myśli, na którym wielki poeta włoski zbudował swój poemat, jedyny, który nowożytni mogą przeciwstawić Homerowi. Aż do twojego komentarza „Boska Komedia” wydawała mi się olbrzymią zagadką, do której klucza nie znalazł nikt, a komentatorowie mniej od kogokolwiek. Rozumieć w ten sposób Danta, znaczy być wielkim jak on; ale ty, Księżę, zrodziłeś się do wszystkich wielkości.

Uczony francuski zdobyłby reputację, zyskał katedrę i order, gdyby ogłosił, w dogmatycznym tomie, ową improwizację, jaką nam umiliłeś jeden z wieczorów, będących wypoczynkiem po trudach zwiedzania Rzymu. Nie wiadomo Ci może, że większość naszych profesorów żyje w Niemczech, w Anglii, na Wschodzie i na Północy jak owady na drzewie; i jak owady stają się składową częścią drzewa, zapożyczając swojej ważności od ważności przedmiotu. Otóż Włochy nie były jeszcze wyzyskane z katedry. Nigdy świat nie oceni mojej skrupulatności literackiej. Mogłem być, ograbiając Cię, Księżę, stać się mężem uczonym jak trzech Schległów; podczas gdy zostanę jedynie prostym doktorem medycyny społecznej, weterynarzem nieuleczalnych chorób, chociażby po to, aby złożyć świadectwo mojej wdzięczności memu cicerone i dołączyć Twoje znakomite nazwisko do nazwisk Porcia, San-Severino, Pareto, di Negro, Belgiojosa. One to będą przedstawiały w „Komedii ludzkiej” owo bliskie i nieustanne zespolenie Włoch i Francji, które już Bandello, ów biskup, autor wielce uciesznych opowiadań, uświęcił w ten sam sposób w XVI wieku, w owym wspaniałym zbiorze nowel, z których powstało wiele sztuk Szekspira, niekiedy nawet całe role i to dosłownie.

Dwa szkice¹, które Ci ofiarowuję, Książę, stanowią dwa wieczne oblicza tego samego faktu. *Homo duplex*, powiedział nasz wielki Buffon; czemu nie dodać: *Res duplex*? Wszystko jest podwójne, nawet cnota. Toteż Molier ukazuje zawsze dwie strony wszelkiego zagadnienia ludzkiego; za jego przykładem Diderot napisał pewnego dnia utwór „To nie bajka”, może swoje arcydzieło, gdzie daje cudowną postać panny de Lachaux pogwałconej przez Gardanne'a; obok zaś idealnego kochanka zabitego przez ukochaną kobietę. Moje dwa opowiadania stanowią tedy *pendant*, jak para bliźniąt odmiennej płci. Jest to kaprys literacki, na który można sobie pozwolić raz, zwłaszcza w dziele, w którym autor próbuje przedstawić wszystkie kształty służące za odzież myśli. Większość sporów ludzkich pochodzi stąd, że istnieją równocześnie uczeni i nieucy, ukształtowani w ten sposób, że zawsze widzą tylko jedną stronę faktów lub pojęć; i dopieroż każdy upiera się, że ta strona, którą on widzi, jest jedynie prawdziwa, jedynie dobra. Toteż Pismo święte rzuciło te prorocze słowa: „Bóg wyda świat sporom”. Wyznaję, że ten jedyny ustęp Pisma świętego powinien skłonić Stolicę Apostolską do oddania Tobie rządu dwu Izb, a to przez posłuszeństwo dla tej sentencji, do której komentarzem jest dekret Ludwika XVIII

1 Dedykacja ta obejmuje „Kuzynkę Bietkę” i „Kuzyna Ponsa”.

z roku 1814.

Niechaj Twój rozum, niech poezja, która mieszka w Tobie, patronują tym dwóm epizodom „Ubogich krewnych” twego oddanego sługi

Honoriusza de Balzac

Paryż, sierpień-wrzesień 1846



Mniej więcej w połowie lipca roku 1838 jeden z owych wehikułów świeżo puszczonej w obieg w Paryżu i nazywanych milordami² jechał przez ulicę de l'Université, wioząc otyłego, średniego wzrostu mężczyznę w mundurze kapitana gwardii narodowej.

Wśród naszych paryżan, rzekomo tak sprytnych, znajdują się tacy, którzy sądzą, że w mundurze jest im nieskończenie bardziej do twarzy niż w zwykłym ubraniu, i posądzają kobiety o taką rozpustę smaku, aby sobie wyobrazić, iż widok włochatego kołpaka oraz żołnierskiego rynsztunku nastroi przychylnie ich serce.

2 Milord – rodzaj kabrioletu na czterech kołach.

Fizjonomia tego kapitana, należącego do drugiej legii, tchnęła zadowoleniem z siebie, które rozjaśniało jego rumianą cerę i dość pызate policzki. Po tej aureoli, w jaką uciulany za ladą dobrobyt stroi czoło wycofanych z interesu kupców, można było odgadnąć jednego z ławników paryskich, co najmniej byłego wicemera swego okręgu. Toteż bądźcie przekonani, że wstążeczki legii honorowej nie brakło na jego piersi, zuchowato z pruska wypiętej. Rozparty dumnie w swoim milordzie, kawaler legii wodził spojrzeniem po przechodniach, którzy w Paryżu często w ten sposób zbierają miłe uśmiechy, przeznaczone dla jakichś nieobecnych pięknych oczu.

Pojazd zatrzymał się w odcinku między ulicą Bellechasse a Bourgogne, przed bramą wielkiego domu, świeżo zbudowanego na części dziedzica starej pańskiej rezydencji z ogrodem. Uszanowano pałac, który w pierwotnej postaci pozostał w głębi zmniejszonego o połowę dziedzica.

Już po sposobie, w jaki kapitan przyjął pomoc woźnicy, aby wysiąść z milorda, można było odgadnąć jego pięć krzyżyków. Są gesty, których jawna ociężałość posiada całą niedyskrecję metryki. Kapitan wciągnął żółtą rękawiczkę na prawą rękę i nie pytając o nic odźwiernego, skierował się ku gankowi pałacu z miną, która mówiła: „Mam ją”. Odźwierni w Paryżu mają doświadczone oko, nie zatrzymują ludzi z orderem, w błękitnym mundurze, o ciężkim kroku; umieją poznać bogaczy.

Parter tego pałacu zajmował całkowicie baron Hulot d'Ervy, naczelny komisarz za Republiki, generalny intendent armii, obecnie dyrektor jednego z najważniejszych oddziałów w ministerium wojny, radca stanu, wielki oficer legii honorowej etc., etc.

Ów baron sam nazwał się d'Ervy od miejsca swego urodzenia, aby się odróżnić od swego brata, słynnego generała Hulot, pułkownika grenadierów gwardii cesarskiej, którego po kampanii roku 1809 cesarz mianował hrabią Forzheim. Starszy brat, hrabia, poczuwając się do obowiązków opieki nad młodszym, umieścił go przez iście ojcowską przezorność w administracji wojskowej, gdzie dzięki wspólnym ich usługom baron uzyskał i zasłużył łaskę Napoleona. W roku 1807 baron Hulot był generalnym intendentem armii francuskiej w Hiszpanii.

Zadzwoniwszy, cywilny kapitan rozwinął wiele starań, aby obciągnąć mundur, który pod naciskiem spiczastego brzuszka podniósł się w górę tak z tyłu, jak z przodu.

Wpuszczony natychmiast przez służącego w liberii, imponujący ten i ważny jegomość udał się za lokajem, który otworzył drzwi do salonu, oznajmiając:

– Pan Crevel!

Słyszając to nazwisko, znakomicie dostrojone do postaci jego właściciela³, wysoka, doskonale zachowana blondynka drgnęła jak gdyby wstrząśnięta prądem elektrycznym i wstała.

– Hortensjo, mój aniołku, idź do ogrodu z kuzynką Bietką – rzekła żywo do córki siedzącej opodal przy hafcie.

Wdzięcznie skłoniwszy się kapitanowi, panna Hortensja Hulot wyszła oszklonymi drzwiami, uprowadzając z sobą suchą starą pannę, która wydawała się starsza od baronowej, mimo że miała o pięć lat mniej.

– Chodzi o twoje małżeństwo – szepnęła do ucha siostrzenicy kuzynka Bietka, bynajmniej, zdawało się, nie obrażona sposobem, w jaki baronowa ją wyprawiła, licząc ją jak gdyby za nic.

Strój owej kuzynki mógłby w potrzebie wytłumaczyć tę bezceremonialność.

3 *Crever* (fr.) – pękać, przenośnie: puszyć się.

Stara panna miała suknię merynosową, koloru *raisin de Corinthe*, której krój i oszycie trąciły epoką Restauracji; haftowany trzyfrankowy kołnierzyk, słomkowy kapelusz z kokardami z niebieskiego atłasu oszytymi słomą, taki, jakie noszą przekupki w Halach. Na widok jej trzewików z kozłowej skóry, krojem swym zdradzających szewca ostatniego rzędu, ktoś obcy zawahałby się, czy ma wziąć ową Bietkę za kuzynkę domu, wyglądała bowiem najzupełniej na dochodzącą szwaczkę. Mimo to stara panna, wychodząc, skłoniła się przyjaźnie panu Crevel, na który to ukłon osobistość ta odpowiedziała znakiem porozumienia.

– Przyjdzie pani jutro, nieprawdaż, panno Fischer? – rzekł.

– Nie będzie gości? – spytała kuzynka Bietka.

– Moje dzieci i ja, to wszystko – odparł gość.

– Dobrze – odrzekła – w takim razie niech pan liczy na mnie.

– Pani, oto jestem na jej rozkazy – rzekł kapitan milicji obywatelskiej, skłaniając się ponownie przed baronową Hulot.

I spojrzął na panią Hulot tak, jak Tartufe spogląda na Elmire, kiedy prowincjonalny aktor, gdzieś w Poitiers albo Coutances, uważa za potrzebne podkreślać intencje tej roli.

– Jeżeli pan zechce przejść ze mną tutaj, będziemy mogli rozmawiać o wiele swobodniej niż w salonie – rzekła pani Hulot, wskazując sąsiedni pokój, który w rozkładzie mieszkania przeznaczony był na salon do gry.

Pokój ten oddzielony był jedynie cienkim przepierzeniem od buduaru, którego okna wychodziły na ogród; pani Hulot zostawiła Crevela na chwilę samego, uważając za potrzebne zamknąć okno i drzwi buduaru, iżby nikt nie mógł podsłuchiwać. Zamknęła nawet przez ostrożność i oszklone drzwi salonu, uśmiechając się do córki i do kuzynki, które ujrzała siedzące w starej altanie w głębi ogrodu. Wracając, zostawiła otwarte drzwi sali karcianej, aby usłyszeć, gdyby ktoś wchodził do salonu. Tak krzątając się, baronowa, niewidziana przez nikogo, pozwoliła fizjonomii wyrażać wszystkie swoje myśli; kto by ją ujrzał, przeraziłby się niemal jej wzburzenia. Ale w chwili gdy przechodziła od drzwi dużego salonu do sali karcianej, twarz jej osłoniła się owym nieprzeniknionym spokojem, który wszystkie kobiety, nawet najszczerze, zdają się mieć na zawołanie.

Podczas tych co najmniej szczególnych przygotowań gwardzista narodowy przyglądał się umeblowaniu. Jedwabne firanki, niegdyś czerwone, przybrały pod działaniem słońca odcień fioletowy, a fałdy ich wytarły się od długiego używania; dywan wypłowił, złocenia na meblach znikły, a jedwab pocętkowany plamami dał się miejscami w strzępy. Pod wpływem tego widoku wyraz wzgardy, zadowolenia i nadziei odmalował się kolejno z całą naiwnością na pospolitej twarzy wzbogaconego kramarza. Patrzył w lustro ponad starym zegarem *empire*, czyniąc w duchu przegląd swej osoby, kiedy szelest jedwabnej sukni oznajmił mu baronową. Natychmiast stanął „w pozycji”.

Osunąwszy się na kanapkę, która z pewnością była ładna około roku 1809, baronowa wskazała Crevelowi fotel o poręczach zakończonych brązowymi sfinksami, z których farba łuszczyła się, ukazując miejscami nagie drzewo, i dała mu znak, aby usiadł.

– Te ostrożności, które pani przedsięwzię, byłyby rozkoszną wróżbą dla...

– Kochanka – odparła, przerywając gwardziście narodowemu.

– To zbyt słabe słowo – rzekł, kładąc prawą rękę na sercu i przewracając oczami w sposób, który zawsze rozśmiesza kobietę, kiedy ogląda ten ich wyraz na zimno. – Kochanek! Kochanek! Powiedz pani: urzeczony...

– Niech pan posłucha, panie Crevel – odparła baronowa, zbyt poważna, aby móc się śmiać – ma pan pięćdziesiąt lat, to znaczy o dziesięć lat mniej niż baron Hulot, wiem o tym; ale w moim wieku szaleństwa kobiety muszą być usprawiedliwione pięknnością, młodością, sławą, talentem, jakimś blaskiem, który nas olśniewa tak, że zapominamy o wszystkim, nawet o naszym wieku. Posiada pan pięćdziesiąt tysięcy franków renty, zapewne; ale wiek pański najzupełniej przeciwważy pański majątek; tak więc z tego wszystkiego, czego wymaga kobieta, nie posiada pan nic...

– A miłość? – rzekł gwardzista narodowy, wstając i podchodząc bliżej. – Miłość, która...

– Nie, panie, upór! – przerwała baronowa, aby przeciąć ten śmieszny wybuch.

– Tak, upór i miłość – odparł – ale też i coś więcej: prawa...

– Prawa? – wykrzyknęła pani Hulot, wspaniała w tej chwili wzgardą, wyzywająca, oburzona. – Ale – dodała – w tym tonie nie dojdziemy do końca nigdy. Nie po to pana prosiłam, aby rozmawiać o tym, co pana stąd wyгнаło mimo związku naszych dwóch rodzin...

– Myślałem...

– Jeszcze! – przerwała. – Czy pan nie widzi, drogi panie, z tej swobody, tej naturalności, z jaką mówię o kochanku, o miłości, o wszystkim, co jest najdrażliwsze dla kobiety, że jestem najzupełniej pewna swojej cnoty? Nie lękam się niczego, nawet tego, że moje zamknięcie się z panem mogłoby się wydać podejrzane. Czy tak się zachowuje kobieta słaba? Wie pan dobrze, czemu pana tu prosiłam!...

– Nie, pani – odparł Crevel, przybierając wyraz chłodu.

Przygryzł wargi i znów stanął w pozycji.

– A więc będę zwięzła, aby skrócić naszą obopólną mękę – rzekła baronowa Hulot, patrząc na Crevela.

Crevel złożył ironiczny ukłon, w którym doświadczone oko poznałoby grację dawnego komiwojażera.

– Syn nasz zaślubił pańską córkę...

– Gdyby się to dało odrobić!... – rzekł Crevel.

– To małżeństwo nie przysłoby do skutku, domyślam się – odparła żywo baronowa. – A przecież pan nie ma prawa się żalić. Syn mój jest nie tylko jednym z pierwszych adwokatów w Paryżu, ale od roku jest i posłem, pierwszy zaś jego występ w Izbie był dość świetny, aby się można było spodziewać, że niebawem zostanie ministrem. Dwa razy powierzano już Wiktorowi referat ważnych ustaw; gdyby zechciał, mógłby już zostać prokuratorem najwyższego trybunału. Jeżeli tedy chce mi pan dać do zrozumienia, że masz zięcia bez majątku...

– Zięcia, którego jestem zmuszony utrzymywać – odparł Crevel – co jest o wiele gorsze, pani. Z pięciuset tysięcy franków posagu mojej córki dwieście tysięcy podzielił się Bóg wie gdzie!... Na zapłacenie długów szanownego synka pani, na frontowe urządzenie domu, domu, który wart jest pięćset tysięcy, a przynosi ledwie piętnaście, bo on sam zajmuje większą jego część i zadłużył go na dwieście sześćdziesiąt tysięcy... Dochód zaledwie wystarcza na pokrycie procentów długu. Tego roku dodałem córce dwadzieścia tysięcy, aby mogła związać koniec z końcem. A pan zięc, który niby to zarabiał z adwokatury trzydzieści tysięcy franków, obecnie zaniedbał kancelarię dla poselstwa...

– To, panie Crevel, jest również inna materia, która nas oddala od przedmiotu. Ale, aby z tym skończyć, jeżeli mój syn zostanie ministrem, jeżeli sprawi, by pana mianowano oficerem legii honorowej i radcą prefektury w Paryżu, sądzę, że jak na byłego fabrykanta perfum powinien by pan być zadowolony...

– A, mamy i to! Jestem sklepikarzem, kramarzem, eks-fabrykantem kremu migdałowego, wody portugalskiej, olejku na włosy i powinienem uważać sobie za zaszczyt, że wydałem moją jedynaczkę za syna pana barona Hulot d'Ervy; córka moja będzie baronową. Tak, to czysty styl Regencji, Ludwik XV, *Oeil-de-boeuf*⁴ To bardzo piękne... Kocham Celestynę tak, jak się kocha jedyną córkę, kocham ją tak, że aby jej nie dać brata ani siostry, skazałem się na wszystkie utrapienia wdowieństwa w Paryżu (i to w sile wieku, pani!) – ale niech pani wie, że mimo tej szalonej miłości dla córki nie myślę nadwerężyć mego majątku dla pani syna, którego wydatki mnie, eks-kupcowi, wydają się niejasne...

– Panie, widzi pan w tejże chwili na stanowisku ministra handlu pana Popinot, eks-właściciela drogerii przy ulicy des Lombards...

4 *Oeil-de-boeuf* (franc.) – sala w Wersalu, przylegająca do królewskiej sypialni; tu: arystokratyczny styl życia.

– Mego przyjaciela, pani – odparł wzbogacony olejkarz – albowiem ja, Celestyn Crevel, niegdyś prawa ręka poczciwego Cezara Birotteau, kupiłem sklep tegoż Birotteau, teścia pana Popinot, który to Popinot był prostym subiektem w tym zakładzie. On sam mi to nieraz przypomina, bo on (trzeba mu oddać tę sprawiedliwość) nie jest hardy z ludźmi o pewnej pozycji i z sześćdziesięcioma tysiącami franków renty.

– Otóż, proszę pana, pojęcia, które pan określasz słowem Regencja, nie są już na czasie w epoce, w której szacuje się ludzi wedle ich osobistej wartości; i tak właśnie uczynił pan, wydając córkę za mego syna...

– Pani nie wie, jak się skłeciło to małżeństwo! – wykrzyknął Crevel. – Och! przekłete życie kawalerskie! Gdyby nie moje szaleństwa, Celestyna byłaby dziś wicehrabiną Popinot!

– Ależ, jeszcze raz, nie prawujmy się o fakty dokonane – odparła stanowczo baronowa. – Córka moja, Hortensja, mogła wyjść za mąż, małżeństwo to zależało w zupełności od pana, wierzyłam w szlachetność pańskich uczuć, myślałam, że pan umie oddać sprawiedliwość kobiecie, w której sercu nie powstał nigdy inny obraz prócz obrazu męża; że pan uznał, iż nie mogła przyjmować człowieka zdolnego ją narazić, i że, przez wzgląd na rodzinę, z którą pan jest spowinowacony, będzie pan popierał związek Hortensji z radcą Lebas... I oto właśnie pan udaremnił to małżeństwo...

– Pani – odparł eks-kupiec – postąpiłem jak uczciwy człowiek. Zapytano mnie, czy dwieście tysięcy przyznane panie Hortensji w posagu będą wypłacone. Odpowiedziałem dosłownie tyle: „Nie ręczyłbym za to. Zięć mój, któremu rodzina Hulot przyznała takąż sumę jako wiano, miał tylko długi; sądzę, że gdyby baron Hulot d'Ervy umarł jutro, wdowa po nim zostałaby bez chleba”. Ot co, piękna pani.

– Czy byłby pan powtórzył to samo – spytała pani Hulot, patrząc Crevelowi w oczy – gdybym dla pana zapomniała o moich obowiązkach?

– Nie miałbym prawa tego powiedzieć, droga Adelino – wykrzyknął ten osobliwy kochanek, wpadając w słowo baronowej – gdyż wówczas znalazłabyś posag córki w moim pugilaresie...

I do słów łącząc dowód, gruby Crevel przykląkł na jedno kolano i ucałował rękę pani Hulot, widząc, iż te słowa pogrzyżyły ją w niemej zgrozie, którą on wziął za wahanie.

– Kupować szczęście córki za cenę... Och, wstań pan, bo zadzwonię...

Eks-olejkarz podniósł się z wielkim trudem. Okoliczność ta wprawiła go w taką wściekłość, że znów stanął w pozycji. Prawie wszyscy ludzie mają jakąś ulubioną pozę uwydatniającą, w ich mniemaniu, wszystkie powaby, jakimi obdarzyła ich natura. Pozycja ta polegała u Crevela na założeniu rąk po napoleońsku, z głową nieco w bok, ze spojrzeniem takim, jakie malarz kazał mu przybrać, robiąc jego portret, to znaczy biegnącym w dal.

– Dochowywać – rzekł z dobrze odegraną wściekłością – dochowywać wiary rozpust...

– Mężowi, który jest tego godny – odparła pani Hulot, przerywając Crevelowi, aby mu nie dać wymówić słowa, którego nie chciała usłyszeć.

– Łaskawa pani, wezwała mnie pani listownie, chce pani wiedzieć przyczyny mego postępowania, doprowadza mnie pani do ostateczności swoimi majestatycznymi tonami, swoim lekceważeniem i swoją... wzgardą! Cóż to? Czy ja jestem Murzynem? Powtarzam pani, niech mi pani wierzy! Ja mam prawo panią... zalecać się do pani... bo... Ale nie, kocham panią na tyle, aby milczeć.

– Niech pan mówi, kończę za kilka dni czterdzieści osiem lat, nie jestem świętoszką, mogę wysłuchać wszystkiego.

– Zatem daje mi pani słowo uczciwej kobiety, bo na moje nieszczęście jest pani uczciwą kobietą, że nigdy mnie nie zdradzisz, nigdy nie powiesz, że to ja wydałem pani tę tajemnicę?

– Jeżeli to jest pańskim warunkiem, przysięgam, że nie zdradzę nikomu, nawet memu mężowi, osoby, od której dowiedziałam się potworności, jakie chce mi pan zawierzyć.

– Myślę sobie! Wszak tu chodzi tylko o panią i o niego.

Pani Hulot zbladła.

– Och, jeżeli pani jeszcze kocha męża, to będzie bardzo bolesne. Czy woli pani, abym milczał?

– Niech pan mówi, gdyż chodzi tu, wedle pana, o usprawiedliwienie przede mną dziwnych propozycji, jakie mi pan czyni, oraz tego uporczywego prześladowania kobiety w moim wieku, która chciałaby wydać za mąż córkę, a potem... umrzeć w spokoju!

– Widzi pani, jest pani nieszczęśliwa...

– Ja?

– Tak, szlachetna i piękna istoto! – wykrzyknął Crevel. – Aż nadto wycierpiałaś...

– Proszę zamilczeć i wyjść albo proszę mówić do mnie przyzwoicie.

– Czy pani wie, gdzieśmy się poznali z imć panem Hulot? U naszych kochanek.

– Och, panie Crevel...

– U naszych kochanek, pani – powtórzył Crevel melodramatycznym tonem, wypadając z pozycji, aby uczynić gest prawą ręką.

– Cóż dalej?... – rzekła spokojnie baronowa ku wielkiemu zdziwieniu Crevela.

Kusiele o niskich pobudkach nie rozumieją nigdy wielkich dusz.

– Po pięciu latach wdowieństwa – podjął Crevel tonem człowieka zabierającego się do długiej historii – nie chcąc się powtórnie żenić przez wzgląd na córkę, którą ubóstwiam, nie chcąc też stosunku w domu, mimo że miałem wówczas bardzo ładną sklepową, umeblowałem mieszkancko cudownie pięknej piętnastoletniej dziewczynie, w której, przyznaję, zadurzyłem się do szaleństwa. Do tego stopnia, proszę pani, że uprosiłem własną ciotkę, którą sprowadziłem z naszych stron (siostrę mojej matki!), aby zamieszkała z tą uroczą istotą i utrzymywała ją, o ile tylko się da, w cnocie, w tej sytuacji, jak tu powiedzieć?... *Chocnoso*... nie, nielegalnej!... Mała, która miała wybitne zdolności do muzyki, dostała nauczycieli, kształciła się (trzeba ją było czymś zająć). Zresztą chciałem być równocześnie jej ojcem, jej dobroczyńcą i – nazwijmy po imieniu – kochankiem; upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu: ładny uczynek i ładna dziewczynka. Byłem szczęśliwy pięć lat. Ten bęben miał głos!... Jeden z tych głosów, które stawiają teatr na nogi: nie umiem określić inaczej niż mówiąc, że to Duprez w spódnicy. Sama jej nauka śpiewu kosztowała mnie dwa tysiące franków rocznie.

Zwariowałem przez nią na punkcie muzyki; trzymałem dla niej i dla córki łożę we Włoskim. Chodziłem tam na przemian, jednego dnia z Celestyną, drugiego z Józefą...

– Jak to, ta słynna śpiewaczka?...

– Tak, pani – odparł Crevel z dumą – ta sławna Józefa mnie zawdzięcza wszystko... Wreszcie, kiedy mała miała dwadzieścia lat, w 1834, sądziłem, że ją na zawsze przywiązałem do siebie, stałem się dla niej bardzo słaby, chciałem dostarczyć jej nieco rozrywek, pozwoliłem jej zbliżyć się z ładną małą aktoreczką, Jenny Cadine, której losy miały niejaki podobieństwo z jej losem. Ta aktorka również zawdzięczała wszystko swemu protektorowi, który chował ją sobie jak ptaszka w klatce. Protektorem tym był baron Hulot.

– Wiem o tym – rzekła baronowa spokojnym głosem, bez śladu wzruszenia.

– A, tak! – wykrzyknął Crevel, coraz bardziej zdumiony.

– Ale czy pani wie, że ten potwór, mąż pani, protegował Jenny Cadine od trzynastego roku jej życia?

– I cóż dalej? – rzekła baronowa.

– Ponieważ w chwili, gdy się poznały, Jenny Cadine miała, tak jak Józefa, lat dwadzieścia, baron odgrywał rolę Ludwika XV wobec panny de Romans⁶ od roku 1826, a pani miała wówczas dwanaście lat mniej...

– Miałam swoje powody, aby zostawić mu pełną swobodę...

– To kłamstwo, pani, starczy zapewne, aby wymazać wszystkie grzechy, jakie pani popełniła, i otworzyć pani bramę do raju – odparł Crevel z domyślną miną, która przyprawiła o rumieniec baronową. – Mów to innym, wzniosła i ubóstwiana kobieto, ale nie staremu Crevelowi, który, wiedz to, pani, zbyt często biesiadował we dwie pary z tym nicponiem, mężem pani, aby nie miał wiedzieć, co pani jesteś warta! Nieraz między jednym i drugim kieliszkiem czynił sobie wyrzuty i wyliczał mi pani zalety. Och, znam panią na wylot, jesteś aniołem. Pomiędzy dwudziestoletnią dziewczyną a panią rozpustnik zawahałby się; ja się nie waham.

– Panie!...

– Dobrze, milczę... Ale dowiedz się, święta i godna kobieto, że mężowie, gdy sobie podchmielą, opowiadają różne rzeczy o swoich żonach u swoich kochanek, które śmieją się do rozpuku.

6 Panna de Romans została sprzedana przez swego ojca, kawalera de Saint-Louis, Ludwikowi XV, gdy miała trzynaście lat.

Łzy wstydu, które zakręciły się pod ładnymi rzęsami pani Hulot, osadziły w miejscu gwardzistę narodowego, który nie silił się nawet stanąć w pozycji.

– Ciągnę dalej – rzekł. – Bardzośmy się zbliżyli z baronem przez te nasze szelmutki. Baron, jak wszyscy ludzie do szpiku zepsuci, jest bardzo miły, naprawdę swój chłop... Och, jak mi się on podobał, ten urwis... Doprawdy, co on miewał za pomysły... Ale dajmy pokój tym wspomnieniom... Staliśmy się niby dwaj bracia... Ten hultaj, godny żyć w epoce Regencji, próbował mnie psuć, głosił saint-simoniczne hasła dotyczące kobiet, chciał mi wszczepić wielkoświatowe pojęcia; ale widzi pani, ja kochałem moją małą tak, że byłbym się z nią ożenił, gdybym się nie bał potomstwa. Między dwoma starymi tatusiami, żyjącymi z sobą jak... my dwaj, jakże pani chce, aby nie nasunęła się myśl pożenienia naszych dzieci? W trzy miesiące po ślubie jego syna z moją Celestyną Hulot (sam nie wiem, jak mogę wymówić jego nazwisko: bezecnik! Toż on oszukał nas oboje, pani!...), otóż bezecnik zdmuchnął mi moją Józefę. Łotr wiedział, że z serca Jenny Cadine, której sukcesy stawały się coraz głośniejsze, wyparowali go pewien młody radca stanu i pewien artysta (bagatela!); no i zabrał mi moją dziewczuskę, klejnot, nie kobietę... Ba, widziała ją pani z pewnością we Włoskim, dokąd ją wpakował przez swoje stosunki. Pani mąż nie jest tak rozsądny jak ja, który jestem poliniowany jak papier nutowy (już go nadgryzła wcale nieźle Jenny Cadine, która go kosztowała blisko trzydzieści tysięcy rocznie). Otóż, wiedz pani, że on się do reszty zrujnuje dla Józefy. Józefa, pani,

jest Żydówką, nazywa się Mirah (to anagram Hiram), izraelska cyfra dana jej jako znak rozpoznawczy, jest to bowiem podrzutek opuszczony gdzieś w Niemczech. (Poszukiwania, które podjąłem, naprowadziły na ślad, że jest to naturalna córka bogatego Żyda, bankiera). Teatr, a zwłaszcza lekcje, jakie Jenny Cadine, pani Schontz, Malaga, Karabina dały jej w zakresie postępowania ze starcami (ja utrzymywałem tę małą na drodze uczciwej i niekosztownej), rozwinęły w niej instynkty pierwotnych Hebrajczyków do złota i klejnotów, cześć złotego cielca! Dziś ta sławna śpiewaczka, drapieżna, chciwa, chce być bogata, bardzo bogata. Toteż nie trwoni nic z tego, co trwonią dla niej. Spróbowała się na imć panu Hulot, którego oskubała do czysta, och, oskubała, co się nazywa, wygoliła. Nieszczęśnik ten, który walczył przez rok przeciw jednemu z Kellerów i margrabiemu d'Esgrignon, obu szalejącym dla Józefy (nie licząc nieznanym wielbicieli), obecnie postradają na rzecz tego księcia, tak potwornie bogatego, co to popiera sztuki. Jak on się nazywa?... Ten karzeł! Aha! Księżę d'Hérouville. Ten magnat uparł się mieć Józefę wyłącznie dla siebie, cały wesoły światek tylko o tym mówi, a baron nie wie nic; bo w trzynastym okręgu jest tak samo jak we wszystkich innych: kochanek jest, jak mąż, ostatnim mężczyzną, który coś przewącha. Rozumie pani teraz moje prawa? Pani małżonek, piękna pani, pozbawił mnie szczęścia, jedynej radości, jaką miałem od czasu mego wdowieństwa. Tak, gdybym nie miał

nieszczęścia spotkać tego starego fircyka, miałbym jeszcze Józefę; bo ja, widzi pani, nigdy nie byłbym jej pchnął do teatru, byłaby została nieznaną, cnotliwą i moją. Och, gdyby pani ją widziała osiem lat temu; szczupła i giętka, złocista cera Andaluzyjki, jak to się mówi, włosy czarne i lśniące jak atlas, oko z długimi czarnymi rzęsami, strzelające błyskawicą, ruchy istnej księżnej, skromność w ubóstwie, wdzięk uczciwej panienki, zwinna jak dzika kózka. Dzięki imć panu Hulot te wdzięki, ta czystość, wszystko to stało się wilczą paścią; łapką na talary. Ta mała jest dziś królową cór Koryntu, jak to mówią, i robi kawały, ona, która nie miała pojęcia o niczym, nie znała nawet tego słowa!

Tu były olejkarz otarł oczy, w których kręciły się łzy. Szczerłość tego bólu podziałała na panią Hulot; ocknęła się z zadumy.

– I cóż, pani, czy w pięćdziesiątym drugim roku można znaleźć podobny skarb? W tym wieku miłość kosztuje trzydzieści tysięcy franków rocznie; sprawdziłem tę cyfrę na przykładzie męża pani, a ja znanadto kocham Celestynę, aby ją zrujnować. Kiedy panią ujrzałem na pierwszym wieczorze, który pani dla nas wydała, nie mogłem zrozumieć, czego ten zbrodniarz Hulot może szukać u Jenny Cadine... Wyglądała pani jak królowa... Pani nie ma trzydziestu lat – ciągnął – wydaje mi się pani młoda, jest pani ładna. Słowo honoru, tego dnia byłem wzruszony do głębi, powiadałem sobie: „Gdybym nie miał mojej Józefy, to skoro ten stary Hulot zaniedbuje swoją żonę, nadałaby mi się jak obszył”. Och, przepraszam, to wyrażenie z moich dawnych czasów. Kupczyk wylazi ze mnie chwilami, to mi przeszkadza kandydować na posła. Toteż kiedy baron oszukał mnie tak nikczemnie (bo między takimi starymi nicponiami jak my, kochanka przyjaciela powinna być święta), poprzysiągłem sobie zabrać mu żonę. To czysta sprawiedliwość. Baron nie mógłby nic pisać, mamy zapewnioną bezkarność. Wyrzuciła mnie pani za drzwi jak parszywego psa, za pierwszym słowem, jakie pani rzekłem o stanie mego serca; zdwoiła pani tym moją miłość, mój upór, jeżeli pani chce, i będziesz moją.

– A to jak?

– Nie wiem, ale będziesz. Widzi pani, głupi perfumiarz (wycofany z interesów!), który ma w głowie tylko jedną myśl, silniejszy jest od mądrego człowieka, który ma ich tysiąc. Jestem zwariowany na punkcie pani, pani jest moją zemstą! To tak jakbym cię kochał podwójnie. Mówię z panią otwarcie, jak człowiek zdecydowany na wszystko. Tak samo jak pani mi mówi: „Nie będę pańską”, tak ja rozmawiam z panią na zimno. Słowem, jak mówi przysłowie, karty na stół. Tak, będzie pani moją w swoim czasie... Och, choćbyś miała pięćdziesiąt lat, i tak zostaniesz moją kochanką. I to się stanie, bo ja wszystkiego się spodziewam po pani mężu...

Pani Hulot zwróciła na tego rachunkowego mieszczaucha spojrzenie tak martwe od grozy, iż myślał, że oszalała, i przerwał.

– Och! Moja córka! Moja córka! – wykrzyknęła baronowa gasnącym głosem.

– A, nic mnie to nie obchodzi! – odparł Crevel. – W dniu, w którym zabrano mi Józefę, byłem jak tygrysyca, której zabrano młode... Słowem, byłem taki jak pani oto w tej chwili. Pani córka to dla mnie sposób dostania pani! Tak, zniweczyłem małżeństwo pani córki!... I nie wyda jej pani za mąż bez mojej pomocy. Choćby panna Hortensja była najpiękniejsza, trzeba jej posagu...

– Niestety, tak – rzekła baronowa, wycierając oczy.

– A więc niech pani spróbuje zażądać od barona dziesięciu tysięcy franków – odparł Crevel, wracając do swej pozy.

Odczekał chwilę jak aktor, który robi artystyczną pauzę.

– Gdyby je miał, dałby je tej, która zastąpi Józefę! – rzekł teatralnym głosem. – Czy można się wstrzymać na tej drodze? Zanadto lubi kobiety! (We wszystkim jest złoty środek, jak powiada nasz monarcha). A przy tym to kwestią próżności. Co pani chce, piękny mężczyzna! Dla swojej przyjemności doprowadzi was wszystkich do torby żebraczej. Już jesteście zresztą na drodze do przytułku. Ot, od czasu, jak przestałem bywać u pani, nie mogła się pani zdobyć na odnowienie salonu. Słowo niedostatek wyłazi wszystkimi dziurami tego obicia. Któryż więc nie ucieknie, przerażony tymi źle pokrywanymi oznakami najokropniejszej z nędz, nędzy ludzi z wyższej sfery? Byłem kupcem, znam się na tym. Nie ma jak oko paryskiego kupca, aby odróżnić zbytek prawdziwy od fałszywego... Jesteście bez grosza – dodał ciszej. – To widać we wszystkim, nawet w liberii waszego lokaja. Chce pani, abym odsłonił okropne tajemnice, których pani nie zna?

– Panie – rzekła pani Hulot, której chustka mokra była od łez – dosyć, dosyć!

– Otóż mój zięć daje pieniądze ojcu, i to właśnie chciałem pani powiedzieć na początku, gdym mówił o jego sprawach majątkowych. Ale ja czuwam nad mieniem mojej córki... niech pani będzie spokojna.

– Och, wydać za mąż córkę i umrzeć!... – wykrzyknęła nieszczęśliwa kobieta, tracąc głowę.

– A więc oto sposób! – rzekł właściciel perfumerii.

Pani Hulot spojrzała na Crevela z wyrazem nadziei, który tak szybko przeobraził jej fizjonomię, że ten jeden odruch powinien był rozczulić tego człowieka i wybić mu z głowy jego niedorzeczne zamysły.

– Będzie pani piękną jeszcze dziesięć lat – odparł Crevel, pozując się – bądź pani dla mnie dobrą, a panna Hortensja wyjdzie za mąż. Hulot dał mi prawo, jak pani mówiłem, postawić transakcję zupełnie jasno i nie pogniewa się. Od trzech lat kapitalizuję procenty od majątku, ponieważ ograniczyłem swoje wybryczki. Mam trzysta tysięcy franków poza moim kapitałem; i te należą do pani...

– Wyjdź pan – rzekła pani Hulot – wyjdź pan i nie pokazuj mi się na oczy. Gdyby nie to, iż musiałam dojść tajemnicy pańskiego nikczemnego postępowania w sprawie zamierzonego małżeństwa Hortensji... Tak, nikczemnego... – odparła na gest Crevela. – Jak można przenosić podobne urazy na głowę biednej dziewczyny, pięknego i niewinnego stworzenia?... Gdyby nie ta konieczność, która gnioła moje serce matki, nigdy nie byłbyś pan rozmawiał ze mną, noga twoja nie przestąpiłaby mego progu. Trzydzieści dwa lata cnoty, uczciwości kobiecej nie zginie od ataków pana Crevel...

– Byłego właściciela perfumerii, następcy Cezara Birotteau w firmie „Królowa Róż” przy ulicy Saint-Honoré – rzekł szyderczo Crevel – byłego wicemera, kapitana gwardii narodowej, kawalera legii honorowej, ściśle tak jak mój poprzednik.

– Panie – odparła baronowa – pan Hulot po dwudziestu latach wierności mógł znużyć się swoją żoną, to obchodzi jedynie mnie; ale widzi pan, że wybryki swoje osłaniał wielką dyskrecją: nie wiedziałam nawet, że on był pańskim następcą w sercu panny Józefy...

– Och! – wykrzyknął Crevel – za cenę złota, pani baronowo!... Ta dzierlatka kosztowała go więcej niż sto tysięcy franków w ciągu dwóch lat! Ho ho! To jeszcze nie koniec...

– Dość już, panie Crevel. Nie wyrzeknę się dla pana szczęścia, jakiego doznaje matka, kiedy może uściskać swoje dzieci bez wyrzutów sumienia, kiedy się czuje kochaną w rodzinie, szanowaną. Oddam Bogu duszę bez zmazy...

– Amen! – rzekł Crevel z ową piekielną zjadliwością, jaka maluje się na twarzy człowieka z pretensjami, kiedy dozna ponownej odprawy w swoich zakusach. – Nie zna pani nędzy w jej ostatniej fazie, wstydu... hańby... Próbowałem panią oświecić, chciałem panią ocalić, panią i jej córkę!... Doskonale, przesyłabizujecie opowieść o marnotrawnym ojcu od pierwszej do ostatniej litery. Łzy pani i jej duma wzruszają mnie; widzieć płaczącą kobietę, którą się kocha, to okropne!... – rzekł Crevel, siadając. – Wszystko, co mogę ci przyrzec, droga Adelino, to że nie uczynię nic przeciw tobie ani przeciw twemu mężowi; ale nie posyłajcie nigdy po informacje do mnie. Oto wszystko!

– Cóż tedy czynić? – wykrzyknęła pani Hulot.

Aż dotąd baronowa zniosła mężnie potrójną męczarnię, jaką rozmowa ta znękała jej serce, cierpiała bowiem jako kobieta, jako matka i jako żona. W istocie, dopóki teść jej syna był szorstki i natarczywy, znajdowała siłę w oporze stawianym brutalności kramarza; ale poczciwość, jaką okazał wśród rozpaczyny odtrąconego kochanka, upokorzenia dorodnego gwardzisty narodowego rozprzęgły jej napięte do ostateczności nerwy; załamała ręce, załaza się łzami i popadła w stan takiego otępienia i bezwładu, że pozwoliła, by Crevel ukląkł i całował jej ręce.

– Mój Boże! Co począć? – rzekła, ocierając oczy. – Czy matka może obojętnie patrzeć, jak córka więdnie w jej oczach? Jakież będzie los tego cudnego stworzenia, rozkwitłego tak bujnie w czystym życiu pędzonym przy matce i tak bogato obdarzonego przez naturę? Bywają dni, że przechadza się po ogrodzie smutna, sama nie wiedząc czemu; zastaje ją ze łzami w oczach...

– Ma dwadzieścia jeden lat – rzekł Crevel.

– Mamże ją zamknąć w klasztorze? – spytała baronowa.
– W podobnych przesileniach religia bywa bezsilna wobec natury i najpobożniej wychowane dziewczęta tracą głowę. Ale niechże pan wstanie, czy nie widzi pan, że teraz wszystko między nami skończone, że pan wstręt budzisz we mnie, że zburzyłeś ostatnią nadzieję matki!...

– A gdybym ją wskrzesił? – rzekł.

Pani Hulot spojrzała na Crevela z rozpaczliwym wyrazem, który go wzruszył; ale zdławił w sobie litość pod wpływem tych słów: „Wstręt budzisz pan we mnie!”. Cnota jest zawsze trochę zanadto „z jednej sztuki”, nie zna odcieni i półśrodków, za pomocą których można kluczyć w fałszywej sytuacji.

– Niepodobna dziś wydać bez posagu panny tak pięknej jak panna Hortensja – zauważył Crevel, przybierając znowu oschłą minę. – Córka pani należy do owych piękności, które przerażają mężów; to jak zbyt kowny koń, który wymaga zbyt wielu kosztownych starań, aby znalazł licznych nabywców. Niechże kto idzie piechotą, prowadząc pod rękę taką żonę! Wszyscy będą się oglądać, iść za nim, ścigać jego panią pożądlivym wzrokiem. Takie tryumfy niepokoją kogoś, kto nie ma ochoty zabijać kochanków; ostatecznie bowiem można zabić tylko jednego. W swoim położeniu może pani wydać za mąż córkę jedynie w trojaki sposób. Z moją pomocą, a tego pani nie chce: to pierwszy! Drugi sposób: znaleźć sześćdziesięcioletniego starca bardzo bogatego, nie mającego dzieci, a pragnącego je mieć: to trudne, ale to się spotyka; jest tylu starców, którzy biorą sobie takie Józefy, takie Jenny Cadine, czemuż nie miałyby się znaleźć taki, który by popełnił to samo głupstwo legalnie?... Gdybym nie miał Celestyny i naszych dwojga wnucząt, ożeniłbym się z Hortensją. To więc drugi sposób. Ostatni jest najłatwiejszy.

Pani Hulot podniosła głowę i spojrzała z trwogą na eks-właściciela perfumerii.

– Paryż jest miastem, które ściąga wszystkich tęgich ludzi, wyrastających jak dziczki na ziemi francuskiej. Roi się tu od talentów bez dachu nad głową, od energii zdolnych do wszystkiego, nawet do zrobienia majątku... Otóż tacy młodzi ludzie... (Sługa pani był w swoim czasie jednym z nich, a iluż takich znał!...). Co miał du Tillet, co miał Popinot dwadzieścia lat temu? Paprali się obaj w sklepie starego Birotteau, bez innego kapitału prócz żądzy wybicia się, która, wedle mnie, jest najpiękniejszym kapitałem!... Kapitał można zjeść, ducha nie!... Cóż miałem ja? Chęć wypłynięcia, wytrwałość. Dziś taki du Tillet stoi na równi z najwybitniejszymi osobistościami. Mały Popinot, najbogatszy drogista z ulicy des Lombards, został posłem, jest dziś ministrem. Otóż jeden z tych kondotierów, jak się to mówi, handlu, pióra lub pędzla, jest w Paryżu jedynym człowiekiem zdolnym zaślubić ładną pannę bez grosza, te chwaty bowiem gotowi znieść wszystko. Popinot ożenił się z panną Birotteau, nie spodziewając się grosza posagu. Ci ludzie to szaleńcy! Wierzą w miłość, tak jak wierzą w swoją przyszłość i swój talent!... Poszukajcie człowieka z energią, który by się zakochał w waszej córce, a ożeni się z nią, nie pytając o posag. Przyzna pani, że jak na wroga jestem dość wspaniałomyślny, radzę bowiem wbrew własnym interesom.

– Ach, panie Crevel, gdyby pan zechciał być moim przyjacielem, poniechać swoich śmiesznych zamysłów!...

– Śmiesznych? Pani, niech pani sobie tak nie ubliża, niech pani spojrzy na siebie!... Kocham panią i przyjdiesz do mnie! Chcę powiedzieć pewnego dnia Hulotowi: „Zabrałeś mi Józefę, ja wziąłem ci żonę!”. To stare prawo odwetu. I będę dążył do tego celu, chyba żebyś pani straszliwie zbrzydła. Dopnę swego, a oto czemu – rzekł, pozując się znów i spoglądając na panią Hulot. – Nie znajdzie pani ani starca, ani młodego zapaleńca – podjął po pauzie – dlatego, że zanadto pani kocha swoją córkę, aby ją wydać na łup staremu lubieżnikowi, i że pani, baronowa Hulot, bratowa starego generał-porucznika, który dowodził grenadierami starej gwardii, nie zgodzisz się wziąć człowieka z przeszłością tam, gdzie go można znaleźć; może to być bowiem prosty robotnik, jak niejeden dzisiejszy milioner był prostym mechanikiem dziesięć lat temu, prostym dozorcą, prostym podmajstrzym. I wtedy, widząc swoją córkę dławiącą się swymi dwudziestoma laty, zdolną panią okryć hańbą, powiesz sobie: „Lepiej już, abym ja się zhańbiła; a jeżeli pan Crevel zechce mi dochować tajemnicy, zarobię posag dla córki, dwieście tysięcy franków, za dziesięć lat przywiązania do tego eks-rękawicznika... starego Crevela!”... Nudzę panią, i to, co mówię, jest głęboko niemoralne, nieprawdaż? Ale gdyby panią trawiła jakaś nieodparta namiętność, znalazłabyś pani, aby mi ulec, wszystkie argumenty, jakie znajdują zakochane kobiety... Otóż dobro Hortensji natchnie panią owymi kapitulacjami

wobec sumienia.

– Hortensja ma jeszcze wuja.

– Kogo? Starego Fischera? Sam liże łapy i grzebie się w interesach, i to znów z winy barona, który wygarnia wszystkie kasy znajdujące się na odległość ręki.

– Hrabia Hulot...

– Och, mąż pani schrupał już oszczędności starego generał-lejtnanta, umeblował za nie swoją śpiewaczkę... No więc, pozwoli mi pani odejść bez nadziei?

– Żegnam pana. Można się łatwo uleczyć z miłości do kobiety w moim wieku, toteż nie wątpię, że zamiary pana ustąpią myślom bardziej chrześcijańskim. Bóg opiekuje się nieszczęśliwymi...

Baronowa wstała, aby zmusić kapitana do odwrotu, i wyparła go do salonu.

– Czy wśród podobnych łachów powinna żyć piękna pani Hulot? – rzekł.

I pokazał starą lampę, pająka o wytartych złoceniach, zużyty dywan, słowem, strzępy dawnej świetności, które z tego wielkiego biało-czerwono-złotego salonu czyniły niby trupa świetności Cesarstwa.

– Cnota, panie Crevel, błyszczy w tym wszystkim. Nie mam ochoty zdobyć wspaniałego urzędnika, czyniąc z tej piękności, którą chcesz we mnie widzieć, wilcze paści, pułapkę na talary!

Kapitan zagryzł wargi, poznając wyrazy, którymi dopiero co napiętnował chciwość Józefy.

– I dla kogo ta wytrwałość? – rzekł.

W tej chwili baronowa doprowadziła eks-olejkarza aż do drzwi.

– Dla rozpustnika!... – dodał z gestem cnotliwego milionera.

– Gdyby pan miał słuszość, stałość moja miałaby pewną zasługę, oto wszystko.

Opuściła kapitana, skłoniwszy się mu owym gestem, którym pozbywamy się natręta, i obróciła się zbyt szybko, aby go widzieć przybierającego ostatni raz ulubioną pozę. Poszła otworzyć drzwi, które wprzód pozamykała, i nie mogła dojrzeć gestu pogróżki, jakim Crevel ją pożegnał. Szła dumnym, szlachetnym krokiem, niby męczennica w Koloseum. Ale siły jej wyczerpały się; bliska omdlenia osunęła się na kanapkę w swym niebieskim buduarze i tak zastygła z oczyma utkwionymi w na wpół rozwaloną altankę, gdzie córka jej szczebiotała z kuzynką Bietką.

Od pierwszych dni małżeństwa aż do tej chwili baronowa kochała męża tak, jak Józefina pokochała w końcu Napoleona, miłością godną podziwu, miłością macierzyńską, wyzutą z dumy. Jeżeli nie znała szczegółów, których jej dostarczył Crevel, wiedziała jednak bardzo dobrze, że od dwudziestu lat baron bywa jej niewierny; ale zamykała oczy na wszystko, płakała w milczeniu i nigdy nie wymknęło się jej słowo wyrzutu. W zamian za tę anielską słodycz uzyskała cześć swego męża i jak gdyby boski kult dokoła siebie. Uczucie, jakie żona ma dla męża, szacunek, jakim go otacza, działają w rodzinie zaraźliwie. Hortensja miała ojca za doskonały wzór miłości małżeńskiej. Co się tyczyło młodego Hulota, ten, wychowany w podziwieniu dla barona, w którym widziano jednego z olbrzymów podpierających Napoleona, wiedział, że pozycję swoją zawdzięcza nazwisku, stanowisku i powadze ojca; zresztą wrażenia dziecinne trwają długo i Hulot bał się dotąd ojca. Toteż gdyby nawet domyślał się wybryków odsłoniętych przez Crevela, nazbyt przejęty szacunkiem, aby się oburzać, byłby je raczej usprawiedliwił argumentami, jakie mężczyźni znajdują w podobnej materii.

Trzeba nam teraz wytłumaczyć nadzwyczajne oddanie tej pięknej i szlachetnej kobiety; oto w kilku słowach historia jej życia.

Z wioski położonej na samych krańcach Lotaryngii u stóp Wogezów trzej bracia nazwiskiem Fischer, prości rolnicy, ruszyli powołani branką republikańską do armii tzw. reńskiej.

W roku 1799 drugi z braci, Andrzej, wdowiec i ojciec pani Hulot, zostawił córkę na opiece starszego brata, Piotra Fischera. Piotr, ciężko ranny w roku 1797, musiał porzucić służbę i puścił się na przedsiębiorstwa przy transportach wojskowych, wspomagany w tym protekcją komisarza Hulota d'Ervy. Dość naturalnym przypadkiem Hulot, przybywszy do Strasburga, poznał rodzinę Fischerów. Ojciec Adeliny i jego młodszy brat byli wówczas dostawcami furazu w Alzacji.

Adelinę, liczącą wówczas szesnaście lat, można było porównać do sławnej pani du Barry, jak ona córę Lotaryngii. Była to jedna z owych piękności skończonych, olśniewających, jedna z owych kobiet podobnych do pani Tallien, które natura wyrabia ze szczególnym staraniem, użyczając im swoich najcenniejszych darów: dystynkcji, szlachetności, wdzięku, wytworności, elegancji, cery sporządzonej w owej tajemniczej pracowni, gdzie władza przypadek. Te piękne kobiety podobne są wszystkie do siebie. Bianca Capello, której portret jest jednym z arcydzieł Bronzina, Wenus Jana Goujon, której za model służyła słynna Diana de Poitiers, signora Olimpia, której portret znajduje się w galerii Doria, wreszcie Ninon, pani du Barry, pani Tallien, panna Georges, pani Récamier, wszystkie te kobiety, piękne na przekór latom, namiętnościom lub wybrykom, mają w kształtach, w budowie, w charakterze urody uderzające podobieństwa; można by mniemać, że w oceanie pokoleń istnieje jakiś prąd afrodyjski, z którego wychodzą te Wenery, córę jednej i tej samej słonej fali.

Adelinę Fischer, jedną z najpiękniejszych wśród tego boskiego plemienia, cechowały wzniosłe przymioty duszy goszczące w ciele o liniach węzowych: niebezpieczne to skojarzenie zalet, a właściwe owym kobietom, które rodzą się do tronu. Bujne blond włosy, które matka Ewa otrzymała z ręki Boga, postawa godna cesarzowej, majestatyczny wyraz, dostojny profil, wieśniacza skromność ściągały na nią spojrzenia wszystkich mężczyzn, oczarowanych na kształt miłośników sztuki przed obrazem Rafaela; toteż ujrawszy ją, komisarz pojął pannę Adelinę Fischer za żonę, w terminie prawem zakreślonym, ku wielkiemu zdumieniu Fischerów, wychowanych w podziwie dla ludzi wyższej sfery.

Najstarszy z braci, żołnierz z 1792, ciężko ranny podczas ataku liniowego pod Wissemburgiem, ubóstwiał cesarza Napoleona i wszystko, co miało związek z Wielką Armią. Andrzej i Jan wyrażali się z szacunkiem o komisarzu Hulot, protegowanym cesarza, któremu zawdzięczali zresztą swój los, gdyż Hulot d'Ervy, poznawszy ich inteligencję i uczciwość, wydobył ich z furgonów wojskowych, aby ich postawić na czele przymusowego zarządu okręgu. Bracia Fischer oddali usługi podczas kampanii roku 1804. Po zawarciu pokoju Hulot uzyskał dla nich ową dostawę furazów w Alzacji, nie wiedząc, że go pošlą później do Strasburga celem przygotowania kampanii roku 1806.

Małżeństwo było dla młodej wieśniaczki jakby wniebowzięciem. Piękna Adelina dostała się wprost z błota swej wioski do rajy cesarskiego dworu. W istocie, w owym czasie komisarza Hulot, jednego z najuczciwszych i najczynnniejszych, mianowano baronem, powołano w pobliże cesarza i przydzielono do gwardii cesarskiej. Piękna wieśniaczka z miłości dla męża, za którym po prostu szalała, miała tę wytrwałość, aby się wziąć do swojej edukacji. Naczelnym komisarzem był zresztą jako mężczyzną tym, czym Adelina między kobietami. Należał do elity pięknych mężczyzn. Służny, dobrze zbudowany, blondyn z błękitnym okiem o nieodpartym blasku, żywości i odcieniu, o wykwintnej postawie, zwracał na siebie uwagę pomiędzy mężczyznami takimi, jak d'Orsay, Forbin, Ouvrard, słowem, w batalionie gładyszów Cesarstwa. Zdobywca serc, mający o kobietach pojęcie z epoki Dyrektoriatu, przerwał dla miłości żony na dość długo swoją karierę donżuana.

Od początku tedy baron stał się dla Adeliny bóstwem, które nie może błędzić. Zawdzięczała mu wszystko: majątek – miała powóz, pałac, cały zbytek ówczesny; szczęście – jawnie cieszyła się miłością męża; tytuł – była baronową; sławę – nazywano ją w Paryżu piękną panią Hulot; wreszcie miała zaszczyt odtrącić hołdy cesarza, który ofiarował jej naszyjnik z diamentów i zawsze ją wyróżniał, pytając od czasu do czasu: „A piękna pani Hulot, czy zawsze cnotliwa?” – jak człowiek zdolny się zemścić nad tym, który by odniósł zwycięstwo tam, gdzie on poniósł klęskę.

Nie trzeba tedy wiele inteligencji, aby zrozumieć, w duszy prostej, naiwnej i pięknej, pobudki fanatyzmu, jaki pani Hulot wkładała w swą miłość. Powiedziawszy sobie raz na zawsze, że mąż jej nigdy nie może zawinić względem niej, uczyniła się w głębi duszy pokorną, oddaną i ślepą służebnicą swego stwórcy. Trzeba dodać, że pani Hulot posiadała wiele zdrowego rozumu, owego prostego chłopskiego rozumu, dzięki któremu wykształcenie jej nabrało solidnego gruntu. W towarzystwie mówiła mało, nie mówiła źle o nikim, nie starała się błyszczeć; zastanawiała się nad wszystkim, przysłuchiwała się i brała za wzór najzacniejsze i najlepiej urodzone kobiety.

W roku 1815 Hulot poszedł śladem księcia Wissemburg, swego serdecznego przyjaciela, i współdziałał w organizowaniu tej improwizowanej armii, której porażka zakończyła cykl napoleoński pod Waterloo. W roku 1816 baron znalazł się na czarnej liście ministerium Feltre'a; wcielono go z powrotem do intendentury dopiero w roku 1823, stał się bowiem potrzebny podczas wojny z Hiszpanią. W roku 1830 znów wypłynął w administracji jako ćwierć ministra, w czasie owej branki, jaką podjął Ludwik Filip w dawnych kadrach napoleońskich. Od wstąpienia na tron młodszej linii, którą dzielnie wspomagał, pozostał jako nieodzowny dyrektor departamentu w ministerium wojny. Osiągnął zresztą niejako swoją buławę marszałkowską, i król nie mógł dlań zrobić nic więcej, chyba mianując go ministrem albo parem Francji.

Bez zajęcia od roku 1818 do 1823, baron Hulot wrócił do służby czynnej przy kobietach. Pani Hulot odnosiła pierwsze niewierności swego Hektora do epoki wielkiego *finale* Cesarstwa. Przez dwanaście lat tedy baronowa grała w swoim domu rolę *prima donna assoluta*, nie dzieląc jej z nikim. Cieszyła się zawsze owym trwałym przywiązaniem, jakie mają mężowie dla żon zgadzających się na rolę łagodnej i cnotliwej towarzyszki; wiedziała, że żadna rywalka nie ostałaby się ani dwóch godzin wobec jednego słowa jej wyrzutu; ale zamykała oczy, zatykała uszy, nie chciała nic wiedzieć o prowadzeniu się męża poza domem. Traktowała swego Hektora jak matka zepsute dziecko. Na trzy lata przed opisaną właśnie rozmową Hortensja poznała ojca w Variété, w parterowej łoży, w towarzystwie Jenny Cadine, i zawołała:

– O, papuś!

– Mylisz się, mój aniołku – odparła baronowa – ojciec jest u marszałka.

Baronowa widziała dobrze Jenny Cadine; ale zamiast doświadczyć ukłucia w serce na widok jej urody, powiedziała sobie w duchu: „Ten ladaco Hektor musi być bardzo szczęśliwy”. Niemniej przeto cierpiała, doznawała uczuć straszliwej wściekłości, ale widząc swego Hektora, widziała zawsze swoich dwanaście lat czystego szczęścia i nie miała siły wyrzec ani słowa skargi. Byłaby chciała stać się powiernicą barona; ale nigdy, przez szacunek dla męża, nie śmiała dać mu do zrozumienia, że wie o jego wybrykach. Ten nadmiar delikatności spotyka się jedynie u owych pięknych cór ludu, które umieją przyjmować razy, nie oddając ich; mają one w żyłach resztkę krwi pierwszych męczenników. Panny dobrze urodzone, czując się równe swoim mężom, doświadczają potrzeby dręczenia ich oraz markowania – tak jak się znaczą punkty przy bilardzie – swojej tolerancji kłującymi słówkami, ot, przez piekielną mściwość oraz aby zapewnić sobie bądź to przewagę, bądź prawo odwetu.

Baronowa znalazła gorącego wielbiciela w swoim szwagrze, generale-lejtnancie Hulot, czcigodnym dowódcy pieszych grenadierów gwardii cesarskiej, który miał u schyłku życia otrzymać łaskę marszałkowską. Starzec ten dowodził od roku 1830 do 1834 dywizją rozmieszczoną w departamentach bretońskich, polu jego czynów w 1799 i 1800; obecnie osiadł w Paryżu, przy bracie, dla którego miał zawsze ojcowskie przywiązanie. Serce starego żołnierza sympatyzowało z bratową; podziwiał ją jako najszlachetniejszą, najświętszą z kobiet. Nie ożenił się, ponieważ chciał spotkać drugą Adelinę, daremnie szukał jej w dwudziestu krajach i dwudziestu kampaniach. Aby nie stracić szacunku tego starego republikanina bez skazy i plamy, o którym Napoleon mówił: „Ten dzielny Hulot to najupartszy z republikanów, ale nie zdradzi mnie nigdy”, Adelina zniosłaby cierpienia jeszcze okrutniejsze niż te, które na nią spadły przed chwilą. Ale starzec ten, liczący siedemdziesiąt dwa lata, złamany trzydziestoma kampaniami, zraniony dwudziesty siódmy raz pod Waterloo, był dla Adeliny czcicielem, nie opiekunem. Biedny hrabia, wśród innych dolegliwości był głuchy; słyszał jedynie przez trąbkę!

Dopóki baron Hulot d'Ervy był pięknym mężczyzną, miłości nie miały żadnego wpływu na jego majątek; gdy miał około pięćdziesiątki, gracje stały się wymagające. W tym wieku miłość zmienia się u starych ludzi w nałóg; łączy się z nią niedorzeczna próżność. Toteż w tej epoce Adelina zauważyła, że mąż jej staje się niesłychanie wymyślny na punkcie stroju, że farbuje włosy i bokobrody, nosi pasy i sznurówki. Chciał zostać pięknym za wszelką cenę. Ten kult własnej osoby – wada, którą wprzód ścigał szyderstwem – baron posuwał do ostateczności. Wreszcie Adelina spostrzegła, że Paktol⁷ płynący u kochanek barona ma źródło w jej domu. W ciągu ośmiu lat znaczny majątek ulotnił się, i to tak doszczętnie, iż w epoce małżeństwa młodego Hulot, dwa lata wprzód, baron zmuszony był wyznać żonie, że jego pensja stanowi całe ich mienie.

– Dokąd nas to doprowadzi? – powiedziała tylko Adelina.

– Bądź spokojna – odparł radca stanu – oddam ci cały mój dochód, a o posagu Hortensji i o naszej przyszłości pomyślę, robiąc interesy.

Głęboka wiara tej kobiety w znaczenie, wysoką wartość, zdolności i charakter męża uśmierzyły ten chwilowy niepokój.

7 Paktol – złotodajna rzeka w starożytnej Lidii.

Można obecnie doskonale zrozumieć stan duszy baronowej oraz łyż jej po odejściu Crevela. Biedna kobieta wiedziała, że od dwóch lat znajduje się na dnie przepaści; ale myślała, że tylko ona jedna. Nie wiedziała, jak się skleiło małżeństwo syna, nie знаła stosunków Hektora z chciwą Józefą; myślała wreszcie, że nikt w świecie nie zna jej udręczeń. Otóż jeżeli Crevel mówi tak swobodnie o wybrykach barona, Hektor postrada szacunek u ludzi! W brutalnych wywodach dotkniętego kramarza ujrzała wstrętne kumostwo rozpustników, z którego wyszło małżeństwo młodego adwokata. Dwie upadłe dziewczyny były kapłankami tego hymenu, ułożonego przy jakiejś orgii, wśród plugawego zbratania się dwóch starców!

– Więc zapomina o Hortensji! – powiadała sobie. – A przecież widuje ją co dzień; czy myśli szukać męża dla niej u swoich łąjdaczek?

W tej chwili, biorąc górę nad żoną, mówiła w niej jedynie matka; widziała bowiem Hortensję śmiejącą się z kuzynką Bietką owym szalonym śmiechem niefrasobliwej młodości; wiedziała zaś, że ten nerwowy śmiech jest wskazówką równie groźną, jak łązawe marzenia wśród samotnych przechadzek po ogrodzie.

Hortensja była podobna do matki, ale miała włosy złote, naturalnie sfalowane i zdumiewająco bujne. Płeć jej miała połysk perłowej macicy. Znać w niej było owoc uczciwego małżeństwa, czystej i szlachetnej miłości w całej jej sile. Było coś gorącego w jej fizjonomii, jakaś wesołość w rysach, bujna młodość, kipienie życia, wspaniałe zdrowie, które były z niej, wydzielając elektryczne promienie. Hortensja wabiła ku sobie spojrzenia. Kiedy jej oczy o kolorze ciemnego szafiru, pływające w owej wilgoci, która zwiastuje niewinność, zatrzymały się na przechodniu, mimo woli musiał zdrzeć. Najmniejszy ślad piegów, którymi owe złote blondynki często opłacają swą mleczną białość, nie kaził jej cery. Wysoka, pełna, ale nie tłusta, o gibkiej kibici, równie szlachetnej, jak postawa matki, zasługiwała na ów tytuł bogini, tak hojnie sypany u starożytnych autorów. Toteż ktokolwiek ujrzał Hortensję na ulicy, nie mógł powstrzymać wykrzyknika: „Mój Boże! Co za śliczna dziewczyna!”. Była tak szczerze naiwna, że za powrotem mówiła:

– Co oni wszyscy, mamó, krzyczą: „Śliczna dziewczyna!”, kiedy ty jesteś ze mną? Przecież ty jesteś piękniejsza ode mnie?...

I w istocie, mimo jej skończonych czterdziestu siedmiu lat amator zachodów słońca mógłby przełożyć baronową nad jej córkę; nie straciła bowiem jeszcze nic ze swych powabów: przywilej rzadki, zwłaszcza w Paryżu, gdzie Ninon była istnym skandalem w tej mierze, tak dalece można było myśleć, że okradła z uroku wszystkie brzydkie kobiety XVII wieku.

Drogą myśli o córce baronowa wróciła do ojca; ujrzała go osuwającego się z każdym dniem, stopniowo, w błoto społeczne; zadrżała, iż może kiedyś wydała go z ministerium. Myśl o upadku jej bożyszczka, w połączeniu z mglistą wizją nieszczęść przepowiedzianych przez Crevela, była dla biednej kobiety nie do zniesienia; straciła przytomność, pogrążyła się jakby w ekstazie.

Kuzynka Bietka, rozmawiając z Hortensją, spoglądała od czasu do czasu, aby zbadać, kiedy będą mogły wrócić do salonu; ale kuzyneczka tak ją wzięła w obroty swymi pytaniami, że Bietka przeoczyła chwilę, kiedy baronowa otworzyła drzwi od ogrodu.

Elżbieta Fischer, o pięć lat młodsza od pani Hulot, mimo iż była córką najstarszego z Fischerów, daleka była od urody swej stryjecznej siostry; toteż była niesłychanie zazdrosna o Adelinę. Zazdrość stanowiła podstawę tego charakteru pełnego ekscentryczności, jak mówią Anglicy, ale tylko o wielkopańskich chorobach. Była to typowa wieśniaczka z Wogezów, w całym tego słowa znaczeniu: chuda, czarniawa, o kruczonych włosach, gęstych i zrosniętych brwiach, długich i silnych ramionach; duże stopy, kilka brodawek na długiej i jakby małpiej twarzy – oto wierny portret tej dziewczyny.

Rodzina, która utrzymywała ścisłą wspólność, poświęciła brzydką ładnej, cierpki owoc świetnemu kwieciciu. Elżbieta pracowała na roli, podczas gdy jej stryjeczna siostra spała w puchu; toteż zdarzyło się raz, iż dopadłszy Adelinę samą, chciała jej urwać nos, prawdziwy grecki nos, którym zachwycały się stare kobiety. Mimo iż oćwiczona za ten wybryk, darła nadal suknie i mięła kołnierzyki uprzywilejowanej.

Z chwilą fantastycznego małżeństwa kuzynki Elżbieta uchyliła czoła przed tym losem, tak jak bracia i siostry Napoleona ugięli się przed blaskiem tronu i potęgą władzy. Adelina, nad wyraz poczciwa i łagodna, przypomniała sobie w Paryżu o Elżbiecie i sprowadziła ją około roku 1809, w intencji wyrwania jej z nędzy i ustalenia jej losu. Skoro się okazało, iż niepodobna tak rychło, jakby Adelina pragnęła, wydać za mąż tej dziewczyny o czarnych oczach i brwiach niby nakreślonych węglem, nieumiejącej czytać ani pisać, baron umyślił dać jej w rękę rzemiosło; oddał ją na naukę do nadwornych hafciarzy cesarskich, słynnych braci Pons.

Kuzynka, zwana w skrócie Bietką, posiadała tajemnice złotej i srebrnej pasmanterii; obdarzona chłopską energią, nauczyła się czytać, pisać i rachować, baron przedstawił jej bowiem konieczność posiadania tych wiadomości dla prowadzenia zakładu. Postanowiła zrobić majątek; w dwa lata przeobraziła się nie do poznania. W roku 1811 ta wieśniaczka stała się dość ładną, dość zręczną i inteligentną panną sklepową.

Przemysł ten, zwany pasmanterią złotą i srebrną, obejmował epolety, pasy, sznury, wreszcie tę olbrzymią ilość błyskotek, które lśniły na bogatych mundurach armii francuskiej oraz na ubraniach cywilnych. Cesarz, jak prawdziwy Włoch rozmiłowany w stroju, zahaftował złotem i srebrem wszystkie szwy swoich sług, a cesarstwo jego obejmowało sto trzydzieści trzy departamenty! Towar ten, dostarczany zazwyczaj krawcom, ludziom bogatym i solidnym, lub też wprost wielkim dygnitarzom, stanowił bardzo pewną gałąź handlu.

W chwili gdy kuzynka Bietka, najrzęczniejsza pracownica zakładu Ponsów, gdzie kierowała całym wyrobem, mogłaby była pomyśleć o sobie, wybuchnął pogrom Cesarstwa. Różdżka pokoju, którą trzymali w ręku Burboni, przerażała Elżbietę, złąkała się zniżki w tym przemyśle, któremu miało już zostać jako pole dla eksploatacji jedynie osiemdziesiąt sześć zamiast stu trzydziestu trzech departamentów, nie licząc olbrzymiego skurczenia armii. Słowem, przerażona zmiennością kolei handlowych, odrzuciła propozycję barona, który myślał, że oszalała. Utwierdziła tę opinię, poróżniwszy się z panem Rivet, nabywcą firmy Ponsów, którego współniczką chciał ją uczynić baron; została z powrotem prostą robotnicą.

Rodzina Fischerów znalazła się znów w smutnym położeniu, z którego wydobył ją niegdyś baron Hulot.

Zrujnowani katastrofą w Fontainebleau trzej bracia Fischerowie bili się jak straceńcy w ochotniczych oddziałach w roku 1815. Najstarszy, ojciec Elżbiety, padł. Ojciec Adeliny, skazany na śmierć przez sąd wojenny, uciekł do Niemiec i umarł w Trewirze w roku 1820. Najmłodszy, Johann, przybył do Paryża, aby się uciec do łaski królowej całej rodziny, która, mówiono, jada na złocie i srebro, chodzi stale w diamentach na głowie i na szyi, wielkich jak orzechy, a darowanych przez cesarza. Johann Fischer, wówczas liczący czterdzieści trzy lata, otrzymał od barona Hulota kwotę dziesięciu tysięcy franków, aby rozpocząć w Wersalu małe przedsiębiorstwo dostawy furazów, uzyskane w ministerium wojny dzięki sekretnemu wpływowi przyjaciół, których były generalny intendent tam zachował.

Te nieszczęścia rodzinne, niełaska barona Hulot, poczucie własnej nicości w tym olbrzymim ruchu ludzi, spraw i interesów, który czyni z Paryża piekło i niebo, poskromiły Bietkę. Odczuwszy wszelakiego rodzaju przewagę stryjecznej siostry, wyzbyła się wszelkiej myśli o walce oraz o porównywaniu się z kuzynką; ale zazdrość przetrwała na dnie serca niby zarodek zarazy, który może zakiełkować i spustoszyć miasto, jeżeli się rozwinie nieszczęsną belę bawełny, gdzie jest utajony. Od czasu do czasu mówiła sobie wprawdzie: „Adelina i ja jesteśmy jednej krwi, ojcowie nasi byli braćmi, i ot, ona mieszka w pałacach, a ja na poddaszu”, ale corocznie na imieniny i na Nowy Rok Bietka otrzymywała od obojga baronostwa wiązanie; baron, bardzo poczciwy dla niej, kupował jej drzewo na zimę; stary generał Hulot prosił ją raz na tydzień na obiad, a u kuzynki zawsze miała swoje miejsce przy stole. Żartowali sobie z niej, ale się jej nie wstydzili. Wreszcie zapewnili jej niezależność w Paryżu, gdzie żyła wedle swoich upodobań.

Ta dziewczyna bała się w istocie wszelkiego jarzma. Kuzynka ofiarowała jej mieszkanie u siebie... Bietka widziała w tym zależność domownicy. Kilka razy baron rozwiązywał trudny problem jej małżeństwa; ale Bietka, uszczęśliwiona w pierwszej chwili, odmawiała niebawem, drżąc, iż przyszedłby mąż mógłby jej wymawiać braki wykształcenia, wychowania i majątku. Kiedy wreszcie baronowa namawiała ją, aby zamieszkała u wuja i prowadziła mu dom zamiast zbyt kosztownej gospodyni, odpowiadała, że takie stadło tym bardziej się jej nie uśmiecha.

Kuzynka Bietka odznaczała się ową oryginalnością pojęć, spotykana u natur, które rozwinęły się bardzo późno, u dzikich, którzy dużo myślą, a mało mówią. Chłopska jej inteligencja nabrała zresztą w atmosferze warsztatu, w towarzystwie robotnic i robotników, nieco paryskiej ciętości. Dziewczyna ta, która charakterem zadziwiająco przypominała Korsykanki, trawiona niezużyтыми instynktami silnej natury, zaopiekowałaby się chętnie mężczyzną słabym; ale długoletnie życie w stolicy przeobraziło ją z wierzchu. Ogłada paryska splamiła rdzą tę krzepką duszę. Obdarzona sprytem drążącym w głąb, jak u wszystkich osób żyjących w istotnym celibacie, przy ciętości, w jaką oblekała swoje myśli, w każdym innym położeniu mogłaby się wydać niebezpieczną. Rozzłoszczona, zdołałaby poróżnić najzgodniejszą rodzinę.

W pierwszym okresie, gdy jeszcze miała pewne nadzieje niezwiernane nikomu, zgodziła się nosić gorsety, podążać za modą i miała chwilę blasku, w czasie której baron uwierzył w możliwość wyswatania jej. Elżbieta była wówczas „pikantną brunetką” z dawnych francuskich romansów. Jej przenikliwe spojrzenie, oliwkowa cera, kibić giętka jak trzcina mogłyby skusić jakiegoś spensjonowanego majora; ale zadowalała się – tak mawiała ze śmiechem – własnym podziwem. Pogodziła się w końcu ze swym życiem, usunąwszy zeń kłopoty materialne; napracowawszy się bowiem od świtu, szła co dzień na obiad do krewnych lub znajomych. Potrzebowała tedy troszczyć się jedynie o śniadanie i komorne; dostawała przy tym ubranie oraz różne zapasy, które godność pozwala przyjąć, jak cukier, wino, kawa etc.

W roku 1837, po dwudziestu siedmiu latach życia w połowie opłacanego przez Hulotów i przez wuja Fischera, kuzynka Bietka pogodziła się z tym, że jest niczym, i pozwalała się traktować bez ceremonii. Sama nie chciała bywać na wielkich obiadach, przekładając małe kółko, w którym mogła czuć swoją wartość i nie wystawiać się na cierpienia miłości własnej.

Wszędzie, u generała Hulota, u Crevela, u młodego Hulota, u Riveta, następcy Ponsów, z którym się pogodziła i który ją honorował, u baronowej, była jak u siebie w domu. Wszędzie wreszcie umiała sobie zjednać służących, dając im od czasu do czasu małe napiwki i rozmawiając zawsze z nimi chwilę przed wejściem do salonu. Ta poufałość, którą stawiała się otwarcie na poziomie służby, jednała jej przychylność tej najemnej zgrai, bardzo ważną dla pasożytów. „To dobra i pocziwa dziewczyna!” – brzmiał zgodny głos o niej. Uprzejmość jej – bez granic, kiedy nie była przymusowa – była zresztą, zarówno jak przybrana dobroduszość, koniecznością jej położenia. Widząc się na łasce wszystkich, Bietka zrozumiała w końcu życie; chcąc być dla wszystkich miłą, żartowała z młodymi, głaszcząc ich niezawodnym pochlebstwem, zgadywała i dzieliła ich życzenia, czyniąc się ich rzeczniczką; chętnie brali ją za powiernicę, ponieważ nie miała prawa ich łajać.

Bezwarunkowa dyskrecja jednała jej zaufanie starszych, posiadała bowiem, jak Ninon, przymioty mężczyzny. Na ogół zwierzenia dążą raczej w dół niż w górę. O wiele chętniej używamy w naszych sekretnych sprawach ludzi stojących niżej niż wyżej; stają się tym samym współnikami naszych tajemnych myśli, są obecni na naradach. Otóż Richelieu uważał, że doszedł do celu, z chwilą gdy zdobył prawo obecności na Radzie. Uważano tę nieboraczkę za tak zależną od wszystkich, iż zdawała się skazaną na bezwarunkową niemotę. Kuzynka Bietka sama mieniła się rodzinnym konfesjonalem. Jedyne baronowa zachowała trochę nieufności przez pamięć udręczeń, jakie cierpiała w dzieciństwie od kuzynki, silniejszej od niej, mimo że młodszej. Przy tym przez wstydlivość nie zwierzyłyby swoich domowych cierpień nikomu prócz Boga.

Tutaj trzeba może zauważyć, że dom baronowej zachował cały swój blask w oczach kuzynki Bietki, której nie uderzała, tak jak eks-kupca Crevela, nędza wypisana na wytartych fotelach, przybrukanych portierach i spēkanych jedwabiach. Z meblami, wśród których się żyje, jest tak jak z nami samymi. Przyglądając się sobie co dzień, człowiek żyje, jak baron, myśląc, że jest wciąż młody i niezmieniony, gdy inni widzą na naszej głowie leniące się włosy, bruzdy poprzeczne na czole i wypukłość w okolicy żołądka. Apartament ten, wciąż oświetlony dla kuzynki Bietki bengalskimi ogniami cesarskich zwycięstw, błyszczał tedy ciągle.

Z czasem kuzynka Bietka nabrała osobliwych narowów staropanieństwa. Tak na przykład zamiast być posłuszną modzie chciała, aby moda stosowała się do jej nawyków i zawsze zacofanych fantazji. Kiedy baronowa dała jej ładny nowy kapelusz, jakąś modnie skrojoną suknię, natychmiast Bietka przerabiała je w domu na swój sposób i psuła je, sporządzając kostium trącający modą Cesarstwa i dawnym jej strojem lotaryńskim. Trzydziestofrankowy kapelusz stawał się cudactwem, a suknia szmatą. Na tym punkcie Bietka była uparta jak muł; chciała się podobać sobie samej i uważała, że tak jest śliczna, podczas gdy to przeobrażenie, harmonijne w tym, że czyniło z niej starą pannę od stóp do głów, robiło ją tak śmieszną, iż przy najlepszych chęciach nikt nie mógłby jej zaprosić w dniu uroczystych przyjęć.

To uparte, kapryśne, niepodległe usposobienie, niewytłumaczona dzikość tej dziewczyny, której baron czterokrotnie znajdował jakieś partie (urzędnika ze swego departamentu, majora, dostawcę wojskowego i pensjonowanego kapitana) i która odmówiła ręki bardzo bogatemu później szmuklerzowi, zyskały jej przydomek Kozy, dawany jej żartem przez barona. Ale przydomek ten odpowiadał jedynie zewnętrznym dziwactwom, owym odrębnościom, jakie wszyscy dostrzegamy w sobie wzajem w życiu społecznym. Bystry obserwator dojrzałby w Bietce cechę okrucieństwa tkwiącego w klasie wieśniaczej. Była to zawsze owa dziewczyna, która chciała urwać nos kuzynce i która, gdyby nie nabrała rozsądku, zabiłaby ją może w ataku zazdrości. Jedynie znajomość praw i świata powściągała w niej ową naturalną chyżość, z jaką wieśniacy, tak samo jak dzicy, przechodzą od uczucia do czynu. Na tym polega może cała różnica dzieląca dziecię natury od człowieka cywilizowanego. Dziki ma jedynie uczucia, człowiek cywilizowany ma uczucia i myśli. Toteż u dzikich mózg odbija, można powiedzieć, niewiele wrażeń, cały jest na łasce uczucia, które go pochłania. U człowieka cywilizowanego myśli spływają w serce, przeobrażając je; ścierają się w nim rozmaite interesy, rozmaite uczucia, podczas gdy dziki dopuszcza tylko jedną myśl naraz. Oto przyczyna chwilowej przewagi dziecka nad rodzicami, przewagi ustającej z chwilą spełnienia jego pragnień; u

człowieka natury natomiast przyczyna ta działa wciąż. Kuzynka Bietka, dzika i zdradziecka po trosze córka Lotaryngii, należała do tej kategorii charakterów, częstszych, niż się zdaje, wśród ludu, czym tłumaczy się jego zachowanie w czasie rewolucji.

W chwili gdy zaczyna się to opowiadanie, Bietka, gdyby pozwoliła się ubrać modnie, gdyby się była wzorem paryżanek nauczyła stosować do każdej nowości, mogłaby się pokazać wszędzie; ale pozostała sztywna jak kij. Otóż bez wdzięku kobieta nie istnieje w Paryżu. Toteż jej czarne włosy, jej piękne surowe oczy, twarde rysy, kalabryjska suchość cery, które czyniły kuzynkę Bietkę podobną do twarzy Giotta i które paryżanka umiałaby wyzyskać, jej dziwaczny strój zwłaszcza, wszystko to dawało jej wygląd tak cudaczny, że niekiedy podobna była do owych małą przebranych za kobietę, jakie oprowadzają mali Sabaudczycy. Ponieważ w spowinowaconych domach, w których się obracała, znano ją dobrze, ponieważ ograniczała swą towarzyską działalność do tego kółka, lubiła swój własny kącik, dziwactwa jej nie raziły już nikogo; na zewnątrz zaś znikwały w olbrzymim paryskim ruchu ulicznym, gdzie patrzy się jedynie na ładne kobiety.

Śmiechy Hortensji miały w tej chwili źródło w tryumfie odniesionym nad uporem kuzynki Bietki. Wydarła jej wyznanie, o które męczyła ją od trzech lat. Chociażby stara panna była najbardziej skryta, jest uczucie, które zawsze przerwie jej milczenie, a nim jest: próżność! Od trzech lat Hortensja, która stała się niezmiernie ciekawa w pewnych kwestiach, oblegała kuzynkę pytaniami, tchnącymi zresztą zupełną niewinnością; chciała się dowiedzieć, czemu Bietka nie wyszła za mąż. Hortensja, która знаła historię pięciu odrzuconych konkurentów, ułożyła sobie mały romans, pomawiała kuzynkę Bietkę o jakąś sekretną miłość, z czego wynikała ta wesoła wojna. O sobie i o kuzynce Hortensja mawiała: „My, panienki”. Bietka odpowiedziała kilka razy żartobliwie: „Któż ci powiada, że ja nie mam swego chłopca?”. Odtąd kochanek kuzynki Bietki, prawdziwy lub urojony, stał się przedmiotem niewinnych drwin. Tak więc, po dwóch latach tej wojenki, za ostatnią bytnością Bietki pierwszym słowem Hortensji było:

– Jak się miewa twój chłopiec?

– Nieźle – odparła – biedaczek, zawsze trochę niedomaga.

– Taki delikatny? – spytała baronowa, śmiejąc się.

– Oczywiście, jak blondyn... Taka Cyganicha jak ja może kochać tylko blondyna bladego jak księżyc.

– Ale kto to jest? Co robi? – rzekła Hortensja. – Czy to książę?

– Księżę dłuta, jak ja królowa igły. Czyż biedną dziewczynę jak ja może pokochać właściciel domu z frontem od ulicy, kapitalista, księżę albo jakiś królewicz z twoich bajek?

– Och! Chciałabym go widzieć!... – wykrzyknęła Hortensja ze śmiechem.

– Aby się przekonać, jak wygląda ktoś, kto może kochać starą kozę? – odparła Bietka.

– To musi być jakiś potwór, stary biuralista z capią bródką! – rzekła Hortensja, zerkając na matkę.

– Otóż właśnie łaskawa pani się myli.

– A więc ty naprawdę masz chłopca? – spytała Hortensja tryumfalnie.

– Tak samo naprawdę jak ty nie masz! – odparła kuzynka z urażoną miną.

– A więc jeżeli masz wielbiciela, Bietko, czemu nie wyjdiesz za niego?... – rzekła baronowa, dając znak córce.

– Już trzy lata jest o nim mowa, miałaś czas go poznać; jeżeli dotąd wytrwał, nie powinnaś przeciągać tej uciążliwej dlań sytuacji. To zresztą kwestia sumienia; wreszcie, jeżeli jest młody, czas wziąć sobie podporę starości.

Kuzynka Bietka spojrzała bystro na baronową, a widząc, że ta żartuje, odparła:

– To by znaczyło ożenić głód z pragnieniem; on jest robotnikiem, ja robotnicą, gdybyśmy mieli dzieci, byłyby robotnikami... Nie, nie, kochamy się duchowo... To tańsze!

– Czemu go ukrywasz? – spytała Hortensja.

– Bo chodzi w bluzie – odparła, śmiejąc się, stara panna.

– Kochasz go? – spytała baronowa.

– Och! Jakżeby! Ubóstwiam mego cherubina. Oto już cztery lata, jak żyję tylko nim.

– Jeżeli go tak kochasz – rzekła poważnie baronowa – i jeśli on istnieje, byłabyś ciężko winną wobec niego. Nie wiesz, co to kochać.

– Wszystkie umiemy ten fach od samego przyjścia na świat! – rzekła kuzynka.

– Nie, są kobiety, które kochają, a zostają egoistkami i ty jesteś z takich.

Kuzynka spuściła głowę; spojrzenie jej przejęłoby dreszczem tego, na kogo by padło; ale patrzyła na swoją szpulkę.

– Gdybyś nam przedstawiła swego rzekomego wielbiciela, Hektor mógłby znaleźć dlań jakieś miejsce i pomóc w karierze.

– To niepodobna – odparła Bietka.

– Czemu?

– To taki niby-Polak, wygnaniec...

– Spiskowiec! – wykrzyknęła Hortensja. – Jakaś ty szczęśliwa!... Miał jakieś przygody?

– Oczywiście! Bił się za Polskę. Był profesorem w gimnazjum, którego uczniowie rozpoczęli powstanie, a ponieważ umieścił go tam wielki książę Konstanty, nie może liczyć na łaskę.

– Profesorem czego?

– Sztuk pięknych!

– I po klęsce przybył do Paryża?

– W roku 1833, przebywszy Niemcy pieszo.

– Biedny chłopiec! Ile ma lat?...

– W chwili powstania miał ledwie dwadzieścia cztery, obecnie ma dwadzieścia dziewięć...

– Piętnaście lat mniej od ciebie – rzekła baronowa.

– Z czego żyje?... – spytała Hortensja.

– Ze swego talentu...

– A! Daje lekcje?

– Nie – odparła Bietka – bierze, i to twarde, od losu...

– A imię jakie ma, ładne?...

– Waclaw.

– Cóż za wyobraźnię mają te stare panny! – wykrzyknęła baronowa. – Z tego, co mówisz, można by ci uwierzyć, Bietko.

– Czy nie widzisz, mamó, że to Polak tak nawykły do knuta, że Bietka przypomina mu tę drobną rozkosz jego ojczyzny?

Wszystkie trzy zaczęły się śmiać, a Hortensja zanuciła: „Wacławie, bóstwo ty moje!”, zamiast „O Matyldo...”. Nastąpiło na kilka minut zawieszenie broni.

– Te dziewczęta – rzekła kuzynka Bietka, spoglądając na Hortensję, gdy ta znów przy niej usiadła – myślą, że można się kochać tylko w nich.

– Słuchaj – odparła Hortensja, znalazłszy się sama z kuzynką – dowiedz mi, że Wacław nie jest królewiczem z bajki, a dam ci mój żółty kaszmir.

– Królewiczem nie jest, ale hrabią!...

– Każdy Polak jest hrabią.

– Ależ on nie jest Polak, jest z Li... in... fli...

– Z Litwy?

– Nie...

– Z Inflant?

– Tak, tak, właśnie.

– Ale jak się nazywa?

– Słuchaj, chcę spróbować, czy ty umiesz dochować tajemnicy...

– Och, kuzyneczko, będę niema...

– Jak ryba?

– Jak ryba.

– Jak pragniesz zbawienia?

– Jak pragnę zbawienia.

– Nie; jak pragniesz szczęścia na ziemi?

– Tak.

– A więc nazywa się Wacław Steinbock.

– Któryś z generałów Karola XII nosił to nazwisko.

– To jego stryjeczny dziadek! Ojciec jego osiedlił się w Inflantach po śmierci króla szwedzkiego; ale stracił majątek w czasie kampanii roku 1812 i umarł, zostawiając biednego ośmioletniego chłopca bez żadnych środków. Wielki książę Konstanty przez wzgląd na nazwisko Steinbocków zajął się nim i umieścił w szkole...

– Nie cofam słowa – odparła Hortensja – daj mi dowód, że istnieje, a masz mój żółty szal. Wiesz, jak w żółtym brunetkom do twarzy.

– Dochowasz mi tajemnicy?

– Powierzę ci swoje.

– A więc za następną bytnością przyniosę dowód.

– Ależ dowód to on sam – rzekła Hortensja.

Kuzynkę Bietkę, od chwili przybycia do Paryża trawioną uwielbieniem dla kaszmirów, oczarowała myśl posiadania owego żółtego szala, który baron ofiarował żonie w roku 1808, a który obyczajem niektórych rodzin przeszedł z matki na córkę w roku 1830. Od dziesięciu lat szal był mocno zużyty; ale ta szacowna materia, zamykana troskliwie w sandałowym puzdrze, wydawała się starej pannie, podobnie jak meble baronowej, wciąż nowa. Przyniosła tedy w woreczku podarek, który chciała ofiarować baronowej w dzień urodzin, a który wedle niej miał dowieść istnienia fantastycznego wielbiciela.

Podarkiem tym była srebrna pieczętka, utworzona z trzech postaci wspartych o siebie plecami, spowitych liśćmi i podtrzymujących kulę ziemską. Te trzy osoby przedstawiały Wiarę, Nadzieję i Miłość. Nogi ich spoczywały na potworach, które gryzły się między sobą, a wśród nich wił się symboliczny wąż. W roku 1846, po olbrzymim kroku naprzód, jaki panna de Fauveau, Wagner, Jeanest, Froment Meurice oraz snycerze w drzewie, jak Lienard, uczynili w sztuce Benvenuta Celliniego, arcydzieło to nie zdziwiłoby nikogo, ale w owym czasie młoda dziewczyna znajdująca się na klejnotach musiała się zdumieć, obracając w rękę tę pieczętkę, którą podała jej kuzynka Bietka, mówiąc:

– No, jak ci się to podoba?

Postacie rysunkiem swoim, draperią i ruchem należały do szkoły Rafaela; wykonaniem przypominały szkołę brązowników florenckich stworzoną przez Donatellów, Brunelleschich, Ghibertich, Benvenuta Celliniego, Jana z Bolonii etc. Renesans francuski nie wyroił fantastyczniejszych potworów od tych, które tu ucieleśniały złe namiętności. Palmy, paprocie, trzciny, sitowie, które oplatały trzy Cnoty, zdradzały smak i zręczność zdolne przywieść do rozpaczyny mistrzów dłuta. Trzy głowy połączone były wstążką, na której w odstępach między głowami widniała litera W, kozioł skalny i słowo *fecit*.

– Któż to wyrzeźbił? – spytała Hortensja.

– Któż by? Mój chłopiec – odparła Bietka. – Jest w tym dziesięć miesięcy pracy; toteż więcej zarobiłam ja fabrykując pasy... Powiedział mi, że Steinbock znaczy po niemiecku kozioł skalny albo gienza. Chce tak podpisywać swoje prace... No, dostanę twój szal!

– A to czemu?

– Czy ja mogłam kupić podobny klejnot? Zamówić go? To nieprawdopodobne; zatem musiałam go dostać. Kto może robić takie podarki? Wielbiciel!

Hortensja z obłudą, która byłaby przeraziła Elżbietę Fischer, gdyby ją była spostrzegła, nie zdradziła bynajmniej całego swego podziwu, mimo że uczuwała ów dreszcz, jakiego doznają ludzie o duszy wrażliwej na piękno, kiedy ujrzą arcydzieło bez zarzutu, zupełne, nieoczekiwane.

– Daję słowo – rzekła – to wcale ładne.

– Tak, ładne – odparła stara panna – ale ja wolę pomarańczowy szal. Otóż, moja mała, mój chłopiec spędza czas na takich pracach. Od swego przybycia do Paryża zrobił kilka głupstewek w tym rodzaju i oto owoc czteroletnich studiów i pracy. Terminował u giserów, ludwisarzy, złotników... ba, kosztowało to setki i tysiące. Panicz zaręcza mi teraz, że za kilka miesięcy będzie sławnym i bogatym.

– Więc ty go widzisz?

– Jak to! Myślisz, że to bajka? Żartując, powiedziałam ci prawdę.

– I kocha cię? – spytała żywo Hortensja.

– Ubóstwia! – odparła kuzynka, przybierając minę serio.

– Widzisz, moja mała, znał tylko kobiety blade, mdłe, jak one tam wszystkie na Północy; brunetka, szczupła, młoda jak ja, to mu trafiło do serca. Ale sza! Przyrzekłaś mi.

– Będzie z tym jak z pięcioma tamtymi – rzekła drwiąco młoda dziewczyna, spoglądając na pieczętkę.

– Sześcioma, moja panno; zostawiłam w Lotaryngii jednego, który dla mnie poszedłby zdjąć księżyc z nieba jeszcze dziś.

– Ten robi lepiej – odparła Hortensja – przynosi ci słońce.

– Gdzie to można spieniężyć? – spytała Bietka. – Trzeba mieć dużo ziemi, aby móc korzystać ze słońca.

Te oto żarciki, padające szybko i skojarzone z tysiącem szaleństw, dały przyczynę do śmiechów, które zbudziły lęk baronowej. Widząc córkę oddającą się bez troski pustocie młodości, porównywała w myśli przyszłość jej z terażniejszością.

– Ale aby ci ofiarowywać klejnoty pochłaniające pół roku pracy, musi ci wiele zawdzięczać? – spytała Hortensja, którą klejnot wprowadził w głęboką zadumę.

– A, za wiele chcesz wiedzieć naraz! – odparła kuzynka Bietka. – Ale słuchaj... tak, dobrze: wciągnę cię do spisku.

– Czy razem z twoim wielbicielem?

– Aha! Chciałabyś go zobaczyć! Ale, rozumiesz, stara panna jak twoja Bietka, która umiała przytrzymać chłopca całe pięć lat, kryje go dobrze... Toteż nie męcz mnie. Ja, widzisz, nie mam ani kota, ani kanarka, ani psa, ani papugi; trzeba, aby taka stara koza jak ja miała coś do kochania, do dręczenia; otóż zafundowałam sobie Polaka.

– Czy ma wąsy?

– O, takie długie!... – rzekła Bietka, pokazując czólenko owinięte złotą nicią.

Zawsze brała robotę do miasta i pracowała, czekając na obiad.

– Jeżeli wciąż mnie będziesz pytać, nie dowiesz się niczego – dodała. – Masz dopiero dwadzieścia dwa lata, a jesteś większa papla niż ja, która mam czterdzieści dwa czy nawet czterdzieści trzy.

– Słucham, już ani nie pisnę – rzekła Hortensja.

– Mój chłopiec zrobił grupę z brązu wysoką na dziesięć cali – podjęła Bietka. – Przedstawia Samsona rozdzierającego lwa; zakopał ją w ziemi, dał się temu pokryć śniedzią, tak że teraz można by myśleć, że to jest stare jak Samson. Arcydzieło to wystawione jest u pewnego antykwarza, w sklepie na placu du Carrousel, blisko mnie. Gdyby twój ojciec, który zna pana Popinot, ministra handlu i rolnictwa, oraz hrabiego de Rastignac, mógł im wspomnieć o tym jako o pięknym starym dziele, które widział przechodząc! Zdaje się, że wielkie figury zajmują się tymi cackami zamiast się troszczyć o nasze galony i że los mego chłopca byłby zapewniony, gdyby kupili lub bodaj tylko zaszli obejrzyć to kawałtoko mosiądzu. Ten biedny chłopiec zaręcza, że wezmą to głupstewko za antyk i że zapłacą bardzo dobrze. Następnie, jeżeli to któryś z ministrów kupi tę grupę, pójdzie się przedstawić, dowiedzie, że jest autorem, obniosą go w tryumfie! Och! Już się widzi na piedestale; dumny jest ten chłopczyzna niczym dwaj świeżo upieczeni hrabiowie.

– To koncept pożyczony od Michała Anioła; ale na zakochanego to wcale sprytne – rzekła Hortensja. – A ile chce za to?

– Tysiąc pięćset franków!... Kupiec nie może oddać brązu taniej, bo musi wziąć swój procent.

– Papuś – rzekła Hortensja – jest w tej chwili komisarzem królewskim, widuje co dzień obu ministrów w Izbie i załatwi twoją sprawę, biorę to na siebie. Będziesz bogata, hrabino Steinbock.

– Ach, nie, mój chłopiec jest leniuch, tygodnie całe trawi, gniotąc czerwony wosk w palcach, a robota nie postępuje. Ot, przesiaduje w Luwrze, w Bibliotece, ogląda sztychy, przerysowuje je... To próżniak.

I dalej potoczyła się ta żartobliwa rozmówka. Hortensja śmiała się, ale wymuszonym śmiechem, gdyż owładnęła nią owa miłość, którą przeszły wszystkie młode dziewczyny, miłość do czegoś nieznanego, miłość w stanie mglistym, której rojenia skupiają się koło jakiejś fizjonomii następczonej im przez przypadek, jak kryształki szronu czepiają się źdźbła słomy zawieszonoego przez wiatr na futrynie okna. Od dziesięciu miesięcy zrobiła rzeczywistą istotę z owego fantastycznego kochanka Bietki, dlatego że wierzyła, jak matka, w wiekuiste panieństwo kuzynki; i oto od tygodnia widziadło stało się hrabią Wacławem Steinbock, marzenie zyskało swoją metrykę, mgła zagęściła się w trzydziestoletniego młodzieńca. Pieczętka, którą trzymała w ręce niby Zwiastowanie, w którym geniusz tryskał jak światło, miała moc talizmanu. Hortensja czuła się tak szczęśliwa, że wątpiła niemal, czy to opowiadanie jest prawdą; krew jej burzyła się, śmiała się jak szalona, aby zmylić kuzynkę.

– Ale zdaje mi się, że drzwi do salonu są otwarte – rzekła Bietka – chodźmy zobaczyć, czy pan Crevel poszedł...

– Mama coś bardzo smutna od dwóch dni; z pewnością małżeństwo, o którym była mowa, rozeszło się...

– Ba! Może się naprawić: chodzi (mogę ci to powiedzieć) o radcę najwyższego trybunału. Czy chciałabyś być panią prezydentową? Et, jeżeli to zależy od pana Crevel, powie mi coś o tym i będę wiedziała jutro, czy jest nadzieja...

– Bietko, zostaw mi tę pieczętkę – rzekła Hortensja – nie pokażę jej... Imieniny mamy za miesiąc, oddam ci ją rano...

– Nie, daj, daj... trzeba zrobić puzderko.

– Ależ muszę ją pokazać ojcu, aby mógł mówić z ministrem z całą znajomością rzeczy; władza nie powinna się kompromitować.

– Więc dobrze, proszę cię tylko, nie pokazuj matce; gdyby wiedziała, że naprawdę mam chłopca, wyśmiewałaby się ze mnie.

– Przyrzekam ci...

Obie kuzynki stanęły na progu buduaru w chwili, gdy baronowa zemdląła; krzyk, jaki wydała Hortensja, wystarczył, aby ją ocucić. Bietka poszła po sole. Kiedy wróciła, zastała matkę i córkę trzymające się w objęciach; matka uspokajała obawy córki, mówiąc:

– To nic, to tylko nerwowe. Ojciec idzie – dodała, poznając go po dzwonku – nie wspominaj mu tylko o tym...

Adelina wstała, aby wyjść naprzeciw męża; chciała, zanim podadzą obiad, wziąć go do ogrodu, pomówić z nim o zerwanym małżeństwie, spytać o plany na przyszłość, spróbować dać mu jaką radę.

Baron Hektor Hulot ukazał się w postawie parlamentarnej i napoleońskiej, łatwo bowiem można poznać cesarskich (ludzi poczętych z Cesarstwa) po ich wojskowej postawie, po niebieskim fraku ze złotymi guzikami zapiętym pod szyję, po czarnym jedwabnym krawacie, po chodzie pełnym stanowczości, której nabrali w przyzwyczajeniu do despotycznego rozkazywania, wymaganego przez nagłe okoliczności, w jakich się nieraz znaleźli. Nic, trzeba przyznać, baron nie trącił starcem: wzrok miał jeszcze tak dobry, że czytał bez okularów; piękna, ściągła twarz, oprawna w zbyt czarne, niestety! bokobrody, zdradzała swą pożyłkowaną karnacją gorący temperament; brzuch, ściśnięty paskiem, utrzymywał się, jak powiada Brillat-Savarin, w granicach majestatywności. Mina na wskroś arystokratyczna oraz wielka uprzejmość służyły za powłokę rozpustnikowi, który tyle razy towarzyszył hulankom Crevela. Był to jeden z tych ludzi, których oczy ożywiają się na widok ładnej kobiety i którzy uśmiechają się do każdej piękności, nawet do tej, która mija ich na ulicy i której już nie ujrzą więcej.

– Czyś przemawiał, mój jedyny? – spytała Adelina, widząc jego zatroskane czoło.

– Nie – odparł Hulot – ale zmordowany jestem słuchaniem dwugodzinnej gadaniny, która nie doprowadziła do głosowania... Urządzą walki na słowa, mowy są niby szarże kawalerii nierozbijające nieprzyjaciela. Zastąpili słowami czyny, co niezbyt cieszy ludzi nawykłych do działania, jak mówiłem dziś właśnie marszałkowi. Ale dosyć już nudów na ławie ministerialnej, chcę się za to bawić tutaj... Jak się masz, Kozo!... jak się masz, Kózko!

I objął córkę za szyję, uściskał ją, zaczął się z nią droczyć, posadził sobie na kolanach i położył jej głowę na swoim ramieniu, aby czuć te piękne złote włosy na swojej twarzy.

„Jest znudzony, zmęczony – powiedziała sobie pani Hulot – mam go i ja nudzić jeszcze? Zaczekajmy”.

– Zostajesz z nami dziś wieczór?... – spytała głośno.

– Nie, moje dzieci. Po obiedzie opuszczam was. Gdyby to nie był dzień Kozy, moich dzieci i brata, nie ujrzelibyście mnie...

Baronowa wzięła gazetę, spojrzała na dział teatrów i położyła dziennik, w którym wyczytała „Roberta Diabła” w rubryce Opery. Józefa, którą opera włoska ustąpiła od pół roku operze francuskiej, śpiewała partię Alicji. Gest ten nie uszedł uwagi barona, który spojrzał bystro na żonę. Adelina spuściła oczy, wyszła do ogrodu, on za nią.

– Słuchaj, Adelino, co ci jest – rzekł, biorąc ją w pól, przyciągając i tuląc do siebie. – Czy nie wiesz, że cię kocham więcej niż...

– Więcej niż Jenny Cadine i niż Józefę? – odparła śmiało, przerywając mu.

– Któż ci to powiedział? – spytał baron, puszczając żonę i cofając się o dwa kroki.

– Otrzymałam list anonimowy, który spaliłam i gdzie było powiedziane, mój drogi, że małżeństwo Hortensji rozeszło się z powodu naszego położenia majątkowego. Twoja żona, drogi Hektorze, nie byłaby nigdy rzekła ani słowa; wiedziała o twoich stosunkach z Jenny Cadine, a czy się kiedykolwiek skarżyła? Ale matka Hortensji winna ci jest prawdę...

Hulot, po chwili milczenia straszliwego dla jego żony, której bicie serca było słyhać, rozkrzyżował ramiona, chwycił ją, przycisnął do serca, ucałował w czoło i rzekł jej z ową skupioną siłą, jaką daje uwielbienie:

– Adelino, jesteś aniołem, a ja nędznikiem.

– Nie! nie! – odparła baronowa, kładąc mu szybko rękę na usta, aby mu nie pozwolić mówić źle o samym sobie.

– Tak, nie mogę w tej chwili dać Hortensji ani grosza i jestem bardzo nieszczęśliwy; ale skoro mi otwierasz w ten sposób swoje serce, mogę w nie przelać zgryzoty, które mnie dławią... Jeżeli stryj Fischer jest w opałach, to ja go w nie wpędziłem, podpisał mi weksli na dwadzieścia pięć tysięcy franków! I to wszystko dla kobiety, która mnie zdradza, która sobie drwi ze mnie poza oczy, która mnie nazywa starym farbowanym kotem!... – Och, to okropne, że rozpusta kosztuje drożej niż wyżywienie rodziny!... I nie ma na to rady... Choćbym ci przyrzekł w tej chwili, że nigdy już nie wrócę do tej obmierzłej Żydowicy, skoro do mnie napisze dwa słowa, pójdę, tak jak się szło w ogień za cesarza.

– Nie dręcz się, Hektorze – rzekła biedna kobieta w rozpacz, zapominając o córce na widok łez w oczach męża.
– Słuchaj, mam moje diamenty; ratuj przede wszystkim stryja!

– Twoje diamenty warte są dziś zaledwie dwadzieścia tysięcy franków. To nie wystarczy dla starego Fischera, zachowaj je lepiej dla Hortensji. Pomówię jutro z marszałkiem.

– Biedaku mój! – wykrzyknęła baronowa, ujmując rękę swego Hektora i całując je.

To była cała połajanka. Adelina ofiarowała swoje diamenty, ojciec dał je Hortensji, czyn ten wydał się jej tak wzniosły, że uczuła się bezsilna.

„On tu jest panem, może brać wszystko, a zostawił mi moje diamenty, to istny Bóg!”. Taka była myśl tej kobiety, która z pewnością uzyskała więcej słodyczą niż inna zazdrością i gniewem.

Moralista nie mógłby zaprzeczyć, iż na ogół ludzie dobrze wychowani i bardzo zepsuci są o wiele miłsi niż ludzie cnotliwi. Mając do okupienia swoje grzeszki, starają się na zapas o pobłażliwość, okazując się wyrozumiali na wady swoich sędziów; toteż uchodzą za wybornych ludzi. Mimo że i wśród cnotliwych znajdują się ludzie czarujący, cnota uważa się sama z siebie za dość piękną, aby się obejść bez trudów grzeczności, przy tym ludzie naprawdę cnotliwi (wyłączam tu obłudników) mają prawie wszyscy lekkie podejrzenia co do swojej roli; uważają się za oszukanych w wielkim targowisku życia i mają w słowach pewną uszczypliwość, właściwą ludziom, którzy sądzą, że ich nie doceniono. Toteż baron, który miał na sumieniu ruinę rodziny, rozwijał wszystkie zasoby swego dowcipu i uwodzicielskiego wdzięku na intencję żony, swoich dzieci i kuzynki Bietki. Na widok syna i Celestyny Crevel, karmiącej właśnie małego Hulota, podszedł z nadzwyczajną uprzejmością do synowej, obsypał ją komplementami, do której to strawy próżność Celestyny nie była przyzwyczajona; trudno bowiem byłoby o worek z pieniędzmi bardziej pospolity i nieznaczący niż ona. Dziadek wziął malca, ucałował go, oświadczył, że jest rozkoszny, zachwycający, przemawiał doń spieszczonym językiem nianiek, przepowiadał, że ten tłuścioch wyrośnie większy od niego, wsunął parę pochlebnych słówek pod adresem syna i oddał dziecko grubej Normandce, która je

piastowała na rękach. Toteż Celestyna wymieniła z baronową spojrzenie mówiące: „Cóż za uroczy człowiek!”. Naturalnie broniła teścia przeciw atakom własnego ojca.

Okazawszy się miłym teściem i kochanym dziadkiem, baron wziął syna do ogrodu, aby mu udzielić bardzo trafnych uwag co do postawy, jaką trzeba zająć w Izbie wobec skomplikowanych okoliczności, które zaszły dziś rano.

Oczarował młodego adwokata bystrością swoich poglądów, rozczerzył go przyjacielskim tonem, a zwłaszcza odcieniem szacunku, którym stawiał go odtąd niejako na równej stopie z sobą.

Młody Hulot był to typowy okaz młodzieńca, jakich wytworzyła rewolucja roku 1830: zacierzewiony w polityce, pochłonięty myślą o karierze, ale kryjący to pod fałszywą powagą, bardzo zazdrosny o cudzą reputację, rzucający frazesy zamiast owych celnych słówek, które są niby diamenty francuskiej rozmowy, zarazem pełen namaszczenia i uważający butę za godność. Ci ludzie są to chodzące trumny kryjące dawnego Francuza; Francuz porusza się czasem i kopie nogą w swoją angielską powłokę; ale ambicja powstrzymuje go i każe mu się tam dusić. Trumna ta jest zawsze odziana w czarne sukno.

– A, jest i brat! – wykrzyknął baron Hulot, idąc do drzwi salonu naprzeciw hrabiego.

Uściskawszy domniemanego następcę nieboszczyka marszałka Montcornet, przeprowadził go pod rękę z oznakami przywiązania i szacunku.

Ten par Francji, uwolniony od posiedzeń z przyczyny swej głuchoty, miał piękną głowę ostudzoną latami; siwe włosy były jeszcze dość bujne, aby zachować odcisk kapelusza. Mały, krępy, zasuszony, dźwigał raźnie swą czerstwą starość; że zaś zachował nadzwyczajną żywość, przeto, skazany na spoczynek, dzielił czas między lekturę i przechadzkę. Łagodność malowała się na jego białej twarzy, w układzie, w uprzejmej rozmowie pełnej rozsądnych uwag. Nigdy nie mówił o wojnie ani o swoich kampaniach; wiedział, że jest zbyt wielki, aby potrzebował podkreślać swą wielkość. W salonie ograniczał się do ustawicznej baczności na życzenia kobiet.

– Jesteście coś bardzo weseli – rzekł, widząc ożywienie, jakie baron wniósł w to małe zebranie rodzinne. – A przecież Hortensja nie wychodzi jeszcze za mąż – dodał, widząc na twarzy bratowej ślad melancholii.

– Zawsze na to dość wcześnie! – krzyknęła mu w ucho potężnym głosem kuzynka Bietka.

– Oj, ty, ty, złe ziarno, które nie chciało kwitnąć! – odparł, śmiejąc się.

Bohater spod Forzheim dosyć lubił kuzynkę Bietkę, gdyż istniało między nimi podobieństwo. Był bez wykształcenia, wyszedł z ludu, karierę wojskową zawdzięczał jedynie odwadze, a zdrowy rozum zastępował mu inteligencję. Nieskazitelnym w poczuciu honoru, człowiekiem o czystych rękach, kończył pogodnie swoje piękne życie, wśród tej rodziny, w której zamykały się wszystkie jego uczucia, nie podejrzewając sekretnych dotychczas szaleństw brata. Toteż całą duszą cieszył się pięknym widokiem tego zebrania, gdzie nigdy nie było żadnego powodu do niezgody, gdzie rodzeństwo kochało się wzajem, Celestynę bowiem uznano natychmiast za należącą do rodziny. Toteż zacny staruszek dopytywał się od czasu do czasu, czemu stary Crevel nie przychodzi. „Ojciec jest na wsi” – krzyczała mu w ucho Celestyna. Tym razem powiedziano mu, że eks-perfumiarz jest w podróży.

W poczuciu tej tak szczerzej jedności rodziny pani Hulot pomyślała: „Oto najpewniejsze szczęście, i tego nikt nam nie odbierze!”.

Widząc swą ulubioną Adelinę przedmiotem czułości barona, staruszek zaczął się puszczać na takie żarciki, że baron, lękając się śmieszności, przeniósł swą dworność na synową, która na tych rodzinnych obiadach była zawsze celem jego nadszkakiwań i względów, spodziewał się bowiem przez nią trafić do starego Crevela i załagodzić jego urazy.

Ktokolwiek tedy widziałyby to koło rodzinne, z trudnością uwierzyłyby, że ojciec ma nóż na gardle, matka jest w rozpacz, syn do najwyższego stopnia niepokoi się o przyszłość ojca, córka zaś duma, jak odbić kuzynce jej wielbiciela.

O siódmej baron, widząc, że brat jego, syn, baronowa i Hortensja zasiedli do wista, wymknął się, aby iść okłaskiwać swoją kochankę w operze. Zabrał z sobą kuzynkę Bietkę, która mieszkała przy ulicy Doyenne i tłumaczyła się zawsze pustką tej samotnej dzielnicy, aby zniknąć zaraz po obiedzie. Paryżanie przyznają, że ostrożność starej panny była usprawiedliwiona.

Istnienie kompleksu domów znajdujących się wzdłuż starego Luwru jest jednym z owych protestów przeciw zdrowemu rozsądkowi, jakimi Francja lubi uspokajać Europę co do dawki swej inteligencji, której nadmiar mógłby się wydać niebezpieczny. Może mamy w tym bezwiednie jakąś wielką myśl polityczną. Nie będzie z pewnością od rzeczy opisać tu ten stary kąt obecnego Paryża; później nikt nie zdoła go sobie wyobrazić; a wnuki nasze, oglądając zapewne Luwr ukończony, nie będą chciały uwierzyć, aby podobna ohyda mogła istnieć przez trzydzieści sześć lat w sercu Paryża, na wprost pałacu, gdzie trzy dynastie przyjmowały przez tych trzydzieści sześć lat kwiat Francji i Europy.

Pomiędzy bramą wiodącą od mostu Carrousel aż do ulicy du Musée każdy, kto bawi choćby tylko kilka dni w Paryżu, zauważy dziesiątki domów o zniszczonych fasadach, zostawionych przez właścicieli własnemu losowi. Jest to pozostałość dawnej dzielnicy, skazanej na zburzenie od chwili, gdy Napoleon postanowił wykończyć Luwr. Ulica Doyenne wraz ze swą ślepą odnogą – oto jedyna wewnętrzna komunikacja w tym ponurym i opuszczonym kompleksie domów, których mieszkańcy są chyba cieniem, gdyż nigdy nie widuje się nikogo. Bruk, o wiele niższy od poziomu ulicy du Musée, jest na wysokości bruku ulicy Froidmanteau. Domy te, pogrążone już w ziemi przez podniesienie placu, spowite są w wiekiusty cień rzucony przez wysokie galerie Luwru; ściany ich są szerniałe od wiatrów z północy. Ciemność, cisza, lodowaty chłód, piwniczne zapadnięcie gruntu, wszystko składa się na to, aby uczynić z owych domów rodzaj krypt, żywe groby. Kiedy się przejeżdża kabrioletem wzdłuż tej zamarłej połąci i zapuści się spojrzenie w ulicę Doyenne, duszę przechodzi mróz; człowiek pyta sam siebie: kto tam może mieszkać, co tam się musi dziać wieczór, o godzinie, gdy ta uliczka zmienia się w mordownię, gdzie zbrodnie Paryża, spowite płaszczem nocy, hulają swobodnie. Problem ten, przerażający sam z siebie, staje się okropny, kiedy się widzi, że te rzekome domy okolone są bagnem od strony ulicy Richelieu, oceanem nagromadzonych kamieni brukowych

od Tuileries, ogródkami i podejrzanymi kramami od strony galerii, a stepem ciosowych kamieni i gruzów od strony starego Luwru. Henryk III i jego ulubieńcy szukający swoich pludrów, kochankowie Małgorzaty szukający swoich głów muszą tańczyć sarabandy w blasku księżycy w tych pustkowiach, nad którymi góruje sklepienie zachowanej dotąd kaplicy, jak gdyby na znak, że religia katolicka, tak żywa we Francji, przetrwa wszystko. Oto już blisko czterdzieści lat Luwr krzyczy wszystkimi paszczami swoich wyszczerbionych murów, swoich ziejących okien: „Wytnijcie te brodawki z mojej twarzy!”. Uznano zapewne użyteczność tej mordowni i potrzebę usymbolizowania w sercu Paryża ścisłego współzycia nędzy i przepychu, które znamionuje królową stolic. Toteż te zimne ruiny, wśród których dziennik legitymistyczny zachorzał na dobijającą go chorobę, haniebne baraki z ulicy Musée, drewniane kramy, które je okalają, będą miały może dłuższe i pomyślniejsze życie niż życie trzech dynastii.

W roku 1823 niskie komorne w domach skazanych na zburzenie skusiło kuzynkę Bietkę do zamieszkania tam, mimo iż stan tej dzielnicy zmuszał ją do powrotu do domu przed zapadnięciem nocy. Przymus ten zgadzał się zresztą z jej wieśniaczym przyzwyczajeniem udawania się na spoczynek i wstawania ze słońcem, co daje chłopom znaczną oszczędność na świetle i opale. Mieszkała tedy w jednym z domów, którym zburzenie sławnego pałacu zajmowanego przez Cambaceresa otworzyło widok na plac.

W chwili gdy baron Hulot wysadził kuzynkę żony przed bramą, mówiąc „Do widzenia, kuzynko!”, młoda kobieta, drobna, szczupła, ładna, ubrana bardzo wykwintnie, woniejąca wyborną perfumą, przeciskała się między powozem a ścianą, aby również wejść do domu. Dama ta wymieniła bez żadnej specjalnej intencji spojrzenie z baronem, jedynie, aby się przyjrzeć krewniakowi współlokatorce; ale rozpustnik odczuł to żywe wrażenie, jakiego doznaje każdy paryżanin, kiedy spotka ładną kobietę, wcielającą, jak mówią entomologowie, jego *desiderata*. Zanim baron wsiadł do powozu, zaczął z umyślną powolnością naciągać rękawiczki, nadrabiając swobodą i zerkając na tę kobietę, której suknia falowała ponętnie na czym innym niż na owej okropnej i zdradzieckiej krynolinie! „Oto – powiadał sobie – śliczna kobietka, o której szczęściu chętnie bym pomyślał, gdyż ona dałaby mi je z pewnością”.

Kiedy nieznajoma znalazła się w sieni wiodącej do frontowych schodów, spojrzała spod oka, nie odwracając się prawie, ku bramie i ujrzała barona przykutego do miejsca podziwem, pożeranego pragnieniem i ciekawością. Jest to niby kwiat, którego wonią każda paryżanka oddycha z rozkoszą, kiedy go spotka na drodze. Są kobiety przywiązane do swych obowiązków, cnotliwe i ładne, które wracają do domu dość kwaśne, kiedy nie zbiorą swego bukietka w czasie przechadzki.

Młoda kobieta szybko wbiegła na schody. Niebawem otwarło się okno na drugim piętrze i ukazała się ona, ale w towarzystwie jakiegoś pana, którego łysina i niezbyt srogie spojrzenie zwiastowało męża: „Cóż to za sprytne i przemyślne stworzonka!... – pomyślał baron. – W ten sposób pokazuje mi, gdzie mieszka! To mi trochę za ostro, zwłaszcza w tej dzielnicy: miejmy się na baczności!”.

Wsiadłszy do milorda, baron podniósł głowę; wówczas mąż i żona cofnęli się szybko, jak gdyby jego twarz podziałała na nich podobnie jak mitologiczna głowa Meduzy.

„Można by przypuścić, że mnie znają – pomyślał baron. – Wtedy wszystko stałoby się jasne”.

W istocie, kiedy powóz skręcał w ulicę du Musée, baron wychylił się, aby ujrzeć nieznaną, i znalazł ją z powrotem przy oknie. Zawstydzona, że ją zaskoczono na oglądaniu powozu, w którym siedział jej wielbiciel, młoda kobieta cofnęła się żywo wstecz.

– Dowiem się przez Kozę, kto to taki – powiedział sobie baron.

Widok radcy stanu wywarł, jak się to okaże, głębokie wrażenie na parze małżonków.

– Ależ to baron Hulot, do którego departamentu należy moje biuro! – wykrzyknął mąż, odchodząc od okna.

– A więc stara panna z trzeciego piętra od podwórza, która żyje z tym młodym człowiekiem, jest jego kuzynką? To zabawne, że się dowiadujemy tego dopiero dziś, i to przypadkiem!

– Panna Fischer żyje z młodym człowiekiem!... – powtórzył urzędnik. – To plotki uliczne; nie przystoi wyrażać się tak lekko o kuzynce radcy stanu, który rządzi w ministerium jak u siebie w domu. Ot, chodźmy na obiad, czekam na ciebie od czterech godzin.

Śliczna pani Marneffe, naturalna córka hrabiego Montcornet, jednego z najsłynniejszych napoleończyków, wyszła za mąż, dzięki dwudziestu tysiącom posagu, za małego urzędniczka w ministerium wojny. Dzięki wpływom znakomitego generał-porucznika, marszałka Francji, przez ostatnie pół roku życia gryziپیórek ten doszedł nieoczekiwanie do stanowiska pierwszego sekretarza w swoim wydziale; lecz w chwili gdy miał zostać zastępcą naczelnika, śmierć marszałka podcięła nadzieje Marneffe'a i jego żony. Szczupłe środki imć pana Marneffe (w jego rękach stopniał już posag panny Walerii Fortin, częścią na zapłacenie starych długów, częścią na urządzenie domu), zwłaszcza zaś wymagania ładnej kobiety, nawykłej w domu matki do pewnego zbytku, którego nie miała ochoty się wyrzec, skłoniły to stađo do podjęcia oszczędności na komornym. Położenie ulicy du Doyenne, blisko ministerium wojny i centrum Paryża, skusiło państwa Marneffe; jakoż od czterech lat mieszkali w tym samym domu co panna Fischer.

Imć Jan Paweł Stanisław Marneffe należał do typu urzędników, którzy bronią się ogłupieniu dzięki tej pewnej sile, jaką daje zepsucie. Mały ten i chudy człowieczek, o rzadkich włosach i brodzie, a twarzy zawiędłej, bladej, bardziej zmęczonej niż pooranej zmarszczkami, z oczyma o powiekach lekko zaczerwienionych i zbrojnych w okulary, o niepoczesnej postawie i wzięciu, wyglądał tak, jak sobie wyobrażamy człowieka ściganego sądownie za występki przeciw obyczajom.

Mieszkanie tego stadła – typ wielu gospodarstw paryskich – przedstawiało owe zdradne pozory fałszywego zbytku, panującego w tylu domach. Meble w salonie kryte spleśniałym welwetem, gipsowe posągi udające florencki brąz, grubo wyrobione i niedbale pomalowane świeczniki z kryształami z lanego szkła, dywan, którego taniać wyjaśniła się poniewczasie ilością wprowadzonej przez fabrykanta i widocznej z czasem gołym okiem bawełny – wszystko, aż do firanek, z których można się było pouczyć, że świetność wełnianego adamaszku nie trwa ani trzech lat, wszystko piszczowało nędzą, jak żebrak w łachmanach u bramy kościoła.

Pokój jadalny, źle sprzątany przez jedną służącą, przypominał ohydne jadalnie prowincjonalnych hoteli; wszystko tam było brudne, źle utrzymane.

Pokój pana domu, o dość studenckim wyglądzie, mieścił jego kawalerskie łóżko i inne kawalerskie sprzęty, zużyte i plugawie jak on sam. Sprzątano tam raz na tydzień. Ten ohydny pokój, gdzie wszystko poniewierało się w nieładzie, gdzie stare skarpetki wisały na włosianych krzesłach o wzorze zarysowującym się dzięki warstwie kurzu, zwiastował człowieka, któremu dom jest obojętny, który żyje na mieście, w szulerni, w kawiarni lub jeszcze gdzie indziej.

Pokój pani stanowił wyjątek z plugawego niechlujstwa, jakie panowało w oficjalnej części mieszkania, gdzie firanki były wszędzie żółte od dymu i kurzu, gdzie dziecko, najwidoczniej bez opieki, rozkładało wszędzie swoje zabawki. Sypialnia i gotownia Walerii, położone w skrzydle, które łączyło, z jednej tylko strony, dom stojący od frontu z oficyną, przylegającą w głębi podwórza do sąsiedniej posesji, wykwintnie obite perkalikiem, z palisandrowymi meblami, pluszowym dywanem, pachniały ładną kobietą i, powiedzmy, niemal kobietą na utrzymaniu. Na aksamitnym obramieniu kominka wznosił się zegar modnego wówczas kształtu. Była tam dość dobrze zaopatrzona etażerka oraz żardiniery z chińskiej porcelany na bogatych podstawach. Łóżko, toaleta, szafa lustrzana, kozetka, nieodzowne drobiazgi świadczyły o starannym doborze lub o czujności na kaprysy mody.

Mimo że to wszystko pod względem bogactwa i wykwintu było trzeciorzędne, mimo że wszystko liczyło już trzy lata, nawet dandys nie mógłby tutaj nic zganić, chyba to, że ten zbytek trącił nieco mieszczaństwem. Brakowało tam zupełnie sztuki, dystynkcji płynących z rzeczy, które smak umie sobie przyswoić. Doktor nauk społecznych odgadłby kochanka z paru kosztownych cacek, które mogły pochodzić jedynie od tego półboga, zawsze nieobecnego, a zawsze obecnego w domu zamężnej kobiety.

Obiad, do którego zasiedli mąż, żona i dziecko, ten obiad spóźniony o cztery godziny, objaśniłby przesilenie finansowe, jakie przechodziła ta rodzina; stół bowiem jest najpewniejszym termometrem majątkowym paryskiego domu. Fasolowa zupa z włoszczyzną, kawałek cielęciny z kartoflami, podlany wodnistym sosem, półmisek fasoli, trochę wiśni pośledniego gatunku, wszystko podane i spożywane na wyszczerbionych talerzach i półmiskach, brzydkimi sztuczkami imitującymi srebro, byłże to obiad godny tej ślicznej kobiety? Baron byłby zapłakał, gdyby był tego świadkiem. Zmatowiałe karafki nie mogły zamaskować mętnego koloru wina branego na litry w narożnym sklepiku. Serwety były używane od tygodnia. Słowem, wszystko zdradzało nędzę bez godności, niedbałość o rodzinę zarówno u męża, jak u żony. Najlichszy obserwator powiedziałby sobie na ich widok, że te dwie osoby doszły do smutnego momentu, gdzie konieczność życia każe uciekać się do szczęśliwego szelmostwa.

Pierwsze zdanie zwrócone przez Walerię do męża wytłumaczy zresztą spóźnienie obiadu, który istnienie swoje zawdzięczał zapewne interesownemu oddaniu kucharki.

– Samanon nie chce twoich weksli inaczej niż na pięćdziesiąt procent i żąda jako rękojmi zabezpieczenia na pensji.

Nędza, utajona jeszcze u dyrektora departamentu i mająca za parawan dwadzieścia cztery tysiące pensji, nie licząc gratyfikacji, doszła u urzędnika do ostatniego okresu.

– Wzięłaś mojego dyrektora – rzekł mąż, spoglądając na żonę.

– Tak sędzę – odparła, nieprzestraszona tym wyrażeniem zaczerpniętym z gwary kulis.

– Co tu począć! – ciągnął Marneffe. – Gospodarz zajmie nam rzeczy jutro. Też pomyśl twojego ojca, aby umierać bez testamentu. Słowo daję, ci ludzie Cesarstwa mają się wszyscy za nieśmiertelnych jak ich cesarz.

– Biedny ojciec – rzekła – miał tylko mnie jedną, kochał mnie bardzo! Hrabina musiała spalić testament. W jaki sposób miałby zapomnieć o mnie, on, który dawał nam od czasu do czasu po kilka tysięcy franków naraz?

– Winni jesteśmy cztery raty komornego, tysiąc pięćset franków! Czy nasze meble warte są tyle? *That is the question!*, powiedział Szekspir.

– No, bywaj zdrów, mój kocie – rzekła Waleria, zjadłszy ledwie parę kąsków cielęciny, z której służąca wycisnęła wszystek sok na rzecz dzielnego żołnierza przybyłego z Algieru. – Na ciężkie choroby – mocne lekarstwa!

– Walerio, gdzie idziesz? – wykrzyknął Marneffe, zastępując żonie drogę.

– Do gospodarza – odparła, poprawiając loki pod zgrabnym kapelusikiem. – Ty postaraj się zbliżyć z tą starą panną, oczywiście, jeżeli naprawdę jest krewną dyrektora.

To, że mieszkańcy jednego i tego samego domu mogą nie wiedzieć nic o sobie wzajem, to fakt ilustrujący najlepiej gorączkowość paryskiego życia; ale łatwo pojąć, że urzędnik, który co dzień rano idzie do biura, wraca do domu na obiad i co wieczór wychodzi na miasto, oraz kobieta płynąca z prądem paryskich uciech mogą nie wiedzieć nic o życiu starej panny mieszkającej na trzecim piętrze w podwórzu, zwłaszcza kiedy ta stara panna ma obyczaje takie jak panna Fischer.

Pierwsza w całym domu Elżbieta schodziła rano po mleko, chleb i drzewo; nie odzywała się do nikogo i kładła się spać z kurami; nigdy żadnego listu ani wizyty, ani gawędy sąsiedzkiej. Było to jedno z owych istnień bezimiennych, entomologicznych, zdarzających się w niektórych domach, gdzie po upływie czterech lat dowiadujemy się na przykład, że istnieje na czwartym piętrze jakiś pan, który znał Woltera, Pilâtre de Roziera, Beaujona, Marcela, Molégo, Zofię Arnould, Franklina i Robespierre'a. Wiadomość o Elżbiecie Fischer zawdzięczali państwo Marneffe odosobnieniu dzielnicy i stosunkom swoim z odźwiernymi, a których życzliwość, wielce im potrzebną, starannie podtrzymywali. Otóż duma, małomówność i sztywność starej panny zrodziły w parze odźwiernych ów przesadny szacunek, ów chłód będący wyrazem utajonego niezadowolenia strony niższej. Odźwierni uważali się zresztą za równych co do rangi lokatorom płacącym za czynsz ledwie dwieście pięćdziesiąt franków. Jeżeli zwierzenia kuzynki Bietki, wydobyte przez Hortensję, były prawdą, każdy pojmie, że odźwierna mogła, w jakiejś poufalej gawędzie z Marneffe'ami, spotwarzyć pannę Fischer, myśląc, że ją tylko obmawia.

Stara panna, wzięwszy swój lichtarz z rąk czcigodnej pani Olivier, odźwiernej, wychyliła się, aby zobaczyć, czy na facjatce nad jej mieszkaniem świeci się. O tej godzinie, w lipcu, było w dziedzińcu tak ciemno, że stara panna nie mogła się położyć bez światła.

– Och, niech pani będzie spokojna, pan Steinbock jest u siebie, nawet nie wychodził z domu – rzekła złośliwie pani Olivier do panny Fischer.

Stara panna nie odpowiedziała nic. Została jeszcze chłopką pod tym względem, że drwiła sobie z gadań ludzi stojących z dala; i tak samo jak chłopci widzą tylko swoją wioskę, tak ona dbała jedynie o opinię małego kółka, w którym żyła. Udała się tedy śmiało nie do siebie, ale na to poddasze. Oto czemu: przy deserze schowała do woreczka nieco owoców i słodyczy dla swego chłopca i chciała mu je dać, zupełnie tak jak stare panny przynoszą jakąś łakotkę dla swego psa.

Zastała bohatera marzeń Hortensji pracującego przy blasku lampki, przed którą dla wzmocnienia światła stała karafka pełna wody. Blady i jasnowłosy młodzieniec siedział przy małym warsztacie założonymi narzędziami rytowniczymi, czerwonym woskiem, dłutkami, z grubsza ociosanymi drewnianymi krążkami, odlewami z miedzi. Był odziany w bluzę i trzymając w ręku małą grupę ulepioną z wosku, patrzył na nią z całą uwagą poety przy swej pracy.

– Masz, Waławie, przynoszę ci coś – rzekła, kładąc chusteczkę w rogu warsztatu.

Po czym dobyła ostrożnie ze swego rogu obfitości łąkocie i owoce.

– Bardzo pani dobra – odparł smutnym głosem biedny wygnaniec.

– To cię orzeźwi, mój biedny chłopczyño. Zamęczasz się, pracując w ten sposób, nie jesteś stworzony do tak ciężkiego rzemiosła. – Waław Steinbock spojrział na starą pannę ze zdziwieniem. – Jedźże – dodała żywo – zamiast przyglądać mi się jak którejś z twoich figurek, kiedy ci się uda.

Słyszając tę reprimendę, młody człowiek ocknął się ze zdziwienia; poznał ton swego niewieściego Mentora, którego tkliwość zdumiewała go zawsze, tak był przywykły do szorstkości. Mimo iż Steinbock miał dwadzieścia dziewięć lat, wyglądał, jak bywa u blondynów, na kilka lat mniej. Patrząc na tę młodość, której puszek starł się od nędzy i utrapień wygnania, w zestawieniu z tą ostrą i surową twarzą, można by pomyśleć, że natura omyliła się tu w rozdziale płci. Waław wstał, rzucił się na starą berżerkę w stylu Ludwika XV, krytą żółtym pluszem, jak gdyby miał zamiar spocząć. Stara panna wzięła renklodę i podała mu ją łagodnie.

– Dziękuję – odparł, biorąc owoc.

– Zmęczony? – spytała, podając drugą.

– Zmęczony nie pracą, ale życiem – odparł.

– Także gadanie! – odparła cierpko. – Czy nie masz dobrego ducha, który czuwa nad tobą? – dodała, podsuwając mu słodycze i patrząc z przyjemnością, jak je. – Widzisz, będąc na obiedzie u kuzynki, myślałam o tobie...

– Wiem – odparł, obejmując Elżbietę spojrzeniem zarazem pieszczotliwym i żalonym – że gdyby nie pani, nie żyłbym już od dawna; ale, droga pani, artyście trzeba rozrywek...

– A! Tuś mi, chłopczyku!... – przerwała, biorąc się pod boki i patrząc nań płonącymi oczyma. – Chcesz stracić zdrowie w ryszotkach Paryża, jak tylu robotników, którzy kończą w szpitalach! Nie, nie, zrób majątek, a kiedy będziesz miał rentę, pobawisz się, moje dziecko, będziesz miał z czego opłacać i doktorów, i przyjemności, ty ladaco!

Pod wpływem tej eksplozji, której towarzyszył przenikający go magnetyczny płomień spojrzenia, Wacław Steinbock spuścił głowę. Gdyby najzjadliwszy potwarca mógł widzieć początek tej sceny, poznałby, jak fałszywe były oszczerstwa rzucane przez Olivierów na pannę Fischer. Akcent, gesty i spojrzenia tych dwojga istot, wszystko świadczyło o czystości ich poufnego życia. Stara panna otaczała artystę tkliwością brutalną, ale iście matczyną.

Młody człowiek znosił z synowską uległością tę macierzyńską tyranię. Dziwny ten związek był wynikiem potężnej woli działającej bez przerwy na słaby charakter, na tę rozlewność właściwą Słowianom, która, zostawiając im ich bohaterską odwagę na polu bitwy, jest źródłem ich nieprawdopodobnego nieporządku życia, miękkości duchowej, której przyczyny powinny by zainteresować fizjologów, fizjologowie są bowiem dla polityki tym, czym entomologowie dla rolnictwa.

– A jeżeli umrę, nim zrobię majątek? – spytał melancholijnie Waclaw.

– Umrzeć? – wykrzyknęła stara panna. – Och, nie dam ci umrzeć. Mam w sobie życia za dwoje, przelałabym w ciebie swoją krew, gdyby było trzeba.

Słyszając ten gwałtowny i naiwny wykrzyk, Steinbock uczył, że wilgotnieją mu powieki.

– Nie smuć się, mój drogi Waciu – ciągnęła Elżbieta wzruszona. – Wiesz, kuzynce mojej, Hortensji, dosyć się spodobała, jak sądzę, twoja pieczętka. Czeka, dokażę tego, że dobrze sprzedasz grupę z brązu, spłacisz mnie i zrobisz, co zechcesz, będziesz wolny! No, śmieje się!

– Nigdy się nie wypłacę wobec pani – odparł biedny wygnaniec.

– A to czemu? – spytała wieśniaczka z Wogezów, biorąc sama przeciw sobie stronę artysty.

– Dlatego, że pani nie tylko mnie karmiła, gościła, ratowała w nędzy, ale jeszcze dała mi pani siłę!... Zrobiłaś mnie tym, czym jestem, byłaś często twarda, dręczyłaś mnie...

– Ja? – rzekła stara panna. – Zaczynajże znowu swoje głupstwa, swoją poezję, sztukę, wyłamuj palce, machaj rękami, mów o idealnym pięknie, o swoich wariactwach z Północy. Piękno niewarte praktyczności, a praktyczność to ja! Masz różne rzeczy w głowie? Wielka historia! I ja także mam różne rzeczy... Na co się zda to, co się ma w duszy, jeżeli się z tego nie umie nic wycisnąć? Ci, co nie mają w głowie nic, są w lepszym położeniu od tych, co mają: ci umieją dawać sobie radę... Zamiast myśleć o swoich bredniach, powinienes pracować. Coś zrobił od czasu, jak wyszłam?...

– Co powiedziała ładna kuzyneczka?

– Kto ci powiedział, że ładna? – spytała Bietka z akcentem, w którym wyła zazdrość tygrysicy.

– Ależ pani sama...

– To po to, aby zobaczyć, jaką minę zrobisz. Chciałoby ci się gonić za spódnicami? Lubisz kobiety, więc dobrze, lep je, przelewaj swoje pragnienia w brąz; na jakiś czas musisz się jeszcze obyć bez miłostek, a zwłaszcza bez mojej kuzynki, drogi chłopcze. Nie dla psa kielbasa; tej dziewczynie trzeba męża z sześćdziesięcioma tysiącami franków rocznie... i już się taki znalazł... O, łóżko nieposłane! – rzekła, zaglądając do drugiej izdebki – och, biedny kocie, zapomniałam o tobie...

Natychmiast krzepka dziewczyna zrzuciła rękawiczki, płaszczyk i kapelusz i przedzierzgnąwszy się w służącą, posłała zwinnie wąskie pensjonarskie łóżko, na którym sypiał artysta. To połączenie szorstkości, brutalności nawet i dobroci może wytłumaczyć władzę Bietki nad tym człowiekiem, z którego uczyniła swoją rzecz. Czyż życie nie pęta nas swoją kolejnością dobrego i złego? Gdyby Inflantczyk był spotkał panią Marneffe zamiast spotkać Elżbietę Fischer, byłby znalazł w swej opiekunce pobłażanie, które by go zaprowadziło na jakąś brudną i hańbiącą drogę i przywiodło do zguby. Z pewnością nie byłby pracował, nie zakwitłby w nim artysta. Toteż mimo że utyskiwał na cierpką chciwość starej panny, rozsądek szeptał mu, że lepsza jest ta żelazna ręka od gnuśnej i niebezpiecznej egzystencji, jaką wiodło wielu jego rodaków.

Oto przypadek, który stworzył to stadło kobiecej energii i męskiej słabości, przeciwieństwo podobno dosyć częste w Polsce.

W roku 1833 panna Fischer, która nieraz pracowała w nocy, kiedy miała dużo roboty, poczuła około pierwszej nad ranem silną woń kwasu węglowego i usłyszała śmiertelne jęki.

Zapach węgla i rżenie dochodziły z poddasza położonego nad dwiema izdebkami tworzącymi jej mieszkanie; odgadła, że to młody człowiek, świeżo osiadły w tym domu na facjatce, od trzech lat stojącej pustką, popełnił samobójstwo. Pobiegła szybko, wyważyła drzwi krzepkim lotaryńskim ramieniem i zastała lokatora wijącego się na połowym łóżku w śmiertelnych konwulsjach. Zgasiła piecyk. Przez otwarte drzwi napłynęło powietrze, wygnaniec był ocalony. Kiedy następnie Elżbieta ułożyła go jak chorego i kiedy usnął, mogła wyczytać przyczyny samobójstwa z zupełnej nagości dwóch mansardowych pokoików, posiadających tylko kulawy stół, połowe łóżko i dwa krzesła.

Na stole znalazła następujące pismo:

Nazywam się hrabia Wacław Steinbock, urodzony w Preli w Inflantach.

Nie trzeba nikogo obwiniać o moją śmierć; przyczyna mego samobójstwa mieści się w tych słowach Kościuszki: Finis Poloniae!

Stryjeczny wnuk dzielnego generała Karola XII nie chciał zebrać. Moja wątła budowa zamykała mi drogę do służby wojskowej, setka zaś talarów, z którą przybyłem z Drezna do Paryża, skończyła się. Zostawiam w szufladzie tego stołu dwadzieścia pięć franków na opłacenie zaległego komornego.

Ponieważ nie mam już rodziny, śmierć moja nie obchodzi nikogo. Proszę moich rodaków, aby nie oskarżali rządu francuskiego. Nie zgłosiłem się jako wygnaniec, o nic nie prosiłem, nie spotkałem żadnego z towarzyszy wygnania, nikt nie wie w Paryżu, że istnieję.

Umieram w wierze chrześcijańskiej. Niech Bóg przebaczy ostatniemu ze Steinbocków.

Wacław

Panna Fischer, niezmiernie wzruszona rzetelnością straceńca pamiętającego o komornym, otworzyła szufladę; w istocie ujrzała pięć pięciofrankówek.

– Biedny chłopiec! – wykrzyknęła. – I nikogo na świecie, kto by się nim zajął.

Zeszła do siebie, wzięła robotę i wróciła na facjatkę, aby czuwać przy łożu inflanckiego szlachcica. Można sobie wyobrazić zdziwienie Wacława, kiedy obudziwszy się, ujrzał kobietę przy swoim łóżku: zdawało mu się, że śni jeszcze. Dziergając złote epolety, stara panna przyrzekła sobie zająć się biednym chłopcem, któremu, w czasie gdy spał, przyglądała się z zachwytem. Kiedy młody hrabia zupełnie się rozbudził, Elżbieta starała się wlać weń otuchę i zaczęła go wypytywać, aby zbadać, jak mógłby zarobić na życie. Opowiedziawszy jej swoje dzieje, Wacław dodał, że posadę swoją zawdzięczał swemu uznanemu powołaniu do sztuki; zawsze miał zamiłowanie do rzeźby, ale – jak na człowieka bez środków – czas potrzebny na studia zdawał mu się nazbyt długi, czuł się zaś zbyt słaby w tej chwili, aby się chwycić jakiegoś rękodziela lub poświęcić się rzeźbie w wielkim stylu. To wszystko brzmiało dla Elżbiety Fischer po chińsku. Odpowiedziała nieszczęśnikowi, że Paryż nastęcza tyle sposobów, iż człowiek chcący pracować zawsze w nim wyżyje. Nigdy żaden zuch tu nie zginie, o ile posiada pewien zasób cierpliwości.

– Ja jestem tylko biedną dziewczyną, wieśniaczką, a przecie umiałam sobie zdobyć niezależność – dodała w końcu. – Niech pan posłucha. Jeżeli pan chce serio pracować, mam trochę oszczędności, będę panu pożyczala z miesiąca na miesiąc tyle, ile trzeba na życie, ale ściśle na życie, nie na hulanki, nie na włóczęgi! Można w Paryżu mieć obiad za dwadzieścia pięć su dziennie, śniadanie zaś będę panu przyrządzała razem z moim. Umebluję panu pokój i opłacę naukę, którą uznasz za potrzebną. Da mi pan formalne rewery na to, co wydam dla pana, i skoro zrobisz majątek, zwrócisz mi wszystko. Ale jeżeli nie zechcesz pracować, będę się uważała za zwolnioną ze wszystkiego i zostawię cię twemu losowi.

– Ach! – wykrzyknął nieszczęśliwy, który czuł jeszcze gorzyc pierwszego uścisku śmierci – wygnańcy wszystkich krajów wiedzą, co czynią dążąc do Francji, jak dusze czyścicowe do raju. Cóż za naród, w którym na każdym kroku znajdzie się pomoc, wszędzie szlachetne serca, nawet na takim poddaszu! Będziesz wszystkim dla mnie, droga moja dobrodziejko, będę twoim niewolnikiem! Bądź moją przyjaciółką – rzekł z pieszczotliwą wylewnością, tak łatwą u Polaków, co ściąga na nich dość niesłuszny zarzut służalstwa.

– Och, nie, jestem zbyt zazdrosna, unieszczęśliwiłabym pana; ale chętnie będę czymś w rodzaju kolegi – odparła Elżbieta.

– Och, gdyby pani wiedziała, jak żarliwie wzywałem jakiejś istoty, choćby miała być dla mnie tyranem, która by mnie zechciała wówczas, gdym się szamotał w tej pustyni Paryża! – ciągnął Waclaw. – Żałowałem Syberii, dokąd car by mnie posłał, gdybym wrócił!... Zostań moją opatrnością... Będę pracował, stanę się lepszy, niż jestem, mimo że ze mnie niezły chłopiec.

– Zrobisz wszystko, co ci powiem? – spytała.

– Tak!

– A więc biorę cię za swoje dziecko – rzekła wesoło. – Mam tedy chłopca, który wyszedł prosto z trumny. No, dalej! Zaczynamy. Idę na zakupy, ubierz się, zejdziesz do mnie na śniadanie, kiedy zapukam w sufit miotłą.

Nazajutrz odnosząc do fabryki robotę panna Fischer wywiedziała się o sprawy rzeźbiarstwa. Póty pytała, aż doszła istnienia zakładu Florent i Chanor, specjalnej pracowni, gdzie odlewa się i rzeźbi zbytkowne brązy oraz bogate srebrne zastawy. Zaprowadziła tam Steinbocka, aby go oddać jako ucznia, ale propozycja ta wywołała zdziwienie. Tam nie uczono rzeźby, ale wykonywano modele najslawniejszych artystów. Dzięki wytrwałości i uporowi starej panny udało się jej wreszcie umieścić swego protegowanego jako rysownika ornamentów.

Steinbock nauczył się szybko modelować ornamenty, wymyślał nowe, miał talent. W pięć miesięcy po ukończeniu praktyki snycerskiej poznał słynnego Stidmanna, głównego rzeźbiarza pracowni Florent. Po dwudziestu miesiącach Wacław umiał więcej od swego mistrza; ale w półtrzecia roku oszczędności starej panny, gromadzone frank po franku przez szesnaście lat, wyczerpały się zupełnie. Dwa tysiące franków w złocie, suma, którą miała umieścić na dożywocie, zamieniona na co? Na rewers wystawiony przez Polaka. Toteż Elżbieta pracowała w tej chwili jak za młodych lat, aby nastarczyć wydatkom artysty. Kiedy ujrzała, że jej został w ręku papier zamiast złota, straciła głowę i poszła się poradzić pana Rivet, który od piętnastu lat był doradcą i przyjacielem swojej pierwszej i najzdolniejszej robotnicy. Dowiedziawszy się o całej przygodzie, oboje państwo Rivet połajali Elżbietę, potraktowali ją jak wariatkę, wymyślali na emigrantów, których knowania dla odzyskania ojczyzny narażają bezpieczeństwo handlu i pokój za wszelką cenę. Zarazem namówili starą pannę, aby się postarała o to, co w handlu nazywa się pokryciem.

– Jedyłą rękojmią, jaką ten chłopak może pani dać, to jego wolność – rzekł pan Rivet.

Pan Achilles Rivet był sędzią trybunału handlowego.

– A to nie jest żart dla cudzoziemców – dodał. – Francuz siedzi pięć lat w więzieniu, po czym wychodzi, co prawda nie zapłaciwszy długów; może go bowiem do tego zmusić już tylko jego sumienie, które go zawsze zostawia w spokoju; ale cudzoziemiec nie wychodzi z więzienia nigdy. Daj mi pani swój weksel, przekaz go pani na nazwisko mego buchaltera, on zaprotestuje go, każe ścigać was oboje, uzyska wobec obu stron prawomocny wyrok orzekający przymus osobisty, kiedy zaś wszystko będzie załatwione, wystawi pani kontrrewers. Dzięki tej ostrożności procenty pani będą biegły i będzie pani wciąż miała nabity pistolet na swego Polaka!

Stara panna zgodziła się, uprzedziła swego pupila, aby się nie niepokoił tą procedurą mającą na celu jedynie zabezpieczenie pewnego lichwiarza, który godzi się zaliczyć im nieco pieniędzy. Sztuczka ta była arcydziełem pomysłowości sędziego trybunału handlowego. Naiwny artysta, ślepo ufający swej dobrodziejce, zapalił fajkę wezwaniem sądowym, palił bowiem, jak wszyscy ludzie, którzy potrzebują uspić swoje zgryzoty lub swoją energię. Pewnego dnia Rivet pokazał panie Fischer plik aktów i rzekł:

– Oto masz pani Wacława Steinbock na własność, spętanego tak dobrze, iż w ciągu doby możesz go wpakować do Clichy na resztę dni jego.

Godny ten i uczciwy sędzia handlowego trybunału uczył w dniu tym zadowolenie, jakie daje pewność, iż się spełniło zły dobry uczynek. Dobroczytność ma w Paryżu tyle postaci, iż to szczególne wyrażenie odpowiada jednej z jej odmian. Skoro raz zaplątano Inflantczyka w sidła procedury handlowej, chodziło o wydobycie zapłaty, gdyż poważny przemysłowiec uważał Waława Steinbocka za oszusta. Serce, uczciwość, poezja były w jego pojęciu katastrofą dla handlu. W interesie biednej Fischerki, którą, wedle jego wyrażenia, nabrał jakiś Polaczek, Rivet zaszedł do bogatych fabrykantów, z którymi Steinbock właśnie się rozstał. Otóż Stidmann, który przy pomocy cytowanych już mistrzów paryskiego złotnictwa doprowadził francuską sztukę do doskonałości pozwalającej jej walczyć z Florentczykami i Odrodzeniem, Stidmann znajdował się właśnie w gabinecie Chanora, kiedy szmuklerz przyszedł tam po informacje o jakimś Steinbocku, polskim emigrancie.

– Kogo pan nazywa jakimś Steinbockiem? – wykrzyknął drwiąco Stidmann. – Byłżeby to przypadkiem ów młody Inflantczyk, który był moim uczniem? Dowiedz się pan, że to wielki artysta. Powiadają, że ja się mam za diabła; otóż ten biedny chłopak nie wie, że on może zostać bogiem...

– A! – rzekł Rivet z zadowoleniem.

Po czym dodał:

– Mimo że pan przemawiasz dość bezceremonialnie do człowieka, który ma zaszczyt być sędzią trybunału Sekwany...

– Wybacz, konsulu!... – przerwał Stidmann, salutując dłonią.

– Jestem bardzo rad z tego, co mi pan mówi – ciągnął sędzia.

– Zatem ten młodzieniec będzie mógł zarabiać?...

– Z pewnością – rzekł stary Chanor – ale musi pracować; byłby już coś uciulał, gdyby był został u nas. Ale cóż! Artyści mają wstręt do zależności.

– Mają poczucie swojej wartości i swojej godności – odparł Stidmann. – Nie potępiam Wacława, że chce iść sam, że stara się wyrobić sobie imię i zostać wielkim człowiekiem, to jego prawo! A jednak wiele straciłem na tym, że mnie opuścił.

– Otóż to – wykrzyknął Rivet – oto pretensje młodych ludzi zaledwie wyklutych z jajka... Ale róbcie wprzód majątek, a sławy szukajcie potem!

– Od zbierania talarów psuje się ręka! – odparł Stidmann.
– To sława powinna nam przynieść majątek.

– Cóż pan chce! – odparł Rivetowi Chanor. – Nie można ich uwiązać...

– Przegryźliby uzdę – odparł Stidmann.

– Wszyscy ci panowie – rzekł Chanor, spoglądając na Stidmanna – mają tyleż kaprysów, co i talentu. Wydają masę, gonią za dziewczętami, wyrzucają pieniądze przez okno, nie mają czasu na pracę, zaniedbują zamówienia. Musimy się udawać do rzemieślników niewartych im rzemyska rozwiązać, a zbijających majątek. I potem skarżą się na ciężkie czasy, chociaż przy odrobinie wytrwałości mieliby góry złota...

– Przypomina mi pan – rzekł Stidmann – owego starego Lumignon, księgarza sprzed rewolucji, który mawiał: „Ha! Gdybym mógł trzymać Monteskiusza, Woltera, Russa bez grosza u siebie na strychu i schować im pludry do komody, jakież by mi oni pisali książeczki, na których zrobiłbym majątek!”. Gdyby to można było fabrykować piękne dzieła jak gwoździe, robiłby je lada posłaniec!... Daj mi pan tysiąc franków i siedź cicho!

Zacny Rivet wrócił do domu uradowany ze względu na biedną pannę Fischer, która bywała u niego co poniedziałek na obiedzie i którą właśnie spodziewał się zastać.

– Jeżeli pani potrafi zmusić go do pracy – rzekł – będziesz bardziej szczęśliwa niż roztropna, odzyskasz bowiem wszystko, kapitał, koszty i procenty. Ten Polak ma talent, może zarobić na życie, ale zamknij mu pod klucz spodnie i trzewiki, nie pozwól chodzić do kawiarni i gonić za dziewczętami z półświatka, trzymaj go na smyczy. Inaczej rozwłóczy ci się, a gdybyś wiedziała, co artyści nazywają włóczęgą! Okropne rzeczy! Dowiedziałem się, że przy tym trybie tysiąc franków pęka na jeden dzień!

Epizod ten miał straszliwy wpływ na pożycie Wacława i Elżbiety; Dobrodziejka zaprawiała chleb wygnańca piołunem wymówek, ilekroć widziała, że fundusz jej jest zagrożony, a często uważała go za przepadły. Dobra matka stała się macochą, łąjała biednego chłopca, dręczyła go, wymawiała, że pracuje zbyt wolno, że obrał sobie za trudne rzemiosło. Nie mogła uwierzyć, aby modele z czerwonego wosku, figurynki, wzory ornamentów, szkice mogły mieć jaką cenę. W chwilę potem wyrzucała sobie własną surowość, próbowała zatrzeć jej ślady troskliwością, słodyczą i dogadzaniem. Biedny młodzian, doświadczony niewolą u tej jędzy, pod ciężką ręką góralki z Wogezów, tym milej odczuwał te pieśzcoty oraz tę macierzyńską troskliwość dbającą jedynie o fizyczną, materialną stronę życia. Był jak kobieta, która wybacza całotygodniowe znęcanie się za cenę pieśzczot chwilowego pojednania. W ten sposób panna Fischer zdobyła nad tą duszą zupełną władzę. Namietność panowania, będąca w sercu starej panny w zarodku, rozwinęła się szybko. Mogła zaspokoić swoją dumę i swoją potrzebę działania: czyż nie miała istoty będącej jej własnością, którą mogła łąjać, powodować nią, głaskać, uszczęśliwiać, nie obawiając się współzawodnictwa? Dobra i zła strona jej charakteru zarówno mogły się rozwinąć. Jeżeli czasami dręczyła biednego artystę, miała w zamian delikatność przypominającą wdziękiem polne kwiaty: cieszyła się

widząc, że mu niczego nie brak, byłaby oddała życie za niego; Waclaw był tego pewien. Jak wszystkie piękne dusze, biedny chłopiec zapomniał o złu, o wadach tej dziewczyny, która zresztą dla usprawiedliwienia swej dzikości opowiedziała mu swoje całe życie; pamiętał jedynie jej dobrodziejstwa. Pewnego dnia stara panna, przywiedziona do rozpaczty tym, że Waclaw buja po mieście zamiast pracować, zrobiła mu scenę.

– Należysz do mnie! – rzekła. – Gdybyś był uczciwy, starałbyś się mi oddać jak najrychlej to, coś mi winien.

Szlachcic, w którym zakipiła krew Steinbocków, zbladł.

– Mój Boże – rzekła – wkrótce będziemy mieli na życie już tylko tych trzydzieści su, które ja zarabiam, ja, biedna dziewczyna...

Para biedaków, poniesiona szermierką na słowa, doszła do cięższych zarzutów. I wtedy biedny artysta pierwszy raz wymówił swej dobrodziejce, że go wyrwała śmierci, aby mu narzucić życie galernika, gorsze od nicości, która przynajmniej daje odpoczynek. I wspomniął o ucieczce.

– Uciec! – wykrzyknęła stara panna. – Och, pan Rivet miał słuszność!

I wyłożyła jasno Polakowi, jak w ciągu doby może go wpakować do więzienia na resztę życia. Było to uderzenie maczugą. Steinbock popadł w czarną melancholię i zupełnie zaniemówił. Nazajutrz w nocy Bietka, usłyszawszy przygotowania do samobójstwa, pobiegła do swego pensjonariusza, podała mu wszystkie akty i formalne pokwitowanie.

– Masz, moje dziecko, daruj mi! – rzekła z wilgotnymi oczyma. – Bądź szczęśliwy, opuść mnie, zanadto cię dręcę; ale powiedz mi, że pomyślisz czasem o biednej dziewczynie, która ci dała możliwość zarobienia na życie. Cóż chcesz! jeżeli bywam zła, to z powodu ciebie: mogę umrzeć, cóż się z tobą stanie beze mnie?... Oto przyczyna niecierpliwości, z jaką chciałabym, abyś zaczął wyrabiać przedmioty dające się sprzedać. Nie upominam się o moje pieniądze dla siebie, bądź pewny!... Boję się twego lenistwa, które nazywasz marzeniem, twoich natchnień pożerających tyle godzin, przez które patrzysz w niebo; chciałabym, abyś się włożył do pracy.

Powiedziała to z akcentem, spojrzeniem, łzami, gestem, które poruszyły do głębi szlachetnego artystę; objął swą dobrodziejkę, przycisnął do serca i ucałował w czoło.

– Zachowaj te papiery – odparł prawie wesoło. – Po co byś mnie miała wsadzać do więzienia? Czyż nie jestem uwięziony tutaj wdzięcznością?

Temu epizodowi ich wspólnego i tajemnego życia, zasłemu pół roku wprzód, zawdzięczał Wacław stworzenie trzech rzeczy: pieczętki, którą zachowała Hortensja, grupy wystawionej u antykwarza oraz cudownego zegara, który kończył w tej chwili, wkręcając ostatnie śrubki.

Zegar ten przedstawiał dwanaście godzin, przepięknie wyobrażonych przez dwanaście postaci kobiecych porwanych tańcem o tak szalonej szybkości, iż trzy amorki, wdrapawszy się na stos kwiatów i owoców, zaledwie zdołały zatrzymać w biegu godzinę północy, której rozdarta chlamida została w ręku najśmielszego z nich. Grupa ta spoczywała na okrągłej podstawie o cudownym ornamencie, na którym kłębiły się fantastyczne zwierzęta. Godzina jawiła się w potwornych ustach rozwartych ziewaniem. Każdą godzinę uzupełniały symbole, nader szczęśliwie pomyślane i wyrażające zwyczajne jej zajęcia.

Łatwo teraz pojąć bezgraniczne przywiązanie, jakie powzięła panna Fischer do swego Inflantczyka: chciała go widzieć szczęśliwym, a widziała, jak ginie i więdnie na swoim poddaszu.

Można zrozumieć przyczynę tego okropnego położenia. Lotarynka czuwała nad tym dzieckiem Północy z czułością matki, zazdrością kobiety a czujnością smoka; rozwijała starania, aby mu uniemożliwić wszelki wybryk, wszelką hulankę, zostawiając go stale bez grosza.

Byłaby chciała zachować swą ofiarę i swego towarzysza dla siebie, trzymając go w cnocie z musu; nie rozumiała zaś barbarzyństwa tego szalonego zamiaru, ponieważ ona sama nawykła do wszelkich wyrzeczeń. Kochała Steinbocka na tyle, aby nie chcieć wyjść za niego, a zanadto, aby go ustąpić innej kobiecie; nie umiała się zdobyć na to, aby być tylko jego matką, a miała się za wariatkę, kiedy jej przychodziła na myśl inna rola. Te sprzeczności, ta okrutna zazdrość, to szczęście posiadania mężczyzny dla siebie, wszystko to zanadto wstrząsnęło sercem tej dziewczyny. Zakochana naprawdę od czterech lat, pieściła szaloną nadzieję przedłużenia tego życia bez sensu i bez wyjścia, którego trwanie musiało sprowadzić zgubę jej przybranego dziecka. Ta walka instynktów i rozsądku czyniła ją niesprawiedliwą i despotyczną. Mściła się na tym młodym człowieku za to, że nie była ani młoda, ani piękna, ani bogata; po czym, po każdym takim odwecie, uznając w duchu swoje winy, dochodziła do pokory i tkliwości bez granic. Nie umiała składać ofiar swojemu bożyszczu, nie wypisawszy wprzód na nim swej władzy ciosami topora. Słowem, była to „Burza” Szekspira na wspak: Kaliban panem Ariela i Prospera. Co się zaś tyczy tego nieszczęśliwego młodzieńca, wysoko bujającego myślą, skłonnego do zadumy i lenistwa, w oczach jego – niby u lwów zamkniętych w klatce w botanicznym ogrodzie – odbijała się owa pustynia, którą opiekunka czyniła w jego

duszy. Wytężona praca, jakiej Elżbieta zażądała od niego, nie zaspokajała potrzeb jego serca. Nuda jego stawiała się chorobą fizyczną; obumierał, nie umiejąc wyprosić, a niezdolny zdobyć pieniędzy na jakieś konieczne nieraz szaleństwo. Czasami, w dniach wznowionej energii, gdyż poczucie własnej niedoli wzmagало jego rozpacz, patrzył na Elżbietę, tak jak spragniony wędrowiec, przebywając kamieniste zbocze, musi patrzeć na słonawą wodę. Elżbieta z rozkoszą syciła się tymi gorzkimi owocami ubóstwa oraz tego osamotnienia w Paryżu. Toteż przewidywała ze zgrozą, że lada namiętność wydrze jej niewolnika. Niekiedy tyranią swoją i wymówkami zmuszając tego poetę, aby się stał wielkim rzeźbiarzem małych rzeczy, wyrzucała sobie, że mu dostarczyła sposobu obywania się bez niej.

Nazajutrz trzy te egzystencje, tak rozmaicie a tak istotnie nieszczęśliwe – zropaczona matka, małżeństwo Marneffe i biedny wygnaniec – miały odczuć wpływ naiwnego uczucia Hortensji oraz osobliwego rozwiązania, jakie czekało nieszczęśliwą namiętność barona do Józefy.

W chwili gdy radca stanu miał wejść do Opery, zatrzymała go ciemność panująca w świątyni przy ulicy le Pelletier; nie ujrzał ani żandarmów, ani świateł, ani służby, ani zapór do powstrzymywania tłumu. Spojrzył na afisz i ujrzał na nim białą opaskę z tym sakramentalnym napisem:

Z POWODU NIEDYSPOZYCJI PRZEDSTAWIENIE SIĘ NIE ODBĘDZIE

Natychmiast pomknął do Józefy, która, jak wszyscy artyści Opery, mieszkała w sąsiedztwie, przy ulicy Chauchat.

– Czego pan sobie życzy? – spytał odźwierny ku wielkiemu zdumieniu barona.

– Jak to, nie znacie mnie? – odparł baron zaniepokojony.

– Owszem, panie baronie, właśnie dlatego, że mam zaszczyt znać pana, zapytuję: Dokąd pan idzie?

Śmiertelny dreszcz wstrząsnął baronem.

– Co się stało? – spytał.

– Gdyby pan baron zaszedł do apartamentu panny Mirah, zastałby tam pannę Heloizę Brisetout, państwa Bixiou, Leona de Lora, Lousteau, Vemisset, Stidmanna oraz kilka kobiet, od których aż jedzie paczulą... oblewają nowe mieszkanie...

– A gdzie jest?

– Panna Mirah?... Nie wiem, czy powinienem powiedzieć panu baronowi.

Baron wsunął w rękę odźwiernego dwie pięciofrankówki.

– A więc mieszka obecnie przy ulicy Ville-l'Evêque, w pałacyku, który jej ofiarował podobno ksiązę d'Hérouville – z cicha odpowiedział odźwierny.

Zapytawszy o numer pałacyku, baron wziął dorożkę i stanął przed jednym z owych nowoczesnych domów, gdzie począwszy od gazowej latami zbytek przebija we wszystkim.

Baron, ubrany w granatowy frak, biały krawat, białą kamizelkę, nankinowe spodnie, lakierowane trzewiki i obficie ukrochmalony żabot, uszedł w oczach stróża tego Edeilu za jakiegoś zapóźnionego gościa. Postawa, chód, wszystko usprawiedliwiało to mniemanie.

Odźwierny pociągnął dzwonek, na którego odgłos lokaj zjawił się w przedsionku. Lokaj ten, nowy, jak i cały pałacyk, wpuścił barona, który rzekł z napoleońskim gestem:

– Oddasz ten bilet pannie Józefie...

Patito rozejrzał się machinalnie dokoła siebie; ujrzał, że znajduje się w saloniku pełnym rzadkich kwiatów; umeblowanie tego pokoju musiało kosztować ze dwadzieścia tysięcy franków. Lokaj wrócił, prosząc barona, aby wszedł do salonu i zaczekał, aż goście wstaną od stołu i przejdą na kawę.

Mimo iż baron znał zbytek Cesarstwa, z pewnością jeden z najświetniejszych i, choć nietrwały, pochłaniający szalone sumy, stanął olśniony, oszołomiony w tym salonie. Trzy okna wychodziły na czarujący ogród, jeden z tych ogrodów sporządzonych w ciągu miesiąca dzięki nawiezionej ziemi, przesadzonym kwiatom, o trawnikach uzyskanych chyba dzięki chemicznym procederom. Podziwiał nie tylko ozdoby, złocenia, najkosztowniejsze rzeźby w stylu zwanym „Pompadour”, wspaniałe materie, które lada kramarz mógł zamówić i uzyskać za cenę złota, ale także i to, co jedynie książęta mają możliwość uzyskać, znaleźć, opłacić i ofiarować: dwa obrazy Greuze'a i dwa Watteau, dwie głowy Van Dycka, dwa krajobrazy Ruysdaela, dwa Guaspra, jednego Rembrandta, Holbeina, Murilla i Tycjana, dwa Teniersy i dwa Metzu, Van Huysuma i Abrahama Mignon, słowem, dwieście tysięcy franków w obrazach, wspaniałe oprawnych. Ramy były niemal tyleż warte, co płótna.

– A, rozumiesz teraz, staruszkule? – rzekła Józefa.

Wszedłszy na palcach ukrytymi drzwiczkami, stąpając po perskich dywanach, zaszła swego wielbiciela w owym niemym osłupieniu, kiedy w uszach dzwoni tak silnie, że człowiek nie jest w stanie nic usłyszeć prócz podzwonnego zwiastującego nieszczęście.

Miano staruszka, zwrócone do osobistości tak wysoko położonej, maluje doskonale zuchwalstwo, z jakim te istoty ściągają do siebie najwyższe stanowiska. Baron stał wrosły w ziemię. Józefa, cała w żółtym i białym, tak cudnie przybrała się na tę uroczystość, że wśród tego szalonego zbytku mogła jeszcze błyszczeć jako najrzadszy klejnot.

– Czy to nie piękne? – spytała. – Książę wpakował tu cały zysk spółki handlowej, której akcje sprzedał wysoko na giełdzie. Ma głowę książątka, co? Jedyne ci dawni wielcy panowie umieją tak zamieniać torf na złoto. Przed obiadem rejent przyniósł mi do podpisania kontrakt nabycia wraz z pokwitowaniem ceny kupna. Są tam sami wielcy panowie: d'Esgrignon, Rastignac, Maksym, Lenoncourt, Verneuil, Łaginski, Rochefide, La Palférine, z finansów du Tillet i Nucingen wraz z Antonią, Malagą, Karabiną i panią Schontz; wszyscy współczuli z twoim nieszczęściem. Tak, mój staruszk, jesteś zaproszony, ale pod warunkiem, że wypijesz z miejsca zawartość dwóch butelek węgierskiego, szampana i madery, aby się dociągnąć do ich poziomu. Jesteśmy tu, mój drogi, wszyscy zanadto wstawieni, aby można było coś dziś przedstawić w Operze; mój dyrektor sam jest pijany jak bela!

– O Józefo!... – jęknął baron.

– Jakie to głupie, te wyjaśnienia! – przerwała z uśmiechem.

– Powiedz, czy wart jesteś tych sześciuset tysięcy franków, które kosztuje pałacyk wraz z urządzeniem? Czy możesz mi przynieść obligację na trzydzieści tysięcy renty, które ksiązę ofiarował mi dziś w papierowej torebce na karmelki?... To ładny pomysł, co?

– Cóż za przewrotność! – rzekł radca stanu, który w tej chwili z wściekłości byłby prehandlował diamenty żony, aby zastąpić księcia d'Hérouville bodaj na dobę.

– Przewrotność to moje rzemiosło! – odparła. – A, ty z tego tonu bierzesz? Czemuś ty nie wymyślił spółki handlowej? Mój Boże, mój biedny malowany kocie, powinieneś mi podziękować: opuszczam cię w chwili, gdy mógłbyś schrupać ze mną przyszłość swojej żony, posag córki... A, płaczesz! Cesarstwo ginie!... Pokłon Cesarstwu.

Przybrała tragiczną pozę i rzekła:

– Hulotem ciebie zowią! Nie znam cię już, starcze!10

I wyszła.

Przez uchylone drzwi wpadł jak błyskawica strumień światła wraz z rosnącym hałasem orgii oraz woniami zdradzającymi pierwszorzędną ucztę.

Śpiewaczka wyjrzała jeszcze przez niedomknięte drzwi, a widząc Hulota wrosłego w ziemię, tak jakby był z brązu, podeszła parę kroków ku niemu.

10 Trawestacja zdania ze sceny III aktu II tragedii Corneille'a „Horacjusze”.

– Panie baronie – rzekła – wszystkie graty z ulicy Chauchat ustąpiłam Heloizce Brisetout, tej od Bixiou; jeżeli zechce się pan tam upomnieć o swoją włóczkową szlafmycę, chłopca do butów, gorset i czernidło na faworyty, zastrzegłam sobie, że mają być wydane.

Okrutne to szyderstwo sprawiło, iż baron wyszedł, tak jak Lot musiał wyjść z Gomory, ale nie obejrzał się jak pani Lotowa.

Hulot wrócił do domu pieszo, wściekły, mówiąc sam do siebie; zastał rodzinę przy wiście po dwa su, tak jak ją opuścił. Na widok męża pani Hulot pomyślała, że stało się jakieś okropne a haniebne nieszczęście; oddała karty Hortensji i pociągnęła Hulota do tego samego saloniku, gdzie przed kilku godzinami Crevel przepowiedział jej najhaniebniejszą agonię nędzy.

– Co tobie? – spytała przerażona.

– Och! Przebaczyć, ale pozwól, niech ci opowiem te ohydy. Ział wściekłością przez kilka minut.

– Ależ mój drogi – odparła bohatercko biedna kobieta – takie istoty nie wiedzą, co miłość! Ta czysta i oddana miłość, na jaką ty zasługujesz; w jakiż sposób mógłbyś ty, taki rozumny, mieć pretensje walczyć z milionem?

– Droga Adelino! – wykrzyknął baron, obejmując żonę i przyciskając ją do serca.

Słowa baronowej były balsamem na krwawiącą ranę miłości własnej.

– Oczywiście, odejmij księciu d'Hérrouville majątek, a mając do wyboru między nami dwoma, ona by się nie wahała! – rzekł baron.

– Mój drogi – podjęła Adelina, czyniąc ostatni wysiłek – skoro koniecznie trzeba ci kochanek, czemu nie bierzesz, jak Crevel, kobiet nie tak drogich, w klasie, gdzie długo zadowolają się małym? Wszyscy zyskalibyśmy na tym. Pojmuję potrzebę, ale zupełnie nie rozumiem próżności...

– Och! Jaka z ciebie dobra, zacna kobieta – wykrzyknął.
– Ja jestem stary szaleniec, niewart mieć za towarzyszkę takiego jak ty anioła.

– Jestem po prostu Józefiną mego Napoleona – odparła z odcieniem melancholii.

– Józefina niewarta była ciebie – rzekł. – Chodź, zagram wista z bratem i dziećmi; muszę się włożyć do roli ojca rodziny, trzeba wydać za mąż Hortensję i pogrzebać kobieciarza...

Dobrodusznosc ta wzruszyła biedną Adelinę tak silnie, iż rzekła:

– Ta istota ma bardzo liche gusta, aby przełożyć kogokolwiek nad mego Hektora. Och, ja bym cię nie ustąpiła za wszystkie skarby świata. Jak można cię rzucić, kiedy się ma szczęście być kochaną przez ciebie!...

Spojrzenie, jakim baron wynagrodził fanatyzm żony, utrwaliło ją w przeświadczeniu, że łagodność i uległość są najpotężniejszą bronią kobiety. Myliła się w tym. Szlachetność uczuć posunięta poza pewną granicę daje wyniki podobne jak największe występki. Bonaparte został cesarzem, skartaczowawszy lud o dwa kroki od miejsca, gdzie Ludwik XVI stracił tron i głowę, dlatego że nie chciał pozwolić na przelanie krwi pana Sauce.

Nazajutrz Hortensja, która włożyła pieczętkę Wacława pod poduszkę, aby się z nią nie rozstawać nawet we śnie, ubrała się wcześniej i poprosiła ojca, aby zaszedł do ogrodu, skoro tylko wstanie.

Około wpół do dziesiątej ojciec, ulegając prośbom córki, podał jej ramię i udali się razem wzdłuż Wybrzeża, przez most Królewski na plac du Carrousel.

– Udawajmy, że tak sobie idziemy spacerem – rzekła Hortensja, wychodząc przez furkę, aby przebyć ten olbrzymi plac.

– Spacerem tutaj?... – spytał drwiąco ojciec.

– Niby to idziemy do muzeum, a tam – rzekła, ukazując budy drewniane wsparte o ściany domów tworzących kąt prosty z ulicą Doyenne – o tam, są handlarze starożytności, obrazów...

– Twoja kuzynka tam mieszka...

– Wiem; ale nie trzeba, aby nas widziała.

– A co chcesz zrobić? – spytał baron, znalazłszy się o trzydzieści mniej więcej kroków od okien pani Marneffe, o której nagle sobie przypomniał.

Hortensja zaprowadziła ojca przed okno jednego ze sklepów położonych na rogu grupy domów biegnących wzdłuż galerii starego Luwru, naprzeciw pałacu Nantejskiego. Weszła do sklepu; ojciec został na ulicy, wpatrując się w okna pięknej damulki, która poprzedniego dnia oczarowała serce starego adonisa, jakby chcąc złagodzić ranę, którą miał otrzymać niebawem. Nie mógł się wstrzymać od myśli o tym, aby wprowadzić w czyn radę żony.

„Zniżmy się do mieszczanek – powiedział sobie, rozpamiętując doskonałości i powaby pani Marneffe. – Przy tej kobiecie rychło zapomniabym o interesownej Józefie”.

Oto więc co się działo równocześnie w sklepie i przed sklepem.

Wpatrując się w okna swego nowego ideału, baron spostrzegł męża, który sam sobie czyszcząc surdut, stał widocznie na czatach i zdawał się kogoś oczekiwać na placu. W obawie, że ktoś go może spostrzec i poznać potem, zakochany baron obrócił się plecami do ulicy Doyenne, ale trzymając się nieco bokiem, aby móc w nią zerkać od czasu do czasu. W takim właśnie momencie spotkał się niemal oko w oko z panią Marneffe, która wracając z Wybrzeża, skręcała, aby się dostać do domu. Waleria wstrząsnęła się, spotykając zdziwiony wzrok barona, i odpowiedziała nań nieśmiałym spojrzeniem skromnisi.

– Śliczna kobieta! – wykrzyknął baron. – Można by dla niej zrobić wiele szaleństw!

– Panie – odparła, odwracając się jak kobieta, która zdobywa się na nagłe postanowienie – wszak pan jesteś baron Hulot, nieprawdaż?

Baron, coraz bardziej zdumiony, odpowiedział gestem potakującym.

– A więc skoro przypadek sprawił, iż oczy nasze spotkały się dwukrotnie, i ponieważ miałam szczęście pana zaintrygować lub zainteresować, powiem panu, że zamiast czynić szaleństwa, powinien być pan uczynić sprawiedliwość... Los mego męża zależy od pana.

– Jak to pani rozumie? – spytał dwornie baron.

– Jest urzędnikiem w pańskim departamencie, oddział pana Lebrun, biuro pana Coquet – odparła z uśmiechem.

– Najchętniej gotów jestem, pani... pani...?

– Pani Marneffe.

– Moja śliczna pani Marneffe, popełnić nawet niesprawiedliwość dla pani pięknych oczu... Mam w tym domu kuzynkę, odwiedzę ją w tych dniach, najprędzej, jak będę mógł, niech mi pani przedłoży tam swoje życzenia.

– Niech pan wybaczy moją śmiałość, panie baronie, ale zrozumie pan, czemu odważyłam się... jestem bez oparcia.

– A! a!

– Och, panie baronie, pan się myli – rzekła, spuszczać oczy.

Baronowi zdało się, że słońce schowało się za chmury.

– Jestem w rozpacz, ale jestem uczciwą kobietą – ciągnęła.

– Straciłam przed pół rokiem mego jedyne go opiekuna, marszałka Montcornet.

– A, pani jesteś jego córką?

– Tak, ale nigdy mnie nie uznał.

– Aby móc pani zostawić część majątku.

– Nic mi nie zostawił, bo nie znaleziono testamentu.

– Och, biedna mała, zacnego marszałka zaskoczyła apopleksja... Niech pani będzie dobrej myśli, należy się coś córce jednego z Bajardów¹¹ Cesarstwa.

11 Hulot porównuje marszałka Montcornet do bohaterskiego rycerza francuskiego Bayarda (1473-1524), słynącego z prawości i odwagi.

Pani Marneffe skłoniła się z wdziękiem, równie dumna ze swego powodzenia, jak baron ze swego.

„Skąd ona, u diaska, wraca tak wcześniej? – spytał sam siebie, śledząc falisty ruch sukien, w który młoda kobieta wkładała wdzięk może nieco przesadny. – Nie z kąpieli, na to wydaje się nazbyt zmęczona, przy tym mąż czeka na nią. To niepojęte, to daje wiele do myślenia”.

Skoro pani Marneffe znikła w sieni, baron pomyślał o tym, aby zajrzeć, co córka robi w sklepie. Wchodząc tam – a wciąż zerkając w okna pani Marneffe – omal nie potracił młodego człowieka o bladym czole, szarych, błyszczących oczach, odzianego w letnie palto z czarnego merynosu, w grube drelichowe spodnie oraz żółte kamasze. Młodzieniec ten wypadł ze sklepu jak wariat; baron ujrzał, iż wszedł do domu, gdzie mieszkała pani Marneffe.

Zaledwie wszedłszy do sklepu, Hortensja poznała słynną grupę ustawioną na widocznym miejscu, na stole tuż na wprost drzwi. Nawet bez okoliczności, którym zawdzięczała wiadomość o nim, arcydzieło to byłoby prawdopodobnie uderzyło młodą dziewczynę owym *brio*¹², wspólnym wielkim rzeczom: ją, która sama mogłaby pozować we Włoszech do posągu „Brio”.

12 *Brio* (wł.) – werwa, zar, życie.

Nie wszystkie dzieła genialnych ludzi posiadają w jednakim stopniu ową świetność, ów blask widoczny wszystkim oczom, nawet niewykształconym. Tak więc niektóre obrazy Rafaela, jak słynne „Przemienienie” „Madonna z Foligno”, czy stanze w Watykanie, nie wzbudzą natychmiastowego zachwytu, jak „Skrzypek” w galerii Sciarra, portrety Donich i „Widzenie Ezechiela” w galerii Pitti; „Droga Krzyżowa” z galerii Borghese, „Zaślubiny Dziewicy” z muzeum Brera w Mediolanie. „Św. Jan Chrzciciel”, „Św. Łukasz malujący Najśw. Pannę” nie mają tego uroku co portret Leona X i „Madonna drezdeńska”. A jednak wszystkie te płótna są jednakiej wartości. Więcej powiem! Stanze, „Przemienienie” oraz trzy płótna wiszące w Watykanie stanowią najwyższy szczyt wzniosłości i doskonałości. Ale te arcydzieła wymagają od najbardziej wykształconego widza pewnego napięcia uwagi, całego studium pozwalającego je zrozumieć we wszystkich szczegółach, podczas gdy „Skrzypek”, „Zaślubiny Dziewicy” i „Widzenie Ezechiela” same wnikają nam w serce podwójną bramą oczu i czynią tam sobie miejsce; miło jest nam przyjąć je w ten sposób, bez żadnego trudu: to nie jest szczyt sztuki, ale to jest jej rozkosz... Fakt ten świadczy, iż w płodzeniu dzieła sztuki istnieją te same przypadki urodzenia, co w rodzinach, gdzie bywają dzieci szczęśliwie obdarzone z natury, które przychodzą na świat piękne i nie zadając bólu matce, którym wszystko się

uśmiecha, wszystko się wie dzie; słowem, istnieją kwiaty geniuszu, jak i kwiaty miłości.

To *brio*, włoskie słowo nie do przetłumaczenia, a przechodzące w nasz język, jest znamieniem pierwszych dzieł. Jest to owoc wrzenia i niepohamowanego rozmachu młodego talentu, wrzenia, które odnajduje się później w niektórych szczęśliwych godzinach; ale wówczas *brio* to nie wychodzi już z serca artysty; zamiast je wlewać w swoje dzieła, jak wulkan wyrzuca ognistą lawę, poddaje się mu, zawdzięcza je okolicznościom, miłości, rywalizacji, często nienawiści, a bardziej jeszcze wymaganiom sławy, którą trzeba dźwigać.

Grupa Wacława była w stosunku do jego przyszłych dzieł tym, czym „Zaślubiny Dziewicy” do całości dzieł Rafaela: pierwszym krokiem talentu uczynionym z nieopisanym wdziękiem, z żywością dziecięctwa i jego miłą pełnią, z jego siłą ukrytą pod białym i różowym ciałkiem pokrytym dołeczkami, będącymi niby echem śmiechu matki. Książę Eugeniusz zapłacił podobno czterysta tysięcy franków za ten obraz, wart cały milion dla kraju pozbawionego obrazów Rafaela; nie dano by zaś tej sumy za najpiękniejszy z fresków, których wartość jest wszakże artystycznie o wiele wyższa.

Hortensja powściągnęła swój zachwyt, myśląc o sumie swoich panięńskich oszczędności; przybrała obojętną minkę i rzekła do kupca:

– Jaka cena tej grupy?

– Tysiąc pięćset franków – odparł kupiec, spozierając na młodego człowieka siedzącego na taborecie w kącie.

Młody człowiek osłupiał, widząc żywe arcydzieło barona Hulot. Hortensja, ostrzeżona w ten sposób, poznała artystę po rumieńcu, który ubarwił jego twarz pobladłą od cierpień; ujrzała, iż w szarych jego oczach błysła iskierka rozniecona jej pytaniem; spojrzała na tę twarz chudą i wycieńczoną niby twarz mnicha zatopionego w ascezie; pokochała te różowe i ładnie wykrojone usta, ten delikatny owal podbródka i jedwabne kasztanowate włosy Słowianina.

– Gdyby tak tysiąc dwieście franków – odparła – poprosiłabym pana o odesłanie mi jej.

– To antyk, proszę pani – zauważył kupiec, który podobnie jak jego koledzy sądził, że ten termin jest najwyższą pochwałą w ustach handlarza osobliwości.

– Wybacz pan, ale to robione w tym roku – odparła łagodnie. – Przychodzę właśnie pana prosić, w razie jeżeli zgodzimy się co do ceny, aby pan przysłał do nas artystę, moglibyśmy mu się wystarać o dość znaczne zamówienia.

– Jeżeli jemu dam tysiąc dwieście franków, cóż będzie dla mnie? Jestem kupcem – rzekł antykwariusz dobrodusznie.

– Ach, w istocie – odparła młoda dziewczyna z mimowolnym gestem wzgardy.

– Och, pani, niech pani bierze; ja się ułożę z kupcem – zawołał Inflantczyk, nie panując nad sobą.

Oszołomiony cudną pięknnością Hortensji oraz jej znawstwem sztuki, dodał:

– Jestem autorem tej grupy, oto już dziesięć dni, jak zachodzę tu trzy razy dziennie zobaczyć, czy ktoś pozna się na niej i objawi chęć kupna. Pani jest pierwszą, która mnie odgadła, proszę brać.

– Niech pan przyjdzie wraz z kupcem za godzinę. Oto bilet mego ojca – odparła Hortensja.

Następnie widząc, że kupiec wyszedł do drugiego pokoju, aby owinąć rzeźbę w płótno, dodała po cichu ku wielkiemu zdumieniu artysty, któremu zdawało się, że śni:

– W interesie pańskiej przyszłości, panie Wacławie, niech pan nie pokazuje tego biletu i niech pan nie zdradzi nazwiska nabywcy pannie Fischer, bo to nasza kuzynka.

To słowo „nasza kuzynka” olśniło artystę; ujrzał przed sobą raj, widząc jedną z jego upadłych Ew. Marzył o pięknej kuzynce, o której wspomniała mu Bietka, tak samo jak Hortensja marzyła o „chłopcu” kuzynki. Kiedy Hortensja weszła, pomyślał sobie:

„Ach! Gdyby mogła być taka!”.

Można się domyślić, jakie spojrzenie wymienili kochankowie; to był istny płomień, gdyż niewinna miłość nie zna żadnej obłudy.

– Cóż ty, u diaska, tam robisz? – spytał ojciec.

– Wydałam moich tysiąc dwieście franków oszczędności, chodź.

Wzięła pod ramię ojca, który powtórzył:

– Tysiąc dwieście franków!

– Tysiąc trzysta nawet!... Ale ty mi pożyczysz to, co braknie.

– I na co w takim kramie mogłaś wydać podobną sumę?

– A ba – odparła uszczęśliwiona dziewczyna – jeżeli znajdę męża, to nie wypadnie drogo...

– Męża, dziewczyno, w tym sklepie?

– Słuchaj, ojczulku, czy zabroniłbyś mi wyjść za wielkiego artystę?

– Nie, moje dziecko. Wielki artysta, dzisiaj, to książę bez tytułu; to sława i majątek, dwie najwyższe korzyści społeczne; oczywiście po cencie – dodał tonem świętoszka.

– Rozumie się – odparła Hortensja. – A co myślisz o rzeźbie?

– Kiepski interes – rzekł Hulot, potrząsając głową. – Poza wielkim talentem trzeba wielkich stosunków, gdyż rząd jest jedynym odbiorcą. Jest to sztuka bez zbytu, dziś, kiedy nie ma ani życia w wielkim stylu, ani wielkich fortun, ani dziedzicznych pałaców, majoratów. Możemy dziś pomieścić w domach jedynie małe obrazki, małe posązki, toteż sztukom grozi zdrobnienie.

– A wielki artysta, który by znalazł drogę zbytu?... – podjęła Hortensja.

– To byłoby rozwiązanie problemu.

– I który miałby poparcie?

– Jeszcze lepiej!

– I szlachcic?

– Ba!

– Hrabia?

– Hrabia, który rzeźbi?

– Nie ma majątku.

– I liczy na posag panny Hortensji Hulot? – rzekł z drwiącą miną baron, zatapiając badawcze spojrzenie w oczach córki.

– Ten wielki artysta, hrabia, który rzeźbi, ujrział twoją córkę przed chwilą po raz pierwszy w życiu i przez pięć minut, panie baronie – odparła Hortensja spokojnie. – Wczoraj, widzisz, mój drogi ojczulku, podczas gdy byłeś w Izbie, mama zemdliała. To zemdlecie, które złożono na karb nerwów, to była rozpacz z powodu zerwania mego małżeństwa. Mama mówiła mi, że aby mnie wam zdjąć z karku...

– Mama zanadto cię kocha, aby użyć tego wyrażenia...

– Niezbyt parlamentarnego, wiem – odparła Hortensja, śmiejąc się. – Nie, nie użyła tego słowa; ale ja wiem, że panna na wydaniu, która nie wychodzi za mąż, to krzyż bardzo ciężki do udźwignięcia dla zacnych rodziców. Otóż ona myśli, że gdyby się trafił człowiek z energią i talentem, któremu by wystarczył posag trzydziestu tysięcy franków, byłoby to szczęście dla nas wszystkich. Słowem, uważała za stosowne przyzwyczać mnie do mojej skromnej przyszłości, nie dać mi się kołysać zbyt pięknymi marzeniami... To znaczy, że małżeństwo moje zerwane i że posagu nie ma.

– Twoja matka jest dobra, szlachetna i zająca kobieta – odparł ojciec, głęboko upokorzony, mimo że dość rad z tego wyznania.

– Wczoraj powiedziała mi, że pozwalasz jej sprzedać diamenty, aby mnie wydać za mąż; ale ja chciałabym, aby mama została przy swoich diamentach, a ja żebym dostała męża. Otóż zdaje mi się, że znalazłam człowieka, konkurenta, odpowiadającego programowi mamy.

– Tam!... Na placu Carrousel!... W ciągu jednego ranka?...

– Och, ojczulku, choroba dawniej sięga¹³ – odparła figlarnie.

13 *Mon mal vient de plus loin* – cytata z „Fedry” Racine'a.

– No, no, córuchno, opowiedz wszystko swemu ojculkowi – rzekł pieszczotliwie, pokrywając niepokój.

Otrzymawszy rękojmię bezwzględnej tajemnicy, Hortensja opowiedziała treść swoich rozmów z kuzynką Bietką. Następnie, za powrotem, pokazała ojcu słynną pieczętę jako dowód rozsądku swoich kombinacji. Ojciec podziwiał w duchu głęboką przemyślność dziewczęcego instynktu, poznając prosty plan, jaki ta idealna miłość podsunęła jednej nocy niewinnej dziewczynie.

– Ujrysz arcydzieło, które kupiłam, zaraz je przyniosą, i mój Wacław przyjdzie także... Autor takiego dzieła musi zrobić majątek; ty, przez swoje stosunki, wyrobisz mu zamówienie na pomnik, potem mieszkanie w Akademii...

– Ależ ty pędzisz! – wykrzyknął ojciec. – Toż gdyby wam tylko pozwolić, pobralibyście się w terminie prawem przepisany, w jedenaście dni...

– Każą czekać aż jedenaście dni? – odparła, śmiejąc się. – Ależ ja go pokochałam w ciągu pięciu minut, jak ty, ojczu, mamę, kiedy ją zobaczyłeś! I on mnie kocha, tak jak gdybyśmy się znali od dwóch lat. Tak – odparła, widząc gest ojca – wyczytałam dziesięć tomów miłości w jego oczach. I czy ty, ojczu, wraz z mamą, nie przyjmiecie go za zięcia, kiedy zyskacie pewność, że to genialny człowiek? Rzeźba jest pierwszą ze sztuk! – wykrzyknęła, klaszcząc w ręce i podskakując. – Słuchaj, powiem ci...

– Jest jeszcze coś?... – spytał ojciec z uśmiechem. Ta zupełna i rozszczebiotana niewinność do reszty uspokoiła barona.

– Wyznanie niezmiernej wagi – odparła. – Kochałam go nie znając, ale szaleję za nim od godziny, odkąd go ujrzałam.

– Trochę za bardzo szalejesz – rzekł baron, którego cieszył widok tego naiwnego uczucia.

– Nie karz mnie za moje zaufanie – odparła. – To tak miło móc powiedzieć ojcu: „Kocham i jestem szczęśliwa!” – mówiła.

– Zobaczysz mego Waclawa! Co za czoło pełne melancholii!... Szare oczy, w których błyszczą słońce geniuszu! A jaki dystyngowany! Jak ty myślisz, czy to piękny kraj, Inflanty? Bietka miałaby wyjść za tego chłopca, ona, która mogłaby być jego matką!... Ależ to byłoby morderstwo! Jaka ja jestem zazdrosna o wszystko, co ona musiała zrobić dla niego! Wyobrażam sobie, że nie będzie zbyt rada z mego małżeństwa.

– Słuchaj, aniołku, nie ukrywajmy nic przed matką – rzekł baron.

– Trzeba by jej pokazać tę pieczętkę, a ja przyrzekłam, że nie zdradzę Bietki; boi się żarcików mamy.

– Masz skrupuły o pieczętkę, a zabierasz Bietce kawalera!

– Przyrzekłam tylko co do pieczętki, nie co do jej autora.

Przygoda ta, patriarchalnie prosta, dziwnie odpowiadała sekretnemu położeniu tej rodziny; toteż baron, chwając córkę za jej zaufanie, oświadczył, iż odtąd powinna się zdać na przezorność rodziców.

– Rozumiesz, maleńka, że to nie twoja rzecz sprawdzać, czy twój artysta jest hrabią, czy ma papiery w porządku, czy jego prowadzenie daje dostateczne rękojmie... Co do twojej kuzynki; odrzuciła pięciu konkurentów, kiedy miała dwadzieścia lat mniej, to nie będzie przeszkodą, biorę to na siebie.

– Słuchaj, ojczy, jeżeli chcesz, aby to doszło do skutku, nie mów Bietce o niczym aż do chwili podpisania interczy... Od pół roku wypytyuję ją w tej kwestii... Otóż jest w niej coś dziwnego, niepojętego...

– Co takiego? – spytał ojciec zainteresowany.

– Ilekroć się posunę za daleko, choćby żartem mówiąc o jej chłopcu, ona ma jakieś złe oczy. Wywiedz się, o czym chcesz, ale pozwól mnie samej sterować moją łódką; ufność moja powinna was uspokoić.

– Pan powiedział: „Pozwólcie dzieciaczkom przyjść do mnie!”, ty jesteś jednym z tych, które wracają – rzekł baron żartobliwie.

Po śniadaniu oznajmiono handlarza i artystę wraz z grupą. Nagły rumieniec córki zaniepokoił zrazu baronową, potem obudził jej baczność; pomieszanie zaś Hortensji, blask jej spojrzenia odkryły jej niebawem tajemnicę, tak słabo ukrywaną w tym młodym sercu.

Hrabia Steinbock, ubrany całkiem czarno, wydał się baronowi młodzieńcem nader dystyngowanym.

– Czy mógłby pan wykonać posąg z brązu? – spytał, trzymając w ręku grupę.

Pokiwał głową na wiarę zachwytu córki i podał brąz żonie, która nie знаła się na rzeźbie.

– Prawda, mamó, że to bardzo piękne? – szepnęła Hortensja do ucha matce.

– Posąg, panie baronie, to mniej trudne do wykonania niż taki oto zegar, który pan kupiec był tak łaskaw przynieść – odparł artysta.

Kupiec ustawiał właśnie na kredensie w jadalni woskowy model Dwunastu Godzin, które amorki usiłują zatrzymać.

– Niech mi pan zostawi ten zegar rzekł baron zdumiony pięknnością dzieła – pokażę go ministrowi spraw wewnętrznych i ministrowi handlu.

– Kto jest ten młody człowiek, który cię tak interesuje? – spytała baronowa córkę.

– Artysta mający środki na wyzyskanie tego modelu mógłby zarobić na nim sto tysięcy franków – rzekł antykwariusz, przybierając sprytną i tajemniczą minę, zauważywszy wymianę spojrzeń między młodą panną a artystą. Wystarczyłoby sprzedać dwadzieścia egzemplarzy po osiem tysięcy franków, gdyż wykonanie każdego egzemplarza kosztowałoby około trzech tysięcy franków. Numerując egzemplarze i niszcząc model, znalazłoby się dwudziestu amatorów, zadowolonych, że oni sami tylko posiadają to dzieło.

– Sto tysięcy franków! – wykrzyknął Steinbock, spoglądając kolejno na kupca, Hortensję, barona i baronową.

– Tak, sto tysięcy franków! – powtórzył kupiec. – Gdybym był dość bogaty, sam bym to kupił od pana za dwadzieścia tysięcy, niszcząc bowiem model stałbym się właścicielem... Ale któryś z książąt krwi powinien by zapłacić za to arcydzieło trzydzieści albo czterdzieści tysięcy franków i ozdobić nim swój salon. Żaden artysta nie sporządził dotąd zegara, który by zadowalał po równi znawców i publiczność: a oto rozwiązanie tej trudności...

– To dla pana – rzekła Hortensja wręczając sześć sztuk złota kupcowi, który ich pożegnał.

– Niech pan nie mówi nikomu o tej wizycie – rzekł artysta do kupca na progu. – Jeżeli pana spytają, gdzieśmy zanieśli tę grupę, niech pan wymieni księcia d'Hérouville, słynnego amatora mieszkającego przy ulicy Varennes.

Kupiec skinął głową na znak zgody.

– Pańskie nazwisko? – spytał baron artystę, gdy ten powrócił.

– Hrabia Steinbock.

– Czy ma pan papiery zaświadczające, kim jesteś?...

– Tak, panie baronie, po rosyjsku i po niemiecku, ale nielegalizowane.

– Czy czuje się pan na siłach wykonać posąg wysoki na dziewięć stóp?

– Owszem, panie baronie.

– A więc jeżeli osoby, których zdania zasięgnę, pochwałą pańskie roboty, mogę dla pana uzyskać pomnik marszałka Montcornet, który mamy wznieść na Père-Lachaise na jego grobie. Ministerium wojny oraz dawni oficerowie gwardii cesarskiej dają sumę dość znaczną, abyśmy mieli prawo wybierać artystę.

– Och! Panie baronie, to byłby dla mnie los!... – rzekł Steinbock, oszołomiony tyloma powodzeniami naraz.

– Niech pan będzie spokojny – odparł uprzejmie baron – jeżeli dwaj ministrowie, którym pokażę pańską grupę i ten model, zachwycą się pańskimi pracami, los pański jest na dobrej drodze.

Hortensja ścisnęła ramię ojca z całej siły.

– Niech pan przyniesie papiery i nie wspomina o swoich nadziejach nikomu, nawet naszej starej kuzynce Bietce.

– Bietce? – wykrzyknęła pani Hulot, która zrozumiała wreszcie cel, nie ogarniając wszakże środków.

– Mogę dać dowody mej sztuki robiąc popiersie pani... – dodał Wacław.

Uderzony pięknnością pani Hulot, od kilku chwil artysta porównywał matkę i córkę.

– Tak, panie, życie może być piękne dla pana – rzekł baron, do reszty ujęty wykwintną i dystygowaną powierzchownością hrabiego Steinbocka. – Dowie się pan niebawem, że w Paryżu nie można długo mieć bezkarnie talentu i że każda wytrwała praca znajduje tu nagrodę.

Hortensja, płoniąc się, podała młodemu człowiekowi ładną algierską sakiewkę zawierającą sześćdziesiąt sztuk złota. Artysta, zawsze po trochu szlachcic, odpowiedział na rumieniec Hortensji rumieńcem zawstydzienia, dość łatwym do pojęcia.

– Byłyżby to pierwsze pieniądze, jakie pan otrzymuje za swoją pracę? – spytała baronowa.

– Tak, pani, za moją pracę jako artysta, ale nie za moje trudy, pracowałem bowiem jako robotnik...

– Miejmy tedy nadzieję, że pieniądze mojej córki przyniosą panu szczęście! – odparła pani Hulot.

– I bierz pan bez skrupułów – dodał baron, widząc, że Wacław trzyma sakiewkę w ręku niezdecydowany. Sumę tę zwróci nam jaki wielki pan, może jaki książę, który oddają nam z lichwą, aby osiąść tak piękne dzieło.

– Och, ojczulku, zanadto mi jest drogie, abym je odstąpiła komukolwiek, nawet księciu krwi!

– Mogę zrobić dla pani inną grupę, ładniejszą...

– To już nie byłaby ta – odparła Hortensja. I jakby zawstydzona, że powiedziała zbyt wiele, wyszła do ogrodu.

– Zatem wróciwszy do domu zniszczę i formę, i model! – rzekł Steinbock.

– No, przynieś mi pan swoje papiery, a niebawem otrzymasz ode mnie wiadomość, jeżeli odpowiesz mniemaniom, jakie mam o tobie.

Po tych słowach artyście wypadło się pożegnać. Skłonił się pani Hulot i Hortensji, która umyślnie nadbiegła z ogrodu, po czym poszedł wałęsać się po Tuileriach, nie śmiejąc wrócić na swoje poddasze, gdzie tyran jego zasypały go pytaniami i wydarłby mu tajemnicę.

Kochanek Hortensji roił całe setki grup i posągów; czuł w sobie moc kowania samemu w marmurze, jak Canova, który, wątpy jak on, omal tego nie przypłacił życiem. Hortensja stała się dlań widowym natchnieniem, przeobraziła go.

– Powiedz mi – rzekła baronowa do córki – co to wszystko znaczy?

– A więc, droga mamó, miałaś w tej chwili przed sobą kawalera naszej Bietki, który, pochlebiam sobie, jest obecnie moim... Ale zamykaj oczy, udawaj, że o niczym nie wiesz. Mój Boże, ja chciałam wszystko ukryć przed tobą i wszystko ci wygadam...

– No, bywajcie, moje dzieci – wykrzyknął baron, ściskając córkę i żonę – zajdę może do Kozy i dowiem się od niej różnych rzeczy o naszym młodzieńcu.

– Ojczulku, bądź ostrożny! – rzekła Hortensja.

– Och, ty maleństwo moje! – wykrzyknęła baronowa, kiedy Hortensja skończyła jej opowiadać swój poemat, którego ostatnią pieśnią była ranna przygoda – ty droga mała, najchytrzejszym dyplomatą pod słońcem będzie zawsze Naiwność.

Prawdziwe namiętności mają swój instynkt. Pozwól smakoszowi wziąć owoc z półmiska, nie omyli się i weźmie, nie patrząc nawet, najlepszy. Tak samo zostawcie dobrze wychowanej pannie swobodny wybór męża, a rzadko się omyli, o ile okoliczności pozwolą jej dostać tego, którego wybierze. Natura jest nieomylna. Dzieło natury zowie się tutaj: miłość od pierwszego spojrzenia. To pierwsze spojrzenie jest w miłości po prostu jasnowidzeniem.

Baronowa, mimo że skrywała to pod macierzyńską godnością, była nie mniej rada od córki; z tych trzech sposobów wydania Hortensji, o których mówił Crevel, najlepszy, wedle jej smaku, był na drodze do urzeczywistnienia. Ujrzała w tej przygodzie odpowiedź Opatrzności na jej gorące modły.

Galernik panny Fischer, zmuszony jednak wrócić do domu, wpadł na myśl, aby ukryć szczęście kochanka pod radością artysty upojonego pierwszym tryumfem.

– Zwycięstwo! Grupę moją sprzedano księciu d'Hérouville, który przyrzekł mi zamówienia – rzekł, rzucając starej panie na stół tysiąc dwieście franków w złocie.

Można się domyślić, że zatrzymał sakiewkę Hortensji i że ją miał na sercu.

– Chwała Bogu – odparła Bietka – bo ja się już zabijałam pracą. Widzisz, moje dziecko, że pieniądź wolno przychodzi w rzemiośle, które obrałeś, gdyż to twój pierwszy zarobek, a będzie niedługo pięć lat, jak się mozolisz! Ta suma zaledwie wystarczy na pokrycie tego, coś mnie kosztował od czasu weksla kwitującego moje oszczędności. Ale bądź spokojny – rzekła, policzywszy – te pieniądze pójdą wszystkie na ciebie. Mamy tu spokój na cały rok. Teraz w ciągu roku możesz się wypłacić i odłożyć sporą sumkę dla siebie, jeżeli pójdzie tak dalej.

Widząc, że wybieg się udał, Waclaw zaczął opowiadać starej panie baśnię o księciu d'Hérrouville.

– Muszę ci sprawić modne czarne ubranie i odświeżyć twój zapas bielizny; trzeba, abyś się dobrze prezentował u swoich protektorów – odpowiedziała Bietka. – No, i będziesz potrzebował większego i przyzwoitszego mieszkania niż ta twoja wstrętna facjatka: trzeba będzie jakich ładnych mebelków... Jakiś ty wesoły! Zupełnie nie ten sam – dodała, przyglądając się Waclawowi.

– Ba! Powiedziano mi, że moja grupa jest arcydziełem.

– No to chwała Bogu! Zrób takich więcej – odparła ta oschła dziewczyna, wciąż praktyczna i niezdolna zrozumieć radości tryumfu albo piękna w sztuce. – Nie zaprzataj się tym, co już sprzedane, sporządź coś innego na sprzedaż. Wydałeś na tego diabelskiego „Samsona” ze dwieście franków, nie licząc czasu i pracy. Wykonanie twego zegara będzie kosztowało z górą dwa tysiące franków. Wierzaj mi, powinieneś dokończyć tych dwóch chłopczyków wieńczących w bławatki małą dziewczynkę, to się spodoba paryżanom! Zanim pójdę do pana Crevel, wstąpię do krawca Graffa... Idź do siebie i pozwól mi się ubrać.

Nazajutrz baron, rozkochany na umór w pani Marneffe, zaszedł do kuzynki Bietki, dość zdumionej jego widokiem, nie był bowiem u niej dotąd nigdy. Toteż powiedziała sobie w duchu: „Czyżby Hortensji przyszła ochota na mego Wacława?...”. W wilię bowiem dowiedziała się u Crevela o zerwaniu małżeństwa z radcą najwyższego trybunału.

– Co! Kuzyn tutaj? To ci się zdarza pierwszy raz w życiu, z pewnością nie dla moich pięknych oczu?

– Pięknych! To prawda – odparł baron – masz najpiękniejsze oczy, jakie widziałem.

– Co cię sprowadza? Ach, jak się wstydzę, że muszę cię przyjmować w takiej norze.

Pierwszy z dwóch pokoi, z których składało się mieszkanie Bietki, służył jej zarazem za salon, za jadalnię, za kuchnię i pracownię. Meble były takie jak u zamożnego rękodzielnika: orzechowe wyplatane krzesła, takiż stół jadalny, stół do pracy, kolorowe ryciny w ciemnych drewnianych ramach, muślinowe firanki w oknach, wielkie orzechowe szafy. Doskonale wywoskowana posadzka lśniła się od czystości, nigdzie źdźbła kurzu, ale wszystko to było zimne w tonie, istny obraz Terburga, gdzie niczego nie brakowało, nawet jego szarego kolorytu na niebieskich niegdyś, a obecnie spelzłych na perłowo obiciach. Co się tyczy sypialni, nigdy nie wdarło się tam żadne oko.

Baron rozejrzył się dokoła siebie, ujrzał piętno ubóstwa w każdej rzeczy, od żelaznego piecyka aż do sprzętu gospodarskiego; uczuł, że go tłoczą mdłości, i rzekł sobie w duchu: „Oto cnota!”.

– Po co przychodzę? – odrzekł głośno. – Jesteś zbyt sprytna dziewczyna, abyś tego w końcu nie odgadła, wolę ci więc powiedzieć – wykrzyknął, siadając i wyglądając na dziedziniec, odchyliwszy muślinową fałdzistą firankę. – Mieszka w tym domu bardzo ładna kobieta.

– Pani Marneffe! Och! Wiem już wszystko! – rzekła, pojmując w lot. – A Józefa?

– Niestety, kuzyneczko, nie ma już Józefy... Wyrzucono mnie za drzwi jak lokaja.

– I kuzyn chciałbyś...? – spytała, spoglądając na barona z godnością skromnisi obrażającej się o kwadrans za wcześnie.

– Ponieważ pani Marneffe jest osobą bardzo przyzwoitą, żoną urzędnika, ponieważ możesz ją odwiedzać, nie kompromitując się – odparł baron – chciałbym, abyś z nią nawiązała sąsiedzkie stosunki. Och! bądź spokojna, będzie miała największe względy dla kuzynki pana dyrektora.

W tej chwili dał się słyszeć na schodach szelest sukni z towarzyszeniem kroków wykwintnie obutej kobiety. Szelest ustał w sieni, po czym, zapukawszy dwa razy, pojawiła się pani Marneffe.

– Niech mi pani daruje moje najście, ale nie zastałam pani wczoraj, kiedy sobie pozwoliłam ją odwiedzić. Jesteśmy sąsiadkami i gdybym była wiedziała, że pani jest kuzynką pana radcy stanu, od dawna już prosiłabym panią o poparcie u niego. Widziałam, że pan dyrektor wchodzi, i ośmieliłam się przyjść, gdyż mąż mój wspominał mi, panie baronie, o jakimś referacie dotyczącym personelu, który ma być doręczony ministrowi jutro.

Wydawała się wzruszona, drżąca; tymczasem po prostu tylko pędem wbiegła na schody.

– Niepotrzebnie występuje pani w roli petentki, piękna pani – odpowiedział baron – to do mnie należy prosić panią o tę łaskę, bym mógł jej złożyć moje uszanowanie.

– Zatem, jeżeli kuzynka pańska nie ma nic przeciw temu, proszę! – rzekła pani Marneffe.

– Idź, kuzynie, ja nadejdę za chwilę – rzekła przezorna Bietka.

Paryżanka tak dalece liczyła na wizytę i na inteligencję dyrektora, że nie tylko sama się wystroiła, jak przystało na podobne spotkanie, ale przystroiła także i swój apartament. Od rana ustawiała kwiaty wzięte na kredyt. Marneffe pomógł żonie wyczyścić meble, nadać blask najdrobniejszym przedmiotom, chędożąc, szczotkując, okurzając wszystko. Waleria chciała się pokazać w ramie pełnej świeżości, aby zachwycić pana dyrektora, i to zachwycić na tyle, by mieć prawo być okrutną, pokazywać mu z daleka cukierek jak dziecku, rozwijając środki nowoczesnej taktyki. Przeniknęła Hulota na wskroś. Zostawcie paryżance przywiedzionej do ostateczności dobę czasu, a przewróciłaby ministerium.

Ten człowiek z epoki Cesarstwa, przyzwyczajony do stylu Cesarstwa, nie miał zapewne najmniejszego pojęcia o obyczajach nowoczesnej miłości, o nowych skrupułach, o rozmaitych sposobach rozmowy wymyślonych około roku 1830, w myśl których biedna słaba kobieta każe się uważać za ofiarę żądz swego kochanka, niby siostra miłosierdzia, która opatruje rany, niby anioł, który się poświęca. Ta nowa sztuka kochania zużywa mnóstwo ewangelicznych słów do dzieła diabła. Miłość jest męczeństwem. Obie strony dążą do ideału, do nieskończoności, chcą się udoskonalić przez miłość. Wszystkie te piękne frazesy są pozorem, aby wlewać jeszcze więcej ognia w praktyki miłosne, aby upadać z większym zapamiętaniem niż wprzód. Obłuda ta, znamię naszych czasów, zakaziła miłostki. Kochankowie udają parę aniołów, zachowując się, jeżeli się da, jak para diabłów. Za Cesarstwa, pomiędzy jedną a drugą kampanią, miłość nie miała czasu tak analizować siebie samej: w roku 1809 biegła równie szybko jak Cesarstwo do tryumfu. Otóż za Restauracji piękny Hulot, stawszy się znowu kobieciarzem, zrazu pocieszył kilka dawnych przyjaciółek, spadłych wówczas jak zgasłe gwiazdy z politycznego firmamentu, później zaś, postarzawszy się, dostał się w łapki takiej Jenny Cadine i Józefy.

Pani Marneffe ułożyła plan kampanii, dowiedziawszy się o przeszłości dyrektora od męża, który opisał jej wszystko obszernie wedle informacji zasięgniętych w biurze. Wobec tego, iż nowoczesna komedia sentymentalna mogła mieć dla barona wdzięk nowości, Waleria zdecydowała się od razu. Powiedzmy, iż próba siły, jaką podjęła tego ranka, ziściła wszystkie jej nadzieje.

Dzięki tym manewrom sentymentalnym, romansowym i romantycznym Waleria uzyskała, sama nic nie przyrzekłszy, miejsce zastępcy naczelnika i legię honorową dla męża.

Ta wojna podjazdowa nie obyła się bez obiadków w „Rocher de Cancale”, bez teatrów oraz licznych podarków w postaci mantylek, szalów, sukien, klejnotów. Apartament przy ulicy Doyenne nie podobał się pani Marneffe; baron uknuł spisek, aby jej umeblować wspaniałe mieszkanie przy ulicy Vanneau w ślicznym nowoczesnym domu. Za miesiąc pan Marneffe miał rozpocząć dwutygodniowy urlop dla uregulowania swoich spraw rodzinnych, a prócz tego otrzymał gratyfikację. Miał zamiar odbyć podróż po Szwajcarii celem podjęcia studiów nad płcią piękną.

Tak zajmując się swą protegowaną, baron Hulot nie zapomniał i o protegowanym. Minister handlu, hrabia Popinot, lubił sztuki piękne: dał dwa tysiące franków za egzemplarz „Samsona” pod warunkiem, że formę się zniszczy, tak aby panna Hulot i on byli jedynymi posiadaczami grupy. Rzeźba ta wzbudziła zachwyt pewnego księcia; pokazano mu model zegara, który zamówił, ale miał być odlany tylko raz, za cenę trzydziestu tysięcy franków. Artyści, których rady zasięgnięto, w ich liczbie Stidmann, oświadczyli, że autor tych dwóch dzieł może wykonać pomnik. Natomiast księżę Wissemburg, minister wojny i prezes komitetu budowy pomnika marszałka Montcornet, zwołał naradę, w myśl której powierzono wykonanie Steinbockowi. Hrabia de Rastignac, wówczas podsekretarz stanu, zapragnął mieć dzieło artysty, którego sława rosła wśród pokłasku rywalów. Uzyskał u Steinbocka rozkoszną grupę dwóch chłopczyków wieńczących małą dziewczynkę i przyrzekł mu pracownię w rządowym składzie marmurów w Gros-Caillou.

Było to więc powodzenie, ale powodzenie takie, jak zdarza się w Paryżu, to znaczy szalone, miażdżące ludzi niemających dość krzepkich barków i krzyżów, aby je udźwignąć, co, mówiąc nawiasem, zdarza się często. W dziennikach i tygodnikach była wciąż mowa o hrabi Waławie Steinbocku, o czym ani on, ani panna Fischer nie mieli najmniejszego pojęcia. Codziennie, skoro panna Fischer wychodziła na obiad, Waław udawał się do baronowej. Spędzał tam godzinę lub dwie, z wyjątkiem dnia, w którym Bietka bywała tam na obiedzie. Ten stan rzeczy trwał przez jakiś czas.

Baron, upewniony co do tytułu i pochodzenia hrabiego Steinbocka, baronowa, ujęta jego charakterem i sposobem życia, Hortensja dumna ze swej uznanej miłości, ze sławy swego wielbiciela, nie wahali się już mówić o tym związku.

Słowem, artysta był u szczytu szczęścia, kiedy niedyskrecja pani Marneffe o mało nie zgubiła wszystkiego. Oto jak.

Bietka, którą baron Hulot pragnął zbliżyć z panią Marneffe, aby mieć to stadło na oku, była już raz na obiedzie u Walerii, która znowuż, chcąc wiedzieć, co się dzieje w rodzinie Hulotów, nadszakiwała mocno starej pannie. Waleria wpadła na myśl zaproszenia panny Fischer na kolacyjkę, którą miało się święcić przenosiny na nowe mieszkanie. Stara panna, szczęśliwa, że ma jeden dom więcej do bywania na obiedzie, ujęta względami pani Marneffe, polubiła ją. Nikt z osób, z którymi utrzymywała stosunki, nie zadawał sobie dla niej tyle trudu. W istocie pani Marneffe, tańcząca koło panny Fischer, była wobec niej niejako w tym samym położeniu co kuzynką Bietka wobec baronowej, wobec pana Rivet, Crevela, słowem, wszystkich, u których bywała na obiedzie. Państwo Marneffe obudzili przede wszystkim współczucie Bietki, odsłaniając jej swą głęboką nędzę i strojąc ją, jak zawsze, pięknymi barwami: przyjaciele obsypani dobrodziejstwami a niewdzięczni, choroby; matka, pani Fortin, przed którą ukrywano nieszczęście i która dzięki nadludzkim wysiłkom umarła w złudzeniu, że jest bogata, etc.

– Biedni ludziska! – mówiła do barona Hulot. – Masz słuszność, żeś się nimi zajął, warci są tego, tacy dzielni ludzie, tacy dobrzy! Zaledwie mogą wyżyć z tych trzech tysięcy franków pensji, zwłaszcza że narobili długów od śmierci marszałka Montcornet! To barbarzyństwo ze strony rządu wymagać, aby urzędnik mający żonę i dzieci utrzymał się w Paryżu z dwóch tysięcy czterechset franków płacy.

Młoda kobieta, która odnosiła się do niej z pozorami przyjaźni, radziła się, zwierzała i kierowała się jakoby jej zdaniem, stała się starej dziwaczce niebawem bliższą niż wszyscy krewni.

Ze swej strony baron, podziwiając w pani Marneffe skromność, dobre wychowanie, dobre maniery, jakich nie znalazł ani u Jenny Cadine, ani u Józefy, ani u ich przyjaciółek, zakochał się w niej w niespełna miesiąc namiętnością starca, namiętnością szaloną z pozorami rozsądku. Istotnie, nie spotkał tu ani drwin, ani orgii, ani szalonych wydatków, ani zepsucia, ani wzgardy dla spraw społecznych, ani tej bezwzględnej obojętności na wszystko, które u aktorki i u śpiewaczki stały się przyczyną jego nieszczęść. Unikał również owej chciwości kurtyzan, pijących pieniądze jak piasek wodę.

Pani Marneffe, stawszy się przyjaciółką i powiernicą barona, drożyła się bez końca, zanim przyjęła najmniejszą rzecz od niego.

– Zgoda na posady, gratyfikacje, wszystko, co pan może dla nas uzyskać od rządu; ale niech pan nie zaczyna od poniżania kobiety, którą rzekomo kochasz – mówiła Waleria – inaczej nie uwierzę panu... A chciałabym panu wierzyć – dodała z oczyma św. Teresy oglądającymi niebo.

Przy każdym podarku było to istne zdobywanie twierdzy, gwałcenie najświętszych skrupułów. Biedny baron rozwijał całą strategię, aby ofiarować jaką drobnostkę, bardzo drogą zresztą, ciesząc się, że spotkał wreszcie cnotę, że znalazł spełnienie swoich marzeń. W tym domu, pełnym (jak mówił) prostoty, baron był bogiem, tak samo jak u siebie w domu. Pan Marneffe zdawał się o tysiąc mil od myśli, że Jowisz ministerialny ma zamiar zstąpić na jego żonę w postaci złotego deszczu, i przesadzał w uniżoności wobec swego dostojnego zwierzchnika.

Pani Marneffe, kobieta dwudziestotrzyletnia, niewinna i płochliwa mieszczańeczka, kwiat ukryty przy ulicy Doyenne, była wręcz przeciwieństwem zepsucia i wyuzdania kurtyzan, których wspomnienie przejmowało obecnie barona wstrętem. Nie znał bowiem dotąd uroków cnoty walczącej, a nieśmiała Waleria dała mu ich kosztować do syta.

Wobec takiego postawienia stosunków między Hulotem a Walerią nikt się nie zdziwi, że Hektor zwierzył jej tajemnicę bliskich zaślubin wielkiego artysty Steinbocka z Hortensją. Między kochankiem niemającym jeszcze praw a kobietą, która niełatwo godzi się zostać kochanką, odbywają się owe wymowne i wzniosłe walki, w których słowo zdradza nieraz myśl, podobnie jak w szermierce floret nabiera czasem ognia pojedynkowej szpady. Najostrożniejszy z ludzi idzie wówczas za przykładem Turenusza. Baron dał tedy do zrozumienia, iż małżeństwo córki zostawi mu wszelką swobodę działania, a to dla uspokojenia sentymentalnej Walerii, która nieraz już krzyknęła:

– Nie pojmuję, aby kobieta mogła popełnić szaleństwo dla człowieka, który by nie należał wyłącznie do niej.

Już baron przysiągł jej po tysiąc razy, że od dwudziestu pięciu lat wszystko jest między nim a panią Hulot skończone.

– Mówią, że taka ładna! – odpowiedziała pani Marneffe.
– Musiałabym mieć dowody.

– Będziesz je miała – mówił baron, szczęśliwy z tego życzenia, które niejako wiązało Walerię.

– W jaki sposób? Trzeba by nigdy nie rozstawać się ze mną – odpowiadała Waleria.

Hektor musiał tedy wyjawić swoje zamiary, które właśnie urzeczywistniały się przy ulicy Vanneau. Oświadczył Walerii, że pragnie oddać jej tę połowę życia, która należy do prawej małżonki, jeżeli przyjmiemy, że istnienie ludzi cywilizowanych dzieli się po równi na dzień i noc. Natrącił, iż z chwilą gdy raz córkę wyda za mąż, ma zamiar w przyzwoity sposób rozstać się z żoną. Baronowa pędziłaby wówczas życie przy Hortensji i przy młodych Hulotach, był pewien jej posłuszeństwa.

– Z tą chwilą, mój aniołku, prawdziwe moje życie, prawdziwy dom będą przy ulicy Vanneau.

– Mój Boże, jak pan mną rozrządza!... – rzekła pani Marneffe. – A mój mąż?

– Ten łach!

– To prawda, iż w porównaniu z tobą w istocie... – odparła, śmiejąc się.

Pani Marneffe, poznawszy historię Steinbocka, miała szaloną ochotę poznać jego samego; może chciała zeń wydobyć jakie cacko, póki jeszcze mieszkała pod jednym dachem. Ciekawość ta tak bardzo nie spodobała się baronowi, iż Waleria przysięgła nie spojrzeć na Waclawa. Ale pozwoliwszy sobie nagrodzić wyrzeczenie się swego kaprysu ślicznym cieniutkim serwisem do herbaty „vieux Sèvres”, zachowała na dnie serca te życzenia zapisane niby w notatniku. Za czym pewnego dnia, zaprosiwszy kuzynkę Bietkę na kawę, wyciągnęła ją na rozmowę o Waclawie, aby zbadać, czy mogłaby go ujrzeć bez niebezpieczeństwa.

– Moje kochanie – rzekła (mówiły sobie nawzajem „moje kochanie”) – czemu mi jeszcze nie przedstawiłaś swojego chłopca?... Czy wiesz, że on się w krótki czas zrobił sławny?...

– On sławny?...

– Ależ cały Paryż mówi tylko o nim!...

– Co ty powiadasz! – wykrzyknęła Bietka.

– Ma robić pomnik mego ojca i mogę mu być bardzo pomocna w tym dziele. Pani Montcornet nie może mu pożyczyć, jak ja, miniatury Saina, arcydzieła sporządzonego w roku 1809, przed Wagram. Montcornet, wówczas młody i piękny, dał ją mojej matce.

Sain i Augustin dzierżyli za Cesarstwa berło miniatury.

– Powiadasz, kochanie, że on ma robić pomnik? – spytała Bietka.

– Na dziewięć stóp, zamówiony przez ministerium wojny. Cóż ty z księżycy spadłaś, ja ci dopiero mam o tym mówić? Ależ rząd ma dać hrabiemu Steinbock pracownię i mieszkanie w Gros-Caillou, w składzie marmurów; twój Polaczek zostanie może dyrektorem, posada na dwa tysiące franków, złoty interes.

– Skądże ty wiesz to wszystko, kiedy ja nie wiem o niczym? – rzekła wreszcie Elżbieta, wychodząc z osłupienia.

– Słuchaj, moja droga Bietko – rzekła serdecznie pani Marneffe – czy jesteś zdolna do przyjaźni oddanej, na wszelką próbę? Chcesz, abyśmy były jak dwie siostry? Chcesz mi przysiąc, że nie będziesz miała tajemnic dla mnie jak ja dla ciebie, że będziesz moim szpiegiem jak ja twoim?... Chcesz zwłaszcza mi przysiąc, że mnie nigdy nie wydasz ani przed moim mężem, ani przed panem Hulot i że nie zdradzisz nigdy, że to ja powiedziałam...

Pani Marneffe zatrzymała się w tej czynności pikadora, kuzynka Bietka przeraziła ją. Fizjonomia Lotarynki była straszna. Czarne i bystre oczy stały się nieruchome jak u tygrysy. Twarz jej podobna była do twarzy jakiejś pytonissy; zaciskała zęby, aby nie dzwoniły; straszliwe konwulsje wstrząsały jej ciałem. Haczykowane palce wsunęła między czepek a włosy, aby chwycić je w garść i podtrzymać głowę, która jej ciążyła: była cała w ogniu. Dym pożaru, który ją trawił, zdawał się dobywać z jej zmarszczek niby ze szczelin wyoranych wybuchem wulkanu. Był to wspaniały widok.

– I cóż, czemu nie mówisz dalej? – rzekła głucho. – Będę dla ciebie wszystkim tym, czym byłam dla niego. Och! byłabym mu oddała moją krew.

– Kochasz go tedy?...

– Jak własne dziecko.

– A więc – podjęła pani Marneffe, oddychając swobodniej – skoro go kochasz tylko w ten sposób, będziesz bardzo szczęśliwa, bo wszak pragniesz jego szczęścia?

Elżbieta odpowiedziała ruchem głowy nagłym jak u szaleńca.

– Żeni się za miesiąc z twoją siostrzenicą.

– Z Hortensją? – wykrzyknęła stara panna, zrywając się i uderzając w czoło.

– Jak to! Więc ty kochasz tego chłopca? – spytała pani Marneffe.

– Moja droga, odtąd między nami na śmierć, na życie – rzekła panna Fischer. – Tak, jeżeli masz jakie węzły, będą dla mnie święte. Słowem, występki twoje staną się dla mnie cnotami, bo będę potrzebowała twoich występków!

– Żyłas z nim więc? – wykrzyknęła Waleria.

– Nie, chciałam być jego matką...

– Nic już nie rozumiem – odparła Waleria. – W takim razie bowiem nie ma tu zdrady ani oszukaństwa i powinnaś być szczęśliwa, że się dobrze żeni, że wchodzi w świat... Zresztą to już przypadło, daj pokój. Codziennie, gdy ty wyjdiesz na obiad, pan artysta udaje się do pani Hulot...

„Adelino!... – rzekła do siebie Elżbieta – o Adelino, zapłacisz mi to, sprawię, że zrobisz się brzydsza ode mnie!”.

– Ależ ty zbladłaś jak śmierć! – rzekła Waleria. – Jest więc w tym coś?... Och, jaka ja głupia! Te panie musiały się domyślać, że byłabyś stawiała przeszkody tej miłości, skoro się kryją przed tobą – zawołała pani Marneffe – ale jeżeli nie żyłaś z tym chłopcem, wszystko to, moja droga, jest dla mnie bardziej ciemne niż serce mego męża.

– Och, ty nie wiesz – odparła Elżbieta – ty nie wiesz, co to za łajdactwo! To ostatni cios, który zabija. Ileż ja dostałam takich pchnięć w serce! Ty nie wiesz, że odkąd zdolna byłam czuć, zawsze poświęcano mnie dla Adeliny! Dla mnie były kije, dla niej pieśczoćy! Ja chodziłam jak pomywaczka, a ona jak dama. Ja harowałam w ogrodzie, obierałam jarzyny, a ona miała dziesięć palców na to, aby przebierać w szmatkach!... Wyszła za barona, pojechała błyszczeć na dworze cesarskim, a ja zostałam na wsi aż do roku 1809, czekając cztery lata na jaką możliwą partię. Wydobyli mnie stamtąd, ale po to, aby ze mnie zrobić robotnicę, by mi swatać gryzypiórków, wojskowych podobnych do stróżów!... Przez dwadzieścia sześć lat dojadałam ich resztki. I oto, jak w Starym Testamencie, biedny posiada jedyne jagniątko będące jego szczęściem, a bogacz, który ma całe stada, zazdrości jagniątku ubogiemu i kradnie mu je, nie uprzedziwszy, nie poprosiwszy o nie... Adelina kradnie mi moje szczęście!... Adelino! Adelino! Ujrzę cię w błocie i niżej ode mnie!... Hortensja, którą kochałam, oszukała mnie... Baron... Nie, to niemożliwe. Proszę cię, powtórz mi to, co w tym może być prawdy.

– Uspokój się, maleńka.

– Walerio, drogi aniele, uspokoje się – odparła ta dziwna dziewczyna, siadając. – Jedna rzecz może mi wrócić rozum: daj mi dowód!

– Jak to! Ależ twoja kuzynka posiada grupę Samsona, z której litografię pomieszczono w tym oto tygodniku. Kupiła ją za swoje oszczędności. To baron w interesie przyszłego zięcia popiera go i zdobywa dlań wszystko.

– Wody!... Wody!... – zawołała Elżbieta, rzuciwszy okiem na litografię, pod którą wyczytała podpis: „Grupa będąca w posiadaniu panny Hulot d'Ervy”. – Wody, głowa mi płonie, oszaleję!

Pani Marneffe przyniosła wody; stara panna zdjęła czepek, rozpuściła czarne włosy i zanurzyła głowę w miednicy, którą jej podała nowa przyjaciółka. Zanurzyła kilka razy czoło i powstrzymała grożące zapalenie. Po tej kąpeli odzyskała całe panowanie nad sobą.

– Ani słowa – rzekła do pani Marneffe, wycierając się – ani słowa o tym wszystkim... Widzisz! jestem spokojna, o wszystkim zapomniałam, myślę o czym innym!

„Zamkną ją jutro do wariatów, to pewna” – pomyślała pani Marneffe, przyglądając się Bietce.

– Co robić? – ciągnęła Elżbieta. – Widzisz, mój aniele, trzeba milczeć, schylić głowę i iść do grobu, jak woda płynie prosto do rzeki. Cóż mogę począć? Chciałabym ich wszystkich zetrzeć w proch, Adelinę, jej córkę, barona... Ale cóż może uboga kuzynka przeciw całej bogatej rodzinie?... To byłaby historia dwóch garnków: glinianego i żelaznego.

– Tak, masz słuszną – odparła Waleria – trzeba jedynie myśleć o tym, aby ciągnąć ku sobie najwięcej siana u żłobu. Oto życie w Paryżu.

– Ba – mówiła Elżbieta – umrę prędko, wierzaj, skoro stracę to dziecko, któremu chciałam zawsze być matką, z którym chciałam spędzić całe życie...

Łzy napłynęły jej do oczu, urwała. Ta tkliwość u istoty z siarki i ognia przejęła dreszczem panią Marneffe.

– Mam choć ciebie – rzekła, ujmując rękę Walerii – to pociecha w tym wielkim nieszczęściu... Będziemy się bardzo kochały i czemuż miałybyśmy się rozstać? Ja ci nigdy nie wejdem w drogę. We mnie nikt się nie zakocha!... Wszyscy ci, którzy chcieli się żenić ze mną, robili to dla protekcji mego krewniaka... Mieć w sobie energię zdolną się wspiąć do rajy i zużywać ją na zdobywanie sobie chleba, wody, łachów i poddasza! Och, dziecko moje, to jest męczeństwo. Zjadło mnie.

Urwała nagle i zatopiła w błękitnych oczach pani Marneffe czarne spojrzenie, które przeszło duszę tej ładnej kobiety, jak gdyby ostrze sztyletu przebiło jej serce.

– I po co mówić o tym? – wykrzyknęła, jakby upominając sama siebie. – Och! Nigdy tyle nie nagadałam, wierzaj! Man manem: kto oszukał, ten panem! – dodała po chwili, używając wyrażenia z gwary dziecięcej. – Mądrze to mówisz: trzeba ostrzyć ząbki i ciągnąć ze żłobu jak najwięcej siana.

– Masz słusność – rzekła pani Marneffe, którąatak ten przerażał i która nie pamiętała już, aby wygłosiła podobny aforyzm. – Sądzę, że masz słusność, moje kochanie. Ba, życie nie jest zbyt długie, trzeba zeń wycisnąć co się da i zaprzęgać drugich do swoich przyjemności... Ja, taka młoda, doszłam do tej filozofii! Wychowano mnie jak pieśczone dziecko; potem ojciec mój ożenił się przez ambicję i niemal zapomniał o mnie, uczyniwszy ze mnie wprzód swoje bóstwo, wychowawszy mnie jak królewską córkę! Biedna matka, która mnie kołysała najpiękniejszymi marzeniami, umarła ze zgryzoty, patrząc, jak wychodzę za mąż za urzędnika z tysiąc dwustu frankami pensji, zimnego rozpustnika, starca w trzydziestym dziewiątym roku życia, zepsutego jak powietrze więzienne, widzącego we mnie jedynie to, co widziano w tobie: narzędzie kariery!... I ot! Przyszłam w końcu do wniosku, że ten ohydny człowiek jest najlepszym z mężów. Woli ode mnie plugawe małpy z ulicy, ale zostawia mi swobodę. Zagarnia wprawdzie całą pensję dla siebie, ale też nigdy nie żąda rachunku ze sposobu, w jaki ja sobie wykrawam dochody...

Teraz ona umilkła, jak kobieta, którą ponosi potok zwierzeń. Uderzona bacznością, z jaką Bietka jej słucha, czuła potrzebę upewnienia się, zanim jej wyda ostatnią tajemnicę.

– Widzisz, kochanie, jakie ja mam zaufanie do ciebie!...
– wtrąciła pani Marneffe, na co Elżbieta odpowiedziała bardzo uspokajającym skinieniem.

Oczy, poruszenie głową mogą być przysięgą uroczystsza niż ta, którą się składa przed sądem.

– Mam wszystkie pozory uczciwości – podjęła pani Marneffe, kładąc dłoń w dłoni Elżbiety jakby dla odebrania od niej przysięgi. – Jestem mężatką i jestem swoją panią tak dalece, iż rano, kiedy Marneffe, wychodząc do biura, wpadnie na koncept pożegnania się ze mną i zastanie drzwi zamknięte, odchodzi po prostu spokojnie. Kocha swoje dziecko właśnie tyle, ile ja kocham owe marmurowe dzieci bawiące się u stóp posągu którejs z dwóch „Rzek” w Tuileryach. Skoro nie wrócę na obiad, je najspokojniej obiad ze służącą, z którą jest w najlepszej komitywie. Po obiedzie co wieczór wychodzi i wraca około dwunastej lub pierwszej. Na nieszczęście od roku jestem bez pokojówki, co znaczy, że od roku jestem wdową... Miałam tylko jedną namiętność, jedno szczęście... był to bogaty Brazylijczyk, wyjechał od roku – to był mój jedyny błąd! Pojechał sprzedać swoje dobra, spieniężyć wszystko, aby osiąść we Francji. Co odnajdzie ze swojej Walerii? Błoto! Ba! To jego wina, nie moja, czemu tak długo nie wraca? Może i on się rozbił, jak moja cnota.

– Bądź zdrowa, kochanie – rzekła nagle Elżbieta – nie rozstaniemy się już. Kocham cię, poważam, jestem twoja! Baron dręczył mnie, abym zamieszkała w twoim przyszłym domu przy ulicy Vanneau, nie chciałam, bo odgadłam przyczyny tej nagłej serdeczności.

– Tak, miałś mnie pilnować, wiem o tym – rzekła pani Marneffe.

– Oto powód jego wspaniałomyślności – odparła Bietka.

– W Paryżu dobrodziejstwo bywa zazwyczaj wyrachowaniem, tak jak niewdzięczność bywa zwykle zemstą... Z ubogą krewną robi się tak jak ze szczurami, którym podsuwa się kawałek słoniny. Przyjmę propozycję barona, bo ten dom stał mi się wstrętny. Och! Mamy obie dość sprytu, aby zamilczeć to, co nam nie na rękę, a powiedzieć to, co nam dogadza; tak więc, żadnej niedyskrecji i przyjaźń...

– W każdej próbie! – wykrzyknęła wesoło pani Marneffe, szczęśliwa, że znalazła przyzwoitkę, powiernicę, coś w rodzaju godnej ciotki. – Słuchaj no! Podobno baron bardzo się tam wysadza...

– Myśle! – odparła Elżbieta. – Dojechał już do trzydziestu tysięcy franków! Co prawda nie wiem, skąd je wziął, bo Józefa, ta śpiewaczka, wycisnęła go jak cytrynę. Och, dobrze trafiłaś – dodała. – Baron ukradłby dla tej, która trzyma jego serce w rączkach tak białych i gładkich jak twoje.

– A więc – odparła pani Marneffe z ową beztroską kurtyzan, która jest tylko lekkomyślnością – a więc, moje kochanie, bierz z tego mieszkania wszystko, co ci się może nadać na nowe gospodarstwo... tę komodę, tę szafę z lustrem, dywan, obicie...

Oczy Bietki rozszerzyły się pod wpływem szalonej niemal radości; nie śmiała uwierzyć w podobny dar.

– W jednej chwili zrobiłaś dla mnie więcej niż moi bogaci krewni w trzydzieści lat!... – wykrzyknęła. – Nigdy nie spytali się, czy ja mam meble! Za pierwszą wizytą, przed kilku tygodniami, baron skrzywił się z niesmakiem bogacza na widok mej nędzy. Dzięki ci, moje kochanie, odpłacę ci to, zobaczysz później jak!

Waleria odprowadziła swoją kuzynkę Bietkę aż na schody, gdzie się obie uściskały.

– Jak ją czuć potem!... – powiedziała sobie ładna kobietka, skoro została sama. – Nieczęsto będę ją całowała, tę moją kuzynkę! Ale baczość! Trzeba ją ugłaskać, przyda mi się, przy niej wypłynę!

Jak istna Kreolka paryska, pani Marneffe nienawidziła wysiłku; była leniwa jak kotka, która biega i skacze jedynie z musu. Życie rozumiała jako samą przyjemność, a przyjemność powinna być bez trudu. Lubiła kwiaty, byleby przysłano je do domu. Nie rozumiała teatru bez własnej wygodnej łoży i powozu, który by ją odwiózł. Te upodobania kurtyzany odziedziczyła Waleria po matce, którą generał Montcornet obsypywał zbytkiem w czasie, gdy bawił w Paryżu, i która przez dwadzieścia lat miała cały Paryż u swoich stóp; rozrzutnica ta wszystko strwoniła, wszystko przejadła w owym wystawnym życiu, którego program zagubił się od upadku Napoleona. Magnaci Cesarstwa dorównali w swoich szaleństwach wielkim panom dawnej epoki. Za Restauracji szlachta wciąż pamiętała o tym, że ją pobito i okradziono; toteż poza paroma wyjątkami zrobiła się oszczędna, rozsądna, przewidująca, słowem: mieszczańska i drobiazgowa. Wreszcie rok 1830 dokończył dzieła zaczętego przez 1793. Odtąd we Francji będą wielkie nazwiska, ale nie będzie wielkich domów, chyba że zaszłyby zmiany polityczne, trudne do przewidzenia. Wszystko nabiera cech osobistych. Mienie najrozsądniejszych jest dożywociem. Zniweczono rodzinę.

Potężny uścisk nędzy, który dławiał Walerię w dniu, gdy, wedle wyrażenia jej męża, wzięła Hulota, skłonił młodą kobietę do tego, iż z piękności swej uczyniła narzędzie kariery. Toteż od kilku dni czuła potrzebę posiadania przy boku oddanej przyjaciółki – coś niby matki, której powierza się to, co należy kryć przed pokojówką, i która może działać, krzątać się, myśleć za nas, słowem: zaprzędaną duszę, godzącą się na nierówny podział życia. Odgadła ona równie dobrze jak Bietka zamiar, w jakim baron chciał ją zbliżyć ze swoją kuzynką. Niebezpieczna inteligencja paryskiej Kreolki, która spędziła godziny całe wyciągnięta na kanapie, wodząc latarką swojej obserwacji po wszystkich tajnych zakątkach dusz, uczuć i intryg, podsunęła jej ten pomysł, aby szpiega zmienić na współpracowniczkę. Ta straszliwa niedyskrecja była prawdopodobnie z góry obmyślona; Waleria odgadła istotny charakter tej namiętnej dziewczyny – namiętnej w próżni – i chciała ją do siebie przywiązać. Toteż rozmowa ta była niby kamień, który podróżny rzuca w przepaść, aby zbadać jej głębie. I pani Marneffe zlekka się, odnajdując zarazem Jagona i Ryszarda III w tej dziewczynie, na pozór tak słabej, tak pokornej i nieznaczącej.

W jednej chwili Bietka stała się samą sobą; w jednej chwili charakter dzikiej Korsykanki, skruszywszy słabe więzy, które go przyginały do ziemi, odzyskał swą groźną wysokość, tak jak gałąź wymyka się z rąk dzieci, które ją przygięły, aby z niej kraść niedojrzałe owoce.

Każdy, kto śledzi zjawiska społeczne, musi podziwiać pełnię, doskonałość i szybkość pojęcia u natur dziewiczych.

Dziewictwo ma, jak wszystkie potworności, swoje osobliwe bogactwa, jakąś otchłanną wielkość. Życie, którego siły zaoszczędzono, nabiera u dziewiczych osobników nieobliczalnej zdolności oporu i trwania. Mózg wzbogaca się całym zasobem niewyzyskanej zdatności. Kiedy ludzie czyści zapotrzebują swego ciała lub duszy, kiedy się uciekną do czynu lub myśli, wówczas znajdują mięśnie ze stali, inteligencję nasyconą wiedzą, diabelską siłę, czarną magię woli.

Pod tym względem Najświętsza Panna – jeżeli ją weźmiemy przez chwilę jedynie jako symbol – przesłania swoją wielkością wszystkie typy hinduskie, egipskie i greckie. Dziewiczość, ta matka wielkich rzeczy, *magna parens rerum*, trzyma w swoich pięknych białych dłoniach klucz od wyższych światów. Słowem, straszliwy ten i wspaniały wyjątek zasługuje na wszystkie hołdy, jakie mu oddaje Kościół katolicki.

W jednej chwili tedy kuzynka Bietka stała się Mohikaninem, którego podstępny są niezwykły, chytry, nieprzenikniony, u którego szybkość decyzji wynika z niesłychanej doskonałości organów. Stała się nienawiścią i zemstą bez litości, taką, jak bywa we Włoszech, w Hiszpanii i na Wschodzie. Te dwa uczucia, których podszewką jest przyjaźń, miłość, posunięte do ostateczności, znane są jedynie w krajach skąpanych w słońcu. Ale Bietka była przede wszystkim córką Lotaryngii, to znaczy skorą do podstępu.

Niechętnie odegrała tę ostatnią część swej roli; dzięki swej ciemnocie wpadła na szczególną myśl. Wyobrażała sobie więzienie tak, jak je sobie wyobrażają dzieci; pomieszała aresztowanie z wtrąceniem do kaźni, które jest ostatnim szczeblem uwięzienia, oddanym na usługi sądu karnego.

Wprost od pani Marneffe Bietka pobiegła do pana Rivet; zastała go w biurze.

– No, drogi panie Rivet – rzekła, zaryglowawszy drzwi od gabinetu – miałeś pan słuszność, ci Polacy to szuje... ludzie bez czci i wiary!

– Ludzie, którzy chcą zażec ogień w Europie – dodał pacyfista Rivet – podkopać handel i zrujnować kupców dla jakiejś „ojczyzny”, która podobno jest jednym bagnem, zamieszkanym przez ohydnych Żydów, nie licząc Kozaków i chłopów, rodzaj dzikich bydła, mylnie zaliczanych do rodzaju ludzkiego. Ci Polacy nie rozumieją ducha epoki. Nie jesteśmy już barbarzyńcami! Wojna, droga panno Fischer, już się przeżyła, przeżyła się wraz z królami. Nasze czasy to tryumf handlu, przemysłu i mieszczańskiego rozsądku, które stworzyły Holandię. Tak – dodał ożywiając się – żyjemy w epoce, w której ludy powinny wszystko zdobywać drogą legalnego rozwoju swoich swobód oraz pokojowej działalności, ustaw konstytucyjnych; oto, czego nie rozumieją Polacy; toteż mam nadzieję... Co pani powiada? – spytał, przerywając sobie i widząc z miny swojej robotnicy, że wysoka polityka jest jej niedostępna!

– Oto akty – odparła Bietka – jeżeli nie chcę stracić moich trzech tysięcy dwustu dziesięciu franków, trzeba wpakować tego zbrodniarza do więzienia.

– A, wszak pani mówiłem! – rzekł pan Rivet, wyrocznia dzielnicy Saint-Denis.

Firma Riveta, następcy braci Pons, wciąż mieściła się przy ulicy des Mauvaises-Paroles w dawnym pałacu Langeais, wzniesionym przez tę znamienitą rodzinę w epoce, gdy wielcy panowie skupiali się koło Luwru.

– Toteż błogosławiłam pana, idąc tutaj!... – odparła Elżbieta.

– Jeżeli się uda sprawić, aby się nie domyślił niczego, przymkniemy go o czwartej rano – rzekł sędzia, zaglądając do kalendarza, aby sprawdzić porę wschodu słońca, ale dopiero pojutrze, gdyż nie można go uwięzić, nie uprzedziwszy go o intencji aresztowania mocą nakazu zarządzającego przymus osobisty. Tak więc...

– Cóż za głupia ustawa – rzekła Bietka – w ten sposób dłużnik może drapnąć.

– Ma prawo – odparł sędzia z uśmiechem. – Toteż zaraz pani wyłożę, jak...

– Och, to najmniejsza – przerwała mu Bietka – wezmę papier i oddam mu go, powiadając, że zmuszona byłam się zapożyczyć i że wierzyciel wymaga tej formalności. Znam mego Polaczka, ani nie spojrzy na papier, zapali nim fajkę!

– Nieźle, nieźle, panno Fischer! Więc dobrze, bądź pani spokojna, ubijemy sprawę. Ale słówko: to jeszcze nie wszystko przymknąć kogoś, ten luksus sądowy ma tylko wtedy sens, kiedy się ma nadzieję dojść do swoich pieniędzy. Kto panią spłaci?

– Ci, co mu dają pieniądze.

– A ba, zapomniałem, że ministerium wojny powierzyło mu pomnik, który mają wznieść jednemu z naszych klientów. Hehe! Firma dostarczyła sporo mundurów generałowi Montcornet; ten chwyt szybko je brudził w dymie armatnim. To był bohater! A płacił gotówką!

Marszałek Francji mógł ocalić cesarza albo kraj, ale dwa słowa: płacił gotówką – będą zawsze najpiękniejszą jego pochwałą w ustach kupca.

– A więc do soboty, panie Rivet, będzie pan miał swoje epolety. Ale, ale, wynoszę się z ulicy Doyenne, będę mieszkać przy ulicy Vanneau.

– Dobrze pani robi, z przykrością widziałem panią w tej dziurze, która (mimo mego wstrętu do wszystkiego, co trąci opozycją) jest zakałą, tak, śmiem powiedzieć, zakałą Luwru i placu Carrousel. Uwielbiam Ludwika Filipa, to moje bożyszczce, jest to dostojny, wiemy symbol klasy, na której oparł swą dynastię, i nigdy nie zapomnę tego, co zrobił dla szmuklerstwa, przywracając gwardię narodową...

– Kiedy słyszę, jak pan mówi – rzekła Elżbieta – pytam się sama siebie, czemu pan nie jest posłem.

– Lękają się mego przywiązania do dynastii – odparł Rivet – moi wrogowie polityczni to wrogowie króla. Och, to szlachetny charakter, piękna rodzina; słowem (podjął swój wywód), to nasz ideał: obyczajność, oszczędność, wszystko! Ale dokończenie Luwru to jeden z warunków, pod jakimi daliśmy koronę, a lista cywilna – której, przyznaję to, nie zakresłono terminu – zostawia serce Paryża w rozpaczliwym stanie... Dlatego właśnie, że wyznaję złoty środek, chciałbym widzieć środek Paryża w innym stanie. Ta pani dzielnica to coś przerażającego. Zamordowaliby tam panią którego dnia... No i co? Pana Crevel mianowano szefem batalionu w jego legii; mam nadzieję, że to my mu dostarczymy sutych epoletów.

– Jestem tam dziś na obiedzie, przyślę go tutaj.

Elżbieta umyśliła sobie, że posiadzie na własność Inflantczyka, skoro przetnie wszelką styczność pomiędzy nim a światem.

Oderwany od pracy, artysta pójdzie w niepamięć niby człowiek zakopany w piwnicy, w której ona jedna będzie go widywać. Przeżyła z tą myślą dwa dni szczęścia, sądziła bowiem, że zada śmiertelny cios baronowej i jej córce.

Idąc do pana Crevel, który mieszkał przy ulicy des Saussayes, puściła się mostem Carrousel, wybrzeżem Voltaire, d'Orsay, ulicą Belle-Chasse, de l'Université, mostem Zgody i aleją Marigny. Nielogiczną tę drogę wytyczyła logika namiętności, zawsze będąca w wojnie z nogami. Kuzynka Bietka, znalazłszy się na wybrzeżu, obserwowała prawy brzeg Sekwany, krocząc bardzo wolno. Rachuba jej była trafna. Zostawiła Wacława przy ubieraniu, przypuszczała tedy, że rozkochany młodzieniec, zyskawszy swobodę, pomknie do baronowej najkrótszą drogą. W istocie, w chwili gdy szła wzdłuż parapetu przez bulwar Voltaire, zjadając oczyma rzekę i idąc w myśli drugim brzegiem, poznała artystę w chwili, gdy wychodził z bramy Tuileries, kierując się ku mostowi Królewskiemu. Dognała niewiernego i mogła iść za nim niewidziana, zakochani bowiem obracają się rzadko; przeprowadziła go aż do domu pani Hulot, dokąd wszedł jak człowiek dobrze znający drogę.

Ostatni ten dowód, potwierdzający zwierzenia pani Marneffe, doprowadził Elżbietę do szaleństwa.

Przybyła do świeżo upieczonego majora w tym stanie wewnętrznego wzburzenia, w jakim popełnia się szaleństwa. Zastała starego Crevela oczekującego swych dzieci, młodych państwa Hulot, w salonie.

Ale Celestyn Crevel jest tak wiernym i skończonym typem paryskiego dorobkiewicza, że trudno tak wejść bez ceremonii do tego szczęśliwego następcy Cezara Birotteau. Celestyn Crevel to jest sam dla siebie cały świat; toteż zasługuje on, bardziej od Riveta, na zaszczyt pędzla i palety, z przyczyny swej doniosłej roli w tym dramacie rodzinnym.

Czyście zauważyli, jak w dzieciństwie lub w zaczątkach życia społecznego tworzymy sobie własnymi rękami, często bezwiednie, jakiś wzór? Tak urzędniczek banku, wchodząc do salonu pryncypała, marzy o posiadaniu podobnego salonu. Jeżeli zrobi majątek w dwadzieścia lat później, nie wprowadzi w swój dom zbytku będącego wówczas w modzie, ale zbytek przestarzały, który go zachwycił niegdyś. Nikt nie policzy wszystkich głupstw, które biorą początek w takiej wstecznej zazdrości, tak samo jak nikt nie zna wszystkich szaleństw zrodzonych z owych tajemnych współzawodnictw, popychających ludzi do naśladowania typu, który sobie obrali, do zdzierania sił w pogoni za cieniem. Crevel został wicemerem, bo jego pryncypał był wicemerem; został szefem batalionu, ponieważ niegdyś zazdrościł epoletów Cezarowi Birotteau. Toteż olśniony cudami dokonanymi przez architekta Grindota, wówczas gdy koło fortuny wyniosło jego pryncypała w górę, sam, kiedy chodziło o urządzenie własnych apartamentów, niedługo robił głową (jak powiadał), ale zwrócił się, z zamkniętymi oczyma i otwartą sakiewką do Grindota, architekta wówczas zupełnie zapomnianego. Sam Bóg wie, jak długo trwają jeszcze zgasłe sławy, przedłużone zapóźnionym uwielbieniem.

Grindot powtórzył tedy po raz tysięczny swój salonik biały ze złotem, obity pąsowym adamaszkiem. Palisandrowe meble, pospolicie rzeźbione, niegustowne, wbiły, w porównaniu z wyrobami paryskimi, w słuszną dumę prowincję w epoce wystawy przemysłowej. Świeczniki, kinkiety, popielniki, żyrandol, zegar strojne były banalną inkrustacją z kamyków i muszli. Okrągły stół na środku salonu wykładany był mozaiką wszelkich włoskich i starożytnych marmurów, przybyłych z Rzymu, gdzie się wyrabia te *quasi* karty mineralogiczne przypominające próbki krawieckie: stół ten budził stały podziw wszystkich mieszczuchów bywających u Crevela. Portrety nieboszczki pani Crevel, Crevela, jego córki i zięcia wyszły spod pędzla Piotra Grassou, nadwornego malarza mieszczaństwa, któremu Crevel zawdzięczał śmieszność swej bajronicznej postawy; portrety te, zawieszono symetrycznie, zdobiły ściany. Ramy, po tysiąc franków sztuka, były w harmonii z całym tym kawiarnianym zbytkiem, który pobudziłby do uśmiechu prawdziwego artystę.

Złoto nigdy nie przepuściło najmniejszej sposobności do pokazania swego głupstwa. Mielibyśmy dziś dziesięć Wenecji w Paryżu, gdyby wzbogaceni kupcy posiadali ten zmysł wielkich rzeczy, który cechuje Włochów: Jeszcze za naszych czasów kupiec mediolański wybornie może zapisać pięćset tysięcy franków katedrze na pozłotę dla olbrzymiej Matki Boskiej zdobiącej kopułę. Canova nakazuje bratu testamentem, aby zbudował kościół za cztery miliony, a brat dodaje jeszcze coś ze swego. Czy mieszczanin paryski (a wszyscy oni, jak Rivet, kochają w duszy swój Paryż) pomyślałby kiedy o tym, aby dokończyć wieże na kościele Notre-Dame? A policzmy teraz sumy, jakie zgarnia państwo z sukcesji bez spadkobierców? Można by dokończyć wszystkich upiększeń Paryża za cenę błazeństw z papy dachowej, złoconych gipsów, fałszywych rzeźb zamawianych od piętnastu lat przez figury w rodzaju Crevela.

Za tym salonem znajdował się wspaniały gabinet zdobny stołami i szafami imitującymi Boule'a.

Sypialnia, obita kretonem, również przylegała do salonu. Mahoń w całej swojej chwale zalewał jadalnię, gdzie bogato oprawne widoki ze Szwajcarii zdobiły ściany. Zacny Crevel, który marzył o Szwajcarii, chciał posiadać ten kraj w malowidle, zanim wybierze się oglądać go w naturze.

Crevel, eks-wicemer, kawaler legii, gwardzista narodowy, odtworzył, jak widzimy, wszystkie wspaniałości, nawet meblowe, swego niefortunnego poprzednika. Tam gdzie za Restauracji jeden padł, drugi, zupełnie zapomniany, wzniósł się nie dziwnym kaprysem okoliczności, ale siłą faktów. W rewolucjach jak w burzach morskich, rzeczy ważne idą na dno, fala unosi przedmioty lekkie. Cezar Birotteau, rojalista cieszący się łaską, budzący zazdrość, stał się celem pocisków mieszczańskiej opozycji, podczas gdy tryumfująca burżuazja widziała własne odbicie w Crevelu.

Apartament ten – roczny czynsz tysiąc talarów – zavalony wszystkimi banalnymi pięknymi rzeczami, jakie można mieć za pieniądze, zajmował pierwsze piętro dawnego pałacu. Wszystko tam było zakonserwowane niby owad u entomologa, gdyż Crevel przebywał w domu bardzo mało.

Wspaniały ten lokal stanowił legalne ognisko domowe ambitnego mieszczucha. Ze służby miał kucharkę i lokaja; kiedy raczył swoich przyjaciół politycznych, ludzi, których chciał olśnić, lub też kiedy przyjmował rodzinę, najmował dwóch „dochodzących” i sprowadzał wystawny obiad od Cheveta. Siedziba prawdziwej egzystencji Crevela, niegdyś przy Notre-Dame-de-Lorette u panny Heloizy Brisetout, przeniosła się, jak widzieliśmy, na ulicę Chauchat. Co rano były przemysłowiec (każdy mieszczuch wycofany z interesów tytułuje się byłym przemysłowcem) spędzał dwie godziny przy ulicy des Saussayes, aby załatwić bieżące sprawy, resztę zaś czasu poświęcał Zairze, co było Zairze nie na rękę. Orosman-Crevel¹⁴ miał z panną Heloizą ścisły kontrakt; winna mu była miesięcznie szczęścia za pięćset franków, bez przeniesienia salda. Crevel płacił zresztą za swój obiad i za wszystkie dodatki ekstra. Ta umowa w połączeniu z premiami (dawał bowiem sporo podarków) wydawała się ekonomiczna eks-kochankowi słynnej śpiewaczki. Często powtarzał przyjaciołom swoim, wdowcom zbyt kochającym swoje córki, że lepiej jest wynajmować konie miesięcznie niż trzymać własną stajnię. Mimo to, jeżeli sobie przypomnimy objaśnienie dane baronowi przez odźwiernego przy ulicy Chauchat, Crevel

14 Orosman i Zaira – imiona kochanków z tragedii Woltera „Zaira”.

nie zdołał się obejść bez stangreta i grooma¹⁵.

Jak widzimy, Crevel wyzyskał swą nadmierną miłość do córki na rzecz swoich przyjemności. Niemoralność jego życia usprawiedliwiały wysoce moralne pobudki. Przy tym życie owo (życie jedyne, życie hulaszcze, Regencja, Pompadour, marszałek de Richelieu etc.) dawało eks-olejkarzowi coś w rodzaju dystynkcji. Crevel pozował na człowieka o szerokich poglądach, na wielkiego pana w miniaturze, na człowieka „z gestem”, wolnego od ciasnych pojęć, a wszystko za cenę tysiąca dwustu, tysiąca pięciuset franków miesięcznie. To nie było głębsze wyrachowanie, ale po prostu mieszczańska próżność, która wszakże prowadziła do tych samych rezultatów. Na giełdzie Crevel uchodził za człowieka wyższego ponad swą epokę, a zwłaszcza za człowieka „umiejącego żyć”.

Pod tym względem Crevel przerósł, we własnym mniemaniu, poczciwinę Birotteau o sto łokci.

– No co! – wykrzyknął Crevel, wpadając w gniew na widok kuzynki Bietki. – Więc to ty swatasz pannę Hulot młodemu hrabiemu, którego wychuchałaś dla niej?

15 *Groom* (ang.) – stajenny.

– Nie podoba się to panu? – odparła Elżbieta, topiąc w Crevelu przenikliwe spojrzenie. – Co pan ma w tym, aby nie dać mojej kuzynce wyjść za mąż? Bo to pan, jak mi mówiono, popsuł jej małżeństwo z panem Lebas?...

– Ty jesteś dobra dziewczyna, nie papla – odparł Crevel. – A więc czy ty myślisz, że ja przebaczę kiedy panu Hulot to, że mi zdmuchnął Józefę... zwłaszcza po to, aby z poczciwej istotki, z którą byłbym się ożenił na stare lata, zrobić łajdaczkę, komediantkę, dziewczę?... Nie, nie, nigdy!

– Taki miły człowiek ten pan Hulot – rzekła kuzynka Bietka.

– O, miły, bardzo miły, zanadto miły! – odparł Crevel. – Nie życzę mu nic złego; ale chcę mieć odwet i będę miał. To moja mania.

– I to dla tej manii przestał pan bywać u pani Hulot?

– Może...

– A, pan się zalecał do Adeliny? – rzekła kuzynka Bietka z uśmiechem. – Domyślałam się.

– Potraktowała mnie jak psa; gorzej, jak lokaja; więcej powiem: jak politycznego przestępcę! Ale ja postawię na swoim – rzekł, zaciskając pięść i uderzając się w czoło.

– Biedny człowiek, to byłoby okropne zawieść się na żonie, zawiódłszy się tak boleśnie na kochance...

– Jak to! – wykrzyknął Crevel. – Józefa porzuciła go, odprawiła, przepędziła?... Brawo, Józefo! Józefo, pomściłaś mnie! Poślę ci parę kolczyków z perłami, mój eks-skarbie!... Nic o tym nie wiem, bo po naszym ostatnim widzeniu, nazajutrz po dniu, w którym Adelina jeszcze raz wyprosiła mnie za drzwi, wybrałem się do Lebasów do Corbeil i stamtąd wracam. Heloiza na głowie stawała, aby mnie wyprawić na wieś, i wiem już, o co jej chodziło: chciała oblać mieszkanie przy ulicy Chauchat – i to beze mnie! – z artystami, pajacami, literatami... Zadrwiono ze mnie! Przebaczę, bo mnie ta Heloiza bawi. To druga Déjazet¹⁶, na domowy użytek. Paradna dziewczyna! Oto bilecik, który zastałem wczoraj wieczór:

Mój dobry staruszkule, rozbiłam namioty przy ulicy Chauchat. Postaram się osuszyć mury przy pomocy paru przyjaciół. Możesz przyjść, kiedy zechcesz; Agar czeka swego Abrahama.

– Heloiza opowie mi wszystko, bo zna ten cygański światek na wylot.

– Hm, baron zniósł bardzo dobrze tę przykrą niespodziankę – odparła pięćka.

16 Virginie Déjazet (1797-1875) – słynna aktorka paryska.

– Niepodobna! – odparł Crevel, przerywając swą przechadzki, podobną do ruchu wahadła u zegara.

– Pan Hulot jest nieco w wieku – zauważyła złośliwie Bietka.

– Znam go – odparł Crevel – ale my obaj jesteśmy do siebie podobni pod pewnym względem: Hulot nie potrafi się obejść bez kobiety. Byłby zdolny wrócić do żony – mruknął. – To byłaby dla niego nowość, ale wówczas diabli by wzięli moją zemstę. Uśmiechasz się, panno Elżbieto... ho ho, czyżbyś coś wiedziała?...

– Śmieję się z pańskiego konceptu – odparła Elżbieta. – Owszem, moja kuzynka jest jeszcze dość piękna, aby mogła budzić namiętności; kochałabym się w niej, gdybym była mężczyzną.

– Czym skorupka nasiąknie! – wykrzyknął Crevel. – Ty sobie drwisz ze mnie, Bietko! Baron musiał sobie znaleźć jakąś pociechę.

Elżbieta skinęła twierdząco głową.

– To szczęściarz! Z dnia na dzień zastąpić Józefę! – ciągnął Crevel. – Ale nie dziwi mnie to; kiedyś przy kolacji opowiadał mi, że za młodu, aby nigdy nie zostać na lodzie, miał stałe trzy kochanki: tę, którą zamierzał rzucić, obecną i tę, do której umizgał się na przyszłość. Musiał mieć w zapasie jakąś rybkę w słoju! W swoim zwierzyńcu! Czysty styl Ludwika XV; to mi hultaj! Co to za szczęście być takim pięknym mężczyzną! Ale, bądź co bądź, starzeje się, już cokolwiek trąci... To pewnie jakaś mała szwaczunia.

– O, nie! – odparła Elżbieta.

– Och – rzekł Crevel – czegoż bym nie dał, aby mu przyprawić rogi! Niepodobna mi było odebrać mu Józefy: tego rodzaju kobiety nigdy nie wracają do swojej pierwszej miłości. Zresztą, jak powiadają, miłość odgrzewana nic niewarta. Ale wiesz, Bietko, dałbym, to jest wydałbym chętnie pięćdziesiąt tysięcy franków, aby zabrać temu piękniowi jego damulkę i pokazać mu, że tęgi chwyt z brzuszkiem majora i łysiną przyszłego mera Paryża nie pozwala sobie bezkarnie zdmuchnąć kochanki.

– Rola moja – odparła Bietka – to słyszeć wszystko, a nie widzieć nic. Może pan rozmawiać ze mną bez obawy, nie powtarzam nigdy ani słowa z tego, co mi ktoś zechce zwierzyć. Dlaczego pan żąda, abym uchybiła tej zasadzie? Nikt już do mnie nie miał zaufania.

– Wiem – odparł Crevel – ty jesteś perła starych panien... Ale u kata, są przecież wyjątki. Słuchaj, rodzina twoja nie pomyślała o zapewnieniu ci przyszłości...

– Mam swoją ambicję, nie chcę być ciężarem nikomu – rzekła Bietka.

– Ba, gdybyś mi pomogła się zemścić – podjął ekskupiec – umieściłbym dziesięć tysięcy franków na dożywocie dla ciebie. Powiedz mi, piękna kuzynko, powiedz mi, kto jest następczynią Józefy, a będziesz miała z czego opłacić komorne, pierwsze śniadanko, tę dobrą kawkę, którą tak lubisz, będziesz sobie mogła pozwolić na czystą mokkę... he? Co? To dobra rzecz, czysta mokka!

– Nie tyle mi zależy na dziesięciu tysiącach franków dożywocia, co by dało jakieś pięćset franków rocznie, ile na zupełnej dyskrekcji – rzekła Elżbieta – bo widzisz pan, zacny panie Crevel, baron jest dla mnie bardzo poczciwy, chce płacić moje komorne...

– Tak! Na długo! Licz na to! – wykrzyknął Crevel. – Skąd baron wziąłby pieniądze?

– A, tego nie wiem. Bądź co bądź, włożył z górą trzydzieści tysięcy franków w mieszkanie, które przeznacza dla tej młodej damy...

– Damy! Jak to, byłaby to kobieta z towarzystwa? A łotr, ten ma szczęście. Wszystko dla niego!

– Mężatka, bardzo przyzwoita kobieta – odparła kuzynka.

– Doprawdy? – wykrzyknął Crevel, otwierając oczy rozszerzone zarówno żądzą, jak tym magicznym słowem: przyzwoita kobieta.

– Tak – odparła Bietka – utalentowana, muzykalna, dwadzieścia trzy lata, ładna niewinna buzia, płeć olśniewająca, ząbki jak u młodego psiaczka, oczy jak gwiazdy, czoło wspaniałe... nóżia, nie widziałam nigdy nic podobnego, nie szersza niż brykla u gorsetu.

– A uszka? – spytał Crevel podniecony tym miłosnym obrazem.

– Tylko je rzeźbić – odparła.

– Rączki... małe?

– Powiadam panu, jednym słowem, że to klejnot ta kobieta, a uczciwa, a skromna, a delikatna!... Wzniosła dusza, anioł, wszystko, bo do tego jest córką marszałka Francji.

– Marszałka Francji! – wykrzyknął Crevel, który aż podskoczył w górę. – Boże wielki! Kroćset bomb, kroćset fur beczek!... A łajdak!... Przepraszam cię, kuzynko, ja szaleję... Dałbym chyba ze sto tysięcy franków...

– A ba, właśnie! Powiadam panu, że to uczciwa kobieta, chodząca cnota. Toteż baron wykosztował się...

– Jest bez grosza... powiadam ci.

– Jest tam mąż, którego baron poparł...

– Z której strony? – spytał Crevel z sardonycznym śmiechem.

– Już został następcą naczelnika, ten pan mąż, który z pewnością umie przymrużać oczy, i podano go do krzyża legii.

– Rząd powinien by uważać i uszanować tych, którym dał krzyż, nie szafując nim zbytnio – rzekł Crevel z miną obrażonego męża stanu. – Ale co on ma w sobie, ten stary ladaco baron? – dodał. – Zdaje mi się, że nie jestem nic gorszego – rzekł, przeglądając się w lustrze i stając w pozycji. – Heloiza mówiła mi często – w chwilach, w których kobiety nie kłamią – że jestem zdumiewający.

– Och – odparła kuzynka – kobiety lubią grubasów, to prawie zawsze dobrzy ludzie; mając do wyboru między baronem a panem, wybrałabym pana. Hulot jest miły, piękny mężczyzna, postawny; ale z pana jest tęgi kawał chłopca, a przy tym... ot, masz minę większego jeszcze ladaco od niego!

– To nie do wiary, jak wszystkie kobiety, nawet nabożnisie, lubią to u mężczyzn! – wykrzyknął Crevel, biorąc Bietkę w pól, taki był uszczęśliwiony.

– Nie w tym trudność – ciągnęła Bietka. – Rozumie pan, że kobieta, która znajdzie taki skarb, nie zdradza swego protektora dla lada czego i że to kosztowałoby więcej niż sto i parę tysięcy franków, gdyż tak za dwa lata mąż damulki może zostać naczelnikiem biura... To nędza pcha biednego aniołka w tę przepaść.

Crevel przechadzał się jak furia wzdłuż i wszerz po salonie.

– Musi mu zależeć na tej kobiecie? – spytał po chwili, przez którą żąda jego, smagana umiejętnie przez Elżbietę, doszła niemal do szału.

– Myślę sobie! – odparła Elżbieta. – Tym bardziej że na mój rozum on nie uzyskał dotąd ani tyle! – rzekła, przykając paznokciem w olbrzymią białą dłoń. – A zrobił prezentów co najmniej za jakie dziesięć tysięcy.

– Co by to był za figiel – wykrzyknął Crevel – gdybym ja go uprzedził!

– Mój Boże, niepotrzebnie opowiadam panu te wszystkie bajki – dodała Elżbieta, niby zdjęta wyrzutem sumienia.

– Nie, nie. Chcę zawstydzić twoją rodzinę. Jutro składam na twoje nazwisko, na pięć od sta, sumę taką, abyś miała od niej sześćset franków rocznie; ale powiesz mi wszystko, nazwisko, mieszkanie Dulcynei. Mogę ci się przyznać, ja nigdy nie miałem przyzwoitej kobiety, moja największa ambicja to poznać ten gatunek. Hurysy Mahometa są niczym w porównaniu z tym, co sobie wyobrażam o kobiecie z towarzystwa. Słowem, to moje marzenie, moje szaleństwo, do tego stopnia, że jak mnie widzisz, baronowa Hulot nigdy nie będzie miała dla mnie pięćdziesięciu lat – rzekł, spotykając się bezwiednie z jednym z najświetniejszych umysłów ubiegłego wieku. – Słuchaj, moja pocziwa Bietko, gotów jestem poświęcić sto, dwieście tysięcy... Cyt, dzieci idą, widzę je już na dziedzińcu. Niczego nie dowiedziałem się od ciebie, daję ci słowo honoru, bo nie chcę, abyś straciła zaufanie barona, zgola przeciwnie... Musi być po uszy zakochany w tej kobiecie, stare baronisko!

– Och! Jak wariat – rzekła Bietka. – Nie umiał złożyć czterdziestu tysięcy franków na posag dla córki, a wydobył je spod ziemi na tę nową miłość.

– I myślisz, że ona go kocha? – spytał Crevel.

– W jego wieku!... – odparła stara panna.

– Och! jakież ja głupi! – wykrzyknął Crevel. – Ja, który wybaczam Heloizie jej artystę, zupełnie tak jak Henryk IV przyzywał Bellegarde'a swojej Gabrieli. Och! Starość! Starość! – Jak się masz, Celestynko, jak się masz, klejnocie; a cóż malec? A, jest? Daję słowo, zaczyna być do mnie podobny. Dzień dobry, mój drogi zięciu, jak zdrowie, dobrze?... Będziemy mieli niebawem nowe małżeństwo w rodzinie.

Celestyna i jej mąż wskazali oczyma Elżbietę, a córka odpowiedziała bezwstydnie:

– Co za małżeństwo?

Crevel przybrał domyślną minę, oznaczającą, że naprawi swoją niedyskrecję.

– Hortensji – odparł – ale to jeszcze niezupełnie pewne. Wracam od Lebasów, była tam mowa o pannie Popinot dla młodego sędziego królewskiego trybunału w Paryżu, który chciałby zostać prezydentem sądu gdzieś na prowincji. Chodźmy na obiad...

O siódmej Elżbieta śpieszyła już do domu omnibusem; pilno jej było ujrzeć Wacława, który ją okłamywał od trzech tygodni. Miała dla niego torebkę pełną owoców, nałożonych przez samego Crevela, który podwoił czułość dla kuzynki Bietki. Wdrapała się na poddasze z szybkością, od której straciła dech, i zastała artystę zajętego wykańczaniem ornamentów na puzderko, które chciał ofiarować swojej drogiej Hortensji. Kraj wieka stroiły hortensje, wśród których igrały amorki. Aby pokryć koszt tego puzderka, które miało być z malachitu, biedny kochanek zrobił dla Florenta i Chanora dwa świeczniki, dwa arcydzieła, odstępując prawo własności.

– Zanadto pracujesz od kilku dni, mój drogi – rzekła Elżbieta, ocierając mu czoło okryte potem i całując je. – Tak mordować się, i to w sierpniu, to niebezpiecznie. Doprawdy, gotoweś się rozchorować... Ot, masz tutaj brzoskwinie, renklody od pana Crevel!... Nie zadręczaj się tak, pożyczyłam dwa tysiące franków i o ile nie zajdzie jakaś katastrofa, będziemy mogli je oddać, skoro sprzedasz zegar!... Swoją drogą, mój wierzyciel niepokoi mnie trochę, przesłał mi właśnie jakiś papier na stemplu.

Wsunęła nakaz pod rygorem osobistym pod szkic marszałka Montcornet.

– Dla kogo gotujesz te śliczności? – spytała, biorąc gałązkę hortensji z czerwonego wosku, którą Wacław odłożył, aby zjeść owoce.

– Dla jubilera.

– Którego jubilera?

– Nie wiem, Stidmann prosił mnie, abym to sknocił dla niego, bo jest bardzo zajęty.

– Ależ to hortensje – wyrzekła nieswoim głosem. – Jak to się dzieje, że nigdy nie ulepisz nic dla mnie? Czy to tak trudno byłoby wymyślić jaki nożyk, szkatułkę, mniejsza o to co, ot pamiątkę!... – rzekła, rzucając okropne spojrzenie na artystę, który szczęściem miał spuszczone, oczy. – I ty powiadasz, że mnie kochasz!

– Czy pani wątpi o tym?

– O, jakie to czułe to pani!... Słuchaj, byłeś moją jedyną myślą od czasu, jak cię znalazłam tutaj umierającego... Kiedy cię ocaliłam, oddałeś mi się na własność. Nigdy nie wspominałam ci o tym zobowiązaniu, ale zobowiązałam się wobec samej siebie, tak! Powiedziałam sobie: „Skoro ten chłopak powierzył mi swoje życie, chcę, aby był szczęśliwy i bogaty!”. Otóż powiodło mi się dać ci w rękę los!

– Jak to? – spytał biedny artysta odurzony szczęściem, a zbyt naiwny, aby podejrzewać zdradę.

– Oto jak – odparła. Elżbieta nie mogła sobie odmówić dzikiej przyjemności patrzenia na Wacława, on zaś spoglądał na nią z miłością synowską, w której wyrażała się jego miłość do Hortensji; to zmyliło starą pannę. Widząc pierwszy raz płomień namiętności w oczach mężczyzny, uwierzyła, że to ona go zażegła.

– Pan Crevel powierza nam sto tysięcy franków na założenie domu handlowego, o ile (powiada) zechcesz się ze mną ożenić; stary grubas ma takie dzikie pomysły... Cóż ty na to? – spytała.

Artysta, blady jak śmierć, patrzył na swoją dobrodziejkę martwym okiem, które zdradzało całą jego myśl. Siedział zdumiony, jakby ogłupiały.

– Nigdy mi tak wyraźnie nie powiedziano – rzekła z gorzkim śmiechem – że jestem piekielnie brzydka.

– Pani – odparł Steinbock – dobrodziejka moja nigdy nie będzie dla mnie brzydka; mam dla pani serdeczne przywiązanie, ale nie mam jeszcze trzydziestu lat, a...

– A ja mam czterdzieści trzy! – rzekła Bietka. – Adelina Hulot, moja kuzynka, ma lat czterdzieści osiem i jeszcze budzi szalone namiętności; ale ona jest piękna!

– Piętnaście lat różnicy, niech pani pomyśli, co by z nas była za para? We własnym interesie powinniśmy się dobrze zastanowić. Wdzięczność moja z pewnością równa jest pani dobroci; co się tyczy pieniędzy, oddam je pani w najbliższym czasie.

– Pieniądze! – wykrzyknęła. – Och, mówisz do mnie tak, jak gdybym była lichwiarzem bez serca.

– Przepraszam – rzekł Wacław – ale pani tak często o nich mówi... Wreszcie, stworzyłaś mnie pani, nie niszczyć mnie.

– Chcesz mnie rzucić, widzę to – rzekła potrząsając głową. – Któż to dał ci siłę do niewdzięczności, tobie, który jesteś miękki jak ciasto? Czy nie masz zaufania do mnie, swego dobrego ducha?... Do mnie, która spędziłam tyle bezsennych nocy pracując dla ciebie? Która ci oddałam oszczędności całego mego życia? Która przez cztery lata dzieliłam z tobą mój chleb, chleb biednej wyrobnicy, która ci użyczyłam wszystkiego, nawet mojej energii?

– Pani, dość! dość! – rzekł, klękając przed nią i wyciągając ręce. – Nie mów już ani słowa! Za trzy dni powiem ci wszystko; pozwól mi – dodał całując jej rękę – pozwól mi być szczęśliwym. Kocham i jestem kochany.

– Więc dobrze, bądź szczęśliwy, moje dziecko – rzekła, podnosząc go. Następnie ucałowała go w czoło i we włosy z uczuciem takim, jakiego musi doznać człowiek skazany na śmierć, sycąc się ostatnim porankiem.

– Och! pani, jesteś najlepszą i najszlachetniejszą istotą pod słońcem; jesteś równą tej, którą kocham – rzekł biedny artysta.

– Kocham cię jeszcze na tyle, aby drzeć o twoją przyszłość – odparła z posępną miną. – Judasz się powiesił!... Wszyscy niewdzięcznicy źle kończą! Opuszczasz mnie, nie stworzysz już nic pięknego. Nie mówię o małżeństwie: jestem stara panna, wiem, nie chcę dławić kwiatu twojej młodości, twojej poezji, jak ty to nazywałeś, w moich ramionach podobnych do winnego szczepu; ale choćbyśmy się nie pobrali, pomyśl, czy nie możemy zostać razem? Słuchaj, ja mam zmysł do interesów, mogę ci zebrać majątek w dziesięć lat pracy, bo ja mam na imię oszczędność; podczas gdy z młodą żoną, która będzie tylko wydatkiem, strwonisz wszystko, będziesz pracował tylko dla jej szczęścia... Szczęście nie tworzy nic prócz wspomnień. Kiedy myślę o tobie, siedzę godziny całe z opuszczonymi rękami... Słuchaj, Waławie, zostań ze mną... Wierzaj, ja rozumiem wszystko, będziesz miał kochanki, ładne kobietki podobne do małej Marneffe, która chce cię poznać i która da ci szczęście, jakiego nie możesz mieć ze mną. Potem, kiedy ci uciulam trzydzieści tysięcy renty, ożenisz się...

– Jesteś pani aniołem i nigdy nie zapomnę tej chwili – odparł Waław, ocierając oczy.

– Oto czego dla ciebie pragnę, moje dziecko – rzekła, patrząc nań z upojeniem.

Próżność tkwi w nas tak mocno, że Elżbieta uwierzyła w swój tryumf. Zrobiła takie ustępstwo, ofiarowując panią Marneffe! Było to najwyższe wzruszenie, jakiego doznała w życiu, pierwszy raz uczuła radość zalewającą jej serce. Aby przeżyć drugi raz podobną godzinę, byłaby sprzedała duszę diabłu.

– Jestem po słowie, kocham kobietę, której żadna inna nie może zastąpić. Ale pani jesteś i będziesz zawsze dla mnie matką, którą straciłem.

To słowo spadło niby śnieżna lawina na ten płomienisty krater. Elżbieta siadła, spojrzała posepnym wzrokiem na tę młodość, na ten wdzięk, na to czoło artysty, na te piękne włosy, na wszystko, co budziło w niej zdławione instynkty kobiety, i drobne łzy, które natychmiast obeschły, zwilżyły na chwilę jej oczy. Podobna była do tych nikłych posągów, które średniowieczni rzeźbiarze sadzali na grobowcach.

– Nie przeklinam cię – rzekła, powstając gwałtownie – jesteś tylko dzieckiem. Niech cię Bóg ma w swojej opiece.

Zeszła na dół i zamknęła się w swoim pokoju. „Kocha mnie – pomyślał Wacław – biedna dziewczyna. Cóż za wymowa! Oszalała!”.

Ten ostatni wysiłek suchej i trzeźwej natury, aby utrzymać przy sobie ten obraz piękna, poezji, miał w sobie tyle gwałtowności, że można go porównać jedynie z dziką energią rozbitka, wyężdżającego resztkę sił, aby dobić do brzegu.

Na trzeci dzień, o wpół do piątej rano, w chwili gdy hrabia Steinbock spał najgłębszym snem, usłyszał, że ktoś puka do drzwi jego poddasza; otworzył i ujrzał dwóch ludzi łącznie odzianych, w towarzystwie trzeciego, którego strój zdradzał komornika pośledniej klasy.

– Czy pan jest Wacław hrabia Steinbock? – spytał ten ostatni.

– Tak, panie.

– Nazywam się Grasset, następca pana Louchard, woźnego trybunału handlowego...

– A więc?

– Jest pan aresztowany, proszę pana, trzeba się udać z nami do więzienia Clichy... Zechce się pan ubrać. Jak pan widzi, zachowaliśmy wszystkie względy: nie wziąłem żandarma, dorożka czeka na dole.

– Nakryliśmy pana z całą elegancją – rzekł jeden z pomocników – toteż liczymy na pańską wspaniałomyślność.

Steinbock ubrał się, zszedł na dół trzymany pod rękę przez dwóch pomocników. Wsadzono go do dorożki; woźnica ruszył bez rozkazu, jak człowiek, który wie, dokąd jechać. W ciągu pół godziny biedny cudzoziemiec znalazł się najformalniej pod kluczem, nie próbując się nawet sprzeciwić, tak bardzo był zdumiony.

O dziesiątej poproszono go do kancelarii więziennej; zastał tam Elżbietę, która cała zapłakana wręczyła mu pieniądze, aby mógł przyzwolicie żyć i postarać się o obszerniejszy pokój, w którym by mógł pracować.

– Moje dziecko – rzekła – nie mów nikomu o swoim aresztowaniu, nie pisz do nikogo, to by zabiło twoją przyszłość, trzeba ukryć tę hańbę, ja cię niebawem oswobodzę, zgromadzę tę sumę... bądź spokojny. Wypisz mi, czego potrzebujesz do pracy, przyniosę ci. Albo umrę, albo niebawem będziesz wolny.

– Och! Będę pani winien dwakroć życie! – wykrzyknął. – Straciłbym bowiem więcej niż życie, gdyby mnie wzięto za nicponia.

Elżbieta wyszła z radością w sercu; miała nadzieję, iż trzymając swego artystę pod kluczem, zdoła udaremnić jego małżeństwo z Hortensją, powiadając, że jest żonaty, że go ułaskawiono dzięki staraniom jego żony i że wyjechał do Rosji. Aby wykonać ten plan, udała się około trzeciej do baronowej, mimo że nie był to dzień jej obiadu; ale chciała się sycić udręką siostrzenicy w chwili, gdy Wacław zwykł był przychodzić.

– Przychodzisz na obiad, Bietko – rzekła baronowa, kryjąc swoje niezadowolenie.

– Tak, oczywiście.

– Doskonale – odparła Hortensja – powiem, aby dano punktualnie, bo ty nie lubisz czekać.

Hortensja uspokoiła matkę gestem; umyśliła bowiem powiedzieć służącemu, aby przeprosił pana Steinbocka, gdy przyjdzie. Ale że służącego nie było, Hortensja musiała dać zlecenie pannie służącej, a panna służąca poszła do siebie po robótkę, aby z nią usiąść w przedpokoju.

– A mój kochanek, nie pytasz mnie już o niego? – rzekła Bietka do Hortensji, gdy ta wróciła.

– Prawda, co się z nim dzieje? – rzekła Hortensja. – Wszak jest teraz sławny. Musisz być rada – szepnęła do ucha kuzynce – wszędzie dziś mówią o panu Wacławie Steinbocku.

– O wiele zanadto – odparła głośno. – Panicz się wykoleja. Gdyby chodziło jedynie o to, aby mu zastąpić wszystkie uciechy Paryża, jestem spokojna, znam moją władzę; ale powiadają, że aby pościć takiego artystę, cesarz Mikołaj ma go ułaskawić...

– Czy podobna! – rzekła baronowa.

– Skąd wiesz? – spytała Hortensja, która uczuła niby skurcz w sercu.

– Skąd? – odparła okrutna Bietka. – Osoba, z którą łączą go najświętsze węzły, żona jego, doniosła mu o tym wczoraj. Chce jechać; och, głupstwo by zrobił, rzucając Francję dla Rosji...

Hortensja spojrzała na matkę, głowa jej zwiśla na bok; baronowa zaledwie zdążyła pochwycić córkę zemdloną, białą jak koronkowa chusteczka, którą miała na szyi.

– Elżbieto! Zabiłaś mi córkę!... – wykrzyknęła baronowa. – Urodziłaś się na nasze nieszczęście.

– Ejże! A cóżem ja tu zawiniła, Adelino? – spytała Lotarynka, wstając i przybierając groźną postawę, na którą strwożona baronowa nie zwróciła uwagi.

– Masz słuszność – odparła Adelina, podtrzymując Hortensję.

– Zadzwoń.

W tej chwili drzwi się otworzyły, obie kobiety odwróciły się równocześnie i ujrzały Wacława Steinbocka, któremu kucharka w nieobecności pokojowej otworzyła drzwi.

– Hortensjo! – krzyknął artysta i poskoczył ku grupie utworzonej przez trzy kobiety.

I ucałował narzeczoną w czoło w obecności matki, ale z taką czcią, że baronowa nie pogniewała się. Była to na zemdlenie sól lepsza od wszystkich soli angielskich. Hortensja otworzyła oczy, ujrzała Wacława, rumieńce jej wróciły. W chwilę potem była zupełnie zdrowa.

– Więc to skrywaliście przede mną? – rzekła Bietka, uśmiechając się do Wacława, niby zgadując prawdę po zmieszaniu obu kobiet. – Jakim cudem skradłaś mi mego kochanka? – rzekła do Hortensji, ciągnąc ją do ogrodu.

Hortensja opowiedziała naiwnie kuzynce dzieje swej miłości. Rodzice (mówiła), przekonani, że Bietka nie wyjdzie nigdy za mąż, pozwolili hrabiemu Steinbockowi bywać.

Tylko że Hortensja, niewiniątko szczone jak Molierowska Anusia, złożyła na karb przypadku nabycie grupy i zjawienie się autora, który, jak mówiła, ciekaw był nazwiska swego pierwszego nabywcy.

Steinbock pośpieszył za kuzynkami, aby serdecznie podziękować starej panie za rychłe oswobodzenie. Elżbieta odpowiedziała wykrętnie, że wobec mglistych jedynie przyrzeczeń wierzyiciela nie spodziewała się uwolnić go przed jutrem; ale widocznie zawstydził się swego szpetnego postępu i wyprzedził jej nadzieje. Stara panna zdawała się uszczęśliwiona, wieszowała Wacławowi jego szczęścia.

– Niedobre dziecko! – rzekła doń przy Hortensji i jej matce.

– Gdybyś mi był powiedział przedwczoraj wieczór, że kochasz Hortensję i ona ciebie wzajem, byłbyś mi oszczędził wielu łez. Myślałam, że chcesz opuścić swoją starą przyjaciółkę, swoją nauczycielkę, gdy teraz, przeciwnie, będziesz moim krewniakiem.

Odtąd będą nas łączyły węzły słabe wprawdzie, ale wystarczające uczuciom, jakie mam dla ciebie...

Ucałowała Wacława w czoło. Hortensja rozplakała się i padła w ramiona kuzynki.

– Winna ci jestem moje szczęście – rzekła – nie zapomnę ci tego nigdy...

– Bietko – dodała baronowa, ściskając Elżbietę w upojeniu szczęścia, że rzeczy tak dobrze się ułożyły – ja i mój mąż jesteśmy twymi dłużnikami i wypłacimy się. Chodź do ogrodu, pogadamy o interesach – rzekła, pociągając ją z sobą.

Elżbieta odegrała tedy na pozór rolę dobrego ducha rodziny; wszyscy, Crevel, Hulot, Adelina, Hortensja ubóstwiali ją.

– Nie chcemy, abyś pracowała nadal – rzekła baronowa.

– Przyjąwszy, że zarabiasz dwa franki dziennie, bez niedziel, to czyni sześćset franków rocznie. Powiedz mi, ile wynoszą twoje oszczędności?

– Cztery tysiące pięćset franków.

– Biedactwo! – rzekła baronowa.

Podniosła oczy do nieba, tak ją wzruszyła myśl o wszystkich mozołach i wyrzeczeniach, jakie przedstawiała ta suma uciulana w ciągu trzydziestu lat. Bietka źle zrozumiała ten wykrzyknik, ujrzała w nim szyderczą wzgardę dorobkiewicza. Nienawiść jej wzmożła się potężną dawką żółci; w tej samej chwili, w której kuzynka wyzbyła się wszelkiej nieufności wobec tej, która była tyranem jej dzieciństwa.

– Przydamy do tej sumy dziesięć tysięcy pięćset franków – odparła Adelina – pomieścimy wszystko na twoje imię jako dożywotniczki, a na imię Hortensji jako właścicielki; w ten sposób będziesz miała sześćset franków renty.

Elżbieta zdawała się uszczęśliwiona. Kiedy wróciła z chustką przy oczach, ocierając łzy szczęścia, Hortensja opowiedziała jej wszystkie fawory, które spadły na Wacława, beniaminka całej rodziny.

W chwili więc gdy baron wrócił, zastał całą rodzinę w komplecie, baronowa bowiem nazwała uroczyście Steinbocka mianem syna i oznaczyła, w razie zgody męża, ślub za dwa tygodnie. Toteż skoro tylko radca stanu zjawił się w salonie, otoczyły go żona i córka, które wybiegły naprzeciw niego, jedna, aby mu szeptać do ucha, druga, aby go uściskać.

– Za daleko się posunęłaś, moja żono, zobowiązując się w moim imieniu – rzekł surowo baron. – To małżeństwo to jeszcze nic pewnego – rzekł, spoglądając na Steinbocka, który zbladł.

Nieszczęśliwy artysta powiadał sobie: „Wie o moim aresztowaniu”.

– Chodźcie, dzieci – dodał ojciec, pociągając córkę i jej narzeczonego do ogrodu.

I usiadł wraz z nimi na omszonej ławce w altanie.

– Panie hrabio, czy pan kocha moją córkę tak, jak ja kochałem jej matkę? – spytał baron Wacława.

– Więcej, panie baronie – odparł artysta.

– Matka była córką chłopa i nie miała ani grosza majątku.

– Dajcie mi państwo pannę Hortensję tak jak stoi, nawet bez wyprawy.

– Wierzę panu! – rzekł baron z uśmiechem. – Hortensja jest córką barona Hulot d'Ervy, radcy stanu, dyrektora departamentu, wielkiego oficera legii honorowej, brata hrabiego Hulot, bohatera nieśmiertelnej sławy, który niebawem zostanie marszałkiem Francji. I... ma posag!...

– To prawda – rzekł rozkochany artysta – wyglądam na karierowicza; ale gdyby moja droga Hortensja była córką wyrobownika, ożeniłbym się z nią...

– Oto co chciałem wiedzieć – odparł baron. – Idź Hortensjo, pozwól mi porozmawiać z panem hrabią, widzisz, że kocha cię szczerze.

– O tatusiu, wiedziałam, że ty żartujesz – odparła uszczęśliwiona córka.

– Drogi hrabio – rzekł baron z niewysłowionym wdziękiem w każdym słowie i geście, znalazłszy się sam z artystą – zapewniłem synowi memu dwieście tysięcy franków wiana, z których biedaczysko nie ujrzał nigdy ani szeląga i nie ujrzy nigdy. Posag mojej córki wyniesie również dwieście tysięcy franków, których odbiór pokwitujesz...

– Tak, panie baronie.

– Jakiś ty nagły – rzekł radca stanu. – Chciej mnie posłuchać. Nie można żądać od zięcia poświęceń, których ma się prawo spodziewać od syna. Syn mój wiedział dobrze, co mogłem zrobić i co zrobię dla jego przyszłości: będzie ministrem, z łatwością znajdzie swoich dwieście tysięcy franków. Co do ciebie, młodzieńcze, to co innego! Dostaniesz sześćdziesiąt tysięcy franków w rencie państwowej, na pięć od sta, na imię swej żony. Majątek ten będzie obciążony niewielkim dożywociem Elżbiety, ale ona nie pociągnie długo, to suchotnica, wiem. Nie powiadaj tego nikomu, niech biedna dziewczyna umrze sobie w spokoju. Hortensja będzie miała wyprawę wartości dwudziestu tysięcy franków, matka dodaje do tego diamentów za sześć tysięcy...

– Zawstydzacie mnie państwo!... – rzekł Steinbock zdumiony.

– Co się tyczy pozostałych stu dwudziestu tysięcy...

– Dosyć, panie baronie, ja chcę tylko moją drogą Hortensję...

– Będziesz słuchał, ty gorąca głowo? Co się tyczy stu dwudziestu tysięcy franków, nie mam ich; ale dostaniesz...

– Panie!...

– Dostaniesz je od rządu w zamówieniach, które ci wyrobię, dam ci słowo honoru. Ot, widzisz, będziesz miał pracownię w składnicy marmurów. Wystawisz kilka pięknych rzeźb, po czym wprowadzę cię do Instytutu. Brat mój i ja cieszymy się najdostojniejszą łaską, sądzę, że uda mi się uzyskać dla ciebie roboty rzeźbiarskie w Wersalu na czwartą część tej sumy. Wreszcie dostaniesz kilka robót dla gminy Paryża, dla Izby Parów; będziesz ich miał, drogi chłopcze, tyle, że trzeba ci będzie przyjąć pomocników. W ten sposób wypłacę ci się. Rozważ, czy posag tak spłacany odpowiada ci, oblicz się z siłami...

– Czuję się na siłach zdobyć majątek dla żony sam, gdyby to wszystko chybiło! – rzekł szlachetny artysta.

– To lubię! – wykrzyknął baron. – Lubię dzielną młodość, która nie wątpi o niczym! Ja dla kobiety byłbym zwalił całą armię. A więc – rzekł ujmując dłoń młodego rzeźbiarza i uderzając w nią – masz moje zezwolenie. W najbliższą niedzielę intercyza, a w przyszłą sobotę do ołtarza, to dzień imienin mojej żony.

– Wszystko dobrze – rzekła baronowa do córki, przylepionej twarzą do okna – twój narzeczony i ojciec ściskają się.

Wróciwszy wieczorem do domu, Waław znalazł wytłumaczenie zagadki, jaką było jego oswobodzenie; zastał u odźwiernego duży zapieczętowany pakiet, zawierający akta jego wierzytelności wraz z prawidłowym pokwitowaniem, wystylizowanym pod wyrokiem; był także i list:

Drogi Waławie.

Zaszedłem do Ciebie dziś rano o dziesiątej, aby Cię przedstawić pewnej Królewskiej Wysokości, która Cię pragnie poznać. Tam dowiedziałem się, że Anglicy¹⁷ uprowadzili Cię na jedną ze swoich wysepek, której stolica zowie się Clichy Castle.

17 Anglikami nazywali paryżanie wierzycieli i komorników.

Poszedłem natychmiast do Leona de Lora i powiedziałem mu ze śmiechem, że dla braku czterech tysięcy nie możesz opuścić wilegiatury, gdzie bawisz, i że pogrzebiesz swoją przyszłość, jeżeli się nie pokażesz swemu królewskiemu protektorowi. Szczęściem był tam Bridau, ten genialny człowiek, który wie, co to nędza, i który zna Twoją historię. Otóż, mój synu, we dwóch złożyli tę sumę i poszedłem spłacić za Ciebie Beduina, który zamykając Cię, dopuścił się zbrodni obrazy Geniuszu. Ponieważ miałem być w południe w Tuileriach, nie mogę Cię oglądać oddychającego wolnością. Wiem, żeś szlachcic, zaręczyłem za Ciebie moim przyjaciółom, ale zajdź do nich jutro.

Leon i Bridau nie zechcą pieniędzy, poproszą Cię każdy o rzeźbę, i mają rozum! Tak myśli ten, który chciałby się mienić Twoim rywalem, a jest tylko Twoim kolegą.

Stidmann

PS Powiedziałem księciu, że wracasz z podróży dopiero jutro, odpowiedział: A więc do jutra!

Hrabia Waław ułożył się do snu w purpurowych prześcieradłach, które nam ściele, bez jednego fałdu, pomyślność, ta niebiańska kuternóżka, która dla ludzi genialnych stąpa wolniej jeszcze niż Sprawiedliwość i Fortuna, ponieważ Jowisz zarządził, aby nie miała opaski na oczach. Łatwo omamiona błyskotliwością szarlatanów; znęcona ich strojem i trąbami, traci na oglądanie i opłacanie ich hec ten czas, przez który powinna by szukać wartościowych ludzi po kątach, w których się kryją.

Obecnie trzeba wytłumaczyć, w jaki sposób baron Hulot zdołał określić cyfry posagu Hortensji oraz nastarczyć przerażającym kosztom rozkosznego mieszkanca, które miała zająć pani Marneffe. Jego koncepcja finansowa nosiła piętno owego talentu, który wie dzie marnotrawców i niewolników namiętności w owe trzęsawiska, gdzie czeka ich zguba pod tyłoma postaciami! Trudno o lepszy przykład osobliwej siły, jaką dają złe skłonności; siły, dzięki której ludzie zżerani ambicją lub rozkoszą, słowem, wszyscy poddani diabłu, ziszczają niekiedy kuglarskie pomysły.

Poprzedniego dnia rano stary Johann Fischer, nie mogąc zapłacić trzydziestu tysięcy franków, które zagarnął jego bratanek, ujrzał się w obliczu bankructwa, o ile mu ich bratanek nie odda.

Ten godny starzec o siwych włosach, liczący siedemdziesiąt lat, miał tak ślełą wiarę w Hulota, który dla tego bonapartysty był promieniem słońca napoleońskiego, że przechadzał się spokojnie z woźnym bankowym w sieni małego parterowego mieszkanca (komorne osiemset franków), z którego kierował swymi licznymi dostawami zboża i paszy.

– Małgosia poszła podjąć pieniądze o dwa kroki stąd – mówił mu.

Woźny, w szarym mundurze ze srebrnymi galonami, tak dobrze znał uczciwość starego Alzatzczyka, że chciał mu zostawić weksle na trzydzieści tysięcy, ale starzec zatrzymał go zaznaczając, że ósma jeszcze nie wybiła. Naraz zajechał przed dom kabriolet: starzec wybiegł na ulicę i z wzniosłą ufnością wyciągnął ręce do barona, który wręczył mu trzydzieści tysięcy franków w banknotach.

– Jedź o trzy kroki dalej, powiem ci, czemu – rzekł stary Fischer. – Oto, młodzieńcze – rzekł starzec, wyliczając pieniądze przedstawicielowi banku, którego następnie przeprowadził aż do drzwi.

Kiedy woźny znikł z oczu, Fischer kazał zawrócić kabrioletowi, w którym czekał dostojny jego bratanek, prawa ręka Napoleona, i rzekł prowadząc go do siebie:

– Chciałbyś, aby wiedziano w Banku Francuskim, żeś ty mi wręczył trzydzieści tysięcy franków, któreś mi żyrował?... I to już nadto, że na nich widnieje podpis człowieka takiego jak ty!...

– Chodźmy do ogródka, wujaszku – rzekł dygnitarz. – Czerstwo się trzymasz – podjął, siadając w altance obrosłej winem i oglądając starca tak, jak handlarz ludzkiego mięsa ogląda zastępcę pod karabin.

– Czerstwty jak dożywotnik! – odparł wesoło suchy, szczupły i żylasty staruszek z okiem pełnym życia.

– Gorąco ci nie szkodzi?

– Przeciwnie.

– Co myślisz o Afryce?

– Ładny kraj!... Francuzi bywali tam z „małym kapralem”.

– Chodzi o to, abyś dla ocalenia nas wszystkich jechał do Algieru.

– A mój interes?

– Urzędnik z ministerium wojny, który idzie na pensję i nie ma z czego żyć, odkupi go od ciebie.

– Cóż mam robić w Algierze?

– Dostawy wojskowe, zboże, pasza, mam dla ciebie podpisaną koncesję. Dostaniesz tam towar siedemdziesiąt procent poniżej cen, które ci uznamy.

– Kto mi dostarczy towaru?

– Rekwizycje, grabieże, kalifaty. W Algierze (kraju jeszcze mało znanym, mimo że siedzimy tam od ośmiu lat) jest ogromne bogactwo zboża i paszy. Otóż kiedy te produkty są własnością Arabów, my im je zabieramy pod rozmaitym pozorem; potem, kiedy są już nasze, Arabowie silą się nam je odebrać. Ciągłe się tam biją o zboże, ale nigdy się nie wie ściśle, ile ukradziono z jednej i drugiej strony. W szczyrim polu nie ma czasu mierzyć zboża na hektolitry, jak w Halach, ani też ważyć siana, jak na ulicy d'Enfer. Wodzowie arabscy zarówno jak nasze spahisy wolą pieniądze i sprzedają wówczas te produkty po bardzo niskich cenach. Administracja wojskowa ma zapotrzebowanie stałe; zawiera kontrakty po cenach wygórowanych, opartych na trudności uzyskania produktów oraz niebezpieczeństwach transportu. Oto Algier z punktu widzenia dostaw. To bigos, zakropiony butelką atramentu wszelkiej młodej administracji. My, administracja, nie rozeznamy się w tym przed jakim dziesiątkiem lat, ale ludzie prywatni mają dobre oczy. A więc posyłam cię tam, abyś zrobił majątek; czynię tak jak Napoleon, gdy stawiał ubogiego marszałka na czele królestwa, gdzie można było tajemnie popierać kontrabandę. Jestem zrujnowany, stryjaszku. Trzeba mi do roku stu tysięcy franków...

– Nie widzę w tym nic złego, aby je zabrać Beduinom – odparł spokojnie Alzatczyk. – Tak się robiło za Cesarstwa.

– Nabywca twego interesu zgłosi się tu dziś rano i wypłaci ci dziesięć tysięcy franków – odparł baron Hulot. – Wszak to wystarczy na podróż do Afryki?

Starzec skinął głową na znak zgody.

– Co do kapitałów na miejscu, bądź spokojny – ciągnął baron. – Ja podejmę resztę sumy za twój dom handlowy, potrzebuję jej.

– Wszystko jest twoje, nawet moja krew – odparł starzec.

– Och! Nie lękaj się niczego – odparł baron, pomawiając stryja o więcej przenikliwości, niż jej miał w istocie – co do naszych rekwizycji, uczciwość twoja nie ucierpi na tym ani trochę. Wszystko zależy od władz; otóż ja sam stworzyłem tam władze, jestem ich pewny. Wszystko to, stryjasku, to tajemnica na śmierć i życie; znam cię, mówiłem z tobą bez wykrętów i omówień.

– Pojedzie się – rzekł starzec.

– I to potrwa?

– Dwa lata. Dostaniesz dla siebie sto tysięcy franków, aby żyć spokojnie w Wogezach.

– Stanie się, jak każesz, mój honor jest twoim – rzekł spokojnie starzec.

– Lubię takich chwatów. Ale nie pojedziesz, dopóki nie ujrzysz swojej stryjecznej wnuczki szczęśliwą i zamężną. Zostaje hrabiną.

Rekwizycje, łupy wojenne oraz cena wyplacona za dom handlowy Fischera nie mogły bezzwłocznie dostarczyć sześćdziesięciu tysięcy franków na posag Hortensji – łącznie z wyprawą, która kosztowała około pięciu tysięcy, oraz czterdziestoma tysiącami wydanymi lub do wydania na panią Marneffe. A wreszcie skąd baron wziął owe trzydzieści tysięcy, które właśnie przywiózł? Oto jak. Kilka dni wprzód Hulot ubezpieczył się w dwóch towarzystwach asekuracyjnych na sumę stu pięćdziesięciu tysięcy franków na trzy lata. Ubrojony w opłaconą polisę towarzystwa ubezpieczeń, zagadnął w ten sposób barona de Nucingen, para Francji, w którego powozie się znalazł, jadąc z nim na obiad po sesji w Izbie Parów:

– Baronie, potrzebuję siedemdziesięciu tysięcy franków i zwracam się do ciebie. Weźmiesz jakąś podstawioną osobę, na którą przeleję na trzy lata moją pensję, w granicach, do których mogę ją zastawić. Wynosi to jakieś dwadzieścia pięć tysięcy franków rocznie, razem siedemdziesiąt pięć tysięcy. Powiesz mi: „Możesz umrzeć”.

Baron skinął potakująco głową.

– Oto polisa na sto pięćdziesiąt tysięcy franków, którą przeleję na pana aż do wysokości osiemdziesięciu tysięcy.

– A jeżeli bana stymizjonują?... – rzekł, śmiejąc się baron milioner.

Drugi baron, antymilioner, zasepił się.

– Uzboguj się ban, mófię do dylgo, apyś ficiał, sze mam befną szalugę, tając banu dę zumę. Jezd ban tedy w tjałych darabadach, pang ma bańzgie wegzle...

– Wydaję za mąż córkę; a nie mam majątku jak wszyscy pracownicy rządowi, w niewdzięcznej epoce, w której pięciuset łyków zasiadających w Izbie nigdy nie potrafi nagrodzić oddanych ludzi tak hojnie, jak to czynił cesarz.

– A pa! Miałeż ban Jósewę! – odparł par Francji. – Do tłomadzy fżyzdgo. Mięcy nami mófiądz, gsiąszę d'Herufille ottał dzi dęką bżyżłukę, otryfajądz dę bijafkę ot dfojej zagiefki. „Snam dę nietolę i fspóldzudz jej umiem” – dodał w przekonaniu, że cytuje wiersz francuski. – Bosłuchaj ban bżyjadzielsgiej raty: Zgfiduj z gopietek alpo dzie tjapli fezmą...

Ten mętny interes doszedł do skutku za pośrednictwem pokątnego lichwiarzyny nazwiskiem Vauvinet, jednego z owych macherów, którzy kręcą się koło wielkich banków, jak owa mała rybka będąca niby na posługach rekina. Ów początkujący rabuś przyrzekł baronowi Hulot – tak bardzo zależało mu na względach tej wybitnej figury – że mu zeskontuje weksle na trzydzieści tysięcy franków, z trzymiesięczną płatnością, obowiązując się prolongować je cztery razy i nie puszczać w obieg.

Następca Fischera miał dać czterdzieści tysięcy za tę firmę, ale z obietnicą dostawy furazu w jednym z departamentów sąsiadujących z Paryżem.

W taki to okropny labirynt zawiodły namiętności człowieka dotychczas najuczciwszego, jednego z najzdolniejszych pracowników administracji napoleońskiej: łupiestwo, aby opłacić lichwę, lichwa, aby zaspokoić swoje namiętności i wydać za mąż córkę. Ów kunszt rozrzutności, wszystkie te wysiłki miały ten cel, aby zaimponować pani Marneffe, aby być Jowiszem tej mieszczańskiej Danae. Nie sposób rozwinąć więcej energii, inteligencji, przedsiębiorczości dla uczciwego zrobienia majątku, niż ich rozwijał baron po to, aby wpakować głowę w gniazdo os: załatwiał punktualnie biuro, naglił tapicerów, doglądał robotników, sprawdzał najdrobniejsze szczegóły mieszkanka przy ulicy Vanneau. Całkowicie oddany pani Marneffe, chodził mimo to na sesje Izby, znajdował czas na wszystko, a rodzina jego ani nikt nie zauważyli, jak jest zaabsorbowany.

Adelina, zdumiona ocaleniem stryja, posagiem stwierdzonym w intercyzie, doznawała jakiegoś niepokoju w pełni szczęścia, jakie jej dało małżeństwo Hortensji, spełnione w tak świetnych okolicznościach. Ale w wilię ślubu córki skombinowanego przez barona z dniem, w którym pani Marneffe obejmowała w posiadanie mieszkancko przy ulicy Vanneau, Hulot uśmierzył zdziwienie żony następującą ministerialną deklaracją:

– Adelino, wydaliśmy córkę za męża, w ten sposób wszystkie nasze troski w tym przedmiocie są skończone. Nadeszła chwila, aby się wycofać ze światowego życia. Zostanę na urzędzie nie dłużej niż trzy lata; tyle mi trzeba, aby dosłużyć emerytury. Po co mielibyśmy ciągnąć wydatki, obecnie już niepotrzebne: mieszkanie kosztuje nas sześć tysięcy rocznie, mamy czworo służby, zjadamy rocznie trzydzieści tysięcy. Jeżeli chcesz, abym mógł dopełnić swoich zobowiązań, zastawiłem bowiem na trzy lata pensję, aby uzyskać sumę potrzebną na pokrycie małżeństwa Hortensji i długu stryja Fischera...

– Och! Dobrze zrobiłeś, drogi mój – rzekła, przerywając mężowi i okrywając jego ręce pocałunkami.

Wyznanie to położyło koniec obawom Adeliny.

– ...muszę cię prosić o spełnienie paru małych ofiar – ciągnął, uwalniając ręce i całując ją w czoło. – Znalezione mi przy ulicy Plumet, na pierwszym piętrze ładny apartamencik, bardzo przyzwoity, strojny wspaniałą boazerią, za tysiąc pięćset franków. Będiesz tam potrzebowała dla siebie tylko jednej pokojówki, a ja zadowolę się chłopcem do posług.

– Dobrze, mój drogi.

– Prowadząc dom skromnie, ale z zachowaniem pozorów, wydasz nie więcej niż jakie sześć tysięcy franków rocznie, poza moimi osobistymi wydatkami, które biorę na siebie...

Szlachetna kobieta skoczyła uszczęśliwiona na szyję mężowi.

– Co to za szczęście móc ci na nowo okazać, jak cię kocham! – wykrzyknęła. – Jakie ty masz wspaniałe pomysły!...

– Będziemy przyjmowali rodzinę raz na tydzień, ja zaś, jak wiesz, rzadko jadam obiad w domu... Możesz, bez ubliżenia sobie, zjeść obiad dwa razy na tydzień u Wiktora, a dwa razy u Hortensji; że zaś mam nadzieję doprowadzić do zupełnej zgody z Crevelem, będziemy jadaliby raz na tydzień u niego. Tych pięć obiadów oraz nasz szósty wypełnią tydzień, zakładając jeszcze jakieś zaproszenia poza rodziną.

– Będę dla ciebie oszczędzać – rzekła Adelina.

– Och! – wykrzyknął – jesteś perłą wśród kobiet.

– Mój dobry, anielski Hektorze! – odparła. – Będę ci błogosławić do ostatniego tchnienia, żeś dobrze wydał za mąż naszą Hortensję.

W ten oto sposób zaczęło się uszczuplenie domu pięknej pani Hulot i – powiedzmy – opuszczenie jej, solennie przyrzeczone pani Marneffe.

Grubas Crevel, zaproszony oczywiście na uroczystość podpisania intercyzy, zachował się tak, jak gdyby scena, od której zaczyna się nasza opowieść, nigdy nie miała miejsca, jak gdyby nie miał żadnej urazy do barona Hulot. Był bardzo dworny; zawsze trącił nieco dawnym kupczykiem, ale zaczynał nabierać majestatu majora gwardii. Zapowiedział, że będzie tańczyć na weselu.

– Piękna pani – rzekł z przymileniem do pani Hulot – ludzie tacy jak my umieją zapominać; niech mnie pani nie wypędza ze swego gniazdko i niech pani raczy upiększyć niekiedy mój dom, zachodząc do mnie wraz z dziećmi. Bądź pani spokojna, nie wspomnę nigdy o tym, co spoczywa na dnie mego serca. Postąpiłem sobie jak głupiec, zbyt wiele straciłbym, nie widząc pani.

– Panie Crevel, uczciwa kobieta nie słyszy słów, o których pan wspomniał; jeżeli pan dotrzyma słowa, możesz być przeświadczony o przyjemności, z jaką powitam zakończenie kwasów, zawsze tak przykrych w rodzinie.

– I cóż, dąsas się jeszcze, grubasie? – rzekł baron Hulot, pociągając Crevela do ogrodu. – Unikasz mnie wszędzie, nawet w moim domu. Godziż się, aby dwaj miłośnicy płci pięknej poróżnili się o spódnice? Nie, doprawdy, to zbyt mieszczańskie.

– Panie baronie, nie jestem mężczyzną tak urodziwym jak pan i moje skromne powaby nie pozwalają mi wynagrodzić sobie strat równie łatwo, jak to pan czyni...

– Ironia! – rzekł baron.

– Dozwolona zwyciężonemu wobec zwycięzcy.

Rozmowa zaczęta z tego tonu skończyła się rychło zupełnym pojednaniem, ale Crevel z naciskiem podkreślał swoje prawo do odwetu.

Pani Marneffe chciała być na weselu panny Hulot. Aby móc ugościć przyszłą kochankę w swoim salonie, radca stanu zmuszony był zaprosić urzędników sekcji aż do zastępcy naczelnika włącznie. Tym samym trzeba było wydać wielki bal. Jako dobra gospodyni, baronowa obliczyła, że wieczór wypadnie taniej niż obiad i pozwoli przyjąć więcej osób. Zameście Hortensji narobiło tedy wiele hałasu.

Marszałek książę de Wissemburg i baron de Nucingen ze strony oblubienicy, a hrabiowie de Rastignac i Popinot ze strony oblubieńca byli świadkami. Ponieważ od czasu sławy hrabiego Steinbocka najznamienitsi przedstawiciele emigracji polskiej ubiegali się o jego towarzystwo, artysta sądził, że należy ich zaprosić. Rada Stanu, sfery rządowe, do których należał baron, i armia, która chciała uczcić hrabiego Forzheima, reprezentowane były przez swoich dostojników. Wysłano około dwustu obowiązkowych zaproszeń. Któż nie pojmie, ile musiało zależeć małej pani Marneffe na tym, aby się w podobnym zgromadzeniu ukazać w całym blasku.

Od miesiąca baronowa opędzała wydatki na gospodarstwo córki kwotą uzyskaną ze sprzedaży diamentów, z których najpiękniejsze zachowała do wyprawy. Sprzedaż ta dała piętnaście tysięcy franków, z czego pięć pochłonęła wyprawa. Cóż to było dziesięć tysięcy franków na umeblowanie młodej pary, jeżeli się zważy wymagania nowoczesnego zbytku? Ale młodzi Hulot, stary Crevel i hrabia Forzheim wystąpili z sutymi podarkami; stryj miał w zapasie sumkę przeznaczoną na srebra. Dzięki temu współdziałaniu nawet bardzo wymagająca paryżanka byłaby zadowolona z instalacji młodego małżeństwa w mieszkaniu przy ulicy św. Dominika, w pobliżu esplanady Inwalidów. Wszystko było tam w harmonii z ich miłością, tak czystą, prostą, szczerą z obu stron.

Wreszcie nadszedł wielki dzień, miał to bowiem być wielki dzień zarówno dla ojca, jak i dla Hortensji i Wacława: pani Marneffe postanowiła inaugurować mieszkanie nazajutrz po swoim upadku i po małżeństwie dwojga zakochanych.

Któż nie był bodaj raz w życiu na jakimś weselu? Każdy może sięgnąć do swoich wspomnień, a uśmiechnie się z pewnością, wywołując w pamięci wszystkie te osoby, tak odświętne zarówno swą fizjonomią, jak obowiązującym strojem. Jeżeli kiedy jakiś fakt dowiódł oddziaływania środowisk, to chyba ten! W istocie, odświętność jednych oddziaływa tak mocno na drugich, że ludzie najbardziej nawykli do przyzwoitego stroju wyglądają tak, jakby należeli do kategorii tych, dla których wesele jest wydarzeniem znaczącym w ich życiu. Wreszcie przypomnijcie sobie: owe poważne figury starców, którym wszystko stało się tak obojętne, że wdziali swoje codzienne czarne ubranie; i stare małżeństwa o fizjonomiach zwiastujących smutne doświadczenia życia, które młodzi rozpoczynają; i zabawę, która jest niby kwas węglowy w winie szampańskim; i zawistne młode dziewczęta, i kobiety zajęte powodzeniem swoich toalet; i ubodzy krewni, których przyciasny strój odbija od tłumu osób *in flocchi*¹⁸; i smakosze myślący jedynie o kolacji, i gracze, którym tylko karty w głowie. Wszystko tam jest, bogaci i biedni, ci, co zazdroszczą, i ci, którym zazdroszczą, filozofowie i ludzie pełni złudzeń, wszystko ugrupowane niby rośliny w koszyku dokoła rzadkiego kwiatu, panny młodej. Uczta weselna to

18 *In flocchi* (wł.) – wystrojony.

świat w skróceniu?

W chwili największego ożywienia Crevel wziął barona pod ramię i szepnął mu najnaturalniej w świecie do ucha:

– Do paralusza! Cóż to za ładne stworzenie ta damulka w różowym, która cię bombarduje spojrzeniem!...

– Kto?

– Żona tego urzędniczka, którego ty pchasz rękami i nogami, pani Marneffe.

– Skąd wiesz?

– Słuchaj, Hulot, będę się starał przebaczyć ci twoje szelmostwa, jeżeli mnie wprowadzisz do niej, a w zamian ja zaproszę cię do Heloizy. Wszyscy pytają, kto jest ta urocza istota. Czy jesteś pewien, że nikt w twoim biurze nie objaśni, w jaki sposób dokonało się podpisanie nominacji męża... Och, ty szczęśliwe ladaco, ona warta więcej niż biuro... He he! Chętnie bym pracował w jej biurze... No, słuchaj, bądźmy przyjaciółmi, Cynno!...

– Ile tylko chcesz – odparł baron perfumiarzowi – i przyrzekam ci być dla ciebie jak cukierek. Za miesiąc zaproszę cię na obiad z tym aniołem... Tak, przeszedłem do aniołów, stary druhu. Radzę ci, zrób jak ja, daj pokój diabłom...

Kuzynka Bietka, pomieszczona przy ulicy Vanneau w ładnym mieszkanku na trzecim piętrze, opuściła bal o dziesiątej, aby oglądać w domu swoich tysiąc dwieście franków renty w dwóch zapisach: prawo własności, jednego należało do hrabiny Steinbock, drugiego do młodej pani Hulot. To wyjaśnia, w jaki sposób Crevel mógł zagadnąć przyjaciela swego Hulota o panią Marneffe oraz znać tajemnicę, której nikt nie znał; w nieobecności bowiem pana Marneffe kuzynka Bietka, baron i Waleria byli jedynymi posiadaczami sekretu.

Baron popełnił tę nierozwagę, iż ofiarował pani Marneffe toaletę o wiele za strojną jak na żonę skromnego urzędnika; inne kobiety były zazdrosne i o toaletę, i o urodę Walerii. Wiele szeptano za wachlarzami, gdyż nędza stała Marneffe znana była w ministerium; urzędniczyna żebrał pomocy, w chwili gdy baron zakochał się w jego połówicy.

Poza tym Hektor nie umiał ukryć swego upojenia, widząc powodzenie Walerii, która, skromna, dystyngowana, budząca zazdrość, stała się przedmiotem owego bacznego egzaminu, którego tak obawiają się kobiety wchodzące po raz pierwszy w nowy świat.

Wsadziwszy żonę, córkę i zięcia do powozu, baron znalazł sposób uniknięcia się niepostrzeżenie, zostawiając synowi i synowej obowiązki gospodarskie. Wsiadł do pojazdu pani Marneffe i odwiózł ją do domu; ale znalazł ją niemą i zamyśloną, niemal melancholijną.

– Szczęście moje zasmuca cię, Walerio – rzekł, tuląc ją do siebie w powozie.

– Jakże chcesz, drogi przyjacielu, aby biedna kobieta nie zadumała się trochę w chwili, gdy ma popełnić pierwszy błąd, nawet gdy bezceństwo męża daje jej swobodę?... Czy sądzisz, że jestem bez duszy, bez wiary, bez religii? Okazywałeś dziś wieczorem najnieprzyzwoitszą radość, afiszowałeś mnie we wstrętny sposób. Doprawdy, uczeń lepiej by się zachował od ciebie. Toteż wszystkie kobiety kłuły mnie tysiącem spojrzeń, półsłówkami! Gdzież jest kobieta, której by nie zależało na reputacji? Zgubiłeś mnie. Och! Jestem już twoja, tak, nie mam na usprawiedliwienie mego błędu innego sposobu oprócz wierności tobie... Potworze! – rzekła, śmiejąc się i pozwalając się uściskać.

– Wiedziałaś dobrze, coś robił. Pani Coquet, żona naszego naczelnika, przysiadła się do mnie, aby podziwiać moje koronki: „Angielska koronka – rzekła. – Czy drogo panią kosztuje? – Nie wiem – odparłam. – Mam je po matce, nie jestem dość bogata, by kupować podobne”.

Jak z tego się okazuje, pani Marneffe zdołała tak omamić starego zdobywcę serc z epoki Cesarstwa, że uwierzył, iż jest pierwszym oraz że obudził w niej namiętność przesłaniającą pamięć o obowiązkach. Opowiedziała mu, że bezecny Marneffe zaniedbał ją w trzy dni po ślubie, i to z jakichś okropnych przyczyn. Od tego czasu żyła jak najcnotliwsza panienka i czuła się bardzo szczęśliwa, bo małżeństwo zdało się jej czymś okropnym. Stąd jej obecny smutek.

– Gdyby z miłością miało być tak samo jak z małżeństwem!... – mówiła płacząc.

Te zalotne kłamstewka, które uprawiają prawie wszystkie kobiety w położeniu Walerii, otwierały baronowi perspektywę siódmego nieba, Toteż Waleria stroiła ceregiele, podczas gdy zakochany artysta i Hortensja może czekali niecierpliwie, aż baronowa da ostatnie błogosławieństwo i ostami pocałunek swej córce.

O siódmej rano baron, upojony szczęściem – znalazł bowiem w swojej Walerii najniewinniejsze dziewczętko i najbardziej skończonego diabła – wrócił, aby zluzować młodych Hulot w ich ciężkich obowiązkach. Tancerze i tancerki, prawie obcy, którzy w końcu opanowują teren na każdym weselu, snuli w nieskończoność owe ostatnie kontredanse zwane kotylionami, gracze siedzieli zawzięcie przy stolikach, Crevel wygrał sześć tysięcy franków.

Dzienniki roznoszone przez chłopców zawierały w kronice paryskiej następujący artykuł:

Obrzęd zaślubin hrabiego Steinbock i panny Hortensji Hulot, córki barona Hulot d'Ervy, radcy stanu i dyrektora ministerium wojny, bratanicy znakomitego hrabiego Forzheim, odbył się dziś rano w kościele iw. Tomasza z Akwinu. Uroczystość ta ściągnęła wiele osób. Zauważono w orszaku kilka naszych sław artystycznych: Leona de Lora, Józefa Bridau, Stidmanna, Bixiou; dygnitarzy z ministerium wojny, z Rady Stanu i wielu członków obu Izb; wreszcie najświetniejszych przedstawicieli polskiej emigracji, Paca, Łagińskiego etc. Hrabia Wacław Steinbock jest stryjecznym wnukiem słynnego generała Karola XII, króla szwedzkiego. Młody hrabia, który brał udział w powstaniu polskim, znalazł schronienie we Francji, gdzie zasłużony rozgłos jego talentu zyskał mu prawo naturalizacji.

Tak więc, mimo straszliwego stanu finansów barona Hulot d'Ervy, nie brakło żadnego z pozorów wymaganych przez opinię, nawet rozgłosu, jaki miało w dziennikach to małżeństwo, święcone z uroczystością zupełnie taką samą jak małżeństwo młodego Hulota z panną Crevel. Wesele to uśmierzyło pogłoski o położeniu majątkowym dyrektora, tak samo jak posag wypłacony córce usprawiedliwił konieczność uciekania się do kredytu.

Tutaj kończy się poniekąd wstęp do tej historii. Opowiadanie to jest dla dramatu, który go uzupełnia, tym, czym przesłanka dla wyvodu, czym ekspozycja dla wszelkiej klasycznej tragedii.

Kiedy w Paryżu kobieta postanowi puścić na handel swą urodę, to bynajmniej nie racja, aby miała zrobić majątek. Spotyka się w tym mieście cudowne istoty, wysoce inteligentne, żyjące w opłakanych stosunkach i kończące bardzo nędznie życie zaczęte wśród uciech. Oto czemu: poświęcić się haniebnemu rzemiosłu kurtyzany z zamiarem czerpania zeń korzyści, zachowując zarazem szatę uczciwej mężatki, to nie wystarcza. Występek niełatwo osiąga swoje tryumfy; ma on to podobieństwo z geniuszem, że Oba wymagają zbiegu szczęśliwych okoliczności, aby zespolić talent i powodzenie. Usuniecie dziwne koleje Rewolucji, a cesarz nie istnieje: byłby jedynie drugim wydaniem Faberta. Przedajna piękność bez amatorów, bez rozgłosu, bez orderu hańby, którym są dla niej strwonione majątki – to Correggio na strychu, to geniusz umierający z głodu gdzieś na poddaszu. Lais paryska musi tedy przede wszystkim znaleźć człowieka bogatego, który by się zapalił na tyle, aby zapłacić jej pełną wartość. Musi zwłaszcza zachować wykwint, który jest dla niej niby szyldem, musi mieć dość wytworne obejście, aby głaskać próżność mężczyzn, musi posiadać dowcip *à la* Zofia Amould, który łaskocze znudzonych bogaczy, wreszcie musi budzić żądze rozpustników, uchodząc za wierną jednemu, któremu wówczas zazdroszą.

Te wartości, które owe kobiety nazywają szczęściem, są w Paryżu dość trudne do ziszczenia, mimo że jest to miasto pełne milionerów, próżniaków, ludzi zużytych i goniących za kaprysem. Opatrzność chciała zapewne w ten sposób ubezpieczyć stadła urzędników i drobnego mieszczaństwa, dla których przeszkody są co najmniej podwójne, dzięki środowisku niesprzyjającemu tym manewrom. Mimo to jest w Paryżu dosyć pań Marneffe, aby Waleria mogła figurować jako typ w tej historii obyczajów. Jedne z tych kobiet ulegają zarazem szczeremu uczuciu i konieczności, jak pani Colleville, którą tak długo wiązały stosunki ze słynnym mówcą lewicy, bankierem Kellerem; innym pobudką jest próżność, jak u pani de la Baudraye, która została niemal że uczciwą mimo swojej ucieczki ze Stefanem Lousteau; inne dały się pociągnąć wymaganiom toalety, inne wreszcie niepodobieństwu utrzymania domu z pensji bezsprzecznie zbyt niskiej. Oszczędność Państwa lub, jeśli wolicie, Izb powoduje wiele nieszczęść, rodzi wiele zepsucia. Rozczulają się obecnie mocno nad losem robotników, przedstawia się ich jako ofiary wyzysku fabrykantów; ale Państwo jest sto razy twardsze od najchciwszego przemysłowca; posuwa w zakresie płac oszczędność aż do bezsensu. Pracuj wydatnie, a przemysł zapłaci ci w stosunku do twojej pracy; ale co daje Państwo tyłu nieznanym i gorliwym pracownikom?

Zejsć z drogi czci jest dla mężatki zbrodnią nie do usprawiedliwienia; ale istnieją stopnie w tym położeniu. Niektóre kobiety, dalekie od deprawacji, kryją swoje błędy i zostają uczciwe na pozór, jak owe dwie, których dzieje przypomniałszy; niektóre natomiast łączą do swoich win hańbę spekulacji. Pani Marneffe jest tedy poniekąd typem owych ambitnych kurtyzan-mężatek, które od pierwszej chwili przyjęły zepsucie ze wszystkimi jego konsekwencjami i które są zdecydowane dojść do fortuny, bawiąc się bez skrupułu co do środków; ale prawie zawsze mają one jak pani Marneffe, rajfurów i wspólników w swoich mężach. Te Makiawele w spódnicy to są najniebezpieczniejsze kobiety; ze wszystkich złych gatunków paryżanek ten jest najgorszy. Prawdziwa kurtyzana, taka Józefa, Schontz, Malaga, Jenny Cadine, noszą w jawności swojej sytuacji ostrzeżenie tak jasne jak czerwona latarnia prostytucji lub kinkiety domu gry. Mężczyzna wie wówczas, że chodzi tu o jego ruinę. Ale obleśna uczciwość, ale pozory cnoty, ale obłudne sztuczki kobiety zamężnej, która zawsze wysuwa jedynie pospolite potrzeby gospodarskie, a broni się rzekomo przed zbytkiem, wiodą do katastrof, i to do katastrof tym osobliwszych, że świat usprawiedliwia je, nie umiając ich sobie wytłumaczyć. Nie wesoły kaprys, ale plugawa książka domowych rachunków pożera majątki. Ojciec rodziny rujnuje się bez chwały i nie ma w swoim nieszczęściu nawet tej wielkiej

pociechy, jaką daje zadowolenie próżności.

Ta tyrada wnika jak strzała w serce niejednej rodziny; istnieją panie Marneffe na wszystkich piętrach gmachu społecznego, nawet na dworze; Waleria bowiem jest smutną rzeczywistością, modelowaną z natury w najdrobniejszych szczegółach. Na nieszczęście portret ten nikogo nie uleczy z manii kochania aniołów o słodkim uśmiechu, rozmarzonej mince, niewinnej buzi, a których serce jest niby żelazna kasa.

Blisko w trzy lata po ślubie Hortensji, w roku 1841, baron Hulot d'Ervy uchodził za człowieka, który się ustatkował, który wyprzął, wedle wyrażenia nadwornego chirurga Ludwika XV, a jednak pani Marneffe kosztowała go dwa razy więcej niż niegdyś Józefa. Ale Waleria, mimo iż zawsze dobrze ubrana, strzegła skromnych pozorów żony urzędnika; zbytek swój zachowywała na szlafroczy, na stroiki domowe. Poświęcała w ten sposób ukochanemu Hektorowi swą próżność paryżanki. Bądź co bądź, kiedy szła do teatru, jawiła się tam zawsze w ładnym kapeluszu, w toalecie skończenie wykwintnej, baron odwoził ją powozem i sadowił w najlepszej łoży.

Mieszkanie, które zajmowało całe drugie piętro nowoczesnego pałacyku, oddychało cnotą. Zbytek polegał na obiciach z materii, na pięknych, wygodnych meblach. Jedynie sypialnia roztaczała owe przepychy, w jakich lubują się panie Jenny Cadine i Schontz. Były tam koronkowe firanki, kaszmiry, portiery z brokatu, garnitur na kominku modelu Stidmanna, mała etażerka zastawiona cudami. Hulot nie chciał, aby gniazdko jego Walerii ustępowało co do wspaniałości śmietnikom ze złota i pereł takiej Józefy. Dwa główne pokoje, salon i jadalnia, były umeblowane jeden czerwonym adamaszkiem, a drugi rzeźbionym dębem. Ale pociągnięty pragnieniem zharmonizowania wszystkiego, baron po upływie pół roku dołączył do zbytku ulotnego zbytek trwały, ofiarowując wartościowe sprzęty, jak na przykład srebro, za które rachunek wynosił z górą dwadzieścia cztery tysiące franków.

Dom pani Marneffe nabył w dwa lata opinię bardzo miłego. Grywało się tam. Samą Walerię ogłoszono niebawem kobietą miłą i inteligentną. Aby usprawiedliwić zmianę jej położenia, rozpuszczono pogłoskę o olbrzymim zapisie, jaki jej ojciec naturalny, marszałek Montcornet, przekazał córce drogą fideikomisu¹⁹. Myśląc o przyszłości, Waleria dołączyła obłudę religijną do swej obłudy społecznej. Punktualnie bywała w niedzielę na mszy, zażywała wszystkich honorów pobożności. Kwestowała, należała do dobroczynnych towarzystw, podawała chleb do święcenia, robiła w swojej dzielnicy trochę dobrego, zawsze na koszt Hektora. Wszystko odbywało się tedy bardzo przyzwoicie. Toteż wiele osób broniło czystości jej stosunków z baronem, podnosząc wiek radcy stanu, którego pomawiano o platoniczne upodobanie w dowcipie, uroku, rozmowie pani Marneffe, mniej więcej podobne, jak nieboszczyk Ludwik XVIII miał w zręcznych liścikach.

Baron wychodził o północy ze wszystkimi, a wracał w kwadrans później. Tajemnica tej głębokiej tajemnicy była taka:

19 Fideikomis – zapis w testamencie na imię osoby, której zlecono zwrot majątku komu innemu.

Odźwiernymi w tym domu byli państwo Olivier, którzy, dzięki poparciu barona, zaprzyjaźnionego z właścicielem szukającym właśnie odźwiernego, przeszli ze swej ciemnej i mało zyskowej izdebki przy ulicy Doyenne do, lukratywnej i wspaniałej łoży przy ulicy Vanneau. Otóż pani Olivier, niegdyś bieliźniarka domu Karola X i pozbawiona tej pozycji z upadkiem prawej monarchii, miała troje dzieci. Najstarszy syn, już dependent u rejenta, był oczkiem w głowie rodziców. Beniaminkowi groziło, że go wezmą na sześć lat do wojska, łamiąc jego świetną karierę, kiedy pani Marneffe zdołała go uwolnić pod pozorem owych braków fizycznych, które komisje wojskowe umieją odkrywać, kiedy je o to poprosi na ucho jakaś ministerialna potęga. Stąd Olivier, eks-dojeżdżacz Ludwika X, i jego połowica byliby wydali Jezusa na śmierć dla barona Hulot i pani Marneffe.

Co mógł powiedzieć świat, nieświadomy przygody z Brazylijczykiem, panem Montez de Montejanos? Nic. Świat jest zresztą pełen pobłażania dla gospodyni salonu, gdzie się dobrze bawia. Wreszcie pani Marneffe łączyła do wszystkich swoich uroków i tę szacowną przewagę, że była tajemną potęgą. I tak Klaudiusz Vignon, obecnie sekretarz marszałka księcia de Wissemburg i kandydat do Rady Stanu w charakterze referendarza, był stałym gościem tego salonu, do którego zachodziło kilku posłów, wesołych kompanów i lubiących partyjkę. Towarzystwo pani Marneffe tworzyło się z wolna i oględnie; skupiali się tam ludzie jednakich przekonań i obyczajów, mający interes w tym, aby się wzajem popierać i głosić niezrównane zalety pani domu. Braterstwo kieliszka, zapamiętajcie ten aksjomat, to jest prawdziwe Święte Przymierze w Paryżu. Interesy zawsze się w końcu rozchodzą, ale nicponie zawsze się porozumieją między sobą.

Trzeciego miesiąca po instalacji pani Marneffe przy ulicy Vanneau zaczął bywać u niej Crevel, świeżo mianowany merem okręgu i oficerem legii honorowej. Crevel wahał się długo; trzeba mu było porzucić ten słynny mundur gwardzisty narodowego, w którym paradował w Tuileriach, uważając się za równie wojskowego jak cesarz; ale ambicja wspierana radami pani Marneffe była silniejsza niż próżność. Pan mer uznał, iż stosunek z panną Heloizą Brisetout bezwarunkowo się nie godzi z jego stanowiskiem politycznym. Na długo przed wstąpieniem na mieszczański tron merostwa miłości jego były spowite głęboką tajemnicą. Ale, jak czytelnik się domyśla, Crevel kupił sobie prawo wzięcia, tak często, jak zdoła, odwetu za odebranie Józefy, a otrzymał je za cenę zapisu sześciu tysięcy franków renty na imię Walerii Fortin, małżonki (separowanej majątkowo) pana Marneffe. Waleria, która może po matce miała talenty rasowej utrzymanki, przeniknęła jednym rzutem oka charakter tego pociesznego wielbiciela. Te słowa: „Nigdy nie miałem kobiety z towarzystwa!” – wyrzeczone do Elżbiety i powtórzone przez Elżbietę drogiej Walerii, zostały sownie wyzyskane w transakcji, której pani Marneffe zawdzięczała swoich sześć tysięcy franków renty. Od tej chwili nigdy nie dopuściła, aby jej urok miał osłabnąć w oczach eks-subiekta Cezara Birotteau.

Crevel ożenił się swego czasu bogato z córką młynarza z Brie, jedynaczką, której dziedzictwo stanowiło trzy czwarte jego majątku; kupcy bowiem bogacą się przeważnie nie tyle handlem, ile przez skojarzenie sklepu z wiejskimi oszczędnościami. Wielu dzierzawców, młynarzy, hodowców i rolników z okolicy Paryża marzy dla swoich córek o chwale kantoru sklepowego; kupiec, jubiler, wekslarz nęci ich jako zięć o wiele bardziej od rejenta lub adwokata, których wyższość społeczna przejmują ich lękiem; obawiają się zostać później przedmiotem wzgardy w tej arystokracji mieszczaństwa. Pani Crevel, kobieta dość brzydka, bardzo pospolita i głupia, w porę zmarła, nie dała mężowi innych rozkoszy prócz rozkoszy ojcostwa. W zaraniu tedy swej kariery kupieckiej ten hulaka, spętany obowiązkami swego zawodu i powściągany niedostatkiem, przechodził męczarnie Tantala. Stykając się z bliska, wedle swego wyrażenia, z najprzyzwoitszymi kobietami Paryża, przeprowadzał je do drzwi w lansadach subiekta, podziwiając ich wdzięk, sposób noszenia stroju i wszystkie te nieuchwytnie szczegóły zwane rasą. Wznieść się do wyżyn jednej z tych czarodziejek salonu było pragnieniem hodowanym od młodu i zdławionym w jego sercu. Uzyskać łaski pani Marneffe było dlań nie tylko ziszczeniem marzeń, ale także – jak widzieliśmy – kwestią dumy, próżności, miłości własnej. Ambicja jego wzmogła się z powodzeniem. Umysł jego doznawał wielkich rozkoszy, a gdy głowa

ulegnie, serce odczuwa to zaraz, i szczęście wzrasta dziesięciokrotnie. Pani Marneffe raczyła zresztą Crevela subtelnościami, których istnienia nie podejrzewał, gdyż ani Józefa, ani Heloiza nie kochały go, podczas gdy pani Marneffe oceniła, że warto jest dobrze oszukiwać tego człowieka, w którym widziała wiekuiastą kasę. Oszukaństwa sprzedanej miłości są bardziej urocze niż rzeczywistość. W ślad prawdziwej miłości idą owe kłótnie, w których zakochani, niby para wróbli, ranią się do żywego; natomiast sprzeczka udana dla żartu, głaszcze miłość własną omamionego. Rzadkość schadzek podtrzymywała u Crevela żądzę w stanie wrzenia. Wciąż obijał się o surową cnotę Walerii, która udawała wyrzuty sumienia, lamentując, co jej bohaterski ojciec musi o niej myśleć w niebie. Musiał wciąż pokonywać chłód, za pomocą którego sprytna szelmutka dawała mu złudzenia tryumfu, niby to ulegając szalonej namiętności mieszczucha; ale wciąż, jakby zawstydzona, cofała się, obyczajem Angielek, z powrotem w szańce niewieściej skromności i cnoty; wciąż miażdżyła Crevela ciężarem swej godności, od początku bowiem Crevel uwierzył w jej nieskazitelność. Wreszcie Waleria posiadała specjalności miłosne, które czyniły ją nieodzowną zarówno Crevelowi, jak baronowi. Przy ludziach jawiła cudowne połączenie wstydlivej i rozmarzonej niewinności, nieskazitelnej skromności, umysłu wysubtelnionego przymilnością, wdziękiem, całym wzięciem Kreolki; ale

sam na sam przechodziła kurtyzany, była szelmowska, rozpustna, bogata wciąż w nowe wymysły. Kontrast ten podoba się nadzwyczajnie typowi w rodzaju Crevela; pochlebia sobie, że jest jedynym autorem tej komedii, wierzy, że się ją gra wyłącznie dla niego samego, i podziwiając aktorkę, śmieje się z tej rozkosznej obłudy.

Waleria cudownie opanowała barona Hulot, zmusiła go, aby się zestarzał, posługując się owym subtelnym pochlebstwem, które może odmalować szatański spryt tego rodzaju kobiet. Dla uprzywilejowanych organizacji przychodzi chwila, gdy – niby oblegana forteca, która się długo broni – prawda występuje na jaw. Przewidując bliski rozkład donżuana Cesarstwa, Waleria uznała za konieczne go przyspieszyć.

– Czemu ty się krępujesz, mój stary wiarusie? – spytała go po pół roku ich tajemnego i podwójnie cudzołożnego związku. – Czy masz pretensje? Chcesz mnie zdradzać? Mnie się będziesz podobał o wiele lepiej, kiedy się nie będziesz malował. Daruj mi swoje sztuczne wdzięki. Czy myślisz, że ja kocham w tobie ten lakier na trzewikach, tę kauczukową opaskę, ten gorset i fałszywy tupecik? Zresztą, im będziesz starszy, tym mniej będę się obawiała, że mi jaka rywalka zabierze mojego Hektora!

Wierząc tedy w niebiańską przyjaźń, zarówno jak w uczucie pani Marneffe, przy której spodziewał się dokończyć życia, radca stanu usłuchał tej rady, przestając malować bokobrody i włosy. Otrzymawszy z ust Walerii to wzruszające wyznanie, rosły i piękny Hektor ukazał się pewnego ranka zupełnie biały. Pani Marneffe dowiodła bez trudu swemu drogiemu Hektorowi, że sto razy widziała białą linię tworzącą się u nasady włosów.

– Z siwizną jest ci cudownie do twarzy – rzekła na jego widok – łagodzi twoją fizjonomię, jesteś o wiele piękniejszy, jesteś uroczy.

Wreszcie baron, raz pchnięty na tę drogę, zrzucił skórzaną kamizelkę, gorset; wyzbył się całej swej uprząży. Brzuch opadł, otyłość wyszła na jaw. Dąb zmienił się w baryłę, a ociążałość ruchów stała się tym bardziej przerażająca, iż baron grając rolę Ludwika XV zestarzał się straszliwie. Brwi zostały czarne i przypominały poniekąd pięknego Hulota, tak jak na złomie feudalnego muru przetrwa jakiś ornament, aby pokazać, czym był zamek za swoich pięknych czasów. Tylko oko, wciąż młode i żywe, stanowiło z tą ogorzałą twarzą kontrast tym osobliwszy, ile że tam, gdzie tak długo kwitły Rubensowe kolory, obecnie znaczyły się zmarszczki i bruzdy znamionujące wysiłki namiętności walczącej z naturą. Hulot stał się jedną z owych okazałych ruin ludzkich, w których męskość wyraża się kępkami włosów wyrastających z uszu, z nosa, z palców niby mchy rosnące na wiekuistych niemal pomnikach rzymskiego cesarstwa.

W jaki sposób Waleria zdołała utrzymać obok siebie Crevela i Hulota, wówczas gdy mściwy major gwardii narodowej pragnął głośnego tryumfu nad baronem? Nie odpowiadając wprost na to pytanie, które znajdzie rozwiązanie w dramacie, zaznaczymy, że Elżbieta i Waleria wymyśliły wspólnie cudowną maszynę, której potężne działanie pomagało osiągnąć ten rezultat. Marneffe, widząc żonę królującą w swym środowisku niby słońce w systemie słonecznym, zapłonął dla niej rzekomo nowym ogniem, szalał po prostu za nią. Zazdrość ta, czyniąc z imię Marneffe'a straszaka, niezmiernie pomnażała cenę faworów Walerii.

Marneffe odnosił się do swego dyrektora z zaufaniem, które było w swym zaślepieniu niemal komiczne; jedyną osobą, która go drażniła, był właśnie Crevel.

Marneffe, zniszczony zboczeniami wielkomięskiej rozpusty, opisywanej przez rzymskich poetów, a niemającej nazwy w naszym nowoczesnym wstydlwym języku, stał się wstrętny niby woskowy preparat anatomiczny. Ale ta chodząca choroba, odziana wykwintnym kortem, kołysała swoje patykowate nogi w eleganckich pantalonach. Wyschła pierś stroiła się w niepokalaną bieliznę, a piżmo stłumiło cuchnące wyziewy ludzkiej zgnilizny. Ta ohyda rozpusty dogorywającej a stojnej – gdyż Waleria postawiła Marneffe'a na stopie zgodnej z jego majątkiem, orderem, stanowiskiem – przerażała Crevela; nie mógł wytrzymać spojrzenia białych oczu zastępcy naczelnika. Marneffe był zmorą Crevela. Przejrzawszy osobliwą władzę, w jaką przystroili go Elżbieta i Waleria, ten łotr bawił się nią, grał na niej jak na instrumencie; że zaś karty były ostatnią ucieczką tej duszy równie zużytej, jak ciało, skubał bez litości Crevela, uważającego, że trzeba mu starać się o względy czcigodnego urzędnika, którego oszukiwał!

Widząc Crevela tak pokornym z tą wstrętną i plugawą mumią, której zepsucie było dla mera tajemnicą, widząc go zwłaszcza w tak głębokiej wzdardzie u Walerii, która śmiała się z Crevela jak z błazna, baron czuł się prawdopodobnie tak bezpiecznym od wszelkiej rywalizacji, że zapraszał go ciągle na obiad.

Waleria, strzeżona przez te dwie namiętności wciąż przy jej boku i przez zazdrosnego męża, ściągała wszystkie spojrzenia, budziła wszystkie żądze w kręgu, w którym promieniowała. W ten sposób, zachowując pozory, zdołała w niespełna trzy lata ziścić najtrudniejsze warunki powodzenia, o jakie zabiegają kurtyzany, osiągając je tak rzadko, mimo iż wspomagane skandalem, zuchwalstwem i blaskiem życia w pełnym słońcu. Niby diament pięknie oszlifowany i misternie oprawny przez Chanora, piękność Walerii, niegdyś zagrzebana w norze przy ulicy Doyenne, uzyskała cenę ponad swą wartość, zadawała męczarnie!... Klaudiusz Vignon kochał potajemnie Walerię.

Ten rzut oka w przeszłość, dość potrzebny, kiedy się odnajduje ludzi po trzech latach niewidzenia, jest niby bilansem Walerii. Oto bilans jej współpracownicy Elżbiety.

Kuzynka Bietka zajmowała w domu Marneffe'ów pozycję krewnej, która skojarzyła funkcję damy do towarzystwa i gospodyni; ale nie znała podwójnych upokorzeń, które przeważnie są udziałem istot na tyle nieszczęśliwych, aby przyjąć tę dwuznaczną pozycję. Elżbieta i Waleria przedstawiały wzruszający obraz przyjaźni tak żywej i tak mało prawdopodobnej między kobietami, że paryżanie, zawsze za sprytni, skwapliwie siłą się ją spotwarzyć. Kontrast męskiej i suchej natury Lotarynki z wdzięczną kreolską naturą Walerii wspomagał tę obmowę. Pani Marneffe dodawała zresztą bezwiednie strawy plotkom przez troskliwość, z jaką się zajęła przyjaciółką, w zamiarze matrymonialnym, który miał, jak się to pokaże, uwieńczyć zemstę Elżbiety. Olbrzymi przewrót dokonał się w Bietce; Waleria, która postanowiła ją ubrać, wyzyskała go doskonale. Ta szczególna dziewczyna, obecnie pojednana z gorsetem, sznurowała się, używała bandolinę na swoje gładkie włosy, kładła suknie przyniesione od krawcowej, nosiła wykwintne obuwie i szare jedwabne pończochy, włączone zresztą przez dostawców w rachunki Walerii i płacone przez tego, komu przypadł ten obowiązek. Tak odświeżona, zawsze w żółtym kaszmirze, Bietka byłaby nie do poznania dla kogoś, kto by ją ujrzał po tych trzech latach. Ten drugi czarny diament, najrzadszy z diamentów, oszlifowany biegłą ręką i ujęty w odpowiednią oprawę, znalazł należną ocenę w oczach paru

ambitnych urzędników. Kto ujrzał Bietkę pierwszy raz, tego przebiegał mimowolny dreszcz na widok dzikiej poezji, którą zręczna Waleria umiała wydobyć, stylizując toaletą tę broczącą mniszkę, ujmując artystycznie w obfite pasma tę suchą oliwkową twarz, w której błyszcząły czarne oczy, harmonizujące z kolorem włosów i uwydatniające tę sztywną kibić. Bietka, niby „Dziewica” Cranacha i Van Eycka, niby „Dziewica” bizantyńska, która wyszła ze swoich ram, zachowała sztywność, poprawność tych tajemniczych figur, ciotecznych sióstr Izydy, oraz bóstw zamkniętych w podłużne skrzynie przez egipskich rzeźbiarzy. Był to chodzący granit, bazalt, porfir. Wolna od trosk na resztę życia, Bietka była w świetnym humorze, wносиła z sobą wesołość wszędzie, gdzie szła na obiad. Baron opłacał zresztą komorne małego mieszkanka, umeblowanego, jak wspomniano, szczątkami buduaru i sypialni przyjaciółki jej, Walerii.

– Zaczawszy – powiadała – życie jak istna zgłodniała koza, kończę je jako lwica.

Dalej wykonywała co najtrudniejsze roboty szmuklerskie dla pana Rivet, jedynie (powiadała), aby nie marnować czasu. Mimo to życie jej było, jak to wykażemy, bardzo czynne: ale w duchu urodzonych wieśniaków leży, aby nigdy nie poniechać zarobku – podobni są w tym do Żydów.

Co rano, prawie o świcie, kuzynka Bietka szła osobiście z kucharką do wielkich Hal. Wedle planu Bietki książka gospodarska, która rujnowała barona Hulot, miała bogacić jej drogą Walerię, i bogaciła ją w istocie.

Któraż gospodyni domu nie odczuwała, od roku 1838, oplakanych następstw teorii antyspołecznych rozsiewanych w niższych klasach przez demagogicznych pisarzy? W każdym domu rana służby jest dziś najkrwawszą ze wszystkich ran gospodarczych. Poza bardzo rzadkimi wyjątkami, które zasługiwałyby na nagrodę Montyona²⁰, kucharz i kucharka są to złodzieje domowi, oplacani, bezczelni, a rząd staje się dla nich niejako paserem, rozwijając popęd do kradzieży, niemal uświęconej u kucharek odwiecznym konceptem o koszykowym. Tam gdzie dawniej te kobiety czerpały dwa franki, aby postawić na loterię, tam obecnie zgarniają pięćdziesiąt franków, aby je włożyć do kasy oszczędności. A zimnym purytanom, którzy się bawią w robieniu na Francji filantropijnych doświadczeń, zdaje się, że umoralniają lud! Pomiędzy stołem państwa a targiem służba ustawiła swoje tajemne rogatki i gmina Paryża nie jest tak sprawna w poborze myta, jak oni w ściąganiu podatku od wszystkiego. Poza pięćdziesięcioma od sta, którymi okładają prowianty, wymagają jeszcze sowitej kolędy od dostawców. Najwięksi kupcy drżą przed tą tajemną potęgą; oplacają ją bez słowa wszyscy: wynajemcy powozów, jubilerzy, krawcy etc. Temu, kto próbuje ich kontrolować, odpowiadają

20 Antoine Auget de Montyon (1733-1830) – radca stanu, filantrop.

zuchwalstwem lub też kosztowną szykaną udanej niezręczności; zasięgają dziś informacji o chlebobdawcach, jak ci niegdyś o nich. Zło, które dosięgło szczytu i przeciw któremu trybunały zaczynają występować, ale na próżno, mogłoby zniknąć jedynie za pomocą prawa, które by ustanowiło dla służby przymus książki robotniczej. Wówczas zło znikłoby jak za pomocą czarów. Ponieważ każdy służący zmuszony byłby okazać swoją książkę, a państwo byłoby obowiązani wyszczególnić przyczyny odprawy, demoralizacja znalazłaby potężny hamulec. Ludzie zajmujący się w tej chwili wysoką polityką nie mają pojęcia o rozmiarach zepsucia niższych klas w Paryżu: równe jest zawiści, która je pożera. Statystyka milczy co do przerażającej liczby dwudziestoletnich robotników, którzy żenią się z czterdziesto- i pięćdziesięcioletnimi kucharkami, wzbogaconymi kradzieżą. Dreszcz wstrząsa na myśl o skutkach podobnych związków z trojakiemu punktu widzenia: kryminalistyki, zbędkarcenia rasy i złych małżeństw. Co do szkody czysto pieniężnej powodowanej przez kradzieże domowe, jest ona ze społecznego punktu widzenia ogromna. Życie, droższe w ten sposób dwukrotnie, wzbrania większości małżeństw wszystkiego, co zbyteczne. Zbyteczne!... To połowa handlu w kraju, to wykwint życia. Książki, kwiaty są wielu ludziom tak samo potrzebne jak chleb.

Elżbieta, która znała tę okropną ranę paryskich gospodarstw, umyśliła prowadzić dom Walerii, wówczas gdy jej obiecała swą pomoc w owej strasznej scenie, kiedy to przyrzekły sobie być jak siostry. Sprowadziła tedy z Wogezów swoją krewną po matce, dawną kucharkę biskupa w Nancy, starą pannę nabożną i bardzo uczciwą. Mimo to obawiając się jej niedoświadczenia w Paryżu, zwłaszcza zaś złych wpływów, którym tak łatwo ulegają nazbyt kruche cnoty, Elżbieta chodziła z Maturyną do Wielkich Hal i starała się ją nauczyć kupować. Znać prawdziwą cenę towaru, aby zyskać szacunek przekupnia, jadać potrawy w dobrą porę, jak na przykład rybę, wówczas gdy nie są drogie, znać kurs każdego prowiantu i umieć przewidzieć zwyczaj, aby zrobić zapas w porze zniżki, ten zmysł gospodarski jest w Paryżu najpotrzebniejszy w prowadzeniu domu. Ponieważ Maturyna miała ładną płacę, ponieważ obsypywano ją podarkami, była na tyle przywiązana do domu, aby się cieszyć z taniego zakupu. Toteż od pewnego czasu rywalizowała z Elżbietą, która uznawszy ją za dość wytrawną i pewną, sama chodziła do Hal już tylko w dni, gdy Waleria miała gości, co, mówiąc nawiasem, zdarzało się często. Oto czemu. Z początku baron przestrzegał najściślej pozorów; ale w krótkim czasie namiętność jego stała się tak gwałtowna i zachłanna, że pragnął się rozłączać z Walerią jak najmniej. Z początku jadał u niej cztery razy na tydzień, później oczarowała go myśl, aby bywać na obiedzie co

dzień. W pół roku po ślubie córki płacił dwa tysiące miesięcznie tytułem pensji. Pani Marneffe zapraszała osoby, które jej drogi baton pragnął ugościć. Zresztą obiad był zawsze przygotowany na sześć nakryć, baron mógł przyprowadzić trzy osoby niespodzianie. Elżbieta oszczędnością swoją urzeczywistniła nadzwyczajny problem utrzymania tego zbyt kosztownego stołu za tysiąc franków, tysiąc zaś dawała miesięcznie pani Marneffe. Toalety Walerii opłacali hojnie Crevel i baron, przy czym dwie przyjaciółki umiały jeszcze wykroić tysiąc franków z tego wydatku. Toteż ta kobieta, tak czysta, tak naiwna, posiadała w tej chwili około stu pięćdziesięciu tysięcy franków oszczędności. Skupiła swoją rentę i swoje miesięczne obrywki, kapitalizując je i pomnażając o ogromne zyski dzięki szczodrości, z jaką Crevel dopuszczał kapitały swojej księżniczki do swych szczęśliwych operacji finansowych. Crevel wtajemniczył Walerię w gwarę i spekulacje giełdy; i jak wszystkie paryżanki, niebawem przewyższyła mistrza. Elżbieta, która nie wydawała ani szeląga ze swoich tysiąca dwustu franków, która miała zapłacone komorne i toaletę i nie wyjmowała ani grosza z kieszeni, posiadała również kapitał pięciu czy sześciu tysięcy franków, którym Crevel obracał po ojcowsku.

Miłość barona i Crevela była wszakże ciężkim brzemieniem dla Walerii. W dniu, w którym na nowo podejmujemy opowiadanie, Waleria, podniecona jednym z owych wydarzeń będących w życiu niby uderzenie dzwonu, na które zlatują się pszczoły, zaszła do Elżbiety, aby dać sobie upust w owych długich lamentacjach, czymś w rodzaju mówionego papierosa, którym kobiety lubią usypiać małe niedole swojej egzystencji.

– Bietko, kochanie moje, dziś rano mam dwie godziny Crevela, to straszne! Och! Jakbym chętnie posłała ciebie na moje miejsce!

– Na nieszczęście, to niemożliwe – odparła Elżbieta z uśmiechem. – Umrę dziewczicą.

– Należć do tych dwóch starców! Są chwile, w których wstyd mi samej siebie! Ach! Gdyby moja biedna matka mnie widziała!

– Bierzesz mnie za Crevela – odparła Bietka.

– Powiedz mi, moja droga Bietko, że mną nie pogardzasz...

– Och! Gdybym była ładna, dopieroż bym miała... przygód! – wykrzyknęła Bietka. – Daję ci absolicję.

– Ale ty byś słuchała tylko serca – rzekła pani Marneffe z westchnieniem.

– Ba! – odparła Elżbieta – Marneffe to trup, którego zapomniano pogrzebać, baron jest niby twoim mężem, Crevel to twój wielbiciel; uważam, że jesteś jak wszystkie kobiety, najzupełniej w porządku.

– Nie, moje kochanie najdroższe, to nie to, to nie stąd ból, ty mnie nie chcesz zrozumieć...

– Och! Owszem... – wykrzyknęła Lotarynka – bo ten domyślnik to częśćka mojej zemsty. Cóż chcesz, pracuję nad tym.

– Kocham Wacława tak, że chudnę z tego, a nie mogę osiągnąć bodaj tyle, aby go widzieć! – rzekła Waleria, przeciągając się. – Hulot zaprasza go do mnie na obiad, a pan artysta odmawia! Nie wie ten potwór, że ja go ubóstwiam! Cóż to jest ta jego żona? Ładny kawał mięsa! Tak, ładna, owszem, ale ja znam siebie: ja jestem większa szelma!

– Bądź spokojna, moja dziewczynko, przyjdzie – rzekła tonem, jakim piastunki mówią do kapryszących dzieci – ja chcę tego...

– Ale kiedy?

– Może w tym tygodniu.

– Chodź, niech cię uściskam.

Jak z tego widać, te dwie kobiety stanowiły jedno, wszystkie postęпки Walerii, nawet najszałeńsze, jej przyjemności, dąsy, wszystko rozstrzygało się po dojrzałym namyśle między nimi dwiema.

Elżbieta, dziwnie podniecona tym życiem kurtyzany, radziła Walerii we wszystkim i snuła bieg swojej zemsty z nieubłaganą logiką. Ubóstwiała zresztą Walerię, zrobiła z niej swoją córkę, swoją przyjaciółkę, swoją miłość, znajdowała w niej powolność Kreolki, miękkość rozkosznicy; szczebiotała z nią co rano z większą o wiele przyjemnością niż niegdyś z Waławem. Mogły się śmiać ze swoich wspólnych szelmstw, z głupoty mężczyzn, obliczać wspólnie rosnące procenty swoich skarbonek. Elżbieta znalazła zresztą w swoim planie i w nowej przyjaźni o ileż bogatszy pokarm niż w niedorzecznej miłości: do Waław! Rozkosze nasyconej nienawiści są najgorętsze, najmocniejsze w sercu ludzkim. Miłość jest niejako złotem, a nienawiść żelazem w tej kopalni uczuć, która w nas się kryje. Wreszcie Elżbieta znajdowała w Walerii w całym blasku ową piękność, którą ubóstwiała, jak ubóstwia się wszystko, czego się nie ma, piękność o wiele przystępniejszą niż uroda Waław, który był zawsze dla niej zimny i nieczuły.

Po trzech blisko latach Elżbieta zaczynała widzieć postępy podkopu, nad którym pracowała, obracając na to całe swe życie i inteligencję. Elżbieta myślała, pani Marneffe działała. Pani Marneffe była toporem, Elżbieta ręką, która nim władała, i ręka ta szybkimi ciosami niszczyła rodzinę, która z dnia na dzień stawiała się jej bardziej nienawistną; nienawidzi się bowiem coraz więcej, tak jak się kocha z każdym dniem więcej, gdy się kocha. Miłość i nienawiść są to uczucia, które znajdują pokarm w sobie samych; ale z tych dwu uczuć nienawiść ma dłuższe życie. Miłość ograniczona jest granicami sił, czerpie swą moc w życiu i użyciu; nienawiść podobna jest do śmierci, do skąpstwa, jest poniekąd czynną abstrakcją, ponad człowiekiem i życiem. Elżbieta, wszedłszy w egzystencję, do której była stworzona, rozwinęła w niej wszystkie swoje zdolności; władała na sposób jezuitów, jako tajemna potęga. Toteż cała jej istota była jak odrodzona. Twarz jej promieniała. Elżbieta marzyła o tym, aby zostać marszałkową Hulot.

Ta scena, w której dwie przyjaciółki zwierzały sobie bez ogródek najdrobniejsze myśli, nie dobierając wyrażeń, miała miejsce tuż po powrocie z Hal, dokąd Elżbieta udała się, aby zakupić wiktuały na wykwintny obiad. Marneffe, który miał chętkę na miejsce po panu Coquet, podejmował go wraz z cnotliwą panią Coquet, a Waleria miała nadzieję, że jeszcze tego wieczora Hulot ubije z naczelnikiem sprawę jego dymisji. Elżbieta ubierała się, szła na obiad do baronowej.

– Wrócisz, Bietko moja, aby nam podać herbatę? – spytała Waleria.

– Mam nadzieję...

– Jak to, masz nadzieję? Czyżbyś doszła do tego, że sypiasz z Adeliną, aby spijać jej łzy we śnie?

– Gdyby to było możliwe – odparła Bietka ze śmiechem – nie zarzekam się. Ona pokutuje za swoje szczęście, ja jestem szczęśliwa, przypominam sobie nasze dzieciństwo. Każdy ma swoją kolej. Ona znajdzie się w błocie, a ja będę hrabiną Forzheim.

Elżbieta udała się na ulicę Plumet, gdzie od jakiegoś czasu chodziła tak, jak się chodzi do teatru, aby się nasycić wrażeniami.

Mieszkanie, które Hulot wyszukał dla żony, składało się z obszernego przedpokoju, salonu i sypialni wraz z gotownią. Jadalnia przylegała dłuższym bokiem do salonu. Dwa pokoiki dla służby i kuchnia, położone na trzecim piętrze, uzupełniały to mieszkanie, godne jeszcze radcy stanu, dyrektora w ministerium wojny. Dom, dziedziniec i schody były majestatyczne. Baronowa, zmuszona umeblować salon, swój pokój i jadalnię resztkami dawnej świetności, wybrała, co było lepszego z domu przy ulicy Uniwersyteckiej. Biedna kobieta kochała zresztą te nieme świadki swego szczęścia, które dla niej miały wymowę poniekąd pocieszającą. Dostrzegała w swoich wspomnieniach kwiaty, tak jak widziała na dywanie różyczki, ledwie widzialne dla innych.

Wchodząc do obszernego przedpokoju, gdzie tuzin krzeseł, barometr i wielki piec oraz długie firanki z białego perkalu z czerwonymi lamówkami przypominały okropne przedpokoje ministerialne, doznawało się ściśnięcia w sercu; zgadywało się samotność, w jakiej żyła ta kobieta. Cierpienie, tak samo jak rozkosz, wytwarza wkoło siebie atmosferę. Od pierwszego rzutu oka wie się, co włada w domu, miłość czy rozpacz. Zastawało się Adelinę w olbrzymiej sypialni, umeblowanej pięknymi meblami Jakuba Desmaltersa, z nakrapianego mahoniu strojnego ozdobami w stylu Cesarstwa, owymi brązami, które dokazały tej sztuki, że były jeszcze zimniejsze niż mosiądz Ludwika XVI! Dreszcz przechodził, gdy się widziało tę kobietę siedzącą na rzymskim fotelu, przed sfinksami stoliczka do roboty, poblądłą, bez kolorów, przybierającą sztuczną wesołość, zachowującą swą majestatyczną postawę, tak jak umiała zachować niebieską aksamitną suknię, którą nosiła w domu. Ta niezłomna dusza podtrzymywała ciało, przedłużała piękność. Z końcem pierwszego roku swego wygnania w tym apartamencie baronowa zmierzyła nieszczęście w całej jego rozciągłości.

„Przenosząc mnie tutaj, Hektor stworzył mi życie i tak o wiele za piękne dla prostej wieśniaczki – powiadała sobie. – On tak chce; niech się dzieje jego wola. Jestem baronową Hulot, bratową marszałka Francji, nigdy nie popełniłam najmniejszego błędu, dzieci moje mają los zapewniony, mogę czekać śmierci spowita w niepokalane zasłony mojej czystości małżeńskiej, w krepy mego minionego szczęścia”.

Portret Hulota, malowany przez Roberta Lefebvre'a w roku 1810, w mundurze naczelnego komisarza gwardii cesarskiej, wisiał nad stoliczkiem do roboty, w którym w razie jakiejś wizyty, Adelina chowała „Naśladowanie Chrystusa”, swoją zwyczajną lekturę. Ta Magdalena bez zmyślenia też słuchała głosu Ducha Świętego na swojej pustyni.

– Cóż, Marysiu – spytała Elżbieta kucharki, która jej otworzyła – jakże się miewa pocziwa Adelina?

– Och, na pozór niby to dobrze, panienko; ale, między nami mówiąc, jeżeli się będzie upierała, aby żyć w ten sposób, zabije się – szepnęła Marysia do ucha Elżbiety. – Doprawdy, powinna by panienka przemówić jej do rozsądku. Wczoraj nasza pani kazała sobie rano dać za dwa su mleka i bułeczkę za su, na obiad albo śledzia, albo trochę zimnej cielęciny; miałam ugotować funt na cały tydzień, rozumie się, gdy będzie jadła tu sama! Nie chce wydać więcej niż dziesięć su na dzień. To nie ma sensu. Gdybym wspomniała o tym pięknym projekcie panu marszałkowi, mógłby się pogniewać z panem baronem i wydziedziczyć go; ale panienka, taka dobra i mądra, potrafi to jakoś ułożyć...

– A czemu nie zwrócisz się z tym do pana? – spytała Elżbieta.

– Och, panno Elżbieto, toć już z górą trzy tygodnie, jak go tu oko nie widziało: a od ostatniego razu, jak pani tu była. Zresztą pani zabroniła, pod groźbę wydalenia, prosić kiedykolwiek pana o pieniądze. Ale też biedna nasza pani się utrafi!... To pierwszy raz pan zapomniał o niej tak długo... Za każdym dzwonkiem pani biegła do okna... ale od pięciu dni nie rusza się już z fotela. Czyta! Za każdym razem, kiedy idzie do pani hrabiny, powiada: „Marysiu (niby powiada), gdyby pan przyszedł, powiedz, że jestem w domu, i pošlij do mnie stróża, dostanie dobrze za fatygę”.

– Biedna Adelina – rzekła Bietka – to serce się kraje! Co dzień przypominam o niej baronowi. Ale cóż, powiada: „Masz słuszność, Bietko, jestem nędznikiem; żona moja to anioł, a ja potwór! Pójdę jutro...”. I siedzi u pani Marneffe; ta kobieta rujnuje go, a on ją ubóstwia; żyje tylko przy niej. Ja robię, co mogę. Gdyby mnie tam nie było, gdybym nie miała przy sobie Maturyny, baron wydawałby dwa razy tyle; że zaś nie ma już prawie nic, już by sobie może w łeb strzelił. Tak, Marysiu, a baronowa nie przeżyłaby śmierci męża, jestem pewna. Staram się bodaj tam związać koniec z końcem i czuwać, aby baron nie trwoniał zbyt wiele...

– Toż samo powiada biedna pani – odparła Marysia – wie, ile panience jest dłużna; mówi, że długo panienkę źle sądziła.

– A! – rzekła Elżbieta. – Nic więcej ci nie mówiła?

– Nie, panienko. Jeżeli panienka chce jej zrobić przyjemność, niech jej panienka mówi o panu; zazdrości panience, że go panienka co dzień widuje.

– Czy jest sama?

– Nie, panienko, jest pan marszałek. Och! przychodzi co dzień i zawsze pani powiada mu, że widziała pana rano, że wraca w nocy bardzo późno.

– Macie dziś dobry obiad, co? – spytała Bietka.

Marysia wahała się z odpowiedzią, mieszała się pod spojrzeniem Lotarynki, kiedy otworzyły się drzwi i marszałek Hulot wyszedł tak śpiesznie, że skłonił się Bietce, nie rzuciwszy na nią okiem, i upuścił jakiś papier. Bietka podniosła papier; pobiegła na schody, daremnie bowiem było wołać na głuchego człowieka; ale umyślnie starała się nie dogonić marszałka. Wróciła i przeczytała ukradkiem następujące słowa skreślone ołówkiem:

Drogi bracie, mąż dał mi pieniądze na dom z góry na kwartał, ale Hortensja jest w takiej potrzebie, że pożyczyłam jej całą sumę; i to ledwo starczyło, aby ją wybawić z kłopotów. Czy mógłbyś mi zaliczyć kilkaset franków? Bo nie chcę znów prosić Hektora o pieniądze; wymówka z jego ust sprawiłaby mi zbytnią przykrość.

„Och – pomyślała Elżbieta – w jakiejż ostateczności musi się znajdować, skoro w ten sposób nagina swoją dumę?”.

Elżbieta weszła do pokoju, zastała Adelinę we łzach, rzuciła się jej na szyję.

– Adelino, moje drogie dziecko, wiem wszystko! – rzekła. – O, marszałek upuścił ten papier, był tak wzburzony, biegł bez tchu... Ten niegodziwy Hektor nie dał ci pieniędzy od?...

– Daje najpункtualniej – odparła baronowa – ale Hortensja była w potrzebie i...

– I nie miałaś za co ugotować dziś obiadu – przerwała kuzynce Bietka. – Teraz rozumiem zakłopotaną minę Marysi, kiedy ją zagadnęłam o obiad. Nie bądź dzieckiem, Adelino! Pozwól, że ci oddam moje oszczędności.

– Dziękuję ci, moja pocziwa Bietko – odparła Adelina, ocierając łzy. – To tylko chwilowy kłopot, a o przyszłości już pomyślałam. Ograniczę odtąd wydatki do dwóch tysięcy czterystu franków, wraz z mieszkaniem, i będę je miała. Zwłaszcza ani słowa Hektorowi. Jak się ma, czy zdrow?

– Och! Jak ryba! I wesół jak szczygieł! Myśli tylko o tej swojej czarownicy, o Walerii.

Pani Hulot wpatrywała się w wielki srebrzysty świerk rosnący pod oknem; Elżbieta nie mogła nic wyczytać w oczach kuzynki.

– Powiedziałaś mu, że to jest dzień, w którym zbieramy się tu wszyscy na obiad?

– Owszem!... Ale co! Pani Marneffe wydaje wielki obiad, ma nadzieję obrobić dymisję pana Coquet, wobec tego znika wszystko. Posłuchaj mnie, Adelino; wiesz, jak jestem zażarta na punkcie swej niezależności. Twój mąż, moja droga, zrujnuje cię z pewnością. Myślałam, że zdam się wam wszystkim na coś u tej kobiety, ale to jest istota zepsuta bez granic, Wymóże na twoim mężu rzeczy, które mogą was wszystkich okryć hańbą.

Adelina uczyniła ruch osoby pchniętej sztyltem w samo serce.

– Ależ tak, Adelino, jestem tego pewna. Muszę wreszcie otworzyć ci oczy. Myślmy tedy o przyszłości. Marszałek jest stary, ale pociągnie jeszcze długo, ma ładną pensję; gdy umrze, wdowa po nim dostanie sześć tysięcy franków. Z taką sumą podejmuję się wyżywić was wszystkich! Użyj swojego wpływu na staruszkę, aby nas ożenić. To nie dlatego, aby zostać panią marszałkową; dbam o te głupstwa tyle, co o sumienie pani Marneffe; ale wszyscy będziecie mieli chleb. Widzę, że Hortensji go zbywa, skoro jej oddajesz swój własny.

Zjawił się marszałek; stary żołnierz odbył drogę tak szybko, że ocierał sobie czoło fularem.

– Dałem dwa tysiące franków Marysi – rzekł do ucha bratowej.

Adelina oblała się rumieńcem. Dwie łzy zawisły na jej długich jeszcze rzęsach, ścisnęła w milczeniu rękę starca, którego fizjonomia tchnęła radością szczęśliwego kochanka.

– Chciałem, Adelino, ofiarować ci jakiś prezent za tę sumę – ciągnął – zamiast mi ją oddawać, wybierz sobie sama, co ci się najlepiej spodoba.

Ujął rękę, którą mu podawała Elżbieta, i ucałował tę rękę, tak był roztargniony w swoim szczęściu.

– Nieźle się zapowiada – rzekła Adelina do Elżbiety, uśmiechając się o tyle, o ile mogła się uśmiechać.

W tej chwili zjawił się młody Hulot z żoną.

– Czy brat będzie na obiedzie? – spytał marszałek krótko.

Adelina wzięła ołówek i napisała na karteczce te słowa:

Oczekuję go, przyrzekł dziś rano, że przyjdzie; ale gdyby się nie zjawił, to znaczy, że został u ministra, szalenie jest zajęty.

Podawała papier. Wymyśliła ten sposób rozmowy z marszałkiem; zapas karteczek wraz z ołówkiem; znaj do wał się zawsze na stoliku do robótek.

– Wiem – odparł marszałek – zajęty jest wciąż bardzo z przyczyny Algieru.

W tej chwili weszli Hortensja i Waław. Widząc całą rodzinę wkoło siebie, baronowa zwróciła na marszałka spojrzenie, które zrozumiała jedynie Elżbieta.

Artysta, noszony na rękach przez świat, ubóstwiany przez żonę, wypiękniął jeszcze w szczęściu. Twarz stała się niemal pełna, zręczna kibić zdradzała rasę. Jego przedwczesna sława, znaczenie, zwodnicze pochwały, jakie świat rzuca artystom, tak jak się mówi „dzień dobry” lub rozmawia o pogodzie, dały mu to poczucie swojej wartości, które wyradza się w zarozumiałość, skoro talent uleci. Krzyż legii honorowej dopełniał wielkiego człowieka, jakim Waław był w swoim mniemaniu.

Po trzech latach małżeństwa Hortensja była z mężem jak pies ze swoim panem; na każdy jego ruch odpowiadała spojrzeniem jak gdyby pytającym; wciąż miała oczy wlepione w niego, jak skąpiec w swój skarb; rozczulała swoją pełną podziwu abnegacją. Czuć było w niej duszę i rady matczyne. Piękność jej, zawsze ta sama, była w tej chwili przyćmiona – poetycznie zresztą – łagodnym cieniem ukrytej melancholii.

Na widok kuzynki Elżbieta pomyślała, że tak długo wstrzymywana skarga przerwie wreszcie słabe osłonki dyskrecji. Od samego zarania miodowych miesięcy Elżbieta osądziła, że młode małżeństwo ma o wiele za małe dochody na tak wielką miłość.

Hortensja, ściskając matkę, wymieniła z nią z ust do ucha i z serca do serca kilka słów, których tajemnicę Bietka odgadła z ich gestów.

„Adelina będzie musiała, jak ja, pracować na życie – myślała kuzynka Bietka. – Muszę z niej wydobyć, co zamierza. Te ładne paluszki dowiedzą się wreszcie, jak moje, co to jest musowa praca”.

O szóstej cała rodzina przeszła do jadalni. Było nakrycie i dla Hektora.

– Zostaw – rzekła baronowa do Marysi – pan przychodzi czasem późno.

– Och, ojciec przyjdzie – rzekł młody Hulot do matki – przyrzekł mi to, kiedyśmy się rozstawali w Izbie.

Elżbieta śledziła wszystkie fizjonomie niby pajak w swojej sieci. Znała Wiktora i Hortensję od maleńkości, twarze ich były dla niej jak szyba, przez którą czytała w ich młodych duszach. Otóż z paru spojrzeń Wiktora na matkę odgadła, że nad Adelina wisi jakieś nieszczęście, które Wiktor waha się wyjawić. Młody i sławny adwokat był w duszy smutny. Głęboka jego cześć dla matki przebijała w bólu, z jakim się jej przyglądał. Co do Hortensji, była widocznie zajęta własnymi zgryzotami; Elżbieta wiedziała, że od dwóch tygodni doświadcza pierwszych niepokojów, jakie brak pieniędzy sprawia uczciwym ludziom, młodym kobietom, w ogóle tym, którym życie zawsze się uśmiechało i którzy maskują swoje obawy. Toteż od pierwszej chwili Bietka odgadła, że matka nic nie dała córce. Skrupulatna Adelina zniżyła się tedy do kłamliwych słówek, jakie potrzeba nasuwa pożyczającym. Zaduma Hortensji i jej brata, głęboka melancholia baronowej sprawiły, że obiad był smutny, zwłaszcza jeżeli sobie uprzytomnimy skrzępowanie, jakie wносиła głuchota starego marszałka. Trzy osoby ożywiały scenę: Elżbieta, Celestyna i Wacław. Miłość Hortensji rozwinęła w artyście owo właściwe Polakom ożywienie, tę gaskońską bujność, to sympatyczne roztrzepanie, cechujące tych Francuzów Północy. Usposobienie jego, fizjonomia powiadały wyraźnie, że wierzy w siebie i że biedna Hortensja, posłuszna radom matki, kryje przed nim wszystkie kłopoty domowe.

– Musisz być rada – zagadnęła Bietka siostrzenicę, wstając od stołu – mama wydobyła cię z kłopotu, zasilając cię własną sakiewką.

– Mama! – odparła Hortensja zdziwiona. – Och! Biedna mama, to ja chciałabym dla niej skądś zdobyć pieniądze! Ty nie wiesz, Bietko: otóż ja mam straszliwe podejrzenie, że mama pracuje potajemnie.

Towarzystwo mijало właśnie wielki nieoświetlony salon, idąc za Marysią, która przenosiła lampę z jadalnego pokoju do sypialni Adeliny. W tej chwili Wiktor dotknął ramienia Elżbiety i Hortensji; obie zrozumiały ten gest, przepuściły Wacława, Celestynę, marszałka i baronową do sypialni i przystanąły we framudze okna.

– Cóż się stało, Wiktorze? – spytała Elżbieta. – Przysięgłabym, że to jakieś nieszczęście, którego sprawcą jest ojciec.

– Niestety tak – odparł Wiktor. – Lichwiarz nazwiskiem Vauvinet ma za sześćdziesiąt tysięcy franków weksli ojca i chce go zaskarżyć! Próbowałem mówić z ojcem w Izbie o tej nieszczęsnej sprawie, ale nie chciał zrozumieć, unikał mnie niemal. Czy trzeba uprzedzić matkę?

– Nie, nie – rzekła Elżbieta – zbyt wiele ma zgryzot, zadałbyś jej śmiertelny cios, trzeba ją oszczędzać. Nie wiecie, w jakim ona jest położeniu: gdyby nie stryj, nie zastalibyście tutaj dziś obiadu.

– Och, Boże, Wiktorze, my jesteśmy potwory – rzekła Hortensja. – Bietka mówi nam to, co powinniśmy byli odgadnąć! Ten obiad dławi mnie!

Hortensja nie dokończyła, przyłożyła chustkę do ust, aby powstrzymać szloch, płakała.

– Powiedziałem temu Vauvinetowi, aby zaszedł do mnie jutro – odparł Wiktor – ale czy on się zadowoli moim poręczeniem? Nie sądzę. Tacy ludzie chcą gotowizny, aby z niej móc wyciskać lichwiarskie procenty.

– Sprzedajmy naszą rentę! – rzekła Elżbieta do Hortensji.

– Cóż by to dało? Piętnaście czy szesnaście tysięcy franków – odparł Wiktor – a trzeba sześćdziesięciu!

– Droga kuzynko! – wykrzyknęła Hortensja, ściskając Bietkę z wylewem czystego serca.

– Nie, Elżbieto, zachowaj swój fundusik – rzekł Wiktor, ściskając rękę Lotarynki. – Przekonam się jutro, co ten człowiek myśli. Jeżeli moja żona się zgodzi, zdołam powstrzymać, opóźnić dochodzenie sądowe. Och! Dopuszczać, aby szarpano cześć naszego ojca, to byłoby okropne! Co by na to powiedział minister wojny? Pensja ojca, zastawiona od trzech lat, będzie wolna aż w grudniu; nie można jej tedy ofiarować jako zabezpieczenia. Ten Vauvinet prolongował weksle jedenaście razy; możecie sobie wyobrazić, co za sumy zapłacił ojciec procentami! Trzeba zamknąć tę otchłań.

– Gdyby pani Marneffe zechciała go rzucić... – rzekła Hortensja z goryczą.

– Niech Bóg broni! – rzekł Wiktor. – Znalazłby sobie może inną, a tam najkosztowniejsze wkłady już są zrobione.

Cóż za zmiana w tych dzieciach, niegdyś tak pełnych szacunku, które matka tak długo trzymała w bezwzględny uwielbieniu dla ojca! Już go osądziły.

– Gdyby nie ja – rzekła Elżbieta – ojciec zrujnowałby się jeszcze bardziej.

– Wracajmy – rzekła Hortensja – mama jest sprytna, domyśliłaby się czegoś. Dobrze radzi Bietka, nie pokazujmy jej nic... bądźmy weseli.

– Wiktorze, ty nie wiesz, dokąd was zaprowadzi ojciec ze swoją pasją do kobiet – rzekła Elżbieta. – Pomyśl o tym, aby zapewnić wam wszystkim życie, wydając mnie za marszałka; powinni być wszyscy pomówić z nim dziś wieczór, wyjdę umyślnie wcześniej.

Wiktor przeszedł do pokoju matki.

– I cóż, moje biedne maleństwo – szepnęła Elżbieta do kuzynki – a ty jak dasz sobie radę?

– Przyjdź do nas na obiad jutro, pogadamy – odparła Hortensja. – Nie wiem zupełnie, co począć; ty znasz to życie, poradzisz mi.

Podczas gdy cała rodzina starała się nakłonić marszałka do ożenku, Elżbieta zaś wracała na ulicę Vanneau, zaszedł tam wypadek, jeden z tych, które w kobietach takich jak pani Marneffe rozwijają całą energię występku, zmuszając je do rozwinięcia wszystkich zasobów zepsucia. Uznajmy bodaj ten niezbity fakt: w Paryżu życie jest zbyt czynne, aby źli ludzie czynili zło z popędu; bronią się za pomocą występku przeciw napaściom, oto wszystko.

Pani Marneffe, której salon zapełniała jej wierna gromadka, rozsadziła właśnie gości do wista, kiedy lokaj, pensjonowany wiarus, znaleziony gdzieś przez barona, oznajmił:

– Pan baron Montez de Montejanos.

W Walerii serce zamarło na chwilę, ale skoczyła ku drzwiom wołając:

– Kuzynek!...

Po czym, dopadłszy Brazylijczyka, szepnęła mu te słowa:

– Jesteś moim krewnym albo wszystko między nami skończone! Jak to! – dodała głośno, prowadząc Brazylijczyka do kominka. – Henryku, więc nie zginąłeś na morzu, jak mi mówiono? Opłakiwałam cię trzy lata...

– Jak się masz, drogi przyjacielu – rzekł Marneffe, podając rękę Brazylijczykowi, którego strój godny był Brazylijczyka milionera.

Baron Henryk Montez de Montejanos obdarzony był przez podzwrotnikowy klimat powierzchownością i cerą, które widuje się u teatralnych Otellów, przerażał swoim posępnym wejrzeniem, ale to był jedynie pozór: charakter bowiem miał łagodny i tkliwy, przeznaczający go z góry na ofiarę owego wyzysku, jaki słabe kobiety uprawiają na silnych mężczyznach. Wyraz twarzy miał lekceważący, postawę kształtną i muskularną; ale cała jego siła ujawniała się tylko w stosunku do mężczyzn: jest to najwyższy hołd oddany kobiecie, a smakują go one z takim upojeniem, że mężczyźni, prowadząc pod rękę kochankę, przybierają wszyscy nader pocieszne miny junaków. Baron ubrany był wspaniale: niebieski frak z guzikami z litego złota, czarne spodnie, wykwintne buciki o niepokalanym połysku, rękawiczki ostatniej mody; Brazylią trącił jedynie wielki diament, wartości około stu tysięcy franków, który błyszczał jak gwiazda na sutym fontaziu z niebieskiego jedwabiu, ujętym w ramy kamizelki rozchylającej się tak, iż widać było spod niej płócienną koszulę, bajecznie cienką. Nad czołem wypukłym jak czoło satyra – oznaka zaciekłych namiętności – wyrastały krucze włosy, gęste jak las dziewiczy; pod nimi zaś błyszczała para jasnych oczu, dzikich tak, że można było przypuszczać, iż matka barona, nosząc go w łonie, zlekła się jakiego jaguara.

Ten wspaniały egzemplarz portugalskiej rasy w Brazylii stanął plecami do kominka, w postawie paryskiego bywalca; z kapeluszem w ręce, z łokciem wspartym na aksamitnym pokryciu kominka pochylił się ku pani Marneffe i szeptał z nią po cichu, niewiele troszcząc się o pocieszne figury, które, jego zdaniem, bardzo nie w porę znalazły się w salonie.

To nagłe zjawienie, ta postawa i mina Brazylijczyka wywołały zarówno u Crevela, jak u barona zupełnie identyczny gest zaciekawienia pomieszanego z obawą. Obaj mieli ten sam wyraz, to samo przecucie. Toteż mimika tych dwóch prawdziwych namiętności była tak komiczna przez tożsamość swego mechanizmu, że człowiek dość sprytny, aby rozumieć sytuację, musiałby się uśmiechnąć. Crevel, zawsze łyk i kupczyk, mimo że mer Paryża, dłużej na nieszczęście wytrwał w tej pozie niż jego współnik, tak iż baron podchwycił w przelocie mimowolne wyznanie Crevela. Był to jeden cios więcej dla zakochanego starca; postanowił się rozmówić z Walerią.

„Dziś wieczór – powiadał sobie również Crevel, układając karty – trzeba z tym skończyć...”.

– Masz pan serce – krzyknął nań Marneffe – a renonsujesz!

– Och, przepraszam – odparł Crevel, chcąc cofnąć kartę. „Ten nowy baron wydaje mi się zbyt czyny – mówił dalej do siebie. – Ze Waleria żyje z moim baronem, to moja zemsta i mam sposób, aby się go pozbyć; ale ten kuzynek!... To już o jednego barona za wiele. Nie chcę grać roli dudka, chcę wiedzieć, jakiego rodzaju to pokrewieństwo!”.

Tego wieczora, szczęśliwym trafem, który się zdarza tylko ładnym kobietom, Waleria była prześlicznie ubrana. Białe jej gors lśnił wśród koronek, których rudawy odcień uwydatniał matowy atłas pięknych ramion. Paryżanki umieją (w jaki sposób, nie wiadomo!) być pełne i szczupłe zarazem. Czarna aksamitna suknia zdawała się co chwila zsuwać jej z ramion; na głowie miała koronkę upiętą wraz z pękami kwiatów. Ręce jej, drobne a pulchne, wychylały się z przybranych koronkami rękawów. Podobna była do owych pięknych owoców, zalotnie ułożonych na wykwintnym talerzu i kuszących ostrze noża?

– Walerio – szepnął Brazylijczyk młodej kobiecie do ucha – wracam ci wiemy; wuj mój umarł i jestem dwa razy bogatszy, niż byłem odjeżdżając. Chcę żyć i umierać w Paryżu, przy tobie i dla ciebie.

– Ciszej, Henryku, przez litość!

– Och! Choćbym miał tych wszystkich powyrzucać oknem, chcę z tobą pomówić dziś, zwłaszcza że straciłem całe dwa dni na szukaniu cię. Zostanę ostatni, nieprawdaż?

Waleria uśmiechnęła się do rzekomego kuzynka i rzekła:

– Pamiętaj, że masz być synem siostry mojej matki, która wyszła za twego ojca w czasie wyprawy Junota do Portugalii.

Ja, Montez de Montejanos, potomek zdobywców Brazylii, miałbym kłamać?

– Ciszej albo nie zobaczymy się już nigdy...

– Czemu?

– Marneffe, jak to bywa u umierających, że się ich czepi jakieś ostatnie pragnienie, rozkochał się we mnie.

– Ten fagas?... – rzekł Brazylijczyk, który znał Marneffe'a na wylot. – Zapłacę go.

– Cóż za gwałtowność!

– Ale słuchaj no! Skąd u ciebie ten zbytek?... – rzekł Brazylijczyk, który spostrzegł wreszcie przepychy salonu.

Zaśmiała się.

– Cóż za zły ton, kuzynku! – rzekła.

Odczuła dwa rozpłomienione zazdrością spojrzenia, które padły na nią z taką siłą, że musiała spojrzeć na te dwie strapione dusze. Crevel, grający przeciw baronowi i panu Coquet, miał za partnera pana Marneffe. Partia była równa, gdyż baron i Crevel byli roztargnieni w jednakim stopniu; robili błąd po błędzie. Dwaj rozkochani starcy zdradzili w jednej chwili namiętność, którą z rozkazu Walerii zdołali ukrywać przez trzy lata; ale i ona nie umiała zgasić w swoich oczach szczęścia, iż ogląda człowieka, który pierwszy obudził bicie jej serca i był przedmiotem pierwszej jej miłości. Prawa tych szczęśliwych śmiertelników żyją tak długo jak kobieta, do której je nabyli.

Wśród tych trzech przemożnych namiętności, jednej opartej na brutalności pieniądza, drugiej na prawie posiadania, ostatniej na młodości, sile, majątku i prawie pierwszeństwa, pani Marneffe zachowała spokój i jasność myśli, niby generał Bonaparte, kiedy oblegając Mantuę musiał się bronić przeciw dwom armiom, nie przerywając blokady. Zazdrość odbijająca się na twarzy Hulota dawała mu wyraz tak groźny, jaki miewał nieboszczyk marszałek Montcornet, gdy na czele konnicy szarżował na rosyjską piechotę. Dzięki swej męskiej urodzie radca stanu nigdy nie zaznał zazdrości, tak samo jak Murat nie znał uczucia lęku. Zawsze czuł się pewien powodzenia. Zawód, jakiego doznał u Józefy, pierwszy w życiu, przypisywał żądzy złota; powiadał, że zwyciężył go milion, a nie ten wyskrobek. Tak nazywał księcia d'Hérouville. Wszystkie jady i szały, jakie wlewa strumieniami to szalone uczucie, spłynęły w jednej chwili w jego serce. Raz po raz zwracał się od stolika do kominka ruchem *à la* Mirabeau; kiedy zaś odkładał karty, aby objąć wyzywając jon spojrzeniem Brazylijczyka i Walerię, goście doświadczali owego lęku zaprawionego ciekawością, jaki budzi namiętność gotowa lada chwila wybuchnąć. Rzekomy kuzynek przyglądał się radcy stanu zupełnie tak, jakby oglądał jakiegoś brzuchatego chińskiego fetysza. Sytuacja ta nie mogła trwać, musiała się skończyć jakimś okropnym wybuchem. Marneffe bał się barona Hulot w tym samym stopniu, w jakim Crevel bał się Marneffe'a:

nie chciał być do śmierci zastępcą naczelnika. Umierający wierzą w życie, tak jak galernicy w wolność. Człowiek ten chciał być za wszelką cenę naczelnikiem. Słusznie przerażony pantomimą Crevela i radcy stanu, podniósł się, szepnął słówko do ucha żonie, po czym ku wielkiemu zdziwieniu zebranych Waleria przeszła do sypialni z Brazylijczykiem i z mężem.

– Czy pani Marneffe mówiła ci kiedy o tym kuzynie? – spytał Crevel barona Hulota.

– Nigdy! – odparł baron wstając. – Dość na dziś – dodał – przegrałem dwa ludwiki, oto są.

Rzucił dwie sztuki złota na stół i usiadł na kanapie z miną, którą wszyscy zrozumieli jako znak do rozejścia się. Państwo Coquet, wymieniwszy z sobą parę słów, opuścili salon; Klaudiusz Vignon, z rozpaczą w sercu, poszedł za nimi. Ten przykład pociągnął za sobą osoby mniej przenikliwe, zrozumiały bowiem, że są niepożądane. Baron i Crevel zostali sami, w milczeniu. Hulot, który zapomniał o Crevelu, zbliżył się na palcach do drzwi, aby słuchać; nagle odskoczył w tył; to Marneffe otworzył drzwi i ukazał się z pogodnym czołem, jakby zdziwiony, że widzi tylko dwie osoby.

– A herbata! – rzekł.

– Gdzie Waleria? – spytał baron, wściekły.

– Moja żona? – odparł. – Poszła na górę do pańskiej kuzynki, zaraz wróci.

– Czemuż nas tak zostawia dla tej głupiej kozy?

– Panna Elżbieta – odparł Marneffe – wróciła od pani baronowej, żony pańskiej, z silną niestrawnością; Maturyna przysłała prosić dla niej o herbatę, a Waleria poszła zobaczyć, co jej jest.

– A kuzyn?...

– Pojechał!

– Sądzi pan? – rzekł baron.

– Wsadziłem go do karety! – odparł Marneffe z ohydny uśmiechem.

W tej chwili w ulicy Vanneau rozległ się turkot powozu. Baron, dla którego Marneffe nie istniał, wyszedł i udał się do Elżbiety. Przeszła mu przez głowę myśl, jedna z tych, jakie lęgną się w sercu oszalałym z zazdrości. Tak dobrze znał nikczemność Marneffe'a, że przypuszczał ohydne współnictwo między mężem a żoną.

– Cóż się stało z towarzystwem? – spytał Marneffe, widząc się sam z Crevelem.

– Kiedy słońce zajdzie, kury idą spać – odparł Crevel. – Pani Marneffe znikła, wielbiciele jej poszli. Może by pikietę? – dodał Crevel, który chciał zostać.

I on także sądził, że Brazylijczyk jest w domu. Pan Marneffe zgodził się. Mer był równie sprytny, jak baron; mógł tu wysiadywać, ile tylko chciał, grając w karty z mężem, który, od czasu jak zniesiono szulernie, zadowalał się skromniejszą i taną grą domową.

Baron Hulot udał się szybko do kuzynki Bietki, ale drzwi były zamknięte. Zanim się zdołał porozumieć przez drzwi, zwinne i przebiegłe kobiety zdołały urządzić komedię niestrawności leczonej herbatą. Elżbieta tak cierpiała, że Waleria była o nią bardzo niespokojna; toteż pani Marneffe zaledwie zwróciła uwagę na gwałtowne wtargnięcie barona. Choroba jest parawanem, za który kobiety najczęściej się chronią przed takimi burzami. Hulot rozejrzał się ukradkiem, ale nie dostrzegł w sypialni Bietki żadnego kąta, gdzie by można było skryć Brazylijczyka.

– Twoja niestrawność, Bietko, przynosi zaszczyt obiadowi mojej żony – rzekł, przyglądając się starej pannie, która była zdrowiuteńka i która popijając herbatę, siliła się udawać jęki sprowadzone kurczami żołądka.

– Widzisz, baronie, co za szczęście, że droga Bietka mieszka w tym samym domu! Gdyby nie ja, biedna dziewczyna już by nie żyła!... – rzekła pani Marneffe.

– Pan, zdaje się, myśli, że mnie nic nie jest – rzekła Elżbieta do barona – a to byłaby podłość.

– Czemu? – spytał baron. – Znasz zatem powód mojej wizyty?

Spojrzał na drzwi gotowalni, w których nie było klucza.

– Nie rozumiem cię, Hektorze!... – rzekła pani Marneffe z rozzwierającą się akcentem zapoznanej miłości i wiary.

– Ależ to dla ciebie, drogi kuzynie, tak, to z twojej winy jestem w tym oto stanie – rzekła Elżbieta z siłą.

Wykrzyknik ten odwrócił uwagę barona, który spojrzał na starą pannę z głębokim zdumieniem.

– Wiesz, czy jestem do ciebie przywiązana – ciągnęła Elżbieta. – Jestem tutaj, to dosyć. Zdzieram ostatnie siły, aby czuwać nad twoim dobrem, czuwając nad dobrem naszej kochanej Walerii. Dom kosztuje ją dziesięć razy taniej niż każdy inny dom, który by się chciało prowadzić na tej samej stopie. Beze mnie, drogi baronie, zamiast dwóch tysięcy franków musiałbyś dawać trzy albo cztery tysiące.

– Wiem to wszystko – odparł baron zniecierpliwiony – opiekujesz się nami na różne sposoby – dodał, zbliżając się do pani Marneffe i obejmując ją – nieprawdaż, moja ślicznotko?

– Słowo daję – wykrzyknęła Waleria – tyś chyba oszalał!...

– Nie wątpisz tedy o moim przywiązaniu – rzekła Elżbieta – ale ja kocham także i Adelinę, a zastałam ją we łzach. Nie byłeś u niej od miesiąca. To się nie godzi. Zastałam biedną Adelinę bez grosza. Hortensja mało nie umarła, dowiadując się, żeśmy dziś mieli obiad z łaski twego brata! Nie było dziś u was w domu chleba! Adelina powzięła heroiczne postanowienie, aby pracować na życie. Powiedziała do mnie: „Będę robiła tak jak ty!”. To mi tak poruszyło wnętrze po obiedzie, kiedyś pomyślała, czym była ta droga Adelina w roku 1811, a czym jest w roku 1841, – w trzydzieści lat później, że mi to przerwało trawienie... Chciałam to przemóc, ale kiedyś wróciłam do domu, myślałam, że tu skonam...

– Widzisz, Walerio – rzekł baron – do czego mnie doprowadziło uwielbienie dla ciebie... staję się zbrodniarzem...

– Och! Dobrzem uczyniła, żeś nie poszła za męża! – wykrzyknęła Elżbieta z dziką radością. – Pan jest dobry, najlepszy człowiek; Adelina to anioł: i oto nagroda ślepego poświęcenia.

– Stary anioł! – rzekła słodko pani Marneffe, rzucając w pół tkliwie, w pół roześmiane spojrzenie na swego Hektora, który przyglądał się jej tak, jak sędzia śledczy przygląda się oskarżonemu.

– Biedna kobieta! – rzekł baron. – Już przeszło dziewięć miesięcy nie dałem jej pieniędzy, a znajduję je dla ciebie, Walerio – i za jaką cenę! Nigdy nikt cię tak nie będzie kochał, a ile ty mi wzajem dajesz zgryzot!

– Zgryzot? – odparła. – Cóż tedy nazywasz szczęściem?

– Nie wiem jeszcze, jakie były twoje stosunki z tym mniemanym kuzynem, o którym nigdy mi nic nie mówiłaś – ciągnął baron, nie zważając na wykrzyknik Walerii. – Ale kiedy on wszedł, jakby mnie kto nożem dźgnął w serce. Choć jestem zaślepiony, nie jestem ślepy. Czytałem w oczach was obojga. Tak, spod powiek tej mały strzelały ku tobie błyskawice, a twoje spojrzenia... Och! Nigdy na mnie nie patrzyłaś w ten sposób, nigdy! Zbadam tę tajemnicę, Walerio... Ty jesteś jedyną kobietą, która mi dała poznać zazdrość, toteż nie dziw się temu, co mówię... Ale wyszła na jaw i inna tajemnica, która mi się wydaje czymś ohydny...

– Mów, mów, proszę! – rzekła Waleria.

– To, że Crevel, ta bryła mięsa i głupoty, kocha się w tobie, a ty przyjmujesz jego zaloty na tyle łaskawie, aby ten głupiec ośmielał się okazywać swoje uczucia całemu światu...

– To już trzech! Nie widzisz jeszcze kogo? – spytała pani Marneffe.

– Może by się znalazło – odparł baron.

– To, że pan Crevel się we mnie kocha, to jego święte prawo; jeżeli ja cierpię tę miłość, to znaczy, albo jestem kokietką, albo kobietą, której ty zostawiasz wiele do życzenia... A więc kochaj mnie z moimi wadami albo daj mi pokój. Jeżeli mi wrócisz wolność, ani ty, ani pan Crevel nie zjawicie się już tutaj; wezmę mego kuzyna, aby nie wychodzić z pięknych zwyczajów, które mi przypisujesz. Żegnam pana, panie baronie!

Wstała; ale radca stanu chwycił ją za ramię i posadził. Starzec nie mógł już istnieć bez Walerii; stała się dlań potrzebą większą od wszystkich potrzeb życia; wolał zostać w niepewności niż zyskać najlżejszy dowód niewierności Walerii.

– Moja droga Walerio – rzekł – czy nie widzisz, co ja cierpię? Proszę cię tylko, abyś zechciała się usprawiedliwić... Daj mi jakieś racje...

– Więc idź i zaczekaj na dole, gdyż mam nadzieję, że nie zechcesz być świadkiem rozmaitych zabiegów, których wymaga stan twojej kuzynki.

Hulot wyszedł wolno.

– Stary lamparcie! – krzyknęła Bietka. – Więc nie pytasz mnie o dzieci?... Co zrobisz z Adeliną? Ja jej zaniosę jutro moje oszczędności.

– Żonie należy się bodaj skórka od chleba – rzekła z uśmiechem pani Marneffe.

Baron nie obrażając się tonem Bietki, która nim poniewierała tak samo jak Józefa, odszedł rad, że unika drażliwej rozmowy.

Skoro zaryglowano drzwi, Brazylijczyk wyszedł z garderoby, gdzie czekał, i ukazał się z oczyma pełnymi łez, w stanie godnym pożałowania. Najwidoczniej Montez wszystko słyszał.

– Nie kochasz mnie już, Henryku, widzę to – rzekła pani Marneffe, kryjąc twarz w chustkę i zalewając się łzami.

Był to krzyk prawdziwej miłości. Dźwięk rozpaczki kobiecej jest tak wymowny, że wydiera przebaczenie kryjące się w sercu każdego zakochanego, kiedy kobieta jest młoda, ładną i obnażona niemal do pasa.

– Ależ czemu nie rzucisz wszystkiego dla mnie, jeżeli mnie kochasz? – spytał Brazylijczyk.

Ten syn puszcz Ameryki, logiczny jak wszyscy ludzie wzrosli na łonie natury, podjął natychmiast rozmowę w punkcie, w którym ją przerwał, to znaczy objął Walerię w pól.

– Czemu? – odparła, podnosząc głowę i patrząc na Henryka, którego ogarnęła spojrzeniem przepojonym miłością. – Ależ mój drogi kocie, ja jestem zamężna; jesteśmy w Paryżu, nie w sawannach, pampasach, puszczech Ameryki. Mój dobry Henryku, mój pierwszy, mój jedyny kochanku; posłuchaj. Mój mąż, skromny zastępca naczelnika w ministerium wojny, chce zostać naczelnikiem i oficerem legii honorowej; czyja mu mogę bronić tej ambicji? Ot, dla tej samej przyczyny, dla której zostawiał nam obojgu zupełną swobodę (będzie temu niedługo cztery lata, pamiętasz, niegodziwy?...), dziś Marneffe narzuca mi pana Hulot. Nie mogę się pozbyć tego okropnego dyrektora, który sapie jak foka, ma bokobrody w nozdrzach, liczy sobie sześćdziesiąt trzy lata i który od trzech lat postarzał się o dziesięć, chcąc udawać młodego; jest mi tak wstrętny, iż nazajutrz po dniu, w którym Marneffe zostanie naczelnikiem biura i oficerem legii...

– O ile będzie miał więcej?

– Trzy tysiące franków.

– Dam mu je dożywotnio – odparł baron Montez – opuśćmy Paryż i jedźmy...

– Dokąd? – rzekła Waleria, przybierając jedną z owych ślicznych minek, którymi kobiety drwią sobie z mężczyzn niezdolnych im się oprzeć. – Paryż jest jedynym miastem, gdzie możemy żyć szczęśliwie. Znadto zależy mi na twojej miłości, abym chciała patrzeć na jej powolny skon, w razie gdybyśmy się znaleźli sami gdzieś na pustyni. Słuchaj, Henryku, jesteś jedynym człowiekiem, którego kocham w świecie; wyryj to sobie w twojej tygrysiej czaszce.

Kobiety wmawiają zawsze w mężczyzn, z których zrobiły baranów, że są lwami i że mają charakter ze stali.

– Teraz słuchaj mnie dobrze! Marneffe nie ma ani pięciu lat przed sobą, przeżarty jest aż do szpiku kości; na dwanaście miesięcy w roku siedem spędza na spijaniu lekarstw, ziółek, żyje zawinięty we flanelę; słowem, jest, zdaniem lekarzy, pod grozą nieustannej śmierci. Choroba najniewinniejsza dla zdrowego człowieka będzie dla niego zabójcza, krew jest zepsuta, życie jest podcięte w samym rdzeniu. Od pięciu lat nie dałam mu się ani razu pocałować, ten człowiek to morowa zaraza! Pewnego dnia – i ten dzień jest niedaleki – zostanę wdową; otóż ja, o której rękę już prosił człowiek mający sześćdziesiąt tysięcy franków rocznej renty, ja, która trzymam tego człowieka, ot, jak ten kawałek cukru, oświadczam ci, że choćbyś był biedny jak Hulot, trędowaty jak Marneffe i choćbyś mnie bił, chcę tylko ciebie za męża, ciebie jednego kocham, twoje tylko nazwisko chcę nosić. I jestem gotowa dać ci wszelki zakład miłości, jakiego zapragniesz...

– A więc dziś wieczór...

– Ależ synu puszczy, mój piękny jaguarze, dla mnie przybyły tu z dziewiczych lasów Brazylii – rzekła, biorąc go za rękę, całując ją i pieszcząc – uszanujże trochę istotę, z której chcesz uczynić swoją żonę... Będę twoją żoną, Henryku?

– Tak – odparł Brazylijczyk, zwyciężony oszalałym gadulstwem namiętności.

I ukląkł przed nią.

– Słuchaj, Henryku – rzekła Waleria, ujmując go za obie ręce i patrząc mu głęboko w oczy – przysięgnij mi tu, w obecności Elżbiety, mojej najdroższej i jedynej przyjaciółki, mojej siostry, że mnie pojmiesz za żonę po roku żałoby.

– Przysięgam.

– To nie dość! Przysięgnij na popioły i wiekuiste zbawienie twojej matki, przysięgnij na Najświętszą Pannę i wiarę katolicką!

Waleria wiedziała, że Brazylijczyk dotrzyma tego ślubu, choćby nawet osunęła się w najniższą otchłań społeczną. Brazylijczyk złożył tę uroczystą przysięgę, dotykając niemal nosem białego gorsu Walerii, z rozpalonymi oczyma; był pijany tak, jak może być pijany człowiek oglądający ukochaną kobietę po czterech miesiącach spędzonych na okręcie.

– A więc uspokój się. Uszanuj w pani Marneffe przyszlą baronową Montejanos. Nie wydawaj na mnie ani grosza, zabraniam ci. Zostań tu w pierwszym pokoju, połóż się na kanapce, ja sama przyjdę ci powiedzieć, kiedy będziesz mógł opuścić swoje stanowisko. Jutro rano zjemy razem śniadanie i pójdziesz sobie o pierwszej, tak jakbyś przyszedł z wizytą o południu. Nie lękaj się niczego; odźwierni są mi oddani jak ojciec i matka... Idę do siebie, aby podać herbatę.

Skinęła na Elżbietę, która odprowadziła ją aż na schody.

Tam Waleria szepnęła do ucha starej pannie:

– Ten czarny trochę za wcześnie przybył! Bo umrę, jeżeli cię nie pomszczę za Hortensję!

– Bądź spokojna, mój mały śliczny diabełku – rzekła stara panna, całując ją w czoło – kiedy miłość i zemsta razem idą na łowy, nie zdarza się, aby spudłowały. Hortensja oczekuje mnie jutro, jest w nędzy. Aby dostać tysiąc franków, Wacław wyściska cię tysiąc razy.

Rozstawszy się z Walerią, Hulot zeszedł aż na dół do odźwiernego i zjawił się nagle przed panią Olivier.

– Pani Olivier?...

Słyszając to rozkazujące pytanie i widząc gest, jakim baron je podkreślił, pani Olivier wyszła ze swej izdebki i udała się za baronem aż na podwórze.

– Wiesz pani, że jeżeli kto może kiedyś ułatwić pani synowi kupno kancelarii, to ja; wszak dzięki mnie jest dziś dependentem i kończy prawo.

– Tak, panie baronie, toteż pan baron może liczyć na naszą wdzięczność. Nie ma dnia, abym się nie modliła o szczęście dla pana barona.

– Mniej słów, dobra kobieto – rzekł Hulot – a więcej dowodów...

– Co mam uczynić? – spytała pani Olivier.

– Dziś wieczór przyjechał tu jeden pan powozem; czy go pani znasz?

Pani Olivier doskonale poznała Monteza; jakżeby go mogła zapomnieć? Przy ulicy Doyenne Montez wsuwał jej do ręki pięciofrankówkę za każdym razem, kiedy mu się zdarzyło wyjść z domu nieco za wcześnie. Gdyby się baron udał do Oliviera, może by się dowiedział wszystkiego. Ale Olivier spał. W niższych klasach kobieta nie tylko góruje nad mężczyzną, ale prawie zawsze nim rządzi. Od dawna pani Olivier wytyczyła sobie linię postępowania w razie kolizji między dwojgiem swoich dobroczyńców; uważała panią Marneffe za silniejszą z tych dwóch potęg.

– Czy go znam?... – odparła. – Nie, na honor, nie, nie widziałam go nigdy.

– Jak to! Kuzyn pani Marneffe nie bywał u niej nigdy przy ulicy Doyenne?

– A, to jej kuzyn!... – wykrzyknęła pani Olivier. – Może i bywał, ale ja go nie poznałam. Za najbliższym razem będę dobrze uważała.

– Zaraz będzie wychodził – przerwał żywo baron Hulot.

– Ależ on odjechał – odparła pani Olivier, pojąwszy wszystko. – Powozu już nie ma.

– Widziała go pani, jak odjechał?

– Jak pana widzę. Powiedział lokajowi: „Do ambasady”.

Ten ton, ta pewność wydarły baronowi westchnienie szczęścia; ujął dłoń pani Olivier i uściśnął ją.

– Dziękuję, droga pani Olivier; ale to nie wszystko!... A pan Crevel?

– Pan Crevel? Co pan ma na myśli? Nie rozumiem – rzekła pani Olivier.

– Słuchaj mnie pani dobrze! Romansuje z panią Marneffe.

– Niepodobna, panie baronie, niepodobna! – rzekła, składając ręce.

– Romansuje z panią Marneffe! – powtórzył baron stanowczo. – Jak oni się urządzają? Nie wiem, ale chcę wiedzieć i pani mi się dowie. Jeżeli mnie naprowadzisz na trop tej intrygi, twój syn będzie rejentem.

– Panie baronie, niech się pan tak nie żółciuje – rzekła pani Olivier. – Pani kocha pana i tylko pana; jej pokojówka wie to dobrze, i wszyscy tak sobie powiadamy, że pan baron w czepku się urodził, bo pan baron przecież wie, co pani jest warta... Och, to jak święty obrazek! Wstaje co dzień o dziesiątej; potem je śniadanie, a tak! Potem godzina przy toalecie, to trwa do drugiej; potem idzie przejść się do Tuileries, na oczach całego świata, i zawsze wraca o czwartej, wtedy kiedy pan baron ma przyjść. Och! Żyje jak w zegarku! Pani nie ma tajemnic dla swojej panny służącej, a Regina nie ma ich dla mnie, tak. Regina nie może mieć dla mnie sekretów, niby względem mego syna; z którym niby tego... Widzi pan baron, że gdyby pani coś miała z panem Crevel, wiedzielibyśmy o tym.

Baron wrócił do pani Marneffe z rozpromienioną twarzą, w przeświadczeniu, że jest jedynym mężczyzną kochanym przez tę okropną kurtyzanę, równie zwodniczą, ale równie piękną i uroczą jak syrena.

Crevel i Marneffe zaczęli drugą partię pikiety. Crevel przegrywał jak każdy, kto jest duchem nieobecny przy grze. Marneffe, który znał przyczynę roztargnień mera, korzystał z nich bez skrupułu: podglądał kupno, rzucał odpowiednio, zerkał w karty przeciwnika i grał na pewniaka. Grali po franku szton; w chwili gdy baron wrócił, Marneffe zdążył już ograbić mera z jakich trzydziestu franków.

– I cóż – rzekł radca stanu zdziwiony, że nie zastał nikogo – jesteście sami? Gdzie wszyscy?

– Twój śliczny humor przepędził ich – odparł Crevel.

– Nie, to zjawienie się kuzyna mojej żony – wtrącił Marneffe.

– Wszyscy myśleli, że po trzyletniej rozłące Waleria i Henryk mogą mieć z sobą do pomówienia; dlatego goście usunęli się dyskretnie... Gdybym tu był, byłbym ich zatrzymał, ale w tym wypadku byłbym źle zrobił, bo niedyspozycja Elżbiety, która zawsze podaje herbatę około wpół do jedenastej, przewróciła cały porządek.

– Więc Elżbieta naprawdę chora? – spytał Crevel, wściekły.

– Tak mi powiedziano – odparł Marneffe z ową cyniczną obojętnością człowieka, dla którego kobiety przestały istnieć.

Mer spojrział na zegar; wedle tej miary baron spędził jakieś czterdzieści minut w mieszkaniu Elżbiety. Rozradowana mina Hulota silnie obciążała Hektora, Walerię i Elżbietę.

– Byłem właśnie u niej, cierpi biedactwo straszliwie – rzekł baron.

– Zatem cierpienia bliźnich sprawiają ci wielką radość, kochany baronie – uszczypliwie odparł Crevel – bo wracasz z twarzą doprawdy promieniejącą! Czy stan Elżbiety jest niebezpieczny? Podobno twoja córka dziedziczy po niej. Niepodobny jesteś do samego siebie, wypadłeś stąd jak Otello, a wracasz jak Saint-Preux!... Chciałbym widzieć fizjonomię pani Marneffe.

– Co pan przez to rozumie? – spytał Marneffe, zgarniając karty i kładąc je przed sobą.

Zgasałe oczy tego człowieka, zgrzybiałego w czterdziestym siódmym roku życia, ożywiły się; blade kolory wystąpiły na jego obwisłe i zimne policzki; otworzył bezzębne usta, na których czarne wargi wystąpiło coś w rodzaju piany białej jak kreda, serowatej. Ta wściekłość półtrupa, którego życie wisiało na włosku i który w pojedynku nie ryzykowałby nic, podczas gdy Crevel miałby do stracenia wszystko, przeraziła mera.

– Powiadam – odparł Crevel – że chciałbym widzieć fizjonomię pani Marneffe, i mam słuszość tym bardziej, że pańska jest w tej chwili bardzo nieprzyjemna. Słowo honoru, jesteś straszliwie brzydki, mój drogi Marneffe...

– Czy pan wie, że pan nie jesteś grzeczny!

– Człowiek, który wygrywa ode mnie trzydzieści franków w trzy kwadransy, nigdy nie wydaje mi się ładny.

– Och! Gdybyś mnie pan widział – odparł zastępca naczelnika – przed siedemnastu laty!

– Taki pan był przystojny? – odparł Crevel.

– To mnie zgubiło; gdybym był taki jak pan, byłbym dziś parem i merem.

– Tak – rzekł z uśmiechem Crevel – nadtoś pan wojował; z dwóch metali, które można zarobić w służbie boga handlu, wybrałeś pan ten gorszy, kuracyjny!

I parsknął śmiechem. O ile Marneffe drażliwy był na punkcie honoru, o tyle zawsze dobrze przyjmował te płaskie i grube żarty; były one niby zdawkową monetą rozmowy między Crevelem a nim.

– Wenus kosztuje mnie drogo, to prawda; ale na honor, krótko a dobrze, to moja dewiza.

– Ja wolę długo a szczęśliwie – odparł Crevel.

Weszła pani Marneffe, ujrzała męża grającego z Crevelem, obok nich barona, poza tym salon pusty; od pierwszego rzutu oka na fizjonomię miejskiego dygnitarza zrozumiała, co się w nim dzieje; natychmiast powzięła postanowienie.

– Mój kocie – rzekła, opierając się na ramieniu męża i przesuając swoje ładne paluszki w brzydkich szpakowatych włosach, nie mogąc nimi nakryć łysiny – późno jest dla ciebie, powinienes iść spać. Wiesz, że jutro bierzesz na przeczyszczenie, doktor tak kazał, a Regina poda ci odwar z ziółek już o siódmej. Jeśli ci życie miłe, rzuć tę pikietę.

– Dogramy do pięciu? – spytał Marneffe Crevela.

– Dobrze, mam już dwie – odparł Crevel.

– Jak to długo potrwa? – spytała Waleria.

Dziesięć minut – odparł Marneffe.

– Już jedenasta – zauważyła Waleria. – Doprawdy, panie Crevel, można by rzec, że pan chce zabić mego męża. Śpiesz się pan przynajmniej.

Crevel, Hulot, a nawet sam Marneffe uśmiechnęli się z tego dwuznacznika. Waleria podeszła do swego drogiego Hektora.

– Wyjdz, moje kochanie – szepnęła mu do ucha – przejdź się po ulicy Vanneau, wrócisz, kiedy zobaczysz, że Crevel wychodzi.

– Wolałbym wyjść z mieszkania i wrócić do twego pokoju przez garderobę; mogłabyś powiedzieć Reginie, aby mi otworzyła.

– Regina jest na górze, dogląda Elżbiety.

– A gdybym poszedł do Elżbiety?

Wszystko groziło niebezpieczeństwem Walerii, która przewidując wyjaśnienie z Crevelem, nie chciała Hulota w swoim pokoju, skąd mógł słyszeć wszystko... A Brazylijczyk czekał u Elżbiety.

– Doprawdy, wy mężczyźni – rzekła do Hulota – kiedy wam się czego zachce, podpalilibyście dom, aby wejść do środka. Elżbieta nie jest w stanie takim, aby cię mogła przyjąć. Czy boisz się zakatarzyć na ulicy?... No, idź... albo dobranoc!

– Żegnam panów – rzekł baron głośno.

Podrażniony w swej starczej ambicji, Hulot chciał dowieść, że może grać rolę młodzika, oczekując godziny pieszczot na ulicy; jakoż wyszedł.

Marneffe powiedział dobranoc żonie, przy czym ujął ją za rękę z pozorami czułości. Waleria ścisnęła znacząco rękę męża, co miało znaczyć: „Oswobodźże mnie od Crevela”.

– Dobranoc, panie Crevel – rzekł Marneffe – mam nadzieję, że pan nie będzie długo siedział z Walerią. O, bo ja jestem zazdrosny; przyszło mi to późno, ale za to dobrze... Wrócę tu sprawdzić, czy pan poszedł.

– Mamy pomówić o interesach, ale nie będę siedział długo – odparł Crevel.

– Mów cicho! Czego pan sobie życzy? – rzekła Waleria na dwa różne tony, mierząc Crevela spojrzeniem pełnym dumy i wzdargy.

Pod tym wyniosłym spojrzeniem Crevel, który oddawał Walerii ogromne usługi i chciał się nimi puszyć, stał się z powrotem uległy i pokorny.

– Ten Brazylijczyk...

Crevel, przerażony bystrym i wzdargliwym spojrzeniem Walerii, urwał.

– Cóż dalej? – rzekła.

– Ten kuzyn...

– To nie jest mój kuzyn – odparła. – To mój kuzyn dla świata i dla mego szczęścia. A gdyby to i był mój kochanek, nie miałby pan prawa nic mówić. Kramarz, który kupuje kobietę, aby się zemścić na mężczyźnie, jest w moich oczach poniżej tego, który ją kupił z miłości. Nie kochałeś się we mnie, widziałeś we mnie kochankę pana Hulot i kupiłeś mnie tak, jak się kupuje pistolet, aby zabić przeciwnika. Byłam głodna, zgodziłam się!

– Nie dopełniłaś warunków kupna – odparł Crevel, w którym obudził się kramarz.

– A! Chcesz, żeby baron Hulot wiedział, że mu zabrałeś kochankę, aby mu odpłacić zabranie Józefy?... Trudno o lepszy dowód pańskiej nikczemności. Mówisz, że kochasz kobietę, traktujesz ją jak księżniczkę i chcesz ją zhańbić! Ale, mój drogi, masz słuszność: owa kobieta niewarta jest Józefy. Ta dziewczyna ma odwagę swojej hańby, gdy ja jestem obłudnicą, którą powinno się oćwiczyć na rynku. Niestety! Józefa ma za sobą swój talent i majątek. Moim jedynym szańcem jest moja uczciwość; jeszcze jestem kobietą cnotliwą i poważaną; ale jeżeli ty zrobisz skandal, co się ze mną stanie? Gdybym miała majątek, niechby wreszcie! Ale mam obecnie najwyżej piętnaście tysięcy franków renty, nieprawdaż?

– O wiele więcej – odparł Crevel – w ciągu dwóch ostatnich miesięcy podwoiłem twoje oszczędności w Orleanach²¹.

21 Orleany – skrót nazwy orleańskiej spółki akcyjnej, która uzyskała w r. 1838 koncesję na budowę kolei.

– Ba! Szacunek ludzki zaczyna się od pięćdziesięciu tysięcy franków renty: nie jesteś w stanie zapłacić mi pozycji, którą stracę. Czego ja chciałam? Uzyskać nominację męża na naczelnika; miałby sześć tysięcy pensji; ma dwadzieścia siedem lat służby; za trzy lata miałabym prawo do tysiąca pięciuset franków pensji w razie jego śmierci. I ty, darzony moimi łaskami, przekarmiony szczęściem, nie umiesz czekać!... I to się nazywa kochać!...
– wykrzyknęła.

– Jeżeli zacząłem od rachuby – rzekł Crevel – później przywiązałem się do ciebie jak pies. Depczesz mi serce nogami, miażdżysz mnie, doprowadzasz do szaleństwa, a ja cię kocham tak, jak nigdy nie kochałem. Walerio, ja cię kocham tyle, co Celestynę! Dla ciebie jestem zdolny do wszystkiego... Słuchaj! Przychodź trzy razy na tydzień na ulicę Dauphin, zamiast dwóch.

– Bagatela! Młodniejesz, mój drogi...

– Pozwól mi odprawić Hulota, upokorzyć go, oswobodzić cię od niego – rzekł Crevel, nie odpowiadając na ten przekaz – nie wpuszczaj już tego Brazylijczyka, bądź tylko moją, nie pożałujesz tego. Na razie przepiszę na ciebie osiem tysięcy franków renty, ale dożywotnio; staną się twoją własnością aż po pięciu latach wierności.

– Zawsze targi!... Te łyki nigdy się nie nauczą dawać! Chcesz sobie z rent i zapisów zrobić postoje poczty miłosnej! Ach, ty sklepikarzu, ty fabrykancie pomady! Wszystko u ciebie ma swoją etykietę! Hektor opowiadał mi, że książe d'Hérouville przyniósł Józefie trzydzieści tysięcy franków renty w papierowej torebce na cukierki! Ja jestem warta sześć razy więcej niż Józefa! Och! Być kochaną! – rzekła, poprawiając sobie loczki i przeglądając się w lustrze.

– Henryk mnie kocha, zabiłby cię jak muchę na jedno moje mrugnięcie! Hektor mnie kocha, dla mnie zostawia żonę na bruku. Idź sobie, zostań nadal dobrym ojcem rodziny, mój drogi. Och! Masz przecie na swoje lampartki trzysta tysięcy franków poza swoim majątkiem, swój skarbczyk, i myślisz tylko o tym, aby go pomnożyć...

– Dla ciebie, Walerio, bo oddaję ci połowę! – rzekł, padając na kolana.

– I cóż, pan jeszcze tu! – wykrzyknął ohydny Marneffe, zjawiając się w szlafroku. – Co pan tu robi?

– Przeprasza mnie za obrażającą propozycję, jaką mi uczynił. Nie mogąc ode mnie nic uzyskać, ten pan chciał mnie kupić.

Crevel byłby pragnął zapaść się pod ziemię, jak w teatrze.

– Wstań, mój drogi Crevel – rzekł z uśmiechem Marneffe – śmieszny jesteś. Widzę z miny Walerii, że nie mam się czego obawiać.

– Idź się położyć i śpij spokojnie – rzekła pani Marneffe.

„Jaka ona sprytna! – pomyślał Crevel. – Cudowna kobieta, ratuje mnie!”.

Kiedy Marneffe znikł, mer ujął Walerię za ręce i ucałował je, zostawiając ślady paru łez.

– Wszystko na twoje imię! – rzekł.

– To się nazywa kochać – szepnęła mu do ucha. – A więc miłość za miłość. Hulot jest na dole, na ulicy. Biedny staruszek czeka, aż na znak, że może tu przyjść, postawię świecę na oknie w sypialni. Pozwalam ci powiedzieć mu, że ciebie jednego kocham; nie zechce ci uwierzyć, zabierz go na ulicę Dauphin, daj mu dowody, zmiażdż go, pozwalam ci, rozkazuję. Ta foka mnie nudzi, nie mogę go już znieść. Zabaw go u siebie całą noc, piecz go na wolnym ogniu, pomścij się za ukradzenie Józefy. Hulot może to przypłaci życiem; ale ocalimy jego żonę i dzieci od straszliwej ruiny. Pani Hulot pracuje, aby móc wyżyć!...

– Och! Biedna kobieta! Doprawdy, to okropne! – wykrzyknął Crevel, w którym obudziły się lepsze uczucia.

– Jeżeli mnie kochasz, Celestynie – szepnęła, muskając wargami ucho Crevela – zabierz go lub jestem zgubiona. Marneffe podejrzewa nas, a Hektor ma klucz od bramy i zamierza tu wrócić!

Crevel przycisnął do siebie panią Marneffe i wyszedł upojony szczęściem; Waleria odprowadziła go czule aż na schody, po czym niby zamagnetyzowana zeszła na pierwsze piętro, wreszcie na sam dół.

– Walerio moja, wracaj, nie narażaj się w oczach odźwiernych... Wierzej, moje życie, mienie, wszystko dla ciebie... Wracaj, księżniczko moja!

– Pani Olivier! – zawołała z cicha Waleria, kiedy się brama zamknęła.

– Jak to! To pani, pani tu? – rzekła pani Olivier zdumiona.

– Niech pani zaniknie bramę na oba rygle i nie wpuszcza już nikogo.

– Dobrze, proszę pani.

Zasunąwszy rygle, pani Olivier opowiedziała próbę przekupstwa, jakiej dopuścił się na jej osobie radca stanu.

– Spisałaś się jak anioł, moja droga Olivier, ale pomówimy o tym jutro.

Waleria pomknęła z szybkością strzały na trzecie piętro, zapukała trzy razy do drzwi Elżbiety i wróciła do siebie, aby wydać rozkazy Reginie; nigdy bowiem kobieta nie przepuści okazji Monteza wracającego z Brazylii.

– Nie, do kroćset, tylko kobiety z towarzystwa umieją tak kochać! – powiadał sobie Crevel. – Jak ona szła po tych schodach, oświecając je oczami! Ciągnąłem ją za sobą! Nigdy Józefa!... Józefa to szund! – wykrzyknął eks-komiwojażer. – Co ja powiedziałem? Szund... Mój Boże, byłbym zdolny wypalić coś podobnego w Tuilériach... Nie, jeżeli Waleria nie zajmie się moim wychowaniem, nic ze mnie nie wyrośnie... A tak bym chciał mieć wzięcie wielkiego pana... Och, cóż za kobieta: kiedy na mnie popatrzy chłodno, aż mi się coś kurczy w żołądku. Co za wdzięk! Co za inteligencja! Nigdy Józefa nie dała mi podobnych wzruszeń. A ile ukrytych talentów!... A, jest mój galant!

W ciemnościach ulicy Babilone ujrzał wysoką postać Hulota; nieco przygarbiony, posuwał się pod parkanem świeżo budującego się domu. Crevel podszedł ku niemu.

– Dzień dobry, baronie, bo już jest po północy! Cóż ty tu robisz u diaska!... Zażywasz chłodu przy tym deszczyku? W naszym wieku to niezdrowo. Chcesz, abym ci dał dobrą radę? Wróćmy każdy do siebie, bo, mówiąc między nami, nie zobaczysz dzisiaj światła w oknie.

Słyszając to ostatnie zdanie, baron uczuł, że ma sześćdziesiąt trzy lata i że płaszcz jego jest mokry.

– Kto mógł ci powiedzieć? – spytał.

– Waleria, do paralusza! Nasza Waleria, która chce być tylko moją Walerią. Partia na partię, baronie, a rozgrywka, kiedy zechcesz. Nie możesz się gniewać, wiesz, że zawsze wymawiałem sobie prawo do rewanzu; tyś stracił trzy miesiące na to, aby mi zdmuchnąć Józefę, ja ci zabrałem Walerię w... Nie mówmy o tym – dodał. – Teraz chcę ją mieć całą dla siebie. Ale mimo to zostaniemy dobrymi przyjaciółmi.

– Crevel, nie żartuj – rzekł baron głosem zdławionym wściekłością – tu idzie o śmierć i o życie.

– Ech! Jak ty to bierzesz!... Baronie, nie przypominasz sobie, coś mi powiedział w dzień ślubu Hortensji? „Czy dwa chwaty takie jak my mogą się poróżnić o spódniczkę? To dobre dla kramarzy, dla łyków...”. My jesteśmy, to rzecz dowiedziona, muszkietierowie, Regencja, Pompadour, osiemnasty wiek, najczystszy styl marszałka de Richelieu, rokoko, ba, śmiem powiedzieć „Niebezpieczne związki” ...!

Crevel mógłby długo popisywać się tą literaturą: baron słuchał go tak, jak słuchają głusi w początkach głuchoty. Widząc przy blasku gazu, że twarz przeciwnika pobladła, zwycięzca zatrzymał się wreszcie. Po oświadczeniach pani Olivier, po ostatnim spojrzeniu Walerii było to dla barona uderzenie gromu.

– Mój Boże! Tyle było innych kobiet w Paryżu!... – wykrzyknął wreszcie.

– Właśnie to samo ci mówiłem, kiedyś mi zabrał Józefę – odpowiedział Crevel.

– Słuchaj, Crevel, to niemożliwe... Daj mi dowody!... Czy masz jak ja klucz od bramy?

I baron, przybywszy pod dom, wpakował klucz do zamka, ale drzwi ani drgnęły, na próżno próbował nimi wstrząsnąć.

– Nie rób hałasów po nocy – rzekł spokojnie Crevel. – Patrz, baronku, ja mam lepsze klucze od twoich.

– Dowody! Dowody – powtarzał baron, odchodząc od zmysłów z bólu.

– Chodź, dam ci je – odparł Crevel.

I w myśl życzeń Walerii pociągnął barona ku wybrzeżu ulicą Hillerin-Bertin. Nieszczęsny radca stanu szedł tak, jak idzie kupiec w wilię dnia, w którym ma zgłosić upadłość; gubił się w domysłach co do przyczyn tak głębokiego zepsucia Walerii, myślał, że jest ofiarą jakiejś mistyfikacji. Mijając most Królewski uczył, że życie jego jest tak puste, tak zupełnie skończone, tak zagmatwane sprawami pieniężnymi, że omal nie uległ pokusie, aby pchnąć Crevela do rzeki i rzucić się za nim.

Przybywszy na ulicę Dauphin, która w owym czasie nie była jeszcze rozszerzona, Crevel zatrzymał się przed bramą jednego z domów. Z bramy tej wchodziło się w długą sien, wyłożoną czarnymi i białymi taflami; na końcu sieni znajdowały się schody i izdebka odźwiernego, oświetlone oknami wychodzącymi na małe wewnętrzne podwórko, jakich tyle jest w Paryżu. Podwórko to przylegało do sąsiedniej posesji i stanowiło przykład osobliwego pokawałkowania gruntu: otóż domek Crevela (on bowiem był właścicielem) miał przybudówkę z oszklonym dachem wzniesioną na sąsiednim gruncie. Budynek ten, obciążony zakazem nadbudowy, w zupełności zasłonięty był dla oka izdebką odźwiernego oraz zakrętami schodów.

Lokal ten długo służył za magazyn, tylny pokoik i kuchnię jednemu ze sklepów położonych od ulicy. Crevel wyłączył z najmu te trzy parterowe pokoiki, a Grindot zamienił je na mały apartamencik. Można tam było dostać się w dwojaki sposób, raz przez magazyn handlarza mebli, który Crevel wynajmował mu tanio, ale z miesięcznym wypowiedzeniem, aby go móc ukarać w razie niedyskrecji, po wtóre przez drzwi ukryte w sieni tak zręcznie, że były prawie niewidzialne. Apartamencik ten, złożony z jadalni, salonu i sypialni, oświetlony z góry, częścią na gruncie Crevela, częścią u sąsiada, był tedy prawie nie do wykrycia. Z wyjątkiem handlarza mebli nikt z lokatorów nie wiedział o istnieniu tego raiku. Odźwierna, dobrze opłacana przez Crevela, była wyborną kucharką. Pan mer mógł tedy wejść do swego domku i wyjść o każdej godzinie, nie lękając się szpiegostwa. W dzień kobiecie ubranej tak, jak się ubierają paryżanki, idąc na sprawunki, i zaopatrzonej w klucz, nie groziło niczym wejść do Crevela; oglądała jaki okazyjny towar, targowała go, wchodziła do sklepu i wychodziła zeń nie budząc żadnego podejrzenia, w razie gdyby ją ktoś spotkał.

Kiedy Crevel zapalił kandelabry w buduarze, baron zdumiał się inteligentnym i wykwintnym zbytkiem, który tam ujrzał. Eks-fabrykant perfum zostawił wolną rękę panu Grindot, a stary architekt przeszedł sam siebie, stwarzając gniazdko w stylu Pompadour, które zresztą kosztowało sześćdziesiąt tysięcy franków.

– Chcę – oświadczył Crevel Grindotowi – aby sama księżna zdumiała się, wchodząc tutaj...

Pragnął mieć Eden najpiękniejszy w Paryżu, aby tam posiadać swoją Ewę, swoją kobietę z towarzystwa, swoją Walerię, swoją księżniczkę.

– Są dwa łóżka – rzekł Crevel do Hulota, pokazując otomanę, z której wysuwało się łóżko jak szuflada z komody. – Oto jedno, drugie w sypialni. Możemy tedy przenocować tu obaj.

– Dowody! – rzekł baron.

Crevel ujął świecznik i zaprowadził swego przyjaciela do sypialni, gdzie Hulot ujrzał na sofce wspaniały szlafrok należący do Walerii, obnosiła go bowiem przy ulicy Vanneau, zanim go przeznaczyła do domku Crevela. Mer nacisnął sprężynę ładnego mebelka inkrustowanego drzewem, zwanego *bonheur du jour*, przetrząsnął go, wyjął list i podał baronowi:

– Masz, czytaj.

Radca stanu, przeczytał bilecik kreślony ołówkiem:

Na próżno czekałam na ciebie, grubasie! Kobieta taka jak ja nie czeka nigdy na byłego olejkarza. Nie było ani obiadu, ani papierosów. Zapłacisz mi za to.

– Czy to jej pismo?

– Mój Boże! – rzekł Hulot, siadając złamany. – Poznaje wszystkie jej rzeczy, to jej czepeczki i pantofle. Jak to! Odkąd?...

Crevel dał znak, że rozumie, wyjął plik rachunków z inkrustowanego sekretarzyka.

– Patrz, stary! Zapłaciłem roboty w grudniu roku 1838. W październiku, dwa miesiące wprzód, objęliśmy w posiadanie ten rozkoszny domek.

Radca stanu spuścił głowę.

– Jak wy się, u diaska, urządzacie? Przecież znam rozkład jej dnia co do godziny.

– A przechadzka w Tuileriach... – rzekł Crevel rozpromieniony, zacierając ręce.

– Jak to?... – spytał Hulot osłupiały.

– Twoja niby-kochanka wybiera się do Tuileries, przechadza się tam rzekomo od pierwszej do czwartej, ale hyc! W dwóch susach jest tutaj. Znasz Moliere? Otóż, baronie, nie ma nic urojonego w twoim tytule.

Hulot, nie mogąc już wątpić, zapadł w posępne milczenie. Katastrofy przywodzą wszystkich mocnych i inteligentnych ludzi do filozofii. Baron był jak człowiek, który szuka w nocy drogi w lesie. To tępe milczenie, zmiana, jaka wystąpiła na tej znękaney fizjonomii, wszystko to zaniepokoiło Crevela, który nie chciał śmierci swego współpracownika.

– Jak ci mówiłem, stary druhu, partia na partię. Chcesz iść na rozgrywkę? No, czyja lepsza!

– Czemu – rzekł Hulot sam do siebie – na dziewięć ładnych kobiet co najmniej siedem jest łajdaczek?

Baron zanadto był rozbity, aby znaleźć rozwiązanie tej zagadki. Piękność to największa z potęg ludzkich. Wszelka potęga bez przeciwwagi, bez zapór, samowładna prowadzi do nadużycia, do szaleństwa. Samowola to szaleństwo władzy. U kobiety to kaprys.

– Nie masz się prawa skarżyć, kamracie; masz za żonę najpiękniejszą kobietę pod słońcem, i do tego cnotliwą.

– Zasłużyłem na to, co mnie spotyka – mówił sobie Hulot – nie umiałem ocenić mojej żony, unieszczęśliwiłem ją, a to jest anioł. O, moja biedna Adelino, jesteś srodze pomszczona! Cierpi sama, w milczeniu, jest godna uwielbienia, zasługuje na moją miłość, powinien bym... bo ona jest jeszcze urocza, biała i czysta jak panienka... Ale czy widział kto kiedy podlejszą, nikczemniejszą zbrodniarkę niż ta Waleria?

– To łotrzyca – rzekł Crevel – łajdaczka, warta, aby ją chłostać publicznie na placu Chatelet; ale mój drogi Canillac, mimo że jesteśmy z epoki muszkietierów, marszałka de Richelieu, Pompadour, du Barry, franty i kwintesencja XVIII wieku, nie mamy już ówczesnego naczelnika policji.

– Co począć, aby być kochanym? – pytał sam siebie Hulot, nie słysząc Crevela.

– To głupstwo z naszej strony upierać się, aby nas kochano, mój drogi – odparł Crevel – mogą nas jedynie cierpieć; a co do pani Marneffe, to jest stokroć bardziej szczwana niż Józefa.

– A chciwa! Kosztuje mnie sto dziewięćdziesiąt dwa tysiące franków! – wykrzyknął Hulot.

– A ile centymów? – spytał Crevel z urąganiem bogacza, suma bowiem wydała mu się znikoma.

– Widać to, że jej nie kochasz – rzekł melancholijnie baron.

– Ja mam tego dosyć – odparł Crevel – wyłudziła ode mnie przeszło trzysta tysięcy!...

– Gdzież to jest? Gdzie się to wszystko podziewa? – spytał baron, biorąc się za głowę.

– Gdybyśmy się byli porozumieli jak dwóch smarkaczy składających się, aby utrzymać dziewczynkę za parę groszy, byłoby nas to kosztowało taniej.

– To myśl! – odparł baron. – Ale i tak byłaby nas oszukała. Co myślisz, grubasie, o tym Brazylijczyku?

– A ba, stary wygo! Masz rację, wykierowano nas jak... akcjonariuszów!... – rzekł Crevel. – Wszystkie te kobiety to spółki akcyjne!

– Więc to ona – rzekł baron – powiedziała ci o świecy w oknie?

– Mój stary – odparł Crevel, przybierając swą pozę – wystrychnięto nas na durniów! Waleria jest... Kazała mi trzymać cię tutaj... Rozumiem wszystko... Ma swojego Brazylijczyka... Och, wyrzekam się jej: gdybyś ją trzymał za rękę, jeszcze by potrafiła oszukać cię nogami! Tak, to łotrzyca, szelma!

– Poniżej prostytutki – rzekł baron. – Józefa, Jenny Cadine były w swoim prawie, oszukując nas, bo one handlowały swoimi wdziękami.

– Ale ona, co udaje świętoszkę, skromniśię! – rzekł Crevel. – Wiesz co, Hulot, wróć ty się do żony; z twoimi interesami jest niewyraźnie, zaczynają przebąkiwać o jakichś wekslach wystawionych pośledniemu lichwiarzowi, specjaliście od pożyczania dziewczętom, niejakiemu Vauvinet. Co do mnie, jestem już wyleczony z przyzwoitych kobiet. Zresztą w naszym wieku na co nam te hultajki, które, bądźmy szczerzy, nie mogą nas nie oszukiwać? Masz siwe włosy, baronie, sztuczne zęby. Ja mam brzuszek Sylena. Zacznę zbierać pieniądze. Pieniądz nie oszukuje. Wprawdzie Skarb otwiera się tylko raz na pół roku dla wszystkich, ale za to daje procenty, a ta kobieta je zjada. Z tobą, mój drogi kamracie, mój stary druhu, mógłbym przyjąć sytuację... powiedzmy filozoficzną; ale Brazylijczyk, który może przywiózł z ojczyzny podejrzone towary kolonialne...

– Kobieta – rzekł Hulot – jest nieodgadnięta.

– Ja ją odgaduję – rzekł Crevel – jesteśmy starzy, Brazylijczyk jest młody i piękny.

– Tak, to prawda – odparł Hulot – nie ma co, starzejemy się. Ale, mój przyjacielu, jak wyrzec się oglądania tych lubych istotek, jak się rozbierają, kręcą włosy, patrzą na nas ze sprytnym uśmiechem przez palce, podczas gdy zakładają papiloty... A te ich minki, ich kłamstewka... jak się skarżą, że je nie dość kochamy, kiedy nas widzą zatroskanych... i, mimo wszystko, umieją nas rozerwać...

– Ach, tak, słowo daję, to jedyna przyjemna rzecz w życiu!... – wykrzyknął Crevel. – Ach, kiedy taki buziak uśmiechnie się do ciebie i kiedy ci mówi: „Moje ty pocziwości, jaki ty jesteś milusi! Ja widać niepodobna jestem do innych kobiet, które lecą na młodzików z koźlą brodą, łobuzów cuchnących tytoniem, brutalów, którym się zdaje, że młodość daje prawo do grubiaństwa! Ot, przychodzi taki, mówi dzień dobry i odchodzi... Ja, którą ty posądzasz o zalotność, wolę od tych smarkaczy pięćdziesięciolatek, są stali, wierni, wiedzą, że kobietę nie tak łatwo jest zastąpić, cenią nas... Oto dlaczego cię kocham, ladaco!”. I dopiero przy tym wszystkim wyznania, minki, psoty... A fałszywe to wszystko jak program rządowy...

– Kłamstwo często więcej warte jest niż prawda – rzekł Hulot, któremu pantomima Crevela przedrzeźniającego Walerię przypominała niejedną uroczą scenę. Kłamstwo trzeba wypieścić, naszyć ten kostium teatralny złotymi blaszkami...

– A wreszcie, kłamią czy nie kłamią, ale je mamy! – rzekł brutalnie Crevel.

– Waleria to czarodziejka – wykrzyknął baron – przemienia starca w młodzieńca.

– Och, tak – odparł Crevel – to węgorz prześlizgujący się między palcami, ale cóż za prześliczny węgorzyk... biały i słodki jak cukierek!... Zabawna jak sam Amal²², a co za wymysły! Och!

– O, tak, bardzo pomysłowa – wykrzyknął baron, zapominając już o żonie.

Dwaj kamraci położyli się spać w najlepszej przyjaźni, rozpamiętując społem kolejno zalety Walerii, jej sposoby mówienia, jej figle, koncepty, kaprysy; bo ta artystka w miłości miała cudowne natchnienia, jak tenor, który tę samą arię śpiewa dziś lepiej niż wczoraj. I obaj usnęli ukołysani tymi kuszącymi i diabelskimi wspomnieniami, oświetlonymi ogniami piekieł.

Nazajutrz o dziewiątej Hulot zaczął się wybierać do ministerium, Crevel miał jakieś sprawy na wsi. Wyszli razem; Crevel wyciągnął do barona rękę mówiąc:

– Bez urazy, prawda? Bo żaden z nas nie myśli już o pani Marneffe.

– Och! Skończone, zupełnie skończone! – odparł Hulot z wyrazem zgrozy.

22 Etienne Amal (1794-1872) – aktor, odtwórca ról komicznych.

O wpół do jedenastej Crevel pędził po cztery schody do pani Marneffe. Zastał bezecną istotę, uroczą czarodziejkę, w rozkosznym negliżyku, przy apetycznym śniadanku w towarzystwie barona Henryka Montez de Montejanos oraz Elżbiety. Mimo ciosu, jaki mu zadał widok Brazylijczyka, Crevel poprosił panią Marneffe o dwie minuty rozmowy. Waleria przeszła z Crevelem do salonu.

– Walerio, mój aniele – rzekł rozkochany Crevel – twój mąż niedługo ma życia przed sobą; jeżeli chcesz mi być wierną, po jego śmierci pobierzemy się. Pomyśl o tym. Uwolniłem cię od Hulota... Zastanów się tedy, czy ten Brazylijczyk może się równać z merem Paryża, człowiekiem, który dla ciebie zapragnie dojść do najwyższych godności i który już posiada blisko dziewięćdziesiąt tysięcy franków renty.

– Pomyślę – rzekła. – Będę przy ulicy Dauphin o drugiej i pogadamy; ale bądź rozsądny! I nie zapomnij o lokacie, którą mi wczoraj przyrzekłeś.

Wróciła do jadalni w towarzystwie Crevela, który pochlebiał sobie, że wynalazł sposób, aby posiadać Walerię wyłącznie; ale spostrzegł barona Hulota, który podczas tej krótkiej rozmowy przybył, party tym samym pragnieniem. Radca stanu poprosił tak samo jak Crevel o chwilę audiencji. Pani Marneffe wstała, aby wrócić do salonu, uśmiechając się do Brazylijczyka jakby dla powiedzenia: „Poszaleli! Czyż oni nie widzą ciebie?”.

– Walerio – rzekł radca stanu – moje dziecko, ten kuzyn to jest kuzyn z bajki...

– Och! Dostyc – przerwała mu. – Marneffe nigdy nie był, nie będzie, nie może być moim mężem. Pierwszy, jedyny człowiek, którego kiedyś kochałam, wrócił niespodziewanie... To nie moja wina! Ale popatrz na Henryka i popatrz na siebie. Potem spytaj sam siebie, czy kobieta, zwłaszcza jeżeli kocha, może się wahać. Mój drogi, ja nie jestem jakąś utrzymanką. Od dziś nie chcę być Zuzanną między dwoma starcami. Jeżeli wam zależy na mnie, będziecie obaj z Crevelem naszymi przyjaciółmi; ale wszystko inne skończyło się, bo ja mam dwadzieścia sześć lat, chcę być na przyszłość świętą, zacną i godną kobietą... jak pańska żona.

– Więc to tak? – rzekł Hulot. – Tak mnie przyjmujesz, kiedy ja przybywam, jak papież, z rękami pełnymi odpustów! Więc dobrze, twój mąż nie będzie nigdy naczelnikiem ani oficerem legii honorowej.

– To jeszcze zobaczymy! – rzekła pani Marneffe, patrząc na Hulota w pewien sposób.

– Nie gniewajmy się – odparł Hulot w rozpacz – przyjdę dziś wieczorem, porozumiemy się.

– Do Elżbiety, dobrze!...

– Niech i tak będzie – odparł zakochany starzec – do Elżbiety!

Hulot i Crevel zeszli razem, nie mówiąc słowa; dopiero kiedy się znaleźli na ulicy, spojrzeli obaj na siebie i zaśmiali się smutnie.

– Jesteśmy stare wariaty!... – rzekł Crevel.

– Odprawiłam ich – rzekła pani Marneffe do Elżbiety, siadając z powrotem do stołu. – Nigdy nie kochałam, nie kocham i nie będę kochała nikogo prócz mego jaguara – dodała, uśmiechając się do Henryka Monteza. – Elżbieto, moje dziecko, czy ty wiesz? Henryk przebaczył mi bezeceństwa, do których popchnęła mnie nędza.

– To moja wina – rzekł Brazylijczyk – powinienem ci być przysłać ze sto tysięcy.

– Poczciwy chłopiec! – wykrzyknęła Waleria. – Powinnam była pracować na życie, ale moje paluszki nie są stworzone do pracy... spytaj Elżbiety.

Brazylijczyk odszedł jako najszczęśliwszy człowiek w Paryżu.

Około południa Waleria i Elżbieta gawędziły we wspaniałej sypialni, gdzie ta niebezpieczna paryżanka dawała swojej toalecie owe ostatnie dotknięcie, z którym kobieta nie zdaje się na nikogo prócz siebie. Zasuńawszy rygle, zapuściwszy rolety Waleria opowiedziała w najdrobniejszych szczegółach wszystkie wypadki wieczora, nocy i poranku.

– Jesteś rada, mój klejnocie? – rzekła, kończąc, do Elżbiety.

– Czy mam zostać pewnego dnia panią Crevel, czy panią Montez? Jakie twoje zdanie?

– Taki rozpustnik jak Crevel nie pożyje ani dziesięciu lat – odparła Elżbieta – a Montez jest młody. Crevel zostawi około trzydziestu tysięcy franków renty. Niechże Montez zaczeka, dosyć dla niego szczęścia, że będzie beniaminkiem. W ten sposób możesz gdzieś w trzydziestu trzech latach i w pełni urody wyjść za swego Brazylijczyka i grać wybitną rolę przy sześćdziesięciu tysiącach renty osobistego majątku, zwłaszcza protegowana przez panią marszałkową...

– Tak, ale Montez jest Brazylijczykiem, nigdy nie dojdzie do niczego – zauważyła Waleria.

– Żyjemy – odparła Elżbieta – w epoce kolei żelaznych, w której cudzoziemcy dochodzą we Francji do wybitnych stanowisk.

– Zobaczymy – odparła Waleria – kiedy Marneffe umrze, a niedługo ma się już męczyć.

– Te nawroty choroby – rzekła Elżbieta – to niby cielesne wyrzuty sumienia... No, idę do Hortensji.

– Idź, idź, mój aniołku, i przyprowadź mi mego artystę! W trzy lata nie posunąć się ani na cal! To wstyd dla nas obu! Wacław i Henryk, oto moje jedyne dwie miłości. Jeden to miłość, drugi to kaprys.

– Jakaś ty dziś śliczna – rzekła Elżbieta, obejmując Walerię w pól i całując ją w czoło. – Sycę się wszystkimi twymi przyjemnościami, twoim dostatkiem, twoim strojem... Żyję dopiero od czasu, kiedyśmy się stały jak siostry...

– Czekaj, moja tygrysyco! – rzekła, śmiejąc się Waleria – szal masz krzywo. Nie umiesz jeszcze po trzech latach, mimo moich nauk, nosić szala i chcesz być panią marszałkową Hulot...

Obuta w prunelowe trzewiki, w szare jedwabne pończoszki, wystrojona we wspaniałą lewantynową suknię, uczesana w nioby pod ładnym kapturkiem z czarnego aksamitu podbitego żółtym atłasem, Elżbieta puściła się na ulicę św. Dominika bulwarem Inwalidów, pytając sama siebie, czy znużenie Hortensji wyda jej wreszcie na łup tę silną duszę i czy sarmacka niestałość, zaskoczona w momencie, w którym te charaktery zdolne są do wszystkiego, zdoła ugiąć miłość Wacława.

Hortensja i Waclaw zajmowali parter domu położonego na wylocie ulicy św. Dominika i alei Inwalidów. Apartamencik ten, niegdyś w harmonii z miodowym miesiącem, przedstawiał w tej chwili wygląd wpeł świeży, wpeł zwiędły, który można nazwać jesienią umeblowania. Młodzi małżonkowie to są marnotrawcy; bez woli i wiedzy marnują wszystko dokoła siebie, tak samo jak nadużywają miłości. Przepelnieni samymi sobą, nie myślą o przyszłości, która później staje się troską matki rodziny.

Elżbieta zastała Hortensję, jak kończyła właśnie sama ubierać małego Wacia, którego wynoszono do ogrodu.

– Dzień dobry, Bietko – rzekła Hortensja, która sama otworzyła kuzynce.

Kucharka poszła na targ, pokojówka, będąca zarazem niańką, prała.

– Dzień dobry, drogie dziecko – odparła Elżbieta, ściskając Hortensję. – Cóż – szepnęła jej do ucha – czy Waclaw jest w pracowni?

– Nie, rozmawia ze Stidmannem i Chanorem w salonie.

– Czy mogłybyśmy być same? – spytała Elżbieta.

– Chodź do mojego pokoju.

Pokój ten, obity persem w różowe kwiaty i zielone gałązki na białym tle, wciąż wystawiony na słońce, spłowił zarówno jak dywan. Firanki od dawna nie były prane. Czuć było dym cygar Waława, który, zostawszy wielkim panem sztuki a szlachcic z urodzenia, strząsał popiół na poręcze foteli, na najładniejsze cacka, jak człowiek kochany, od którego znosi się wszystko, i jak człowiek bogaty, któremu obce są mieszczańskie troski o przyszłość.

– I cóż, mówmy o twoich sprawach – zagadnęła Elżbieta, widząc, iż piękna kuzynka niemo zagłębia się w fotelu. – Ale co tobie? Wydajesz mi się jakaś blada, kochanie.

– Pojawiły się dwa nowe artykuły, wymierzone w mego biednego Waclawa; przeczytałam, ale schowałam je przed nim, gdyż zniechęciłby się do reszty. Pomnik marszałka Montcornet uważają za zupełnie chybiony. Chwałą jedynie płaskorzeźby, aby z okrutną perfidią podnosić talent ornamentacyjny Waclawa i aby tym dobitniej wyrazić, że wielka sztuka jest rzeczą nie dla nas. Stidmann, którego ubłagałam, aby mi powiedział prawdę, pogrążył mnie w rozpacz; wyznał mi, że dzieli pogląd wszystkich artystów, krytyki i publiczności. „Jeżeli Waclaw – powiedział mi tu, w ogrodzie, przed śniadaniem – nie wystawi w ciągu przyszłego roku arcydzieła, powinien dać pokój wielkiej rzeźbie i ograniczyć się do cacek, figurynek, artystycznej biżuterii i złotnictwa!”. Wyrok ten sprawił mi najwyższą przykrość, bo Waclaw nie zechce się nigdy poddać, ma poczucie swego talentu, ma tyle pięknych pomysłów...

– Pięknymi pomysłami nie zapłaci się rachunków – zauważyła Elżbieta – powtarzałam mu to bez wytchnienia... Na to trzeba pieniędzy. Pieniądze zaś dostaje się jedynie za rzeczy zrobione i podobające się mieszczuchom na tyle, aby je kupowali. Kiedy chodzi o to, aby żyć, lepiej jest rzeźbiarzowi mieć na warsztacie model jakiego świecznika, kominka, stołu niż grupę albo pomnik; bo tego potrzebują wszyscy; podczas gdy na amatora grupy i jego pieniądze można czekać całe miesiące...

– Masz słuszność, moja dobra Bietko! Więc powiedz mi to, ja nie mam odwagi... Zresztą, jak mówił Stidmannowi, jeżeli wróci do ornamentu, do snycerstwa, trzeba będzie wyrzec się Instytutu, wielkich dzieł sztuki i postradamy owe trzysta tysięcy franków za prace w Wersalu, które Paryż i ministerium przeznaczyło dla nas. Oto co nam wydzierają te dwa okropne artykuły podyktowane przez współzawodników, którzy chcieliby odziedziczyć nasze zamówienia.

– A tyś o czym innym marzyła, biedny kocie! – rzekła Bietka, całując Hortensję w czoło. – Chciałaś mieć wielkiego pana królującego w sztuce, pierwszego wśród rzeźbiarzy. Ale cóż chcesz, to są poezje... To marzenie wymaga pięćdziesięciu tysięcy franków renty, a wy macie tylko dwa tysiące czterysta, póki ja żyję, a trzy tysiące po mojej śmierci.

Łzy zakręciły się w oczach Hortensji; Bietka wypłała je spojrzeniem, tak jak kot spija mleko.

Oto pokrótce historia tego miodowego miesiąca, która przyda się może artystom.

Praca duchowa, polowanie w wysokich regionach inteligencji to jeden z największych wysiłków człowieka. Rzeczą godną najwyższej chwały w sztuce – trzeba bowiem pod tym słowem rozumieć wszystkie twory ducha – jest zwłaszcza wytrwałość, wytrwałość, z której pospolity ogół nie zdaje sobie sprawy i którą może objaśniamy tu po raz pierwszy. Party straszliwym naciskiem nędzy, trzymany przez Bietkę w położeniu owych koni, którym się zakłada klapy na oczy, aby nie widziały na boki, smagany przez twardą dziewczynę, obraz konieczności Losu w jego pośledniejszym ujęciu, Waclaw, z natury poeta i marzyciel, przeszedł od pomysłów do wykonania; przebył, nie wiedząc o tym jak, przepaść, jaka dzieli te dwie półkule twórczości. Myśleć, marzyć, poczynać piękne dzieła jest to rozkoszne zajęcie. To znaczy palić zaczarowane cygara, wieść życie kurtyzany uganiającej się za swoim kaprysem. Dzieło ukazuje się wówczas w całym wdzięku dziecięctwa, w szalonej radości płodzenia, w wonnych kolorach kwiatu, ze wszystkimi sokami zawczasu kosztowanego owocu. Oto są pomysły artysty i płynące z nich rozkosze. Ten, kto może nakreślić swój plan w słowach, już uchodzi za niezwykłego człowieka. Tę zdolność posiadają wszyscy artyści i pisarze. Ale tworzyć! Ale urodzić! Ale wychować mozolnie dziecko, układać je co wieczór opiłe mlekiem do snu, ścisnąć je co rano z niespożytych sercem matki, obmywać je z brudu, ubierać je sto razy w najładniejsze kaftaniczki, które

natychmiast drze; ale nie zrażać się konwulsjami tego szalonego życia i uczynić zeń żywe arcydzieło, które przemawia do wszystkich oczu w rzeźbie, do wszystkich inteligencji w literaturze, do wszystkich wspomnień w malarstwie, do wszystkich serc w muzyce – oto jest wykonanie i jego trudy. Ręka musi krzątać się co chwila, wciąż gotowa, wciąż posłuszna głowie. Otóż głowa tak samo nie ma na rozkazy zdolności twórczych, jak miłość nie jest aktem ciągłym.

Ten nawyk tworzenia, ta niezmordowana miłość macierzyńska, która jest istotą matki (tego naturalnego arcydzieła, tak dobrze pojętego przez Rafaela), słowem, to macierzyństwo mózgowe, tak trudne do osiągnięcia, zatracą się niesłychanie łatwo. Natchnienie to traf geniuszu. Biegnie ono już nie po ostrzu brzytwy, ale powietrzem, ulatuje z nieufnością kruka, nie ma przepaski, za którą mógłby je chwycić poeta, włosy jego są z płomienia, ucieka jak owe piękne białe i różowe flamingi, przedmiot rozpaczy myśliwych. Toteż praca jest wyczerpującą walką, której lękają się i którą kochają bujne i krzepkie duchy, mimo iż często się w niej łamią. Wielki poeta naszych czasów powiedział o tej przerażającej pracy: „Zabieram się do niej z rozpaczą, a porzucam ją z przykrością”. Niech nieświadomi wiedzą! Jeżeli artysta nie rzuca się w swoje dzieło jak Kurcjusz w otchłań, jak żołnierz na redutę, bez zastanowienia; jeżeli w tym kraterze nie pracuje jak górnik grzebiący się w zawalonym szybie; jeżeli, słowem, rozważa trudności zamiast zwalczać je jedną po drugiej, na kształt owych kochanków z baśni, którzy, aby zdobyć swoje księżniczki, zwalczali wciąż odradzające się czary – dzieło zostaje niedokończone, ginie w czeluściach pracowni, twórczość zamiera i artysta staje się świadkiem samobójstwa swego talentu.

Rossini, ten geniusz pokrewny Rafaelowi, jest tego uderzającym przykładem, jeżeli zestawimy jego ubogą młodość z bogactwem wieku dojrzałego. Oto przyczyna, że podobne nagrody, podobny tryumf, jednakie laury stają się udziałem wielkich poetów i wielkich wodzów.

Wacław, natura marzycielska, zużył tyle energii na tworzenie, na kształcenie się, na pracę pod despotycznym kierunkiem Elżbiety, że miłość i szczęście spowodowały reakcję. Prawdziwy charakter wyłonił się. Lenistwo i beztroska, miękkość sarmacka wróciły, aby zająć w jego duszy wygodne bruzdy, z których wypędziła je różga nauczycielska. Przez pierwsze miesiące życie artysty wypełniła miłość. Hortensja i Wacław oddawali się czarującym dzieciństwom miłości uświęconej, szczęśliwej, szalonej. Hortensja pierwsza wówczas rozgrzeszała Wacława od wszelkiej pracy, dumna, że w ten sposób święci tryumfy nad swoją rywalką, rzeźbą. Zresztą pieszczoty kobiece przyprowadzają o omdlenie muzę i miękczą dziką, brutalną zawziętość pracownika. Upłynęło sześć, siedem miesięcy, palce rzeźbiarza odwykły od trzymania rylca. Kiedy zaczęła go naciskać konieczność pracy, kiedy księżę Wissemburg, prezes komitetu budowy pomnika, chciał zobaczyć model, Wacław wyrzekł klasyczne słowa próżniaków: „Wezmę się do tego!”. I kołysał swoją drogą Hortensję zwodniczymi słowy, wspaniałymi planami, jakie tworzy artysta, paląc cygaro po cygarze. Hortensja tym więcej kochała swego poetę, widziała w myśli wspaniały pomnik marszałka Montcornet. Montcornet miał się stać wcieleniem nieustraszonego męstwa, typem kawalerzysty, odwagi *à la* Murat. Ba! Widok tego pomnika miał tłumaczyć wszystkie zwycięstwa cesarza. I co za wykonanie! Ołówek

był posłuszny, biegł w ślad za słowami.

Co się tyczy posągu, urodził się tylko śliczny mały Wacio.

Z chwilą gdy chodziło o to, aby iść do pracowni Gros-Caillou, chwycić się gliny i oblec projekt w ciało, to zegar dla księcia wymagał obecności Waclawa w warsztatach Florent i Chanor, gdzie wykończano figuryнки, to dzień był pochmurny i słotny; dziś jakieś pilne interesy, jutro obiad w rodzinie, nie licząc dni, w których artysta był nieusposobiony lub niezdrów, a wreszcie tych, które spływały w pieśczętach z ukochaną żoną. Aby uzyskać model, marszałek księżę Wissemburg musiał się pogniewać i zagrozić odwołaniem zamówienia. Dopiero po tysiącnych wymówkach i gwałtownych scenach komitet ujrzał model w gipsie. Po każdym dniu pracy Steinbock wracał zmęczony, skarżąc się na tę murarską mordęgę, na swoje słabe zdrowie. W czasie tego pierwszego roku małżeństwo cieszyło się pewnym dostatkiem. Hrabina Steinbock, szalenie zakochana w mężu, w pełni życia miłością, złożyła ministrowi wojny, poszła doń, aby mu oświadczyć, że wielkich dzieł nie tworzy się tak, jak się sporządza armaty, że państwo powinno być, jak Ludwik XIV, Franciszek I, Leon X, na rozkazy geniuszu. Biedna Hortensja, myśląc, że trzyma w ramionach Fidiasza, miała dla swego Waclawa macierzyńską słabość kobiety, która posuwa miłość aż do bałwochwalstwa.

– Nie śpiesz się – powiadała do męża – ten pomnik to cała nasza przyszłość, nie żałuj sobie czasu, stwórz arcydzieło.

Przychodziła do pracowni. Zakochany artysta trawił z żoną pięć godzin na siedem, opisując jej pomnik zamiast go robić. Strawił w ten sposób półtora roku na dokończenie tego dzieła, tak wielkiej dla niego wagi.

Kiedy odlano gips, kiedy model był już gotowy, biednej Hortensji, będącej świadkiem olbrzymich wysiłków męża, którego zdrowie ucierpiało od tej pracy wyczerpującej ciało, ramię i rękę artysty; dzieło wydało się wspaniałe. Ojciec jej, nie mający pojęcia o rzeźbie, baronowa, równie nieświadoma, krzyknęli, że to arcydzieło. Ministrowi wojny, sprowadzonemu przez nich i z góry dobrze uprzedzonemu, spodobał się ten gips, stojący oddzielnie w odpowiednim oświetleniu i korzystnie ustawiony na tle zielonej kotary. Niestety! Na wystawie w roku 1841 skrytykowano rzecz jednogłośnie; a krytyka ta, w ustach ludzi podrażnionych tak rychłym wywyższeniem bożyszczą, zmieniła się w szyderstwo i oburzenie. Stidmann chciał oświecić przyjaciela swego, Waclawa; pomówiono go o zazdrość. Artykuły w dziennikach były to wedle Hortensji krzyki zawiści. Stidmann, ten zacny człowiek, postarał się o artykuły polemizujące z krytyką, w których podnoszono, że pomiędzy gipsem a marmurem rzeźbiarz tak dalece może zmienić swoją pracę, iż prawdziwym dziełem jest dopiero marmur. „Między projektem w gipsie a pomnikiem wykonanym w marmurze można, pisał Klaudiusz Vignon, zepsuć arcydzieło lub też zrobić doskonałą rzecz z lichej. Gips to rękopis, marmur to książka”.

W ciągu półtrzecia roku Steinbock spłodził posąg i dziecko. Dziecko było cudem piękności, posąg był oplakany.

Zegar księcia i pomnik pokryły długi młodego małżeństwa. Steinbock przyzwyczał się bywać w świecie, w teatrze, w Operze; cudownie rozprawiał o sztuce, pozostał w oczach salonu wielkim artystą dzięki łatwości słowa, wywodów krytycznych.

Są w Paryżu genialni ludzie, którym życie spływa na wygadywaniu się i którzy zadowolają się taką salonową sławą. Wstępując w ślad tych przemiłych eunuchów, Steinbock nabierał z każdym dniem rosnącego wstrętu do pracy. Kiedy miał zacząć dzieło, widział wszystkie jego trudności, a w ślad za tym idące zniechęcenie osłabiało w nim wolę. Natchnienie, ten szal duchowego płodzenia, pierzchało w lot na widok tego chorego kochanka.

Rzeźba jest, jak sztuka dramatyczna, równocześnie najtrudniejszą i najłatwiejszą ze wszystkich sztuk. Skopiuj model, a dzieło jest skończone; ale wlać weń duszę, stworzyć typ będący mężczyzną lub kobietą – to zbrodnia Prometeusza. Tryumfy te można policzyć w rocznikach rzeźby, tak jak można policzyć poetów w dziejach ludzkości. Michał Anioł, Michał Columb, Jan Goujon, Fidiasz, Praksyteles, Poliklet, Puget, Canova, Albrecht Dürer są braćmi Milтона, Wergilego, Danta, Szekspira, Tassa, Homera i Moliera. Jest to dzieło tak wielkie, że jeden posąg wystarczy, aby unieśmiertelnić człowieka, tak jak postacie Figara, Lowelasa i Manon Lescaut wystarczyły, aby unieśmiertelnić Beaumarchais'go, Richardsona i księdza Prevost. Ludzie powierzchowni (a bywa ich wśród artystów o wiele za dużo) orzekli, że rzeźba istnieje jedynie nagością, że umarła wraz z Grecją i że nowoczesny strój czyni ją niemożliwą. Po pierwsze, starożytni stworzyli cudowne posągi zupełnie ubrane, jak „Polihymnię”, „Julię”, a nie odnaleźliśmy ani dziesiątej części ich dzieł. Następnie, niech prawdziwi miłośnicy sztuki pojedą do Florencji zobaczyć „Myśliciela” Michała Anioła, a w katedrze mogunckiej „Najświętszą Pannę” Albrechta Dürera, który wykonał w hebanie kobietę żywą pod swą potrójną szatą, z włosami najbardziej falistymi, najmiększymi, jakie kiedykolwiek czesała garderobiana; niechaj nieuki tam śpieszą, pojmą wszyscy, że geniusz może nasycić myślą strój, zbroję,

suknię, że może wlać w nie życie, tak samo jak człowiek użycza swego charakteru i właściwości swego życia swojej powłoce. Rzeźba jest ciągłym urzeczywistnianiem faktu, który w malarstwie nazwał się jeden jedyny raz: Rafael! Rozwiązanie tego straszliwego problemu mieści się jedynie w pracy ustawicznej, wytrwałej, trzeba bowiem tak doskonale pokonać trudności materialne, ręka musi być tak kama, tak gotowa i posłuszna, by rzeźbiarz mógł duszą swoją zmierzyć się z ową niepochwytłą istotą duchową, którą trzeba przeobrazić, materializując ją. Gdyby Paganini, który wypowiadał swą duszę na strunach skrzypiec, na trzy dni poniechał ćwiczeń, straciłby wraz z siłą wyrazu rejestr swego instrumentu: w ten sposób określał on związki istniejące między drzewem, smyczkiem, strunami a nim samym; w razie zniszczenia tej harmonii natychmiast zostałyby tylko zwykłym skrzypkiem. Nieustanna praca jest prawem sztuki, jak życie; sztuka bowiem jest to życie przeidealizowane. Toteż wielcy artyści, prawdziwi poeci nie czekają zamówienia ani kupca; tworzą dziś, jutro, ciągle. Wynika z tego ów nawyk pracy, ta nieustanna świadomość trudności, które podsycają ich stosunek z muzą, z siłami twórczymi. Canova żył w swojej pracowni, jak Wolter w swoim gabinecie. Homer i Fidiasz musieli żyć w ten sposób.

Kiedy Elżbieta uwięziła Wacława Steinbocka na poddaszu, znalazł się on na ciernistej drodze, którą przebiegli owi wielcy ludzie, a która wiedzie na Alpy sławy. Szczęście, pod postacią Hortensji, z powrotem pchnęło poetę w próżniactwo, które jest przyrodzonym stanem wszystkich artystów, bo ich próżniactwo jest bardzo zajęte. Jest to rozkosz paszów w seraju: pieczęcią myśli, upijają się u źródeł inteligencji. Wielcy artyści, tacy jak Steinbock, trawieni marzeniem, słusznie noszą miano marzycieli. Ci zjadacze opium staczają się wszyscy w nędzę, podczas gdy podtrzymywani przymusem okoliczności staliby się wielkimi ludźmi. Ci półartyści są zresztą czarujący, świat lubi ich i darzy pochwałami; wydają się wyżsi od prawdziwych artystów, pomawianych o egotyzm, dzikość, bunt wobec prawideł świata. Oto czemu: wielcy ludzie należą do swoich dzieł. Ich oderwanie od wszystkiego, oddanie pracy czyni ich egoistami w oczach głupców; świat bowiem chce, aby wdziali ten sam strój, jaki noszą dandysi drepczący w kieracie tak zwanych obowiązków towarzyskich. Chciałby, aby lwy Atlasu były wyczesane i wyperfumowane jak pokojowe pieski markizy. Ludzie ci, mający mało równych sobie i spotykający ich rzadko, zasklepiają się w samotności, stają się niezrozumiali dla ogółu, złożonego, jak wiadomo, z głupców, zawistnych nieuków i miąłkich głów. Czy rozumiecie obecnie rolę kobiety wobec tych wspaniałych wyjątków? Kobieta

powinna być równocześnie tym, czym była Elżbieta przez pięć lat, i co więcej, dawać miłość, miłość pokorną, cichą, wciąż gotową do ofiar i wciąż uśmiechniętą.

Hortensja, oświecona cierpieniami matki, gnębiona dotkliwą potrzebą, zbyt późno spostrzegła błędy, których dopuściła się mimo woli z nadmiaru miłości; ale jako godna córka swej matki nie mogła znieść myśli, aby miała dręczyć Waclawa; zanadto go kochała, aby móc się stać katem swego drogiego poety; widziała tedy zbliżającą się chwilę, w której nędza dosięgnie ją, jej syna i męża.

– O ho ho, moje maleństwo – rzekła Bietka, widząc łyżki iskrzące się w pięknych oczach kuzynki – nie trzeba rozpaczać. Za pełną szklanekę łez nie kupisz talerza zupy! Ile wam trzeba?

– Och, pięć do sześciu tysięcy franków.

– Mam co najwyżej trzy tysiące – rzekła Elżbieta. – A co robi w tej chwili Waclaw?

– Proponują mu, aby wykonał za sześć tysięcy franków, wspólnie ze Stidmannem, zastawę do wetów dla księcia d'Hérouville. Wówczas Chanor podjąłby się zapłacić cztery tysiące franków, które Waclaw jest dłużny Leonowi de Lora i panu Bridau, dług honorowy.

– Jak to! Wzięliście pieniądze za posąg i płaskorzeźby na pomnik marszałka Montcornet i tegoście nie zapłacili!

– Ależ... – rzekła Hortensja – od trzech lat wydajemy po dwanaście tysięcy rocznie, a ja mam dochodu coś ponad dwa tysiące. Pomnik marszałka, po opłaceniu wszystkich kosztów, dał nie więcej niż szesnaście tysięcy. Doprawdy, jeżeli Waclaw nie będzie pracował, nie wiem, co się z nami stanie. Och, gdybym mogła się nauczyć rzeźbić, jakżeby mi robota paliła się w rękach! – rzekła, wyprężając piękne ramiona.

Widać było, że kobieta ziściła obietnice młodej dziewczyny. Oko Hortensji błyszczało; w żyłach jej płynęła krew bogata w żelazo, gorąca; rozpaczała, że całą energię musi zużywać na niańczenie dziecka.

– Ba, mój drogi kocie, rozsądna dziewczyna powinna wychodzić za artystę dopiero wtedy, kiedy panicz już zrobi majątek, a nie kiedy ma go dopiero zrobić.

W tej chwili rozległy się kroki i głosy Stidmanna i Waclawa, którzy odprowadzali Chanora; niebawem zjawił się Waclaw ze Stidmannem. Stidmann, artysta obracający się w świecie dziennikarzy, wielkich aktorek i głośnych loretek, był to wykwintny młody człowiek, którego Waleria chciała mieć u siebie i którego Klaudiusz Vignon już jej przedstawił. Stidmann właśnie rozstał się ze słynną panią Schontz, która kilka miesięcy temu wyszła za mąż i wyjechała na prowincję. Waleria i Elżbieta, które wiedziały przez Klaudiusza Vignon o tym zerwaniu, uznały za potrzebne ściągnąć przyjaciela Waclawa na ulicę Vanneau. Ponieważ Stidmann przez delikatność rzadko pojawiał się u Steinbocków, Elżbieta zaś nie była świadkiem wprowadzenia go przez Klaudiusza Vignon, widziała go po raz pierwszy. Przyglądając się sławnemu artyście, podchwyciła parę spojrzeń, jakie rzucił na Hortensję, co jej podsunęło myśl, aby go dać na pociechę hrabinie Steinbock, w razie gdyby Waclaw ją zdradził. Stidmann uważał w istocie, że gdyby Waclaw nie był jego kolegą, Hortensja, ta młoda i wspaniała hrabina, mogłaby być czarującą kochanką; ale właśnie to marzenie, zdławione poczuciem honoru, trzymało go z dala od ich domu. Elżbieta zauważyła to charakterystyczne zakłopotanie, jakie mają mężczyźni wobec kobiety, o której wzbronili sobie myśleć.

– Bardzo przystojny ten młody człowiek – szepnęła do ucha Hortensji.

– W istocie? – odparła. – Nie zauważyłam...

– Stidmann, mój drogi chłopcze – szepnął Waclaw do ucha koledze – nie będziemy robili między sobą ceremonii; przepraszam cię, ale mamy do pogadania o interesach z tą pannicą.

Stidmann skłonił się obu kuzynom i wyszedł.

– Sprawa ubita – rzekł Waclaw, który wrócił, odprowadziwszy Stidmanna – ale to robota na jakie pół roku, a przez ten czas trzeba żyć.

– Mam moje brylanty! – wykrzyknęła młoda hrabina Steinbock z wspaniałym porywem kochającej kobiety.

Łza zakręciła się w oczach Waclawa.

– Och, będę pracował – odparł, siadając koło żony i biorąc ją na kolana. – Będę robił cacka, koszyczki, brązy...

– Ależ moje drogie dzieci – rzekła Elżbieta – wiecie bowiem, że jesteście mymi spadkobiercami i zostawię wam, bądźcie pewni, ładny fundusik, zwłaszcza jeżeli pomożecie mi wyjść za marszałka; jeżeli się nam to prędko uda, wezmę was do siebie na gospodarstwo, was oboje i Adelinę. Och, byłoby nam bardzo dobrze razem. Na razie posłuchajcie mego starego doświadczenia. Nie bawcie się w zastawianie czegokolwiek, to na nic. Zawszem widziała, że kiedy przyszło przedłużyć zastaw, nie było pieniędzy na opłacenie procentów i traciło się wszystko. Mogę się wam wystarać o pożyczkę na pięć od sta na prosty kwit.

– Och! To by nas ocaliło! – rzekła Hortensja.

– A więc, moja mała, niech Waław przyjdzie do osoby, która wygodziłaby mu na moją prośbę: To pani Marneffe; jeżeli pogłaskacie jej ambicje (próżna jest jak wszyscy parweniusze!), wydobędzie was z kłopotu najgładziej w świecie. Wybierz się do niej, droga Hortensjo.

Hortensja spojrzała na Waława z wyrazem takim, jaki muszą mieć skazani na śmierć, idąc na rusztowanie.

– Klaudiusz Vignon wprowadził tam Stidmanna – rzekł Waław. – To bardzo miły dom.

Hortensja spuściła głowę. Uczucia jej można wyrazić w jednym słowie: to nie był ból, ale choroba.

– Ależ droga Hortensjo, naucz się żyć! – wykrzyknęła Elżbieta, pojmując wymowny gest Hortensji. – Inaczej skończysz jak matka, zamknięta w pustym pokoiku, gdzie będziesz płakała jak Kalipso po wyjeździe Ulissesa, w wieku, gdy nie ma już Telemaków!... – dodała, powtarzając koncept pani Marneffe. – Trzeba patrzeć na ludzi jak na narzędzia, których się używa, które się bierze i rzuca wedle ich użyteczności. Posłużcie się, drogie dzieci, panią Marneffe i rzućcie ją potem. Czy się boisz, aby Waław, który cię ubóstwia, nie zapłonął do kobiety o kilka lat starszej od ciebie, zwiędłej jak reneta i...

– Wolę zastawić brylanty – rzekła Hortensja. – Och, nie idź tam, Waławie, nigdy!... To piekło!

– Hortensja ma słuszność – rzekł Waław, ściskając żonę.

– Dzięki ci, drogi mój – odparła młoda kobieta w upojeniu szczęścia. – Widzisz, Bietko, mój mąż to anioł: nie gra w karty, chodzimy wszędzie razem; gdyby jeszcze mógł zabrać się do pracy, nie, to już byłoby za wiele szczęścia. Po co się mamy pokazywać u kochanki naszego ojca, u kobiety, która go rujnuje i jest powodem zgryzot zabijających naszą bohaterską mamę?

– Moje dziecko, ruina twego ojca ma źródła w czym innym; to śpiewaczka zrujnowała go, a potem twoje małżeństwo – odparła Bietka. – Wierzaj mi, pani Marneffe bardzo mu jest użyteczna, bardzo!... Ale nie mam prawa nic mówić.

– Ty bronisz wszystkich, droga Bietko...

Krzyk dziecka odwołał Hortensję do ogrodu, Elżbieta została sama z Waławem.

– Masz anioła za żonę, Waławie! – rzekła Bietka. – Kochaj ją, nie spraw jej nigdy zgryzoty.

– Ach, kocham ją tak, że kryję przed nią nasze położenie – odparł Waław – ale z tobą, Bietko, mogę o nim mówić... Otóż gdybym nawet zastawił brylanty żony, niewiele by to nam pomogło.

– Więc pożycz od pani Marneffe... – rzekła Elżbieta. – Namów Hortensję, aby ci pozwoliła tam iść, albo, dalibóg, idź tak, aby ona nie wiedziała!

– O tym właśnie myślałem – odparł Waław – w chwili, gdy wzbraniałem się iść, aby nie martwić Hortensji.

– Słuchaj, Waławie, zanadto was oboje kocham, aby cię nie ostrzec o niebezpieczeństwie. Jeżeli tam pójdziesz, trzymaj serce oburącz, bo ta kobieta to szatan; każdy, kto się do niej zbliży, traci głowę; jest tak zepsuta, taka ponętna... Przykuwa do siebie jak arcydzieło. Pożycz od niej pieniędzy, ale nie daj jej duszy w zastaw. Byłabym niepokieszona, gdybyś miał zdradzić Hortensję... Otóż i ona! – wykrzyknęła Bietka. – Nie mówmy już nic, ja to urządzę.

– Uściskaj Bietkę, mój aniele – rzekł Waław do żony – wybawi nas z kłopotu, pożyczając nam swoje oszczędności.

Dał znak Elżbiecie, która go zrozumiała.

– Mam więc nadzieję, że weźmiesz się do roboty, mój najdroższy? – rzekła Hortensja.

– Och, tak – rzekł artysta – od jutra.

– To jutro to nasza ruina – odparła Hortensja z uśmiechem.

– Och, moje drogie dziecko, powiedz sama, czy codziennie nie zdarzały się jakieś przeszkody, trudności, interesy?

– Tak, tak, masz słuszność, kochanie.

– Tu mam – podjął Steinbock, uderzając się w czoło – pomysły!... Och! Ale chcę zdumieć moich wrogów. Chcę zrobić serwis w stylu niemieckim z XVI wieku, marzenie! Poskręcám liście pełne owadów, pokładę pomiędzy nimi dzieci, stworzę nowe chimery, prawdziwe chimery, wcielenie naszych snów!... Mam je!... To będzie prawdziwy gąszcz, lekki i pełny zarazem. Chanor wyszedł zupełnie oczarowany... Potrzeba mi było słowa otuchy, bo ostatni artykuł o pomniku Montcorneta okrutnie mnie pognębił.

Przez chwilę, w której Wacław i Elżbieta znaleźli się sami, artysta umówił się ze starą panną, że nazajutrz będzie u pani Marneffe: albo mu żona pozwoli, albo pojedzie tam potajemnie.

Waleria, tegoż samego wieczoru powiadomiona o zwycięstwie, wymogła na baronie Hulot, aby poszedł zaprosić na obiad Stidmanna, Klaudiusza Vignon i Steinbocka; zaczynała go bowiem tyranizować tak, jak tego rodzaju kobiety tyranizują starców, każąc im dreptać po mieście i pozyskiwać każdego, kto jest potrzebny dla interesów lub próżności tych twardych władczyń.

Nazajutrz Waleria stanęła pod bronią: przygotowała jedną z owych toalet, jakie umie obmyślić paryżanka, gdy się chce pokazać w pełnym blasku. Wypróbowała się tak, jak mężczyzna, który ma się bić w pojedynku, przechodzi swoje finty i parady. Ani jednego fałdu, ani jednej zmarszczki. Sama białość, miękkość, subtelność. Przy tym muszki jej wabiły nieznacznie spojrzenia. Sądzicie, że muszki osiemnastowieczne zaginęły lub wyszły z użycia – mylicie się. Dziś kobiety, zręczniejsze od swoich poprzedniczek, ściągają ku sobie lornetki śmiałyymi manewrami. Jedna wymyśli kokardę, w którą wepnie brylant, i zagarnie wszystkie oczy na cały wieczór. Inna wskrzesi siatkę na głowę lub wbije sobie we włosy sztylet, aby kazać myśleć o swej podwiązce; tamta ustroi ręce w czarne aksamitki. Te szczytne wysiłki, te Austerlitz zalotności lub uczucia stają się modą dla sfer niższych, w chwili gdy szczęśliwe twórczynie szukają już innych form. Tego wieczora Waleria chciała zwyciężyć: obmyśliła trzy muszki. Najpierw użyła jakiejś wody, która zmieniła na kilka dni jej włosy blond na popielate. Pani Steinbock była złotą blondynką, nie chciała tedy być w niczym do niej podobna. Ten nowy kolor dał Walerii coś drażniącego i oryginalnego, tak iż uderzyło to wszystkich jej wiernych, a Montez rzekł: „Co się z tobą dziś stało...?”. Następnie włożyła na szyję dość szeroką czarną aksamitkę, która uwydatniła białość jej piersi. Trzecią muszkę można było

porównać do dawnej *assassine* (morderczej) naszych babek. W sam środek gorsu, nad bryklą gorsetu, w najładniejszy dołeczek pod słońcem, włożyła sobie śliczny pączek róży. Od tego widoku musiał spuścić oczy każdy mężczyzna poniżej trzydziestki.

– Tylko mnie schrupać! – mówiła sobie, powtarzając przed lustrem pozy, zupełnie tak jak tancerka robi swoje *plies*.

Elżbieta poszła do Hal, obiad miał być jedną z owych biesiad, jakie Maturyna sporządzała dla swego biskupa, kiedy gościł prałata z sąsiedniej diecezji.

Stidmann, Klaudiusz Vignon i hrabia Steinbock przybyli prawie równocześnie, około szóstej. Kobieta pospolita lub, jeżeli chcecie, naturalna, byłaby nadbiegła na dźwięk nazwiska tak gorąco upragnionej istoty; ale Waleria, która od piątej czekała w swoim pokoju, zostawiła trzech gości razem, pewna, iż będzie przedmiotem ich rozmów lub też ich tajemnych myśli. Sama dopilnowała przystrojenia salonu; rozmieściła na widoku te przemile cacka, które wydaje Paryż (żadne inne miasto nie zdoła ich wytworzyć!), zdradzające obecność kobiety i zwiastujące ją niejako: pamiątki ujęte w emalię i wyhaftowane perłami, czarki pełne prześlicznych pierścionków, arcydzieła sewrskie lub saskie z wykwintnym smakiem opracione przez Florenta i Chanora, posążki, albumy, wszystkie te graciki kosztujące szalone sumy, które zamawia u fabrykantów miłość w swoim pierwszym szale lub na ostatnie pojednanie. Waleria była zresztą upojona powodzeniem. Przynęła Crevelowi zostać jego żoną, jeżeli Marneffe umrze; otóż rozkochany Crevel przelał na nazwisko Walerii Fortin dziewięć tysięcy franków renty, owoc swoich zysków w kolei żelaznej z ostatnich trzech lat, wszystko, co mu przyniosły owe trzysta tysięcy franków ofiarowywane niegdyś baronowej Hulot. Tak więc Waleria posiadała trzydzieści dwa tysiące franków renty. Ale Crevelowi wymknęła się obietnica o wiele poważniejsza niż ta ofiara. W upojeniu namiętności, w jakim jego księżniczka (dawał to miano pani de Marneffe, aby dopełnić

swoich złudzeń) zanurzyła go od drugiej do czwartej – tego dnia Waleria przeszła sama siebie – zapragnął umocnić wierność jej perspektywą ładnego pałacyku, który lekkomyślny przedsiębiorca wybudował dla siebie przy ulicy Barbet i który miano wystawić na sprzedaż. Waleria już widziała siebie w tym ślicznym pałacyku, z ogrodem i podwórzem, we własnym powozie!

– Gdzież jest uczciwe życie, które by mogło dać to wszystko w tak krótkim czasie i tak lekko? – rzekła do Elżbiety, kończąc toaletę.

Elżbieta była tego dnia na obiedzie u Walerii, aby móc o niej mówić Steinbockowi to, czego nikt nie może powiedzieć sam o sobie. Pani Marneffe, z twarzą promieniającą od szczęścia, weszła do salonu z pełnym skromności wdziękiem; za nią Bietka, która ubrana cała czarno i żółto służyła jej, mówiąc językiem malarskim, za tło kontrastujące.

– Dzień dobry, panie Klaudiuszu – rzekła, wyciągając rękę do sławnego eks-krytyka.

Klaudiusz Vignon został, jak tyłu innych, człowiekiem politycznym; jest to nowe słowo na oznaczenie karierowicza w pierwszym stadium kariery. Człowiek polityczny jest w roku 1840 poniekąd tym, czym *abbe* w wieku XVIII. Salon nie byłby kompletny, gdyby nie miał swego człowieka politycznego.

– Przedstawiam ci, moja droga, mego młodego krewniaka, hrabiego Steinbock – rzekła Elżbieta, wskazując Wacława, którego Waleria jakby nie zauważyła.

– Och, poznałam pana hrabiego – odparła Waleria, witając artystę wdzięcznym skinieniem głowy. – Widywałam pana często przy ulicy Doyenne; miałam przyjemność być na pańskim weselu. Tak, moja droga – zwróciła się do Elżbiety – trudno jest zapomnieć twoje byłe dziecko, choćby się je tylko raz widziało. Pan Stidmann jest bardzo uprzejmy – zwróciła się do rzeźbiarza – że przyjął tak późne zaproszenie, ale jak mus, to mus! Wiedziałam, że pan jest w przyjaźni z oboma panami. Nic nudniejszego, przykrzejszego niż obiad, na którym goście nie znają się wzajem; ściągnęłam pana dla nich, ale innym razem przyjdzie pan dla mnie samej, nieprawdaż?... Niech pan powie tak!...

Przechadzała się dobrą chwilę ze Stidmannem, jak gdyby zajęta wyłącznie nim. Oznajmiono kolejno Crevela, barona Hulot i pewnego posła nazwiskiem Beauvisage. Figura ta, rodzaj Crevela z prowincji, urodzony na statystę, głosował pod chorągwią Girauda, obecnie radcy stanu, i Wiktora Hulot. Dwaj ci politycy chcieli stworzyć grupę postępową w obozie konserwatystów. Giraud bywał czasami wieczorem u pani Marneffe, która miała nadzieję ściągnąć i Wiktora Hulot, ale surowy adwokat zawsze znajdował jakiś pozór, aby się oprzeć ojcu i teściowi. Pokazywać się u kobiety, która była przyczyną łez jego matki, zdawało mu się zbrodnią. Wiktor Hulot był w stosunku do purytanów polityki tym, czym pobożna kobieta w stosunku do dewotek.

Beauvisage, niegdyś pończoszniczek z Arcis, chciał nabrać paryskiego tonu. Człowiek ten, jeden z figurantów Izby, wyrabiał się u rozkosznej, czarującej pani Marneffe, gdzie, olśniony Crevelem, przyjął go z rąk Walerii jako wzór i jako mistrza; radził się go we wszystkim, brał od niego adres krawca, naśladował go, usiłował przybierać jego pozy; słowem, Crevel był jego wielkim człowiekiem. Waleria, w otoczeniu tych figur oraz trzech artystów, na tle zřęcznie dobranego towarzystwa Elżbiety, wydała się oczom Wacława niepospolitą kobietą, tym bardziej że Klaudiusz Vignon wyśpiewał przed nim na jej cześć wszystkie hymny zakochanego człowieka.

– To pani de Maintenon w spódnicy Ninon de Lenclos! – mówił eks-krytyk. – Spodobać się jej to kwestia jednego wieczoru, jednej dowcipnej pogawędki; ale zdobyć jej miłość – to tryumf, który może starczyć ambicji człowieka i zapełnić mu życie.

Waleria, na pozór zimna i obojętna dla swego dawnego sąsiada, podrażniła jego próżność, bezwiednie zresztą, nie znała bowiem charakteru Polaków. Jest w Słowianach coś z dziecka, jak we wszystkich ludach pierwotnie dzikich, które raczej wcisnęły się między cywilizowane narody, niż ucywilizowały się istotnie. Rasa ta rozlała się jak powódź i pokryła olbrzymią powierzchnię kuli ziemskiej. Mieszkaniem jej są stepy, gdzie przestrzenie są tak wielkie, że czuje się tam swobodnie; ludzie nie tłoczą się tam jak w Europie, cywilizacja zaś jest niemożliwa bez ciągłego ścierania się myśli i interesów. Ukraina, Rosja, równiny Dunaju, cała Słowiańszczyzna wreszcie – to łącznik między Europą a Azją, między cywilizacją a barbarzyństwem. Toteż Polak, najbujniejsza odrośl pnia Słowiańszczyzny, posiada w naturze dzieciństwo i niestałość nieletnich ludów. Ma odwagę, inteligencję i siłę; ale ta odwaga i siła, ta inteligencja, porażone niemocą, nie posiadają ani metody, ani ducha. Polak jest zmienny jak wiatr hulający po tej olbrzymiej równinie poprzecinanej bagniskami; jest gwałtowny jak zawierucha, która zrywa i unosi domy, ale tak samo jak te straszliwe trąby powietrzne przepada w pierwszym lepszym stawie, rozplywając się w wodę.

Człowiek przejmuje zawsze coś od środowiska, w którym żyje. Bez ustanku w walce z Turkami, Polacy wzięli od nich upodobanie we wschodnim przepychu; nieraz poświęcają pierwsze potrzeby dla chęci błyszczenia, stroją się jak kobiety, mimo iż klimat obdarzył ich naturalnym hartem Arabów. Toteż Polak, wzniósłszy w swym męczeństwie, znużył ramię swoich ciemiężców, wytrzymując ich ciosy i powtarzając niejako w XIX wieku obraz pierwszych chrześcijan. Zaszczepicie dziesięć procent angielskiej obłudy w charakter Polaków, tak szczerzy, tak otwarty, a szlachetny biały orzeł władałby dziś wszędzie tam, gdzie się wciska orzeł o dwu głowach. Nieco machiawelizmu byłoby ustrzegło Polskę od ocalenia Austrii, która sprowadziła jej podział; od zapożyczania się u Prus, lichwiarza, który ją podkopał, i od rozdzielenia w chwili pierwszego rozbioru. Przy chrzcie Polski złośliwa wróżka, zapomniana przez duchy, które darzyły ten uroczy naród najświetniejszymi przymiotami, wyrzekła z pewnością te słowa: „Zachowasz wszystkie dary, jakie ci dały moje siostry, ale nigdy nie będziesz wiedziała, czego chcesz!”. Gdyby w swoim heroicznym pojedynku z Rosją Polska zwyciężyła, Polacy biliby się dziś między sobą, jak niegdyś na sejmach, aby bronić jedni drugimi drogi do korony. W dniu, w którym ten naród, złożony wyłącznie z krwistych temperamentów, znajdzie na tyle rozsądku, aby we własnym łonie poszukać Ludwika XI, przyjąć jego tyranie i dynastie,

Polska będzie ocalona. Czym była Polska w życiu politycznym, tym jest większość Polaków w życiu prywatnym, zwłaszcza gdy przyjdą niepowodzenia. Toteż Wacław Steinbock, który od trzech lat ubóstwiał żonę i wiedział, że jest dla niej bogiem, tak przykro odczuł to, że pani Marneffe zaledwie go spostrzegła, że wziął sobie za punkt honoru ściągnąć jej uwagę. Porównując Walerię z żoną, oddał pierwszeństwo Walerii. Hortensja to było piękne ciało, jak mówiła pani Marneffe do Elżbiety; ale w Walerii był duch w drażniącej formie zepsucia. Oddanie Hortensji to było uczucie, o którym mąż sądził, że mu się należy; poczucie olbrzymiej wartości bezwzględного oddania zatracą się łatwo, tak jak po jakimś czasie dłużnik uważa pożyczkę za swoją własność. Ta szczytna wierność staje się poniekąd chlebem powszednim duszy, a niewierność nęci jak łakocie. Kobieta wzdorczywa, kobieta niebezpieczna zwłaszcza, drażni ciekawość, tak jak korzenie dodają smaku potrawie. Zresztą lekceważenie, tak dobrze odgrywane przez Walerię, było dla Wacława, po trzech latach łatwych uciech małżeńskich, czymś nowym. Hortensja była żoną, a Waleria kochanką.

Wielu mężczyzn pragnie mieć te dwa wydania jednego i tego samego dzieła, mimo że to jest dla mężczyzny wielkim świadectwem ubóstwa nie umieć z żony zrobić kochanki. Rozmaitość jest tu oznaką niemocy. Stałość będzie zawsze geniuszem miłości, oznaką olbrzymiej siły, tej, która tworzy poetę! Trzeba posiadać wszystkie kobiety w swojej, tak jak siedemnastowieczni wierszokleci ze swoich Manon robili Irys i Chloe!

– I cóż – spytała Elżbieta Waclawa, widząc go pod urokiem – jak ci się wydaje Waleria?

– Zanadto czarująca! – odparł.

– Nie chciałeś mnie słuchać – odparła Bietka. – Tak, tak, mój Waciu, gdybyśmy byli zostali razem, byłbyś kochankiem tej syreny, ożeniłbyś się z nią, skoro owdowieje, i doszedłbyś do czterdziestu tysięcy franków renty, które ona ma!

– Doprawdy?...

– A tak! – odrzekła Elżbieta. – A teraz strzeż się, uprzedziłam cię o niebezpieczeństwie, nie opal sobie skrzydełek! Podaj mi ramię, dano do stołu.

Trudno było zagadnąć go bardziej zdradziecko: pokaż Polakowi przepaść, a natychmiast się w nią rzuci. Polak jest urodzonym kawalerzystą; myśli, że zdoła wziąć z miejsca każdą przeszkodę i wyjść zwycięsko. Do tej ostrogi, którą Elżbieta drażniła próżność swego kuzyna, dołączył się widok jadalni, gdzie błyszcząły wspaniałe srebra i gdzie Steinbock ujrzał wszystkie subtelności i wykwinty paryskiego zbytku.

– Lepiej byłbym uczynił – powiedział sobie – żeniąc się z tą Celimeną.

Przy obiedzie Hulot, rad, że widzi tu swego zięcia, a bardziej jeszcze rad z pewności pojednania z Walerią, którą spodziewał się przykuć do siebie nadzieją spadku po panu Coquet, był przemiły. Stidmann odpowiadał na grzeczności barona fajerkami paryskiego dowcipu i artystycznej werwy. Steinbock nie chciał się dać zaćmić koledze; tryskał humorem, konceptami, zrobił najlepsze wrażenie, był rad z siebie; pani Marneffe uśmiechnęła się doń kilka razy, okazując mu, że go dobrze rozumie. Dobra kuchnia, mocne wina pogrążyły go do reszty w tym, co można by nazwać „bajorkiem rozkoszy”. Lekko odurzony winem rozparł się po obiedzie na sofie, z uczuciem błogości zarazem fizycznej i duchowej, które uwieńczyła jeszcze pani Marneffe, przysiadając się koło niego, lekka, pachnąca, piękna jak pokusa. Pochyliła się ku Wacławowi, musnęła niemal ustami jego ucho, aby mu szepnąć:

– Dziś wieczór niepodobna nam mówić o interesach, chyba że pan zechce zostać ostatni. We troje, pan, Bietka i ja, ułożymy wszystko po myśli pańskiej...

– Ach, pani jest aniołem! – rzekł Wacław również szeptem. – Zrobiłem kapitalne głupstwo, że nie słuchał Elżbiety.

– Cóż ona panu mówiła?

– Twierdziła tam, przy ulicy Doyenne, że mnie pani kocha!...

Pani Marneffe spojrzała na Wacława, zmieszała się niby i wstała nagle. Kobieta, o ile jest młoda i ładna, nigdy bezkarnie nie zbudzi w mężczyźnie myśli o natychmiastowym zwycięstwie. Ten gest cnotliwej kobiety, tłumiący miłość skrywaną na dnie serca, był stokroć wymowniejszy niż najnamiętniejsze wyznanie.

Toteż żądza zbudziła się w Wacławie tak silnie, że zaczął tym skwapliwiej nadskakiwać Walerii. Kobieta na widoku tym samym staje się upragnioną: stąd pochodzi straszliwa potęga aktorek. Pani Marneffe, wiedząc, że jest przedmiotem uwagi, zachowywała się jak oklaskiwana aktorka. Była urocza, odniosła zupełny tryumf.

– Nie dziwią mnie już szaleństwa mego teścia – rzekł Wacław do Elżbiety.

– Jeżeli tak będziesz mówił, Waławie – odparła kuzynka – całe życie będę żałowała mego pośrednictwa w tej pożyczce. Byłżebyś jak oni wszyscy – rzekła, wskazując gości – zadurzony w tej kobiecie? Pomyśl tylko, byłbyś rywalem swego teścia. Pomnij wreszcie o zgryzocie, jaką sprawiłbyś Hortensji.

– To prawda – rzekł Waław – Hortensja to anioł, a ja byłbym potworem.

– Dość już jednego w rodzinie – odparła Elżbieta.

– Artyści nigdy nie powinni się żenić! – wykrzyknął.

– Ba, to właśnie ci mówiłam przy ulicy Doyenne. Twoje dzieci to twoje posągi, grupy, arcydzieła.

– Co wy tam mówicie? – spytała Waleria, przystając koło Elżbiety. – Podaj herbatę, kuzynko.

Steinbock przez polską próżnostkę chciał okazać, że jest na poufalej stopie z tą czarodziejką salonu. Objąwszy hardym spojrzeniem Stidmanna, Klaudiusza Vignon, Crevela, ujął Walerię za rękę i zmusił ją, aby siadła koło niego na kanapie.

– Zanadto jesteś wielkim panem, hrabio! – rzekła, opierając się trochę.

Zaśmiała się, padając na sofę koło niego, przy czym nie omieszkała mu pokazać pączka róży zdobiącego jej stanik.

– Niestety, gdybym był wielkim panem, nie przychodziłbym tu jako szukający pożyczki.

– Biedne dziecko! Przypominam sobie twoje pracowite noce przy ulicy Doyenne. Byłeś troszkę... głuptasek. Ożeniłeś się tak, jak głodny rzuca się na chleb. Nie znasz Paryża! Widzisz, dokąd cię to zaprowadziło! Ale byłeś głuchy zarówno na poświęcenie Bietki, jak na miłość paryżanki, która zna Paryż na palcach.

– Niech pani nie mówi już nic – wykrzyknął Steinbock – jestem zmiażdzony.

– Dostaniesz swoje dziesięć tysięcy franków, drogi Waciu; ale pod jednym warunkiem – rzekła, bawiąc się puklami swoich pysznych włosów.

– Jakim?

– A więc nie chcę procentu...

– Ależ...

– Och, niechże się pan nie gniewa; dasz mi zamiast tego grupę brązową. Zaczęłeś historię Samsona, dokończ jej... Niech pan zrobi Dalilę ucinającą włosy temu żydowskiemu Herkulesowi!... Mam nadzieję, że pan, który staniesz się, jeżeli zechcesz mnie słuchać, wielkim artystą, zrozumiesz znaczenie tego tematu. Chodzi o to, aby wyrazić potęgę kobiety. Samson jest tu niczym. To trup siły. Dalila to namiętność, która niszczy wszystko. O ileż ten wariant... Czy to tak się nazywa?... – dodała sprytnie, widząc Klaudiusza Vignon i Stidmanna, którzy zbliżyli się słysząc, że mowa o rzeźbie – o ileż ten wariant Herklesa u nóg Omfali piękniejszy jest od greckiego mitu! Czy to Grecja naśladowała Judeę? Czy Judea zapożyczyła od Grecji ten symbol?

– Och, poruszyła pani ważny problem, kwestię epoki, w której powstały rozmaite księgi Biblii. Wielki i nieśmiertelny Spinoza, tak nedorzecznie pomawiany o ateizm, on, który matematycznie dowiódł Boga, twierdził, że Genезis i, że tak powiem, polityczna część Biblii są z czasów Mojżesza, i wykazywał interpolację za pomocą filologicznych dowodów. Toteż otrzymał trzy pchnięcia, wchodząc do synagogi.

– Nie wiedziałam, żeś taka uczona – rzekła Waleria, nierada, że jej przerwano sam na sam z Wacławem.

– Kobiety wiedzą wszystko instynktem – odparł Klaudiusz Vignon.

– A więc przyrzeka pan? – rzekła do Steinbocka, ujmując jego rękę z delikatnością rozkochanego dziewczęcia.

– Jesteś na tyle szczęśliwy, mój drogi – wykrzyknął Stidmann – że pani prosi cię o coś...

– Co takiego? – spytał Klaudiusz Vignon.

– Małą grupę w brzoje – odparł Steinbock. – Dalila ucinająca włosy Samsonowi.

– To trudne – zauważył Klaudiusz Vignon – z przyczyny łóżka.

– Przeciwnie, to niesłychanie łatwe – odparła Waleria z uśmiechem.

– Ach, stwórz nam tę rzeźbę!... – rzekł Stidmann.

– Pani aż się prosi, by ją rzeźbić! – dorzucił Klaudiusz, spoglądając znacząco na Walerię.

– A więc – odparła – oto jak sobie wyobrażam tę grupę. Samson zbudził się bez włosów, jak wielu dandysów noszących fałszywy tupecik. Bohater siedzi na łóżku, wystarczy tedy zaznaczyć tylko jego zarys osłonięty prześcieradłem, draperią. Siedzi jak Mariusz na gruzach Kartaginy, z założonymi rękami, z ogoloną głową, taki sobie Napoleon na Wyspie Świętej Heleny! Dalila klęczy, mniej więcej tak jak Magdalena Canovy. Kiedy taka dziewczyna zrujnuje mężczyznę, ubóstwia go. Moim zdaniem ta Żydówka bała się Samsona, gdy był silny i groźny, ale musiała kochać Samsona, gdy się stał jak dziecko. Zatem Dalila żałuje swego czynu, chciałaby oddać kochankowi jego włosy, nie śmie spojrzeć, a przecie patrzy nań z uśmiechem, czyta bowiem przebaczenie w słabości Samsona. Ta grupa oraz grupa nieubłaganej Judyty – to byłby cały program kobiety. Cnota ucina głowę, występki ucina tylko włosy. Pilnujcie waszych czuprynek, panowie!

I zostawiła w oszołomieniu artystów, którzy wraz z krytykiem podnieśli chór pochwał na jej cześć.

– Nie znam nic rozkoszniejszego! – wykrzyknął Stidmann.

– Och! – rzekł Klaudiusz Vignon – to najinteligentniejsza i najpożądniejsza kobieta, jaką znam. Zjednoczyć urodę i inteligencję to rzecz tak rzadka!

– Jeżeli pan, który miałeś zaszczyt znać blisko Kamilę Maupin, wydajesz podobny wyrok – odparł Stidmann – cóż my dopiero mamy myśleć?

– Jeżeli chcesz zrobić z Dalili, drogi hrabio, portret Walerii – rzekł Crevel, który wstał na chwilę od gry i słyszał wszystko – zapłacę za egzemplarz tej grupy tysiąc talarów. Tak, do kroćset bomb; tysiąc talarów, niech spuchnę!

– Co to znaczy: niech spuchnę! – spytał Beauvisage Klaudiusza Vignon.

– Trzeba, aby pani raczyła pozować... – rzekł Steinbock, wskazując Walerię. – Niech pan poprosi.

W tej chwili Waleria przyniosła sama Steinbockowi filiżankę herbaty. To było więcej niż wyróżnienie, to była łaska. Sposób, w jaki kobieta wywiązuje się z tej czynności to cały język; ale kobiety umieją go dobrze; toteż ciekawą rzeczą jest studiować ich ruchy, gesty, spojrzenie, ton, akcent, kiedy dopełniają tak prostego na pozór aktu grzeczności. Od zapytania: „Czy pije pan herbatę? – Można panu herbaty? – Filiżankę herbaty?” – rzuconego obojętnie i od rozkazu danego nimfie, która trzyma urnę, aż do olbrzymiego poematu odaliski zbliżającej się do stolika z herbatą, z filiżanką w ręku, do paszy swego serca i podającej mu ją z uległą miną, ofiarującej mu ją pieszczotliwym głosem, ze spojrzeniem pełnym rozkosznych obietnic, fizjolog może wyróżnić wszystkie uczucia kobiece, od wstępu, od obojętności aż do oświadczeń Fedry Hipolitowi. Kobieta może stać się przy tym, wedle ochoty, wzdurliwą aż do zniewagi, pokorną aż do wschodniego niewolnictwa. Waleria była tu więcej niż kobietą, była węzłem wcielonym w kobietę, dokończyła swego szatańskiego dzieła, podchodząc do Steinbocka z filiżanką w ręce.

– Wypiłbym – szepnął jej artysta do ucha, wstając i muskając swymi palcami palce Walerii – tyle filiżanek herbaty, ile mi ich pani raczy ofiarować, byle były tak podane!...

– Co pan mówił o pozowaniu? – spytała, nie okazując, że ten tak namiętnie oczekiwany wybuch ugodził ją w samo serce.

– Stary Crevel kupuje ode mnie egzemplarz pani grupy za tysiąc talarów.

– Tysiąc talarów, on? Rzeźbę?

– Tak, jeżeli pani będzie pozować do Dalili.

– Ale, mam nadzieję, nie przy nim; rzeźba byłaby wówczas więcej warta niż cały jego majątek, bo Dalila musi być nieco wygorsowana...

Tak samo jak Crevel „stawał w pozycji”, tak samo wszystkie kobiety mają jakąś zwycięską postawę, wystudiowaną pozę, w której budzą nieprzeparty podziw. Widuje się kobiety, które w salonie wciąż oglądają koronki u szmizetki i podciągają stanik na ramionach lub też migocą brylantami źrenic, wodząc oczyma po suficie. Pani Marneffe zwyciężała nie twarzą w twarz jak inne. Obróciła się nagle, aby podbiec ku stolikowi z herbatą, do Elżbiety. Ten gest tancerki wprowadzający w falisty ruch jej suknię, którym podbiła Hulota, urzekł i Wacława.

– Zemsta twoja jest zupełna – szepnęła Waleria Elżbiecie do ucha. – Hortensja wypłacze oczy i przeklnie dzień, w którym ci wzięła Wacława.

– Wszystko to nic, póki nie zostaną panią marszałkową – odparła Lotarynka – ale oni zaczynają tego chcieć wszyscy... Dziś rano byłam u Wiktora. Zapomniałam ci to opowiedzieć. Młodzi Hulot wykupili weksle barona od Vauvineta, podpisują jutro rewers na siedemdziesiąt dwa tysiące franków na pięć procent, płatne w trzy lata, z hipoteką na domu. Tak więc młodzi Hulot wpakują się na trzy lata w kłopoty, niepodobna im będzie teraz dostać pieniędzy na tę realność. Wiktor jest strasznie smutny, przejrzał już ojca. Do tego Crevel gotów zrazić się zupełnie do dzieci, tak będzie oburzony tym poświęceniem.

– Baron musi być teraz bez grosza? – szepnęła Waleria Elżbiecie na ucho, uśmiechając się do Hulota.

– O ile wiem, nie ma nic; ale znów wraca do swojej pensji od września.

– I ma swoją polisę ubezpieczeniową, odnowił ją! No, czas już, aby zrobił mego małżonka naczelnikiem biura, dorżnę go dziś wieczór.

– Kuzyneczku – szepnęła Elżbieta, podszedłszy do Waclawa – idź już, proszę cię. Jesteś pocieszny, przyglądasz się Walerii w ten sposób, że możesz ją skompromitować, a mąż jej jest szalenie zazdrosny. Nie idź za przykładem teścia, wracaj do domu, jestem pewna, że Hortensja czeka na ciebie.

– Pani Marneffe mówiła mi, abym został, mamy ubić interes we troje – odparł Waclaw.

– Nie – rzekła Elżbieta – ja ci wręczę dziesięć tysięcy franków: jej mąż ma oko na ciebie, byłoby nierozsądnie zostać dłużej. Jutro o jedenastej przyniesiemy weksel; o tej porze ten nudziarz Marneffe jest w biurze, Waleria ma spokój... Prosiłeś ją, aby ci pozowała do grupy?... Wstąp najpierw do mnie!... Och! Wiedziałam dobrze – rzekła Elżbieta, przejmując spojrzenie, którym Steinbock żegnał Walerię – że ty w gruncie jesteś ladaco. Waleria jest śliczna, ale staraj się nie sprawić zgrzyoty Hortensji!

Nic tak nie drażni ludzi żonatych, niż kiedy co chwila pomiędzy sobą a bodaj przelotnym pragnieniem spotykają swoją żonę.

Wacław wrócił do domu około pierwszej; Hortensja czekała go od jakiejś wpół do dziesiątej. Od wpół do dziesiątej do dziesiątej nadśluchiwała turkotu powozów, powiadając sobie, że nigdy Wacław, kiedy był bez niej na obiedzie u panów Florent i Chanor, nie Wracał tak późno. Szyła, siedząc przy kołysce syna; zaczynała oszczędzać na szwaczce, naprawiając sama to i owo. Między dziesiątą a wpół do jedenastej opadło ją podejrzenie, spytała sama siebie:

„Ale czy on poszedł, tak jak mi mówił, na obiad do Florenta i Chanora? Kazał sobie dać najładniejszy krawat, najładniejszą szpilkę. Stroił się tak długo jak kobieta, która chce się wydać jeszcze ładniejsza, niż jest... Szalona jestem, on mnie kocha. Jest już zresztą, jest!”.

Ale powóz, który usłyszała młoda kobieta, zamiast się zatrzymać, przejechał. Od jedenastej do północy Hortensję oblegał niewysłowiony lęk, spowodowany pustką tej dzielnicy.

„Jeżeli wracał pieszo – myślała – mogło mu się zdarzyć jakie nieszczęście!... Można się zabić, pośliznąwszy się na chodniku lub potknąwszy się niespodzianie na jakim wyboju. Artyści są tak roztargnieni!... A jeżeli go opadli złodzieje!... To pierwszy raz zostawia mnie tu samą przez blisko siedem godzin... Po co się dręczyć? On kocha tylko mnie”.

Mężczyźni powinni być wierni kobietom, które ich kochają, chociażby dla tych nieustannych cudów, jakie prawdziwa miłość sprawia w owym przedziwnym świecie zwanym światem ducha. Kobieta kochająca jest, odnośnie do tego, kogo kocha, niby somnambuliczka, której by magnetyzer dał tę smutną władzę, iż przestając być zwierciadłem świata, mą jako kobieta świadomość tego, co widzi w stanie somnambulicznym. Namiętność doprowadza siłę nerwową kobiet do tego stanu ekstazy, w którym przecucie równa się wizji jasnowidzących. Kobieta wie, że ktoś ją zdradza, nie wierzy samej sobie, wątpi – tak bardzo kocha! I zadaje kłam krzykowi swej wróżebnej mocy. Ten paroksyzm miłości powinien by być przedmiotem czci. U szlachetnych dusz podziw dla tego boskiego zjawiska będzie zawsze zaporą broniącą im niewierności. Jak nie uwielbiać pięknej, inteligentnej istoty, której dusza sięga podobnych objawów?...

O pierwszej Hortensja doszła do tego stopnia lęku, że rzuciła się do drzwi, poznając Wacława po dzwonku; chwyciła go w ramiona, tuliła go z uczuciem macierzyńskim.

– Jesteś wreszcie!... – rzekła, odzyskując mowę. – Drogi mój, odtąd pójdę wszędzie z tobą, nie zniosłabym drugi raz tortury podobnego oczekiwania... Widziałam już, jak się potykasz na chodniku, rozbijasz sobie głowę! Jak cię mordują złodzieje!... Nie, drugi raz, czuję, że bym oszalała... Więc tak dobrze się bawiłeś!... Beze mnie? Niegodziwy!

– Co chcesz, aniołku! Był Bixiou, który produkował nam nowe kawały, Leon de Lora, któremu usta się nie zamykały od konceptów, Klaudiusz Vignon, autor jedyne go życzliwego artykułu o pomniku marszałka. Był...

– Nie było kobiet?... – spytała żywo Hortensja.

– Czcigodna pani Florent...

– Mówiłeś mi, że to w „Rocher de Cancale”... Więc to było u nich?

– Tak, u nich, omyliłem się...

– Nie wróciłeś dorożką?

– Nie.

– I idziesz piechotą z ulicy des Tournelles?

– Stidmann i Bixiou odprowadzili mnie bulwarami aż do Madeleine, zagadaliśmy się.

– Musi być bardzo sucho na bulwarach, na placu Zgody i na ulicy de Bourgogne, nie jesteś nic zabłocony – rzekła Hortensja, przyglądając się lakierowanemu bucikom męża.

W ciągu wieczora padał deszcz, ale od ulicy Vanneau do ulicy Saint-Dominique Wacław nie miał czasu się zabłocić.

– Masz oto pięć tysięcy franków, które Chanor mi poczciwie pożyczył – rzekł Waclaw, aby przeciąć to jak gdyby śledztwo.

Zrobił dwie paczki ze swoich dziesięciu tysięcy franków, jedną dla Hortensji, a drugą dla siebie, miał bowiem pięć tysięcy długu, o którym Hortensja nie wiedziała. Winien był swemu dostawcy i robotnikom.

– Pozbyłaś się tedy kłopotów, kochanie – rzekł, ściskając żonę. – Od jutra zabieram się do roboty! Och, jutro znikam z domu o wpół do dziewiątej, idę do pracowni. Toteż kładę się zaraz, aby wstać jutro wcześniej, pozwolisz, koteczku.

Podejrzanie zrodzone w sercu Hortensji znikło, była o tysiiąc mil od prawdy. Pani Marneffe! Nie myślała już o niej. Lękała się dla swego Waclawa towarzystwa loretek. Nazwiska Bixiou, Leona de Lora, dwóch artystów znanych ze swego hulaszczego życia, zaniepokoiły ją.

Nazajutrz, widząc, że Waclaw wychodzi o dziewiątej, uspokoiła się zupełnie.

„Jest teraz przy pracy – powiadała sobie, ubierając dziecko. – Och! Widzę go, pracuje na dobre. Więc dobrze, jeżeli nie czeka nas sława Michała Anioła, będziemy bodaj sławni jak Benvenuto Cellini!”.

Ukołysana własnymi nadziejami, Hortensja wierzyła w szczęśliwą przyszłość; rozповідаła o niej synowi mającemu niespełna dwa lata, w owym onomatopeicznym języku dźwięków, budzącym uśmiech dziecka. Wtem około jedenastej kucharka, która nie widziała, jak Waław wychodził, wprowadziła Stidmanna.

– Przepraszam panią – rzekł artysta. – Jak to, Waław już wyszedł?

– Jest w pracowni.

– Przyszedłem porozumieć się z nim co do naszych prac.

– Poślę po niego – rzekła Hortensja, zapraszając Stidmanna gestem, aby usiadł.

Młoda kobieta, składając dzięki niebu za ten traf, chciała zatrzymać Stidmanna, aby zeń wydobyć szczegóły wczorajszego wieczora. Stidmann skłonił się, dziękując hrabinie za tę łaskę. Pani Steinbock zadzwoniła i dała kucharce rozkaz, aby poszła po pana do pracowni.

– Dobrze się pan bawił wczoraj? – sprąła Hortensja. – Bo Waław wrócił aż o pierwszej z rana.

– Bawił? Nienadzwyczajnie – odparł artysta, który poprzedniego dnia zamierzał brać na miłość panią Marneffe. – Bawić się można w świecie tylko wtedy, kiedy się tam ma jakieś interesy. Ta mała Marneffe jest bardzo sprytna, ale kokietka!...

– A jak wydała się Waławowi?... – spytała biedna Hortensja, siląc się na spokój. – Nic mi o niej nie mówił.

– Powiem pani tylko tyle – odparł Stidmann – że ją uważam za bardzo niebezpieczną.

Hortensja zbladła jak papier.

– Więc to... u pani Marneffe... a nie... u Chanora... byliście na obiedzie... wczoraj z Waclawem, i on...?

Stidmann, nie wiedząc dobrze, co sprawił, domyślił się, że coś złego. Hortensja nie dokończyła zdania, zemdląca. Artysta zadzwonił, przyszła pokojówka. Kiedy Ludwika próbowała wynieść hrabinę Steinbock do sypialni, przyszedł gwałtowny atak nerwów z silnymi konwulsjami. Stidmann, jak wszyscy, których mimowolna niedyskrecja zburzy gmach wzniesiony w domu kłamstwem męża, nie mógł uwierzyć, aby jego słowa miały taką doniosłość, pomyślał, że hrabina znajduje się w owym chorobliwym stanie, w którym najłżejsza przeciwność staje się niebezpieczna. Kucharka przyszła powiedzieć, na nieszczęście głośno, że pana nie ma w pracowni. W pełni ataku hrabina usłyszała tę odpowiedź, konwulsje zaczęły się na nowo.

– Idź po starszą panią!... – rzekła Ludwika do kucharki.
– Biegnij, prędko.

– Gdybym wiedział, gdzie jest Waclaw, poszedłbym po niego – rzekł Stidmann w rozpaczy.

– Jest u tej kobiety!... – krzyknęła biedna Hortensja. – Zupełnie inaczej się ubrał niż do pracowni.

Stidmann pobiegł do pani Marneffe, uderzony prawdą tego spostrzeżenia zrodzonego z jasnowidzenia uczuć. W tej chwili Waleria pozowała jako Dalila. Za sprytny, aby się pytać o panią Marneffe, Stidmann minął śpiesznie izdebkę odzwiernej i wszedł szybko na pierwsze piętro, rozumując w ten sposób: „Jeżeli spytam o panią Marneffe, nie będzie jej w domu. Jeżeli spytam naiwnie o Steinbocka, roześmieją mi się w nos... Idźmy na całego!”. Na głos dzwonka nadeszła Regina.

– Proszę powiedzieć hrabiemu Steinbock, żeby przyszedł, żona jego umiera!...

Regina, równie sprytna jak Stidmann, spoglądała nań z dość ogłupiałą miną.

– Ależ proszę pana, ja nie wiem... co pan...

– Powiadam ci, że mój przyjaciel Steinbock jest tutaj, że jego żona umiera i że sprawa jest dość poważna, abyś poszła przeszkodzić swojej pani.

I Stidmann odszedł.

– Och, jest tam, na pewno – rzekł sobie.

W istocie, Stidmann, który odczekał kilka chwil na ulicy, ujrzał wychodzącego Wacława i dał mu znak, aby szedł szybciej. Opowiedziawszy mu tragedię rozgrywającą się w domu, połajał Steinbocka, że go nie uprzedził o tajemnicy co do wczorajszego obiadu.

– Zgubiony jestem – rzekł Waclaw – ale przebaczam ci. Zupełnie zapomniałem o naszym spotkaniu dziś rano i popełniłem ten błąd, że ci nie powiedział, żeśmy mieli być na obiedzie u Chanora. Cóż chcesz! Przez tę Walerię straciłem głowę; ale też, mój drogi, dla niej warto poświęcić sławę, szczęście... Och, to... Mój Boże, cóż za straszny kłopot! Poradź mi. Co powiedzieć? Jak się usprawiedliwić?

– Co ci poradzić? Nie mam pojęcia – odparł Stidmann. – Ale wszak żona cię kocha? Zatem uwierzy wszystkiemu. Powiedz jej zwłaszcza, żeś szedł do mnie, gdy ja szedłem do ciebie, w ten sposób ocalisz choć dzisiejsze kłamstwo. Bądź zdrów.

Na rogu ulicy Hillerin-Bertin dogoniła Waclawa Elżbieta, uprzedzona przez Reginę o wszystkim; lękała się bowiem jego polskiej naiwności. Chcąc salwować swój udział w tej sprawie, szepnęła kilka słów Waclawowi, który uszczęśliwiony uściskał ją na środku ulicy. Z pewnością podała artyście jakąś deskę do przebycia tej cieśniny życia małżeńskiego.

Na widok matki, która przybyła co tchu, Hortensja załapała się łzami. W ten sposób atak nerwowy zmienił szczęśliwie kierunek.

– Zdradza mnie, droga mamó! – rzekła. – Dawszy mi słowo honoru, że nie pójdzie do pani Marneffe, był tam na obiedzie i wrócił aż o kwadrans na drugą!... Gdybyś wiedziała, wczoraj mieliśmy z sobą nie sprzeczkę, ale rozmowę, wyjaśnienie. Mówiłam z nim tak serdecznie, powiedziałam mu: jestem zazdrosna, zdrada zabiłaby mnie; jestem podejrzliwa, trzeba szanować moje słabostki, bo płyną z mojej miłości dla niego; mam w żyłach tyleż krwi ojca, co i twojej, mamó; w pierwszej chwili byłabym zdolna popełnić każde szaleństwo, zemścić się, zhańbić nas wszystkich, jego, naszego syna i samą siebie; wreszcie byłabym zdolna zabić jego i siebie potem etc. I on tam poszedł, i on tam jest! Ta kobieta poprzysięgła zgubić nas wszystkich!

Wczoraj Wiktor i Celestyna zastawili się, aby wykupić weksle na siedemdziesiąt tysięcy franków, podpisane dla tej łajdaczki... Tak, mamó, miano już ojca ścigać i wtrącić do więzienia. Czy ta straszna kobieta nie ma dosyć mego ojca i twoich łez? Po co mi zabiera Wacława?... Pójdę do niej, zasztyletuję ją!

Pani Hulot, ugodzona w serce okropnym zwierzeniem, które Hortensja w swoim szale uczyniła jej bezwiednie, powściągnęła ból heroicznym wysiłkiem macierzyństwa i przytuliła głowę córki do łona, okrywając ją pocałunkami.

– Zaczekaj na Waclawa, moje dziecko, a wszystko się wyjaśni. Nieszczęście może nie jest tak wielkie, jak myślisz! I mnie zdradzano również, droga Hortensjo. Uważasz, że jestem piękna, jestem cnotliwa, a mimo to on mnie opuścił od dwudziestu trzech lat dla takich stworzeń, jak Jenny Cadine, Józefa, pani Marneffe!... Czy wiedziałaś o tym?

– Ty, mammo, ty!... Znosisz to od dwudziestu...

Zatrzymała się oszołomiona tą myślą.

– Naśladuj mnie, moje dziecko – odparła matka. – Bądź łagodna i dobra, a będziesz miała spokojne sumienie. Na łożu śmierci mężczyzna powiada sobie: „Żona nie sprawiła mi nigdy najmniejszej przykrości...!”. A Bóg, który słyszy te ostatnie westchnienia, liczy nam je. Gdybym się miotła w gniewie jak ty, cóż byłoby wynikiło?... Twój ojciec zraziłby się do mnie, może byłby mnie rzucił, nie wstrzymałaby go obawa mojej przykrości; zamiast dziś, nieszczęście nasze spełniłoby się o dziesięć lat wcześniej, dalibyśmy z siebie świata widowisko męża i żony żyjących każde na własną rękę, zgorszenie okropne, rozpaczliwe, bo to jest śmierć rodziny. Ani twój brat, ani ty nie moglibyście sobie stworzyć ogniska... Poświęciłam się, i to tak mężnie, że gdyby nie ten ostatni stosunek ojca, świat uważałby mnie do dziś za szczęśliwą. Moje dobroczynne i mężne kłamstwo chroniło aż dotąd Hektora; jeszcze go świat szanuje; ale ta starcza namiętność prowadzi go zbyt daleko, widzę to. Jego szaleństwo, obawiam się tego, zwali parawan, jaki postawiłam między światem a nami... Ale utrzymałam przez dwadzieścia trzy lata tę zasłonę, za którą płakałam, bez matki, bez powiernika, bez innej pociechy prócz religii i zapewniłam dwadzieścia trzy lata czci rodzinie...

Hortensja słuchała matki z tępyim wzrokiem. Spokojny głos i rezygnacja tej straszliwej boleści uśmierzyły u młodej kobiety jętrzenie jej pierwszej rany; łzy puściły się z oczu Hortensji, popłynęły strumieniem. W przystępie dziecięcego uwielbienia, zmiażdżona heroizmem matki, uklękła przed nią, ujęła kraj jej sukni i ucałowała go, tak jak pobożni katolicy całują święte relikwie męczennika.

– Wstań, Hortensjo – rzekła baronowa – taki hołd córki zmazuje wiele złych wspomnień! Chodź do mego serca zbolełego jedynie twoim smutkiem. Rozpacz mojej córuchy, której radość była mą jedyną radością, złamała grobową pieczęć, której nic nie miało zdjąć z moich warg. Tak chciałam unieść moją boleść do grobu, jak jeden całun więcej. Aby ukoić twój wybuch, powiedziałam ci... Bóg mi przebaczy! Och, gdyby moje życie miało się powtórzyć w tobie, czegóż bym nie uczyniła!... Ludzie, świat, los, natura, sam Bóg pono sprzedają nam miłość za cenę najokrutniejszych tortur. Dziesięć lat szczęścia płacę dwudziestoma czterema latami rozpacz, nieustannych zgryzot, goryczy...

– Tyś miała dziesięć lat, a ja tylko trzy lata!... – rzekła samolubnie rozkochana młoda kobieta.

– Nic niestracone, dziecko, czekaj Wacława.

– Mamo – rzekła – on skłamał... oszukał mnie... Powiedział: „Nie pójdę”, i poszedł. I to w obliczu kołyski dziecka.

– Dla swojej przyjemności mężczyźni, mój aniele, popełniają największe podłości, nikczemności, zbrodnie; taka już podobno ich natura. My, kobiety, skazane jesteśmy na poświęcenie. Myślałam, że moje niedole się kończą, a one się zaczynają, bo nie spodziewałam się cierpieć podwójnie, cierpiąc za moją córkę. Hart i milczenie!... Moja Hortensjo, przysięgnij mi, że jedynie ze mną będziesz mówiła o swoich zgryzotach, że nie zdradzisz ich przed nikim... Och! bądź tak dumna jak twoja matka!

W tej chwili Hortensja zadrżała; usłyszała kroki męża.

– Okazuje się – rzekł Waław, wchodząc – że Stidmann był tutaj, podczas gdy ja poszedłem do niego.

– Doprawdy?... – wykrzyknęła biedna Hortensja z dziką ironią obrażonej kobiety, która posługuje się słowem niby sztyletem.

– Ależ tak, spotkaliśmy się właśnie – odparł Waław, udając zdziwienie.

– A wczoraj?... – odparła Hortensja.

– Tak, wczoraj skłamałem ci, kochanie, i matka twoja niech rozsądzi...

Szczerść ta trafiła do serca Hortensji. Każda kobieta naprawdę szlachetna woli prawdę od kłamstwa. Nie chce patrzeć na poniżenie swego bożyszczka, chce być dumna z tego, którego przyjęła za pana.

Tego rodzaju uczucie mają Rosjanie w stosunku do swego cara.

– Słuchaj, droga mamó... – rzekł Wacław – ja tak kocham moją dobrą, słodką Hortensję, że kryłem przed nią rozmiary naszej nędzy. Cóż było robić? Karmiła jeszcze, zgryzota byłaby jej zaszkodziła. Wiesz, mamó, na co się wówczas naraża kobieta. Jej piękność, świeżość, zdrowie są w niebezpieczeństwie. Czym źle uczynił?... Ona myśli, że my mamy długu pięć tysięcy franków, ale ja jestem dłużny jeszcze drugie pięć... Przedwczoraj byliśmy w rozpacz!... Nikt na świecie nie pożyczycy artyście. Świat lęka się naszego talentu tyle, co naszych kaprysów. Daremnie pukałem do wszystkich drzwi. Elżbieta ofiarowała nam swoje oszczędności.

– Pocziwa dziewczyna! – rzekła Hortensja.

– Pocziwa dziewczyna! – rzekła baronowa.

– Ale dwa tysiące franków Elżbiety, cóż to jest?... Wszystko dla niej, nic dla nas. Wówczas kuzynka wspomniała nam, wiesz, Hortensjo, o pani Marneffe, która przez ambicję, zawdzięczając tyle baronowi, nie wzięłaby żadnego procentu... Hortensja chciała zastawić brylanty. Dostalibyśmy parę tysięcy franków, a trzeba nam było dziesięć tysięcy. Te dziesięć tysięcy były tam, bez procentu, na rok!... Powiedziałem sobie: „Hortensja nie będzie wiedziała o niczym, pójdę po nie”. Ta kobieta zaprosiła mnie przez teścia na obiad wczoraj, dając do zrozumienia, że Elżbieta mówiła z nią, że dostanę pieniądze. Pomiędzy rozpaczą Hortensji a tym obiadem nie mogłem się wahać. Oto wszystko! Jak to, Hortensja, w dwudziestym czwartym roku, świeża czysta i cnotliwa, ona, która jest moim szczęściem i moją dumą, z którą nie rozstawałem się ani na chwilę od dnia ślubu, czy może sobie wyobrazić, że wolałbym od niej kogo?... Kobietę zwiędłą, spróchniałą, wytynkowaną – dodał, używając brutalnego wyrażenia pracownianej gwary, aby tym dobitniej podkreślić swą wzgardę przesadą, którą kobiety lubią w takich razach.

– Ach, gdyby twój ojciec mówił tak kiedy do mnie! – wykrzyknęła baronowa.

Hortensja rzuciła się z wdziękiem na szyję mężowi.

– Tak, to właśnie bym uczyniła – rzekła Adelina. – Wacławie, moje dziecko, twoja żona omal nie umarła – rzekła poważnie. – Widzisz, jak ona cię kocha. Twoja jest, niestety!

I westchnęła głęboko.

„Może z niej zrobić męczennicę albo kobietę szczęśliwą” – rzekła sama do siebie, wyrażając myśl, którą ma każda matka, w chwili gdy wydaje córkę za męża. – Zdaje mi się – dodała głośno – że ja dosyć cierpię, aby oglądać moje dzieci szczęśliwe.

– Bądź spokojna, droga mamó – rzekł Wacław uszczęśliwiony, że wszystko pomyślnie minęło. – Za dwa miesiące oddam pieniądze tej ohydnej kobiecie. Cóż robić! – dodał, zaprawiając to na wskroś polskie przysłowie polskim wdziękiem. – Są chwile, w których by człowiek pożyczył od samego diabła. Ostatecznie to są pieniądze rodzinne. A skoro mnie zaproszono, czy byłbym dostał te pieniądze, które kosztują nas tak drogo, gdybym odpowiedział grubiaństwem na grzeczność?

– Och, mamó, jakąż krzywdę nam ojciec wyrządza! – wykrzyknęła Hortensja.

Baronowa położyła palec na ustach, a Hortensja pożałowała tej skargi, pierwszej krytyki, którą pozwoliła sobie dotknąć ojca, tak heroicznie osłanianego wzniosłym milczeniem.

– Bywajcie zdrowe, dzieci – rzekła pani Hulot – pogoda wróciła. Ale nie gniewajcie się już z sobą.

Kiedy, odprowadziwszy baronową, Waclaw i jego żona wrócili do pokoju, Hortensja rzekła do męża:

– Opowiedz mi ten wieczór!

I śledziła twarz Waclawa podczas tego opowiadania, przerywanego owymi pytaniami, które kobiecie cisną się na usta w podobnych wypadkach. Opowiadanie to pogrzyżyło Hortensję w zadumie, odgadła w nim szatańskie uciechy, które artyści muszą znajdować w tym zepsutym towarzystwie.

– Bądź szczery, mój Waclawie!... Więc był tam Stidmann, Klaudiusz Vignon, Vemisset i kto jeszcze?... Słowem, bawiłeś się!...

– Ja?... Ja myślałem tylko o naszych dziesięciu tysiącach i powiadałem sobie: „Hortensja będzie wolna od kłopotów!”.

Śledztwo to nużyło niezmiernie Inflantczyka, toteż schwycił w lot weselszy moment, aby spytać Hortensji:

– A ty, aniele, co byś zrobiła, gdyby twój artysta okazał się winnym?

– Ja – rzekła ze stanowczą minką – wzięłabym Stidmanna, nie kochając go oczywiście!

– Hortensjo! – wykrzyknął Steinbock, zrywając się nagle teatralnym ruchem. – Nie zdążyłabyś: zabiłbym cię.

Hortensja rzuciła się na męża, zdusiła go w uścisku, okryła go pieścizotami, mówiąc:

– Och! Kochasz mnie, Waclawie, tak, już się niczego nie boję. Ale koniec już z tą Marneffe. Nigdy już nie leż w to błoto.

– Przysięgam ci, droga Hortensjo, że wrócę tam jedynie, aby wykupić mój rewers.

Nadała się, ale tak jak dąsa się kochająca kobieta, pragnąca sprzedać swoje dąsy. Waclaw, zmęczony podobnym rankiem, pozwolił się jej dąsać i udał się do pracowni, aby zrobić szkic grupy „Samson i Dalila”, do której rysunek miał w kieszeni. Hortensja, zaniepokojona, że się Waclaw za jej dąsy pogniewał, przysłała do pracowni w chwili, gdy rzeźbiarz kończył miesić glinę z ową zaciekłością, jaka ogarnia artystę w porywie natchnienia. Na widok żony zarzucił żywo mokre płótno na zaczęłą grupę i wziął Hortensję w ramiona, mówiąc:

– No, nie gniewajmy się już, nieprawdaż, kochanie?

Hortensja widziała grupę i zarzucone na nią płótno i nie rzekła nic; ale nim opuściła pracownię, odwróciła się, ściągnęła szmatę, popatrzyła na szkic i spytała:

– Co to takiego?

– Taka grupa, do której pomysł przyszedł mi w tej chwili.

– A czemu schowałeś ją przede mną?

– Chciałem ci pokazać skończoną.

– Kobieta jest bardzo ładna! – rzekła Hortensja. I tysięcy podejrzeń wyrosło w jej duszy, tak jak w Indiach wyrasta z dnia na dzień gąszcz bujnej roślinności.

Po trzech tygodniach pani Marneffe była wściekła na Hortensję. Kobiety tego typu mają swoją ambicję, chcą, aby się przed nimi korzyć, nie przebaczą nigdy cnotcie, która nie obawia się ich potęgi lub która walczy z nimi. Otóż Waław nie pokazał się ani razu, nie złożył nawet owej wizyty, jakiej wymagała grzeczność wobec kobiety, która pozowała mu jako Dalila. Ilekroć Elżbieta zaszła do Steinbocków, nie zastawała nikogo w domu: Oboje państwo pędzili życie w pracowni. Kiedy Elżbieta dopadła wreszcie parę turkawek w ich gniazdku w Gros-Caillou, ujrzała Waława pracującego z zapalem i dowiedziała się od kucharki, że pani nie opuszcza pana ani na chwilę. Waław poddawał się despotyzmowi miłości. Waleria dzieliła tedy całym sercem nienawiść Elżbiety do Hortensji. Kobiety tak samo upierają się przy kochanku, którego ktoś im broni, jak mężczyźni przy kobiecie, o którą zabiega kilku lalusiów. Toteż uwagi nasze w przedmiocie pani Marneffe stosują się równie dobrze do zdobywców serc, którzy są rodzajem męskich kurtyzan. Kaprys Walerii dochodził do wściekłości; chciała zwłaszcza mieć swoją grupę; postanawiała sobie któregoś dnia odwiedzić rano Waława w pracowni. Naraz zaszedł jeden z owych poważnych wypadków, które dla tego rodzaju kobiet mogą się nazywać *fructus belli*²³. Oto jak

23 *Fructus belli* (łac.) – łup wojenny.

Waleria udzieliła wiadomości o tym fakcie najzupełniej osobistym. Była właśnie przy śniadaniu z Elżbietą i mężem.

– Słuchaj, czy ty się domyślasz, że masz zostać po raz drugi ojcem?

– Doprawdy, byłabyś w odmiennym stanie?... Och! pozwól się uściskać.

Wstał, obszedł stół, żona podała mu czoło w ten sposób, że pocałunek ześliznął się po włosach.

– W ten sposób – dodał – jestem naczelnikiem biura i oficerem legii honorowej! Słuchaj no tylko, żonusiu, ja nie chcę, aby to było kosztem Stasia. Biedny mały.

– Biedny mały?... – wykrzyknęła Bietka. – Już siedem miesięcy, jak go pan nie widział na oczy; uchodzę na pensji za jego matkę, bo ja jedna w tym domu zajmuję się nim!...

– Chłopiec, który nas kosztuje sto talarów kwartalnie!... – rzekła Waleria. – Zresztą ten chłopiec to twoje dziecko, Marneffe! Powinieneś płacić za niego ze swojej pensji... Co do nowego przybysza, ten nie tylko nie będzie nas kosztował, ale ocali nas z nędzy...

– Walerio – rzekł Marneffe, naśladować pozę Crevela – mam nadzieję, że baron Hulot będzie dbał o swego syna i nie obarczy nim biednego urzędnika; zamierzam okazać się w tej sprawie bardzo stanowczym. Toteż działaj z całą przezornością! Staraj się uzyskać odeń listy, w których by mówił o swoim szczęściu, bo pan baron coś mi zanadto daje się prosić w sprawie mojej nominacji...

I Marneffe udał się do biura, gdzie szacowna przyjaźń zwierzchnika pozwalała mu się zjawiać około jedenastej; robił tam zresztą bardzo mało, zważywszy jego znaną nieudolność i wstręt do pracy.

Znalazłszy się same, Elżbieta i Waleria popatrzyły przez chwilę na siebie jak dwa augury i parsknęły obie naraz głośnym śmiechem.

– Mów, Walerio, czy to prawda – spytała Bietka – czy też to tylko komedia?

– Prawda fizyczna! – odparła Waleria. – Ta Hortensja działa mi na nerwy; toteż tej nocy umyśliłam cisnąć to dziecko jak bombę w małżeństwo Waclawa.

Waleria przeszła do swego pokoju w towarzystwie Elżbiety i pokazała jej już gotowy następujący list:

Wacławie, drogi mój, wierzę jeszcze w Twoją miłość, mimo że Cię nie widziałam blisko od trzech tygodni. Czy to wzgarda? Dalila nie może w to uwierzyć. Czy to raczej nie tyrania kobiety, której, jak mi mówiłeś, niezdolny jesteś już kochać? Wacławie, jesteś zbyt wielkim artystą, aby dać się tak opanować. Małżeństwo to grób sławy... Zastanów się, czy jesteś podobny do Wacława z ulicy Doyenne? Sfuszerowałeś pomnik mego ojca; ale jesteś tęższym kochankiem niż artystą, z córką powiodło ci się lepiej: jesteś ojcem, mój ubóstwiany Wacławie. Gdybyś nie przyszedł mnie odwiedzić w stanie, w którym się znajduję, uchodziłbyś w oczach swoich przyjaciół za bardzo niedobrego człowieka; ale, czuję to, kocham Cię tak szalenie, że nigdy nie będę miała siły Ci złorzeczyć. Czy mogę się mienić zawsze jeszcze

Twoją Walerią?

– Co mówisz o projekcie przesłania tego listu do pracowni, w chwili gdy nasza droga Hortensja będzie tam sama? – spytała Waleria Bietki. – Wczoraj wieczór dowiedziałam się przez Stidmanna, że Wacław ma wstąpić po niego o jedenastej dla jakiejś sprawy do Chanora; tak więc to cielę, Hortensja, będzie sama.

– Po takim figlu – odparła Bietka – nie będę mogła dłużej jawnie zostać twoją przyjaciółką, będę musiała zerwać z tobą, udawać, że nie bywam u ciebie ani nawet nie rozmawiam z tobą.

– Oczywiście! – rzekła Waleria. – Ale...

– Och, bądź spokojna – przerwała Elżbieta. – Spotkamy się, gdy będę panią marszałkową; oni chcą tego teraz wszyscy, jeden baron nie zna tego projektu, ale ty go namówisz.

– Ale – odparła Waleria – możliwe jest, że ja niedługo poprzytkam się z baronem.

– Olivierowa jest jedyna do tego, aby niby to niezręcznie wydać ten list w ręce Hortensji; trzeba ją posłać najpierw do nich do domu, nim pójdzie do pracowni.

– Och, nasza ślicznotka będzie w domu – odpowiedziała pani Marneffe, dzwoniąc na Reginę, aby zawołała panią Olivier.

W dziesięć minut po wysłaniu nieszczęsnego listu przyszedł baron Hulot. Ruchem kotki pani Marneffe rzuciła się na szyję starcowi.

– Hektorze, jesteś ojcem! – szepnęła mu do ucha. Oto co znaczy pokłócić się i pogodzić.

Widząc pewne zdumienie, którego baron nie umiał pokryć dość szybko, Waleria przybrała wyraz chłodu, który doprowadził radcę stanu do rozpacz. Kazała sobie wydzierać, jeden po drugim, najbardziej przekonujące dowody. Skoro przeświadczenie, które próżność wiodła łagodnie za rękę, usadowiło się w mózgu starca, Waleria zaczęła mu opowiadać o wściekłości męża.

– Tak, moja stara wiaro – rzekła – trudno ci będzie nie zamianować teraz twego odpowiedzialnego wydawcy lub, jeśli wolisz, naszego nakładcy naczelnikiem biura i oficerem legii honorowej. Zrujnowałeś tego człowieka; on ubóstwia swego Stasia, potworka, który wdał się w niego i którego nie mogę znieść. Chyba że wolisz zapewnić rentę tysiąca dwustu franków Stasiowi, rozumie się jako kapitał, z procentem na moje imię.

– Ależ jeżeli mam zapewnić rentę, to wolę, aby to było na imię mego syna, a nie potworka! – rzekł baron.

To niebaczne zdanie, w którym słowo „mój syn” rozlało się niby wezbrana rzeka, przekształciło się po godzinie rozmowy w formalną obietnicę zapewnienia tysiąca dwustu franków renty dziecku, które ma przyjść na świat. Następnie obietnica ta stała się w ustach i na twarzy Walerii tym, czym bębenek w rękach dziecka, miała na nim bębnić trzy tygodnie.

W chwili gdy baron Hulot, szczęśliwy jak młody żonkoś, który oczekuje infanta, opuszczał dom pani Marneffe, stara Olivierowa dała sobie wydrzeć Hortensji list, który miała oddać samemu panu hrabiemu do rąk. Młoda kobieta zapłaciła za ten list dwadzieścia franków. Samobójca płaci za swoje opium, za pistolet, węgiel. Hortensja przeczytała list, odczytała go jeszcze raz; widziała jedynie ten kawałek papieru pokreślony czarnymi liniami; w całej naturze istniał tylko ten kawałek papieru, wszystko było czarne dokoła niej. Blask pożaru, który pochłaniał budowlę jej szczęścia, oświecał ten papier, gdyż dokoła niej panowała zupełna noc. Krzyki małego Wacia, który się bawił, dochodziły do jej uszu tak, jakby dziecko było gdzieś w dolinie, a ona na szczycie gór. Dla istoty sponiewieranej w dwudziestym czwartym roku życia, w całym blasku piękności, strojnej w czystą i wierną miłość, to nie było pchnięcie sztyletu, ale śmierć. Pierwszy atak był czysto nerwowy, ciało zwinęło się pod szponem zazdrości; ale pewność dosięgła duszę, piało było jak porażone. Hortensja przetrwała blisko dziesięć minut w tej martwocie. Cień matki zjawił się jej i sprawił w niej przemianę; stała się spokojna i zimna, odzyskała rozum. Zadzwoiła.

– Moja droga – rzekła do kucharki – niech Ludwika ci pomoże. Zapakujesz jak najprędzej wszystko, co tu jest mojego, i wszystko, co potrzebne dla mego syna. Daję wam godzinę czasu. Kiedy wszystko będzie gotowe, idź po dorożkę i daj mi znać. Żadnych uwag! Opuszczam dom i zabieram Ludwikę. Ty zostaniesz tu z panem; pamiętaj dbać o niego...

Udała się do swego pokoju, siadła i napisała następujący list:

Panie Hrabio,

List dołączony do mojego wyjaśni Panu przyczynę postanowienia, które powzięłam.

Kiedy przeczytasz te słowa, nie będzie mnie w Pańskim domu, udam się wraz z dzieckiem do matki.

Nie spodziewaj się, abym kiedykolwiek cofnęła to postanowienie. Nie przypisuj go uniesieniu młodości, brakowi zastanowienia, obrażonej miłości własnej; myliłbyś się najzupełniej.

Bardzo dużo myślałam od dwóch tygodni o życiu, o miłości, o naszym związku, o naszych wzajemnych obowiązkach. Poznałam w całej rozciągłości poświęcenie mojej matki, opowiadała mi swe niedole! Ona jest bohaterką codziennie od dwudziestu trzech lat; ale ja nie czuję się na siłach, aby ją naśladować; nie iżbym Cię kochała mniej, niż ona kocha mego ojca, ale z przyczyny mego charakteru. Dom nasz stałby się piekłem; mogłabym stracić głowę do tego stopnia, iż okryłabym hańbą Ciebie, siebie, nasze dziecko. Nie chcę być panią Marneffe, a na tej drodze kobieta z moją naturą nie umiałaby się może zatrzymać. Czuję w sobie, na nieszczęście, krew Hulotów, a nie Fischerów.

Sama i z dala od Pańskich wybryków, ręcę za siebie, zwłaszcza zmuszona myśleć o naszym dziecku, przy boku dzielnej i szlachetnej matki, której obecność będzie wpływała kojąco na burze mego serca. Tam mogę być dobrą matką, dobrze wychować naszego syna i żyć. Przy Tobie kobieta zabiłaby matkę, a nieustanne swary zatrułyby mój charakter.

Zgodziłabym się umrzeć od razu; ale nie chcę chorować przez dwadzieścia pięć lat jak matka. Jeżeli mnie zdradziłeś po trzech latach miłości zupełnej, oddanej, dla kochanki swego teścia, jakichż rywalek oszczędziłbyś mi później? Och, zaczynasz o wiele wcześniej niż mój ojciec to życie rozpusty, marnotrawstwa, które okrywa hańbą ojca rodziny, pozbawia szacunku dzieci i na końcu którego znajduje się hańba i rozpacz.

Nie jestem nieubłagana. Niezłomne uczucia nie przystają wątlým istotom żyjącym pod okiem Boga. Jeżeli wytrwałą pracą zdobędziesz sławę i majątek, jeżeli wyrzekniesz się nierządnic, nikczemnych i plugawych ścieżek, odnajdziesz swoją żonę godną siebie.

Sądzę, iż zanadto jesteś szlachcicem, aby się uciekać do przemocy praw. Uszanujesz moją wolę, panie hrabio, zostawisz mnie u matki, a zwłaszcza nie pojawisz się tam nigdy. Zostawiam Ci wszystkie pieniądze, które Ci pożyczyła ta wstrętna kobieta. Żegnam Pana!

Hortensja Hulot

Napisanie tego listu przyszło Hortensji z wysiłkiem, przerywały jej łzy, krzyki rozpacz. Porzucała i znów ujmowała pióro, aby wyrazić po prostu to, co w tych pożegnalnych listach miłość krasi zazwyczaj deklamacją. Serce jej wypowiadało się w okrzykach, skargach, płaczach; ale dyktował rozum!

Uwiadomiona przez Ludwikę, że wszystko jest gotowe, młoda kobieta obeszła z wolna ogród, sypialnię, salon, wszystko objęła oczyma ostatni raz. Następnie najusilniej zaleciła kucharce, aby czuwała nad panem, przyrzekła jej nagrodę, jeżeli będzie uczciwa. Wreszcie wsiadła do dorożki, aby się udać do matki, z sercem złamanym, płacząc tak, że aż litość brała służącą, i okrywając małego Wacia pocałunkami z wybuchami szczęścia, które zdradzały, ile w jej sercu było jeszcze miłości dla ojca.

Baronowa wiedziała już od Elżbiety; że teść wiele przyczynił się do przewinienia zięcia; nie zdziwiła się zjawieniem córki, uznała jej postępowanie i zgodziła się pomieścić ją u siebie. Widząc, iż słodycz i poświęcenie nie zdołały nigdy utrzymać jej Hektora, dla którego szacunek jej zaczął słabnąć, Adelina osądziła, że córka ma słuszność, obierając inną drogę. W ciągu trzech tygodni biedna matka otrzymała dwie rany, boleśniejsze niż wszystko, co zniosła dotąd. Baron wtrącił w kłopoty pieniężne Wiktora i jego żonę; następnie stał się, zdaniem Elżbiety, przyczyną zbłąkania Wacława, sprowadził zięcia na złą drogę. Majestat ojca rodziny, podtrzymywany tak długo za pomocą szalonych poświęceń, runął. Młodzi Hulot nie żalowali pieniędzy, ale odczuwali nieufność i niepokój w stosunku do barona. Uczucie to, dosyć widoczne, gnębiło Adelinę: przeczuwała rozprzęgnięcie się rodziny. Baronowa pomieściła córkę w jadalni, którą, dzięki pieniądzom marszałka, rychło przekształcono w sypialnię; przedpokój zaś jak w wielu domach, obrócono na jadalnię.

Kiedy Waclaw wrócił do domu, kiedy przeczytał dwa listy, doznał jak gdyby uczucia radości zmieszanej ze smutkiem. Strzeżony jak jeniec przez swoją żonę, buntował się w duszy przeciw temu nowemu więzieniu, które przypominało mu więzienie u Elżbiety. Przekarmiony miłością od trzech lat, i on również zastanawiał się od dwóch tygodni i uważał, że rodzina to rzecz ciężka do udźwignięcia. Słyszał z ust Stidmanna powinszowanie z powodu uczuć, jakie obudził w Walerii; Stidmann bowiem, w dość zrozumiałej intencji, uważał za właściwe głaskać próżność małżonka Hortensji, licząc na to, że pocieszy ofiarę. Waclaw był tedy rad, że może wrócić do pani Marneffe. Ale przypomniał sobie pełne, czyste szczęście, jakie było jego udziałem, uroki Hortensji, jej prawy charakter, jej czystą i niewinną miłość, i pożałował jej szczerze. Chciał biec do teściowej i wybłagać tam przebaczenie, ale zrobił jak Hulot i Crevel: poszedł do pani Marneffe. Wziął z sobą list żony, aby jej pokazać klęskę, jaką sprawiła, i wyzyskać niejako to nieszczęście, żądając od kochanki odszkodowań rozkoszy. Zastał u Walerii Crevela. Spęczniały dumą, mer przechadzał się po salonie jak człowiek nie mogący opanować swoich wzruszeń. Stawał w pozycji, jakby chciał mówić, ale brakło mu odwagi. Fizjonomię miał promieniejącą, raz po raz szedł do okna i bębnił palcami po szybach. Spoglądał na Walerię z twarzą pełną czułości, roztkliwienia. Szczęściem dla Crevela

weszła Elżbieta.

– Kuzynko – szepnął jej do ucha – czy wiesz nowinę? Jestem ojcem! Mam uczucie, że mniej kocham pocziwą Celestynę. Och! Co to jest mieć dziecko z kobietą, którą się ubóstwia! Połączyć ojcostwo serca z ojcostwem krwi! Słuchaj, powiedz to Walerii! Będę pracował dla tego dziecka, chcę, aby było bogate! Mówiła mi, wnosi z pewnych oznak, że to będzie chłopiec. Jeżeli będzie chłopiec, chcę, aby się nazywał Crevel: pogadam z rejentem.

– Wiem, jak ona cię kocha – rzekła Elżbieta – ale w imię swojej i jej przyszłości hamuj się pan, nie zacieraj tak rąk co chwilę.

Podczas gdy Elżbieta rozmawiała na uboczu z Crevelem, Waleria zażądała od Waclawa, aby zwrócił jej list, i szeptała mu do ucha rzeczy, które rozpraszały jego smutek.

– Jesteś tedy wolny, mój drogi – mówiła. – Czyż wielcy artyści powinni się żenić? Wy istniejecie tylko fantazją i swobodą! Och, będę cię tak kochała, drogi poeto, że nie zatęsknisz nigdy za żoną. Jednakże, jeżeli, jak wielu na twoim miejscu, chcesz zachować pozory, podejmuję się sprowadzić ci Hortensję z powrotem, i to niedługo.

– Och! Gdyby to było możebne!

– Jestem tego pewna – rzekła Waleria, dotknięta. – Twój biedny teść jest to człowiek skończony pod każdym względem, ale przez próżność chce wyglądać na człowieka, którego można kochać; chce wmówić światu, że ma kochankę; jest na tym punkcie tak próżny, że mogę z nim robić, co chcę. Baronowa tak jeszcze kocha swego starego Hektora (wciąż mam uczucie, że cytuję „Iliadę”), że we dwoje starszankowie wyjednają ci u Hortensji przebaczenie. Tylko jeżeli nie chcesz mieć burzy w domu, nie zaniedbuj przez trzy tygodnie swojej kochanki... Ginęłam już. Mój chłopcze, kiedy się jest szlachcicem, trzeba mieć względy dla kobiety, którą się naraziło tak jak ty mnie, zwłaszcza kiedy ta kobieta musi tak bardzo dbać o swoją reputację... Zostań na obiedzie, mój skarbie... ale zrozum, że muszę być z tobą bardzo chłodna, jako że ty jesteś sprawcą tego nazbyt widocznego błędu.

Oznajmiono barona Monteza; Waleria wstała, pobiegła na jego spotkanie, szeptała mu przez kilka chwil do ucha, czyniąc w przedmiocie swego zachowania te same zastrzeżenia, jakie przed chwilą czyniła Wacławowi; Brazylijczyk bowiem zachował spokój dyplomatyczny, dostrojony do wielkiej nowiny, która go przepełniła radością: był pewny swego ojcostwa!...

Dzięki tej strategii, opartej na próżności każdego mężczyzny w roli kochanka, Waleria miała przy stole czterech mężczyzn przeświadczonych, że są ubóstwiani, wesołych, ożywionych, zachwyconych. Marneffe, licząc w to i siebie, nazywał ich, żartując z Bietką, pięcioma ojcami kościoła.

Jeden baron wydał się zrazu stroskany. Oto czemu. W chwili gdy wychodził z biura, zaszedł do dyrektora personelu, generała, swego kolegi od lat trzydziestu, i napomknął mu o nominacji Marneffe'a na miejsce pana Coquet, który godził się podać do dymisji.

– Mój drogi przyjacielu – rzekł – nie chciałbym prosić o tę grzeczność marszałka, nim się porozumiemy i nim uzyskam twoje pozwolenie.

– Mój drogi przyjacielu – odparł dyrektor personelu – pozwól sobie zwrócić uwagę, że we własnym interesie nie powinieneś upierać się przy tej nominacji. Powiedziałem ci już, co o tym myślę. To byłby skandal w ministerium, gdzie już i tak o wiele za dużo zajmują się tobą i panią Marneffe. Mówię to między nami.

Nie chcę tykać twojej czulej struny ani sprawiać ci jakiej bądź przykrości i dam ci tego dowód. Jeżeli zależy ci na tym koniecznie, jeżeli chcesz żądać miejsca pana Coquet, co będzie prawdziwą stratą dla ministerium wojny (jest w nim od roku 1809), ja wyjadę na dwa tygodnie na wieś, aby ci zostawić wolne pole wobec marszałka, który cię kocha jak syna. Nie będę tedy ani za, ani przeciw, a nie uczynię nic przeciw memu sumieniu urzędnika.

– Dziękuję ci – odparł baron – zastanowię się nad tym, co mówisz.

– Jeżeli sobie pozwoliłem na tę uwagę, drogi przyjacielu, to dlatego, że idzie tu o wiele więcej o twoje dobro niż o mój interes lub też o moją miłość własną. Przede wszystkim marszałek ma w tym głos wyłączny. Następnie, mój drogi, zarzucają nam tyle rzeczy, że jedna mniej lub więcej!... Przywykliśmy do krytyk. Za Restauracji dawano posady, po prostu aby dać komuś pensję, nie troszcząc się o służbę. Jesteśmy starzy koledzy...

– Tak – odparł baron – i to dlatego, aby nie narażać naszej starej i cennej przyjaźni, chcę...

– No, no – odparł dyrektor personelu, widząc zakłopotanie malujące się na twarzy Hulota – wyjadę, mój stary, wyjadę... Ale uważaj! Masz wrogów, to znaczy ludzi, którzy mają chrapkę na twoją sutą pensję, a trzymasz się tylko na jednej kotwicy. Och, gdybyś był posłem jak ja, nie lękałbyś się niczego; toteż uważaj!

Te przyjacielskie aluzje uczyniły żywe wrażenie na radcy stanu.

– Ależ mów, Rogerze, co się dzieje? Nie baw się ze mną w dyplomację.

Dygnitarz, którego baron nazywał Rogerem, popatrzył na Hulota, ujął go za rękę i uściśnął ją.

– Jesteśmy zbyt starzy przyjaciele, abym cię nie miał ostrzec. Jeżeli chcesz się utrzymać, powinieneś usłać sam dla siebie jakieś leże. W twoim położeniu, zamiast prosić marszałka o awans dla pana Marneffe, prosiłbym go o wyrobienie dla mnie miejsca w Radzie Stanu, na którym bym doczekał spokojnie śmierci; dyrekturę zaś generalną zostawiłbym myśliwym jak bóbr swoją skórę...

– Jak to! Marszałek miałby zapomnieć?...

– Mój stary, marszałek bronił cię tak dzielnie na pełnej radzie ministrów, że nie myślą już o tym, jakby cię wysadzić z siodła; ale była o tym mowa!... Toteż nie dawaj pozorów. Nie chcę ci mówić nic więcej. W tej chwili możesz stawiać warunki, zostać radcą stanu i parem Francji. Jeżeli wyczekasz zbyt długo, jeśli dasz im pretekst, nie rękę za nic... Czy mam wyjechać?

– Zaczekaj, pomówię z marszałkiem – odparł Hulot – i wyślę brata, aby zmacał grunt u starego.

Można się domyślić, w jakim humorze baron wrócił do pani Marneffe; prawie zapomniał, że jest ojcem. Roger bowiem oświecił mu jego położenie jak szczerzy i dobry kolega. Mimo to wpływ Walerii był tak silny, że w połowie obiadu baron dostroił się do panującego tonu i stał się tym weselszy, im więcej miał trosk do ukrywania; ale nieszczęśnik nie domyślał się, że w ciągu tego wieczora znajdzie się pomiędzy swoim szczęściem a niebezpieczeństwem wskazanym przez dyrektora personelu, czyli będzie zmuszony wybierać pomiędzy panią Marneffe a swoją pozycją.

Okolo jedenastej, w chwili gdy wieczór sięgał szczytu ożywienia, salon bowiem był pełen gości, Waleria pociągnęła Hektora na kanapkę.

– Mój staruszkę – szepnęła mu do ucha – córkę twoją tak oburzyło to, że Waław bywa u mnie, że puściła go w trawę. Narwana jest ta wasza Hortensja. Poproś Waława, niech ci pokaże list, który ta gaska zostawiła. To rozłączenie czułej pary, którego niby ja mam być przyczyną, może mi bardzo zaszkodzić, bo oto masz próbkę, na jakie sposoby biorą się te cnotki. To skandal grać rolę ofiary po to, aby zwracać opinię przeciw kobiecie, która nic więcej nie zawiniła poza tym, że ma przyjemny dom. Jeżeli mnie kochasz, obmyjesz mnie z tego, godząc te dwie turkaweczki. Nie zależy mi zresztą wcale na tym, aby tu widywać twego zięcia: toś ty mi go przyprowadził, zabierze go z powrotem. Jeżeli masz władzę w domu, sądzę, że mógłbyś zażądać od żony, aby doprowadziła do pojednania. Powiedz ode mnie tej poczciwej starej, że jeżeli mnie będą niesłusznie winili, żem poróżniła młode małżeństwo, że zmąciłam harmonię rodziny i że zagarniam równocześnie ojca i zięcia, postaram się zasłużyć na tę reputację, pokazując im moje pazurki! Już Bietka mówi, że się musi ze mną rozstać!... Ponad moją przyjaźń wyżej ceni swoją rodzinę, nie mogę jej tego brać za złe. Zostanie, powiedziała mi, tylko o tyle, o ile młodzi się pogodzą. Ładnie byśmy wyglądali, dom będzie nas kosztował trzy razy tyle.

– Och, co do tego – rzekł baron, dowiadując się o szaleństwie córki – zrobimy z tym porządek.

– A więc – rzekła Waleria – przejdźmy do czego innego... A miejsce pana Coquet?

– To – odparł Hektor, spuszczać oczy – to rzecz trudniejsza, aby nie powiedzieć niemożliwa!...

– Niemożliwa, mój drogi Hektorze – szepnęła pani Marneffe do ucha baronowi – ależ ty nie wiesz, do jakich ostateczności posunie się Marneffe! Jestem w jego mocy; on pluje na moralność, gdy chodzi o korzyść, jak większość mężczyzn, ale jest nadzwyczaj mściwy, jak ludzie mali i upośledzeni. W położeniu, w którym mnie postawiłeś, jestem na jego łasce. Trzeba mi się pogodzić z nim na kilka dni; otóż on byłby zdolny nie ruszyć się już z mojej sypialni.

Hulot aż skoczył.

– Zostawiłby mnie w spokoju w zamian za miejsce naczelnika. To nikczemne, ale logiczne.

– Walerio, czy ty mnie kochasz?

– To pytanie wobec stanu, w jakim się znajduję, mój drogi, to chamstwo.

– A więc jeżeli spróbuję, tylko spróbuję, poprosić marszałka o to miejsce dla twego męża, nie jestem już niczym, a Marneffe otrzyma dymisję.

– Myślałam, że jesteś z księciem w serdecznej przyjaźni!

– Owszem, i dał mi tego dowody; ale, moje dziecko, ponad marszałkiem jest jeszcze ktoś... jest na przykład cała rada ministrów... Zyskując na czasie, klucząc, dojdziemy do celu. Aby zwyciężyć, trzeba wyczekać chwili, w której zażądamy jakiejś przysługi ode mnie. Wtedy będę mógł powiedzieć: „Ręka rękę myje...”.

– Mój drogi Hektorze, jeżeli to powiem jemu, gotów nam wypłatać jakiegoś przykrego figla. Wiesz, powiedz mu sam, że trzeba poczekać, ja się nie podejmuję. Och, ja wiem, co mnie czeka, a on wie, jak mnie ukarać, nie mszy się z mojej sypialni... Nie zapomnij o tysiącu dwustu frankach renty dla małego.

Hulot, zagrożony w swoich słodkich przyzwyczajeniach, wziął na bok pana Marneffe; pierwszy raz spuścił z wyniosłego tonu, który zachował z nim aż dotąd, tak bardzo przeraziła go perspektywa tego truposza w pokoju tej rozkosznej kobiety.

– Marneffe, mój drogi przyjacielu, była dziś mowa o tobie! Ale nie zostaniesz naczelnikiem biura tak zaraz... trzeba nam na to czasu.

– Zostanę, panie baronie – odparł wręcz Marneffe.

– Ależ mój drogi...

– Zostanę, panie baronie – powtórzył zimno Marneffe, spoglądając kolejno na barona i na Walerię. – Postawiłeś pan moją żonę w konieczności pojednania ze mną; korzystam z tego, bo, mój drogi przyjacielu, jest śliczna – dodał z piekielną ironią. – Jestem tutaj panem większym niż ty, baronie, w ministerium.

Baron doznał uczucia bólu, który można by porównać do bólu zębów w sercu; niemal stanęły mu łzy w oczach. Podczas tej krótkiej sceny Waleria oznajmiła Henrykowi Montez do ucha rzekomą wolę swego męża, uwalniając się w ten sposób odeń na jakiś czas.

Z czterech wiernych jeden Crevel, posiadacz sekretnego mieszkanka, wyjęty był z tego rygoru, toteż fizjonomia jego jaśniała wyrazem bezczelnego zaiste szczęścia mimo upomnień, jakie mu słała Waleria, marszcząc brew i robiąc znaczące miny; promieniejące ojcostwo przebijało we wszystkich rysach. Kiedy Waleria szepnęła mu coś do ucha z wymówką, chwycił ją za rękę i odpowiedział:

– Jutro, księżniczko moja, będziesz miała swój pałacyk!... Jutro ostateczny termin licytacji.

– A meble? – spytała z uśmiechem.

– Mam tysiąc akcji Wersal, lewy brzeg, kupionych po sto dwadzieścia pięć franków, dojdą do trzystu z przyczyny zlania dwóch gościńców, o czym dowiedziałem się w tajemnicy. Będziesz urządzona jak królowa!... Ale będziesz tylko moja, nieprawdaż?

– Tak, grubasie – rzekła z uśmiechem ta mieszczańska pani de Merteuil – ale hamuj się! Szanuj przyszlą panią Crevel.

– Mój drogi kuzynie – rzekła Elżbieta do barona – jutro wcześniej zjawię się u Adeliny, bo rozumiesz, że przyzwoitość nie pozwala mi zostać tutaj. Będę prowadziła gospodarstwo twego brata marszałka.

– Wracam do domu dziś wieczór – rzekł baron.

– A więc przyjdę na śniadanie jutro rano – odparła Bietka z uśmiechem.

Zrozumiała, jak bardzo obecność jej jest potrzebna przy scenie rodzinnej, która miała się rozegrać nazajutrz. Toteż wcześniej rano udała się do Wiktora, gdzie dowiedziała się o rozstaniu Hortensji i Wacława.

Kiedy baron wrócił do domu około wpół do jedenastej wieczór, Maria i Ludwika – ta ostatnia po bardzo pracowitym dniu – zamykały drzwi od mieszkania, nie potrzebował tedy dzwonić. Małżonek, bardzo nierad ze swej przymusowej cnoty, udał się prosto do pokoju żony; przez uchylone drzwi ujrzał ją leżącą przed krucyfiksem, zatopioną w modlitwie, w wymownej pozie, jednej z tych, które dają sławę malarzowi lub rzeźbiarzowi na tyle szczęśliwemu, aby je podchwycić i oddać. Adelina w ekstazie modlitwy powtarzała głośno:

– Mój Boże, ulituj się, racz go oświecić!...

Tak modliła się baronowa za swego Hektora. Na ten widok, tak różny od tego, który właśnie opuścił, słysząc to zdanie podyktowane wypadkami dnia, baron rozczulony westchnął. Adelina odwróciła się z twarzą zalaną łzami. Tak mocno wierzyła, iż to jej modły zostały wysłuchane, że skoczyła i chwyciła swego Hektora z całą siłą tryumfującej miłości. Adelina wyzbyła się doszczętnie kobiecości, boleść zgasiła w niej nawet wspomnienia. Było w niej już tylko macierzyństwo, honor rodziny i najczystsze przywiązanie chrześcijańskiej małżonki do zbłąkanego męża, owa święta tkliwość, która wszystko przetrwa w sercu kobiety. Wszystko to łatwo było odgadnąć.

– Hektorze – rzekła wreszcie – czy wracasz do nas? Czyżby Bóg zlitował się nad naszą rodziną?

– Droga Adelino! – odpowiedział baron, wchodząc i sadzając żonę na fotelu. – Jesteś najświętszą istotą, jaką znam, i od dawna nie czuję się już godnym ciebie.

– Niewiele by ci potrzeba, mój drogi – rzekła, trzymając rękę Hulota i drżąc tak silnie, jak gdyby ją opanowała drżączka nerwowa – bardzo niewiele by ci trzeba, aby odbudować ład...

Nie śmiała mówić dalej, czuła, że każde słowo byłoby naganą, nie chciała mącić szczęścia, którego strumień wnikał w jej duszę.

– Przychodzę tu z przyczyny Hortensji – rzekł Hulot. – Ta dziewczyna może nam narobić więcej przykrości swoją nierozwagą, niż nam ich narobiła moja niedorzeczna namiętność do Walerii. Ale pomówimy o tym jutro rano. Hortensja śpi, mówiła mi Maria, zostawmy ją w spokoju.

– Tak – rzekła pani Hulot, którą nagle ogarnął głęboki smutek.

Zrozumiała, że baron wraca do domu wiedziony nie tyle chęcią ujżenia rodziny, ile jakąś uboczną myślą.

– Zostawmy ją w spokoju jeszcze i jutro, biedne dziecko jest w bardzo smutnym stanie, płakała przez cały dzień – rzekła baronowa.

Nazajutrz o dziewiątej rano baron, oczekując córki, którą polecił zawołać, przechadzał się po olbrzymim niezamieszkanym salonie, szukając argumentów, którymi by mógł pokonać upór najtrudniejszy do pokonania, upór młodej kobiety zranionej i nieubłaganej, tak jak bywa nieubłagana nieskazitelna młodość, nieznająca jeszcze upokarzających kompromisów życia, ponieważ nie zna jego interesów i namiętności.

– Jestem, ojczulku – rzekła drżącym głosem Hortensja, której twarz przybladła od cierpienia.

Hulot, który siedział na krześle, wziął córkę wpół i siłą posadził ją sobie na kolanach.

– I cóż, dziecino – rzekł, całując ją w czoło – posprzeczaliśmy się w domu i popełniliśmy szaleństwo?... Tak nie robi panienka dobrze wychowana. Moja mała Hortensja nie powinna była sama puszczać się na tak stanowczy krok, opuszczać dom, męża, nie poradziwszy się rodziców. Gdyby droga dziecina przyszła się poradzić swojej najlepszej, kochanej matki, nie byłaby mi sprawiła tego ciężkiego zmartwienia!... Ty nie znasz świata, jest bardzo niegodziwy. Ludzie gotowi powiedzieć, że to mąż odesłał cię do rodziców. Dzieci wychowane, tak jak ty, na łonie matki, są dłużej dziećmi od innych, nie znają życia! Naiwne młode uczucie, takie jak twoje do Wacława, nie oblicza, na nieszczęście, niczego, idzie za pierwszym odruchem. Serduszko rządzi, a główka słucha. Spaliłoby się Paryż, aby się zemścić, nie myśląc o kryminale! Kiedy twój stary ojciec mówi ci, żeś nie zachowała pozorów, możesz mu wierzyć. Nie mówię już o głębokiej zgryzocie, jakąś mi sprawiła; tak, gorzką zgryzotę; rzucasz bowiem cień na kobietę, której serca nie znasz, której uraza może mieć straszne następstwa... Ach, ty tak niewinna, czysta, biała, nie zdajesz sobie sprawy z niczego; możesz być splamiona, spotwarzona. Zresztą, mój drogi aniołku, wzięłaś poważnie żart; ja mogę ci ręczyć za niewinność twego męża. Pani Marneffe...

Aż dotąd baron, niby artysta dyplomacji, cudownie stopniował swoje upomnienia. Jak widzimy, po mistrzowsku przygotował wtrącenie tego nazwiska; ale słysząc je, Hortensja wzdrygnęła się jak kobieta zraniona do żywego.

– Słuchaj mnie, ja mam doświadczenie i patrzyłem na wszystko – ciągnął ojciec, nie dając jej mówić. – Ta osoba traktuje twego męża bardzo zimno. Tak, stałaś się ofiarą mistyfikacji, zaraz ci dam dowód. Ot, wczoraj Wacław był tam na obiedzie...

– Był na obiedzie?... – spytała młoda kobieta, zrywając się na równe nogi i patrząc na ojca z wyrazem zgrozy. – Wczoraj! Po moim liście? Och, Boże!... Czemu nie wstałam do klasztoru zamiast iść za męża? Życie nie należy już do mnie, mam dziecko! – dodała szlochając.

Łzy te wstrząsnęły panią Hulot, wypadła z sypialni, podbiegła do córki, chwyciła ją w ramiona, zadając jej owe pytania niedorzeczne, pierwsze, które przyjdą na myśl pod wpływem bólu.

„Macie, są łzy!... – powiadał sobie baron. – Wszystko szło tak dobrze. Cóż teraz począć z kobietami, które płaczą?”

– Moje dziecko – rzekła baronowa do Hortensji – słuchaj ojca! On nas kocha, wierz mi.

– No, Hortensjo, moja dziewczynko, nie płacz, brzydka się robisz – rzekł baron. – No, trochę rozsądku. Wróć grzecznie do domu, a ja przyrzekam ci, że noga Wacława nie postanie u tej osoby. Proszę cię o to poświęcenie, jeżeli to jest poświęcenie przebaczyć maleńki błąd mężowi, który cię kocha! Proszę cię o to na moje siwe włosy, na miłość, jaką masz dla matki... Nie chcesz zatruć moich starych dni goryczą i zgryzotą?...

Hortensja rzuciła się jak szalona do nóg ojca mchem tak rozpaczliwym, że włosy jej, lekko splecione, rozplotły się. Podadła mu ręce gestem, w którym malowała się jej rozpacz.

– Ojczcze! Żądasz ode mnie życia! – rzekła. – Weź je, jeżeli chcesz, ale weź je bodaj czyste i bez zmały; wierzej, oddam ci je z rozkoszą. Nie żądaj, bym umierała zhańbiona, występna. Ja nie jestem podobna do matki! Nie będę łykała zniewag! Jeżeli wrócę pod dach rodzinny, mogę udusić Wacława w przystępie zazdrości lub zrobić jeszcze coś gorszego. Nie wymagaj ode mnie rzeczy ponad moje siły! Będziesz musiał opłakać mnie za życia! Bo najmniej, co mi grozi, to szaleństwo!... Czuję szaleństwo tuż, o dwa kroki! Wczoraj! Wczoraj! On był na obiedzie u tej kobiety, po moim liście!... Czy inni mężczyźni też są tacy?... Daję ci moje życie, ale niech nie umieram w hańbie!... Jego wina?... Lekka!... Mieć dziecko z tą kobietą?

– Dziecko? – rzekł Hulot, cofając się o dwa kroki. – Ech! To chyba jakieś żarty.

W tej chwili weszli Wiktor i Bietka i stanęli w osłupieniu na ten widok. Córka leżała u stóp ojca. Baronowa, niema, szarpana na przemian uczuciami matki i żony, miała twarz zmienioną i zalaną łzami.

– Elźbieto – rzekł baron, chwytając starą pannę za rękę i pokazując jej Hortensję – pomożesz mi. Biednej Hortensji w głowie się miesza, uroiło się jej, że pani Marneffe kocha się w Waclawie, podczas gdy Waleria chciała po prostu mieć rzeźbę jego roboty.

– Dalila! – wykrzyknęła młoda kobieta. – Jedyna rzecz, jaką zrobił w mgnieniu oka od dnia naszego ślubu. Ten pan nie mógł pracować dla mnie, dla swego syna, ale dla tej łajdaczki pracował z takim zapalem... Och! Dobij mnie, ojczy, bo każde twoje słowo jest ciosem sztyletu.

Elźbieta zwróciła się w stronę baronowej i Wiktora, wzruszając miłosiernie ramionami i wskazując barona, który nie mógł jej widzieć.

– Słuchaj, kuzynie – rzekła Elźbieta – ja nie wiedziałam, co to jest pani Marneffe, kiedy mnie prosiłeś, abym zamieszkała o piętro wyżej i zajęła się jej gospodarstwem; ale przez trzy lata można się wiele nauczyć. Ta kobieta to ulicznica! I to ulicznica, którą co do zepsucia można porównać jedynie z jej podłym i ohydny męzulkiem. Ty jesteś ofiarą, dojną krową tych ludzi, zaprowadzą cię dalej, niż myślisz. Trzeba z tobą mówić bez ogródek, jesteś na dnie przepaści...

Słyszac te słowa Elzbiety, baronowa i jej córka spojrzaly na nia tym wzrokiem, jakim pobożne dusze dziękują Madonnie za ocalenie im życia.

– Ta ohydna kobieta chciała zniszczyć szczęście rodzinne twego zięcia; w jakim celu, nie wiem, gdyż moja inteligencja jest za słaba, abym mogła jasno czytać w tych ciemnych, przewrotnych, niegodziwych, bezecnych intrygach. Twoja pani Marneffe nie kocha Waława, ale chce go mieć u swoich kolan przez zemstę. Potraktowałam tę nędznicę tak, jak na to zasługuje. To kurtyzana bez cienia wstydu; oświadczyłam jej, że opuszczam jej dom, że chcę oplukać mój honor z tego bagna... Przede wszystkim należą do rodziny. Dowiedziałam się, że Hortensja rozstała się z Waławem, i oto jestem! Twoja Waleria, którą masz za świętą, jest przyczyną tego okrutnego rozstania: czy mogę zostać u takiej...? Nasza droga mała Hortensja – rzekła, trącając znacząco barona w ramię – fałszywie sobie może tłumaczy kaprys tej kobiety: takie istoty, aby dostać upragnione cacko, poświęciłyby rodzinę! Nie przypuszczam, aby Waław zawinił, ale sędzę, że jest słaby, i bardzo być może, że uległ tak szczonej zalotnicy. Postanowiłam już. Ta kobieta to twoje nieszczęście, doprowadzi cię do torby żebraczej. Nie chcę, aby się wydawało, że ja maczałam palce w ruinie mojej rodziny, ja, która od trzech lat siliłam się was bronić! Oszukują cię, kuzynie. Powiedz stanowczo, że nie chcesz się mieszać do awansu tego plugawego Marneffe'a, a zobaczysz, co się stanie. Ładnie ci wtedy wygarbują skórę!

Elżbieta podniosła siostrzenicę i uściskała ją gorąco.

– Hortensjo droga, trzymaj się ostro – szepnęła jej do ucha.

Baronowa uścisnęła Bietkę z zapalem jak swoją mścicielkę.

Cała rodzina stała w milczeniu dokoła tego ojca, dość przenikliwego, aby zrozumieć, co znaczy to milczenie. Na czoło jego i twarz wystąpiły oznaki straszliwego gniewu; wszystkie żyły nabrzmiały, oczy nabiegły krwią, policzki pokryły się cętkami. Adelina rzuciła się do jego kolan, ujęła go za ręce:

– Przebacz, drogi mój!

– Brzydziecie się mną! – rzekł baron, dając głos krzykowi sumienia.

Znamy wszyscy nasze tajemne winy. Prawie zawsze podejrzewamy u naszych ofiar nienawiść i chęć odwetu; i mimo wszelkich starań obłudy słowa nasze lub fizjonomia zdradzają się wśród nieoczekiwanej tortury, tak jak niegdyś zdradzał się zbrodniarz pod ręką kata.

– Własne dzieci – rzekł, aby cofnąć to wyznanie – stają się w końcu naszymi wrogami.

– Ojczy... – rzekł Wiktor.

– Przerwywasz ojcu!... – krzyknął piorunującym głosem baron, spoglądając na syna.

– Ojczy, posłuchaj – rzekł Wiktor jasnym i pewnym głosem nieskazitelnego posła. – Zauadto znam szacunek, jaki ci jestem winien, aby mu kiedykolwiek uchybić, i to pewna, że znajdziesz zawsze we mnie najbardziej uległego i posłusznego syna.

Każdy, kto bywał na posiedzeniach Izby, pozna szkołę parlamentarną w tych zawiłych zdaniach, za pomocą których uśmierza się wzburzenie, zyskując na czasie.

– Dalecy jesteśmy od tego, aby być twymi wrogami – rzekł Wiktor – poróżniłem się z moim teściem, panem Crevel, o to, że wykupiłem za sześćdziesiąt tysięcy weksle od Vauvineta, a to pewna, że te pieniądze znajdują się w rękach pani Marneffe. Och! Nie potępiam cię, ojczy – dodał, widząc gest barona – ale chcę tylko połączyć mój głos z głosem kuzynki Elżbiety i zwrócić twoją uwagę, że jeżeli moje oddanie jest ślepe i bezgraniczne, na nieszczęście, mój dobry ojczy, nasze środki pieniężne są ograniczone.

– Pieniądze! – rzekł, padając na krzesło impetyczny starzec, zmiażdżony tym wywozem. – I to mój syn!... Dostaniesz z powrotem swoje pieniądze – rzekł, wstając.

I mszył ku drzwiom.

– Hektorze!

Na ten krzyk baron odwrócił się; twarz jego była zalana łzami. Żona chwyciła go w objęcia z siłą rozpaczny.

– Nie odchodź tak... Nie opuszczaj nas w gniewie. Wszak ja ci nic nie powiedziałam!...

Na ten wzniosły krzyk dzieci rzuciły się do kolan ojca.

– Kochamy cię wszyscy – rzekła Hortensja. Elżbieta, nieruchoma jak posąg, spoglądała na tę grupę z dumnym uśmiechem na wargach. W tej chwili rozległ się w przedpokoju głos marszałka Hulot. Rodzina zrozumiała potrzebę tajemnicy i scena zmieniła natychmiast swój charakter. Rodzeństwo podniosło się, każdy starał się ukryć wzruszenie.

Tymczasem za drzwiami rozległa się sprzeczka Maryśki z jakimś żołnierzem, który dobijał się tak natarczywie, że w końcu kucharka weszła do salonu.

– Proszę pana, kwatermistrz z pułku wracającego z Algieru chce koniecznie z panem mówić.

– Niech zaczeka.

– Proszę pana – szepnęła Maryśka panu do ucha – kazał powiedzieć panu po cichu, że chodzi o pańskiego wuja.

Baron zadrzał; pomyślał, że to pieniądze, których potajemnie żądał od dwóch miesięcy celem wykupu swoich weksli. Zostawił rodzinę i pobiegł do przedpokoju, gdzie ujrzał typową fizjonomię alzacką.

– Dży s banem paronem Hilod...?

– Tak.

– On sam?

– On sam.

Kwatermistrz, który w czasie tej rozmowy gmerał za podszewką swego kepi, wydobył list, który baron rozpieczętował żywo i przeczytał, co następuje:

Mój Drogi, nie tylko nie mogę Ci posłać żądanych stu tysięcy, ale w ogóle pozycja moja jest rozpaczliwa, o ile nie przyjdiesz mi energicznie z ratunkiem. Mam na karku prokuratora, który prawi morały i plecie smalone duby o zarządzie. Nie ma sposobu zamknąć gęby temu cywilowi. Jeżeli ministerium wojny pozwoli się za nos wodzić surdutowym, jestem zgubiony. Posłaniec jest zupełnie pewny, staraj się wyrobić mu awans, bo okazał się bardzo oddany. Nie zostawiaj mnie na źer krukom.

Ten list podziałał jak piorun; baron ujrzał w nim zaród wewnętrznych niechęci, jakie dziś jeszcze istnieją pomiędzy cywilnym a wojskowym zarządem Algieru. Trzeba było natychmiast szukać plastra na ranę, którą mu ukazano. Kazał żołnierzowi zająć nazajutrz; za czym odprawiwszy go, nie bez hojnych obietnic awansu, wrócił do salonu.

– Dzień dobry i do widzenia, bracie! – rzekł do marszałka. – Bywajcie, dzieci; bywaj, moja dobra Adelino. A ty co z sobą poczniesz, Elżbieto? – spytał.

– Ha, będę prowadziła gospodarstwo u marszałka; taka już widać moja dola, abym wam służyła do śmierci, nie jednym, to drugim.

– Nie rozstawaj się z Walerią, póki cię nie zobaczę – szepnął baron do ucha kuzynce. – Bądź zdrowa, Hortensiu, ty mała buntownico, staraj się być rozsądną; spadła mi na głowę ważna sprawa, wrócimy jeszcze do kwestii twego pojednania się z mężem. Pomyśl o tym, koteczko – rzekł, ściskając ją.

Pożegnał żonę i dzieci tak wyraźnie zmieszany, że wszyscy zostali pod wrażeniem najżywszego niepokoju.

– Bietko – rzekła baronowa – trzeba się dowiedzieć, co może być Hektorowi; nigdy nie widziałam go w podobnym stanie; zostań jeszcze parę dni u tej kobiety, on jej mówi wszystko; dowiemy się, co go tak nagle zmieniło. Bądź spokojna, załatwimy twoje małżeństwo z marszałkiem, bo to małżeństwo jest bardzo potrzebne.

– Nigdy nie zapomnę odwagi, jaką okazałaś dziś rano – rzekła Hortensja, ściskając Bietkę.

– Pomściłaś naszą biedną matkę – rzekł Wiktor.

Marszałek przyglądał się ciekawie czułościom, jakimi wszyscy obsypywali Elżbietę; ta zaś poszła opowiedzieć całą scenę Walerii.

Szkic ten pozwoli niewinnym duszom ocenić rozmaite spustoszenia, jakie zrzadzają w rodzinach panie Marneffe, oraz sposoby, jakimi gnębią biedne cnotliwe kobiety, na pozór tak od nich odległe. A teraz przenieśmy w myślach te nadużycia na wyższe piętra społeczne, w pobliże tronu, policzmy, ile musiały kosztować kochanki królewskie! Wspomnienie to uświadomi nam, ile wdzięczności winien jest lud monarsze, gdy ten daje przykład dobrych obyczajów i rodzinnego życia.

W Paryżu każde ministerium jest to małe miasteczko bez kobiet; ale tyle jest tam plotek i intryg, jak gdyby kobiety tam były.

Po trzech latach pozycja pana Marneffe była, można rzec, wyjaśniona, oświetlona, tak że pytano się w biurze: „Czy Marneffe dostanie miejsce po panu Coquet?”, zupełnie tak jak w Izbie pytano niedawno: „Czy dotacja przejdzie, Czy nie?”. Obserwowano najmniejsze poruszenia w dyrekcji personelu, roztrząsano wszystko w oddziale barona Hulot. Przebiegły radca stanu wciągnął do spisku ofiarę awansu Marneffe'a, tęgiego pracownika, przyrzekając mu, że jeżeli zechce odrabiać robotę Marneffe'a, zostanie niezawodnie jego następcą; natrącił, że Marneffe niedługo pociągnie. Urzędnik ten pomagał w akcji na rzecz Marneffe'a.

Mijając salę audiencjonalną, pełną oczekujących stron, Hulot ujrzał w kącie bladą twarz Marneffe'a; jakoż urzędnik wszedł pierwszy.

– Czym mogę kochanemu panu służyć? – rzekł baron, pokrywając niepokój.

– Panie dyrektorze, kpią sobie ze mnie w biurze. Dowiedziano się, że dyrektor personelu wyjechał dziś rano na urlop z powodu zdrowia i nie wróci wcześniej aż za miesiąc. Czekać miesiąc, wiadomo, co to znaczy! Wydaje mnie pan na pośmiewisko moich wrogów, a to już dosyć, kiedy po człowieku bębnią z jednej strony; z dwóch naraz, panie dyrektorze, bęben może trzasnąć.

– Mój drogi Marneffe, kto chce dojść do celu, musi mieć wiele cierpliwości. Nie możesz pan zostać naczelnikiem (o ile w ogóle nim zostaniesz) wcześniej niż za dwa miesiące. W chwili obecnej, gdy trzeba mi bronić własnej pozycji, niepodobna mi żądać skandalicznego awansu.

– Jeżeli pan wyleci, nie zostanę nigdy naczelnikiem – rzekł chłodno Marneffe – każ mnie pan zamianować, ani to panu zaszkodzi, ani pomoże.

– Mam się tedy poświęcić dla pana? – spytał baron.

– Gdyby było inaczej, straciłbym wiele iluzji co do pana.

– Jest pan zanadto natarczywy, panie Marneffe!... – rzekł baron, wstając i pokazując drzwi zastępcy naczelnika.

– Mam zaszczyt pana pożegnać, panie baronie – odparł pokornie Marneffe.

„Cóż za bezczelny hultaj! – rzekł do siebie baron. – To mi wygląda na zaskarżenie wiarygodności w ciągu dwudziestu czterech godzin, pod grozą wywłaszczenia”.

W dwie godziny później, w chwili gdy baron kończył poufną konferencję z Klaudiuszem Vignon, którego chciał wyprawić do ministerium sprawiedliwości celem zasięgnięcia informacji co do władz sądowych, w których okręgu znajdował się Johann Fischer, Regina otworzyła drzwi gabinetu pana dyrektora i oddała mu liścik, prosząc o odpowiedź.

„Posyłać Reginę! – powiedział sobie baron. – Waleria oszalała, gubi nas wszystkich, udaremnia nominację tego ohydneho Marneffe!”.

Pozegnał osobistego sekretarza ministra i przeczytał, co następuje:

Och! Drogi mój, cóż ja za scenę przeszłam! Dawaleś mi szczęście przez trzy lata, ale też dziś zapłaciłam za nie. Marneffe wrócił z biura wściekły tak, że dreszcz przechodził. Zwykle jest brzydki, wtedy był przerażający. Cztery zęby, które posiada, dygotały; zagrażał mi swoim ohydny towarzystwem, o ile zechcę Cię przyjmować nadal. Mój biedny kocie, niestety, drzwi nasze będą odtąd dla Ciebie zamknięte. Widzisz moje łzy, kapią na papier, mokry jest! Czy zdołasz przeczytać te słowa, drogi Hektorze? Och! Nie widywać Cię już, wyrzec się Ciebie, gdy mam w sobie trochę Twojego życia, tak jak sądzę, iż mam Twoje serce, to dla mnie śmierć! Pomyśl o naszym małym Hektorku! Nie opuszczaj mnie, ale nie daj się zhańbić dla Marneffe'a, nie ustępuj przed jego pogroźkami. Och, kocham Cię tak, jak Cię nigdy nie kochałam! Przypominam sobie wszystkie ofiary, jakie uczyniłeś dla swojej Walerii; nie jest ona i nie będzie nigdy niewdzięczną; Ty jesteś, Ty będziesz jedynym moim mężem. Nie myśl już o tysiącu dwustu frankach renty, o które Cię proszę dla małego Hektorka, mającego przyjść na świat za kilka miesięcy... nie chcę Cię już nic kosztować. Zresztą mój majątek będzie zawsze Twoim.

Och, gdybyś Ty mnie kochał tak jak ja Ciebie, mój Hektorze, wziąłbyś dymisję, zostawilibyśmy nasze rodziny, nasze kłopoty, nasze otoczenie kryjące w sobie tyle nienawiści i osiedlilibyśmy się wraz z Bietką w jakiej ładnej okolicy w Bretanii, gdzie byś zechciał. Tam nie widywalibyśmy nikogo i żylibyśmy szczęśliwi, z dala od tego całego świata.

Twoja emerytura i to trochę, co ja mam, wystarczyłoby. Robisz się zazdrosny; otóż tam Twoja Waleria żyłaby tylko dla swego Hektora, nie potrzebowałbyś nigdy krzyknąć na nią tak jak kiedyś. Nigdy nie będę miała innego dziecka prócz tego naszego maleństwa: możesz być tego pewien, mój drogi stary wiarusie. Nie, nie możesz sobie wyobrazić mojej wściekłości, bo trzeba wiedzieć, jak on mnie potraktował, co za grubiaństwo wypluł na Twoją Walerię! Te słowa zbrukałyby papier. Kobieta taka jak ja, córka marszałka Montcornet, w życiu nie powinna była usłyszeć czegoś podobnego. Och! Byłabym pragnęła, abyś tam był, aby go ukarać widokiem szalonej namiętności, która mnie rwała ku Tobie. Mój ojciec byłby rozsiekał tego nędznika; ja mogę tylko to, co może kobieta: kochać Cię do szalu! Toteż, kochanie moje, w tym rozpaczliwym stanie, w jakim się znajduję, niepodobna mi wyrzec się widzenia Ciebie. Tak, chcę Cię widywać po kryjomu, codziennie! Takie my już jesteśmy, my, kobiety: podzielam Twoje oburzenie. Błagam Cię, jeżeli mnie kochasz, nie rób go naczelnikiem, niech zdechnie jako zastępca!... W tej chwili sama nie wiem, co się ze mną dzieje, słyszę jeszcze jego zniewagi. Bietka, która chciała mnie porzucić, zlitowała się i zostaje jeszcze kilka dni.

Jedyny mój, nie wiem jeszcze, co począć. Nie widzę nic prócz ucieczki. Zawsze przepadałam za wsią. Bretania, Południe, co tylko chcesz, byleby Cię tylko mogła kochać swobodnie. Biedny kocie, jak mi Cię żal! Trzeba Ci wrócić do Twojej starej Adeliny, do tej ławnicy, bo ten potwór (musiał Ci to powiedzieć) chce mnie pilnować dniem i nocą: wspomniał o komisarzu policji. Nie przychodzi; pojmuję, że on jest zdolny do wszystkiego, z chwilą gdy ze mnie uczynił przedmiot najohydniejszej spekulacji. Toteż chciałabym Ci móc oddać wszystko, co zawdzięczam Twojej wspaniałomyślności. Och, mój dobry Hektorze, mogłam być zalotna, wydawać Ci się lekka, ale Ty nie znałeś swojej Walerii; lubiła Cię dręczyć, ale woli Cię od wszystkich w świecie. Nie może Ci nikt zabronić, abyś odwiedzał swoją kuzynkę; obmyślę z nią jakiś sposób zobaczenia się. Mój drogi kocie, napisz, błagam, jakieś słówko, aby mnie uspokoić, w braku Twojej słodkiej obecności... (Och! dałabym sobie rękę uciąć, aby Cię mieć tu, na naszej sofie...) List Twój będzie dla mnie niby talizman; napisz mi coś, w czym by się wyrażała cała Twoja piękna dusza; oddam Ci Twój list, bo trzeba być ostrożnym: nie wiedziałabym, gdzie go ukryć, on przetrząsa wszystko. Słowem, uspokój Twoją Walerię, Twoją żonę, matkę Twego dziecka. Być zmuszoną pisać do Ciebie, ja, która Cię widywałam co dzień! Toteż mówiłam do Bietki: „Nie znałam swego szczęścia”. Tysiąc pieszczot, mój kocie. Kochaj mocno

swoją Walerię

„Łzy!... – rzekł do siebie Hulot, kończąc ten list. Łzy, przez które niepodobna odczytać jej podpisu”. – Jak się ma pani? – spytał Reginy.

– Pani leży, ma konwulsje – odparła Regina. – Po prostu wiała się pani w ataku nerwowym, chwyciło ją to zaraz po napisaniu listu. Och, to tylko z tego płaczu!... Pan krzyczał tak, że słychać go było na schodach.

Wzruszony baron skreślił następujący list na urzędowym papierze z nagłówkiem:

Bądź spokojna, mój Aniele, zdechnie jako zastępca! Twój pomysł jest kapitalny, schronimy się gdzieś daleko od Paryża, będziemy szczęśliwi z naszym Hektorkiem; wezmę dymisję, wystaram się o dobre miejsce przy jakiej linii kolei żelaznej. Och, moja Najmilsza, odmłodził mnie Twój list! Tak, zacznę żyć na nowo, i zobaczysz, zrobię majątek dla naszego drogiego malca. List Twój, tysiąc razy bardziej płomienny od listu Nowej Heloizy, sprawił cud! Nie myślałem, aby miłość moja mogła jeszcze wzrosnąć. Ujrzysz dziś wieczór u Elżbiety Twego na całe życie Hektora.

Regina uniosła tę odpowiedź, pierwszy list, który baron napisał do swojej najmilszej! Te wzruszenia pomogły mu zapomnieć o klęskach, które wisiły na widnokrzęgu; w tej chwili baron, czując się w mocy odwrócić ciosy zagrażające jego wujowi, Johannowi Fischerowi, troszczył się jedynie o deficyt.

Jedną z właściwości charakteru napoleończyków jest wiara we wszechmoc pałaza, pewność przewagi wojskowego nad cywilem. Hulot kpił sobie z prokuratora w Algierze, gdzie władało ministerium wojny. Człowiek zostaje tym, czym był. W jakim sposobie oficerowie gwardii cesarskiej mogliby zapomnieć, jak burmistrz, ba, prefekci, ci cesarze na małą skalę, wychodzili na granicę departamentów, które przebywała gwardia, aby ją przyjmować, witać, słowem: oddawać jej honory monarsze?

O wpół do piątej baron udał się wprost do pani Marneffe; na schodach serce mu biło jak młodzikowi, stawiał sobie bowiem w myśli to pytanie: „Ujrzę ją czy nie ujrzę?”. W jakież sposób mógłby pamiętać o rannej scenie, gdy własna rodzina we łzach leżała u jego stóp? List Walerii, schowany na zawsze w cienkim pugilaresiku na sercu, czyż nie dowodził mu, że jest kochany bardziej niż najmilszy z młodzików? Zadzzwoniwszy, nieszczęsny baron usłyszał człapanie pantofli i nieznośny kaszel schorowanego Marneffe'a. Urzędnik otworzył, ale po to, aby się wyprostować i wskazać Hulotowi schody, gestem zupełnie podobnym do tego, jakim Hulot wskazał mu rano drzwi swego gabinetu.

– Jest pan zanadto natarczywy, panie Hulot! – rzekł.

Baron chciał wejść, Marneffe wyjął z kieszeni pistolet i odciągnął kurek.

– Panie radco stanu, kiedy człowiek jest tak podły jak ja – uważa mnie pan bowiem za bardzo podłego, nieprawdaż? – byłby ostatnim zbrodniarzem, gdyby nie wyciągnął wszystkich korzyści ze sprzedaży swego honoru. Chcesz pan wojny, będzie zacięta i bez pardonu! Nie wracaj już i nie próbuj wejść, uprzedziłem komisarza policji o naszym stosunku.

Po czym korzystając ze zdumienia Hulota, wypchnął go i zamknął drzwi.

„Cóż za łotr! – powiadał sobie Hulot, idąc na górę do Bietki. – Och! rozumiem teraz jej list. Opuścimy z Walerią Paryż. Waleria jest moją na resztę życia; zamknie mi oczy”.

Elżbiety nie było w domu. Pani Olivier oznajmiła Hulotowi, że poszła do baronowej, myśląc, że go tam zastanie.

„Pocziwa dziewczyna! Nie sądziłem, że jest tak sprytna, jak się okazało dziś rano” – powiadał sobie baron, który w drodze z ulicy Vanneau na ulicę Plumet przypomniał sobie zachowanie Elżbiety.

Na rogu ulicy Vanneau i ulicy Babyłone popatrzał na Eden, z którego wypędzał go Hymen z mieczem prawa w rękę. Waleria, wyglądając oknem, ścigała go spojrzeniem; kiedy podniósł głowę, skinęła ku niemu chustką; ale bezecny Marneffe strącił żonie czepeczek z głowy i przemocą odciągnął ją od okna. Łzy stanęły w oczach radcy stanu.

„Być tak kochanym! Mając blisko siedemdziesiąt lat patrzeć, jak dla mnie znęcają się nad kobietą!” – rzekł sobie.

Elżbieta przybyła, aby oznajmić rodzinie barona dobrą nowinę. Adelina i Hortensja wiedziały już, że baron, nie chcąc się zhańbić w oczach całego biura nominacją Marneffe'a na naczelnika, ma być wygnany przez męża, który dostał nagle Hulot-wstrętu. Toteż szczęśliwa Adelina zadysponowała taki obiad, aby jej Hektorowi smakował lepiej niż u Walerii, oddana zaś Elżbieta pomogła Maryśce osiągnąć ten niełatwy rezultat. Kuzynka Bietka stała się bożyszczem rodziny: matka i córka całowały ją po rękach i oznajmiły jej ze wzruszającą radością, że marszałek zgadza się jej powierzyć gospodarstwo.

– A od tego, moja droga, do małżeństwa to już tylko krok – mówiła Adelina.

– Fakt, iż kiedy Wiktor mu o tym wspomniał, nie powiedział nie – dodała hrabina Steinbock.

Rodzina przyjęła barona z czułością tak ujmującą, z tak wezbranym sercem, że trzeba mu było ukrywać swoje zgryzoty. Marszałek przybył na obiad. Po obiedzie baron został, przyszli Wiktorostwo, złożono wista.

– Od dawna już, Hektorze – rzekł poważnie marszałek – nie dałeś nam takiego wieczoru!

To odezwanie starego żołnierza, w którym przebijała czułość dla brata, a zarazem pośrednio przygana, zrobiło głębokie wrażenie. Odsłoniło ono szerokie i długie cierpienia serca, w którym wszystkie odgadywane bóle znalazły swoje echo. O ósmej baron ofiarował się odprowadzić Bietkę, przyrzekając wrócić.

– Słyszysz, Bietko, on znęca się nad nią! – rzekł, skoro się znaleźli na ulicy. – Och! Nigdy jej tak nie kochałem.

– Ba, nie byłabym sądziła, że Waleria cię tak kocha – odparła Bietka. – Jest lekkomyślna, zalotna, lubi, aby jej nadskakiwać, aby grać dla niej, jak mówi, komedię miłości; ale przywiązana jest tylko do ciebie.

– Co mi kazała powiedzieć?

– Ot co – odparła Bietka. – Wiesz, że obdarzała względami Crevela; nie trzeba jej tego brać za złe, bo to ją zabezpieczyło od nędzy na resztę życia; ale nie cierpi go, zresztą to już prawie zerwane. Otóż zachowała klucz od mieszkanie...

– Przy ulicy Dauphin! – wykrzyknął uszczęśliwiony Hulot.

– Bodaj za to jedno przebaczyłbym jej Crevela... Byłem tam, wiem...

– Oto klucz – rzekła Bietka – każ sporządzić taki sam do jutra, dwa, jeżeli można.

– A potem?... – chciwie spytał Hulot.

– Przyjdę jeszcze jutro do was na obiad, oddasz mi klucz Walerii (bo stary Crevel może się o niego upomnieć) i spotkacie się pojutrze; tam obgadacie wszystko, co należy. Będziesz zupełnie bezpieczny, są tam dwa wyjścia. Gdyby przypadkiem Crevel, który zachował, jak mówi, obyczaje Regencji, wszedł korytarzem, wyjdiesz sklepem, i na odwrót. I cóż, stary hultaju, to mnie to zawdzięczasz. A co ty dla mnie zrobisz?

– Wszystko, co zechcesz.

– A więc nie sprzeciwiaj się memu małżeństwu z twoim bratem.

– Ty, marszałkową Hulot! Ty, hrabiną Forzheim! – wykrzyknął zdumiony Hektor.

– Adelina jest wszak baronową!... – odparła tonem cierpliwej pogroźki Bietka. – Słuchaj, stary ladaco, wiesz, jak stoją twoje interesy! Twoja rodzina może się znaleźć bez chleba i w błocie...

– To moja zgryzota! – rzekł Hulot zgnębiony.

– Gdy twój brat umrze, kto wspomże twoją żonę, córkę? Wdowa po marszałku Francji może otrzymać co najmniej sześć tysięcy franków pensji, nieprawdaż? A więc ja wychodzę za mąż jedynie po to, aby zapewnić chleb twojej żonie i córce, stary szaleńcze!

– To mi nie przyszło na myśl! – rzekł baron. – Będę namawiał brata, bo ciebie jesteśmy pewni... Powiedz memu aniołowi, że życie moje należy do niej!...

I baron, odprowadziwszy Elżbietę na ulicę Vanneau, wrócił na wista i został w domu. Baronowa nie posiadała się ze szczęścia, zdawało się, że mąż wraca do rodzinnego życia; przez jakieś dwa tygodnie chodził do biura o dziewiątej, wracał na obiad o szóstej i zostawał wieczorem w kółku rodzinnym. Dwa razy wziął Adelinę i Hortensję do teatru. Matka i córka zakupiły trzy dziękczynne msze i błagały Boga, aby zachował im ojca i męża.

Pewnego wieczora Wiktor Hulot, widząc, że ojciec idzie spać, rzekł do matki:

– Jesteśmy tedy szczęśliwi, ojciec wrócił do nas, toteż byle to trwało, ani ja, ani żona nie pożałujemy naszego funduszu.

– Ojciec będzie miał niebawem siedemdziesiąt lat – odparła baronowa – jeszcze myśli o pani Marneffe, zauważyłam to, ale niebawem przestanie myśleć: pasja do kobiet to nie jest gra, spekulacja, skąpstwo, ma swój koniec.

Piękna Adelina – była bowiem piękna mimo swojej pięćdziesiątki i swoich zgryzot – myliła się. Rozpustnicy to ludzie, których natura obdarzyła szacowną zdolnością przedłużenia miłości poza oznaczone przez nią granice, są prawie zawsze młodszy od swoich lat. W czasie tego okresu cnoty baron był trzy razy w gniazdku przy ulicy Dauphin i nie miał tam zgoła siedemdziesięciu lat... Podrażniona na nowo namiętność odmładzała go, byłby poświęcił Walerii bez żalu swój honor, rodzinę, wszystko. Ale Waleria, zupełnie odmieniona, nie wspominała mu nigdy o pieniądzach ani o rencie dla ich syna; przeciwnie, ofiarowywała mu się z pieniędzmi, kochała Hulota tak, jak trzydziestosześcioletnia kobieta kocha przystojnego studenta, ubogiego, poetycznego, zakochanego. A biedna Adelina myślała, że odzyskała swego Hektora! W ostatniej chwili trzeciej schadzki umówiono czwartą, zupełnie tak jak niegdyś teatr Włoski oznajmiał z końcem przedstawienia jutrzejsze widowisko. Godzinę oznaczono na dziewiątą rano. W dniu realizacji tego szczęścia, którego nadzieja pozwalała baronowi znosić życie rodzinne, około ósmej rano, wywołała barona Regina. Hulot, lękając się jakiegś przeszkody, wyszedł do Reginy, która nie chciała wejść do mieszkania. Wierna pokojówka oddała baronowi następujący liścik:

Moja stara wiara, nie idź na ulicę Dauphin, nasz utrapieniec rozchorował się i muszę go pielęgnować; bądź tam za to wieczorem o dziewiątej. Crevel jest w Corbeil u Lebasów, mam pewność, że nie sprowadzi do swego pałacyku żadnej księżniczki. Ja urządziłam się w domku tak, że noc mam wolną, mogę wrócić, nim się Marneffe obudzi. Odpowiedz mi w tej mierze, bo może Twoja płaksa nie zostawia Ci takiej swobody jak dawniej. Podobno jest jeszcze tak piękna, że gotowes mnie dla niej zdradzić, ty rozpustniku! Spal mój list, boję się wszystkiego.

Hulot odpisał kilka słów:

Ukochanie moje, nigdy moja żona, jak Ci mówiłem, od dwudziestu pięciu lat nie krępowała mnie w moich przyjemnościach.

Poświęciłbym dla Ciebie sto Adelin! Będę dziś wieczór o dziewiątej w świątyni Crevela oczekiwał mego bóstwa. Oby ten zastępca zdechł jak najprędzej! Bylibyśmy już zawsze razem, oto najwyższe pragnienie

Twojego Hektora

Wieczorem baron oznajmił, że udaje się z ministrem na sesję do Saint-Cloud i że wróci między czwartą a piątą rano; po czym pośpieszył na ulicę Dauphin. Było to w końcu czerwca.

Mało kto doznał w życiu w rzeczywistości straszliwych wrażeń skazanego na śmierć, gdyż tych, którzy wracają z rusztowania, można policzyć na palcach; ale niejednemu zdarzało się poznać tę agonię we śnie: przeżył wszystko, czuł wręcz nóż dotykający mu szyi, w chwili gdy z nastaniem dnia przebudzenie uwolniło go od zmory... Otóż wrażenie, jakiego doznał radca stanu o piątej rano w wykwintnym i rozkoszным łóżku Crevela, było o wiele przykrzejsze niż uczucie, że się jest przywiązany do nieszczęsnej maszyny, w obecności dziesięciu tysięcy widzów patrzących na skazańca dwudziestoma tysiącami płomiennych oczu. Waleria spała w uroczej pozie. Była piękna tak, jak owe piękności zdolne zachować cały swój powab we śnie. Jest to sztuka wkraczająca w dziedzinę natury, słowem, obraz, który stał się ciałem. Baron leżał wyciągnięty, głowę miał na wysokości trzech stóp od ziemi; oczy jego, błędząc luzem jak oczy człowieka, który się budzi i zbiera myśli, padły na drzwi pokryte malowanymi kwiatami przez malarza Jana, artystę, który drwi sobie ze sławy. Baron ujrzał nie jak ów skazaniec dwadzieścia tysięcy gorejących ócz, ale tylko jedno; lecz widok jego był zaiste bardziej przeszywający niż widok owych dziesięciu tysięcy na placu publicznym. Niejeden znudzony splinem Anglik opłaciłby z pewnością bardzo drogo to wrażenie, o wiele rzadsze niż wrażenie skazanego na śmierć. Baron, wciąż w leżącej pozycji, oblał się dosłownie zimnym potem.

Chciał wątpić, ale to mordercze oko wyśpiewało wszystko! Za drzwiami słycać było głōsy.

„Gdybyż to tylko Crevel chciał mi splatać figła” – powiadał sobie baron, nie mogąc już wątpić o obecności kogoś obcego w świątyni.

Drzwi się otwarły. Majestatyczne prawo francuskie, które na plakatach ustępuje kroku koronie, ujawniło się pod postacią malutkiego komisarzyka policji w towarzystwie długiego sędziego pokoju, obu zaś wiódł imć pan Marneffe. Komisarz policji tkwił w trzewikach, od których wstążka wlokła się po ziemi, szczyt jego postaci stanowiła żółta i łysawa czaszka, zdradzająca wygę, kpiarza, dla którego życie paryskie nie ma tajemnic. Oczy jego rzucały przez okulary drwiące i sprytne spojrzenia. Sędzia pokoju, eksadwokat, stary kobieciarz, zazdrościł winowajcy.

– Raczy pan wybaczyć nasz przykry obowiązek, panie baronie! – rzekł komisarz. – Przybyliśmy tu wskutek skargi uszkodowanego. Pan sędzia pokoju jest obecny przy otwieraniu mieszkania. Wiem, kto pan jesteś i kto jest winowajczyni.

Waleria otworzyła zdumione oczy, wydała krzyk wymyślony przez aktorki na wyrażenie w teatrze szaleństwa, wiała się na łóżku w konwulsjach, jak opętani średniowieczni w siarczanej koszuli na stosie.

– Śmierć, drogi Hektorze, ale sąd poprawczy? Och, nigdy!

Skoczyła, przemknęła niby biały obłok między trzema widzami i skryła się pod biurkiem, zasłaniając twarz rękami.

– Zgubiona! Zamordowana! – krzyczała.

– Panie – rzekł Marneffe do barona – gdyby ta kobieta oszalała, byłbyś pan więcej niż rozpustnikiem, byłbyś mordercą...

Co może uczynić, co może rzec mężczyzna zaskoczony w łóżku, które nie należy do niego, nawet tytułem najmu, z kobietą, która również nie należy do niego. Oto co:

– Panie sędzio pokoju, panie komisarzy policji – rzekł baron z godnością – zechciejcie panowie zająć się nieszczęśliwą kobietą, której umysł jest zagrożony... Protokół spiszecie później. Drzwi są zapewne zamknięte, nie potrzebujecie się lękać ucieczki ani z jej, ani z mojej strony, zważywszy stan, w którym...

Dwaj urzędnicy uczynili zadość apelowi radcy stanu.

– Chodź się rozmówić ze mną, nędzny fagasie!... – rzucił Hulot szeptem Marneffe'owi, biorąc go za ramię i ciągnąc ku sobie.

– To nie ja będę mordercą, to ty! Chcesz być naczelnikiem biura i oficerem legii honorowej?

– Ponad wszystko, dyrektorze – odparł Marneffe, skłaniając głowę.

– Więc dobrze, uspokój żonę i odpraw tych panów.

– Ni, ni – odparł filuternie Marneffe. – Trzeba, aby ci panowie spisali protokół z tego gorącego uczynku, inaczej, bez tego akciku dającego mi podstawę do skargi, cóż by się ze mną stało? Wśród dygnitarzy ministerialnych roi się od filutów. Ukradłeś mi pan żonę i nie zrobiłeś mnie naczelnikiem, panie baronie, daję panu tylko dwa dni na dotrzymanie obietnicy. Oto listy...

– Listy! – przerwał gwałtownie baron.

– Tak, listy świadczące, że dziecko, które moja żona nosi w tej chwili w łonie, jest pańskie... Rozumie pan? Powinien byś pan zapewnić memu synowi fundusz równający się części, którą ten bękart mu odbierze. Ale ja będę skromny, to nie moja sprawa, nie jestem fanatykiem ojcostwa!... Dwa tysiące franków renty wystarczy. Jutro rano otrzymam miejsce po panu Coquet i znajdę się na liście dekoracji lipcowych lub też... protokół wraz z moją skargą powędruje do trybunału. No, chyba jestem dość względny, nieprawdaż?

– Mój Boże! Śliczna kobieta! – powiadał sędzia pokoju do komisarza. – Cóż za strata dla ludzkości, gdyby miała oszaleć.

– Nie oszaleje – odpowiedział sentencjonalnie komisarz.

Policja jest zawsze wcielonym niedowiarstwem.

– Baron Hulot dał się złapać w potrzask – dodał komisarz dość głośno, aby go Waleria mogła usłyszeć.

Waleria rzuciła komisarzowi spojrzenie, które byłoby go zabiło, gdyby wściekłość zawarta w spojrzeniu była przenośna. Komisarz uśmiechnął się; i on zastawił potrzask i kobieta weń wpadła. Marneffe skłonił żonę, aby wróciła do sypialni i odziała się przyzwoicie, porozumiał się bowiem co do wszystkich punktów z baronem, który włożył szlafrok i przeszedł do saloniku.

– Panowie – rzekł do obu funkcjonariuszy – nie potrzebuję panów prosić o dyskrecję.

Urzednicy skłonili się. Komisarz policji zapukał lekko dwa razy do drzwi; wszedł jego sekretarz, usiadł przy biurczku i zaczął pisać pod ciche dyktando komisarza. Waleria płakała dalej gorącymi łzami. Kiedy skończyła toaletę, Hulot przeszedł do sypialni i ubrał się. Przez ten czas dokończono protokołu. Marneffe chciał zabrać żonę, ale Hulot w mniemaniu, że widzi ją ostatni raz, błagalnym gestem poprosił o chwilę rozmowy.

– Panie Marneffe, żona pańska kosztuje mnie dość drogo, abym się mógł z nią pożegnać... rozumie się, wobec wszystkich.

Waleria zbliżyła się, Hulot szepnął jej do ucha:

– Zostaje nam tylko ucieczka; ale jak się porozumiemy, zdradzono nas...

– Przez Reginę! – odparła. – Ale, mój drogi, po tym skandalu nie możemy się już widywać. Jestem zhańbiona. Zresztą nagadają ci na mnie bezeceństw, a ty uwierzysz...

Baron zaprzeczył gestem.

– Uwierzysz i dziękuję za to niebu, bo może nie będziesz mnie żałował.

– On nie zdechnie zastępcą! – szepnął Marneffe do ucha radcy stanu, podchodząc do żony, której rzucił brutalnie: – Dość już, moja pani; jeżeli jestem słabym wobec ciebie, nie chcę wyglądać na durnia wobec innych.

Waleria opuściła mieszkanko Crevela, darząc barona ostatnim spojrzeniem tak szelmowskim, że uwierzył, iż go ubóstwia. Sędzia pokoju podał dwornie rękę pani Marneffe i odprowadził ją do powozu. Baron, który miał podpisać protokół, siedział całkowicie oszołomiony, sam z komisarzem policji. Kiedy radca stanu podpisał, komisarz objął go znad okularów bystrym spojrzeniem.

– Bardzo pan kocha tę kobietkę, panie baronie?

– Na moje nieszczęście, jak pan widzi...

– A jeżeli ona pana nie kocha? – ciągnął komisarz – jeżeli pana oszukuje?

– Dowiedziałem się już o tym tu, na tym samym miejscu... Rozmówiliśmy się z panem Crevel.

– A! Więc pan wie, że jesteś tu w mieszkanku pana mera?

– Najzupełniej.

Komisarz uchylił lekko kapelusza, składając ukłon.

– Jest pan bardzo zakochany, więc milczę – rzekł. – Szanuję zadawnioną namiętność, jak lekarze szanują zadawnione choroby... Widziałem pana de Nucingen, bankiera, dotkniętego tego rodzaju miłością...

– To mój przyjaciel – odparł baron. – Nieraz wieszczę u pięknej Estery; warta była dwóch milionów, które go kosztowała.

– Więcej – rzekł komisarz. – Ten kaprys starego giełdźiarza kosztował życie czworga osób. Och! Takie namiętności to jak cholera.

– Co mi pan miał do powiedzenia? – spytał radca stanu, który kwaśno przyjął tę pośrednią przestrożę.

– Po co pana pozbawiać ostatnich złudzeń? – odparł komisarz. – Tak rzadko zachowuje się je w tym wieku!

– Niech mnie pan od nich uwolni! – wykrzyknął radca stanu.

– Później człowiek przeklina lekarza – odparł komisarz z uśmiechem.

– Proszę pana, panie komisarzu...

– A więc ta kobieta była w zмовie z mężem!

– Och!...

– To się zdarza, proszę pana, dwa razy na dziesięć. O, my się znamy na tym.

– Jaki pan ma dowód tego wspólnictwa?

– Och, przede wszystkim mąż – rzekł bystry komisarz policji ze spokojem chirurga nawykłego rozdzierać rany. – Spekulacja wypisana jest na tej płaskiej i ohydnej twarzy. Ale czy nie musi panu bardzo zależeć na pewnym liście, pisanym przez tę kobietę, w którym jest mowa o dziecku?

– Tak bardzo mi na nim zależy, że noszę go zawsze przy sobie – odparł baron, sięgając do kieszeni po mały pugilaresik, z którym nie rozstawał się nigdy.

– Zostaw pan pugilares w spokoju – rzekł komisarz, piorunując barona stanowczością – oto list. Wiem teraz wszystko, co chciałem wiedzieć. Pani Marneffe musiała znać sekret tego pugilaresu.

– Ona jedna na świecie.

– Tak też myślałem. A teraz oto dowód współnictwa tej kobiety.

– Słucham! – rzekł baron, jeszcze nie dowierzający.

– Kiedyśmy tu przybyli, panie baronie – podjął komisarz – ten nikczemny Marneffe wszedł pierwszy i chwycił list, który żona jego z pewnością położyła na tym miejscu – rzekł, wskazując na biureczko. – Oczywiście to miejsce musiało być umówione między mężem a żoną, o ile oczywiście zdoła ona ściągnąć panu ten list w czasie pańskiego snu; list bowiem tej damy do pana jest wraz z listami, które pan do niej pisał, rozstrzygającym dokumentem wobec policji poprawczej.

Komisarz pokazał baronowi list, który baron otrzymał przez Reginę w swoim gabinecie w ministerium.

– List ten należy do aktów – rzekł komisarz – niech mi go pan odda, panie baronie.

– Widzę – rzekł Hulot, mieniąc się na twarzy – że ta kobieta to szczywana ulicznica, teraz jestem pewien, że ma trzech kochanków.

– To jasne – odparł komisarz policji. – Ba! Nie wszystkie ulicznice są na ulicy. Kiedy się uprawia to rzemiosło, panie baronie, w powozie, w salonie lub we własnym domu, rzecz nie idzie już o franki ani o centymy. Panna Ester, którą pan wspomniał i która się otruła, pochłonęła miliony... Wierz mi pan, panie baronie, daj pan za wygraną. Ta ostatnia partia drogo pana będzie kosztowała. Ten łajdak mąż ma za sobą prawo. Ba! Gdyby nie ja, ta szelmeczka znowu by pana złapała.

– Dziękuję, panie komisarzu – odparł radca stanu, który silił się zachować postawę pełną godności.

– Panie baronie, teraz zamkniemy lokal, komedia skończona, zechce pan oddać klucze panu merowi.

Hulot wrócił do domu wpółżywy, pogrążony w najczarniejszych myślach. Obudził swą szlachetną, świętą i czystą żonę, wypłakał na jej sercu historię tych trzech lat, szlochając jak dziecko, któremu odbierają zabawkę. Ta spowiedź starca młodego sercem, ta okropna i rozpaczliwa epopeja wzruszyła Adelinę, a zarazem przejęła ją głęboką radością. Podziękowała niebu za ten ostatni cios, widziała w nim bowiem trwały powrót męża na łono rodziny.

– Bietka miała słuszność! – rzekła pani Hulot łagodnie i bez próżnych wyrzutów. – Przepowiedziała nam to z góry.

– Tak! Och, gdybym jej był służył, zamiast wpadać w gniew, w dniu kiedy chciałem, aby biedna Hortensja pogodziła się z mężem dla chronienia opinii tej... Och! droga Adelino, trzeba ratować Wacława! Tkwi w tym błocie po same uszy!

– Biedaku mój, mieszcza nie lepiej ci się udała niż aktorki – rzekła Adelina z uśmiechem.

Baronowa przeraziła się zmianą, jaką ujrzała w swoim Hektorze. Kiedy go widziała nieszczęśliwym, cierpiącym, zgiętym pod brzemieniem zgryzot, była cała sercem, współczuciem, miłością, byłaby oddała krew, aby Hektor był szczęśliwy.

– Zostań z nami, drogi Hektorze. Powiedz mi, jak one to robią, te kobiety, aby cię tak przywiązać: spróbuję... Czemuś mnie nie ułożył wedle swoich gustów? Czym taka niepojętna? Podobno jestem jeszcze dość piękna, aby się można było do mnie zalecać.

Niejedna zamężna kobieta, przywiązana do swoich obowiązków i do swego męża, może tu zapytać, czemu ci mężczyźni, tak silni i tak dobrzy, tak pełni współczucia dla pań Marneffe, nie czynią swoich żon, zwłaszcza kiedy są podobne do baronowej Adeliny Hulot, przedmiotem swego kaprysu i swoich namiętności. Tkwi to w najgłębszych tajemnicach natury ludzkiej. Miłość, ta olbrzymia rozpusta ducha, ta męska i surowa rozkosz wielkich dusz i rozkosz, ta pospolitość sprzedawana na rynku, to są dwa różne oblicza tego samego faktu. Kobieta zdolna zaspokoić te dwa potężne pragnienia dwóch natur jest równie rzadka wśród swojej płci, jak wielki wódz, wielki pisarz, wielki artysta, wielki wynalazca rzadcy są w narodzie. Człowiek wybitny jak i głupiec, Hulot jak i Crevel, jednakowo odczuwają potrzebę ideału i rozkoszy; wszyscy szukają tej androgenicznej tajemnicy, tej rzadkości, która najczęściej okazuje się książką w dwóch tomach. Szukanie to jest rozpustą wynikłą z ustroju społecznego. To pewna, iż małżeństwo należy pojmować jako obowiązek; ono jest życiem wraz z jego mazołami, z jego trwałymi i obustronnymi poświęceniami. Rozpustnicy, ci poszukiwacze skarbów, są tak samo występni jak inni złoczyńcy, surowiej karani od nich. Refleksja ta nie jest czczym kaznodziejstwem; tłumaczy ona wiele niezrozumiałych nieszczęść. Opowiadanie to zawiera niewątpliwie morał, i to niejednego rodzaju.

Baron pośpieszył żywo do marszałka księcia de Wissemburg, którego wysokie poparcie było jego ostatnim ratunkiem. Będąc niejako pupilem starego wojaka od trzydziestu pięciu lat, miał doń wstęp o każdej porze, mógł wnikać do prywatnego mieszkania w chwili, gdy marszałek wstawał.

– Jak się masz, Hektorze! – rzekł ten wielki i zacny wódz. – Co tobie? Wydajesz się zatroskany. A przecież sesja już skończona. Jeszcze jedną mamy za sobą! Mówię o tym tak, jak niegdyś mawiało się o naszych kampaniach. Zdaje mi się, dalibóg, że dzienniki w ten sposób nazywają te sesje: kampanie parlamentarne.

– Mieliśmy trochę kłopotu, to prawda, marszałku: ot, mizeria naszych czasów! – rzekł Hulot. – Cóż księżę chce! Świat już jest taki. Każda epoka ma swoje utrapienia. Największe nieszczęście roku 1841 to to, że ani korona, ani minister nie mają tej swobody działania, jaką miał cesarz.

Marszałek objął Hulota orlim spojrzeniem, którego duma, jasność, przenikliwość świadczyły, że mimo lat ta wielka dusza została krzepka i silna.

– Chcesz czegoś ode mnie? – rzekł, przybierając jowialny wyraz twarzy.

– Jestem zmuszony prosić księcia, jako o osobistą łaskę, o posunięcie jednego z moich wicenaczelników na posadę naczelnika i promocję na oficera legii honorowej.

– Jakże się nazywa? – spytał marszałek, obrzucając barona spojrzeniem szybkim jak błyskawica.

– Marneffe!

– Ma ładną żonę, widziałem ją na weselu twojej córki... Gdyby Roger... ale nie ma go tutaj. Hektorze, mój chłopcze, tu chodzi o jakąś miłośćkę. Jak to! Jeszcze się w to bawisz? No, no! Zaszczyt przynosisz gwardii cesarskiej! Oto co znaczy służyć w intendenturze, masz rezerwy!... Daj temu pokój, drogi chłopcze, to sprawa zanadto romansowa, aby mogła stać się urzędową.

– Nie, marszałku, to głupia sprawa, trąci policję poprawczą; czy chciałby mnie książe tam ujrzeć?

– A, do diaska! – wykrzyknął marszałek zaszępiiony. – Mów dalej.

– Ano cóż, jestem w położeniu lisa chwyconego w potrzask. Byłeś książe zawsze dla mnie tak łaskaw, że raczysz mnie wydobyć z tego haniebnego kłopotu.

Hulot opowiedział jak mógł najweselej i najdowcipniej swoją przygodę.

– Czy chcesz, książe – rzekł kończąc – uśmiercić ze zgryzoty mego brata, którego tak kochasz, i wydać na hańbę jednego ze swych dyrektorów, radcę stanu? Ten Marneffe to nędzna figura, za jakie dwa, trzy lata pošlemy go na pensję.

– Jak ty to mówisz, mój drogi: dwa, trzy lata!... – zauważył marszałek.

– Ależ, książe, gwardia cesarska jest nieśmiertelna.

– Jestem obecnie jedynym marszałkiem z pierwszej promocji – rzekł minister. – Słuchaj, Hektorze. Nie wiesz, do jakiego stopnia jestem ci oddany: zobaczysz. W dniu, w którym ja opuszczę ministerium, opuścimy je razem. Niestety, nie jesteś posłem, mój chłopcze. Wielu czyha na twoje miejsce; beze mnie już by cię nie było. Tak, nieraz przyszło mi kruszyć kopie za ciebie... Zatem spełnię twoje obie prośby; zbyt ciężko by mi było, w twoim wieku i na twoim stanowisku, widzieć cię na ławie oskarżonych. Ale nadużywasz swojego kredytu! Jeżeli ta nominacja narobi hałasu, będą się nas czepiali. Ja sobie kpię z tego, ale dla ciebie to jeden cierń więcej pod stopami. Przy najbliższej sesji wylecisz. Miejscem po tobie miga się przed oczyma pięciu czy sześciu wpływowych osobistości; jeżeliś ocalał, to tylko dzięki subtelności mego rozumowania. Wykazałem, że w dniu, w którym pójdiesz na pensję, a miejsce twoje dostanie kto inny, będziemy mieli pięciu niezadowolonych, a jednego szczęśliwego, podczas gdy zostawiając cię jeszcze parę lat, będziemy mieli Wciąż naszych sześć głosów. Ministrowie zaczęli się śmiać i osądzili, że stara gwardia, jak mówią, zaczyna być wcale mocna w taktyce parlamentarnej... Mówię ci, jak jest, prosto z mostu. Zresztą, siwiejesz... Aleś ty szczęśliwy, żeś zdolny jeszcze mieć podobne kłopoty! Gdzie te czasy, kiedy to podporucznik Cottin miał kochanki!

Marszałek zadzwonił.

– Trzeba się postarać o zniszczenie tego protokołu – dorzucił.

– Marszałku drogi, jesteś dla mnie jak ojciec. Nie śmiałem ci mówić o moim niepokoju.

– Wciąż mi się zdaje, że Roger jest tutaj – wykrzyknął marszałek, widząc wchodzącego Mitouflet, woźnego biurowego – i chciałem po niego posłać. Idź sobie, Mitouflet. A ty, stary kamracie, idź, przygotuj tę nominację, podpiszę. Ale ten bezecny intrygant niedługo będzie się cieszył owocem swoich zbrodni, będzie się go miało na oku i za najmniejszym przekroczeniem fora ze dwora. Teraz, drogi Hektorze, kiedyś się wykaraskał z biedy, uważaj na siebie. Nie nadużywaj swoich przyjaciół. Dostaniesz nominację jeszcze dziś, twój obwieś zostanie oficerem!... Ile ty masz lat teraz?

– Siedemdziesiąt za trzy miesiące.

– Cóż za chwyt! – rzekł marszałek z uśmiechem. – To ty wart byłbyś orderu; ale, do kroćset bomb, nie jesteśmy już za Ludwika XV!

Taki jest wpływ koleżeństwa łączącego między sobą chlubne szczątki falangi napoleończyków; zawsze im się zdaje, że są na biwaku, obowiązani wspierać się wobec wszystkich i przeciw wszystkim.

„Jeszcze jedna taka łaska – powiedział sobie Hulot, mijając dziedziniec – a jestem zgubiony”.

Nieszczęśliwy dygnitarz udał się do barona de Nucingen, któremu był już winien tylko nieznaczną sumę; zdołał się zapożyczyć na czterdzieści tysięcy franków, oddając w zastaw na dalsze dwa lata swoją pensję. Ale bankier zażądał, aby w razie spensjonowania Hulota cała podlegająca zajęciu pensja była obrócona na spłacenie tej sumy, aż do umorzenia procentów i kapitału. Ten nowy interes, jak i poprzedni, załatwiono na nazwisko Vauvineta, któremu baron podpisał weksli na dwanaście tysięcy. Nazajutrz nieszczęsny protokół, skargę męża, listy, wszystko zniszczono. Skandaliczny awans i dekoracja imć pana Marneffe, ledwie zauważone wśród uroczystości lipcowych, nie znalazły echa w żadnym artykule dziennikarskim.

Elżbieta, na pozór poróżniona z panią Marneffe, zagospodarowała się u marszałka Hulot. W dziesięć dni po tych wypadkach ogłoszono pierwsze zapowiedzi starej panny z dostojnym starcem. Aby uzyskać zezwolenie marszałka, Adelina opowiedziała mu katastrofę finansową swego Hektora, prosząc, aby nigdy o tym nie wspominał baronowi, który (mówiła) jest pośepny, przygnębiony, złamany...

– Niestety, bardzo się posunął! – mówiła.

Elżbieta tryumfowała! Sięgała celu swojej ambicji, miała ziszczyć swoje plany, nasycić nienawiść. Napawała się z góry szczęściem panowania nad rodziną, która nią gardziła tak długo. Przyrzekała sobie być protektorką swoich protektorów; zbawczym aniołem, karmiącym z litości zrujnowaną rodzinę; nazywała samą siebie panią hrabiną albo panią marszałkową, kłaniając się przed lustrem. Adelina i Hortensja dokończą swoich dni w rozpacz, walcząc z nędzą, podczas gdy kuzynka Bietka, przyjmowana w Tuileriach, będzie królowała w świecie.

Okropne wydarzenie strąciło starą pannę z wyżyn społecznych, na których rozsiadała się już tak dumnie.

Tego samego dnia, w którym wyszły pierwsze zapowiedzi, baron otrzymał nową wiadomość z Afryki. Zjawił się drugi Alzacyjny, oddał list, upewniwszy się, że mówi z baronem Hulot, i odszedł, zostawiwszy adres swej kwatery. Pierwsze zdania listu raziły barona jak gromem:

Mój Siostrzeńcze, wedle mego obliczenia otrzymasz ten list dnia siódmego sierpnia. Przyjąwszy, że trzeba Ci będzie trzech dni na wystaranie się o pomoc, której wzywam, i że przesyłka Twoja będzie tu szła dwa tygodnie, dociągniemy do pierwszego września.

Jeżeli zdołasz skutecznie rzecz w tym terminie, ocalisz honor i życie Twego oddanego Johanna Fischera.

Oto czego żąda urzędnik, którego dałeś mi za współnika; sytuacja bowiem jest taka, że mogę być stawiony przed sąd przysięgłych lub nawet przed sąd wojenny. Domyślasz się, że nigdy Johann Fischer nie pozwoli, aby go wleczono przed jakiegokolwiek trybunały; pójdzie sam przed trybunał Boży.

Twój urzędnik wydaje mi się wielki hultaj, który łatwo może Cię skompromitować; ale spryt ma szalbierski. Utrzymuje, żeś powinien krzyczeć głośniej niż wszyscy i nasać nam inspektora, specjalnego komisarza mającego wykryć winnych, szukać nadużyć, słowem, wkroczyć z całą surowością; ale zarazem urzędnik ten wsunąłby się pomiędzy nas a trybunały, stwarzając komplikacje.

Jeżeli Twój komisarz przybędzie tutaj pierwszego września i będzie miał od Ciebie instrukcje; jeżeli prześlesz nam dwieście tysięcy franków, aby pokryć w magazynie niedobory produktów znajdujących się rzekomo w odległych miejscowościach, wówczas zdołamy się oczyścić z wszelkiego zarzutu.

Żołnierzowi, który Ci odda ten list, możesz dać czek na moje imię na któryś z banków w Algierze. Jest to człowiek pewny, nasz krewniak, niezdolny dochodzić treści przesyłki. Postarałem się o zabezpieczenie powrotu tego chłopca. Jeżeli nic nie zdołasz uczynić, umrę chętnie dla tego, któremu zawdzięczamy szczęście naszej Adeliny.

Wstrząśnienia i rozkosze namiętności, katastrofa, która zakończyła jego karierę miłosną, wszystko to nie dało baronowi myśleć o biednym Johannie Fischerze, mimo iż pierwszy list wyraźnie oznajmiał o niebezpieczeństwie, obecnie tak nagłym. Baron wyszedł z jadalni tak pomieszany, że w salonie osunął się na kanapę. Był unicestwiony, ogłuszony niby po gwałtownym upadku. Patrzył martwymi oczyma we wzór dywanu, nie uważając, iż trzyma w ręku nieszczęsny list Johanna. Adelina usłyszała w swoim pokoju, jak mąż wali się bezwładnie na kanapę. Był to łoskot tak szczególny, iż pomyślała, że to atak apoplektyczny. Spojrzała przez drzwi w lustro, nieruchoma, z oddechem wstrzymanym od lęku; ujrzała swego Hektora odrętwiałego, złamanego. Baronowa zbliżyła się na palcach, Hektor nie słyszał nic; podeszła do niego, spostrzegła list, wzięła go, przeczytała, drżąc na całym ciele. To, co przeszła, było to wstrząśnienie nerwowe tak gwałtowne, że ślad po nim zostaje na całe życie. W kilka dni potem uległa nieustannej drżączce; w pierwszej chwili bowiem konieczność działania dała jej energię, którą się czerpie jedynie w samym źródle siły żywotnej.

– Hektorze! Chodź do mego pokoju – rzekła ledwie słyszalnym głosem. – Niech córka nie widzi cię w tym stanie. Chodź, drogi mój, chodź.

– Skąd wziąć dwieście tysięcy franków? Mogę się postarać, aby wysłano Klaudiusza Vignon jako komisarza. Chłopiec sprytny, inteligentny... To sprawa dwóch dni... Ale dwieście tysięcy franków! Wiktor ich nie ma, dom jego obciążony jest ponad trzysta tysięcy. Brat ma najwyżej trzydzieści tysięcy franków oszczędności. Nucingen wyśmiałby mnie!... Vauvinet?... Z bardzo kwaśną miną dał mi dziesięć tysięcy franków dla uzupełnienia sumy złożonej dla syna tego łotra Marneffe! Nie, wszystko przepadło, trzeba mi iść rzucić się do stóp marszałka, wyznać mu cały stan rzeczy, usłyszeć w żywe oczy, że jestem kanalią, słowem, znieść wszystko, aby przyzwolicie iść na dno.

– Ależ Hektorze, to już nie ruina, to hańba! – rzekła Adelina.

– Biedny wuj zabije się. Zabij nas, do tego masz prawo, ale nie bądź mordercą. Odwagi, siły; jest jeszcze jakiś ratunek.

– Żadnego! – rzekł baron. – Nikt w całym rządzie nie zdoła wykrzesać dwustu tysięcy franków, choćby nawet chodziło o ocalenie ministerium. O Napoleonie, gdzieżeś ty!

– Wuj Johann! Biedny człowiek! Hektorze, nie można pozwolić, aby on się zabijał zhańbiony!

– Byłby jeden ratunek – rzekł – ale... to bardzo wątpliwe... Tak, Crevel jest w fatalnych stosunkach z córką... O, ten ma pieniądze, on jeden mógłby...

– Słuchaj, Hektorze, lepiej, aby zginęła twoja żona, niż żeby pozwoliła zginąć naszemu wujowi, twemu bratu i honorowi rodziny! – rzekła baronowa uderzona snopem światła. – Tak, mogę was ocalić wszystkich... O mój Boże! Cóż za niegodna myśl! Jak mogła powstać we mnie?

Złożyła ręce, osunęła się na kolana i pomodliła się. Skoro się podniosła, ujrzała na twarzy męża wyraz tak szalonej radości, że szatańska myśl wróciła, po czym Adelina popadła w smutek graniczący z oglupieniem.

– Idź, Hektorze, biegnij do ministerium – wykrzyknęła, budząc się z martwoty – staraj się wysłać komisarza, koniecznie. Omotaj marszałka! A za powrotem, o piątej, znajdziesz może... tak! Znajdziesz dwieście tysięcy franków. Twoja rodzina, twój honor mężczyzny, radcy stanu, urzędnika, twoja uczciwość, twój syn, wszystko będzie ocalone; ale twoja Adelina będzie zgubiona, nie ujrzysz jej już nigdy. Hektorze, mój jedyny – rzekła klękając, ujmując jego rękę i całując ją – pobłogosław mnie, pożegnaj!

Było to tak rozdzierające, że obejmując żonę, podnosząc ją i ściskając, Hulot rzekł:

– Nie rozumiem cię!

– Gdybyś rozumiał – odparła – umarłabym ze wstydu lub też nie miałabym siły spełnić tego ostatniego poświęcenia.

– Podano do stołu – oznajmiła Maryśka.

Hortensja przysłała powiedzieć dzień dobry rodzicom. Trzeba było się do śniadania i oblec twarz w kłamstwo.

– Jedzcie beze mnie, ja zaraz przyjdę.

Usiadła przy stoliku i napisała następujący list:

Drogi Panie Crevel, mam Pana prosić o pewną przysługę. Oczekuję Pana dziś rano, a znając Pańską uprzejmość, liczę, że mi Pan nie kaze czekać zbyt długo. Powolna służa

Adelina Hulot

– Ludwiko – rzekła do pokojówki – daj ten list odźwiernemu, powiedz, aby natychmiast zaniósł według adresu i prosił o odpowiedź.

Baron, który przeglądał gazetę, podał żonie dziennik republikański i pokazując artykuł rzekł:

– Czy będzie jeszcze czas? Oto artykuł, jedna z tych morderczych wzmianek, którymi dzienniki przygotowują swoje paszety polityczne:

Jeden z naszych korespondentów donosi nam z Algieru, iż w urządzie żywnościowym prowincji Oran ujawniły się znaczne nadużycia, tak dalece iż wszczęto dochodzenia sądowe. Oszustwo jest widoczne, winni są znani. Jeżeli prawo nie wkroczy z całą surowością, będziemy nadal traciłi więcej ludzi przez grabież przeznaczoną dla nich żywności niż od miecza Arabów i palącego klimatu. Oczekujemy dalszych wiadomości, nim powrócimy do tego smutnego przedmiotu. Nie dziwny się już, że taki lęk budzi stworzenie w Algierze prasy w duchu konstytucji z roku 1830.

– Ubieram się i spieszę do ministerium – rzekł baron, wstając od stołu – czas jest zbyt drogi, każda minuta stanowi o życiu człowieka.

– Och, mamu, nie mam już nadziei! – rzekła Hortensja.

I nie mogąc wstrzymać łez, podała matce „Przegląd Sztuk Pięknych”. Pani Hulot ujrzała rycinę „Dalili” hrabiego Steinbock, pod którą było wydrukowane: „Własność pani Marneffe”. Od pierwszego wiersza artykułu, podpisany literą V, zdradzał talent i uprzejmość Klaudiusza Vignon.

– Biedne dziecko! – rzekła baronowa.

Przerażona obojętnym niemal akcentem matki, Hortensja spojrzała na nią, odgadła wyraz bólu, wobec którego jej własny ból musiał zblednąć, i podeszła, aby uściskać matkę; mówiąc:

– Co tobie, mammo? Co się dzieje? Czy możemy być jeszcze nieszczęśliwsze niż dotąd?

– Moje dziecko, w porównaniu z tym, co cierpię dziś, mam uczucie, że minione cierpienia są niczym. Kiedyż przestanę cierpieć?

– W niebie, mammo! – rzekła poważnie Hortensja.

– Chodź, mój aniele, pomożesz mi się ubrać... Ale nie... Nie chcę, abyś mi pomagała do tej toalety. Przyślij mi Ludwikę.

Przeszedłszy do sypialni, Adelina stanęła przed lustrem. Przyjrzała się sobie smutnie i ciekawie, pytając sama siebie:

– Czy jestem jeszcze piękna?... Czy można mnie jeszcze pragnąć?... Czy mam zmarszczki?

Odgarnęła piękne włosy blond i odsłoniła skronie... Wszystko tam było świeże jak u młodej dziewczyny. Adelina posunęła się dalej, odkryła ramiona i doznała uczucia zadowolenia, odruchu dumy. Piękność ładnych ramion najdłużej trwa u kobiety, szczególnie jeżeli życie jej było czyste. Adelina starannie wybrała szczegóły toalety; ale czysta i pobożna kobieta pozostała odziana skromnie, mimo drobnych wymysłów zalotności. Na co się zdały nowiutkie popielate pończochy, nowe płytkie ałasowe trzewiczki, skoro obcą jej była zupełnie sztuka wysuwania w stanowczym momencie ładnej nóżki, tak aby odrobinę wychylała się spod sukni, uniesionej nieco, by otworzyć horyzonty pragnieniu! Włożyła wprawdzie najładniejszą suknię muślinową w kwiaty, wyciętą i z krótkimi rękawkami; ale przerażona tą nagością nakryła piękne ramiona rękawami z przezroczystej gazy, osłoniła pierś i szyję haftowaną chusteczką. Uczesanie jej *à l'anglaise* zdało się jej zbyt wymowne, przygasiła więc jego zalotność ładnym czepeczkiem; ale z czepeczkiem czy bez, czyżby umiała igrać swymi złotymi puklami, aby je wystawić na pokaz, aby się popisać toczonymi rączkami?... Oto co jej zastąpiło róż: przeświadczenie o zbrodni, przygotowania do rozmyślnego upadku przyprawiły tę świętą kobietę o gwałtowną gorączkę, która wróciła jej na chwilę blask młodości. Oczy jej błyszczały, cera stała się olśniewającą. Zamiast przybrać minkę pełną pokusy, dojrzała w sobie

wyraz bezwstydu, który ją przejął grozą. Na prośbę Adeliny Bietka opowiedziała jej szczegóły przewiny Wacława, przy czym baronowa dowiedziała się ze zdumieniem, że w ciągu jednego wieczoru, w jednej chwili, pani Marneffe zawładnęła oczarowanym artystą.

– Jak one to robią, te kobiety? – spytała baronowa Bietki.

Nic nie da się porównać z ciekawością cnotliwych kobiet w tej mierze: chciałyby posiąść pokusy występku, a zostać czyste.

– Czarują, to ich rzemiosło – odparła Bietka. – Widzisz, moja droga, Waleria wyglądała tego wieczoru tak, że mogłaby zgubić anioła.

– Opowiedz mi, jak się do tego zabrała?

– W tym rzemiośle nie ma teorii, jest tylko praktyka – rzekła szyderczo Bietka.

Przypominając sobie tę rozmowę, baronowa byłaby się chciała poradzić Bietki; ale nie było czasu. Biedna Adelina, niezdolna wymyślić jakiejś muszki, zatknąć sobie pączka róży za gors, wynaleźć sztuczki toaletowej przeznaczonej na to, aby budzić w mężczyznach drzemiące pragnienia, była tylko starannie ubrana. Nie każdej dane jest być kurtyzaną! „Kobieta jest zupą mężczyzny”, powiedział ucieszenie Molier ustami roztropnego Kacperka. Porównanie to wskazuje, że istnieje w miłości rodzaj sztuki kulinarnej. Kobieta cnotliwa i godna jest tedy homerycką ucztą, kawałem mięsa rzuconym na rozżarzone węgle. Kurtyzana, przeciwnie, jest dziełem biegłego kuchmistrza, z jego zaprawami, korzeniami i subtelnościami. Baronowa nie mogła, nie umiała podać swojej białej piersi wzorem pani Marneffe, na wspaniałym półmisku z koronek. Nie знаła tajemnicy pewnych póz, działania niektórych spojrzeń. Słowem – nie miała swojej sekretnej finty fehmistrzowskiej. Zaczyna kobieta mogłaby się sto razy obrócić, nie umiałaby nic ofiarować wytrawnemu oku rozpustnika. Być dla świata kobietą uczciwą i skromnią, a zrobić się kurtyzaną dla męża – to znaczy być kobietą genialną, a takich jest mało. W tym leży tajemnica stałych przywiązań, niewytłumaczonych dla kobiet wyzutych z tej podwójnej i wspaniałej zdolności. Wyobraźcie sobie panią Marneffe cnotliwą... a będziecie mieli margrabinę Pescara! Te wielkie i dostojne kobiety, te piękne Diany de Poitiers cnotliwe można policzyć na

palcach.

Scena, którą rozpoczęło się to poważne i straszliwe studium obyczajów paryskich, miała się tedy powtórzyć, z tą znamieną różnicą, że skutkiem nieszczęść przepowiedzianych przez kapitana straży obywatelskiej odmieńczyły się role. Pani Hulot oczekiwała dziś Crevela w zamiarach, które sprawiły trzy lata temu, iż przybył do niej uśmiechając się do przechodniów z wysokości swego milorda. I – rzecz osobliwa! – baronowa była wierna sobie samej i swojej miłości, gotując się do najgrubszej zdrady, której w oczach sędziów nie usprawiedliwia nawet poryw namiętności.

„Co począc, aby stać się panią Marneffe?” – powiadała sobie, słysząc dzwonek.

Zdławiła łzy, gorączka ożywiła jej rysy; biedna, szlachetna istota przyrzekła sobie być prawdziwą kurtyzaną!

„Czego, u diabła, może chcieć ta pocziwa pani Hulot – powiadał sobie Crevel, idąc po schodach. – A ba! Idzie pewnie o mój zatarg z Celestyną i Wiktorem; ale nie ustąpię”.

Wchodząc do salonu, dokąd wprowadziła go Ludwika, powiadał sobie, widząc ogołocenie lokalu (styl Crevela):

„Biedna kobieta! Jest tu jak piękny obraz, wyniesiony na strych przez człowieka nieznającego się na malarstwie”.

Crevel, który widział, że hrabia Popinot, minister handlu, kupuje obrazy i rzeźby, silił się zasłynąć wśród mecenasów paryskich, których miłość sztuki polega na tym, że chcą dostać obrazy wartości dwudziestu franków za dwadzieścia su. Adelina uśmiechnęła się wdzięcznie do Crevela, wskazując mu krzesło naprzeciw siebie.

– Jestem, piękna pani, na rozkazy – rzekł Crevel.

Pan mer, zostawszy mężem politycznym, ubierał się czarno. Twarz jego wychylała się z tego stroju niby księżyc w pełni nad oponą ciemnych chmur. Koszula jego, lśniąca trzema wielkimi perłami, każda po pięćset franków, dawała wysokie pojęcie o szerokości jego... torsu; jakóż powiadał: „Znać we mnie przyszłego atletę trybuny!”. Grube plebejuszowskie ręce tkwiły od rana w żółtych rękawiczkach. Lakierowane buciki świadczyły, że przywiozła go tu jednokonna wykwinna karetka. Od trzech lat ambicja przeobraziła pozę Crevela. Przeszedł on, jak wielcy malarze, do drugiej manieri. W wielkim świecie, kiedy szedł do księcia de Wissemburg, do prefektury, do hrabiego Popinot etc., trzymał kapelusz w ręce swobodnym ruchem, którego nauczyła go Waleria, wielki palec zaś drugiej ręki wsuwał zalotnym gestem za kamizelkę, mizdrząc się oczyma i głową. Ten drugi sposób stawania w pozycji zawdzięczał figlarce Walerii, która, pod pozorem odmłodzenia swego mera; obdarzyła go jedną śmiesznością więcej.

– Prosiłam, aby mnie pan odwiedził, mój dobry, kochany panie Crevel – rzekła baronowa drżącym głosem – z powodu sprawy najwyższej wagi...

– Domyślam się, pani – rzekł Crevel z dyplomatyczną miną – ale żąda pani niepodobieństwa... Och! Ja nie jestem ojcem tyranem, człowiekiem, wedle wyrażenia Napoleona, zakutym od stóp do głów jak w pancerz w swoje skapstwo. Posłuchaj mnie, piękna pani. Gdyby moje dzieci rujnowały się dla siebie, przyszedłbym im z pomocą; ale ręczyć za pani męża?... To znaczy chcieć napełnić beczkę Danaid! Dom obciążony na trzysta tysięcy franków dla niepoprawnego ojca! Nie mają już nic nędzarze! I nie użyli życia! Będą mieli teraz to, co zarobi Wiktor w trybunale. Niechże pyskuje sobie pani synalek... Ha ha! Miał być ministrem ten nasz doktor! Ta nasza wspólna nadzieja!

Ładna kariera, wpakować się tak głupio! Bo gdyby pożyczał po to, aby się pchać w górę, gdyby robił długi, aby karmić posłów, zyskiwać ich głosy i pomnażać swój wpływ, powiedziałbym mu: „Masz moją sakiewkę, czerp, mój chłopcze!”. Ale płacić szaleństwa papy, szaleństwa, które pani przepowiedziałem! Och! Ojciec pogrzebał jego karierę... To ja zostanę ministrem...

– Niestety, drogi panie Celestynie, nie chodzi tu o nasze dzieci, te biedne złote istoty! Jeżeli pańskie serce zamknie się dla Wiktora i Celestyny, będę ich tak kochała, że może zdołam złagodzić gorycz, jaką wnosi gniew pański w ich piękne dusze. Karze pan swoje dzieci za dobry uczynek.

– Tak, dobry uczynek źle popełniony! To prawie zbrodnia! – rzekł Crevel, bardzo rad z tego aforyzmu.

– Czynić dobrze, drogi panie Celestynie, to nie znaczy czerpać pieniądze z pełnego worka! To znaczy opłacać wyrzeczeniami swoją szlachetność, cierpieć za swą dobroć! Być przygotowanym na niewdzięczność! Niebo nie zna miłosierdzia, które nie kosztuje nic...

– Wolno jest, zacna pani, iść świętym do przytułku; wiedzą, że to jest dla nich brama do nieba. Ja jestem człowiek z tego świata, boję się Boga, ale jeszcze bardziej boję się piekła nędzy. Być bez grosza to w naszym obecnym porządku społecznym ostatni szczebel nieszczęścia. Ja jestem człowiek mojego czasu: szanuję pieniądź!...

– Ma pan słuszność – rzekła Adelina – z punktu widzenia świata.

Była o sto mil od tej kwestii; myślała o stryju, a myśl ta była dla niej niby rozpalony ruszt św. Wawrzyńca: widziała go, jak sobie odbiera życie strzałem z pistoletu! Spuściła oczy, po czym podniosła je na Crevela; ale był w nich wyraz anielskiej słodyczy, nie zaś tej wyzywającej lubieżności, tak sprytnie wyzierającej z oczu Walerii. Trzy lata wprzódy byłaby oczarowała Crevela tym niebiańskim spojrzeniem.

– Znałam pana – rzekła – bardziej wspaniałomyślnym...
Mówił pan o trzystu tysiącach franków jak wielki pan...

Crevel popatrzył na panią Hulot, wydała mu się niby przekwitająca lilia, obudziło się w nim to i owo; ale tak czcił świętą istotę, że zagnał te podejrzenia w rozpustny zakątek swego serca.

– Pani, jestem zawsze taki sam, ale były kupiec jest i musi być wielkim panem metodycznie, oszczędnie; we wszystko wnosi swoje poczucie ładu. Otwiera człowiek konto swoim wybrykom, daje im kredyt, poświęca na ten cel niektóre dochody; ale naruszać kapitał!... To byłoby szaleństwo. Moje dzieci otrzymają całe swoje mienie po matce i po mnie; ale nie chcą chyba, aby ojciec się nudził, żył jak mnich, zmienił się w mumię!... Żyję wesoło! Wesoło płynę z prądem. Wypełniam wszystkie obowiązki, jakie mi nakłada prawo, serce i rodzina, tak samo jak spłacałem punktualnie w terminie swoje weksle. Niech moje dzieci wywiązują się z obowiązków tak jak ja, a będę zadowolony; na teraz zaś, byle moje szaleństwa (bo robię szaleństwa!) nie kosztowały nikogo prócz frajerów... (przepraszam, pani nie zna wyrażeń giełdowych), nie będą mi potrzebowały nic wyrzucać i znajdą po mojej śmierci jeszcze ładną fortunę. Pani dzieci nie będą mogły powiedzieć tego o swoim ojcu, który hula, łajdaczy się, rujnując własnego syna i moją córkę...

Im dalej, tym bardziej baronowa odsuwała się od swego celu.

– Ma pan żal do mego męża, drogi panie Celestynie, a byłbyś wszakże najlepszym jego przyjacielem, gdyby jego żona była ci uległa...

Strzeliła na Crevela płomiennym spojrzeniem. Ale zrobiła tak jak Dubois, gdy zanadto kopał nogą regenta²⁴, za dobrze się zamaskowała; rozpustne myśli obieżyły Crevela. Pomyślał:

„Chciałaby się zemścić na Hulocie? Czyżbym jej lepiej przypadł do smaku jako mer niż jako gwardzista narodowy?... Kobiety bywają tak dziwne!”.

I stanął w pozycji (druga maniera), spoglądając na baronową z miną lowelasa.

– Można by myśleć – ciągnęła – że pan się mścisz na nim za cnotę, która ci się oparła, za kobietę, którą kochałeś na tyle... aby... chcieć ją kupić – dodała szeptem.

– Za kobietę anielską – dodał Crevel, uśmiechając się znacząco do baronowej, której spuszczone oczy zalśniły się łzami – bo też nałykała się pani, od trzech lat... nieprawdaż, ślicznotko?

24 Znana anegdota z XVIII wieku: Regent, udając się na maskaradę w towarzystwie wiernego Dubois, kazał mu obchodzić się z sobą poufale, aby tym lepiej zachować incognito; kiedy jednak Dubois raz po raz kopał go nogą w siedzenie, Regent obrócił się i rzekł: „Daj pokój, za dobrze mnie maskujesz...” (przyp. tłum.).

– Nie mówmy o moich cierpieniach, drogi panie Celestynie; są one ponad siły ludzkie. Och! Gdybyś mnie pan kochał jeszcze, mógłbyś mnie wydobyć z otchłani, w której się znajduję! Tak, jestem w piekle! Królobójcy, szarpani kleszczami, rozdzierani końmi, spoczywali na różach w porównaniu ze mną, bo im ćwiartowano jedynie ciało, a mnie rozszarpują serce czterema końmi!...

Crevel wyjął rękę zza kamizelki, położył kapelusz na stoliczku, wyszedł z pozycji, uśmiechał się. Uśmiech ten był tak głupi, że baronowa omyliła się, wzięła go za wyraz dobroci.

– Widzisz pan przed sobą kobietę nie w rozpacz, ale w agonii honoru, gotową na wszystko, drogi przyjacielu, aby zapobiec zbrodni...

Bojąc się, aby Hortensja nie weszła, zasunęła rygiel, następnie błyskawicznym ruchem przypadła do nóg Crevela, wzięła go za rękę i ucałowała ją.

– Bądź moim zbawcą! – rzekła.

Pomyślała, iż w tym kramarskim sercu mogą być jakieś szlachetne struny, i nagle błysła jej nadzieja, że zdoła uzyskać dwieście tysięcy franków, nie hańbiąc się.

– Kup duszę, ty, który chciałeś kupić cnotę!... – ciągnęła, patrząc nań obląkanymi oczyma. – Zaufaj mojej uczciwości kobiecej, memu honorowi, mojej rzetelności, którą znasz! Bądź moim przyjacielem! Ocal całą rodzinę od ruiny, od wstydu, od rozpaczy, nie daj jej stoczyć się w kałużę, w której błoto pomiesza się z krwią! Och! Nie żądaj wyjaśnień!... – rzekła, widząc, że chce przemówić. – Nie mów mi zwłaszcza: „Przepowiedziałem!”, jak mówią ludzie szczęśliwi o nieszczęściu przyjaciół. Och!... Wysłuchaj tę, którą kochałeś, kobietę, która schylając się do twoich stóp, daje może najwyższy dowód szlachetności; nie żądaj od niej nic, spodziewaj się wszystkiego od jej wdzięczności!... Nie, nie dawaj nic; ale pożycz mi, pożycz tej, którą nazywałeś Adelina!...

Tu łzy puściły się jej z oczu tak obficie, Adelina zaczęła tak szlochać, że przemoczyła rękawiczki Crevela. Te słowa: „Trzeba mi dwustu tysięcy franków!...”, zaledwie dały się słyszeć w potoku łez, tak jak największych nawet kamieni nie znać w siklawie alpejskiej wezbranej topniejącym śniegiem.

Takie jest niedoświadczenie cnoty! Występek – jak to widzieliśmy u pani Marneffe – nie żąda nigdy niczego, umie sprawić, aby mu wszystko ofiarowano. Tego rodzaju kobiety stają się wymagające dopiero wówczas, gdy umiały się stać nieodzowne lub też kiedy chodzi o wyeksploatowanie mężczyzny, tak jak się eksploatuje kopalnie, gdzie kruszec staje się skąpy na wymarcu, jak mówią górnicy. Słyszając te słowa: „Dwukroć sto tysięcy franków!”, Crevel zrozumiał wszystko. Podniósł dwornie baronową z lekceważącym: „No, no, uspokój się, kotku”, czego w swoim wzruszeniu Adelina nie usłyszała. Scena zmieniła fizjonomię; Crevel stawał się, wedle swego wyrażenia, panem placu.

Ogrom sumy tak silnie podziałał na Crevela, że żywe wzruszenie, jakiego doznał, widząc tę piękną kobietę we łzach u swoich stóp, rozwiało się. Przy tym choćby kobieta była najbardziej anielską i świętą, kiedy zacznie płakać rzewnymi łzami, piękność jej znika. Panie Marneffe, jak to widzieliśmy, popłakują czasem, pozwolą łzie spłynąć po policzkach; ale zalewać się łzami, pozwolić, aby nos i policzki miały sczerwieniec!... Tego błędu nie popełnią nigdy.

– No, moje dziecko, spokoju, do kroćset! – podjął Crevel, ujmując dłonie pięknej pani Hulot i przyklepując je. – Dlaczego pani żąda dwustu tysięcy franków? Na co one pani? Dla kogo?

– Niech pan nie wymaga – odparła – żadnego wyjaśnienia, daj mi je!... Ocalisz życie trzem osobom, a honor swoim dzieciom.

– I ty myślisz, kobiecino – rzekł Crevel – że znajdziesz w Paryżu człowieka, co na pierwsze słowo kobiety na w pół przytomnej dobędzie *hic et nunc* z szuflady, skądkolwiek dwieście tysięcy franków, które tam drzemią spokojnie, czekając, aż ona raczy je zgarnąć? Tak sobie, moja ślicznotko, wyobrażasz życie, interesy?... Twój pupile są bardzo chorzy, poślij im pani sakramenty, bo nikt w Paryżu, wyjąwszy Jego Boskiej Wysokości Banku Francuskiego, dostojnego Nucingena lub obłąkanych sknerów zakochanych w złocie, jak my bywamy zakochani w kobiecie, nie zdoła spełnić podobnego cudu. Nawet kancelaria Listy Cywilnej – a to wielkie słowo! – poprosiłaby panią, abyś się pofatygowała jutro. Każdy lokuje swoje pieniądze i obraca nimi, jak umie. Łudzisz się, drogi aniele, jeżeli myślisz, że to Ludwik Filip panuje: on sam nie ma co do tego złudzeń! On wie, jak my wszyscy, że ponad Konstytucją jest święta, czcigodna, pewna, miła, wdzięczna, piękna, szlachetna, młoda, wszechpotężna pięciofrankówka! Otóż, mój piękny aniele, pieniądz wymaga procentów i wciąż jest zajęty ściąganiem ich! „Boże Izraela, zwyciężasz!” – powiedział wielki Racine. Słowem, wiekuista przypowieść o złotym cielcu!... Za czasów Mojżesza spekulowano na pustyni! Wróciliśmy do epok biblijnych! Złoty cielec był pierwszą rentą państwową – ciągnął. – Zanadto pleśniejesz przy ulicy Plument, moja Adelinko! Egipcjanie pożyczycyli Żydom ogromne sumy i nie

za ludem Bożym gonili, ale za kapitałami.

Spojrzał na baronową z miną, która mówiła: „Rozumek mam, he?”.

– Nie zna pani tkliwości obywatela dla swojej kabzy! – ciągnął po pauzie. – Przepraszam. Słuchaj mnie pani dobrze! Staraj się zrozumieć. Chcesz dwustu tysięcy franków?... Nikt nie może ich dać, nie poruszając lokaty. Policz pani!... Aby uzyskać dwieście tysięcy franków żywego grosza, trzeba sprzedać około siedmiu tysięcy franków trzyprocentowej renty. W takim razie dostajesz pani swoje pieniądze dopiero za dwa dni. Oto najkrótsza droga. Aby kogoś skłonić do wyzbycia się majątku (bo dla wielu ludzi dwieście tysięcy franków to cały majątek!), trzeba wreszcie powiedzieć, gdzie to wszystko idzie, na jaki cel...

– Chodzi, mój drogi, złoty panie Crevel, o życie dwóch ludzi, z których jeden umrze ze zgryzoty, a drugi się zabije! Wreszcie chodzi o mnie, która oszaleję! Czyż już teraz nie jestem szalona?

– Nie taka szalona! – rzekł, biorąc panią Hulot za kolano.
– Stary Crevel widać jest coś wart, skoro raczyłaś pomyśleć o nim, mój aniele.

„Widać trzeba pozwolić brać się za kolano!” – pomyślała szlachetna i święta kobieta, kryjąc twarz w dłoniach.

– Ofiarował mi pan niegdyś majątek! – rzekła, rumieniąc się.

– Ba, moja matuleńko, trzy lata temu!... – odparł Crevel.

– Och! Jesteś piękniejsza niż kiedykolwiek!... – wykrzyknął, chwytając ramię baronowej i przyciskając je do serca. – Dobrą masz pamięć, drogie dziecko, do kroćset!... No i widzisz, jak źle zrobiłaś, bawiąc się wówczas w niewiniątko, gdyż te trzysta tysięcy franków, które wtedy dumnie odtrąciłaś, są w pończoszce u innej. Kochałem panią i jeszcze cię kocham; ale cofnijmy się o trzy lata wstecz. Kiedy pani mówiłem: „Będę cię miał!”, jakaż była moja intencja? Chciałem się zemścić na tym nicponiu Hulocie. Otóż twój mąż, ślicznotko, wziął sobie za kochankę istny skarb kobietkę, perłę, filutkę mającą wówczas dwadzieścia trzy lata, bo dziś ma dwadzieścia sześć. Uważałem, że to będzie bardziej uciężne, bardziej stylowe, bardziej Louis XV, Richelieu, bardziej szelmowskie, zdmuchnąć mu tę uroczą istotkę, która zresztą nigdy nie kochała Hulota i która od trzech lat szaleje za pani sługą...

To mówiąc Crevel, z którego rąk baronowa uwolniła dłonie, wrócił do pozycji. Założył wielkie palce za kamizelkę i bił się po piersiach dłońmi niby parą skrzydeł, w przekonaniu, że jest powabny i uroczy. Zdawał się mówić: „Oto człowiek, któremu pokazałaś drzwi!”.

– Oto, moje drogie dziecko, zemściłem się, pani mąż dowiedział się o tym! Wykazałem mu niezbitcie, że go wystrychnął na dudka... Jak się to mówi, urządziłem go... Pani Marneffe jest moją kochanką, a skoro imć Marneffe wyciągnie kopytko, będzie moją żoną.

Pani Hulot patrzyła na Crevela martwym, prawie obłąkanym wzrokiem.

– Hektor wiedział o tym! – rzekła.

– I wrócił do niej! – odparł Crevel. – I ja to zniosłem, bo Waleria chciała mieć męża naczelnikiem biura; ale przysięgła mi ułożyć rzeczy w ten sposób i tak oporządzić naszego barona, aby się już nie pokazał! I moja księżniczka (bo to jest urodzona księżniczka, ta kobieta, słowo honoru!) dotrzymała słowa. Zwróciła pani Hektora, jak sama dowcipnie powiada, cnotliwym na wieki wieków!... Lekcja była dobra, ani słowa! Baronek dostał swoją porcję; nie będzie już utrzymywał ani tancerek, ani kobiet z towarzystwa; wyleczony jest radykalnie, spłukany do szczętu... Gdybyś pani była słuchała Crevela zamiast go upokarzać, zamiast go wyrzucać za drzwi, byłabyś miała czterysta tysięcy franków, bo tyle mnie kosztuje moja zemsta. Ale spodziewam się, że ze śmiercią Marneffe'a wrócę do swoich pieniędzy... Ulokowałem je w mojej przyszłej. To sekret mej hojności. Rozwiązałem problem, jak być wielkim panem tanim kosztem.

– Dałbyś pan swojej córce podobną macochę?... – wykrzyknęła pani Hulot.

– Nie znasz pani Walerii – odparł poważnie Crevel, stając w pozycji, tej z „pierwszej” manieri. – To jest zarazem kobieta dobrze urodzona, dobrze wychowana i ciesząca się najlepszą reputacją. Nie dalej niż wczoraj wikary parafii był u niej na obiedzie. Ofiarowaliśmy – bo Waleria jest pobożna – wspaniałą monstrancję do kościoła. Och! Ona jest zręczna, ona jest sprytna, jest rozkoszna, wykształcona! Ma wszystko! Co do mnie, droga Adelino, wszystko zawdzięczam tej uroczej kobiecie; okrzesała mnie, wysubtelniła (jak pani widzi) mój język; hamuje mój temperament, poddaje mi słowa, myśli. Nie zdarza mi się już wyrwać z jakim głupstwem. Widać we mnie wielką zmianę, musiała pani to zauważyć. Wreszcie, ona rozbudziła moją ambicję. Gdybym został posłem, nie obawiałbym się wspanki, bo radziłbym się mojej egerii we wszystkim. Wszyscy wielcy politycy – na przykład Numa, nasz obecny znakomity minister – wszyscy mieli swoje Sybille. U Walerii bywa ze dwudziestu posłów, robi się bardzo wpływowa, a obecnie, kiedy zamieszka w ślicznym pałacyku, z własnym powozem, będzie jedną z tajemnych potęg Paryża. To nie lada lokomotywa, podobna kobieta! Och! Często dziękowałem pani w duchu za twą srogość!...

– Trzeba by zwątpić o sprawiedliwości Bożej – rzekła Adelina, której lzy obeschły pod wpływem oburzenia. – Ale nic, moc Boża wisi nad tą głową!...

– Nie zna pani świata, piękna pani – odparł wielki polityk Crevel, głęboko urażony. – Świat, moja Adelino, lubi powodzenie! No, proszę, czy przychodzi ubiegać się o twoją szczytną cnotę, której taksa jest dwieście tysięcy franków?

To słowo wstrząsnęło panią Hulot, znów chwyciło ją drzenie nerwowe. Zrozumiała, że zbogacony kramarz mści się niegodziwie na niej, jak się zemścił na Hulocie; wstręt wezbrał w jej sercu, tak że przez ściśnięte gardło nie zdołała wyrzec ani słowa.

– Pieniądze!... Wciąż pieniądze! – rzekła wreszcie.

– Wzruszyła mnie pani bardzo – podjął Crevel, któremu słowa te przypomniały poniżenie tej istoty – kiedy cię widziałem płaczącą u moich stóp!... Doprawdy, nie uwierzyłaby pani może, ale gdybym miał przy sobie te pieniądze, dałbym ci je. Doprawdy, trzeba pani tej sumy?

Słyszając to zdanie, brzemienne dwustoma tysiącami franków, Adelina zapomniała ohydnych zniewag tego wielkiego pana tanim kosztem. Znęciła ją nadzieja powodzenia, tak podstępnie wysunięta przez Crevela, który chciał jedynie przejrzeć tajemnice Adeliny, aby się z nich śmiać z Walerią.

– Och, zrobię wszystko! – wykrzyknęła nieszczęśliwa kobieta. – Sprzedam się... stanę się, jeżeli trzeba, Walerią...

– To pani niełatwo przyjdzie – odparł Crevel. – Waleria to jest cud w swoim rodzaju. Moja paniusiu, dwadzieścia pięć lat cnoty to zawsze wyłazi jak źle leczona choroba. A twoja cnota mocno tu zapleśniała, moje dziecko. Ale zobaczysz, jak bardzo cię kocham. Zrobię, że będziesz miała swoich dwieście tysięcy franków.

Adelina chwyciła rękę Crevela, położyła ją sobie na sercu, nie mogąc wyrzec słowa; łza radości zwilżyła jej powieki.

– Och, czekaj pani! To jeszcze niezłałatwione! Ja jestem sobie dobry chłopiec, umiejący żyć, bez przesądów, wyłożę pani tedy wszystko po dobremu. Chcesz pani robić jak Waleria, ślicznie. Ale to nie wystarcza, trzeba frajera, fundatora, słowem – Hulota. Znam pewnego grubasa, ekskupca, który zrobił majątek, sprzedając (co tu owijać w bawełnę) pończochy. Ciężkie to, tępe, bez horyzontów; edukuję go, ale nie wiem, kiedy będę mieć z niego pociechę. Niebożę jest posłem, człowiek próżny i głupi; żyjąc het na prowincji pod pantoflem swojej magnifiki, uchował się w zupełnej nieświadomości paryskiego zbytku i rozkoszy. Ale Beauvisage (nazywa się Beauvisage) jest milionerem i dałby – jak ja, moja mała, trzy lata temu – sto tysięcy talarów za miłość kobiety z towarzystwa... Tak – dodał w przeświadczeniu, że dobrze zrozumiał gest, jaki uczyniła Adelina – zazdrosny jest o mnie, widzisz, kochanie!... Tak, zazdrosny o moje szczęście z panią Marneffe. Ten zuch byłby gotów sprzedać jaki folwarczek, byleby stać się posiadaczem kobiety...

– Dosyć, panie Crevel! – rzekła pani Hulot, nie kryjąc już swego wstrętu i ukazując twarz splonioną wstydem. – Jestem już ukarana ponad miarę mego grzechu. Sumienie moje, tak potężnie dławione żelazną ręką konieczności, krzyczy mi po tej ostatniej zniewadze, że takie poświęcenia są nad siły. Nie mam już dumy, nie oburzam się jak niegdyś, nie powiem panu: „Wyjdz pan!”, otrzymawszy ten śmiertelny cios. Straciłam do tego prawo: ofiarowałam się panu jak ulicznica... Tak – odparła, odpowiadając na przeczący gest Crevela – zbrukałam swoje życie, czyste aż dotąd, plugawą intencją i... nic mnie nie usprawiedliwia, wiedziałam o tym... Zasługuję na wszystkie zniewagi, które pan na mnie walisz! Niech się spełni wola Boga. Jeżeli chce śmierci dwóch istot godnych iść do Niego, niech umrą, będę je opłakiwała, będę się modliła za nie! Jeżeli chce upokorzenia naszej rodziny, schylmy się przed jego karzącym mieczem i ucałujmy go jak chrześcijanie! Wiem, jak odpokutować tę chwilę hańby, która będzie udręką reszty moich dni... To już nie pani Hulot mówi do pana, ale biedna, nędzna grzesznica, chrześcijanka, której serce będzie miało odtąd jedno tylko uczucie: uczucie żalu, i która cała się odda modlitwie i miłosierdziu. Grzech mój jest taki, że mogę być tylko ostatnią z kobiet, a pierwszą z pokutnic. Pan byłś narzędziem mego powrotu do opamiętania, do głosu Boga, który obecnie mówi we mnie: dziękuję panu!...

Chwyciło ją owo drzenie, które od tej chwili nie opuściło jej już. Głos jej, pełen słodczy, odbijał od gorączkowych słów kobiety gotowej na hańbę dla ocalenia rodziny. Krew uciekła jej z policzków, zbieła, oczy jej obeschły.

– Grałam zresztą źle swoją rolę, nieprawdaż? – ciągnęła, spoglądając na Crevela ze słodczą, jaką musieli mieć męczennicy, patrząc na prokonsula. – Prawdziwa, święta i oddana miłość kobiety zawiera inne rozkosze niż te, które nabywa się na targu prostytucji!... Po co zresztą te słowa? – rzekła, opamiętując się i postępując krok dalej na drodze doskonałości. – Trąć ironią, a nie ma jej we mnie! Daruj mi pan. Zresztą może chciałam nimi zranić tylko siebie...

Majestat cnoty, jej niebiański blask zmiotły chwilowe ponizenie tej kobiety, która promieniejąca właściwą sobie pięknnością urosła w oczach Crevela. Adelina była w tej chwili szczytna jak owe wsparte na krzyżu postacie z obrazów religijnych, malowane przez starych weneccjan; ale wyrażała całą wielkość swojej niedoli i niedoli Kościoła katolickiego, na którego łono się schroniła lotem zranionej gołębiczy. Crevel był olśniony, oszołomiony.

– Pani, jestem na pani usługi bez żadnych warunków! – rzekł w przystępie wspaniałomyślności. – Rozpatrzmy sprawę i... Czego pani sobie życzy?... No! Niepodobieństwa?... Zrobię je. Zastawię papiery w banku i za dwie godziny będzie pani miała pieniądze...

– Mój Boże, cóż za cud! – rzekła biedna Adelina, padając na kolana.

Odmówiła modlitwę z namaszczeniem, które tak głęboko wzruszyło Crevela, że kiedy pani Hulot, skończywszy modlitwę, wstała, ujrzała łzy w jego oczach.

– Bądź pan moim przyjacielem!... – rzekła. – Dusza twoja jest lepsza niż postęпки i słowa. Bóg ci dał duszę, a pojęcia i namiętności wzięłeś od świata! Och! Będę pana bardzo kochała! – wykrzyknęła z anielskim żarem, którego wymowa stanowiła osobliwą sprzeczność z jej nieudolną poprzednią zalotnością.

– Niech pani tak nie drży – rzekł Crevel.

– Czyja drzę? – spytała baronowa: nie zauważyła tej ułomności, która ją nawiedziła tak nagle.

– Tak, tak, niech pani patrzy – rzekł Crevel, biorąc Adelinę za rękę i pokazując jej nerwowe drzenie. – Proszę, niech się pani uspokoi – dodał z szacunkiem – jadę do banku...

– Niech pan wraca prędko! Pomyśl, mój przyjacielu – rzekła, wydając swoją tajemnicę – chodzi o to, aby zapobiec samobójstwu stryja Fischera, skompromitowanego przez mego męża. Ufam panu teraz, mówię panu wszystko! Och, jeżeli nie zdążymy na czas, ja znam marszałka i jego delikatną duszę, umarłby w kilka dni.

– Jadę zatem – rzekł Crevel, całując baronową w rękę. – Ale cóż on zrobił, ten biedny Hulot?

– Okradł Skarb!

– Och, mój Boże!... Biegnę, pani. Rozumiem panią i podziwiam.

Crevel przykląkł, ucałował suknię pani Hulot i znikł mówiąc:

– Za kilka chwil!

Nieszczęściem, śpiesząc z ulicy Plumet do siebie po papiery wartościowe, Crevel przejeżdżał ulicą Vanneau i nie mógł się oprzeć pokusie odwiedzenia swojej księżniczki. Przybył tam jeszcze wzburzony. Wszedł do pokoju Walerii, którą zastał przy czesaniu. Przyjrzała się Crevelowi w lustrze i jak wszystkie kobiety tego typu, nic nie wiedząc jeszcze, już się czuła dotknięta jego silnym wzruszeniem, którego nie ona była przyczyną.

– Co tobie, kochanie? – spytała. – Czy tak się wchodzi do swojej małej księżniczki? Choćbym nawet nie była księżniczką dla ciebie, to i tak byłabym zawsze twoim kociakiem, ty niegodziwcze!

Crevel odpowiedział smętnym uśmiechem i wskazał Reginę.

– Reniu, moje dziecko, dosyć na dzisiaj, doczeszę się sama. Podaj mi kimono chińskie, bo mój pan ma dzisiaj minę skończonego Chińczyka...

Regina, dziewczyna z twarzą podziurawioną jak sito i jakby umyślnie stworzona dla Walerii, wymieniła uśmiech ze swą panią i przyniosła szlafroczek. Waleria zdjęła peniuar, została w koszuli i wsunęła się w szlafroczek jak wąż w kępę trawy.

– Pani nie ma w domu dla nikogo?

– Także pytanie! – rzekła Waleria. – No dalej, mów, moje kocisko, co się stało? Akcje lewego brzegu spadły?

– Nie.

– Podbito cenę pałacyku?

– Nie.

– Nie wierzysz, że jesteś ojcem małego Crevela?

– Cóż za głupstwo! – odparł jak człowiek pewny, że jest kochany.

– Daję słowo, już nic nie wiem! – rzekła pani Marneffe. – Kiedy mam wyciągać z przyjaciela jego zgryzoty, jak się wyciąga korek z butelki szampana, daję za wygraną. Idź sobie, nudzisz mnie.

– To nic – odparł Crevel. – Trzeba mi dwustu tysięcy franków do dwóch godzin.

– Ech, znajdziesz je! Ot, nie zużyłam jeszcze pięćdziesięciu tysięcy franków złupionych z Hulota, a o drugie pięćdziesiąt tysięcy mogę poprosić Henryka!

– Henryk! Wciąż Henryk!.... – wykrzyknął Crevel.

– Czy myślisz, ty poroniony Makiawelu, że ja odprawię Henryka? Czy Francja rozbraja swoją flotę?... Henryk, ależ to sztylet wiszący w pochwie na kołku. Ten chłopiec – rzekła – służy mi na to, abym wiedziała, czy mnie kochasz... A nie kochasz mnie dziś.

– Nie kocham cię, Walerio! – rzekł Crevel. – Kocham cię jak milion!

– To nie dosyć!... – odparła, skacząc na kolana Crevela i okalając mu ramionami szyję, jakby to był wieszak, na którym chciałyby się zaczepić. – Ja chcę być kochana jak dziesięć milionów, jak wszystko złoto świata i jeszcze więcej. Nigdy Henryk nie wytrzymałby pięciu minut, aby mi nie powiedzieć, co ma na sercu. No, co tobie, grubasie złoty? Rozpakuj no manatki... Powiedzcie wszystko swemu kociakowi, a prędko!

I musnęła włosami twarz Crevela, targając go za nos.

– Czy można mieć taki nos – dodała – i mieć sekrety dla swojej Wawa-lulu-nini!...

Przy Wawa nos szedł na prawo; lulu – na lewo; nini – wracał na swoje miejsce.

– A więc, widziałem...

Crevel urwał, spojrzawszy na panią Marneffe.

– Walerio, mój klejnocie, przyrzekasz mi na honor... wiesz, ten nasz, że nie powtórzysz ani słowa z tego, co ci powiem...

– Wiadomo, panie merze! Podnosi się rękę, o!... I nogę! Uczyniła taki gest, że, jak mówi Rabelais, wyzuła Crevela z mózgu aż po pięty, taka była zabawna, tak urocza nagością przeświecającą przez mgły batysty.

– Widziałem przed chwilą cnotę w rozpaczy!...

– To rozpacz miewa cnotę? – rzekła, kiwając głową i krzyżując po napoleońsku ręce.

– To biedna pani Hulot: trzeba jej dwustu tysięcy franków! Inaczej marszałek i stary Fischer palną sobie w łeb, że zaś ty jesteś po trosze przyczyną tego wszystkiego, moja mała księżniczko, chcę naprawić zło. Och, to święta kobieta, znam ją, odda mi co do grosza.

Na te słowa: Hulot, dwieście tysięcy franków, w oczach Walerii między jej długimi rzęsami mignęło coś niby błysk armatni wśród dymu.

– Cóż ona zrobiła, aby cię tak rozczulić, ta stara? Pokazała ci, co? Swoją... religię!...

– Nie drwij sobie z niej, moje serce, to bardzo święta, szlachetna i pobożna kobieta, godna szacunku!...

– Zatem ja nie jestem godna szacunku? – rzekła Waleria, spoglądając złowrogo na Crevela.

– Tego nie powiedziałem – odparł Crevel, pojmując, do jakiego stopnia pochwała cnoty musi ranić panią Marneffe.

– Ja także jestem pobożna – rzekła Waleria, przesiadając się na fotel – ale ja nie robię rzemiosła z mojej pobożności, ja się kryję z tym, gdy idę do kościoła.

Umilkła i nie zwracała już uwagi na Crevela. Crevel, bardzo zaniepokojony, stanął przed fotelem, w którym zanurzyła się Waleria, i ujrzał ją zatopioną w myślach, które tak niezdarnie obudził.

– Walerio, aniołeczku mój!...

Głębokie milczenie. Otarła ukradkiem dość wåtpliwą łzę.

– Jedno słowo, kotuśku...

– Czego pan sobie życzy?

– O czym myślisz, kochanie?

– Och, panie Crevel, myślę o dniu mojej pierwszej komunii! Jakaż ja byłam piękna! Jaka czysta! Jaka święta!... Niepokalana!... Och, gdyby ktoś był powiedział mojej matce: „Pani córka będzie ladacnicą, zdradzi swego męża. Pewnego dnia komisarz policji zdybie ją w kawalerskim mieszkaniu; sprzeda się Crevelowi, aby zdradzić Hulota, dwóch ohydnych starców...”. Pfuj!... Pf!... Byłaby umarła, nie wysłuchawszy do końca zdania, tak mnie kochała biedna kobieta...

– Uspokój się...

– Ty nie wiesz, jak bardzo trzeba kochać mężczyznę, aby nakazać milczenie tym wyrzutom, które nękają serce wiarołomnej żony. Żałuję, że Regina poszła; powiedziałaaby ci, że dziś rano zastała mnie ze łzami w oczach, przy modlitwie. Ja, widzi pan, panie Crevel, ja sobie nie drwię z religii. Czy słyszał pan kiedy, abym powiedziała jedno złe słowo w tym przedmiocie?...

Crevel zaprzeczył gestem.

– Nie pozwalam o tym mówić w mojej obecności... Żartuję z wszystkiego, co się komu podoba: z królów, polityki, finansów, z wszystkiego, co jest święte dla świata, z sędziów, małżeństwa, miłości, dziewic, starców... Ale Kościół... ale Bóg!... Och, tutaj koniec żartów! Wiem, że robię źle, że dla ciebie poświęcam moją przyszłość... A ty nawet nie domyślasz się rozmiarów mojej miłości!

Crevel złożył ręce.

– Och! Trzeba by wniknąć w moje serce, zmierzyć rozciągłość moich zasad, aby zrozumieć wszystko, co ja panu poświęcam!... Czuję w sobie materiał na Magdalenę. Toteż widzisz, ile szacunku mam dla księży. Porachuj dary, jakie robię kościołom! Matka wychowała mnie w wierze katolickiej, ja rozumiem Boga! Do nas, zgubionych istot, przemawia on najstraszniej.

Waleria otarła łzy, które spłynęły jej po twarzy. Crevel przestraszył się; pani Marneffe wstała zgorączkowana.

– Uspokój się, kotuśku mój! Przerażasz mnie!

Pani Marneffe padła na kolana.

– Mój Boże! Ja nie jestem zła! – rzekła składając ręce. – Racz przygarnąć swoją zbłąkaną owieczkę, ugodź ją, skarż ją, wydrzyj z rąk, które ją czynią cudzołożną i występłą, a utuli się radośnie na twoim ramieniu! Szczęśliwa wróci do twojej owczarni!

Wstała, spojrzała na Crevela, który zląkł się jej wywróconych białek.

– A przy tym, czy ty wiesz? – ciągnęła. – Ja się chwilami boję... Sprawiedliwość Boża objawia się niekiedy zarówno na tym świecie, jak na tamtym. Czego ja się mogę spodziewać dobrego od Boga? Zemsta jego spada na winnych na różne sposoby; przybiera wszelkie postacie nieszczęścia. Wszystkie nieszczęścia, których głupcy nie umieją sobie wytłumaczyć, są ekspiacją. Oto co mi powiadała matka na łożu śmierci, mówiąc o swej starości. A gdybym ciebie miała stracić! – dodała, obejmując Crevela dzikim uściskiem – Och! Nie przeżyłabym tego!

Pani Marneffe puściła Crevela, uklękła znowu przed fotelem, złożyła ręce (w jakże uroczej pozie!) i zmówiła z nieopisanym namaszczeniem następującą modlitwę:

– A ty, święta Walerio, dobra patronko moja, czemu nie nawiedzasz częściej wezgłowia tej, którą ci powierzono? Och! Przybądź dziś wieczór, tak jak przybyłaś dziś rano, natchnąć mnie dobrymi myślami, a opuszczę złą drogę; wyrzeknę się, jak Magdalena, złudnych rozkoszy, kłamliwego blasku świata, wyrzeknę się nawet tego, którego tak kocham!

– Kotuśko moja! – rzekł Crevel.

– Nie ma już kotuśki, panie Crevel!

Odrzuciła się z dumą cnotliwej kobiety i z oczyma mokrymi od łez ukazała się godna, zimna, obojętna.

– Zostaw mnie – rzekła, odpychając Crevela. – Co jest moim obowiązkiem?... Należę do męża. Ten człowiek jest umierający, a ja co robię? Oszukuję go nad grobem! On wierzy, że twój syn jest jego dzieckiem... Powiem mu prawdę, zacznę od tego, że uzyskam jego przebaczenie, zanim wyproszę przebaczenie Boga. Rozstańmy się!... Żegnaj pana, panie Crevel!... – rzekła, podając Crevelowi lodowato rękę. – Żegnaj, mój przyjacielu, nie zobaczymy się już, aż tam, w lepszym świecie. Zawdzięczasz mi niejedną rozkosz, bardzo występłą; ale teraz chcę... tak, i muszę zdobyć pański szacunek.

Crevel płakał rzewnymi łzami.

– Ty grubasie! – wykrzyknęła, parskając piekielnym śmiechem. – Oto jak nabożnisie biorą się do rzeczy, aby kogoś naciągnąć na dwieście tysięcy franków! I ty, który bredzisz o marszałku Richelieu, prawzorze Lowelasa, dajesz się brać na ten kawał, jak mówi Steinbock! Wydarłabym z ciebie, gdybym chciała, niejedne dwieście tysięcy, ty stary głuptasie!... Trzymajże twoje pieniądze! Jeżeli ich masz za dużo, to za dużo jest moje. Jeżeli dasz dwa szelągi tej czcigodnej kobiecie, która robi nabożną, bo ma pięćdziesiąt siedem lat, nie zobaczymy się nigdy; weź sobie ją; wrócisz do mnie nazajutrz posiniaczony jej kanciastymi pieszczotami, opity jej łzami, jej krochmalonymi czepeczkami i jej bekami, które muszą z jej karesów czynić istną ulewę!...

– To fakt – rzekł Crevel – że dwieście tysięcy franków to pieniądz...

– Dobry mają apetyt te święte paniusie!... Bagatela! Sprzedają swoje kazania drożej, niż my sprzedajemy to, co jest najrzadszego i najsolidniejszego na świecie, rozkosz! I plotą niestworzone bajdy! Nie... Och, ja je znam, widywałam ich dość u mojej matki. Myślą, że wszystko im wolno dla Kościoła, dla... Wiesz, że tyś powinien się wstydzić, mój kocie! Ty, tak nieskory do dawania... bo razem wzięwszy, nie dałeś mi dwustu tysięcy franków!

– Och, owszem – odparł Crevel – sam pałacyk będzie kosztował tyle.

– Masz zatem czterysta tysięcy franków – rzekła wpółzamyślona.

– Nie.

– A więc, łaskawy panie, chciałeś pan pożyczyć tej starej wiedźmie dwieście tysięcy franków przeznaczone na mój pałacyk? To już jest zbrodnia obrazy kotuśki!...

– Ależ słuchaj!

– Gdybyś dał te pieniądze na jakiś głupi wynalazek filantropijny, uznano by cię za człowieka z przyszłością – rzekła, ożywiając się – i ja pierwsza bym ci to doradzała... Jesteś za tępy, aby spłodzić jaką grubą książkę polityczną, która daje człowiekowi reputację; nie władasz piórem tak, aby pitrasić broszury; mógłbyś tedy zrobić, jak robią inni w twoim położeniu, ozłocić blask twego imienia, stając na czele jakiejś rzeczy socjalnej, moralnej, racjonalnej albo piramidalnej. Zdmuchnięto ci dobroczynność, to już nie w modzie... Biedni recydywiści, którym zapewniono lepszy los niż uczciwym biedakom, to już zużyte. Ja bym chciała, abyś wymyślił, za dwieście tysięcy franków, coś trudniejszego, coś naprawdę użytecznego. Mówiono by o tobie jak o dobroczyńcy ludzkości, jak o drugim Montyonie, a ja byłabym z ciebie dumna! Ale rzucać dwieście tysięcy franków w kropielnicę, pożyczać je dewotce opuszczonej przez męża dla jakiegoś powodu – ba, zawsze jest jakiś powód: czy mnie ktoś porzuca? – to głupstwo, które w naszej epoce może się wylęgnąć jedynie w głowie eks-olejkarza! To cuchnie ładą sklepową. Nie śmiałyś w dwa dni potem spojrzeć na siebie w lustrze! Idź, złóż te pieniądze w kasie amortyzacyjnej, biegnij, bo nie wpuszczę cię do domu bez kwitu na tę sumę. Leć prędko, a żywo!

Wypchnęła Crevela za drzwi widząc, że sknerstwo zakwitło z powrotem na jego twarzy. Skoro drzwi się zamknęły, rzekła:

– Oto Bietka arcywomszczona!... Cóż za szkoda, że tkwi u tego starego marszałka, tożbyśmy się uśmieły! Ho ho, ta stara chce mi odjąć chleb!... Ja jej pokażę!

Zmuszony zajmować mieszkanie zgodne ze swą wysoką godnością wojskową, marszałek Hulot osiadł we wspaniałym pałacu przy ulicy Montparnasse, gdzie jest kilka domów prawdziwie książęcych. Mimo iż wynajął cały pałac, zajmował jedynie parter. Kiedy Bietka objęła rządy, chciała natychmiast podnająć pierwsze piętro, które, mówiła, opłaciłoby całe komorne, tak iż hrabia mieszkałby prawie darmo; ale stary żołnierz sprzeciwił się. Od kilku miesięcy marszałka trawiły smutne myśli. Odgadywał niedostatek bratowej, podejrzewał jej niedole, nie znając przyczyny. Starzec ów, wprzód tak wesół mimo swej głuchoty, stał się ponury; przeczuwał, że któregoś dnia dom jego stanie się schronieniem dla baronowej Hulot i jej córki, i trzymał dla nich to pierwsze piętro. Ubóstwo hrabiego Forzheim było tak znane, że minister wojny, książę de Wissemburg, wymógł na starym koledze, aby przyjął zwrot kosztów urzędzenia. Hulot obrócił tę sumę na umeblowanie parteru, który urządził bardzo przyzwoicie; nie chciał bowiem, jak mówił, nosić buławy marszałkowskiej piechotą. Ponieważ za czasu Cesarstwa pałac ten należał do pewnego senatora, salony na parterze były ozdobione bardzo bogato, białe ze złotem, z boazeriami, i wybornie zachowane. Marszałek zappełnił je starymi meblami w tym samym stylu. W wozowni trzymał powóz, na którego drzwiczkach były wymalowane dwie laski na krzyż, i wynajmował konie, kiedy wybierał się *in fiocchi*, do ministerium, na zamek, na

jakąś uroczystość lub przyjęcie. Ponieważ usługiwał mu od trzydziestu lat stary sześćdziesięcioletni żołnierz, którego siostra była znów za kucharkę, marszałek mógł oszczędzić jakiś dziesiątek tysięcy franków, które dołączał do kapitałiku przeznaczonego dla Hortensji. Codziennie starzec udawał się piechotą bulwami z ulicy Montparnasse na ulicę Plumet; na jego widok każdy inwalida stawał na baczność salutując, marszałek zaś dziękował wiarusowi uśmiechem.

– Któż jest ten stary, któremu tak robicie front? – spytał jednego dnia młody robotnik starego kapitana od Inwalidów.

– Powiem ci, smarkaczu – odparł oficer.

Smarkacz przybrał pozycję człowieka, który z rezygnacją gotuje się wysłuchać gaduły.

– W roku 1809 – rzekł inwalida – broniliśmy skrzydła Wielkiej Armii, która pod dowództwem cesarza szła na Wiedeń. Przybywamy do mostu bronionego potrójną baterią armat, ustawionych na skale: trzy reduty jedna nad drugą wycelowane na most. Byliśmy pod komendą marszałka Masseny. Ten, którego widzisz, był wówczas pułkownikiem grenadierów gwardii, ja byłem pod nim... Nasze kolumny były na jednym brzegu rzeki, reduty na drugim. Trzy razy atakowano most i trzy razy wrócono z kwitkiem. „Sprowadzić mi tu Hulota! – rzekł marszałek – jedynie on i jego ludzie potrafią przełknąć ten kąsek”. Przybywamy. Ostatni generał, który się cofał spod mostu, zatrzymuje Hulota pod ogniem i zagradzając nam drogę, tłumaczy mu, jak się zabrać do rzeczy. „Nie trzeba mi rad, ale miejsca, aby przejść” – rzekł spokojnie pułkownik, przebywając most na czele swojej kolumny. Potem, trrrach! Trzydzieści armat wali prosto w nas...

– A, do kroćset diabłów! – wykrzyknął robotnik. – Musiało tam naprzetrzącać kulaków!

– Gdybyś go był słyszał, jak ja, wymawiającego spokojnie te słowa, kłaniałbyś się temu człowiekowi aż do ziemi! To nie takie głośne jak most Arcole, ale może jeszcze piękniejsze. I przybyliśmy z Hulotem biegiem pod baterię. Cześć tym, którzy tam padli! – rzekł oficer, zdejmując kapelusz. – Kajzerlicy²⁵ zgłupieli. Toteż cesarz mianował hrabią starowinę, którego tu widzisz; uczcił nas wszystkich w osobie naszego wodza, a ci nowi dobrze zrobili, że go zrobili marszałkiem.

– Niech żyje marszałek! – krzyknął robotnik.

– Och, możesz sobie krzyczeć, ile chcesz! Marszałek ogłuchł, za wiele słyszał armat.

Anegdota ta może dać miarę szacunku, jaki inwalidzi żywili dla generała Hulot, któremu jego nieugięte przekonania republikańskie jednały sympatię całej dzielnicy.

25 Kajzerlicy (z niem.) – cesarscy, czyli Austriacy.

Zgryzota trawiąca tę duszę, tak spokojną, czystą, szlachetną, miała coś głęboko smutnego. Baronowa mogła jedynie kłamać i z całą zręcznością kobiety kryć przed szwagrem okropną prawdę. W czasie tego nieszczęsnego poranka marszałek, który, jak wszyscy starzy ludzie, mało sypiał, wy dobył z Bietki prawdę o położeniu brata, przyrzekając jej małżeństwo za cenę niedyskrecji. Każdy zrozumie, z jaką przyjemnością stara panna dała sobie wydzierać zwierzenia, które, ledwie wszedłszy w ten dom, chciała uczynić swemu przyszłemu; w ten sposób bowiem umacniała widoki swego zamęścia.

– Pański brat jest nieuleczalny! – krzyknęła Bietka w zdrowe ucho marszałka.

Silny i jasny głos lotaryńskiej wieśniaczki pozwalał jej rozmawiać ze starcem. Zdzierła sobie płuca, tak bardzo chciała dowieść swemu przyszłemu, że z nią nigdy nie będzie głuchy.

– Trzy kochanki – powiadał starzec – mając taką Adelinę!... Biedna Adelina!

– Jeżeli pan zechce usłuchać mojej rady – krzyczała Elżbieta – użyje pan swego wpływu na księcia de Wissemburg, aby uzyskać dla Adeliny jakie przyzwoite miejsce; będzie go potrzebowała, bo pensja barona zastawiona jest na trzy lata.

– Pójdę do ministerium – odpowiedział – zobaczyć się z marszałkiem, wy badać, co on myśli o moim bracie, i poprosić o energiczne poparcie dla siostry. Znajdźcie jakieś miejsce godne jej!

– Panie paryskie założyły w porozumieniu z arcybiskupem Towarzystwo Dobroczynności; potrzebują inspektorek z przyzwoitą pensją, które by sprawdzały istotną nędzę. Tego rodzaju funkcje odpowiadałyby drogiej Adelinie, to byłoby coś wedle jej serca.

– Poślij po konie – odparł marszałek – zaraz się ubiorę. Pojadę, jeśli trzeba, do Neuilly!

„Jak on ją kocha! Będę ją tedy spotykała zawsze i wszędzie!” – rzekła sobie w duchu Lotarynka.

Elżbieta królowała już w domu, ale z dala od oczu marszałka. Wzbudziła lęk w trojgu służących. Przyjęła pokojówkę i rozwijała iście staropanieńską energię, każąc sobie zdawać sprawę ze wszystkiego, wglądając we wszystko i troszcząc się w każdej rzeczy o dobro drogiego marszałka. Bietka, zawzięta republikanka tak samo jak jej przyszy, podobała mu się przez swoje demokratyczne instynkty; przymilała mu się zresztą z zadziwiającą zrzecznością. Od dwóch tygodni marszałek, lepiej karmiony, otaczany opieką istotnie macierzyńską, zaczął w końcu widzieć w Elżbiecie ucieleśnienie swoich marzeń.

– Marszałku drogi! – krzyczała, wyprowadzając go na ganek.

– Podnieś szyby, nie wystawiaj się na przeciąg, zrób to dla mnie!...

Marszałek, stary kawaler, którego nikt nigdy nie pieścił, uśmiechnął się z powozu do Elżbiety, chociaż miał serce ściśnięte.

W tej samej chwili baron Hulot wychodził z biura i udawał się do gabinetu marszałka księcia de Wissemburg, który go wezwał do siebie. Mimo że nie było nic nadzwyczajnego w tym, że minister wzywa jednego z dyrektorów departamentu, Hulot miał tak nieczyste sumienie, iż dopatrzył się czegoś złowrogiego, zimnego w twarzy woźnego Mitouflet.

– Jak się ma książę, Mitouflet? – spytał, zamykając swój gabinet i doganiając woźnego, który ruszył przodem.

– Musi mieć coś do pana, panie baronie – odparł woźny – bo głos, mina, oko zapowiadają burzę...

Hulot zbladł i umilkł. Przebył przedpokój, salony i przybył z bijącym sercem na próg gabinetu. Marszałek, wówczas siedemdziesięcioletni, zupełnie siwy, z twarzą ciemną, jak bywa u starców w tym wieku, zwracał uwagę czołem tak szerokim, iż wyobraźnia mogła w nim dojrzeć całe pola bitwy. Pod tą szarą kopułą przyprószoną śniegiem błyszcząły przyćmione wydatnymi łukami brwi, oczy błękitne jak u Napoleona, zazwyczaj smutne, pełne gorzkich myśli i żalów. Ten współzawodnik Bernadotte'a miał niegdyś nadzieję spocząć na tronie. Ale oczy te zmieniały się w dwie straszliwe błyskawice, skoro rozświetliło je silne uczucie. Głos, zazwyczaj głuchy, rozbrzmiewał wówczas ostrym trzaskiem. W gniewie księżę stawał się znowu żołnierzem, mówił językiem podporucznika Cottin, nie liczył się z niczym. Hulot d'Ervy ujrzał tego starego lwa, z rozwianą grzywą, stojącego koło kominka, ze ściągniętymi brwiami, z grzbietem opartym o gzyms, z oczyma roztargnionymi na pozór.

– Jestem na rozkazy, księżę! – rzekł Hulot swobodnie i z wdziękiem.

Nie mówiąc słowa, marszałek patrzył bystro na dyrektora przez cały czas, kiedy ten szedł od drzwi aż ku niemu. Ten wzrok, ciężki jak ołów, był niby spojrzenie Boga, Hulot nie zniósł go, zmieszany spuścił oczy.

„Wie wszystko” – pomyślał.

– Czy sumienie nic ci nie mówi? – spytał marszałek głuchym i poważnym głosem.

– Mówi mi, mój książe, iż prawdopodobnie zbłądziłem, czyniąc bez twojej wiedzy rekwizycje w Algierze. W moim wieku i przy moich narowach jestem po czterdziestu pięciu latach służby zupełnie biedny. Znasz, książe, zasady czterystu wybrańców Francji. Ci panowie zazdroszczą każdego stanowiska; dość powiedzieć, że okroili pensje ministrów!... Niechże kto zażąda od nich pieniędzy dla wysłużonego starca!... Czego się spodziewać po ludziach, którzy tak nędznie płacą urzędnikom? Którzy dają półtora franka dziennie robotnikom portowym w Tulonie, kiedy materialnym niepodobieństwem jest wyżyć tam z rodziną za mniej niż dwa franki? Którzy nie zastanawiają się, że to jest okrucieństwo dawać urzędnikowi w Paryżu sześćset, tysiąc i tysiąc dwieście franków, a chcą dla siebie zagarnąć nasze posady, o ile przynoszą czterdzieści tysięcy?... Którzy wreszcie odmawiają koronie dóbr koronnych skonfiskowanych w roku 1830, i to nabytych z prywatnej szkatuły Ludwika XVI! I kiedy ich proszono o to dla monarchy w potrzebie!... Gdybyś, książe, nie miał majątku, zostawiono by cię z czystym sumieniem, jak mego brata, o samej pensyjce, nie pamiętając, żeś ocalił, wraz ze mną, Wielką Armię w bagnach Polski.

– Okradłeś skarb! – rzekł marszałek. – Doprowadziłeś do tego, że pójdziesz pod sąd jak ów kasjer ze skarbu! I pan to bierzesz tak lekko?...

– Cóż za różnica, ekscelencjo! – wykrzyknął baron. – Czyż ja sięgnąłem do powierzonej mi kasy?

– Kiedy ktoś popełnia taką nikczemność – rzekł marszałek – dwakroć winny jest, w pańskim położeniu, jeżeli robi to niezręcznie. Skompromitowałeś pan haniebnie naszą administrację, która aż dotąd była najczystsza w Europie!... I to dla dwustu tysięcy franków i dla łajdaczki!... – krzyknął marszałek straszliwym głosem. – Jesteś pan radcą stanu, a prosty żołnierz, który sprzeda sprzęty pułkowe, karany jest śmiercią. Oto co mi raz opowiadał pułkownik Pourin z drugiego pułku lansjerów. W Saverne jeden z jego ludzi zakochał się w dziewczynie alzackiej, której się zachciało szala; szelma dokonała tego, że biedny lansjer, który właśnie miał zostać wachmistrzem po dwudziestu latach nieskazitelnej służby, ozdoba pułku, sprzedał pułkowe rzeczy, aby kupić ten szal. Czy wiesz pan, panie baronie d'Ervy, co zrobił ten lansjer? Potłukł na miazgę szybę i zjadł ją, po czym, w jedenaście godzin, umarł w szpitalu... Postaraj się pan umrzeć na jaką apopleksję, abyśmy ci mogli ocalić honor...

Baron spojrział błędnymi oczyma na starego wojaka; marszałek zaś, widząc ten wzrok znamionujący tchórza, zaczerwienił się, oko mu zabłyśło.

– Czyżbyś mnie, książę, opuścił?... – wyjąkał Hulot. W tej chwili marszałek Hulot dowiedziawszy się, że minister jest sam na sam z jego bratem, pozwolił sobie wejść; i, jak zwykle głusi, poszedł prosto na księcia.

– Och! – zawołał stary bohater kampanii polskiej. – Wiem, po co przychodzisz, stary kolego!... Ale wszystko na nic...

– Na nic?... – powtórzył marszałek Hulot, który usłyszał tylko to słowo.

– Tak, przychodzisz wstawiać się za bratem; ale wiesz ty, czym jest twój brat?

– Mój brat? – spytał głuchy.

– Tak – krzyknął marszałek – to sk... syn, niegodny ciebie!...

I gniewny marszałek strzelił z oczu piorunującym spojrzeniem, które podobnie jak wzrok Napoleona kruszyło wolę i mózgi.

– Łżesz, Cottin! – odparł marszałek Hulot, który zbladł. – Rzuć swoją laskę, jak ja rzucam moją!... Jestem na twoje rozkazy.

Książę podszedł wprost do starego kamrata, popatrzył nań bystro i rzekł mu w ucho, ściskając go za rękę:

– Jesteś mężczyzną?

– Przekonasz się.

– A więc trzymaj się ostro! Chodzi o to, aby znieść największe nieszczęście, które ci się mogło zdarzyć.

Książę obrócił się, wziął ze stołu papiery; podał je marszałkowi Hulot, krzyżąc:

– Czytaj!

Hrabia Forzheim odczytał następujący list, leżący na wierzchu:

*Do Jego Ekscelencji Pana Prezydenta Ministrów
(poufne)*

Algier, d....

Kochany książę, mamy na karku bardzo brzydką sprawę, jak się o tym przekonasz z załączonych aktów.

Mówiąc w streszczeniu, baron Hulot d'Ervy wysłał do Oranu swego wuja po to, aby szachrował zbożem i furazem; za współlnika przydał mu magazyniera. Ten magazynier wyśpiewał wszystko, aby ocalić skórę, i w końcu uciekł. Prokurator, widząc w grze jedynie dwie podrzędne figury, poprowadził rzecz ostro; ale Johann Fischer, wuj waszego generalnego dyrektora, widząc, że ma stanąć przed sądem karnym, przebił się w więzieniu gwoździem.

Wszystko byłoby się skończyło na tym, gdyby ten zacny i uczciwy człowiek, prawdopodobnie oszukany i przez swego współnika, i swego siostrzeńca, nie wpadł na myśl napisania do barona Hulot. List ten, przejęty przez władze, zdumiał prokuratora tak że przyszedł porozumieć się ze mną. Byłby to tak straszliwy cios: aresztowanie i oskarżenie radcy stanu, generalnego dyrektora, który liczy tyle lat dzielnej i uczciwej służby (wszak on swoją reorganizacją administracji ocalił nas wszystkich po Berezynie!), iż kazałem sobie przedłożyć wszystkie akty.

Czy trzeba pozwolić sprawie iść jej tokiem? Czy też wobec tego, że główny widzialny winowajca nie żyje, zdławić ten proces, wydając zaoczny wyrok na magazyniera?

Prezydent sądu godzi się, aby Panu przesłać akty; że zaś baron d'Ervy zamieszkały jest w Paryżu, proces należałby do jurysdykcji tamtejszego trybunału. Wynaleźliśmy ten sposób, dość naciągany zresztą, aby się chwilowo pozbyć trudności.

Tylko, Kochany Marszałku, konieczna jest szybka decyzja. Już i tak o wiele za dużo mówi się o tej oplakanej sprawie, która przyniosłaby nam jeszcze więcej szkody, gdyby współnictwo wysoko położonego winowajcy, dotychczas znane jedynie prokuratorom, sędziemu śledczemu, prezydentowi sądu i mnie, miało się rozgłosić.

Tu papier wypadł z rąk marszałka Hulot; spojrzął na brata, ujrzał, że zbyteczne jest przeglądać akty; wyszukał tylko list Fischera i podał mu go, przeczytawszy jednym rzutem oka.

Z więzienia w Oranie

Mój Siostrzeńcze, kiedy przeczytasz ten list, już mnie nie będzie.

Bądź spokojny, nie znajdą dowodów przeciw Tobie. Skoro ja zginę, a Twój Chardin, ten jezuita, uciekł, proces się urwie. Twarz naszej Adeliny, tak szczęśliwej dzięki Tobie, uczyniła mi śmierć bardzo słodką. Nie potrzebujesz już posyłać dwustu tysięcy franków.

List ten doręczy Ci więzień, na którego, jak sądzę, mogę liczyć.

Johann Fischer

– Przepraszam księcia – rzekł ze wzruszającą dumą marszałek Hulot do księcia de Wissemburg.

– No, Hulot, mówże mi zawsze ty! – odparł minister, ściskając dłoń starego przyjaciela. – Biedny lansjer zabił tylko siebie – rzekł, piorunując Hulota d'Ervy spojrzeniem.

– Ile wzięłeś? – spytał surowo hrabia Forzheim brata.

– Dwieście tysięcy franków.

– Mój drogi – rzekł hrabia, zwracając się do ministra – otrzymasz dwieście tysięcy franków w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Nie będzie powiedziane, że człowiek noszący nazwisko Hulot bodaj na grosz ukrzywdził mienie publiczne.

– Cóż za dzieciństwo!... – rzekł marszałek. – Wiem, gdzie są te dwieście tysięcy franków, i każe je zwrócić. Wnieś pan natychmiast prośbę o dymisję i o spensjonowanie! – rzekł, rzucając arkusz kancelaryjnego papieru na stół, przy którym usiadł radca stanu, nie mogąc utrzymać się na nogach. – Pański proces byłby hańbą dla nas wszystkich, toteż uzyskałem od rady ministrów upoważnienie do postąpienia w ten sposób. Skoro godzisz się na życie bez honoru, bez mego szacunku, życie w hańbie, dostaniesz emeryturę, która ci się należy. Tylko postaraj się pan, aby o tobie zapomniano.

Marszałek zadzwonił.

– Urzędnik Marneffe jest w biurze?

– Tak, ekscelencjo – odparł woźny.

– Niech przyjdzie.

– Pan – krzyknął książę na jego widok – i pańska żona zrujnowaliście z rozmysłem obecnego tu barona d'Ervy.

– Wybacz pan, panie ministrze, jesteśmy bardzo biedni, żyję tylko z mojej pensji, a mam dwóje dzieci, z których ostatnie wniósł do mojej rodziny pan baron.

– Cóż za łajdacka fizjonomia! – rzekł książę, wskazując Marneffe'a marszałkowi Hulot. – Dosyć tych błazeństw *à la Sganarelle* – odparł – oddasz pan dwieście tysięcy franków albo pójdiesz do Algieru.

– Ależ, panie ministrze, pan nie znasz mojej żony, ona wszystko schrupała. Pan baron zapraszał co dzień po sześć osób na obiad... Wydawało się u mnie pięćdziesiąt tysięcy franków rocznie.

– Wyjdź pan – krzyknął minister straszliwym głosem, którego komenda grzmiała na polach bitew – otrzymasz pan dekret przeniesienia w ciągu dwóch godzin... Żegnaj.

– Wolę podać się do dymisji – rzekł zuchwale Marneffe – to zanadto, być... tym, czym jestem, i jeszcze płacić koszty; to mi się wcale nie uśmiecha.

I wyszedł.

– Cóż za bezczelny łajdak! – rzekł książę.

Marszałek Hulot, który stał podczas tej sceny nieruchomo, blady jak trup, spoglądając na brata ukradkiem, ujął księcia za rękę i powtórzył:

– W ciągu czterdziestu ośmiu godzin szkoda materialna będzie wyrównana; ale honor!... Bądź zdrow, marszałku! Ostatni cios dobija... Tak, umrę z tego – szepnął mu do ucha.

– Po coś, u diaska, dziś przychodził? – odparł książę wzruszony.

– W interesie jego żony – odparł hrabia, wskazując Hektora – została bez chleba... teraz zwłaszcza.

– On ma emeryturę!

– Zastawiona!

– To trzeba być opętanym! – rzekł książę, wzruszając ramionami. – Czego wam się dają napić te kobiety, aby wam tak odjąć rozum? – spytał Hulota d'Ervy. – Jak mogłeś, ty, znając drobiazgową ścisłość, z jaką administracja francuska wszystko pisze, wszystko rejestruje, zużywa ryzy papieru dla stwierdzenia przychodu lub rozchodu kilku centymów, ty, któryś wyrzekał, że trzeba stu podpisów dla błahostki, dla uwolnienia żołnierza, dla kupienia kilku zgrzebeł, jak mogłeś się spodziewać, że kradzież się ukryje przez czas dłuższy? A dzienniki? A zawistni? A ludzie, którzy sami chcieliby kraść! Czy tę kobiety wam wysysają olej z głowy? Czy wam kłapy zakładają na oczy? Czy wy jesteście inaczej stworzeni niż my wszyscy? Trzeba było złożyć urząd z chwilą, gdy się stałeś już nie człowiekiem, ale... temperamentem! Jeżeli mogłeś do zbrodni dołączyć tyle głupstw, skończysz... nie chcę powiedzieć gdzie...

– Przyrzeknij mi, że się nią zajmiesz, Cottin – rzekł hrabia Forzheim, który nie słyszał nic i myślał tylko o bratowej.

– Bądź spokojny! – rzekł minister.

– A więc dziękuję i bądź zdrow! Chodź pan – rzekł do brata.

Książę patrzył okiem na pozór spokojnym na dwóch braci, tak różnych postacią, budową i charakterem; na męznego i tchórza, rozpustnika i purytanina, uczciwego i złodzieja – i powiedział sobie: „Ten podlec nie potrafi umrzeć! A mój biedny Hulot, tak prawy, już ma śmierć w oczach!”.

Usiadł w fotelu i zagłębił się w czytaniu raportów z Afryki gestem wyrażającym zarazem zimną krew wodza i głęboką litość, jaką budzi widok pola bitew! Nikt bowiem nie jest w rzeczywistości bardziej ludzki jak żołnierze, tak szorstcy z pozoru i nabywający na wojnie tego bezwzględного spokoju, tak koniecznego w polu.

Nazajutrz kilka dzienników pomieściło w rozmaitych rubrykach te różne artykułiki:

Baron Hulot d'Ervy podał się do dymisji. Nieporządki rachunkowe w administracji Algieru, które znalazły wyraz w śmierci i w ucieczce dwóch urzędników, wpłynęły na postanowienie tego wysokiego dygnitarza. Dowiedziawszy się o błędach popełnionych przez urzędników, w których nieszczęściem pomieścił swoje zaufanie, baron Hulot d'Ervy uległ atakowi paraliżu w gabinecie ministra.

Pan Hulot d'Ervy, brat marszałka, liczy czterdzieści lat służby. Postanowienie to, które daremnie starano się zwalczyć, na pełniło żalem wszystkich znających barona Hulot, którego osobiste przymioty równe są jego talentom administracyjnym. Nikt nie zapomniał poświęcenia, jakie okazał jako główny intendent gwardii cesarskiej w Warszawie, ani też zadziwiającej sprawności, z jaką umiał zorganizować rozmaite działy armii zaimprovizowanej w roku 1815 przez Napoleona.

Znowu jedna z chwał epoki cesarskiej opuszcza widownię. Od roku 1830 baron Hulot nie przestał być jednym z niezastąpionych filarów w radzie stanu i w ministerium wojny.

ALGIER – Sprawa tzw. furazowa, której niektóre dzienniki nadały śmieszne rozmiary, zakończyła się śmiercią głównego winnego. Niejaki Johann Wisch zabił się w więzieniu, a współnik jego uciekł, ale będzie sądzony zaocznie.

Wisch, niegdyś dostawca wojskowy, był uczciwym człowiekiem, wysoko cenionym; nie mógł przenieść tego, iż został wywieziony w pole przez niejakiego Chardin, owego magazyniera, który uciekł.

A w „Kronice Paryskiej” czytano, co następuje:

J. E., marszałek minister wojny, chcąc zapobiec na przyszłość wszelkim nadużyciom, postanowił stworzyć urząd żywności w Afryce. Wymieniają jednego z naczelników biura, pana Marneffe, jako tego, któremu ma być powierzona organizacja tego urzędu.

Następstwo po baronie Hulot porusza wszystkie ambicje. Jak słyhać, dyrekturę tę przyrzeczono hrabiemu Marcjalowi de la Roche-Hugon, posłowi, szwagrowi hrabiego de Rastignac. Pan Massol, referendarz, byłby wówczas mianowany radcą stanu, a pan Klaudiusz Vignon referendarzem.

Ze wszystkich rodzajów kaczek najniebezpieczniejszą dla dzienników opozycyjnych jest kaczką urzędowa. Mimo całego doświadczenia dziennikarzy padają oni niekiedy ofiarą – dobrowolnie lub mimowolnie – sprytu tych, którzy jak Klaudiusz Vignon przeszli z prasy w wysokie regiony władzy. Dziennik może być zwyciężony tylko przez dziennikarza. Toteż trzeba sobie powiedzieć, trawestując Woltera: *Le fait-Paris n'est pas ce qu'un vain peuple pense*²⁶.

26 *Le fait-Paris n'est pas ce qu'un vain peuple pense* (fr.) – Kronika paryska to nie to, co prosty lud mniema – trawestacja z tragedii Woltera „Edyp”.

Marszałek Hulot odwiózł barona, który zajął miejsce na przednim siedzeniu, z szacunkiem pozwalając bratu usiąść samemu w głębi. Dwaj bracia nie zamienili ani słowa. Hektor był jak ścięty. Marszałek pozostał skupiony w sobie, jak człowiek, który zbiera siły i napina je, aby udźwignąć miążdzący ciężar. Przybywszy do domu, zaprowadził brata nic nie mówiąc, jedynie rozkazującym skinieniem ręki, do swego gabinetu. Hrabia dostał niegdyś od cesarza Napoleona wspaniałą parę pistoletów z fabryki wersalskiej; wydobyl z sekretarza puzdro, na którym był wyryty napis: „Od cesarza Napoleona generałowi Hulot”, i wskazując je bratu rzekł:

– Oto twój lekarz.

Elżbieta, która podglądała przez uchylone drzwi, pobiegła do powozu i kazała jechać co żywo na ulicę Plumet. W niespełna dwadzieścia minut sprowadziła baronową, powiadomioną o scenie między marszałkiem a bratem.

Hrabia, nie patrząc na brata, zadzwonił na swego totumfackiego, starego żołnierza, który służył mu od trzydziestu lat.

– Beaupied – rzekł – sprowadź mi mego rejenta, hrabiego Steinbock, moją siostrzenicę Hortensję i agenta giełdowego. Jest wpół do jedenastej, niech mi tu wszyscy będą na południe. Bierz dorożkę i leć... na jednej nodze!... – rzekł, odnajdując obozowe wyrażenie, które dawniej często miał w ustach.

I zrobił straszliwego marsa, który pobudzał baczność żołnierzy, wówczas gdy z nimi przetrząsał janowce Bretanii w roku 1799.

– Wedle rozkazu, panie marszałku – rzekł Beaupied, salutując dłonią.

Nie zajmując się bratem, starzec wrócił do swego gabinetu, wyjął klucz schowany w sekretarzyku i otworzył szkatułkę stalową wykładaną malachitem, dar cesarza Aleksandra. Na rozkaz cesarza Napoleona miał zwrócić carowi rosyjskiemu jego prywatne sprzęty zabrane w bitwie pod Dreznem, w zamian za które Napoleon spodziewał się uzyskać uwolnienie Vandamme'a. Cesarz nagroził wspaniale generała Hulot, dając mu tę szkatułkę, i rzekł, iż ma nadzieję wyświadczyć kiedyś tę samą grzeczność cesarzowi Francuzów; ale Vandamme'a nie wydał. Cesarski herb Rosji w złocie znajdował się na wieku tej szkatułki, całej zdobionej złotem. Marszałek policzył bilety bankowe i złoto, które się tam znajdowało; posiadał sto pięćdziesiąt dwa tysiące franków! Potrząsnął głową z zadowoleniem. W tej chwili weszła pani Hulot w stanie takim, iż mogłaby rozczulić nawet sędziów od spraw politycznych. Rzuciła się ku Hektorowi, patrząc kolejno z wyrazem obłąkania na puzdro z pistoletami i na marszałka.

– Co masz przeciwko bratu? Co ci zrobił mój mąż? – rzekła głosem tak przejmującym, że marszałek usłyszał.

– Zhańbił nas wszystkich! – odparł stary żołnierz Republiki, któremu od tego wysiłku otworzyła się dawna rana. – Okradł skarb! Sprawił, że brzydzą się swoim nazwiskiem; zrobił to, że pragnę umrzeć, zabił mnie... Mam tylko tyle siły, ile trzeba, aby dokonać restytucji!... Doznałem upokorzenia wobec Kondeusza Republiki, wobec człowieka, którego szanuję najwyżej w świecie i któremu zadałem niesprawiedliwie łgarstwo, wobec księcia de Wissemburg!... Czy to nic? Oto jego rachunek z ojczyzną!

Otarł łzę.

– A teraz z rodziną! – ciągnął. – Wydżiera wam kawałek Chleba, który dla was chowałem, owoc trzydziestoletnich oszczędności, skarbczyk zebrany prywacjami starego żołnierza! Oto co przeznaczałem dla was! – rzekł, pokazując bilety bankowe. – Zabił swego wuja, Fischera, dzielnego i szlachetnego syna Alzacji, który nie umiał jak on znieść myśli o plamie na swym chłopskim nazwisku. Wreszcie Bóg w swej nieprzebranej dobroci pozwolił mu znaleźć anioła między kobietami! Miał niesłychane szczęście pojąć za żonę taką Adelinę! I zdradził ją, napoił zgryzotą, opuścił ją dla łajdaczek, dla ladacznic, dla baletnic, aktorek, dla takich, jak Cadine, jak Józefa, jak ta Marneffe!... I to jest człowiek, z którego uczyniłem swoje dziecko, swoją dumę... Idź, nieszczęśniku, jeśli się godzisz na to haniebne życie, jakie sobie zgotowałeś, wychodź stąd! Ja nie mam siły przekląć brata, którego tak kochałem; jestem dla niego równie słaby, jak ty, Adelino; ale niech mi się nie pokazuje na oczy. Zabraniam mu być na moim pogrzebie, iść za moją trumną. Niech ma choć wstyd w swojej zbrodni, jeżeli nie ma wyrzutów...

Marszałek, blady jak trup, osunął się na sofę, wyczerpany tymi uroczystymi słowy. I może po raz pierwszy w życiu dwie łzy spłynęły mu z oczu, żłobiąc bruzdę na twarzy.

– Biedny stryj Fischer! – wykrzyknęła Elżbieta, przykładając chustkę do oczu.

– Bracie mój! – rzekła Adelina, klękając przed marszałkiem.

– Żyj dla mnie! Pomóż mi w dziele, które chcę podjąć, aby Hektora pogodzić z życiem, skłonić, by okupił swe błędy!...

– On! – rzekł marszałek. – Jeżeli będzie żył, jeszcze nie dopełnił miary swoich zbrodni! Człowiek, który unieszczęśliwił Adelinę, który zgasił w sobie uczucia prawdziwego republikanina, tę miłość kraju, rodziny i ubogich, jaką siliłem się mu wszczepić, taki człowiek jest potworem, wieprzem... Zabierz go, jeżeli go kochasz jeszcze, bo słyszę w sobie głos, który na mnie woła, aby nabić pistolety i strzelić mu w łeb! Zabijając go, ocaliłbym was wszystkich i ocaliłbym jego przed nim samym.

Stary marszałek wstał ruchem tak groźnym, że biedna Adelina krzyknęła:

– Pójdź, Hektorze!

Chwyliła męża, wyprowadziła go, opuściła pałac, Ciągnąc za sobą barona tak zmienionego, że musiała go wsadzić do dorożki, aby go przewieźć do domu, gdzie położył się do łóżka. Człowiek ten, jakby unicestwiony, pozostał tak kilka dni, odmawiając wszelkiego pokarmu i nie mówiąc ani słowa. Adelina łzami wymuszała na nim, aby przełknął trochę bulionu; czuwała przy jego łóżku; ze wszystkich uczuć, które wypełniały niegdyś jej serce, pozostała jedynie głęboka litość.

O wpuł do pierwszej Elżbieta wprowadziła do gabinetu swego drogiego marszałka, którego nie odstępowała przerażona zaszła w nim zmianą, rejenta i hrabiego Steinbock.

– Panie hrabio – rzekł marszałek – proszę pana, abyś podpisał upoważnienie potrzebne mojej bratanicy, a pańskiej żonie na sprzedaż renty, której posiada dotąd jedynie tytuł własności. Panno Fischer, pani zgodzi się na tę sprzedaż, zrzekając się swego dożywocia?

– Tak, drogi hrabio – odparła Bietka bez wahania.

– Dobrze, moja droga – odparł stary żołnierz – mam nadzieję żyć jeszcze dość długo, aby ci to wynagrodzić. Nie wątpię o tobie; jesteś szczerą republikanką, dzieckiem ludu.

Ujął rękę starej panny i złożył na niej pocałunek.

– Panie Hannequin – rzekł do rejenta – niech pan sporządzi potrzebny akt w formie plenipotencji, muszę go mieć w ciągu dwóch godzin, aby móc sprzedać rentę na dzisiejszej giełdzie. Hrabina, moja bratanica, posiada tytuł własności; przyjdzie tu i podpisze akt, skoro go pan przyniesiesz; tak samo i panna Fischer. Pan hrabia odprowadzi pana do domu, aby złożyć swój podpis.

Na znak Elżbiety artysta skłonił się z szacunkiem marszałkowi i wyszedł.

Nazajutrz o dziesiątej rano hrabia Forzheim kazał się oznajmić u księcia de Wissemburg i został natychmiast przyjęty.

– I cóż, mój drogi Hulot – rzekł marszałek Cottin staremu przyjacielowi, pokazując dzienniki – ocaliliśmy, jak widzisz, pozory... Czytaj.

Marszałek Hulot złożył dzienniki na biurku starego przyjaciela i podał mu dwieście tysięcy franków.

– Oto pieniądze, które brat mój sprzeniewierzył skarbowi – rzekł.

– Cóż za szaleństwo! – zawołał minister. – Niepodobna nam jest – dodał, biorąc trąbkę, którą mu podał marszałek, i krzyżąc mu w ucho – dopełnić tej restytucji. Bylibyśmy zmuszeni ujawnić malwersacje twego brata, a uczyniliśmy wszystko, co można, aby je skryć...

– Zrób z tym, co zechcesz; ale nie chcę, aby w majątku rodziny Hulot był bodaj szeląg skradziony z państwowego grosza – rzekł hrabia.

– Zapytam króla o rozkazy w tej mierze. Nie mówmy już o tym – odparł minister, widząc niepodobieństwo pokonania szczytnego oporu starca.

– Bądź zdrow, Cottin – rzekł starzec, podając rękę księciu de Wissemburg – zimno mi w duszy...

Po czym, zrobiwszy krok, odwrócił się, popatrzył na księcia, widocznie silnie wzruszonego, otworzył mu ramiona, książkę zaś uściskał go serdecznie.

– Mam uczucie – rzekł – że żegnam całą Wielką Armię w twojej osobie...

– Żegnaj więc, dobry i stary kolego! – rzekł minister.

– Tak, żegnaj, bo idę tam, gdzie są wszyscy nasi żołnierze, których nam przyszło opłakać...

W tej chwili wszedł Klaudiusz Vignon. Dwaj starcy, szczątki napoleońskiej falangi, skłonili się sobie poważnie, kryjąc wszelki ślad wzruszenia.

– Musiał książę być rad z dzienników? – rzekł przyszły referendarz. – Kręciłem tak, aby dzienniki opozycyjne myślały, że zdradzają nasze tajemnice...

– Niestety, wszystko to na próżno – odparł minister, spoglądając za marszałkiem, który mijał salon. – Przed chwilą dopełniłem bardzo bolesnego pożegnania. Marszałek Hulot nie ma ani trzech dni przed sobą, widziałem to zresztą wczoraj. Ten człowiek, wcielona prawość, żołnierz, którego mimo jego męstwa oszczędziły kule, otrzymał... o, tu... na tym fotelu!... śmiertelny cios, z mojej ręki, przez jeden papier!... Zadzwoń pan i każ zajechać. Jadę do Neuilly – rzekł, chowając dwieście tysięcy franków do swego ministerialnego portfela.

Mimo starań Elżbiety w trzy dni marszałek nie żył. Tacy ludzie są chlubą stronnictwa, do którego należą. Dla republikanów marszałek był ideałem patriotyzmu; toteż znaleźli się wszyscy na jego pogrzebie, który ściągnął olbrzymie tłumy. Wojsko, władze, dwór, lud – wszyscy przyszli oddać cześć tej wysokiej cnocie, tej nieskazitelnej uczciwości, tej tak czystej chwale. Nie każdemu dane jest mieć lud za swoją trumną. Pogrzeb ten zaznaczył się jednym z tych świadectw delikatności, dobrego smaku i serca, które coraz rzadziej przypominają zasługi i chwałę szlachty francuskiej. Za trumną marszałka ujrzano starego margrabiego de Montauran, brata tego, który w powstaniu szuanów w roku 1799 był przeciwnikiem, i to nieszczęśliwym przeciwnikiem, Hulota. Margrabia, padając pod kulami błękitnych, powierzył interesy swego młodego brata żołnierzowi Republiki. Hulot tak sumiennie przyjął ustny testament szlachcica, że zdołał ocalić majątek tego młodego człowieka, wówczas, na emigracji. Toteż nie brakło hołdu starej szlachty francuskiej żołnierzowi, który dziewięć lat wprzódy pokonał spisek Jejmości²⁷.

27 W r. 1832 księżna de Berry, wdowa po synu Karola X, usiłowała wzniecić powstanie w Wandei i przywrócić na tron Burbonów w osobie swego syna, księcia de Bordeaux; spisek został szybko stłumiony.

Śmierć ta, na cztery dni przed ogłoszeniem ostatnich zapowiedzi, była dla Elżbiety gromem, który wraz ze spichrzem spala cały zwieziony plon. Lotarynka, jak często się zdarza, za dobrze osiągnęła swój cel. Marszałek umarł od ciosów zadanych tej rodzinie przez nią i przez panią Marneffe. Nienawiść starej panny, chwilowo jakby uśmierzona powodzeniem, wzmogła się o wszystkie zawiedzione nadzieje. Elżbieta poszła wypłakać swą wściekłość u pani Marneffe; była teraz bez domu, gdyż marszałek miał kontrakt najmu jedynie dożywotni. Aby pocieszyć przyjaciółkę Walerii, Crevel wziął jej oszczędności, podwoił je hojnie i umieścił je na pięć od sta, jej zapewniając procent, kapitał zaś przepisując na imię Celestyny. Dzięki tej operacji Elżbieta posiadała dwa tysiące franków dożywocia. Przy spisaniu inwentarza znaleziono pismo marszałka do bratowej, do Hortensji i do Wiktora, zobowiązujące ich do wypłacania we troje tysiąca dwustu franków dożywocia tej, która miała zostać jego żoną, pannie Elżbiecie Fischer.

Adelina, widząc barona pomiędzy życiem a śmiercią, zdołała ukryć przez kilka dni śmierć marszałka; ale Elżbieta przyszła w żałobie i nieszczęsna prawda wyszła na jaw w jedenaście dni po pogrzebie. Ten straszliwy cios wrócił energię choremu; wstał, zastał całą rodzinę zgromadzoną w salonie, ubraną czarno; na jego widok wszyscy zamilkli. Przez te dwa tygodnie Hulot wychudł jak upiór; wydał się rodzinie cieniem samego siebie.

– Trzeba coś postanowić – rzekł zgasłym głosem, siadając na fotelu i spoglądając po tym zebraniu, w którym brakowało Crevela i Steinbocka.

– Nie możemy tu zostać dłużej – mówiła właśnie Hortensja, w chwili gdy ukazał się ojciec – komorne jest zbyt drogie...

– Co się tyczy mieszkania – rzekł Wiktor, przerywając przykre milczenie – ofiarowuję matce...

Słyszając te słowa, które zdawały się go wyłączać, baron podniósł głowę schyloną ku dywanowi, w którego kwiaty wpatrywał się bezmyślnie, i zwrócił na adwokata żalosne spojrzenie. Prawa ojca są tak święte, nawet gdy ten ojciec jest wyzutym ze czci nikczemnikiem, że Wiktor zatrzymał się.

– Matce... – powtórzył baron. – Masz słuszość, mój synu.

– Mieszkanie nad naszym, w tym samym skrzydle – rzekła Celestyna, kończąc zdanie męża.

– Zawadzam wam, moje dzieci?... – rzekł baron ze słodyczą człowieka, który wydał wyrok sam na siebie. – Och, bądźcie bez obaw co do przyszłości, nie będziecie się potrzebowali użalać na ojca; nie ujrzycie go aż wówczas, gdy nie będziecie musieli się zań rumienić.

Przygarnął Hortensję i ucałował ją w czoło. Otworzył ramiona synowi, który rzucił się w nie rozpaczliwie, zgadując intencję ojca. Baron dał znak Elżbiecie i skoro podeszła, ucałował ją w czoło. Następnie udał się do swego pokoju, dokąd Adelina, zdjęta nieznośnym lękiem, weszła za nim.

– Brat miał słuszność, Adelino – rzekł, biorąc ją za rękę. – Jestem niegodzien życia rodzinnego. Nie odważyłem się inaczej niż w sercu pobłogosławić moich biednych dzieci, których postępowanie było wręcz wzniosłe. Powiedz im, że mogłem je tylko uściskać, gdyż błogosławieństwo człowieka bez czci, ojca, który się stał mordercą, klęską rodziny, miast być jej opieką i chwałą, mogłoby być zgubne; ale będę je błogosławił z daleka co dzień. Co do ciebie, jeden Bóg wszechmogący może ci dać nagrodę wedle miary twoich cnót!... Proszę cię o przebaczenie – rzekł, klękając przed żoną, ujmując jej ręce i zlewając je łzami.

– Hektorze! Hektorze! Wielkie są twoje winy; ale miłosierdzie boskie jest nieskończone i możesz wszystko naprawić, zostając przy mnie... Podnieś się mocą uczuć chrześcijanina, drogi mój... Ja jestem twoją żoną, a nie twoim sędzią. Jestem twoją rzeczą, zrób ze mną, co zechcesz, zawieź mnie tam, gdzie idziesz, czuję w sobie siłę, aby cię pocieszyć, aby ci uczynić życie znośnym mocą mej miłości, szacunku i starań!... Dzieci nasze mają swoją egzystencję, nie potrzebują mnie już. Pozwól, niech się stanę twoją rozrywką, zabawą. Pozwól mi dzielić niedole twego wygnania, twojej nędzy, aby je złagodzić. Zawsze zdam ci się na coś, choćby na to, aby ci oszczędzić wydatków na służącą...

– Przebaczasz mi, droga, ukochana Adelino?

– Tak, drogi mój, ale podnieś się!

– A więc z tym przebaczeniem będę mógł żyć! – odparł wstając. – Przeszedłem do sypialni dlatego, aby dzieci nasze nie były świadkami poniżenia ojca. Och! Mieć codziennie przed oczyma ojca tak występnego jak ja, w tym jest coś okropnego, coś, co niweczy władzę ojcowską i rozprzęga rodzinę. Nie mogę tedy zostać w domu, opuszczam was, aby wam oszczędzić wstrętnego widoku ojca wyzutego ze czci. Nie sprzeciwiaj się mojej ucieczce, Adelino. To by znaczyło nabić pistolet, z którego wypaliłbym sobie w łeb... I nie idź za mną na moje wygnanie, pozbawiłabyś mnie jedynej siły, jaka mi została: wyrzutów.

Energia Hektora nakazała milczenie w półżywej Adelinie. Ta kobieta, tak wielka wśród tylu nieszczęść, czerpała swą siłę w serdecznym zespoleniu z mężem; uszczęśliwiona jego powrotem, widziała szczytną misję w tym, aby go pocieszać, aby go wrócić rodzinnemu życiu, pojednać go z samym sobą.

– Hektorze, chcesz więc, abym umarła z rozpaczy, lęku, niepokoju!... – rzekła, widząc, że jej wydziera podstawę jej siły.

– Wrócę do ciebie, aniele, któryś chyba umyślnie dla mnie zstąpił z nieba; wrócę, jeżeli nie bogaty, to bodaj dostatni. Słuchaj, moja dobra Adelino, nie mogę tu zostać dla mnóstwa przyczyn. Najpierw, emerytura moja, która wyniesie sześć tysięcy franków, zastawiona jest na cztery lata, nie mam więc nic. To nie wszystko! Za kilka dni znajdę się pod grozą więzienia za długi z powodu weksli podpisanych Vauvinetowi... Muszę tedy usunąć się, póki mój syn, któremu zostawię ścisłe instrukcje, nie wykupi tych obligów. Moje zniknięcie bardzo pomoże tej operacji. Kiedy moja emerytura będzie już czysta, kiedy Vauvinet będzie zaspokojony, wrócę do was... Zdradziłabyś tajemnicę mego schronienia. Bądź spokojna, nie płacz, Adelino... Chodzi tylko o jeden miesiąc...

– Dokąd pójdziesz? Co poczniesz? Co się z tobą stanie? Kto się będzie tobą opiekował, nie jesteś już młody! Pozwól mi zniknąć z tobą, wyjedziemy za granicę – rzekła.

– Więc dobrze, zobaczymy – odparł.

Baron zadzwonił, kazał Maryśce zabrać wszystkie rzeczy i zapakować je po kryjomu w kufry. Następnie uściskawszy żonę z wylewem tliwości, do której nie była przyzwyczajona, poprosił ją, aby go zostawiła chwilę samego, celem spisania instrukcji potrzebnych dla Wiktora. Przyrzekł jej, że nie opuści domu, aż w nocy i razem z nią. Skoro baronowa wróciła do salonu, przemyślny starzec wysunął się przez gotowalnię, dopadł przedpokoju i wyszedł, oddając Maryśce ćwiartkę papieru, na której napisał: „Wyślijcie moje kufry kolejną do Corbeil, do pana Hektora, *poste restante*, Corbeil”. Baron wsiadłszy do dorożki już gnał przez Paryż, kiedy Maryśka przyniosła baronowej tę kartkę dodając, że pan właśnie wyszedł. Adelina pobiegła do sypialni, drząc mocniej niż kiedykolwiek; dzieci, przerażone, słysząc przeszywający krzyk, pospieszyły tam za nią. Podnieśli zemdloną baronową; trzeba ją było położyć do łóżka, chwycił ją bowiem atak nerwowej gorączki, która miesiąc trzymała ją między życiem a śmiercią.

– Gdzie on jest? – były to jedyne słowa, które można było z niej wydobyć.

Poszukiwania Wiktora okazały się daremne. Oto czemu. Baron kazał się zawieźć do Palais-Royal. Tam człowiek ten, zmiażdżony bólem i zgryzotą, odzyskał cały swój spryt, aby wykonać plan obmyślony w ciągu dni spędzonych w łóżku; przeszedł przez Palais-Royal i najął wykwintną karete przy ulicy Joquelet. Na rozkaz barona stangret wjechał w ulicę Ville-l'Evêque, do pałacyku Józefy; na krzyk woźnicy brama otworzyła się, aby przepuścić wspaniałą pojazd. Nadeszła Józefa, ściągnięta ciekawością; lokaj oznajmił jej, że jakiś niedołężny starzec, niezdolny wysiąść z powozu, prosi ją, aby zeszła na chwilę.

– Józefo! To ja!...

Znakomita śpiewaczka poznała swego Hulota dopiero po głosie.

– Jak to, to ty, biedny stary?... Daję słowo, podobny jesteś do dwudziestofrankówki oberżniętej przez niemieckich Żydków i wyszłej z obiegu.

– Niestety, tak! – odparł Hulot. – Wychodzę z objęć śmierci! Ale ty jesteś zawsze piękna! Czy będziesz i dobra?

– To zależy, wszystko jest względne! – rzekła.

– Słuchaj mnie – ciągnął Hulot. – Czy możesz mi dać na kilka dni izdebkę służącego na poddaszu? Jestem bez grosza, bez żadnych widoków, bez chleba, bez emerytury, bez żony, bez dzieci, bez przytułku, bez czci, bez sił, bez przyjaciela i – gorzej niż to wszystko! – pod groźbą skarżonych weksli...

– Biedny stary! Dużo tych „bżów”! Czy i bez spodni?

– Śmiejesz się, jestem zgubiony! A ja liczyłem na ciebie jak Gourville na Ninon²⁸.

– Podobno, jak słyszałam – spytała Józefa – to dama z towarzystwa przywiodła cię do tego stanu? Te kawalarki lepiej od nas umieją skubać kapłona!... Och! Wyglądasz jak padlina porzucona przez kruki... przeświecasz po prostu!

– Józefo, czas nagli!

– Wejdz, mój staruszkule! Jestem sama, a służba cię nie zna. Odpraw powóz. Zapłacony?

– Tak – odparł baron wsparty na ramieniu Józefy.

– Możesz uchodzić, jeśli chcesz, za mojego ojca – rzekła śpiewaczką zdjęta litością.

Posadziła Hulota we wspianym salonie, gdzie ją widział ostatni raz.

– Czy to prawda, mój stary, żeś ty zabił brata i stryja, zniszczył rodzinę, obdłużył dom dzieci i schrubał w Afryce rządowe pieniądze ze swoją donzellą?

Baron smutno skinął głową.

28 Aluzja do anegdoty, według której Ninon de Lenclos miała swemu wielbicielowi, J. H. de Gourville, zwrócić przechowane dla niego 10 000 talarów, gdyż nie mogła już odwzajemnić jego uczuć.

– To mi się podoba, wiesz! – wykrzyknęła Józefa, zrywając się pełna entuzjazmu. – To się nazywa zoperować do czysta! Istny Sardanapa! To jest wielkie! Mocne. Taki człowiek jest łajdakiem, ale ma nerw! Tak! Wolę takiego utracjusza palącego się jak ty do kobiet niż tych zimnych bankierów bez duszy, którzy uchodzą za cnotliwych ludzi, a którzy rujnują tysiące rodzin swymi kolejami, złotymi dla nich, a żelaznymi dla frajerów! Ty zrujnowałeś tylko swoich, oporządziłeś tylko siebie, a przy tym ty masz usprawiedliwienie, i fizyczne, i moralne...

Przybrała tragiczną pozę deklamując:

To Wenus sama wpiła się w gardziel ofiary...29

– Ot, co – zakończyła, okręcając się na pięcie. Hulot uczył się rozgrzeszony przez występki, występki uśmiechał się doń wśród swego szalonego zbytku. Wielkość zbrodni była tu, jak nieraz dla przysięgłych, okolicznością łagodzącą.

– Czy choć ładna jest ta twoja dama? – spytała śpiewaczka próbując, jako pierwszą jałmużnę, rozerwać Hulota, którego smutek budził w niej współczucie.

– Na honor, prawie tak jak ty! – zrećcznie odpowiedział baron.

– I... zna swój fach? Tak mi mówiono. Cóż ona ci robiła? Czy lepiej umie ode mnie?

– Nie mówmy już o tym – rzekł Hulot.

– Powiadają, że obłaskawiła sobie mego Crevela, małego Steinbocka i jakiegoś pysznego Brazylijczyka?

– Bardzo możliwe...

– Mieszka w pałacyku nie brzydszym od mego, dostała go od Crevela. Ta łajdaczka dogryza tych, których ja napoczęłam! Dlatego, staruszkule, taka ciekawa jestem wiedzieć, jaka ona jest, widziałam ją w powozie w Lasku, ale z daleka... Karabinka mówiła mi, że to skończone ścierwo! Próbuje schrupać Crevela! Ale tylko go nadkąsi. Crevel to kutwa! Fałszywy pocziwiec, który na wszystko kiwa głową, ale zawsze robi to, co chce. Jest próżny, jest lubieżny, ale jego pieniądz jest zimny. Od takich zuchów można mieć, ot, tysiąc do trzech tysięcy na miesiąc, ale zarywają się w ziemię przed grubym wydatkiem, niby osioł nad rzeką. To nie to co ty, mój stary, ty jesteś namiętna sztuka; jak cię przyciśnie, sprzedałbyś własną ojczyznę! Toteż, widzisz, wszystkim gotowa zrobić dla ciebie! Jesteś mi ojcem, tyś mnie w świat wprowadził! To rzecz święta. Czego ci trzeba? Chcesz sto tysięcy franków? Będę orać, aby ci je wydebić. Co się tyczy kąta i strawy, to głupstwo. Będziesz miał co dzień miejsce tu przy stole, dam ci ładny pokój na drugim piętrze i sto talarów miesięcznie... na karmelki.

Baron, wzruszony tym przyjęciem, zdobył się na ostatni gest.

– Nie, moja mała, nie, nie przyszedłem tu, aby się dać utrzymywać – rzekł.

– W twoim wieku to tryumf nie lada! – odparła.

– Oto czego bym pragnął, moje dziecko. Twój książę d'Hérouville ma olbrzymie posiadłości w Normandii, chciałbym zostać jego rządcą pod przybranym mianem Thoul. Jestem zdolny, uczciwy, bo można skubnąć coś rządowi, a to nie znaczy, żeby się miało sięgnąć do cudzej kasy....

– Ej, ej – rzekła Józefa – czym skorupka nasiąknie!...

– Wreszcie, proszę tylko o to, abym mógł żyć w ukryciu przez trzy lata.

– To kwestia minuty – rzekła Józefa – wystarczy mi powiedzieć słówko dziś wieczór po obiedzie. Gdybym chciała, księżę ożeniłby się ze mną; ale mam jego majątek, chcę więcej!... Chcę jego szacunku. To jest pan w wielkim stylu. Szlachetne to, dystyngowane, pyszne jak Ludwik XIV i Napoleon razem; mimo iż taki karzełek. A przy tym zrobiłam to, co zrobiła Schontz z Rochefide'em; dzięki moim radom zarobił dwa miliony. Ale słuchaj no, stary wisusie... Ja cię znam, ty lubisz kobietki i póty tam będziesz gonił za dziewczętami (a w Normandii są śliczne dziewczęta), aż ci jaki narzeczony lub ojciec kości połamie i księżę będzie musiał cofnąć cię z posterunku. Alboż ja nie widzę, ze sposobu, w jaki patrzysz na mnie, że młodzieniec jeszcze w tobie nie umarł, jak powiada Fenelon! To nie dla ciebie posada. Widzisz, staruszkule, człowiek nie zrywa tak łatwo z Paryżem, z nami! Zdechłbyś z nudów w Herouville!

– Cóż tedy począć? – spytał baron. – Bo u ciebie chcę zostać tylko póty, póki czegoś nie postanowię.

– Słuchaj, chcesz, żebym cię ulokowała po mojemu? Słuchaj, stary kochaczu!... Tobie potrzeba kobiet. To dla ciebie najlepsza pociecha. Słuchaj dobrze. Na skraju Courtille, przy ulicy Saint-Maur-du-Temple, znam biedną rodzinę, która posiada skarb: szesnastoletnie dziewczątko, ładniejsze, niż ja byłam w tym wieku!... Oho! Już ci się oczy świecą! Siedzi to szesnaście godzin nad haftowaniem drogich materii dla kupców bławatnych i zarabia szesnaście su na dzień, su na godzinę, nędza!... Żyje to, modą irlandzką, kartoflami, i to smażonymi na szczurzym sadle, chleb pięć razy na tydzień, woda z kanałów miejskich, bo woda z Sekwany jest za droga; i nie może otworzyć pracowni na własną rękę, dla braku sześciu czy siedmiu tysięcy franków. Puściłoby się to na każde świństwo, aby zdobyć tych kilka tysięcy. Rodziny, żony masz dość, nieprawdaż?... Zresztą nie można być niczym tam, gdzie się było bogiem. Ojciec bez pieniędzy i bez honoru, to w sam raz, aby go wypchać i postawić za szybę...

Baron nie mógł się wstrzymać, aby się nie uśmiechnąć z tych okrutnych żarcików.

– Otóż mała Bijou przyniesie mi jutro haftowany szlafroczek, coś rozkosznego: strawili nad tym pół roku, nikt nie będzie miał podobnej materii! Bijou przepada za mną, bo daję jej łakocie i moje stare suknie. Przy tym posyłam bony na chleb, na drzewo i mięso jej rodzinie, która połamałaby dla mnie obie nogi primabalerinie, gdybym zechciała. Staram się zrobić trochę dobrego! Och! Ja wiem, com wycierpiała, kiedy byłam głodna! Bijou wypaplała mi swoje sekrety. Jest w tej dziewczynie materiał na statystkę w Ambigu-Comique. Bijou marzy o tym, aby nosić piękne suknie jak moje, a zwłaszcza aby jeździć powozem. Powiem jej: „Moja mała, czy chcesz pana, który mą...?”. Ile ty wiosen liczysz?... – wtrąciła. – Siedemdziesiąt dwie?...

– Nie mam już wieku!

– „Czy chcesz – spytam jej – pana siedemdziesięciodwuletniego, czyściutki, nie zażywa tabaki, zdrowy jak rydz i wart niejednego młokosa? Będziecie żyli z sobą jak gołąbki, wniesie ci siedem tysięcy franków do wspólnego interesu, umebluje ci mieszkanko samym mahoniem; wreszcie jeżeli będziesz grzeczna, zaprowadzi cię czasem do teatru. Da ci sto franków miesięcznie dla ciebie, a pięćdziesiąt na dom!”. Ja znam Bijou, to druga ja, gdy miałam lat czternaście! Podskoczyłam z radości, gdy ten ohydny Crevel ofiarował mi te nędzne warunki! No i cóż, staruszkule, ulokowałbyś się tam na trzy lata? Uczciwie to, porządnie, no i będzie miała iluzję na jakie trzy, cztery lata, nie dłużej.

Hulot nie wahał się, zdecydowany był odmówić; ale przez wdzięczność dla pocziwej i dobrej śpiewaczki, która okazywała mu serce na swój sposób, udawał, że się waha między występkiem a cnotą.

– No i cóż! Czemu przyjmujesz to tak lodowato! – odezwała się zdziwiona. – Pomyśl! Uszczęśliwisz rodzinę złożoną z dziadka, który drepce po mieście, matki, która zabija się pracą, i dwóch sióstr (jedna bardzo brzydka), które zjadając sobie oczy, zarabiają we dwie trzydzieści dwa su dziennie. To wyrównuje nieszczęście, jakieś sprawił u siebie w domu; odkupujesz swoje winy, żyjąc równocześnie jak król.

Aby położyć koniec temu kuszeniu, Hulot uczynił gest człowieka, który rachuje pieniądze.

– Nie troszcz się o sposoby i środki – odparła Józefa. – Mój ksiązę pożycz ci dziesięć tysięcy franków: siedem tysięcy na hafciarnię na imię Bijou, trzy tysiące na umeblowanie, a co kwartał dostaniesz tu na prosty bilecik sześćset pięćdziesiąt franków. Kiedy odzyskasz pensję, oddasz księciu tych siedemnaście tysięcy. Tymczasem będziesz sobie siedział jak u pana Boga za piecem, zaszyty w swojej dziurze tak, że cię policja nie znajdzie. Sprawisz sobie gruby surdut z bai, będziesz wyglądał jak zamożny obywatel przedmiejski. Przewij się Thoul, jeżeli ci się tak podoba. Ja powiem dziewczynie, że jesteś moim wujem, który zbankrutował w Niemczech; będzie cię cackać jak jakiego króla. Więc tak, ojczulku!... Kto wie, może nie będziesz niczego żałował? Gdybyś się kiedy nudził, zachowaj jaki przyzwoity futerał i przyjedź tu do mnie na obiad i na wieczór.

– Ale ja chciałem poprawić się, ustatkować!... Słuchaj, postaraj mi się o pożyczkę dwudziestu tysięcy, a puszczam się do Ameryki zrobić majątek, jak mój przyjaciel d'Aiglemont, kiedy Nucingen go zrujnował...

– Ty! – wykrzyknęła Józefa. – Zostawże cnotę sklepikarzom, mieszcuchom, obywatelom Frrrrancji, którzy za wszelki tytuł mają cnotę! Ty! Tyś się urodził na co innego niż te dudki; ty jesteś jako mężczyzna tym, czym ja jako kobieta: geniuszem naciągania!

– Noc przynosi dobrą radę... pomówimy o tym jutro.

– Zjesz u mnie obiad z księciem. Mój d'Hérouville przyjmie cię z honorami, jakbyś był zbawcą kraju! A jutro zdecydujesz się na coś. No, głowa do góry, staruszk! Życie jest jak surdut: kiedy jest brudny, czyści się go; kiedy jest dziurawy, naprawia się go; ale trzeba być ubranym, póki się da!

Ta filozofia występku oraz jej werwa rozproszyły dojmujące zgryzoty Hulota.

Nazajutrz w południe, po dobrym śniadaniu, Hulot ujrzał przed sobą jedno z tych żywych arcydzieł, które sam tylko Paryż zdolny jest produkować dzięki nieustającemu konkubinatu zbytku i nędzy, występku i uczciwości, zdławionej żądzy i odradzającej się pokusy, które czynią to miasto spadkobiercą Niniwy, Babilonu i cesarskiej Romy. Panna Olimpia Bijou, dziewczynka szesnastoletnia, miała ową cudną twarz godną Madonny Rafaela, niewinne oczy przyćmione wytężającą pracą, oczy czarne, marzące, z długimi rzęsami, wilgotne, mimo że je wysuszał płomień niedospanych nocy, zgaszone zmęczeniem; przy tym cera porcelanowa, niemal chorobliwa, usta niby pęknięty owoc granatu, falująca pierś, pełne kształty, ładne ręce, zęby o lśniącej emalii, czarne bujne włosy – wszystko to spowite w drelich po siedemdziesiąt pięć centymów za metr, przystrojone haftowanym kołnierzykiem, w skórkowych grubych bucikach, w paradnych rękawiczkach za dwadzieścia dziewięć su. Dzieciak, który nie znał własnej wartości, wystroił się, jak mógł najlepiej, udając się do wielkiej pani. Baron, znów ujęty w szpony rozkoszy, czuł, iż życie całe wydziera mu się oczyma. Zapomniał o wszystkim wobec tej cudnej istoty. Był niby myśliwy na widok zwierzyny: składa się z fuzji bodaj w obecności samego cesarza!

– Tak – szepnęła mu Józefa do ucha – i nietknięte to, uczciwe i bez chleba. Oto Paryż! Ja byłam taka!

– Przyjmuję – odparł baron, wstając i zacierając ręce.

Skoro Olimpia Bijou wyszła, Józefa spojrzała filuternie na barona.

– Jeżeli nie chcesz mieć nieprzyjemności, ojczulku, bądź surowy jak prezydent sądu na swoim fotelu. Trzymaj małą w ryzach jak Bartolo. Strzeż się Augustów, Hipolitów, Nestorów, Wiktorów i wszystkich tym podobnych!... Ba, skoro to raz będzie ubrane, odziane, niech tylko podniesie główkę, a będziesz tańczył jak... Zajmę się twoją instalacją. Książę spisał się; pożyczka, to jest, daje ci dziesięć tysięcy franków, a osiem składa u rejenta, który wyliczy ci sześćset franków co kwartał, bo ja się ciebie boję... Cóż, dobra jestem?

– Cudowna!

W dziesięć dni po opuszczeniu rodziny, w chwili gdy wszyscy we łzach otaczali łożo umierającej Adeliny, która szeptała wątłym głosem: „Co się z nim dzieje?” – Hektor, pod nazwiskiem pana Thoul, zamieszkał z Olimpią przy ulicy Saint-Maur i stanął wraz z nią na czele hafciarni zarejestrowanej pod firmą Thoul i Bijou.

Nieszczęście prześladowające jego rodzinę spowodowało w Wiktorze Hulot tę ostatnią przemianę, która udoskonala lub demoralizuje człowieka. Stał się doskonały. W wielkich burzach życia naśladowujemy owych kapitanów okrętu, którzy, zaskoczeni huraganem, wyrzucają z okrętu większe pakunki. Adwokat wyzbył się swej ukrytej dumy, swojej pewności siebie, napuszonej wymowy i pretensji politycznych. Stał się, jako mężczyzna, tym, czym matka jego była jako kobieta. Pogodził się w duchu ze swoją Celestyną, która, to pewna, nie była ziszczeniem jego marzeń; zrozumiał życie, widząc, że powszechne prawo każe zadowalać się wszystkim w przybliżeniu. Postępowanie ojca przejęło go taką grozą, że poprzysiągł samemu sobie spełniać swoje obowiązki. Uczucia te umocniły się przy łożu matki, w dniu, w którym lekarze orzekli, że jest ocalona. To pierwsze szczęście nie przyszło samo jedno. Klaudiusz Vignon, który codziennie dowiadywał się o zdrowie pani Hulot w imieniu księcia de Wissemburg, poprosił Wiktora, na nowo obranego posłem, aby zechciał udać się z nim do ministra.

– Ekscelencja – rzekł – pragnie pomówić z panem o pańskich sprawach rodzinnych.

Wiktor Hulot i minister znali się od dawna; toteż marszałek przyjął go ze znamieną i dobrze wróżącą uprzejmością.

– Drogi panie – rzekł stary wojownik – w tym gabinecie przysięgłem stryjowi pańskiemu, marszałkowi, że zaopiekuję się pańską matką. Mówiono mi, że ta święta kobieta wraca do zdrowia; czas tedy opatrzeć wasze rany. Mam tu dla was dwieście tysięcy franków, oddam je panu.

Adwokat uczynił gest godny stryja jego, marszałka.

– Uspokój się pan – rzekł książe z uśmiechem. – Jest to fideikomis. Dni moje są policzone, nie będę tu wiecznie, weź pan tedy tę sumę i zastąp mnie wobec swej rodziny. Możesz użyć tych pieniędzy na spłacenie hipotek ciążących na waszym domu. Te dwieście tysięcy franków należą do pańskiej matki i siostry. Gdybym oddał tę sumę pani Hulot, lękałbym się, iż strwoni ją przez poświęcenie dla męża; intencją zaś osób, które powierzyły mi te pieniądze, jest zapewnić kawałek chleba pani Hulot i hrabinie Steinbock, jej córce. Pan jest człowiekiem roztropnym, godnym synem swej szlacheckiej matki, prawdziwym bratankiem mego przyjaciela marszałka; cenią pana, drogi przyjacielu, wysoko tutaj, jak i wszędzie: Bądź tedy aniołem opiekuńczym rodziny; przyjm dziedzictwo po stryju i po mnie.

– Ekszelencjo – rzekł Hulot, ściskając rękę ministra – ludzie tacy jak pan wiedzą, że podziękowania w słowach nie znaczą nic; wdzięczności trzeba dowieść.

– Dowiedz mi swojej! – rzekł stary żołnierz.

– Co mam uczynić? – rzekł minister.

– Przyjąć moje propozycje – rzekł minister. – Chcą pana mianować syndykiem ministerium wojny, które w dziale inżynierii ma pełno zawikłanych spraw z przyczyny fortyfikacji Paryża; dalej adwokatem-doradcą przy prefekturze policji oraz konsulentem Listy Cywilnej. Te trzy stanowiska zapewnią ci osiemnaście tysięcy franków pensji, a nie naruszają twej niezależności. Będziesz głosował w Izbie wedle swoich przekonań politycznych i wedle sumienia... Działaj pan z całą swobodą, śmiało! Bylibyśmy w wielkim kłopotcie, gdybyśmy nie mieli opozycji narodowej! Wreszcie, kilka słów pańskiego stryja, skreślonych na parę godzin przed skonem, wytyczyło mi postępowanie wobec twojej matki, którą marszałek tak kochał!... Panie Popinot, de Rastignac, de Navarreins, d'Espard, de Grandlieu, de Carigliano, de Lenoncourt i de la Batie stworzyły dla pańskiej drogiej matki posadę inspektorki dobroczynności. Te panie, przewodniczące towarzystwom dobroczynnym, nie mogą wszystkiego robić same, potrzebują osoby pewnej, która by je mogła skutecznie zastąpić, odwiedzać nieszczęśliwych, sprawdzać, czy ich miłosierdzia nie nadużywają, czy pomoc dochodzi do rąk tych, którzy o nią prosili, wnikać do domów ubogich wstydzących się żebrać etc. Matka pańska będzie pełnić czynności anioła, będzie miała do czynienia jedynie z księżmi i dobroczynnymi paniami; dadzą jej sześć tysięcy franków na rok i koszta dorożek. Widzisz tedy,

młodzieńcze, że jeszcze z grobu człowiek czysty, szlachetny, cnotliwy opiekuje się swą rodziną. Nazwiska takie jak pańskiego stryja są i powinny być, w dobrze urządzonych społeczeństwach, tarczą przeciw nieszczęściu. Idź pan w ślady stryja, wytrwaj na tej drodze, bo jesteś na niej, wiem o tym.

– Taka delikatność, ekscelencjo, nie dziwi mnie w przyjacielu mego stryja – rzekł Wiktor. – Postaram się odpowiedzieć, książe, wszystkim twoim nadziejom.

– Idź pan prędko pocieszyć rodzinę!... A, powiedz mi – dodał książe, wymieniając uścisk dłoni z Wiktorem – czy ojciec pański znikł?

– Niestety, tak.

– Tym lepiej. Nieszczęśnik okazał w tym spryt, na którym mu zresztą nie zbywa.

– Groziły mu terminy wekslowe.

– A! – rzekł marszałek – otrzymasz pan z góry półroczną pensję za swoje trzy posady. Zaliczka ta pozwoli panu zapewne wycofać te obligi z rąk lichwiarza. Zobaczą się zresztą z Nucingenem i zdołam może oczyścić pensję pańskiego ojca w ten sposób, że to nie będzie kosztowało grosza ani pana, ani ministerium. Par Francji nie zabił bankiera. Nucingen jest nienasycony i stara się o koncesję, nie wiem tam na co...

Wróciwszy na ulicę Plumet, Wiktor mógł tedy spełnić zamiar i wziąć do domu matkę i siostrę.

Młody i sławny adwokat miał, za cały majątek, jedną z najpiękniejszych nieruchomości w Paryżu, dom kupiony w roku 1834, w porze projektowanego małżeństwa, a położony przy bulwarach między ulicą de la Paix a ulicą Louis-le-Grand. Spekulant jakiś wzniosł od strony bulwaru i od ulicy dwa domy, między którymi znajdowała się otoczona ogródkami i dziedzińcem śliczna willa, szczątek dawnych świetności pałacu Verneuil. Młody Hulot, pewien posagu panny Crevel, kupił na licytacji za milion tę wspaniałą posiadłość, na którą wpłacił pięćset tysięcy franków. Ulokował się na parterze sądząc, iż zdoła spłacić resztę należności dochodem z komornego; ale o ile interesy na domach są w Paryżu pewne, o tyle bywają wolne i kapryśne, zależą bowiem od nieprzewidzianych okoliczności. I jak to paryscy spacerowicze mogli zaobserwować, bulwar między ulicą de la Paix a ulicą Louis-le-Grand długo był martwym punktem; porządkowanie go i strojenie posuwało się tak wolno, że dopiero w roku 1840 wniósł tam handel swoje wspaniałe wystawy, złoto błyszczące za szybą kantorów wymiany, czarodziejstwa mody i szalony zbytek sklepów. Mimo dwustu tysięcy franków, danych córce przez Crevela, w czasie gdy to małżeństwo pochlebiało jego miłości własnej i kiedy baron nie zabrał mu jeszcze Józefy, i mimo dwustu tysięcy franków spłaconych przez Wiktora w siedem lat, dług ciążyący na nieruchomości sięgał jeszcze pół miliona, a to z przyczyny poświęceń synowskich.

Szczęściem, rosnąca wciąż stopa komornego, świetny punkt zapewniły obecnie obu domom ich pełną wartość. Koszt budowy rozłożony był na przeciąg ośmiu lat, w czasie których adwokat z wielkim wysiłkiem opłacał procenty oraz nieznaczące sumy na kapitał. Kupcy proponowali sami korzystne najmy sklepów, pod warunkiem, że kontrakt będzie opiewał na osiemnaście lat. Ceny mieszkań rosły wskutek przesunięcia centrum interesów, które krystalizowało się wówczas pomiędzy giełdą a kościołem św. Magdaleny; tam skupiały się obecnie polityczne i finansowe władze paryskie. Suma wręczona przez ministra, wraz z zaliczką i podwyżkami komornego, miały uszczuplić dług Wiktora do dwustu tysięcy franków. Dwa czynszowe domy, całkowicie wynajęte, dałyby sto tysięcy rocznie. Jeszcze dwa lata, przez które młody Hulot miał żyć z adwokatury i posad zapewnionych mu przez ministra, a położenie jego stałoby się świetne. Była to niby manna spadła z nieba. Wiktor mógł dać matce całe piętro willi, siostrze zaś drugie piętro; gdzie Bietka miałaby dwa pokoje. Potrójny ten dom, prowadzony przez Bietkę, wytrzymałby wszystkie ciężary i przedstawiałby się przyzwoicie, jak przystało na sławnego adwokata. Gwiazdy trybunału gasły szybko; młody zaś Hulot, rozsądny, wymowny, nieskazitelny, miał posłuch u sędziów i u rajców; badał sprawy gruntownie, nie mówił nic, czego by nie mógł dowieść, nie przyjmował złej sprawy, słowem, był chlubą

palestry.

Baronowa miała taki wstręt do swego mieszkania przy ulicy Plumet, że zgodziła się przenieść na ulicę Louis-le-Grand. Dzięki względom syna Adelina zajęła tedy wspaniały apartament; oszczędzono jej wszystkich kłopotów gospodarskich, gdyż Elżbieta podjęła się dokazywać tych samych cudów oszczędności, które spełniała u pani Marneffe, widząc w tym sposób ścigania swą głuchą zemstą tych trzech szlchetnych istot, do których nienawiść jej wzmogła się jeszcze po upadku wszystkich jej nadziei. Raz na miesiąc odwiedzała Walerię, do której wysyłała ją Hortensja, chcąc mieć jakąś wiadomość o Waclawie, oraz Celestyna bardzo zaniepokojona jawnym i uznanym stosunkiem ojca z kobietą, która zrujnowała i wtrąciła w nieszczęście jej siostrę męża. Można się domyślić, że Bietka korzystała z tej ciekawości, aby odwiedzać Walerię tak często, jak się jej podobało.

Minęło przeszło półtora roku; zdrowie baronowej poprawiło się, mimo iż drzenie nerwowe nie ustąpiło. Weszła w swoje obowiązki, które dawały jej szlachetną rozrywkę w bólu oraz pokarm dla anielskich cnót jej duszy. Widziała w nich przy tym sposób odnalezienia męża, dzięki przypadkom, które wiodły ją we wszystkie dzielnice paryskie. Wśród tego splecono weksle Vauvineta i oczyszczono prawie zupełnie emeryturę, która przypadła baronowi Hulot w sumie sześciu tysięcy franków. Wiktor pokrywał wszystkie potrzeby matki i Hortensji dziesięcioma tysiącami procentu od kapitału wręzonego mu w charakterze fideikomisu przez marszałka. Ponieważ płaca Adeliny wynosiła sześć tysięcy franków, suma ta w połączeniu z sześciotysięczną pensją barona miała niebawem zapewnić matce i córce dochód dwunastu tysięcy franków rocznie, wolny od wszelkiego ciężaru. Biedna kobieta byłaby tedy niemal szczęśliwa, gdyby nie ciągłe obawy o los męża, którego chciałyby widzieć uczestnikiem szczęścia zaczynającego świtać rodzinie, gdyby nie widok opuszczonej córki i gdyby nie straszliwe ciosy, jakie bezwiednie zadawała jej Bietka, dając zupełną folgę swemu piekielnemu charakterowi.

Scena, która rozegrała się z początkiem marca roku 1843, objaśni może skutki tajemnej a wytrwałej nienawiści Bietki, wciąż wspomaganej przez panią Marneffe. W domu pani Marneffe zaszły dwa doniosłe wypadki. Przede wszystkim wydała na świat dziecko niezdolne do życia, którego trumienka przyniosła jej dwa tysiące franków renty. Następnie, co się tyczy imć pana Marneffe, oto jakie nowiny obwieściła Bietka rodzinie za powrotem ze swej wycieczki do pałacyku Walerii.

– Dziś rano – rzekła – ta okropna Waleria wezwała doktora Bianchon, aby się dowiedzieć, czy lekarze, którzy w wilię orzekli śmierć jej męża, nie omylili się. Doktor oznajmił, że jeszcze tej nocy ten ohydny człowiek stanie się własnością piekła, które go oczekuje. Stary Crevel i pani Marneffe odprowadzili lekarza, a ojciec twój, droga Celestynko, dał mu pięć sztuk złota za tę radosną wiadomość. Wróciwszy do salonu, Crevel tańczył po salonie jak baletnik, ścisnął tę kobietę i wołał: „Będziesz więc nareszcie panią Crevel!...”. Kiedy zaś zostawiła nas samych, aby wrócić do łóżka męża, który już rzeził, wasz zacny ojciec rzekł do mnie: „Mając Walerię za żonę, zostanę parem Francji! Kupię majątek (dawno mam go na oku), dobra Presles, które chce sprzedać pani de Sérizy. Będę się nazywał Crevel de Presles, zostanę członkiem rady generalnej Seine-et-Oise i posłem. Będę miał syna. Zostanę wszystkim, czym zechcę”. – „A córka pańska?” – odparłam. – „Ba! To tylko córka – odrzekł – przy tym zanadto się zhulociła, a Waleria nie może znieść tych ludzi... Mój zięć nigdy nie chciał się pokazać tutaj; po co się bawi w mentora, spartanina, purytanina, filantropa? Zresztą uregulowałem już rachunki z córką; dostała całą schedę po matce i dwieście tysięcy ponadto. Toteż mam prawo robić, co mi się podoba. Z zięciem i córką postąpię wedle tego, jak się zachowają wobec mego małżeństwa; jacy będą oni, taki będę i ja. Jeżeli będą dobrzy dla macochy, zobaczymy! Ja jestem ludzki

człowiek!”. Słowem, plół jak na mękach! I do tego przybierał pozy Napoleona na kolumnie!

Dziesięć miesięcy urzędowego wdowieństwa wymaganego przez kodeks Napoleona skończyło się przed kilku dniami. Dobra Presles stały się własnością Crevela. Właśnie tego rana Wiktorostwo posłali Bietkę do pani Marneffe, aby zasięgnęła wiadomości co do małżeństwa tej uroczej wdowy z merem Paryża, zarazem członkiem rady generalnej departamentu Seine-et-Oise.

Celestyna i Hortensja, które zbliżyły się, mieszkając pod jednym dachem, przebywały prawie ciągle razem. Baronowa, biorąca swoje obowiązki z przesadną sumiennością, oddawała się cała dobroczynności, której poświęcała czas od jedenastej do piątej. Szwagierka i bratowa, zespolone staraniem o dzieci, nad którymi czuwały wspólnie, przebywały tedy razem w domu, zajęte jakąś robotą. Doszły do tego, że myślały głośno, tworząc obraz wzruszającej harmonii dwóch sióstr, jednej szczęśliwej, drugiej pogrążonej w melancholii. Nieszczęśliwa siostra, piękna, kipiąca życiem, ożywiona, śmieszka, dowcipna, zadawała pozorami swymi jak gdyby kłam swemu położeniu; druga znowuż, melancholijna, łagodna i spokojna, równa jak sam rozsądek, z natury skłonna do zadumy, sprawiała wrażenie, że trawi ją jakaś tajemna zgryzota. Może ten kontrast przyczynił się do ich żywej przyjaźni. Kobiety te użyzczały sobie wzajem, czego brakowało każdej z nich. Siedząc w altance w ogródku, który kielnia spekulacji oszczędziła dzięki temu, iż przedsiębiorca spodziewał się ocalić tych sto stóp kwadratowych dla siebie, radowały się pierwszymi kiściami bzu, tym świętem wiosny. Wiosnę w całej pełni smakuje się jedynie w Paryżu, gdzie przez pół roku paryżanie żyją, zapominając o istnieniu roślinności, wśród ścian kamiennych, w których miota się ocean ludzki.

– Celestyno – rzekła Hortensja, odpowiadając bratowej, która się żaliła, że mąż jej na tak piękny czas siedzi w Izbie – ja uważam, że ty nie dość oceniasz swoje szczęście. Wiktor jest aniołem, a ty go czasami dręczysz.

– Moja droga, mężczyźni lubią, aby ich dręczyć. Pewne dokuczliwości stanowią dowód przywiązania. Gdyby twoja biedna matka była – nie mówię: wymagająca, ale zawsze bliska tego, nie musielibyście z pewnością opłakiwać tylu nieszczęść.

– Bietka nie wraca! Mam ochotę zaśpiewać piosenkę o Marlborough³⁰ rzekła Hortensja. – Tak mi pilno mieć jakąś wiadomość o Waławie!... Z czego on żyje? Od dwóch lat nie zrobił nic.

– Wiktor mówił mi, że któregoś dnia spotkał go z tą wstrętną kobietą, i przypuszcza, że to ona utrzymuje go w próżniactwie... Ach, gdybyś chciała, droga siostrze, mogłabyś jeszcze odzyskać męża.

Hortensja uczyniła głową znak przeczący.

30 Mowa o ludowej żartobliwej piosence: „Marlbrough s'en va-t-en guerre” (Marlbrough na wojnę wyrusza).

– Wierz mi, położenie twoje stanie się wkrótce nie do zniesienia – ciągnęła Celestyna. – W pierwszej chwili gniew, rozpacz, oburzenie użyczyły ci sił. Straszliwe nieszczęścia, które później spadły na naszą rodzinę: dwie śmierci, ruina, katastrofa ojca, wszystko to zajęło twój umysł i serce; ale teraz, kiedy żyjesz w spokoju i ciszy, niełatwo zniesiesz pustkę swego życia; że zaś nie możesz, nie chcesz zejść z uczciwej drogi, trzeba ci będzie pojednać się z Wacławem. Wiktor, który cię tak kocha, jest tego samego zdania. Jest coś silniejszego niż nasze uczucia: natura.

– Człowiek tak nikczemny! – wykrzyknęła dumna Hortensja. – Kocha tę kobietę dlatego, że go żywi... Więc to ona zapłaciła jego długi? Ona! Mój Boże! Dzień i noc myślę o położeniu tego człowieka! Jest ojcem mego dziecka, a brnie w hańbie...

– Popatrz na swoją matkę, kochanie... – odparła Celestyna.

Celestyna należała do kobiet, które, wysłuchawszy argumentów zdolnych pokonać upór bretońskiego chłopca, zaczynają po raz setny te same wywody. Typ jej twarzy, nieco płaskiej, zimnej i pospolitej, jasnokasztanowate włosy zaczesane gładko, cera, wszystko to wskazywało kobietę rozsądną, bez wdzięku, ale i bez słabości.

– Baronowa chciałaby z serca żyć przy zniesławionym mężu, pocieszać go, skryć go w swym sercu przed wszystkimi oczyma – ciągnęła Celestyna. – Kazała urządzić na górze pokój dla pana Hulot, jak gdyby lada dzień miała go odszukać i sprowadzić.

– Och! Matka jest wzniosła! – odparła Hortensja. – Jest wzniosła każdej chwili, co dzień od dwudziestu sześciu lat; ale ja nie jestem taka... Cóż chcesz! Wściekam się czasem sama na siebie. Och! Ty nie wiesz, co to jest, Celestyno, musieć paktować ze sromotą!

– A mój ojciec!... – odparła spokojnie Celestyna. – Najoczywiściej jest na tej drodze, na której twój zginął; jest o dziesięć lat młodszy od barona i był kupcem, to prawda; ale jak to się skończy? Ta pani Marneffe zrobiła sobie z ojca swego pieska; włada jego majątkiem, każdą jego myślą i nic nie jest w stanie go otrzeźwić. Drzę, iż lada chwila się dowiem, że zapowiedzi już ogłoszono! Wiktor chce jeszcze próbować walczyć; uważa za swój obowiązek pomścić społeczeństwo, rodzinę i zażądać od tej kobiety rachunku ze wszystkich jej zbrodni. Ach, droga Hortensjo, szlachetne dusze, takie jak Wiktor, serca jak nasze – zbyt późno uczą się poznawać świat i jego sposoby! To, co ci mówię, siostrze, to tajemnica; powierzam ci ją, bo i ciebie dotyczy; ale ani słowem, ani gestem nie zdradź jej ani przed Elżbietą, ani przed matką, ani przed nikim, gdyż...

– Otóż i Bietka! – rzekła Hortensja. – No i cóż, kuzynko, co słyhać w piekle przy ulicy Barbet?

– Źle słyhać dla was, moje dzieci. Twój mąż, droga Hortensjo, bardziej niż kiedykolwiek szaleje dla tej kobiety, która, przyznaję to, kocha się w nim jak wariatka. Twój ojciec, droga Celestyno, zaślepiony jest iście po królewsku. To jeszcze nic, patrzę na to co dwa tygodnie i doprawdy szczęśliwa jestem, że nigdy nie doświadczyłam, co to mężczyzna... To istne bydłeta. Za pięć dni Wiktor i ty, drogie maleństwo, pożegnacie się z majątkiem ojca.

– Czy wyszły zapowiedzi?... – spytała Celestyna.

– Tak – odparła Bietka. – Broniałam przed chwilą waszej sprawy. Powiedziałam temu potworowi, który idzie w ślady tamtego, że gdyby zechciał wydobyć was z kłopotu, oczyszczając wasz dom, umielibyście być wdzięczni i zgodzilibyście się przyjąć macochę.

Hortensja wzdrygnęła się.

– Wiktor zdecyduje... – odparła chłodno Celestyna.

– Czy wiecie, co mi odpowiedział pan mer? – ciągnęła Elżbieta: – „Wolę ich zostawić w kłopotach; konie poskramia się tylko głodem, bezsennością i cukrem!”. Baron Hulot więcej był wart od Crevela... Tak więc, drogie dzieci, pożegnajcie się ze spadkiem. I co za majątek! Ojciec zapłacił trzy miliony za posiadłość Presles i jeszcze zostało mu trzydzieści tysięcy renty! Och! On nie ma dla mnie tajemnic. Myśli kupić pałac książąt Navarreins przy ulicy du Bac. Pani Marneffe ma osobiście czterdzieści tysięcy renty. Ach, otóż i nasz anioł stróż, twoja matka!... – zawołała, słysząc turkot powozu.

Istotnie baronowa ukazała się niebawem w ganku i przyłączyła się do rodzinnego grona. Mając lat pięćdziesiąt pięć, doświadczona tyłoma nieszczęściami, drżąc bez ustanku jak gdyby w napadzie febry, Adelina, blada i pomarszczona, zachowała piękną figurę, wspaniałe linie i wrodzoną szlachetność gestu. Każdy, kto ją ujrzał, mówił: „Musiała być bardzo piękna!”. Trawiona zgryzotą, że nie wie nic o mężu, że nie może mu dać schronienia w tej oazie paryskiej, w spokoju, ciszy i dobrobycie, jakimi niebawem rodzina miała się cieszyć, była żywym obrazem majestatycznej ruiny. Po każdym zgasłym błysku nadziei, po każdej bezowocnej próbie Adelina wpadała w czarną melancholię, która przywodziła do rozpaczycy jej dzieci. Oczekiwano niecierpliwie baronowej, która wyruszyła rano z cieniem nadziei. Pewien generalny intendent, który zawdzięczał Hulotowi swoją karierę urzędniczą, mówił, iż widział barona w łoży teatru Ambigu-Comique z kobietą cudnej piękności. Adelina udała się do barona Vernier. Dygnitarz ten, twierdząc, iż widział swego protektora, i utrzymując, że zachowanie jego z tą kobietą świadczyło o czułym stosunczku, objaśnił zarazem panią Hulot, że jej mąż, nie chcąc widocznie go spotkać, wyszedł o wiele przed końcem przedstawienia. Wyglądał, jakby był w gronie rodziny, a strój jego świadczył o ukrytym niedostatku – dodał na zakończenie.

– I cóż? – spytały baronowej trzy kobiety.

– A więc jest w Paryżu – odparła Adelina – i to już jest dla mnie błysk szczęścia, wiedzieć, że jest blisko nas.

– Nie wydaje się, aby się poprawił! – rzekła Bietka, kiedy Adelina opowiedziała całą rozmowę z baronem Vernier. – Widocznie żyje z jakąś gryzetską. Ale skąd on może brać pieniądze? Założyłabym się, że wyciąga je od dawnych kochanek, od panny Jenny Cadine albo od Józefy.

Drżenie nerwowe baronowej wzmogło się; otarła łzy, które jej napłynęły do oczu, i podniosła bolesny wzrok do nieba.

– Nie sądzę, aby wielki oficer legii honorowej mógł spaść tak nisko – rzekła.

– Dla swojej przyjemności – odparła Bietka – czegoż by on nie zrobił? Okradł skarb, okradnie i prywatnych, zabije może...

– Och! Elżbieto! – wykrzyknęła baronowa – zachowaj te myśli dla siebie.

W tej chwili Ludwika zbliżyła się do grupy rodzinnej, do której przyłączyło się dwóch Hulocików i mały Wacio sprawdzając, czy w kieszeniach babki nie ma łakoci.

– Co tam, Ludwiko?... – spytano.

– Człowiek jakiś chce się widzieć z panną Fischer.

– Co za człowiek? – rzekła Elżbieta.

– Och, proszę panienki, w łachmanach, na sobie ma pełno kłaków jak jaki tapicer, czerwony nos, czuć go winem i wódką... O, jeden z tych robotników, co to pięć dni w tygodniu świętują.

Ten niezbyt zachęcający opis sprawił, iż Elżbieta żywo pobiegła na podwórze domu położonego od ulicy Louis-le-Grand, gdzie zastała człowieka pykającego z artystycznie opalonej fajki.

– Po co tu przychodzicie, ojczy Chardin? – rzekła. – Umówione jest, że macie być w pierwszą sobotę każdego miesiąca w bramie pałacu Marneffe, przy ulicy Barbet-de-Jouy; czekałam tam na was pięć godzin, a was nie było!...

– Byłem, czcigodna i litościwa paniusiu – odparł tapicer – ale była właśnie honorowa pulka w kawiarni „Uczonych” przy ulicy Coeur-Volant, a każdy ma swoją pasję. Moja – to bilard. Gdyby nie bilard, jadałbym na srebrze; bo zważ to pani dobrze – rzekł, szukając jakiegoś papieru w podartych spodniach – bilard pociąga za sobą kieliszeczek i śliweczkę moczoną... Jak we wszystkich pięknych rzeczach, rujnują nas dodatki. Znam naszą umowę, ale stary jest w takich opalach, że przyszedłem tu na grunt zakazany... Gdyby nasze włosie było czystym włosiem, człowiek by na nim łatwo zasnął, ale jest mieszane, o!... Bóg jest nie dla wszystkich, jak mówią; ma swoje sympatie; to mu wolno. Oto pismo pani szanownego krewniaka, który znowuż ma wielką sympatię do materaca... To jego opinia polityczna.

Ojciec Chardin starał się nakreślić w powietrzu jakieś zygzaki wskazującym palcem prawej ręki.

Nie słuchając go, Bietka odczytała tych parę wierszy:

*Droga kuzynko, bądź moją opatrnością. Daj mi dziś
trzysta franków*

Hektor

– Na co on chce tyle pieniędzy?

– Gospodarz! – rzekł ojciec Chardin, wciąż siłąc się kreślić arabeski. – A przy tym mój syn wrócił z Algieru przez Hiszpanię, Bayonnę i... wbrew swemu zwyczajowi, nic nie przywiózł; bo to skończone la-a-daco z prze-e-proszeniem pani, mój synalek. Cóż pani chce? Głodny jest; ale on odda pani wszystko, co my mu pożyczymy, o, ma na oku jeden interes; ho ho, ma pomysły, które go mogą zawieść daleko...

– Do kryminału! – odparła Elżbieta. – To morderca mego stryja; tego mu nie zapomnę.

– On! On by kurczęcia nie był zdolny zabić, szacowna paniusiu.

– Ot, masz tu trzysta franków – rzekła, wyjmując z sakiewki piętnaście sztuk złota. – Idź i nie pokazuj się tu nigdy.

Odprowadziła ojca owego magazyniera z Oranu aż do bramy, gdzie pokazała pijanego starca odźwiernemu.

– Ile razy ten człowiek tu przyjdzie (gdyby przypadkiem wrócił), nie wpuścicie go i powiecie, że mnie nie ma. Gdyby się dowiadywał, czy nie mieszka tu młody pan Hulot albo pani baronowa, powiecie mu, że wcale nie znacie tych osób.

– Dobrze, proszę pani.

– Straciecie miejsce, jeśli palniecie głupstwo, choćby mimo woli – rzekła stara panna odźwiernej do ucha. – Kuzynie – rzekła do wchodzącego adwokata – grozi ci wielkie nieszczęście.

– Jakie?

– Pani Marneffe będzie za kilka dni macochą twojej żony.

– To jeszcze zobaczymy – odparł Wiktor.

Od pół roku Bietka wypłacała regularnie małą pensyjkę swemu protektorowi, baronowi Hulot, którego ona z kolei została protektorką. Znała sekret jego mieszkania i syciła się łzami Adeliny, której, ilekroć widziała ją wesołą i pełną nadziei, rzucała, jak w tej chwili: „Bądź na to przygotowana, że lada dzień wyczytasz nazwisko biednego Hektora w rubryce sądowej”. I w tym, jak poprzednio, posunęła się w zemście za daleko. Obudziła czujność Wiktora. Wiktor postanowił skończyć z tym mieczem Damoklesa, wciąż ukazywanym przez Elżbietę, i z tym demonem niewieścim, który sprowadził tyle nieszczęść na jego matkę i na całą rodzinę. Księżę de Wissemburg, który znał prowadzenie pani Marneffe, popierał tajemne zamysły adwokata. Przyrzekł mu, tak jak może przyrzec prezydent ministrów sekretną pomoc policji w tym, aby otworzyć oczy Crevelowi i ocalić jego fortunę ze szponów szatańskiej kurtyzany, której nie mógł przebaczyć ani śmierci marszałka Hulot, ani doszczętnej ruiny radcy stanu.

Te słowa: „Wyciąga pieniądze od dawnych kochanek”, prześladowały baronową całą noc. Podobnie jak beznadziejnie chorzy, którzy się oddają w ręce szarlatanom, jak ludzie, którzy doszli do ostatniego dantejskiego kręgu rozpacz, lub jak tonący, którzy biorą kij pływający po wodzie za linę, uwierzyła w końcu w tę podłość, której samo przypuszczenie zrazu ją oburzyło, i wpadła na myśl wezwania na pomoc jednej z tych wstrętnych kobiet. Nazajutrz rano, nie poradziwszy się dzieci, nie mówiąc słowa nikomu, udała się do panny Józefy Mirah, primadonny królewskiej Akademii Muzycznej, aby tam znaleźć lub stracić nadzieję, która jej błysła na kształt błędnego ognika. W południe służąca sławnej śpiewaczki wręczyła swej pani bilet baronowej Hulot oznajmiając, że ta osoba czeka przy drzwiach, kazawszy spytać, czy pani ją przyjmie.

– Mieszkanie sprzątnięte?

– Tak, proszę pani.

– Kwiaty zmienione?

– Tak, proszę pani.

– Powiedz Janowi, niech rzuci okiem, czy niczego nie brakuje, zanim wprowadzi tę panią, dla której macie być wszyscy z największym szacunkiem. Idź i wracaj mnie ubrać, bo chcę być piękna jak wszyscy diabli!

Podeszła do wielkiego lustra.

– Trzeba się wystroić! – rzekła sobie. – Występek musi być pod bronią w obliczu cnoty! Biedna kobieta! Czego ona chce ode mnie?... Dziwnie mi nieswojo, oglądać tę

Wzniosłą nieszczęścia ofiarę!

Kończyła śpiewać tę słynną arię, kiedy wróciła panna służąca.

– Proszę pani – rzekła – ta pani dostała nerwowej drżączki...

– Podaj kwiat pomarańczowy, rumu, bulionu...

– Próbowałam, proszę pani, ale odmówiła wszystkiego powiadając, że to małe niedomaganie, podrażnienie nerwów...

– Gdzieście ją wprowadzili?

– Do wielkiego salonu.

– Żywo, dziewczyno! Dalej, moje najładniejsze pantofle, szlafroczek z haftem Bijou, zatrząsienie koronek. Uczesz mnie tak, żeby niebożę zgłupiało... Ta kobieta to mój kontrast! I niech powiedzą tej damie (bo to prawdziwa dama, moje dziecko! ba, jeszcze więcej, to coś, czym ty nie będziesz nigdy: kobieta, której modły wybawiają duszę z waszego czyścica!), niech jej powiedzą, że jestem w łóżku, że grałam wczoraj, że wstaję...

Baronowa, wprowadzona do największego z salonów Józefy, nie zauważyła, jak jej czas przeszedł, mimo że czekała dobre pół godziny. Salon ten, już odnawiany od czasu, jak Józefa zajmowała pałacyk, obity był jedwabiem koloru massaca ze złotem. Zbytek, jaki niegdyś wielcy panowie rozwijali w swoich kawalerskich domkach i którego tyle świetnych szczątków świadczy o szaleństwach usprawiedliwiających ich miano (*folies*), lśnił całym udoskonaleniem nowoczesnych środków w czterech na oścież otwartych pokojach, w których niewidoczny kaloryfer utrzymywał miłą temperaturę. Oszołomiona baronowa przyglądała się każdemu artystycznemu cacku z głębokim zdumieniem. Znajdowała tam wytłumaczenie owych fortun topniejących w tyglu, pod którym rozkosz i próżność utrzymują żarzący płomień. Ta kobieta, która od dwudziestu sześciu lat żyła wśród zimnych relikwii zbytku z epoki Cesarstwa, której oczy oglądały wyblakłe kwiaty dywanów, szerniałe brązy, jedwabie spelzłe jak jej serce, ujrzała potęgę uroków występku, widząc jej rezultaty. Nie można było nie zazdrościć tych pięknych rzeczy, tych cudownych wytworów, na które złożyli się wszyscy nieznani wielcy artyści, tworzący dzisiejszy Paryż i jego czarodziejską produkcję. Wszystko tam zdumiewało doskonałością unikatów. Modele zostały zniszczone; toteż kształty, posążki, rzeźby, wszystko było oryginałem. Było to ostatnie słowo dzisiejszego zbytku. Posiadać rzeczy

niespospolitowane przez dwa tysiące bogatych mieszczuchów, którzy biorą za zbytek natłoczenie bogactw zawałających wszystkie magazyny – oto cecha prawdziwego zbytku, zbytku nowoczesnych wielkich panów, meteorów paryskiego firmamentu. Oglądając żardiniery pełne najrzadszych egzotycznych kwiatów, zdobne cyzelowanymi brązami w rodzaju tak zwanym Boule'a, baronowa przeraziła się ilością bogactw zawartych w tym mieszkaniu. Uczucie to musiało nieodzownie objąć i osobę, którą opływał ten strumień zbytku. Adelina pomyślała, że Józefa Mirah, której portret, pędzla Józefa Bridau, jaśniał w sąsiednim buduarze, jest genialną śpiewaczką, drugą Malibran, i spodziewała się ujrzeć istną lwicę. Żałowała, że przysła. Ale pchało ją uczucie tak silne, tak naturalne, poświęcenie tak pozbawione rachuby, że zebrała całą odwagę, aby znieść to spotkanie. Przy tym spodziewała się zaspokoić swoją palącą ciekawość, przejrzeć urok, jaki posiadają te kobiety, umiejące wycisnąć tyle złota ze skąpych pokładów paryskiego gruntu. Baronowa przyjrzała się sobie, aby sprawdzić, czy nie razi zbyt na tle całego tego zbytku; ale nie: godnie wyglądała w aksamitnej sukni, którą stroił kołnierz ze wspaniałej koronki; aksamitny kapelusz tego samego koloru również był jej do twarzy. Widząc, że zawsze jest imponująca jak królowa, która pozostaje królową, nawet gdy ją złożą z tronu, pomyślała, że szlachectwo nieszczęścia warte jest szlachectwa talentu.

Usłyszała, że drzwi otwierają się i zamykają; wreszcie ujrzała Józefę. Śpiewaczka podobna była do „Judyty” Allorisa, niezapomnianej dla wszystkich, którzy ją widzieli w pałacu Pitti, przy drzwiach wielkiego salonu: ta sama dumna poza, ta sama cudna twarz, swobodnie spięte czarne włosy. Żółty szlafroczek, zahartowany tysiącem kwiatów, zupełnie był podobny do brokatu, który odziewa nieśmiertelną mężobójczynię stworzoną przez siostrzeńca wielkiego Bronzino.

– Pani baronowo, zawstydzta mnie zaszczyt, jaki mi pani wyświadcza, przychodząc tutaj – rzekła śpiewaczka, która postanowiła sobie dobrze odegrać rolę wielkiej damy.

Sama podsunęła baronowej fotel, dla siebie biorąc taborecik. Oceniała minioną piękność tej kobiety i odczuła głęboką litość na widok tej nerwowej drzączki, która za najmniejszym wzruszeniem stawała się niemal konwulsyjna. Jednym spojrzeniem odczytała świętość tego życia, które niegdyś opisywali jej Crevel i Hulot; i nie tylko odeszła ją myśl walczenia z tą kobietą, ale ukorzyła się przed tą wielkością, zrozumiała ją. Wielka artystka uczuła podziw dla tego, z czego drwiła kurtyzana.

– Pani, przywiodła mnie tu rozpacz, która nie pozwala przebierać w środkach...

Gest Józefy dał uczuć baronowej, że zraniła tę, od której spodziewała się tak wiele. Spojrzała na artystkę. Błagalne to spojrzenie zgasiło płomień w oczach Józefy; uśmiechnęła się. Ta niema gra między dwiema kobietami miała swoją straszną wymowę.

– Oto już półtrzecia roku, jak mąż mój opuścił rodzinę, i nie wiem, gdzie jest, mimo iż wiem, że mieszka w Paryżu – podjęła wzruszonym głosem baronowa. – Sen nasunął mi myśl, niedorzeczną może, że los jego nie jest pani obcy. Gdyby pani mogła ułatwić mi widzenie z mężem, och, pani, modliłabym się za panią co dzień, póki mego życia tu na ziemi...

Dwie wielkie łzy, które zabłyśły w oczach śpiewaczki, zwiastowały jej odpowiedź.

– Pani – rzekła z akcentem głębokiej pokory – wyrządziłam jej dużo złego, nie znając pani; ale teraz, kiedy mam szczęście oglądać w pani osobie najwyższy obraz cnoty na ziemi, wierzę mi, iż czuję cały ciężar mojej winy, odczuwam szczerzy żal; toteż niech pani będzie pewna, iż zdolna jestem do wszystkiego, aby to zło naprawić!...

Ujęła rękę baronowej i nim ta zdołała przeszkodzić, ucałowała ją z największym uszanowaniem; posunęła się nawet do tego, iż zgięła kolano. Następnie podniosła się dumnie, jak gdyby wchodziła na scenę w roli Matyldy, i zadzwoniła.

– Śpiesz – rzekła do kamerdynera – weź konia, niech padnie, jeżeli trzeba, ale znajdź mi małą Bijou, przy ulicy Saint-Maur-du-Temple. Sprowadź mi ją, wsadź do powozu i zapłać woźnicę, aby jechał galopem. Nie trać ani chwili... albo cię odprawię.

Pani – rzekła, wracając do baronowej i przemawiając głosem pełnym szacunku – powinna mi pani przebaczyć. Skoro tylko zdobyłam księcia d'Hérouville jako protektora, natychmiast odprawiłam barona, dowiedziawszy się, że rujnuje dla mnie rodzinę. Co mogłam uczynić więcej? W teatralnej karierze, w początkach, jakiś protektor jest nieodzowny. Płaca nasza nie pokrywa połowy wydatków, bierzemy sobie tedy takich czasowych mężów... Nie zależało mi na panu Hulot, który skłonił mnie do porzucenia pewnego bogacza, próżnego a głupca. Stary Crevel byłby się ze mną z pewnością ożenił...

– Mówił mi to – wtrąciła baronowa.

– Widzi więc pani! Byłabym dziś uczciwą kobietą, żoną tylko jednego legalnego męża!

– Dużo rzeczy panią usprawiedliwia – rzekła baronowa – Bóg to osądzi. Co do mnie, nie tylko nie zamierzam pani robić wymówek, ale przyszłam, przeciwnie, zaciągnąć wobec pani dług wdzięczności.

– Będzie już blisko trzy lata, jak myślę o potrzebach pana barona...

– Pani! – wykrzyknęła baronowa, której łzy napłynęły do oczu.

– Och! Czym mogę się odwdziaczyć? Mogę się tylko modlić...

– Ja i księżę d'Hérouville – ciągnęła śpiewaczka – szlachetne serce, prawdziwy wielki pan...

I Józefa opowiedziała zagospodarowanie i „małżeństwo” pana Thoul.

– Zatem – rzekła baronowa – dzięki pani mężowi memu nie zbywało na niczym?

– Staraliśmy się o to, pani.

– A gdzie jest?

– Księżę mówił mi jakieś pół roku temu, że baron, znany jego rejentowi pod nazwiskiem pana Thoul, wyczerpał sumę ośmiu tysięcy franków, z których miał pobierać co kwartał równe raty – odparła Józefa. – Ani ja, ani pan d'Hérouville nie słyszeliśmy nic o baronie. Życie nasze w teatrze jest tak gorączkowe, tak wypełnione, że nie mogłam rozbijać się za starym Thoul.

Przypadkowo, od pół roku, Bijou, moja hafciarka, a jego... jak mam powiedzieć?

– Jego kochanka – rzekła pani Hulot.

– Jego kochanka – powtórzyła Józefa – nie była tutaj. Może panna Olimpia Bijou się rozwiodła. W naszym okręgu rozwód zdarza się często.

Józefa wstała, wybrała co najrzadsze kwiaty z żardinerek i zrobiła prześliczny, czarujący bukiet dla pani Hulot. Baronowa, musimy wyznać, zawiodła się zupełnie w swoich oczekiwaniach. Podobnie jak poczciwe mieszczychy uważają genialnych ludzi za rodzaj potworów, które jedzą, piją, chodzą, mówią zupełnie inaczej niż inni ludzie, tak baronowa spodziewała się ujrzeć Józefę-czarodziejkę, Józefę-śpiewaczkę, pełną dowcipu i pokus kurtyzany; ujrzała spokojną i taktowną kobietę, talent uszlachetniony poczuciem swej wartości, prostotą aktorki, która wie, że co wieczór jest królową. Więcej jeszcze, ujrzała kobietę lekkiego życia, która spojrzeniem swoim, pozą, obejściem oddawała pełny i doskonały hołd kobiecie cnotliwej, Matce bolesnej ze świętego hymnu, i która stroiła kwiatami jej rany, tak jak we Włoszech stroi się kwiatami Madonnę.

– Pani – oznajmił lokaj wróciwszy po pół godzinie – stara Bijou już idzie; ale małej Olimpji niech się pani nie spodziewa. Hafciarka pani porosła w pierze; wyszła za mąż...

– Na wiarę?... – spytała Józefa.

– Nie, proszę pani, naprawdę za mąż. Jest na czele wspaniałego zakładu, wyszła za mąż za właściciela wielkiego magazynu konfekcji, w który włożono miliony, na bulwarze des Italiens, hafciarnię zaś zostawiła siostrze i matce. Nazywa się pani Grenouville. Ten kupiec, bogacz całą gębą...

– Taki Crevel!

– Tak, pani – odparł kamerdyner. – Przyznał w intercyzie pannie Bijou trzydzieści tysięcy renty. Jej starsza siostra podobno także ma wyjść za bogatego rzeźnika.

– Zdaje się, że źle stoi pani sprawa – rzekła śpiewaczka do baronowej. – Pana barona nie ma już tam, gdzie go umieściłam.

W dziesięć minut później oznajmiono panią Bijou, Józefa przez ostrożność poprosiła baronową do buduaru, zasuwając portierę.

– Krępowałaby ją pani, nie wygadałaby się z niczym, domyślając się, że pani ma w tym jakiś interes. Niech mi pani pozwoli ją wypowiadać! Niech się pani schowa, będzie pani słyszała wszystko. Tę scenę grywa się równie często w życiu, jak w teatrze. – I cóż, pani Bijou – rzekła śpiewaczka do starej, odzianej w tartanową suknię niby odzwierciana w święto – jesteście tedy wszyscy szczęśliwi? Udało się waszej córce!

– Och, szczęśliwi! Córka daje nam sto franków miesięcznie, a sama jeździ powozem, jada na srebrze, jest milionerką!... Olimpka mogłaby nas wyciągnąć z naszej biedy. W moim wieku pracować!... To się nazywa dobrodziejstwo?

– To brzydko, że jest niewdzięczna, bo przecież pani zawdzięcza swą urodę – odparła Józefa – ale dlaczego nie przyszła mnie odwiedzić? Wszak to ja wydobyłam ją z nędzy, swatając ją memu wujowi...

– Tak, pani, panu Thoul!.... Ale to już starowina, do niczego...

– Cóżeście z nim zrobili? Czy jest u was?... Źle zrobiła, że z nim zerwała; pan Thoul ma teraz miliony...

– Och, Boże miłosierny – rzekła stara Bijou – toż samo jej mówiłam, kiedy mu tak zalewała sadła za skórę. Biedny stary, to była sama dobroć! O, ależ mu ona dojadła. Widzi pani, Olimpka wdała się w złe towarzystwo!

– Jak to?

– Poznała się, z przeproszeniem pani, z jednym klakierem, siostrzeńcem starego tapicera z przedmieścia Saint-Marceau. Ot, nygus, nieroba, jak każdy ładny chłopiec; wisi przy teatrze! No i lecą na niego wszystkie dziewczęta z bulwaru du Tempie, gdzie on pcha nowe sztuki, jak mówi, i robi klakę aktorkom. I jak sobie żyje! Rano śniadanie, i to nie byle jakie; przed teatrem obiadek, dobrze podlany; do kieliszka i do bilardu to już ma pociąg od urodzenia. „To nie jest żaden fach!” – mówiłam Olimpce.

– Niestety, to jest fach – wtrąciła Józefa.

– Słowem, Olimpka straciła głowę dla tego chłopca, który, proszę pani, obracał się w bardzo lichym towarzystwie; o mało że go nie nakryli w pewnym szynku, gdzie bywają złodzieje; ale wstawił się za nim pan Braulard, szef klaki. Nosi to złote kolczyki, żyje to z próżniactwa, za pieniądze bab, które szaleją za takimi cacusiami! Przejadał wszystko, co pan Thoul dawał Olimpce. Zakład szedł bardzo lichy. Co wpłynęło z haftu, to szło na bilard. Otóż, proszę ja pani, ten glancuś miał ładną siostrę, która robiła toż samo co i brat, ot, zdzira, w dzielnicy studenckiej.

– Loretka z Chaumiere – rzekła Józefa.

– Tak, właśnie – odparła stara Bijou. – Otóż, Idamor (przezwał się Idamor, to taki jego pseudonim, bo nazywa się Chardin), Idamor wpadł na to, że panin wuj musi mieć o wiele więcej pieniędzy, niż się przyznaje, i wkreślił, bez wiedzy mojej córki, Elodię, swoją siostrę (przezwał ją tak po teatralnemu), do nas za robotnicę. Boże miłosierny! Wszystko przewróciła do góry nogami, zeświniła wszystkie dziewczęta, tak że, z przeproszeniem pani, i zgrzebłem by ich nie doczyścić... I dokazała tyle, że wzięła dla siebie ojca Thoul, i zabrała go, tak iż z tego mieliśmy kłopoty, niby skroś tych weksli. Jeszcze do dziś nie zdołaliśmy się wypłacić, ale moja córka, która została w interesie, pilnuje terminów. Kiedy Idamor widział, że ma starego w garści (niby przez siostrę), puścił kantem moją biedną dziewczynę i teraz żyje z amantką z Funambules... I stąd poszło małżeństwo mojej córki, jak pani zaraz zobaczy...

– Ale pani wie, gdzie mieszka ów tapicer?... – spytała Józefa.

– Stary Chardin? Alboż takie tałatajstwo mieszka?... Pijany jest od szóstej rano, zrobi jeden materac na miesiąc, siedzi cały miesiąc po szynkach i rżnie w bilard... Wygra co dzień dwie, trzy pule i pije...

– Ale Idamor wiadomo, gdzie pracuje; przy pomocy mego przyjaciela Braulard znajdziemy go.

– Nie wiadomo, proszę pani, bo to wszystko działo się już z pół roku temu. Idamor to jeden z tych, co to najpierw mają do czynienia z policją, potem z sądem, a potem... no!...

– Na paszę!³¹ – rzekła Józefa.

– Ba! Pani zna wszystko – rzekła z uśmiechem stara Bijou. – Gdyby córka nie poznała tego łobuza, byłaby... Ale i tak miała szczęście, powiem pani; bo pan Grenouville rozkochał się w niej tak, że się z nią ożenił...

– Jakże przyszło do tego małżeństwa?

– Z deszperacji, proszę pani. Kiedy Olimpka zobaczyła, że glancuś puścił ją dla tej amantki (niby co go żywiła ze swego), dalejże go prać po głębie!... No i kiedy straciła jeszcze ojca Thoul, który byłby w ogień za nią skoczył, chciała już plunąć na wszystkie mężczyzny. Wtedy pan Grenouville, który dużo bierał od nas, dwieście haftowanych szalów chińskich na kwartał, chciał ją pocieszyć; ale, szczerze czy nie, ona nie chciała o niczym słyszeć inaczej jak przez parafię. „Chcę być uczciwą!... – powtarzała ciągle – albo sobie koniec zrobię”. I wytrzymała. Pan Grenouville zgodził się z nią ożenić, ale pod warunkiem, że się nas wyrzeknie, no i przystaliśmy...

– Za gotówkę? – spytała bystra Józefa.

31 We francuskiej gwarze więziennej – do więzienia.

– Tak, pani, dziesięć tysięcy franków i rentę dla mego ojca, który nie może już pracować.

– Prosiłam córkę pani, aby dbała o szczęście mego wuja, a ona wepchnęła go w błoto! To wstętne. Nie zrobię już nic dla nikogo! Oto co znaczy bawić się w dobroczynność!... Stanowczo, dobroczynność dobra jest tylko jako spekulacja. Olimpka powinna mnie była bodaj uprzedzić o tych szacherkach. Jeżeli mi odnajdziecie do dwóch tygodni ojca Thoul, dam wam tysiąc franków...

– To bardzo ciężko, proszę łaski pani, ale tysiąc franków, o, to ładny pieniądz: postaramy się je zarobić.

– Żegnam panią, pani Bijou.

Wchodząc do buduaru, śpiewaczka zastała panią Hulot zupełnie zemdloną; ale mimo utraty zmysłów wciąż trzęsła się swoim nerwowym drżeniem, tak jak członki przeciętej żmii rzucają się jeszcze. Mocne sole, zimna woda, wszystkie zwyczajnie używane środki przywróciły baronowej życie lub można rzec raczej: świadomość bólu.

– Och, pani, jakże on nisko upadł!... – rzekła, poznając śpiewaczkę i widząc, że jest z nią sama.

– Odwagi, pani – odparła Józefa, która siadła na poduszce u stóp baronowej i całowała jej ręce – odnajdziemy go; a jeżeli jest w błocie, no, to się umyje. Niech mi pani wierzy, dla osób dobrze wychowanych to kwestia ubrania... Niech mi pani pozwoli okupić moje winy wobec pani, bo widzę, jak pani jest przywiązana do męża mimo jego postępowania, skoro pani tu przyszła. Ano cóż, nieboraczek, lubi kobietki... Ha, widzi pani, gdyby pani miała trochę naszego szyku, byłaby go pani utrzymała przy sobie; stałaby się pani dla niego tym, czym my mniemy być; wszystkimi kobietami dla jednego mężczyzny. Rząd powinien by założyć szkołę gimnastyki dla uczciwych kobiet! Ale rządy są tak obłudne... są w rękach ludzi, których w rękach mamy my! Żal mi ludów, którymi rządzą!... Ale chodzi o to, aby pani pomóc, a nie aby żartować... A więc niech pani będzie spokojna, wraca do domu i nie trapi się już. Przyprowadzę pani jej Hektora takim, jakim był przed trzydziestu laty.

– Och, pani, chodźmy do tej pani Grenouville! – rzekła baronowa. – Ona musi coś wiedzieć; może dziś jeszcze zobaczę męża, może zdołam go zaraz wyrwać z nędzy i hańby...

– Pani, z góry dowiodę pani mojej głębokiej wdzięczności za zaszczyt, jaki mi pani uczyniła; a dowiodę jej, nie afiszując śpiewaczki Józefy, kochanki księcia d'Hérouville, obok najpiękniejszego, najświętszego obrazu cnoty. Zbyt panią poważam, aby się pokazywać obok pani. To nie jest pokora komediantki, ale hołd, jaki pani oddaję. Patrząc na panią żałuję, że nie poszłam tą drogą co pani, mimo cierni, które kaleczą ci ręce i nogi! Ale cóż począć! Ja służę sztuce, tak jak pani cnotcie...

– Biedne dziecko – rzekła baronowa, zdjęta wśród własnych cierpień drgnieniem współczującej sympatii – będę się modliła do Boga za ciebie, bo jesteś ofiarą społeczeństwa łaknącego widowisk. Kiedy przyjdzie starość, oddaj się pokucie... będziesz wysłuchana, jeżeli Bóg raczy przyjąć modły...

– Męczennicy – dokończyła Józefa, całując ze czcią suknię baronowej.

Ale Adelina ujęła rękę śpiewaczki, przyciągnęła ją do siebie i pocałowała w czoło. Zarumieniona z przyjemności śpiewaczka odprowadziła Adelinę do powozu z oznakami największej uniżoności.

– To jakaś dama od dobroczynności – rzekł kamerdyner do panny służącej – bo nasza nie jest taka dla nikogo, nawet dla swojej przyjaciółki od serca, panny Jenny Cadine!

– Niech pani zaczeka jeszcze kilka dni – rzekła Józefa – ujrzy go pani albo się wyprę Boga moich ojców; a dla Żydówki, widzi pani, to wielkie zakłęcie.

W chwili gdy baronowa wchodziła do Józefy, Wiktor przyjmował w swoim gabinecie staruszkę może siedemdziesięcioletnią, która, aby dotrzeć do sławnego adwokata, posłużyła się groźnym nazwiskiem naczelnika policji. Kamerdyner oznajmił:

– Pani de Saint-Estève.

– Wzięłam jeden z moich pseudonimów – rzekła, siadając.

Na widok tej okropnej starej Wiktoorem wstrząsnął jakiś – jeżeli można tak nazwać – wewnętrzny dreszcz. Mimo iż bogato ubrana, przerażała ona wyrazem zimnej złości, wyciśniętym na jej płaskiej twarzy, straszliwie pomarszczonej, mięsistej i białej. Marat, gdyby był kobietą i w tym wieku, byłby, jak pani Saint-Estève, żywym obrazem Terroru. Ta okropna stara miała w swoich jasnych małych oczkach krwiożerczość tygrysa. Spłaszczony nos, o dużych owalnych nozdrzach zięjących ogniem piekieł, przypominał dziób najdrapieżniejszego z dzikich ptaków. Geniusz intrygi mieszkał na jej niskim czole. Długie kłaki rosnące po trosze we wszystkich szczelinach twarzy świadczyły o męskiej energii. Każdy, kto by ujrzał tę kobietę, pomyślałby, że malarze nie umieli pochwycić twarzy Mefistofelesa...

– Drogi panie – rzekła protekcyjnym tonem – od dawna już nie zajmuję się tymi sprawami. To, co zrobię dla pana, to będzie jedynie przez wzgląd dla mego drogiego bratanka, którego kocham więcej niż własnego syna... Otóż prefekt policji, któremu pan prezydent ministrów szepnął słówko w pańskim przedmiocie, konferując z panem Chapuzot, uważa, że policja nie powinna tu występować osobiście. Dano wolną rękę memu bratankowi; ale on w tym wszystkim może służyć tylko radą, nie może się narażać...

– Jest pani ciotką pana...

– Właśnie – przecięła – i jestem trochę dumna z tego, bo to jest mój uczeń, uczeń, który rychło stał się mistrzem... Rozpatrzyliśmy pańską sprawę i wiemy już, co w trawie piszczy. Dasz pan trzydzieści tysięcy franków, jeżeli się pana uwolni od tego wszystkiego? Biorę rzecz na siebie; płaci pan dopiero po skończeniu interesu...

– Zna pani osoby, o które chodzi?

– Nie, drogi panie, czekam pańskich objaśnień. Powiedziano nam: „Chodzi o starego dudka, który się dostał w ręce pewnej wdowy. Wdówka ma dwadzieścia dziewięć lat i krzątała się tak dobrze, że ma czterdzieści tysięcy franków renty, wydartych dwom ojcom rodziny. W tej chwili gotuje się połknąć osiemdziesiąt tysięcy franków renty, wychodząc za sześćdziesięcioletniego piernika; rujnuje całą uczciwą rodzinę i da całą tę olbrzymią fortunę dziecku jakiegoś kochanka, pozbywszy się prędko starego męża...”. Oto rzecz.

– Zupełnie ściśle ujęta! – rzekł Wiktor. – Teść mój, pan Crevel...

– Eks-właściciel perfumerii, mer; mieszkam w jego okręgu pod nazwiskiem pani Nourisson.

– Druga osoba to pani Marneffe.

– Nie znam jej – rzekła pani de Saint-Estève – ale za trzy dni będę wiedziała, ile ma koszul.

– Czy może pani przeszkodzić małżeństwu?... – spytał adwokat.

– Jak daleko zaszło?

– Do drugich zapowiedzi.

– Trzeba by porwać tę kobietę. Dziś niedziela, mamy tylko trzy dni, bo pobiorą się w środę, to niemożliwe! Ale można ją sprzątnąć...

Wiktor Hulot aż skoczył, tak jakby uczynił każdy uczciwy człowiek, słysząc te słowa wymówione z najzimniejszą krwią.

– Zabić!... – rzekł. – Jakżebyś pani tego dokonała?

– Będzie już czterdzieści lat, drogi panie, jak zastępujemy Los – odparła z piekielną dumą – i robimy w Paryżu, co chcemy. Niejedna rodzina, i to spomiędzy najwyższych, zwierzyła mi swoje tajemnice! Skojarzyłam, zerwałam niejedno małżeństwo, przedarłam niejednen testament, ocaliłam honor niejednemu człowiekowi! Zamknęłam tu – rzekła, stukając się w głowę – całą trzódkę tajemnic, które mi dały trzydzieści sześć tysięcy renty; pan będziesz jednym z moich jagniątek, i tyle. Czy taka kobieta jak ja byłaby tym, czym jest, gdyby opowiadała o swoich sposobach? Działam! Wszystko, co się stanie, drogi panie, będzie dziełem przypadku, i pan nie potrzebujesz mieć najłżejszych wyrzutów. Będziesz pan jak człowiek uleczony przez jasnowidzącą: po miesiącu przeświadczony jest, że to natura sprawiła wszystko.

Wiktor oblał zimny pot. Widok kata mniej by nim wstrząsnął niż ta nadziana sentencjami i pretensjami powinowata galer; patrząc na jej buraczkową suknię, miał wrażenie, że widzi ją we krwi.

– Pani, nie mogę przyjąć pomocy jej energii i doświadczenia, jeżeli pomyślny rezultat ma kosztować kogoś życie i jeżeli jest połączony z najłżejszym występkiem.

– Et, wielkie dziecko z pana! – odparła pani de Saint-Estève.

– Chcesz pan zostać uczciwym we własnych oczach, pragnąc równocześnie upadku swego wroga.

Wiktor zaprzeczył gestem.

– Tak – ciągnęła – chcesz pan, aby ta pani Marneffe wypuściła zdobycz, którą ma w paszczy. Jakże pan sprawisz, aby tygrys wypuścił kawał mięsa? Czy głaszcząc go po grzbiecie i mówiąc doń: Kiciu!... Kiciu!... Nie jest pan logiczny. Wydajesz pan walkę, a nie chcesz ran! Więc dobrze, daruję panu tę niewinność, na której ci tak zależy. Zawsze widziałam w uczciwości materiał na obłudę! Pewnego dnia, za trzy miesiące, ubogi ksiądz przyjdzie pana prosić o czterdzieści tysięcy franków na jakieś dzieło miłosierdzia, na odbudowę klasztoru gdzieś na Wschodzie, na pustyni. Jeżeli pan będziesz zadowolony ze swego losu, daj pan czterdzieści tysięcy nieborakowi! Zapłacisz przecie drugie tyle na Skarb! To przecie bardzo niewiele w porównaniu z tym, co pan zgarniesz.

Dźwignęła się z trudnością na szerokie nogi, ledwo mieszczące się w atłasowych trzewikach, z których wylewało się ciało, skłoniła się i z uśmiechem wyszła.

– Diabeł ma widać siostrę – rzekł Wiktor, wstając.

Odprowadził tę straszną nieznajomą wywołaną z czeluści tajnej policji, tak jak z trzeciego podscenia Opery wyłania się potwór na skinienie wróżki w czarodziejskim baletcie. Po ukończeniu spraw w sądzie Wiktor udał się do pana Chapuzot, naczelnika jednego z głównych działów w prefekturze policji, aby tam zasięgnąć wiadomości co do nieznajomej. Zastawszy pana Chapuzot samego, Wiktor Hulot podziękował mu za pomoc.

– Przysłał mi pan – rzekł – staruszkę, która mogłaby być wcieleniem wszystkich zbrodni Paryża.

Pan Chapuzot położył okulary na aktach i popatrzył na adwokata ze zdziwioną miną.

– Nie pozwoliłbym sobie przysłać panu kogokolwiek, nie uprzedziwszy pana i bez słówka polecenia – odparł.

– Zatem to pan prefekt...

– Nie sędzę – odparł Chapuzot. – Ostatnim razem, kiedy książę de Wissemburg był na obiedzie u ministra spraw wewnętrznych, widział się tam z panem prefektem i wspomniał mu o pańskim przykrym zaiste położeniu, pytając, czy nie dałoby się polubownie przyjść panu z pomocą. Pan prefekt, żywo tknięty zainteresowaniem Jego Ekscelencji tą rodzinną sprawą, raczył zasięgnąć mojej rady w tym przedmiocie. Od czasu jak pan prefekt objął ster tego urzędu – tak spotwarzanego, a tak użytecznego – postawił sobie za zasadę nie mieszać się do spraw rodzinnych. W zasadzie i pod względem moralnym miał słuszość; ale w praktyce – nie. W ciągu tych czterdziestu pięciu lat, które służy w policji, oddała ona rodzinom olbrzymie usługi; mianowicie od roku 1799 do 1815. Od roku 1820 prasa i ustrój konstytucyjny zupełnie zmieniły warunki naszego istnienia. Toteż ja byłem zdania, aby się nie wdawać w podobną sprawę, i pan prefekt przychylił się łaskawie do mego głosu. Naczelnik policji bezpieczeństwa otrzymał przy mnie rozkaz niemieszania się; jeżeli więc przypadkiem był u pana ktoś z jego ramienia, udzielę mu nagany. To byłaby wręcz kwestia dymisji. Łatwo to się mówi: „Policja to zrobi!”. Policja! Policja! Ależ drogi mecenasie, marszałek, rada ministrów nie wiedzą, co to jest policja. Jedynie policja zna samą siebie. Królowie – Napoleon, Ludwik XVIII – znali sprawy swojej policji; ale co się tyczy naszej, to jedynie Fouche, pan Lenoir, pan de Sartines i paru

prefektów, ludzi inteligentnych, miało o tym jakieś pojęcie... Dziś wszystko się zmieniło. Skrępowano nas, rozbrojono! Widziałem wiele kiełkujących nieszczęść życia prywatnego, którym byłbym zapobiegł za pomocą kilku granów samowoli!... Ci sami, którzy nas zwalili, będą nas żałować, skoro znajdą się tak jak pan w obliczu pewnych potworności moralnych, które trzeba by móc uprzętać tak, jak się uprzęta błoto! W polityce, gdy chodzi o dobro publiczne, policja zobowiązana jest wszystko uprzętać; ale rodzina to świętość! Zrobiłbym wszystko, aby odkryć i udaremnić zamach na życie monarchy, przejrzałbym na wylot ściany domów, ale maczać palce w sprawach rodzinnych, prywatnych!... Nigdy, dopóki ja tu będę w tym gabinecie, bo się boję...

– Czego?

– Prasy, panie pośle lewego centrum!

– Co mam uczynić? – rzekł młody Hulot po chwili milczenia.

– A ba! Nazywacie się rodziną! – odparł naczelnik oddziału.

– W tym słowie mieści się wszystko, rób pan, jak uważasz za stosowne; ale pomagać panu, robić z policji narzędzie prywatnych namiętności i interesów, czy to możliwe?... W tym, widzi pan, tkwi tajemnica nieodzownego dochodzenia (mimo iż sąd uznał je za nielegalne) wdrożonego przeciw poprzednikowi naszego obecnego naczelnika policji. Bibi Łupin uprawiał policję na rachunek osób prywatnych. W tym kryło się olbrzymie niebezpieczeństwo społeczne! Przy środkach, jakimi rozporządzał, człowiek ten mógł się stać straszliwie niebezpieczną siłą, wiceopatrzącością.

– Ale na moim miejscu?... – rzekł Hulot.

– Och! Pan mnie pytasz o radę, pan, który udzielasz ich z rzemiosła! – odparł pan Chapuzot. – Kochany mecenasie, pan sobie żartujesz ze mnie.

Hulot pożegnał naczelnika oddziału i odszedł, nie widząc nieznacznego wzruszenia ramion, jakie wymknęło się urzędnikowi, kiedy wstał, aby go odprowadzić.

– I to chce być mężem stanu! – rzekł do siebie pan Chapuzot, wracając do swoich raportów.

Wiktor wrócił do domu pogrążony w swoich troskach i nie mogąc z nikim się nimi podzielić. Przy obiedzie baronowa oznajmiła z radością dzieciom, że przed upływem miesiąca ojciec wróci może, aby wspólnie cieszyć się ich dobrobytem i spokojnie dokonać życia na łonie rodziny.

– Och, dałabym chętnie moich trzy tysiące sześćset franków renty, aby go tu oglądać! – wykrzyknęła Elżbieta. – Ale, droga Adelino, nie ciesz się tak zawczasu, błagam cię.

– Bietka ma słuszość – rzekła Celestyna. – Czekaj wypadków, droga mamó.

Baronowa z sercem drgającym nadzieją opowiedziała swoją bytność u Józefy, uznała, że te biedne dziewczęta są bardzo nieszczęśliwe w swoim szczęściu, wreszcie wspomniała o tapicerze Chardin, ojcu magazyniera z Oranu, aby dowieść, że nie łudzi się fałszywą nadzieją.

Nazajutrz rano o siódmej Bietka udała się dorożką na Quai de la Tournelle i kazała przystanąć na rogu ulicy Poissy.

– Idźcie – rzekła do dorożkarza – na ulicę Bernardyńską, numer siódmy; wchodzi się wprost sienią, nie ma odźwiernego. Wejdziecie na czwarte piętro, zadzwonicie do drzwi na lewo, gdzie będzie tabliczka: *Panna Chardin, ceruje koronki i szale*. Ktoś wyjdzie otworzyć, spytacie o kawalera. Odpowiedzą wam: „Wyszedł”. Powiecie: „Wiem, ale proszę go znaleźć, bo jego gospodyni czeka na ulicy w dorożce i chce z nim mówić”.

W dwadzieścia minut później starzec, wyglądający na osiemdziesiąt lat, zupełnie siwy, z nosem czerwonym od zimna, z twarzą bladą i pomarszczoną jak u starej baby, powłóczył nogami w starych pantoflach, pochylony, odziany w zniszczony alpagowy surdut bez wstążeczek orderowych, z rękawami trykotowej kamizelki wyglądającymi spod surduta, w koszuli podejrzanego koloru, zjawił się nieśmiało, zajrzał w dorożkę, poznał Elżbietę i podszedł do drzwiczek.

– Ach, drogi kuzynie – rzekła – w jakimż ty stanie jesteś!

– Elodia zabiera wszystko! – rzekł baron. – Ci Chardinowie to skończone kanalie...

– Chcesz wrócić do nas?

– Och, nie, nie – odparł starzec – chciałbym dostać się do Ameryki...

– Adelina jest na tropie...

– Och, gdyby kto mógł zapłacić moje długi – zagadnął starzec nieufnie. – Samanon mnie ściga.

– Jeszcześmy nie spłacili twoich zaległości; syn twój dłużny jest jeszcze sto tysięcy...

– Biedny chłopiec.

– A emerytura będzie wolna aż za jakieś siedem, osiem miesięcy... Jeżeli chcesz zaczekać, mam tu dwa tysiące franków!

Baron wyciągnął rękę ruchem przerażająco łapczywym.

– Daj, Bietko! Niech ci Bóg wynagrodzi! Daj! Wiem, dokąd z tym pójdę!

– Ale powiesz mi, stary obwiesiu?

– Owszem. Mogę jeszcze zaczekać tych osiem miesięcy, bo odkryłem małego aniołka, pocziwe stworzenie, niewiniątko, zbyt młode, aby mogło być zepsute.

– Pamiętaj o sędzie przysięgłych – rzekła Elżbieta, która miała nadzieję, że ujrzy tam kiedyś Hulota.

– E, to przy ulicy Charonne – odparł baron Hulot – w dzielnicy, gdzie wszystko załatwia się bez hałasu. Nie bój się, nigdy mnie nie znajdą. Przebrałem się, Bietko, i przedzierzgnąłem się w ojca Thorec, wezmą mnie za jakiegoś byłego stolarza. Mała mnie kocha i nie pozwoli się już skubać.

– Jużś dostatecznie oskubany – rzekła Bietka, spoglądając na jego surdut. – Może cię tam podwieźć, Hektorze?...

Baron wszedł do dorożki, porzucając pannę Elodię bez pożegnania, jak przeczytany romans.

W pół godziny, przez które baron opowiadał wciąż Bietce o małej Atali Judici (doszedł bowiem stopniowo do tych ohydnych namiętności, które zabijają starców), kuzynka wysadziła go, zaopatrywszy w dwa tysiące franków; przy ulicy Charonne, na przedmieściu Saint-Antoine, pod bramą domu o podejrzanym, groźnym wręcz wyglądzie.

– Bądź zdrow, kuzynku; będziesz teraz ojcem Thorec, nieprawdaż? Pisz do mnie tylko przez posłańców i zawsze bierz ich skądinąd.

– Tak, tak. Och, bardzo jestem szczęśliwy! – rzekł baron, którego twarz zajaśniała radością przyszłego i zupełnie nowego szczęścia.

„Nie znajdują go tutaj” – powiedziała sobie Bietka, która wysiadłszy z dorożki na bulwarze Beaumarchais, wróciła do domu omnibusem.

Nazajutrz oznajmiono Crevela, w chwili gdy cała rodzina zebrała się w salonie po śniadaniu. Celestyna rzuciła się ojcu na szyję, tak jakby go wczoraj widziała, mimo że była to od dwóch lat pierwsza jego wizyta.

– Dzień dobry, ojcze! – rzekł Wiktor, podając mu rękę.

– Dzień dobry, dzieci! – rzekł z ważną miną Crevel. – Pani baronowo, ścielę się do pani stopek. Boże, jak te dzieci rosną! Wypędzają nas ze świata! Mówią nam: „Dziadziu, mnie się należy miejsce!”. Pani hrabino, jest pani zawsze czarująca! – dodał, spoglądając na Hortensję. – A oto i deser: kuzynka Bietka, cnotliwa dziewczica. Ależ wy tu doskonale jesteście pomieszczeni... – rzekł, rozdzieliwszy w krąg te zdania i podkreślając je rubasznym śmiechem, który z wysiłkiem wstrząsał purpurową masą szerokiej twarzy.

I spojrział lekceważąco po salonie córki.

– Moja droga Celestynko, dam ci całe moje urządzenie z ulicy des Saussayes, doskonale się tu nada. Twój salon wymaga, aby go trochę odświeżyć... A, jest ten mały urwis Wacio! No i cóż, moje wnuczęta, jesteście grzeczne? W życiu potrzebny jest umiar.

– Za tych, co go nie mają – wtrąciła Bietka.

– Ten sarkazm, droga Bietko, mnie już nie dotyczy. Zamierzam, moje dzieci, położyć koniec fałszywemu położeniu, w którym tkwię od tak dawna, i jak dobry ojciec rodziny przychodzę wam oznajmić po dobremu moje małżeństwo.

– Ma pan prawo się żenić – rzekł Wiktor. – Co do mnie, zwracam panu słowo, które mi pan dał, powierzając mi rękę Celestyny.

– Jakie słowo? – spytał Crevel.

– Że się pan nie ożeni – odparł adwokat. – Godzi się, aby pan przyznał, że nie żądałem od pana tego zobowiązania; dał mi je pan zupełnie dobrowolnie, i nawet wówczas zwracałem uwagę, iż nie powinien się pan tak wiązać.

– Tak, przypominam sobie, drogi chłopcze – rzekł Crevel zawstydzony. – Toteż, na honor, moje dzieci, gdybyście chcieli dobrze żyć z panią Crevel, nie pożałowalibyście tego... Twoja delikatność, Wiktorze, wzrusza mnie... Umieć ocenić wspaniałomyślność... No, kroćset bomb! Przygarnijcie swoją macochę, bądźcie na moim ślubie.

– Nie mówisz, ojczy, kto jest twoją narzeczoną? – spytała Celestyna.

– Ależ o tym wróble na dachu świergocą! – odparł Crevel. – Nie grajmyż w ciuciubabkę! Bietka musiała wam powiedzieć...

– Drogi panie Crevel – odparła Elżbieta – są pewne nazwiska, których się tu nie wymawia...

– A więc to pani Marneffe!

– Panie Crevel – odparł surowo adwokat – ani ja, ani moja żona nie będziemy na tym ślubie, nie z pobudek interesu, gdyż to, co rzekłem przed chwilą, było zupełnie szczere. Tak, bardzo byłbym szczęśliwy dowiadując się, że pan znalazł szczęście w tym związku; ale powodują mną względy honoru i delikatności, które powinien pan zrozumieć, a których nie mogę wyrazić, ponieważ odnowiłyby rany dotąd tu jeszcze krwawiące...

Baronowa dała znak Hortensji, która biorąc syna na ręce, rzekła:

– No, chodź, Waciu, czas na kąpiel. Żegnam pana, panie Crevel.

Baronowa skłoniła się Crevelowi w milczeniu, ten zaś nie mógł się wstrzymać od uśmiechu, widząc zdumienie dziecka, zagrożonego tą improwizowaną kąpielą.

– Żenisz się pań – wykrzyknął adwokat, znalazłszy się sam z Elżbietą, swoją żoną i teściem – z kobietą, która dorobiła się, ograbiając mego ojca, i doprowadziła go z zimną krwią do tego, czym jest; z kobietą, która żyje z zięciem, zrujnowawszy teścia; która jest przyczyną śmiertelnych zgryzot mojej siostry... I pan sądzi, że naszą obecnością damy sankcję temu szaleństwu? Żałuję pana szczerze, drogi panie Crevel! Nie ma pan poczucia rodziny, nie rozumie pan solidarności honoru, która łączy jej członków. Nie da się rozumować (wiem o tym aż nadto, na nieszczęście) wobec namiętności. Ludzie nią owładnięci są głusi, tak samo jak są ślepi. Córka pańska, Celestyna, za wiele ma poczucia swoich obowiązków, aby się zwrócić do pana bodaj ze słówkiem nagany.

– Tego by jeszcze brakowało! – rzekł Crevel, chcąc przerwać to kazanie.

– Celestyna nie byłaby moją żoną, gdyby panu uczyniła najłżejszą uwagę – ciągnął adwokat – ale ja mogę próbować powstrzymać pana, nim stąpisz nogą w tę przepaść, zwłaszcza dawszy panu dowód mojej bezinteresowności. Nie idzie mi tu o pański majątek, ale o pana samego... I aby pana objaśnić co do moich uczuć, mogę dodać, choćby dlatego, aby pana uspokoić co do intercyzy, że my dziś, dzięki Bogu, nie potrzebujemy od pana nic...

– Dzięki mnie! – wykrzyknął Crevel, którego twarz stała się sina.

– Dzięki majątkowi Celestyny – odparł adwokat. – A jeżeli pan żałujesz, żeś dał córce od siebie sumę niewynoszącą ani połowy tego, co jej zostawiła matka, jesteśmy gotowi zwrócić...

– Czy pan wie, panie zięciu – rzekł Crevel, stając w pozycji – że skoro dam pani Marneffe moje nazwisko, będzie odpowiedzialna przed światem już tylko za swoje postęпки jako pani Crevel?

– To może bardzo po pańsku – rzekł adwokat – bardzo szlachetnie, co się tyczy spraw serca i wybryków uczuciowych; ale nie znam nazwiska ani prawa, ani tytułu, które by mogły pokryć kradzież trzystu tysięcy niecznie wydartych mojemu ojcu!... Mówię ci to wręcz, drogi teściu, że twoja przyszła jest niegodna ciebie, że cię zdradza i że szaleje za moim szwagrem Steinbockiem, któremu zapłaciła długi.

– To ja zapłaciłem!

– Wybornie – odparł adwokat – bardzom rad z tego dla hrabiego Steinbocka, który kiedyś będzie mógł się uściścić; ale on jest jej kochankiem, mocno kochanym, często kochanym...

– Kochankiem!... – rzekł Crevel, na którego twarzy odbiło się gwałtowne wzburzenie. – To podłe, to brudne, to małe i nikczemne spotwarzać kobietę!... Kiedy się mówi tego rodzaju rzeczy, mój panie, trzeba dowieść...

– Dam panu dowody.

– Czekam ich.

– Pojutrze, drogi panie Crevel, powiem panu dzień, godzinę i chwilę, w której będę mógł odsłonić panu przerażające zepsucie pańskiej przyszłej żony.

– Doskonale, bardzo mi będzie miło – rzekł Crevel, odzyskując zimną krew. – Bywajcie zdrowe, moje dzieci. Do widzenia, Bietko...

– Idź za nim, Bietko – szepnęła Celestyna kuzynce.

– No i cóż, w ten sposób pan odchodzi?... – zawołała Bietka za Crevelem.

– A – rzekł Crevel – bardzo się wyrobił mój pan zięć, bardzo, bardzo. Sąd, Izba, matactwa prawne i polityczne zrobiły zeń tęgiego chwata. Ha ha! Wie, że się żenię we środę, i oto w niedzielę panicz ofiaruje się oznajmić mi za trzy dni moment, w którym mi dowiedzie, że moja żona jest mnie niegodna... To wcale sprytnie... Wracam podpisać intercyzę... No, chodź ze mną, Bietko, chodź!... Nie będą wiedzieli o niczym. Chciałem zapisać czterdzieści tysięcy franków renty Celestynie; ale Wiktor zachował się w ten sposób, że na zawsze zraził mnie do siebie.

– Niech mi pan da dziesięć minut czasu; zaczekaj na mnie w powozie u bramy, a znajdę jakiś pozór, aby wyjść.

– A więc rzecz ułożona.

– Moi drodzy – rzekła Bietka, wracając do salonu – jadę z Crevelem; dziś wieczór podpisują intercyzę i będę mogła powiedzieć wam, co zawiera. Będzie to prawdopodobnie moja ostatnia bytność u tej kobiety. Ojciec jest wściekły, wydziedziczy was.

– Próżność nie pozwoli mu na to – odparł adwokat. – Chciał mieć dobra Presles, utrzyma je, znam go. Gdyby nawet miał dzieci, Celestyna zawsze dostanie połowę tego, co zostawi, gdyż prawo nie pozwala wyzuć z całego majątku... Ale te kwestie są niczym dla mnie, chodzi mi tylko o honor... Idź, Bietko – rzekł, ściskając rękę Elżbiety – i słuchaj dobrze intercyzy.

W dwadzieścia minut później Bietka i Crevel wjeżdżali do pałacyku przy ulicy Barbet, gdzie pani Marneffe ze słodką niecierpliwością oczekiwała rezultatów kroku podjętego na jej życzenie. Z biegiem czasu Waleria pokochała Wacława ową przemożną miłością, jaka raz w życiu nawiedza serce kobiety. Ten chybiony artysta stał się w rękach Walerii tak doskonałym kochankiem, że był dla niej tym, czym ona niegdyś dla barona Hulot. Waleria trzymała w jednej ręce pantofelki, drugą zaś złożyła w dłoniach Steinbocka, na którego ramieniu spoczywała jej głowa. Co się tyczy przerywanej rozmowy, której oddawali się od czasu wyjścia Crevela, to można do niej zastosować ów napis mieszczący się na przydługich współczesnych utworach literackich: *Przedruk wzbroniony*. To arcydzieło serdecznej poezji wywołało naturalnie na уста artysty żal, któremu dał wyraz, mówiąc z odcieniem goryczy:

– Ach! Co za nieszczęście, że ja mam już żonę – rzekł – gdybym był zaczekał, jak mi radziła Bietka, mógłbym się dziś ożenić z tobą.

– Trzeba być Polakiem, aby oddaną kochankę chcieć zmienić na żonę! – wykrzyknęła Waleria. – Miłość zamieniać na obowiązek! Rozkosz na nudę!

– Wiem, jakaś ty kapryśna! – odparł Steinbock. – Czyż nie słyszałem, jak rozmawiałaś z Bietką o baronie Montez, owym Brazylijczyku...?

– Czy chcesz go zgładzić?

– To byłby – odparł eks-rzeźbiarz – jedyny sposób, abyś go przestała widywać.

– Dowiedz się, mój jedyny – odparła Waleria – że ja go hodowałam sobie na męża, bo tobie mówię wszystko... Obietnica, jaką dałam temu Brazylijczykowi... Och, na długo, nim cię poznałam – dodała, widząc gest Waclawa. – Otóż ta obietnica, z której on uczynił sobie broń, aby mnie dręczyć, zmusza mnie do wzięcia ślubu niemal w sekrecie; gdyby się dowiedział, że wychodzę za Crevela, byłby zdolny... zabić mnie!...

– Och, co do tego!... – rzekł Steinbock z pogardliwym gestem, mającym oznaczać, że to niebezpieczeństwo powinno być drobnostką dla kobiety kochanej przez Polaka.

Zaznaczam, iż co się tyczy odwagi, nie ma u Polaków ani cienia przechwałki, tak dalece są oni naprawdę i istotnie odważni.

– A ten głupiec Crevel chce wyprawiać wesele i z racji naszego ślubu dać upust swoim upodobaniom w oszczędnym przepychu! Doprawdy nie wiem, jak wyjść z tego kłopotu!

Czy Waleria mogła wyznać temu, którego ubóstwiała, że baron Henryk Montez odziedziczył, od czasu odprawy barona Hulot, przywilej odwiedzania jej w nocy o każdej godzinie i że mimo swej zręczności dotąd jeszcze nie umiała wynaleźć pozoru do sprzeczki, w której Brazylijczyk ponosiłby w swoim mniemaniu wszystkie winy? Znadto dobrze znała wpółdziką naturę barona, bardzo zbliżoną do charakteru Bietki, aby móc bez drżenia myśleć o tym Maurze z Rio de Janeiro. Słyszając turkot powozu, Steinbock puścił Walerię, którą trzymał wpół, i wziął dziennik, aby zupełnie utonąć w jego lekturze. Waleria haftowała z niezmierną uwagą pantofle dla swego przyszłego.

– Jak ją spotwarzają! – szepnęła Bietka Crevelowi, zatrzymując się w progu i pokazując mu ten obraz. – Niech pan spojrzy na jej włosy! Czy są zburzone? Gdyby Wiktor miał rację, mógłby ich pan tu zająć jak dwie turkawki w gniazdku.

– Moja droga Bietko – odparł Crevel, przybierając pozę – widzisz, aby z Aspazji zrobić Lukrecję, wystarczy obudzić w kobiecie miłość!...

– Czy nie mówiłam panu zawsze – odparła Bietka – że kobiety lubią takich grubych wisusów jak pan?

– Byłaby zresztą bardzo niewdzięczna – dodał Crevel – bo ile ja tu pieniędzy włożyłem! To wie tylko Grindot i ja!

I wskazał na schody. W urządzeniu tego pałacyku, który Crevel uważał za swój własny, Grindot silił się współzawodniczyć z Clerettim, modnym architektem, któremu księżę d'Hérouville powierzył był urządzenie pałacyku Józefy. Ale Crevel, niezdolny pojąć sekretu sztuki, chciał, zgodnie z mieszczańskim narowem, wydać określoną sumę, wiadomą z góry. Skrępowany kosztorysem, Grindot nie mógł urzeczywistnić swoich marzeń. Między willą Józefy a pałacykiem przy ulicy Barbet istniała ta różnica, jaka dzieli rzeczy mające własny wyraz od rzeczy pospolitych. Tego, co się podziwiała u Józefy, nie spotykało się nigdzie; to, co lśniło u Crevela, można było kupić wszędzie. Milion dzieli te dwa rodzaje zbytku. Lustro będące unikatem warte jest sześć tysięcy franków; lustro wedle modelu puszczanego w obieg przez fabrykanta kosztuje pięćset franków. Autentyczny świecznik Boule'a dochodzi na licytacji trzech tysięcy franków; kopię jego można sporządzić za tysiąc lub tysiąc dwieście; jeden jest w archeologii tym, czym Rafael w malarstwie, drugi kopią. Ile warta jest kopia Rafaela? Pałac Crevela był tedy klasycznym okazem zbytku głupca, tak jak pałacyk Józefy najbardziej uroczym wzorem smaku artysty.

– Mamy wojnę – rzekł Crevel, podchodząc do narzeczonej.

Pani Marneffe zadzwoniła.

– Idź po pana Berthier – rzekła do kamerdynera – i nie wracaj bez niego. – Gdyby ci się było powiodło, ojczulku – rzekła, ściskając Crevela – bylibyśmy odwlekli moje szczęście i wyprawilibyśmy wesele co się zowie; ale skoro cała rodzina sprzeciwia się małżeństwu, przyzwoitość każe, aby się odbyło bez rozgłosu, zwłaszcza kiedy oblubienica jest wdową.

– Przeciwnie, ja chcę wystąpić z paradą godną epoki Ludwika XIV – rzekł Crevel, dla którego od jakiegoś czasu wiek XVIII był już za mały. – Zamówiłem nowe powozy: jest powóz dla pana i dla pani, dwa ładne powoziki, kocz i karetka od wielkich występów, z pysznym siedzeniem, które podryguje jak pani Hulot.

– A! Ja chcę?... Więc nie jesteś już moim pieseczkim? Nie, nie. Zrobisz, kotuśku, tak jak ja chcę. Podpiszemy intercyzę dziś wieczór w najściślejszym kółku. Następnie we środę weźmiemy ślub oficjalnie, prawdziwy ślub, cichutenieczki, jak mawiała moja biedna matka. Pójdziemy do kościoła piechotą, skromnie ubrani, zamówimy cichą mszę. Świadcami będą Stidmann, Steinbock, Vignon i Massol, wszystko ludzie inteligentni, którzy się znajdują w merostwie niby przypadkiem i zrobią dla nas to poświęcenie, aby wysłuchać mszy. Kolega twój uczyni ten wyjątek i da nam ślub o dziewiątej rano. Msza o dziesiątej, będziemy tu na śniadanie o wpół do jedenastej. Przynależałam naszym gościom, że nie wstaniemy od stołu aż wieczór... Będzie Bixiou, twój dawny kolega z biuroterii du Tillet, Lousteau, Vemisset, Leon de Lora, Vernou, kwiat paryżan. Nie będą nic wiedzieli o naszym ślubie; zmistyfikujemy ich, podpisujemy sobie troszkę; Bietka też musi być: chcę, żeby się zapoznała z małżeństwem Bixiou, ma się tym zająć i... oświecić ją.

Przez dwie godziny pani Marneffe plotła głupstwa, które nasunęły Crevelowi tę roztropną uwagę: „W jaki sposób kobieta tak wesoła mogłaby być zepsuta? Figlarka, owszem, ale przewrotna... Cóż znowu!”.

– Cóż twoje dzieci mówiły ci o mnie? – spytała Crevela, posadziwszy go koło siebie na kozetce. – Okropności, co?

– Utrzymują – odparł Crevel – że ty kochasz występłą miłością Waclawa, ty, wcielona cnota!...

– Myślę sobie, że go kocham, mojego Waciunia! – wykrzyknęła Waleria, przywołując artystę, ujmując go za głowę i całując w czoło. – Biedny chłopak, bez poparcia, bez majątku! Wzgardzony przez rudą żyrafę! Wcale ci nie taję: Waclaw to mój poeta i kocham go jawnie, jak gdyby był moim dzieckiem. Te cnotliwe kobiety wszędzie we wszystkim węższą zło. Cóż u licha! Czyżby one nie umiały znaleźć się w pobliżu mężczyzny, żeby czegoś, nie zbroić? Ja jestem jak zepsute dzieci, którym nigdy niczego nie odmawiano: cukierki nie robią już na mnie wrażenia. Biedne kobiety, żal mi ich!... I któż to mnie tak obrabiał?

– Wiktor – rzekł Crevel.

– No i co, czemuż nie zamknęłaś dzióbka tej papudze trybunalskiej dwustoma tysiącami franków jego mamusi?

– Ba! Baronowa uciekła – rzekła Bietka.

– Niech no się strzegą, Bietko! – rzekła pani Marneffe, marszcząc brwi – albo mnie przyjmą u siebie, i to bardzo uprzejmie, i przyjdą do swojej teściowej, wszyscy!, albo ich pograżę (powiedz im to ode mnie) głębiej, niż jest obecnie baron... Zobaczycie, w końcu zrobię się jeszcze zła! Na honor, zdaje mi się, że zło jest tą kosą, którą się kosi cnotkę.

O trzeciej rejent Berthier, następca Cardota, odczytał intercyzę, odbywszy wprzód krótką naradę z Crevelem, bo niektóre punkty zawisłe były od decyzji młodych Hulotów. Crevel przyznawał żonie majątek złożony: 1. z czterdziestu tysięcy franków renty w wyszczególnionych walorach; 2. z pałacyku wraz z całym urządzeniem, i 3. z trzech milionów w gotówce. Prócz tego uczynił swej przyszłej wszystkie darowizny prawem dozwolone; zwalniał ją od obowiązku inwentarza; w razie zaś gdyby w chwili zgonu jednego z małżonków małżeństwo było bezdzietne, darowywali sobie wzajem cały majątek, ruchomy i nieruchomy.

Kontrakt ten uszczuplał majątek Crevela do dwóch milionów kapitału. Gdyby z drugiej żony miał dzieci, część Celestyny spadłaby do pięciuset tysięcy franków, z przyczyny dożywocia zapewnionego Walerii. Była to w przybliżeniu dziesiąta część obecnego majątku.

Elżbieta wróciła na obiad do Hulotów z rozpaczą malującą się na twarzy. Przedstawiła, objaśniła intercyzę; ale zarówno Celestyna, jak Wiktor okazali się nieczuli na tę rozpaczliwą wiadomość.

– Pogniewaliście ojca, moje dzieci! Pani Marneffe przysięgła, że przyjmiecie ją u siebie jako panią Crevel i będziecie bywać u niej – rzekła.

– Nigdy! – rzekł Hulot.

– Nigdy! – rzekła Celestyna.

– Nigdy! – wykrzyknęła Hortensja.

Bietkę ogarnęła żądza pokonania dumnej postawy rodziny Hulot.

– Zdaje się, że ma jakąś broń przeciwko wam!... – odparła. – Nie wiem jeszcze, o co chodzi, ale dowiem się... Mówiła coś niejasno o jakiejś historii z dwustoma tysiącami franków, odnoszącej się do Adeliny.

Baronowa Hulot osunęła się na sofę, na której siedziała; porwały ją straszliwe konwulsje.

– Idźcie tam, moje dzieci!... – krzyknęła. – Przyjmijcie tę kobietę! Pan Crevel jest człowiekiem nikczemnym! Zasługuje na najsrozsze kary... Bądźcie posłuszni tej kobiecie!... Och! To potwór! Ona wie wszystko!

Po tych słowach, zmieszanych ze łzami i przerywanych szlochami, pani Hulot znalazła siłę, aby się udać do siebie, wsparta na ramieniu córki oraz Celestyny.

– Co to wszystko ma znaczyć? – wykrzyknęła Bietka, zostawszy sama z Wiktorem.

Adwokat, jak wryty w ziemię, pogrążony w zdumieniu łatwym do pojęcia, nie słyszał Bietki.

– Co tobie, Wiktorze?

– Jestem przerażony! – rzekł adwokat, którego twarz przybrała groźny wyraz. – Biada temu, kto tknie moją matkę, wówczas nie będę już miał skrupułów! Gdybym mógł, zgniótlbym tę kobietę, tak jak się zgniata żmiję... Ha! Ona się porywa na życie i cześć mojej matki!...

– Powiedziała, nie powtarzaj tego, drogi Wiktorze, powiedziała, że pogrzyży was jeszcze głębiej niż ojca... Ostro skrzyczała Crevela za to, że wam nie zamknął ust tajemnicą, która zdaje się tak przerażać Adelinę.

Posłano po lekarza, bo stan baronowej pogorszył się. Lekarz zalecił mocną dawkę opium, po której Adelina zapadła w głęboki sen; ale cała rodzina była śmiertelnie zaniepokojona. Nazajutrz adwokat, udając się wczesnie rano do sądu, wstąpił do prefektury policji, gdzie poprosił gorąco Vautrina, naczelnika „bezpieczeństwa”, aby mu przysłał panią de Saint-Estève.

– Zakazano nam, panie pośle, zajmować się pańską sprawą; ale pani de Saint-Estève jest kupcową i jest na rozkazy pańskie – odparł słynny naczelnik.

Wróciwszy do domu, biedny adwokat dowiedział się, że zachodzi obawa o umysł matki. Doktorzy Bianchon i Larabit oraz profesor Angard, złożwszy konsylium, zdecydowali użycie energicznych środków, aby zapobiec uderzeniu krwi na mózg. W chwili gdy Wiktor rozmawiał z doktorem Bianchon, który mu wyszczególnił powody, dla których, wbrew wątpliwościom kolegów, spodziewa się szczęśliwego obrotu, kamerdyner przyszedł oznajmić adwokatowi jego klientkę, panią de Saint-Estève. Wiktor zostawił Bianchona w pół zdania i zbiegł pędem po schodach jak szalony.

– Czyżby w tym domu panowało zaraźliwe szaleństwo? rzekł Bianchon, obracając się do Larabita.

Lekarze odeszli, zostawiając asystenta, który miał czuwać nad panią Hulot.

– Całe życie cnoty!... – oto jedyne zdanie, jakie chora wymawiała od chwili tej katastrofy.

Elżbieta nie opuszczała łóża Adeliny, czuwała całą noc; obie młode kobiety podziwiała ją.

– I cóż, droga pani de Saint-Estève! – rzekł adwokat, wprowadzając ohydłą starą do gabinetu i zamykając starannie drzwi. – Jak stoimy?

– I cóż, drogi panie – rzekła, spoglądając na Wiktora zimno ironicznym okiem – namyślił się pan?

– Zrobiła pani co?

– Da pan pięćdziesiąt tysięcy?

– Tak – odparł młody Hulot – bo trzeba działać. Czy pani wie, że jednym zdaniem ta kobieta przyprawiała o niebezpieczeństwo życie i rozum mojej matki? Zatem trzeba działać.

– Jużemy działali! – odparła stara.

– No i?... – konwulsyjnie zapytał Wiktor.

– No i cóż, nie cofa się pan przed kosztami?

– Przeciwnie.

– Bo... mamy już dwadzieścia trzy tysiące franków kosztów.

Młody Hulot popatrzył na starą Saint-Estève ogłupiałym wzrokiem.

– Ej, byłżebyś pan dudkiem, pan, jeden z luminarzy trybunału? – rzekła stara. – Za tę sumę można kupić sumienie panny służącej i obraz Rafaela, to niedrogo...

Hulot stał ogłupiały, otwierał szeroko oczy.

– A więc – ciągnęła Saint-Estève – kupiliśmy pannę Reginę Tousard, istotę, dla której pani Marneffe nie ma tajemnic...

– Rozumiem...

– Ale jeżeli panu żal pieniędzy, niech pan powie!

– Zapłacę na pani wiarę – odparł – tylko dalej! Matka mówiła, że ci ludzie zasłużyli na najsurowsze kary.

– Nie łamie się już kołem – odparła stara.

– Odpowiada mi pani za powodzenie?

– Niech mi pan pozwoli działać – rzekła Saint-Estève. – Pańska zemsta zaczyna się już przyrumieniać.

Spojrzała na zegar, wskazówka była na szóstej.

– Pańska zemsta ubiera się, w piecu w „Rocher de Cancalle” już zapalono, konie prychają w uprzęży, moje żelazka już się grzeją. Och! Znam twoją panią Marneffe na wylot. Wszystko przygotowane, są skwarki w łapce na myszy, jutro ci powiem, czy się myszka złapała. Myślę, że tak. Do widzenia, mój synu.

– Zegnam panią.

– Umie pan po angielsku?

– Tak.

– Czy widział pan „Makbeta” granego po angielsku?

– Tak.

– A więc, mój synu, będziesz królem, to jest, dostaniesz spadek! – rzekła ta okropna czarownica, którą Szekspir przeczuł i która widocznie znała Szekspira.

Zostawiła Hulota osłupiałego na progu gabinetu.

– Niech pan nie zapomina, że nasz termin jutro! – dodała uprzejmie jak nałogowa piniaczka.

Ujrzała zbliżające się dwie osoby i chciała uchodzić w ich oczach za jakąś hrabinę de Pimbèche³².

„Cóż za tupet!” – powiedział sobie Hulot, żegnając ukłonem rzekomą klientkę.

32 Hrabina de Pimbèche – postać komiczna z komedii Racine'a „Pieniaczki”.

Baron Montez de Montejanos był lwem, ale lwem nieodgadniętym. Cały modny Paryż, Paryż turfu³³ i lorettek, podziwiał niesłychane kamizelki tego cudzoziemskiego magnata, jego nienaganne lakierowane buciki, niezrównane laseczki, konie budzące zazdrość, kolaskę powożoną przez doskonale wytresowanych i równie dobrze bitych Murzynów. Majątek jego był znany, miał kredyt do siedmiuset tysięcy franków u sławnego bankiera du Tilleta; ale widywano go zawsze samego. Kiedy się pojawił na premierze, zajmował miejsce w fotelach. Nie bywał w żadnym salonie. Nigdy nie widziano go pod rękę z loretką. Nikt nie umiał skojarzyć jego imienia z imieniem którejkolwiek z ładnych światowych kobiet. Za całą rozrywkę grywał w wista w Jockey-klubie. Trzeba było tedy wziąć na języki jego obyczaje lub, co o wiele ponętniejsze, jego osobę: nazywano go „Combabus”!... Bixiou, Leon de Lora, Lousteau, Floryna, panna Heloiza Brisetout i Natan, wieczierząc pewnego dnia u słynnej Karabiny z wieloma lwami i lwicami, wymyślili ten nadzwyczaj ucieszny komentarz. Massol w charakterze radcy stanu i Klaudiusz Vignon w charakterze eks-profesora greczyzny opowiedzieli nieświadomym loretkom słynną anegdotę, przytoczoną w „Historii starożytnej” Rollina, której bohaterem jest

33 Turf (ang.) – wyścigi.

Combabus, ów dobrowolny Abelard pełniący straż nad żoną króla Asyrii, Persji, Baktriany, Mezopotamii itd. Przydomek ten, z którego śmiali się przez kwadrans goście Karabiny, stał się tematem do mnóstwa żarcików, zbyt lekkich dla dzieła, któremu Akademia mogłaby nie dać nagrody Montyona; otóż spomiędzy tych konceptów jedno miano przyłgnęło do bujnej czupryny pięknego Monteza. Józefa nazywała go wspaniałym Brazylijczykiem, tak jak się mówi: wspaniały Catoxantha³⁴! Karabina, najsłynniejsza z loretek, ta, której delikatna uroda i cięty dowcip wydarły berło trzynastego okręgu pannie Turquet, bardziej znanej pod przydomkiem Malagi, panna Serafina Sinet (to było jej prawdziwe miano) była dla bankiera du Tillet tym, czym Józefa Mirah dla księcia d'Hérouville.

Otóż tego samego dnia, w którym stara Saint-Estève przepowiedziała Wiktorowi tryumf, Karabina rzekła około siódmej do du Tilleta:

– Gdybyś był milusi, wyprawiłbyś dla mnie obiadek w „Rocher de Cancale” i zaprosiłbyś Combaba; chcemy się wreszcie dowiedzieć, czy on ma kochankę... Założyłam się, że tak... chcę wygrać...

34 Catoxantha – rzadki i piękny okaz owada.

– Zawsze mieszka w hotelu des Princes, wstąpię po niego
– odparł du Tillet – zabawimy się. Ściągnij wszystkich
naszych chłopców: Bixiou, Lora, słowem, cała nasza
paczka!

O wpół do ósmej w najpiękniejszym salonie zakładu,
przez który przesunęła się cała Europa, lśnił na stole
wspaniały serwis srebrny, umyślnie sporządzony na obiady,
których rachunek płaciła próżność ludzka grubymi
banknotami. Strumienie światła lały się kaskadą z
cyzelowanych naczyń. Garsoni, których, gdyby nie ich wiek,
parafianin wzięłby za dyplomatów, sterczeli poważnie, jak
ludzie, którzy mają świadomość, że są przepłacani.

Przybyło pięć osób, jeszcze miało przyjść dziewięć. Najpierw Bixiou, sól wszelkiej kuchni umysłowej, jeszcze dziarski w roku 1843, uzbrojony w koncepty wciąż nowe, co jest w Paryżu fenomenem równie rzadkim, jak cnota. Dalej Leon de Lora, największy istniejący pejzażysta i malarz morza, który nad swymi rywalami miał tę wyższość, że nigdy nie spadł poniżej swoich początków. Loretki nie mogły się obejść bez tych dwóch królów konceptu. Bez nich nie było kolacji, obiadu, zabawy. Serafina Sinet, zwana Karabiną, jako urzędowa kochanka amfitriona, przysłała jedna z pierwszych i w potokach światła lśniła swymi najpiękniejszymi w Paryżu ramionami, szyją utoczoną jak przez tokarza, bez jednej zmarszczki, figlarną twarzyczką i błękitną suknią haftowaną też błękitem, strojną w angielskie koronki w takiej obfitości, że można by nimi wyżywić wioskę przez miesiąc. Ładna Jenny Cadine, która nie grała tego wieczoru, a której portret jest zbyt znany, aby potrzeba było coś o niej mówić, przybyła w toalecie bajecznie bogatej. Każde zebranie jest dla tych pań wyścigiem na toalety; wyścigiem, w którym każda chce zdobyć nagrodę swemu milionerowi, powiadając niejako rywalkom:

– Oto ile jestem warta!

Trzecia kobieta, najwidoczniej w początkach kariery, przyglądała się niemal ze wstydem zbytkowi dwóch koleżanek, błyszczących pozycją i majątkiem. Skromnie odziana w biały kaszmir z błękitną pasmanterią, we włosach miała kwiaty upięte ręką pokątnego fryzjera, którego niezręczna dłoń przydała bezwiednie cudnym blond włosom naiwnego wdzięku. Nieswoja jeszcze w swej sukni, zdradzała, wedle uświęconego zwrotu, nieśmiałość nieodłączną od pierwszego występu. Przybywała z Valognes, aby ulokować w Paryżu rozpaczliwą świeżość, naiwność zdolną obudzić żądzę w konającym i piękność godną wszystkich tych, jakich Normandia już dostarczyła rozmaitym teatrom stolicy. Rysy tej nieskalanej twarzy jaśniały ideałem anielskiej czystości. Jej mleczna białość odbijała światło na kształt zwierciadła. Delikatne rumieńce wyglądały jak wymalowane. Nazywała się Cydaliza. Był to, jak się przekonamy, pionek potrzebny w partii, którą rozgrywała pani Nourisson przeciw pani Marneffe.

– Ramiona twoje kłócą się z twoim imieniem, moja mała – rzekła do niej Jenny Cadine, której Karabina przedstawiła to arcydzieło liczące szesnaście lat i przybyłe pod jej opieką.

Istotnie, Cydaliza wystawiała na powszechny podziw piękne ramiona o tkance jędrnej, krzepkiej, ubarwionej pyszną krwią.

– Jaka cena? – spytała Jenny Cadine po cichu Karabiny.

– Spadek.

- Co chcesz z niej zrobić?
- Dajmy na to, panią Combabus!
- I co ci dają za tę przysługę?
- Zgadnij!
- Serwis srebrny?
- Mam trzy.
- Brylanty?
- Mam je na sprzedaż...
- Zieloną małpę?
- Nie, obraz Rafaela!
- Co tobie strzeliło do głowy?
- Józefa wierci mi dziurę w brzuchu swymi obrazami – odparła Karabina – chcę mieć jeszcze piękniejsze...

Du Tillet przyprowadził bohatera obiadu, Brazylijczyka; książe d'Hérouville nadszedł tuż za nimi z Józefą. Śpiewaczka włożyła skromną aksamitną suknię; ale na szyi błyszczał naszyjnik za sto dwadzieścia tysięcy franków, perły zaledwie odcinające się na jej kameliowo-białej skórze. W czarne sploty włosów zatknęła jedną jedyną czerwoną kamelię (muszka!) – efekt olśniewający – i dla zabawki włożyła po jedenaście bransoletek z pereł na każde ramię. Ucisnęła dłoń Jenny Cadine, która rzekła:

- Pożycz mi swoich mitenek!

Józefa zdjęła bransoletki i podała na talerzu przyjaciółce. Cóż za szyk! – rzekła Karabina. – Na to trzeba być księżną! Ależ pereł! Zrabowałeś, księżę, morze, aby przystroić swoją dziewczynkę? – dodała, zwracając się do maleńkiego księcia d'Hérouville.

Aktorka wzięła tylko dwie bransoletki, dwadzieścia innych zapięła na pięknych rękach śpiewaczki, które wprzód ucałowała.

Lousteau, pieczeniarski literat, La Palferine i Malaga, Massol i Vauvinet, Teodor Gaillard, współwłaściciel wielkiego politycznego dziennika, dopełnili liczby zaproszonych. Księżę d'Hérouville, grzeczny ze wszystkimi jak wielki pan, pozdrowił hrabiego La Palferine owym specjalnym ukłonem, który nie stwierdzając szacunku ani zażyłości powiada wszystkim: „Jesteśmy z tej samej krwi, tej samej rasy, jesteśmy sobie równi!”. Ten ukłon, *shibboleth*³⁵ arystokracji, wymyślono na udręczenie inteligentnych ludzi z wyższego mieszczaństwa.

Karabina posadziła Combaba przy sobie po lewej, a księcia d'Hérouville po prawej. Cydaliza siadła obok Brazylijczyka, Bixiou około Normandki. Malaga zajęła miejsce obok księcia.

35 *Shibboleth* – zakłęcie hebrajskie; tu: specjalny gest.

O siódmej zabrano się do ostryg. O ósmej, między dwoma daniami, pojawił się mrożony poncz. Wszyscy znają porządek uczt tego rodzaju. O dziewiątej szczebiotano tak, jak się szczebioce po czterdziestu dwóch butelkach doskonałego wina wypitego w czternaście osób. Podano wety, owe szkaradne wety kwietniowe. Ta odurzająca atmosfera spoiła tylko Normandkę, która nuciła kolędy. Z wyjątkiem tej nieboraczki nikt nie stracił głowy, ile że mężczyźni i kobiety była to śmietanka birbantującego Paryża. Koncepty strzelały, oczy, mimo iż błyszczące, jaśniały inteligencją, ale z ust wybiegały ucinki, anegdoty, niedyskrecje. Rozmowa, która dotąd kręciła się w błędnym kole wyścigów i koni, katastrof giełdowych, rozmaitych przewag tego lub owego lwa oraz znanych skandalów, zaczynała przybierać charakter poufny oraz dzielić się na grupy dwóch serc.

Pod wpływem znaczących spojrzeń Karabiny Leon de Lora, Bixiou, La Palferine i du Tillet zaczęli mówić o miłości.

– Przyzwoici lekarze nie mówią nigdy o medycynie, prawdziwa szlachta nie mówi o swoich przodkach, ludzie utalentowani nie mówią o swoich dziełach – rzekła Józefa – po co mówić o naszym zawodzie?... Kazałam odwołać przedstawienie w Operze, aby móc przyjść, z pewnością nie po to, aby tu pracować... Nie pozujmy więc, drogie dzieci.

– Mówi się o prawdziwej miłości, moje dziecko! – rzekła Malaga. – O tej miłości, która sprawia, że człowiek się zarzyna sam, że zarzyna ojca i matkę, że sprzedaje żonę i dzieci i dostaje się do Clichy...

– No to mówcie! – odparła śpiewaczka. – Nie znam. Nie mam przyjemności!

Nie mam przyjemności!... To słowo, przejęte z gwary uliczników paryskich do słownika loretek, jest, przy pomocy gry oczu i fizjonomii tych kobiet, w ich ustach całym poematem.

– Więc ja cię nie kocham, Józefo? – szepnął książę.

– Książę może mnie kochać prawdziwie – odrzekła do ucha księciu śpiewaczka z uśmiechem – ale ja cię nie kocham ową miłością, o której mowa, tą miłością, która sprawia, że cały świat obleka się kirem bez ukochanego człowieka. Jesteś mi przyjemny, użyteczny, ale nie jesteś mi niezbędny; gdybyś mnie jutro porzucił, znalazłabym trzech książąt w miejsce jednego...

– Alboż miłość istnieje w Paryżu? – rzekł Leon de Lora.
– Nikt tu nie ma czasu zrobić majątku, jakżeby się mógł oddać prawdziwej miłości, która chwyta człowieka jak kleszczami? Trzeba być diabelnie bogatym, aby kochać, bo miłość unicestwia człowieka, mniej więcej tak jak naszego oto drogiego brazylijskiego barona. Prawdziwy kochanek podobny jest do eunucha, bo nie ma już dla niego kobiet na ziemi! Jest tajemniczy, jest, jak prawdziwy chrześcijanin, samotny w swojej pustelni! Patrzcie mi na tego zacnego Brazylijczyka!...

Cały stół zwrócił oczy na Henryka Montez de Montejanos, który ku swemu zawstydzeniu ujrzał się przedmiotem wszystkich spojrzeń.

– Pasie się tu od godziny jak wół, nie wiedząc, że ma za sąsiadkę kobietę naj... nie mogę tutaj powiedzieć: najpiękniejszą, ale najświeższą w Paryżu.

– Wszystko tu jest świeże, nawet ryba, to honor zakładu – rzekła Karabina.

Baron Montez de Montejanos spojrział uprzejmie na pejzażystę i rzekł:

– Bardzo dobrze! Piję do pana!

I skinął głową Leonowi de Lora, przechylił szklanekę pełną porto i wypił po mistrzowsku.

– Kocha się pan zatem? – rzekła Karabina do sąsiada, w ten sposób tłumacząc sobie toast.

Brazylijski baron dał sobie raz jeszcze napełnić kieliszek, skłonił się Karabinie i powtórzył toast.

– Zdrowie pani! – rzekła loretka tonem tak uciesznym, że pejzażysta, du Tillet i Bixiou parsknęli śmiechem.

Brazylijczyk został poważny jak posąg z brązu. Spokój ten podrażnił Karabinę. Wiedziała doskonale, że Montez kocha panią Marneffe, ale nie spodziewała się tej ślepej wiary, tego zaciętego milczenia. Tak milczy tylko człowiek pewien swego. Równie często sądzi się kobietę z zachowania jej kochanka, co mężczyznę z zachowania kochanki. Dumny ze swej miłości i z wzajemności Walerii, baron mierzył tych wytrawnych znawców z lekko ironicznym uśmiechem. Był zresztą wspaniały w tej chwili: wino nie zmieniło jego cery, oczy zaś błyszczące barwą ciemnego złota kryły tajemnice duszy. Toteż Karabina mówiła sobie w myśli:

„Cóż za kobieta! Jak ona dobrze zapieczętowała to serce!”.

– To skała! – rzekł półgłosem Bixiou, który widział w tym wszystkim tylko żart i nie podejrzewał wagi, jaką Karabina przykładła do zburzenia tej fortecy.

Gdy ta rozmowa, na pozór tak pusta, toczyła się na prawo od Karabiny, na lewo prowadzono dalej dyskusję o miłości. Mówili kolejno księżę d'Hérouville, Lousteau, Józefa, Jenny Cadine i Massol. Dociekano w tej chwili, czy te rzadkie zjawiska płyną z namiętności, uporu czy uczucia. Józefa, mocno znudzona tymi teoriami, chciała zmienić rozmowę.

– Mówicie o tym, o czym nie macie pojęcia! Czy jest choć jeden wśród was, który by kochał na tyle kobietę, i to kobietę niegodną, aby strwonić majątek swój, majątek dzieci, sprzedać swą przyszłość, zbrukać przeszłość, narazić się na galery, okradając skarb, aby zabić wuja i brata, aby dać sobie zawiązać oczy tak, iż nawet na myśl mu nie przyszło, że zatykają mu je po to, by nie widział otchłani, w którą, na uwieńczenie rozrywki, go strącono? Du Tillet ma po lewej stronie piersi szkatułę, Leon de Lora dowcip, Bixiou sam by się wyśmiał, gdyby pokochał kogo innego prócz siebie, Massol ma w miejscu serca tekę ministra; Lousteau, który zmarnował miłość pani de la Baudraye, też nie wie, co to serce; księżę pan jest zbyt bogaty, aby dowieść miłości ruiną; Vauvineta nie liczę, lichwiarz to dla mnie nie mężczyzna. Tak więc żaden z was nie kochał nigdy, ani ja, ani Jenny, ani Karabina... Co do mnie, raz tylko widziałam fenomen, który wam opisuję. To – rzekła do Jenny Cadine – nasz biedny baron Hulot, którego ogłoszę afiszami jak zaginionego pieska, bo chcę go odnaleźć.

„Cóż to! – rzekła do siebie Karabina, przyglądając się bystro Józefie. – Czyżby pani Nourisson miała dwa obrazy Rafaela, że Józefa idzie mi tak na rękę?”

– Biedaczek! – rzekł Vauvinet. – To był wielki, wspaniały człowiek. Cóż za styl! Co za wzięcie! Mina Franciszka I! Cóż za wulkan! I co za zręczność, co za geniusz rozwijał ten człowiek w wydobywaniu pieniędzy! Gdziekolwiek jest, szuka ich z pewnością i wyciska je z tych kości budowanych murów gdzieś na przedmieściach Paryża, bo z pewnością tam się ukrywa...

– I to wszystko – rzekł Bixiou – dla takiej Marneffe! Szczwana sztuka!

– Wychodzi za mąż za mego przyjaciela Crevela! – zauważył du Tillet.

– A szaleje za moim przyjacielem Steinbockiem! – rzekł Leon de Lora.

Te trzy zdania, niby strzały z pistoletu, ugodziły Monteza w samą pierś. Zbladł i uczył taki ból, że ledwo się podniósł.

– Jesteście kanalie! – rzekł. – Nie macie prawa mieszać imienia uczciwej kobiety z imionami swoich ładacznic ani zwłaszcza czynić zeń przedmiotu konceptów!

Jednomyślne brawa i oklaski przerwały Montezowi. Bixiou, Leon de Lora, Vauvinet, du Tillet, Massol dali hasło. Był to istny chór.

– Niech żyje cesarz! – wołał Bixiou.

– Niech go uwieńczą! – wykrzyknął Vauvinet.

– Wiwat Brazyli! – wołał Lousteau.

– Ha! Miedziany baronie, kochasz naszą Walerię? – rzekł Leon de Lora. – Masz zdrowie!

– To jego wystąpienie nie było parlamentarne, ale wspaniałe!... – zauważył Vauvinet.

– Ależ, mój drogi kliencie, polecono mi ciebie, jestem twoim bankierem, naiwność twoja zaszkodzi mi – rzekł du Tillet.

– Ha! Niechże mi pan powie, pan, który jesteś człowiekiem serio... – spytał Brazylijczyk du Tilleta.

– Dziękuję za nas wszystkich – rzekł Bixiou z ukłonem.

– Niech mi pan powie coś pewnego... – dodał Montez, nie zwracając uwagi na wykrzyknik artysty.

– A ba! – odparł du Tillet. – Mam zaszczyt ci powiedzieć, że jestem zaproszony na ślub Crevela.

– A! Combabus staje w obronie pani Marneffe! – rzekła Józefa, która wstała uroczyście.

Zbliżyła się z tragiczną miną do Monteza, poklepała go przyjaźnie po twarzy, popatrzyła nań chwilę z wyrazem komicznego podziwu i potrząsnęła głową.

– Hulot jest pierwszym przykładem miłości do ostatka, oto drugi przykład – wykrzyknęła – ale ten się nie liczy, przybywa spod zwrotnika!

W chwili gdy Józefa klepała lekko Brazylijczyka po twarzy, Montez osunął się na krzesło z oczyma wlepionymi w du Tilleta:

– Jeżeli jestem igraszką waszych paryskich konceptów – rzekł – jeżeli chcieliście wydrzeć mi moją tajemnicę...

I jakby opasując ognistą wstęgą cały stół, objął biesiadników płomiennym spojrzeniem, w którym zamigotało palące słońce Brazylii.

– Przez litość, powiedzcie mi – mówił błagalnym, dziecinnym prawie tonem – ale nie spotwarzajcie kobiety, którą kocham...

– No, a gdyby – szepnęła mu Karabina do ucha – gdyby Waleria zdradzała cię, oszukiwała i okpiwała niegodnie i gdybym ci na to dała dowody, za godzinę, u mnie w domu, cóż byś pan uczynił?

– Nie mogę pani tego powiedzieć przy tych wszystkich...
– rzekł Brazylijczyk.

– A więc milcz – odpowiedziała z uśmiechem – nie dawaj powodu do śmiechu najdowcipniejszym ludziom w Paryżu i przyjdź do mnie; pogadamy.

Montez był na wpółżywy.

– Dowodów!... – wybełkotał. – Pamiętaj...

– Będziesz miał ich aż nadto – odparła Karabina. – Ale skoro już samo podejrzenie tak ci uderza do głowy, lękam się o twój rozum...

– Ależ bestia uparta! To gorzej niż nieboszczyk król holenderski! No, Lousteau, Bixiou, Massol, hej tam, wy wszyscy, czy nie jesteście proszeni na pojutrze na śniadanie do pani Marneffe? – spytał Leon de Lora.

– *Jawohl* – odparł du Tiliet. – Mam zaszczyt ci powtórzyć, baronie, że jeżeli miałeś przypadkiem zamiar poślubić panią Marneffe, jesteś odrzucony jak projekt ustawy przez gałkę imieniem Crevel. Mój przyjaciel, mój dawny kolega Crevel, ma osiemdziesiąt tysięcy franków renty, a ty prawdopodobnie nie wykazałeś się tą samą kwotą, gdyż wówczas, jak sędzę, dano by ci pierwszeństwo.

Montez słuchał z miną w pół zadumaną, w pół uśmiechniętą, która wszystkich przejęła grozą. W tej chwili wszedł garson i szepnął do ucha Karabinie, że krewna jej jest w salonie i chce z nią mówić. Loretka wstała, wyszła i zastała panią Nourisson w welonie z czarnej koronki.

– I cóż, mam iść do ciebie, moje dziecko? Chwyciło?

– Tak, matusiu, pistolet tak dobrze nabity, że boję się, aby go nie rozsadziło – odparła Karabina.

W godzinę później Montez, Cydaliza i Karabina, wyszedłszy z „Rocher du Cancale”, wchodzili do saloniku Karabiny przy ulicy Saint-Georges. Loretka ujrzała panią Nourisson siedzącą w berżerce, przy ogniu.

– O, moja szanowna ciocia! – rzekła.

– Tak, moje dziecko, tak: sama przychodzę odebrać moją pensyjkę. Zapomniałabyś, mimo że masz dobre serce, a ja mam jutro termin weksla. Taka kupcowa jak ja zawsze jest w kłopotach. Kogóż ty wleciesz z sobą?... Ten pan wygląda na to, że ma jakąś ciężką zgryzotę...

Ohydna pani Nourisson, która przeobraziła się najzupełniej i wyglądała na jakąś pocziwą kobiecinę, wstała, aby uściskać loretkę, jedną z setek tych, które pchnęła w okropne rzemiosło.

– To Otello, który się nie pomylił. Mam zaszczyt go przedstawić: baron Montez de Montejanos...

– Och, prawie że znam pana, tyle o nim słyszałam; nazywają pana Combabus, dlatego że pan kocha tylko jedną kobietę; w Paryżu to tak samo, jakby się nie miało żadnej. No i co, czy nie chodzi przypadkiem o pański – ideał? O panią Marneffe, tę od Crevela?... Wierz mi, drogi panie, powinienes być szczęśliwy zamiast się skarżyć... To skończone ladaco, ta kobietka, ja znam jej sprawki!...

– Ba! – rzekła Karabina, której pani Nourisson, ściskając ją, wsunęła w rękę list – nie znasz Brazylijczyków. To są ludzie, którzy pasjami lubią się dręczyć. Im bardziej są zazdrośni, tym większa ich rozkosz. Ten pan wszystkich ma niby pozabijać, a nie pozabija nikogo, bo kocha. Słowem, przyprowadzam tu pana barona, aby mu dostarczyć dowodów, które uzyskałam od kochanego Steinboczka.

Montez był pijany, słuchał tak, jakby chodziło nie o niego. Karabina poszła zrzucić aksamitną mantylę i odczytała kopię następującego bileciku:

Kiciu mój, on idzie na obiad do Popinotów i wstąpi po mnie do Opery koło jedenastej. Wyjdę koło wpół do szóstej i liczę na to, że Cię zastanę w naszym raiku, dokąd każesz przynieść obiad z Maison d'Or. Ubierz się tak, abyś mi mógł towarzyszyć do Opery. Będziemy mieli cztery godziny dla siebie. Zwrócisz mi ten bilecik, nie żeby Twoja Waleria Ci nie ufała; oddalabym Ci życie, majątek, honor – ale lękam się jakiego przypadku.

– Masz, baronie, oto kopia bileciku wysłanego dziś rano do hrabiego Steinbocka! Czytaj adres. Oryginał został przed chwilą spalony.

Montez wziął papier, obejrzał na wszystkie strony, poznał pismo. Naraz uderzyła go trafna myśl, co dowodzi, jaki zamęt panował w jego głowie.

– Ale co wy za interes macie w tym, aby mnie tak torturować? Musieliście przecie drogo zapłacić prawo posiadania tego bileciku przez czas potrzebny do przelitografowania? – rzekł, patrząc na Karabinę.

– Oj, ty głuptasie! – rzekła Karabina na znak pani Nourisson.

– Czy nie widzisz, że biedna Cydaliza... dziecko szesnastoletnie, kocha cię od trzech miesięcy tak, że nie może jeść ani pić; i jest w rozpacz, że nie uzyskała jeszcze choćby przelotnego spojrzenia od ciebie?

Cydaliza przyłożyła chustkę do oczu, niby to płacząc.

– Wściekła jest, mimo swej niuńkowatej miny, że człowiek, którego ubóstwia, jest ofiarą łotrzycy – ciągnęła Karabina. – Zabiłaby Walerię...

– Och, co to – rzekł Brazylijczyk – to moja rzecz.

– Zabić! Ty, mój mały? – rzekła Nourissonka. – Tego już się tutaj nie praktykuje.

– Och – odparł Montez – ja też nie jestem tutejszy! Jestem z kraju, gdzie sobie drwią z waszych praw; i jeżeli mi dacie dowody...

– Ejże! A ten bilecik to nic?...

– Nie – odparł Brazylijczyk. – Nie wierzę pismu, chcę widzieć...

– Och, widzieć! – rzekła Karabina, która doskonale zrozumiała gest rzekomej ciotki. – Ależ pokażemy ci wszystko, kochany tygrysie, ale pod warunkiem...

– Jakim?

– Spójrz na Cydalizę.

Na znak pani Nourisson Cydaliza popatrzyła tkliwie na Brazylijczyka.

– Będziesz ją kochał? Zapewnisz jej los? – spytała Karabina. – Kobieta z taką urodą warta jest pałacu i ekwipażu! To byłoby potworne pozwolić jej chodzić piechotą. Przy tym ma... długi... Ile masz długów? – rzekła Karabina, szczypiąc Cydalizę w ramię.

– Ile warta, tyle warta – rzekła pani Nourisson. – Wystarczy, że jest kupiec!

– Słuchajcie! – wykrzyknął Montez, spostrzegając wreszcie to cudne arcydzieło żeńskie. – Pokażecie mi Walerię?...

– I hrabiego Steinbock w dodatku – rzekła pani Nourisson.

Od dziesięciu minut stara przyglądała się Brazylijczykowi, widziała w nim narzędzie nastrojone na kamerton zbrodni, takie, jakiego jej było trzeba; widziała zwłaszcza, iż jest na tyle zaślepiiony, aby nie uważać na tych, co nim powodują; jakoż wmieszała się do rozmowy.

– Cydaliza, mój lalusiu brazylijski, jest moją siostrzenicą, sprawa tedy obchodzi i mnie po trosze. Cała ta katastrofa to kwestia dziesięciu minut; to jedna z moich przyjaciółek wynajmuje hrabiemu Steinbock umeblowany pokój, gdzie twoja Waleria pije w tej chwili kawę, szczególną kawę, ale ona to nazywa kawą. Zatem porozumiejmy się, Brazylio! Lubię Brazylię, to ciepły kraj. Jaki los czeka moją siostrzenicę?

– Ty stary strusiu! – rzekł Montez, uderzony piórami na kapeluszu Nourissonki. – Przerwałaś mi. Jeżeli mi pokażesz... pokażesz Walerię razem z tym artystą...

– Tak jakbyś ty z nią chciał być – rzekła Karabina. – Zrozumiano.

– Wówczas biorę tę Normandkę i zawiozę ją...

– Dokąd? – spytała Karabina.

– Do Brazylii! – odparł baron. – Ożenię się z nią. Wuj zostawił mi dziesięć kwadratowych mil ziemi nie do sprzedania i dlatego posiadam jeszcze tę majątność; mam tam stu Murzynów, tylko Murzynów, Murzynki i Murzyniątką, też spadek po wuju.

– Bratanek handlarza Murzynami!... – skrzywiła się Karabina. – To rzecz do zastanowienia. Cydalizo, dziecko, czy jesteś negrofilką?

– Dajmy pokój konceptom, Karabino – rzekła pani Nourisson. – Cóż u licha! My mówimy z panem o interesach.

– Jeżeli znów złapię się na Francuzkę, chcę ją mieć wyłącznie dla siebie – odparł Brazylijczyk. – Uprzedzam panią, jestem królem, ale nie konstytucyjnym; jestem carem, kupiłem wszystkich moich poddanych i nikt nie ma prawa opuścić mego królestwa, które leży o sto mil od wszelkiej siedziby ludzkiej, graniczy z dzikusami od strony lądu, od wybrzeża zaś dzieli je pustynia tak wielka jak wasza Francja...

– Wolę raczej poddasze w Paryżu! – rzekła Karabina.

– I ja myślałem tak samo – odparł Brazylijczyk – skoro sprzedałem wszystką moją ziemię i w ogóle wszystko, co posiadałem w Rio de Janeiro, aby śpieszyć tu do pani Marneffe.

– Nie robi się takich podróży na darmo – rzekła pani Nourisson.

– Masz prawo być kochanym dla samego siebie, zwłaszcza będąc takim pięknym... O, bo on jest piękny! – rzekła do Karabiny.

– Bardzo piękny! Piękniejszy niż pocztylion z Longjumeau – odparła loretka.

Cydaliza ujęła za rękę Brazylijczyka, który uwolnił się najgrzeczniej, jak mógł.

– Przybyłem, aby porwać panią Marneffe – rzekł Brazylijczyk, wracając do swego – i wiecie, dlaczego opóźniłem się trzy lata z powrotem?

– Nie, dzikusie – odparła Karabina.

– Dlatego że mi tyle razy powtarzała, że chciałaby żyć ze mną sama w pustyni!...

– To już nie dziki – rzekła Karabina, parszając śmiechem – on jest z plemienia ucywilizowanych dudków.

– Tyle razy mi to powtarzała – odparł baron, nie zważając na drwiny loretki – że kazałem urządzić wspaniałe mieszkanie w głębi tej olbrzymiej posiadłości. Wracam do Francji po Walerię i tej samej nocy, w której ją znów ujrzałem...

– Bardzo skromnie wyrażone: „ujrzałem” – rzekła Karabina.

– Zachowam to określenie!

– Oświadczyła mi, abym czekał na śmierć tego nędznika Marneffe; i ja zgodziłem się, darowując jej, że przyjęła hołdy barona Hulot. Nie wiem, czy to sam diabeł przebrał się w spódnicę, ale wiem, że ta kobieta od tej chwili zaspokajała wszystkie moje kaprysy, wszystkie wymagania; słowem, nie dała mi przyczyny do podejrzeń ani na minutę!...

– To, to kapitalne! – rzekła Karabina do pani Nourisson.

Pani Nourisson skinęła głową z uznaniem.

– Wiara moja w tę kobietę – rzekł Montez, roniąc łzy – równa się mej miłości. Omal nie spoliczkowałem ich wszystkich dziś przy stole...

– Widziałam! – rzekła Karabina.

– Jeżeli się myliłem, jeżeli ona wychodzi za mąż i jeżeli jest w tej chwili w objęciach Steinbocka, ta kobieta zasługuje po tysiąc razy na śmierć: zabiłbym ją, tak jak się zgniata muchę...

– A żandarmi, mój synu?... – rzekła pani Nourisson z uśmiechem, od którego dreszcz przechodził.

– A komisarz policji, sąd, kryminal i cała orkiestra?... – rzekła Karabina.

– Samochwał z ciebie, mój kotku – dodała pani Nourisson, która chciała przejrzeć plany zemsty Brazylijczyka.

– Zabiję ją! – odparł zimno Brazylijczyk. – Ha ha! Nazwaliście mnie dzikim... Czy wy myślicie, że ja będę naśladował głupotę waszych ziomków, którzy kupują truciznę w aptekach?... Myślałem po drodze o tym, jak mi się trzeba zemścić, w razie gdyby wszystko to było prawdą. Jeden z moich czarnych nosi z sobą najpewniejszą z trucizn zwierzęcych, straszliwą chorobę, lepszą niż wszystkie trucizny roślinne: chorobę tę umieją leczyć tylko w Brazylii. On jej udzieli Cydalizie, ona mnie; następnie, kiedy śmierć będzie już krążyć w żyłach Crevela i jego żony, ja będę już het, za Azorami, wraz z pani kuzynką, którą każę uleczyć i z którą się ożenię. My, dzicy, my mamy swoje sposoby!... Cydaliza – rzekł, przyglądając się Normandce – to właśnie bydlątko, jakiego mi trzeba. Ile ma długów?...

– Sto tysięcy! – rzekła Cydaliza.

– Mało mówi, ale dobrze – rzekła półgłosem Karabina do pani Nourisson.

– Ja oszaleję! – wykrzyknął głucho Brazylijczyk, padając na kozetkę. – Ja zginę z tego! Ale chcę widzieć, bo to niemożliwe! Pismo litografowane!... Kto mi zaręczy, że to nie fakszerstwo? Baron Hulot miałby się kochać w Walerii!... – rzekł przypominając sobie słowa Józefy. – Ależ dowód, że jej nie kochał, to to, że ona żyje!... Ja jej nie zostawię żywej nikomu, jeżeli nie ma być wyłącznie moją!...

Strach było patrzeć na Monteza, jeszcze bardziej słyszeć go! Ryczał, miotał się, wszystko, czego tknął, kruszyło mu się w rękach, palisander wydawał się ze szkła.

– Jak on wszystko tłucze! – rzekła Karabina, spoglądając na panią Nourisson. – Mój chłopcze – dodała, dając klapsa Brazylijczykowi – Orland szalony to bardzo ładne w poemacie, ale w mieszkaniu to prozaiczne i drogie.

– Mój synu – rzekła Nourisson, podnosząc się i stając na wprost znękanego Brazylijczyka – ja jestem twojej wiary! Kiedy się kocha naprawdę, kiedy dwoje ludzi sprzęgło się na śmierć, życiem płaci się za miłość. Ten, kto odchodzi, wydziera wszystko; co tu gadać, zostawia całkowitą ruinę. Masz mój szacunek, podziw, aprobatę, zwłaszcza co do twego sposobu, który mnie przekonał do Murzynów. Ale ty kochasz! Zmiękniesz?...

– Ja!... Jeżeli ona jest ladacznicą, ja...

– Ech, koniec końców, za wiele gadasz! – wykrzyknęła Nourissonka, odzyskując naturalną postać. – Człowiek, który chce się zemścić i chełpi się swymi arcydzikimi sposobikami, postępuje inaczej. Aby ci pokazać twoją ubóstwianą w jej raiku, trzeba wziąć Cydalizę i udawać, żeś wszedł tam, wskutek pomyłki służby, z twoją łubką; ale bez awantur! Jeżeli chcesz się zemścić, trzeba spuścić uszy, udawać rozpacz i dać się obełgać swojej ukochanej!... Pojąłeś? – rzekła pani Nourisson widząc, iż Brazylijczyk zdumiony jest tak subtelnym manewrem.

– Chodźmy, strusico – odparł – chodźmy!... Rozumiem.

– Bywaj, mój koteczku – rzekła pani Nourisson do Karabiny.

Dała znak Cydalizie, aby zeszła z Montezem, i została sama z Karabiną.

– Teraz, moja duszko, boję się tylko jednego, to jest, aby jej nie udusił! Byłoby wtedy z nami bardzo niewyraźnie; trzeba zawsze wszystko załatwiać po dobremu. Och! Sądzę, żeś zarobiła swojego Rafaela, chociaż powiadają, że to jest Mignard. Bądź spokojna, to o wiele ładniejsze; mówiono mi, że Rafaela są wszystkie czarne, podczas gdy to, to takie śliczne jak sam Girodet.

– Chodzi mi tylko o to, aby pognać Józefę! – wykrzyknęła Karabina. – Wszystko mi jedno, czy zrobi się to Mignardem czy Rafaelem... Nie, ta łotrzyca miała dzisiaj perły... Człowiek by sprzedał duszę za takie perły!

Cydaliza, Montez i pani Nourisson wsiedli do dorożki czekającej pod bramą Karabiny. Pani Nourisson szepnęła dorożkarzowi numer domu znajdującego się w czworoboku des Italiens; można tam było dostać się za kilka chwil, bo z ulicy Saint-Georges droga trwa siedem do ośmiu minut; ale pani Nourisson kazała jechać ulicą le Pelletier i bardzo wolno, tak aby móc się przyjrzeć wszystkim powozom stojącym na ulicy.

– Brazylijczyku! – rzekła Nourissonka. – Staraj się poznać liberię i powóz swego anioła.

Baron wskazał palcem pojazd Walerii w chwili, gdy go dorożka mijała.

– Kazała służbie zajechać o dziesiątej, a dorożką pomknęła do tego domu, gdzie jest ze Steinbockiem, tam jadła obiad i za pół godziny będzie w Operze. Dobrze obmyślane! – rzekła pani Nourisson. – To ci tłumaczy, w jaki sposób oszukiwała cię tak długo.

Brazylijczyk nie odpowiedział. Przeobrażony w tygrysa, odzyskał niezmaconą zimną krew, którą tak podziwiano w czasie obiadu. Słowem, był spokojny jak bankrut nazajutrz po złożeniu bilansu.

Pod bramą nieszczęsnego domu stała dwukonna dorożka, z tych, które od nazwy przedsiębiorstwa zwano „Compagne generale”.

– Zostań no w swojej budzie – rzekła pani Nourisson do Monteza. – Nie wchodzi się tu jak do szynku, przyślemy po ciebie.

Raik pani Marneffe i Waława nie był zgoła podobny do kawalerskiego mieszkanca Crevela, które Crevel sprzedał hrabiemu Maksymowi de Trailles, ile że, w jego przekonaniu, straciło swój cel. Ten raj, raj dla wielu osób składał się z pokoiku na czwartym piętrze, z wejściem ze schodów. Na każdym piętrze znajdował się w tym domu w tym samym miejscu taki pokój, niegdyś przeznaczony na kuchnię dla każdego mieszkania. Że jednak dom stał się rodzajem gospody wynajmowanej po słonych cenach na sekretne miłostki, główna lokatorka, prawdziwa pani Nourisson, modniarka z ulicy Neuve-Saint-Marc, zdrowo osądziła olbrzymią wartość swoich kuchni, przerabiając je na coś w rodzaju jadalni. Każdy z tych pokoi, z oknem wychodzącym na ulicę, był zupełnie odosobniony dzięki bardzo grubym podwójnym drzwiom od schodów. Można było tedy przy obiedzie rozmawiać o ważnych sekretach bez obawy, aby ktoś usłyszał. Dla większej pewności okna były opatrzone żaluzjami od zewnątrz, a okiennicami od wewnątrz. W zamian za te wygody pokój taki kosztował trzysta franków na miesiąc. Za dom ten, brzemienny rozkoszą i tajemnicami, płaciła pani Nourisson nr 1 dwadzieścia cztery tysiące franków komornego, zarabiała zaś przeciętnie dwadzieścia tysięcy, po opłaceniu kosztów zarządczym (pani Nourisson nr 2), bo sama nie trudniła się zarządem.

Raj wynajęty hrabiemu Steinbockowi był obity kretonem. Puszysty dywan pokrywał chłód i twardość nędznej podłogi zapuszczonej czerwoną farbą. Umeblowanie składało się z dwóch ładnych krzesełek i łóżka w alkwie w tej chwili na w pół zasłoniętego przez stół z resztkami smacznego obiadku. Dwie butelki z długimi korkami oraz flaszka wina szampańskiego tonąca w lodzie wytyczały pola Bachusa uprawiane przez Wenerę. Obok niskiej kanapki przy kominku stał wygodny fotel, przysłany zapewne przez Walerię, oraz ładna komódka z różanego drzewa, z lustrem oprawnym w dobrym stylu Pompadour. Lampa wisząca u sufitu dawała mdłe światło, dopełnione świecami stojącymi na stole oraz stojącymi kominek.

Zarys ten odmaluje *urbi et orbi* tajemne miłości w mizernych ramach, w jakie je wciska Paryż z roku 1840. Jakże daleko jesteśmy, niestety! od cudzołóstwa usymbolizowanego sieciami Wulkana, jakieś trzy tysiące lat temu!

W chwili gdy Cydaliza i baron wchodzili na górę, Waleria stała przed kominkiem, na którym płonęło polano, Waclaw zaś sznurował ją. Jest to chwila, w której kobieta ani zbyt tłusta, ani zbyt chuda – taka właśnie, jaką była zgrabna, delikatna Waleria – przedstawia cudowny widok. Różane ciało, rozgrzane i lekko wilgotne, budzi spojrzenia najbardziej ospałych oczu. Linie ciała, wówczas tak mało osłoniętego, tak wyraźnie znaczą się pod obfitymi fałdami spódnicy i kłębami gorsetu, że kobieta nabywa wówczas nieprzepartego uroku, jak wszystko, z czym trzeba się rozstać. Uszczęśliwiona i uśmiechająca się przed lustrem twarzyczka, nóżka, która się niecierpliwi, ręka, która poprawia nieład pośpiesznego uczesania, oczy przepełnione wdzięcznością, ten płomień zadowolenia wreszcie, który, podobny zachodowi słońca, rzuca łunę na najdrobniejsze szczegóły fizjonomii – wszystko czyni z tej godziny istną kopalnię wspomnień!... Ktokolwiek, zaiste, ogarniając wzrokiem pierwsze grzeszki swego życia, odnajdzie w nim niektóre z tych rozkosznych szczegółów, zrozumie może – nie uniewinniając ich – szaleństwo Hulotów i Crevelów. Kobiety tak dobrze znają swoją potęgę w tej chwili, że zawsze prawie uzyskują coś, co można by nazwać *postscriptum* miłości.

– Ech, po dwóch latach jeszcze nie umiesz zasnurować kobiety. Zanadto z ciebie wielki... Polak! Już dziesiąta, Waciu mój; no, sznuruj! – rzekła, śmiejąc się Waleria.

W tej chwili niegodziwa służąca podważyła zręcznie nożem haczyk u drzwi, które stanowiły całą ochronę Adama i Ewy.

Otworzyła gwałtownie, bo lokatorowie tych edenów zawsze mają mało czasu przed sobą, i odsłoniła jeden z owych ślicznych rodzajowych obrazków w typie Gavamięgo, tak często wystawianych w salonie.

– Tu, proszę pani – rzekła służąca.

Weszła Cydaliza, a za nią baron Montez.

– Ależ... tu ktoś jest!... Przepraszam panią – rzekła wystraszona Normandka.

– Jak to! Ależ to Waleria! – wykrzyknął Montez, zamykając gwałtownie drzwi.

Pani Marneffe, niezdolna zapanować nad zbyt żywym wzruszeniem, osunęła się na kanapkę przy kominku. Dwie łzy zakręciły się w jej oczach i obeschły natychmiast. Spojrzała na Monteza, spostrzegła Normandkę i parsknęła wymuszonym śmiechem. Godność obrażonej kobiety pokryła nieład niedokończonego stroju; podeszła do Brazylijczyka i popatrzała nań tak dumnie, że oczy jej błysnęły niby klinga szpady.

– Oto więc – rzekła, stając przed Brazylijczykiem i pokazując mu Cydalizę – podszełka twojej wierności? Ty, którego obietnice zdolne byłyby przekonać nawet największego niedowiarka. Ty, dla którego uczyniłam tyle... dla którego wręcz posunęłam się do zbrodni!... Ma pan słuszność, ja jestem niczym wobec dziewczyny w tym wieku i z tą urodą!... Wiem, co mi pan powie – ciągnęła, pokazując Waclawa, którego wymowny strój był dowodem zbyt jawnym, aby mu można było przeczyć. – To moja rzecz. Gdybym mogła pana kochać po tej haniebnej zdradzie, boś pan mnie szpiegował, zapłaciłeś każdy stopień tych schodów i właścicielkę domu, i służącą, i może Reginę... Och! Jakie to wszystko piękne! Gdybym miała resztkę przywiązania do człowieka tak nikczemnego, dałabym mu wyjaśnienia zdolne podwoić jego miłość!... Ale zostawiam pana ze wszystkimi pańskimi wątpliwościami, które się obrócą w wyrzuty. Waclawie, suknię.

Wzięła suknię, włożyła ją, przejrzała się w lustrze i kończyła spokojnie się ubierać, nie patrząc na Brazylijczyka, zupełnie tak, jakby była sama.

– Waclawie Jesteś gotów? Idź przodem.

Spod oka śledziła w lustrze fizjonomię Monteza; bladość jego była dla niej oznaką owej słabości, która wydaje tych silnych ludzi na łup uroków kobiety. Ujęła go za rękę, przysuwając się doń dość blisko, aby mógł odetchnąć tym niebezpiecznym zapachem miłości, który upija kochanków; czując, że drży, popatrzyła nań z wyrzutem:

– Pozwalam ci powiedzieć swoją wyprawę panu Crevel; nie uwierzy panu nigdy, toteż mam prawo go zaślubić; będzie moim mężem pojutrze... i uczynię go bardzo szczęśliwym!... Zegnaj! Staraj się mnie zapomnieć...

– Och! Walerio – wykrzyknął Henryk Montez, ściskając ją namiętnie – to niemożliwe!... Jedź ze mną do Brazylii!

Waleria spojrzała na barona i odnalazła swego niewolnika.

– Och! Gdybyś ty mnie zawsze kochał, Henryku! Za dwa lata byłabym twoją żoną; ale ty w tej chwili wyglądasz podejrzanie.

– Przysięgam ci, że mnie spojono, że fałszywi przyjaciele podsunęli mi tę kobietę i że to wszystko jest dziełem przypadku! – rzekł Montez.

– Mogłabym ci więc jeszcze przebaczyć? – rzekła z uśmiechem.

– Ale wyszłabyś mimo to za męża? – spytał baron z przejmującym lękiem.

– Osiemdziesiąt tysięcy franków tenty! – rzekła z na wpół komicznym entuzjazmem. – A Crevel kocha mnie tak, że nie pożyje długo.

– A, rozumiem – rzekł Brazylijczyk.

– A więc za kilka dni pomówimy o tym – rzekła.

I wyszła tryumfująca.

„Nie mam już skrupułów! – pomyślał baron, który przez chwilę stał jak wryty w ziemię. – Jak to! Ta kobieta zamierza się posłużyć swą miłością, aby się pozbyć tego cymbała, tak samo jak liczyła na rozkład Marneffe'a!... Będę narzędziem kary bożej!”.

W dwa dni później ciż sami goście du Tilleta, którzy obmawiali tam w najlepsze panią Marneffe, znaleźli się przy jej stole, w godzinę potem, jak oblekła nową skórę, zmieniając swoje nazwisko na chlubne nazwisko jednego z merów Paryża. Ta perfidia języka jest jedną z najpospolitszych lekkomyślności paryskiego życia. Waleria miała przyjemność ujrzeć w kościele brazylijskiego barona, którego Crevel, stawszy się zupełnym mężem, zaprosił przez furfanterię. Obecność Monteza na śniadaniu nie zdziwiła nikogo. Ci wytrawni ludzie od dawna oswoili się z upodleniem namiętności, kompromisami rozkoszy. Głęboka melancholia Steinbocka, zaczynającego gardzić tą, z której był uczynił anioła, sprawiła najlepsze wrażenie. Polak oznajmił tym niejako, że wszystko między nim a Walerią skończone. Elżbieta przyszła uściskać swoją drogą panią Crevel, tłumacząc się, że nie może zostać na śniadaniu z powodu smutnego stanu Adeliny.

– Bądź spokojna – rzekła na rozstaniu do Walerii – przyjmą cię i będą bywać u ciebie. Usłyszawszy tylko te trzy słowa: dwieście tysięcy franków, baronowa omal nie wyzionęła ducha. Och! Masz ich wszystkich w ręku dzięki tej historii; ale mi ją opowiesz?...

W miesiąc po ślubie Waleria pokłóciła się dziesiąty raz ze Steinbockiem, który chciał od niej wyjaśnień co do Henryka Montez. Przypomniał jej słowa, które padły podczas sceny w raju, i nie tylko smagał Walerię pogardą, ale pilnował jej tak, że nie miała ani chwili swobody, przyciskana z jednej strony zazdrością Waławawa, z drugiej miłością Crevela. Nie mając przy sobie Bietki, która jej zawsze dawała wyborne rady, uniosła się do tego stopnia, że szorstko wymówiła Waławawowi pieniądze, które od niej pożyczał. Steinbock uczył się dotknięty w swojej dumie; tak że przestał się pokazywać u Crevelów. Waleria osiągnęła swój cel, chciała oddalić na jakiś czas Waławawa, aby odzyskać wolność. Czekając wyjazdu Crevela na wieś do hrabiego Popinot, gdzie miał się postarać o wprowadzenie swej żony; dzięki temu mogła naznaczyć schadzkę baronowi, którego chciała mieć na cały dzień, aby mu udzielić wyjaśnień zdolnych podwoić miłość Brazylijczyka. Rankiem tego dnia Regina, mierząc rozmiar swej zbrodni wysokością sumy, jaką otrzymała, próbowała ostrzec swoją panią, która naturalnie obchodziła ją więcej niż jacyś nieznanymi; ponieważ jednak zagrożono jej, że w razie niedyskrecji zrobi się z niej wariatkę i zamknie w Salpetrière, uczyniła to bardzo nieśmiało.

– Pani jest teraz taka szczęśliwa – rzekła – po co pani trzyma się jeszcze tego Brazylijczyka?... Ja się go boję!

– To prawda, Reniu – odparła – toteż odprawię go.

– Och, proszę pani, bardzo z tego rada; przeraża mnie ten czarny! Myślę, że on jest zdolny do wszystkiego.

– Jakaś ty głupia! To o niego trzeba się bać, gdy jest ze mną.

W tej chwili weszła Bietka.

– Moja ty kózko najdroższa, dawnośmy się nie widziały!
– rzekła Waleria. – Jestem bardzo nieszczęśliwa... Crevel zamęcza mnie, a Waclawa już nie mam: pokłóciliśmy się.

– Wiem – odparła Bietka – i właśnie z jego przyczyny przychodzę: Wiktor spotkał go koło piątej, gdy wchodził do garkuchni przy ulicy Valois; wziął go na czczo na uczucia i sprowadził go do siebie... Hortensja, widząc Waclawa wychudłym, cierpiącym, źle ubranym, wyciągnęła doń rękę... Widzisz, jak ty mnie zdradzasz!

– Pan Henryk, proszę pani! – szepnął kamerdyner do ucha Walerii.

– Zostaw mnie, Bietko, wytłumaczę ci jutro.

Ale, jak się to okaże, Waleria rychło miała być niezdolna wytłumaczyć komu cośkolwiek.

Z końcem maja pensja barona Hulota była zupełnie oczyszczona dzięki wpłatom, które Wiktor regularnie wносił baronowi Nucingen. Każdemu wiadomo, że raty emerytury można podejmować jedynie za okazaniem „świadczenia życia”; że zaś nikt nie znał miejsca pobytu barona Hulota, raty zajęte na rzecz Vauvineta narastały w kasie skarbowej. Ponieważ Vauvinet podpisał zrzeczenie się pretensji, które już zaspokoiono, obecnie trzeba było znaleźć właściciela emerytury, aby móc podjąć zaległości. Dzięki staraniom doktora Bianchon baronowa odzyskała zdrowie. Dobra Józefa przyczyniła się do zupełnego ozdrowienia Adeliny listem, którego ortografia zdradzała współpracownictwo księcia d'Hérouville. Oto co donosiła śpiewaczka po czterdziestu dniach wytrwałych poszukiwań:

Pani Baronowo!

Pan Hulot żył przed dwoma miesiącami przy ulicy Bernardyńskiej z Elodią Chardin, koronczarką, która odebrała go pannie Bijou; ale opuścił ją, zostawiając wszystko, co posiadał, bez słowa, bez wiadomości, dokąd się udaje. Nie dałam za wygraną i kazałam go szukać pewnemu człowiekowi, który już, jak miernia, spotkał go na bulwarze Bourdon.

Biedna Żydówka dotrzyma obietnicy uczynionej chrześcijance. Niechaj anioł modli się za szatana! Musi się to niekiedy trafiać w niebie.

*Pozostaję z głębokim szacunkiem i na zawsze Pani uniżoną
sługą*

Józefa Mirah

Adwokat Hulot d'Ervy, nie słysząc już o straszliwej pani Nourisson, widząc, że teść się ożenił, odzyskawszy szwagra, który wrócił pod dach rodzinny, nie doznając żadnych przykrości ze strony macochy i widząc, że zdrowie matki poprawia się z każdym dniem, oddał się cały sprawom politycznym i sądowym, unoszony wartkim nurtem życia paryskiego, w którym godziny liczą się za dni. Powierzono mu w Izbie referat, tak iż pod koniec sesji zamierzał spędzić całą noc przy pracy. Wróciwszy do domu koło dziewiętej, czekał, aż lokaj wniesie świeczniki opatrzone abażurem, i myślał o ojcu. Wyrzucał sobie, że zostawia śpiewaczce trudy tych poszukiwań, i postanawiał sobie zejść nazajutrz w tej sprawie do pana Chapuzot, kiedy nagle, za oknem, w mroku, ujrzał wspaniałą głowę starca o żółtej czaszce okolonej siwym włosom.

– Każ, drogi panie, aby dopuszczono do ciebie biednego pustelnika przybyłego z pustyni i zbierającego jałmużnę na odbudowę świątobliwego przytułku.

Wizja ta, która przemawiała żywym głosem i przypomniawszy nagle adwokatowi prorocstwo straszliwej Nourisson, przejęła go dreszczem.

– Wprowadź tego starca – rzekł do lokaja.

– Zapowietrzy panu gabinet – odparł lokaj – ma na sobie bury habit, którego nie zmieniał od czasu, jak opuścił Syrię, i wcale nie ma koszuli...

– Wprowadź tego starca – powtórzył adwokat.

Starzec wszedł. Wiktor przyjrzał się nieufnym wzrokiem rzekomemu pielgrzymowi i ujrzał wspaniałą egzemplarz jednego z owych neapolitańskich mnichów, których suknie mają tyle powinowactwa z łaćchami lazaronów. Sandały ich są łaćchmanami skóry, jak i sam mnich jest łaćchmanem człowieka. Postać ta była tak prawdziwa, że – zachowując pewną nieufność – adwokat wyśmiał sam siebie w duchu, iż uwierzył w czarnoksiężstwo pani Nourisson.

– Czego sobie życzycie, ojczcze?

– Co pan uzna za stosowne mi dać.

Wiktor wziął pięćiofrankówkę ze słupka srebrnej monety i podał ją przybyszowi.

– Jak na rachunek pięćdziesięciu tysięcy, to mało – rzekł żebrak z pustyni.

To zdanie rozproszyło wszystkie wątpliwości Wiktora.

– A czy niebo dotrzymało swoich obietnic? – rzekł adwokat, marszcząc brew.

– Wątpić o tym jest obrazą, mój synu – odparł samotnik.

– Jeżeli pan woli zapłacić aż po pogrzebie, masz prawo; wrócę za tydzień.

– Po pogrzebie! – wykrzyknął adwokat, wstając.

– Zrobiło się, co było można – odparł starzec, odchodząc – a umarli jadą szybko w Paryżu!

Hulot zwiesił głowę; kiedy chciał odpowiedzieć, rzeński starzec już znikł.

– Nie rozumiem ani słowa – rzekł młody Hulot sam do siebie.

– Ale za tydzień zapytam go o ojca, o ile go nie odnajdziemy. Skąd pani Nourisson (tak, to jej nazwisko) bierze podobnych aktorów?

Nazajutrz doktor Bianchon pozwolił baronowej zejść do ogrodu, zbadawszy przy tym Bietkę, która od miesiąca nie wychodziła z powodu lekkiego zajęcia oskrzeli. Uczony lekarz, który nie śmiał wypowiedzieć całego swego mniemania o Elżbiecie, nie stwierdziwszy wprzód zasadniczych symptomów, zeszedł z baronową do ogrodu, aby zobaczyć, jaki skutek będzie miało po dwumiesięcznym zamknięciu świeże powietrze na owo nerwowe drżenie, które go zajmowało. Wyleczenie tej newrozy nęciło talent Bianchona. Widząc, że ten wielki i sławny lekarz siada, użyczając im kilku chwil, baronowa i jej dzieci czuły się w obowiązku bawić go rozmową.

– Ma pan życie zajęte, i to w nader smutny sposób! – rzekła baronowa. – Ja wiem, co to znaczy pędzić dni na oglądaniu nędzy i choroby.

– Pani – odparł lekarz – nie są mi obce obrazy, które miłosierdzie każe pani oglądać, ale przyzwyczajai się pani do tego, tak jak przyzwyczajamy się wszyscy. To prawo społeczne. Spowiednik, sędzia, adwokat nie mogliby istnieć, gdyby duch zawodu nie brał w nich góry nad sercem człowieka. Czy można by żyć, gdyby nie to zjawisko? Wojskowy w czasie wojny czyż nie jest skazany na jeszcze sroższe obrazy? A wszyscy wojskowi, którzy byli w ogniu, są dobrzy. My, lekarze, mamy zadowolenie z udanej kuracji, tak jak pani czerpie radość w tym, aby ocalić rodzinę od klęski głodu, zepsucia, nędzy, wracając ją na łono pracy, społeczeństwa. Ale w czym znajdą pociechę sędzia, komisarz policji i adwokat, którzy całe życie szperają w najohydniejszych kombinacjach interesu, tego potwora społecznego, znającego jedynie żal, że mu się nie powiodło, ale nieznającego, co skrucha? Połowa społeczności trawi życie na obserwowaniu drugiej połowy. Mam przyjaciela, adwokata, nie praktykującego już zresztą; otóż powiadał mi, że od piętnastu lat rejenci, adwokaci równie mają się na baczności przed swymi klientami, co i przed przeciwnikami swoich klientów. Syn pani jest adwokatem: czy nigdy nie naraził go człowiek, którego podjął się obrony?

– Och! I często – rzekł z uśmiechem Wiktor.

– Skąd to głębokie zło? – spytała baronowa.

– Z braku religii – odparł lekarz – i z rozwielenienia się pieniądza, który jest po prostu egoizmem w konkretnej postaci. Dawniej pieniądz nie był wszystkim; uznawano rzeczy wyższe nadeń. Było szlachectwo, talent, usługi oddane państwu; ale dziś prawo zrobiło z pieniądza miernik powszechny; wzięło go za zasadę uzdolnienia politycznego! Niektórzy sędziowie nie mogą się ubiegać o mandat. Jan Jakub Rousseau nie mógłby być posłem! Spadki dzielone w nieskończoność zmuszają każdego, aby od dwudziestego roku życia myślał sam o sobie. Otóż pomiędzy koniecznością zrobienia majątku a niemoralnymi szacherkami nie istnieje żadna zapor, ponieważ brak jest we Francji poczucia religijnego, mimo chwalebnych wysiłków tych, którzy dążą do odbudowy katolicyzmu. Oto co sobie powiadają ci, którzy jak ja oglądają społeczeństwo w samych jego wnętrzościach.

– Mało ma pan rozrywek? – spytała Hortensja.

– Prawdziwy lekarz – odparł Bianchon – żyje dla wiedzy. Podtrzymuje go to uczucie zarówno jak pewność własnej użyteczności społecznej. Ot, teraz właśnie przechodzę chwile radości naukowej, a wielu powierzchownych ludzi wzięłoby mnie za człowieka bez serca. Przedstawiam jutro Akademii Medycznej wielką rzadkość. Obserwuję w tej chwili zaginioną chorobę: chorobę śmiertelną zresztą, wobec której w naszym umiarkowanym klimacie jesteśmy bezsilni; w Indiach bowiem jest ona uleczalna... chorobę, która srożyła się w średnich wiekach. Piękna to walka, mocowanie się lekarza z takim wrogiem. Od dziesięciu dni wciąż myślę o moich chorych, bo jest ich dwoje, żona i mąż! Czy to nie są państwa krewni, bo pani jest córką pana Crevel? – rzekł, zwracając się do Celestyny.

– Jak to! Pański chory to byłby mój ojciec?... – rzekła Celestyna. – Czy przy ulicy Barbet-de-Jouy?

– Tak, właśnie – odparł Bianchon.

– I choroba jest śmiertelna? – powtórzył Wiktor przerażony.

– Śpieszę do ojca! – wykrzyknęła Celestyna, zrywając się.

– Zabraniam pani stanowczo – odparł spokojnie Bianchon. To choroba zaraźliwa.

– Wszak pan tam chodzi – odparła młoda kobieta. – Czy pan sądzi, że obowiązki córki nie są wyższe od obowiązków lekarza?

– Pani, lekarz wie, jak się ubezpieczyć od zarazy; odruch zaś pani serca jest mi dowodem, że nie umiałyby pani zachować mojej przezorności.

Celestyna wstała, udała się do siebie i ubrała się do wyjścia.

– Panie doktorze – rzekł Wiktor do Bianchona – czy pan ma nadzieję ocalić państwa Crevel?

– Mam nadzieję, ale bez wiary – odparł Bianchon. – Nie umiem sobie wytłumaczyć tego faktu... Choroba ta właściwa jest Murzynom i plemionom amerykańskim, których system skórny różni się bardzo od naszego. Otóż nie mogę ustalić żadnej styczności między Murzynami, Metysami, czerwonoskórymi a państwem Crevel. O ile to jest zresztą choroba bardzo piękna dla nas, lekarzy, dla wszystkich innych jest okropna. Biedną istotę, która, powiadają, była bardzo ładna, dotknęła kara wymierzona właśnie w to, czym grzeszyła, bo dziś jest ohydna, brzydka, o ile w ogóle jest czymś!... Zęby i włosy wypadają, wygląda jak trędowata, wstręt budzi w samej sobie; ręce wyglądają przerażająco, opuchłe, osypane zielonkawymi pryszczami, paznokcie odchodzą tak, że zostają w ranach, gdy je drapie; wszystkie kończyny gniją w toczącej je ropie.

– Ale co za przyczyna tego zniszczenia? – spytał adwokat.

– Och – odparł Bianchon – przyczyna mieści się w gwałtownym rozkładzie krwi, która psuje się z przerażającą szybkością. Mam nadzieję dotrzeć aż do źródła, to jest krwi; dałem zrobić analizę; wracam do domu, aby zabrać rezultat pracy mego przyjaciela, profesora Duval, słynnego chemika, i podjąć jedną z owych rozpaczliwych bitew, jakie wydajemy niekiedy śmierci.

– Palec Boży! – rzekła baronowa głosem głęboko wzruszonym. – Mimo że ta kobieta uczyniła mi tyle krzywdy, iż w chwilach szaleństwa wzywałam sprawiedliwości bożej na jej głowę, pragnę, Boże miłosierny! aby się panu powiodło, panie doktorze.

Hulot czuł zamęt w głowie, patrzył kolejno na matkę, siostrę i doktora, drżąc, aby kto nie odgadł jego myśli. Uważał się za mordercę. Hortensja wielbiła sprawiedliwość Boga. Celestyna zjawiała się, prosząc męża, aby jej towarzyszył.

– Jeżeli państwo tam pójdą, trzymajcie się na stopę od łóżka chorych, oto cała ostrożność. Ani pan, ani żona nie ważcie się całować umierającego! Dlatego powinien pan towarzyszyć żonie, panie Hulot, aby jej nie dać przekroczyć tego zakazu.

Adelina i Hortensja, zostawszy same, poszły dotrzymać towarzysztwa Bietce. Nienawiść, jaką Hortensja czuła ku Walerii, była tak gwałtowna, że nie umiała jej powściągnąć.

– Bietko! Matka i ja jesteśmy pomszczone! – wykrzyknęła. – Ta jadowita istota musiała się sama ukąsić, ciało się jej rozpada na kawały!

– Hortensjo – rzekła baronowa – nie jesteś w tej chwili chrześcijanką. Powinnaś się modlić, aby Bóg natchnął skrucą tę nieszczęśliwą.

– Co wy powiadacie! – wykrzyknęła Bietka, zrywając się z krzesła. – Mówicie o Walerii?

– Tak – odparła Adelina – jest stracona, umrze z okropnej choroby, której sam opis przyprawia o zgrozę.

Zęby Bietki zaczęły dzwonić, oblał ją zimny pot, doznała straszliwego wstrząsu, który odsłonił głębię jej namiętnego przywiązania do Walerii.

– Śpieszę tam! – rzekła.

– Ale doktor zabronił ci wychodzić!

– Mniejsza! Idę!... Ten biedny Crevel, w jakimż on musi być stanie, tak ją kocha!...

– On też umiera – odparła hrabina Steinbock. – Tak! Wszyscy nasi wrogowie są w rękach czarta...

– Boga, moja córko...

Bietka ubrała się, wzięła swój słynny żółty kaszmir, czarną aksamitną kapotkę, włożyła pantofelki, po czym, głucha na perswazje Adeliny i Hortensji, pognąła niby pchana przemożną siłą. Przybywszy na ulicę Barbet w kilka chwil po młodych Hulot, Elżbieta zastała siedmiu lekarzy, których wezwał Bianchon dla obserwacji tego arcyzadkiego przypadku. Lekarze ci, stojąc w salonie, dysputowali o chorobie; to ten, to ów wchodził kolejno bądź do pokoju Walerii, bądź Crevela i wracał z jakimś argumentem opartym na tej dorywczej obserwacji.

Wśród tych książyć nauki zaznaczyły się dwa poważne zdania. Jeden lekarz, odosobniony w swoim mniemaniu, bronił hipotezy otrucia; przypuszczał jakiś akt osobistej zemsty, przecząc, aby to była owa zaginiona średniowieczna choroba. Trzej inni widzieli w tym rozkład limfy i soków ustroju. Drugie stronnictwo utrzymywało z Bianchonem, że przyczyną choroby jest zepsucie krwi zakażonej nieznanym elementem chorobowym. Bianchon przyniósł wynik analizy dokonanej przez profesora Duval. Środki lecznicze, mimo iż beznadziejne i na wskroś empiryczne, zależały od rozwiązania tego lekarskiego problemu.

Elżbieta stanęła na trzy kroki od łóżka, na którym konała Waleria; skamieniała, ujrawszy przy wezglowiu przyjaciółki wikarego z parafii św. Tomasza z Akwinu oraz dozorującą siostrę miłosierdzia. Religia widziała duszę potrzebującą starań w tej kupie zgnilizny, która z pięciu ludzkich zmysłów zachowała tylko wzrok. Siostra miłosierdzia, sama jedna podjąwszy się czuwania przy Walerii, trzymała się w pewnym oddaleniu. Tak więc Kościół katolicki, to boskie ciało, zawsze ożywione duchem poświęcenia, wspomagał pod dwojaką postacią, duchową i cielesną, tę ohydłą i plugawą konającą, zlewając na nią swoją nieskończoną łaskę i niewyczerpane skarby miłosierdzia.

Przerażona służba nie chciała wchodzić do sypialni; myśleli tylko o sobie i uważali, że los ich państwa jest zasłużony. Zaduch był taki, że mimo wietrzenia i najsilniejszych zapachów nikt nie mógł wytrwać długo w pokoju Walerii. Jedyne religia czuwała tam. W jaki sposób kobieta tak niepospolitej inteligencji jak Waleria mogłaby się nie zapytać, jaki interes trzyma tutaj tych dwoje przedstawicieli Kościoła? Toteż umierająca słuchała głosu kapłana. Skrucha ogarniała tę przewrotną duszę w miarę spustoszeń, jakie choroba czyniła w jej wdziękach. Delikatna Waleria dawała chorobie o wiele słabszy opór niż Crevel; miała też umrzeć pierwsza, tym bardziej że i pierwsza zachorowała.

– Gdybym nie była chora, byłabym przyszła cię doglądać – rzekła wreszcie Bietka, wymieniwszy spojrzenie ze zgasłymi oczyma przyjaciółki. – Od paru tygodni nie wychodziłam z pokoju; ale dowiedziawszy się o twoim stanie od doktora, przybiegłam.

– Pocziwa Bietko, ty mnie jeszcze kochasz, widzę to – rzekła Waleria. – Słuchaj! Mam jeszcze jeden albo dwa dni do myślenia, bo nie mogę powiedzieć do życia. Widzisz, nie mam już ciała, jestem kupą błota... Nie pozwalają mi przeglądać się w lustrze... Mam tylko to, na co zasłużyłam. Ach! Chciałabym, aby dostać miłosierdzia, moc naprawić wszystko zło, jakie wyrządziłam.

– Och – rzekła Bietka – skoro tak mówisz, już nie żyjesz!

– Nie przeszkadzaj pani tej kobiecie kajać się za grzechy, zostaw ją w jej uczuciach chrześcijańskich – rzekł ksiądz.

„Już nic! – rzekła do siebie Bietka przerażona. – Nie poznaję ani jej oczu, ani ust! Nie ma ani jednego jej rysu! I duch opuścił ją także! Och! To straszne!”.

– Nie wiesz – podjęła Waleria – co to jest śmierć, co to znaczy musieć myśleć o jutrze ostatniego dnia, o tym, co nas czeka w trumnie: ciało robakom, ale dusza?... Ach, Bietko, czuję, że jest inne życie!... I ogarnia mnie lęk, który nie daje mi czuć bólu mego rozpadającego się ciała!... Ja, która drwiąc sobie z jakiejś świętej, mówiłam śmiejąc się do Crevela, że pomsta Boża przybiera wszelkie rodzaje nieszczęścia... To było proroctwo!... Nie igraj z rzeczami świętymi, Bietko! Jeżeli mnie kochasz, idź za moim przykładem, kajaj się!

– Ja – rzekła Lotarynka – widziałam wszędzie w naturze zemstę; owady giną, aby zaspokoić potrzebę zemsty, skoro je ktoś zaczepi! A czyż ci panowie – rzekła wskazując na księdza – nie powiadają nam, że Bóg się mści i że zemsta jego trwa całą wieczność!

Kapelan zwrócił na Elżbietę spojrzenie pełne słodyczy i rzekł:

– Pani jesteś ateistką.

– Ależ patrz, co ze mną się stało! – rzekła Waleria.

– Ale skąd ci ta gangrena? – spytała stara panna, niewzruszona w swym chłopskim niedowiarstwie.

– Och! Dostałam od Henryka list, który nie zostawia żadnych wątpliwości co do mego losu... Zabił mnie. Umrzeć w chwili, gdy chciałam żyć uczciwie, i to umrzeć, będąc przedmiotem wstrętu...

Elżbieto, poniechaj myśli o zemście! Bądź dobra dla tej rodziny, której ja już testamentem oddałam wszystko, czym wolno mi rozporządzać! Idź, moje dziecko, mimo że ty jesteś dziś jedyną istotą, która nie ucieka ode mnie ze wstrętem, błagam, idź stąd, zostaw mnie... już mam ledwie tyle czasu, aby się polecieć Bogu!...

Majaczy – powiedziała sobie Elżbieta na progu. Najgwałtowniejsze z ludzkich uczuć, przyjaźń kobiety dla kobiety, nie sprostało bohaterskiemu wytrwaniu Kościoła. Elżbieta, dusząc się w zabójczym wyziewie, opuściła pokój. Zastała lekarzy rozprawiających jeszcze. Ale zdanie Bianchona przeważało, rozważano jedynie sposób, w jaki należy podjąć próbę.

– W każdym razie czeka nas wspianiała autopsja – mówił jeden z oponentów – a w dodatku będziemy mieli dwa egzemplarze, dla porównania.

Elżbieta towarzyszyła Bianchonowi, który zbliżył się do łoża chorej, jak gdyby nie czując smrodu, który się zeń wydzielał.

– Spróbujemy – rzekł – potężnego środka leczniczego, który może panią ocalić.

– Jeżeli mnie ocalicie – rzekła – czy będę równie piękna, jak byłam?

– Może! – odparł uczony lekarz.

– Znam ja wasze może! – rzekła Waleria. – Będę wyglądała jak kobieta, którą wyratowano z ognia. Zostawcie mnie całą Kościołowi! Mogę już spodobać się tylko Bogu! Postaram się z nim pojednać, to będzie moja ostatnia kokieteria! Tak, muszę wziąć pana Boga!

– Oto ostatnie słowo mojej biednej Walerii, poznaję ją! – rzekła Bietka, płacząc.

Uważała za stosowne zejść do pokoju Crevela, gdzie zastała Wiktora i jego żonę, siedzących o trzy kroki od łóżka zapowietrzonego.

– Bietko – rzekł – tają przede mną stan mojej żony, tyś ją widziała właśnie, jak się czuje?

– Lepiej, wierzy w swoje zbawienie – odparła Elżbieta, pozwalając sobie na tę grę słów, aby uspokoić Crevela.

– Chwała Bogu – odparł mer – gdyż bałem się, czy to nie ja jestem przyczyną jej choroby... Nie można być bezkarnie komiwojażerem w perfumerii! Dręczą mnie wyrzuty. Gdybym ją stracił, cóż by się ze mną stało? Słowo honoru, moje dzieci, ja ubóstwiam tę kobietę.

Crevel silił się jeszcze przybrać pozycję siadając na łóżku.

– Och, ojczulku – rzekła Celestyna – gdybyś tylko mógł wyzdrowieć, przyjąłabym moją macochę, ślubuję to.

– Poczciwa Celestynka! – odparł Crevel. – Chodź mnie uściskać.

Wiktor powstrzymał żonę, która chciała podbiec ku ojcu.

– Pan nie wie – rzekł łagodnie adwokat – że pańska choroba jest zaraźliwa...

– To prawda – odparł Crevel – lekarze pyszną się, że odnaleźli we mnie jakąś tam średniowieczną zarazę, którą uważano za zaginioną i którą kazali otrąbić w swoich fakultetach... To bardzo wesołe!

– Ojczulku – rzekła Celestyna – bądź dobrej myśli, a przemożesz chorobę.

– Bądźcie spokojne, dzieci, śmierć namyśla się dwa razy, zanim ugodzi mera miasta Paryża! – rzekł z komicznym spokojem. – A wreszcie, jeżeli mój okręg ma dożyć tego nieszczęścia, aby stracić człowieka, którego dwukrotnie zaszczycił swoim wyborem... (jaka łatwość wysłowienia, co?), w takim razie potrafię spakować manatki. Jestem dawnym komiwojażerem, nawykłem do wyjazdów. Ba! moje dzieci, ja jestem filozof.

– Ojczulku, przyrzeknij mi, że pozwolisz Kościołowi zbliżyć się do twego łóża.

– Nigdy! – odparł Crevel. – Cóż chcecie, ja ssalem mleko rewolucji. Nie mam wprawdzie rozumu barona d'Holbacha, ale mam jego siłę ducha. Bardziej niż kiedykolwiek czuję się bratnim duchem Regencji, szarych muszkietarów, księdza Dubois i marszałka de Richelieu! Kroćset bomb! Moja poczciwa żona, która snadź traci głowę, nasłala mi właśnie człowieka w sutannie, mnie, czcicielowi Bérangera, przyjacielowi Lizetki, dziecięciu Woltera i Russa... Lekarz, chcąc mnie wymacać, przekonać się, czy choroba mnie pognębiła, spytał: „Czy był u pana ksiądz?”. A ja poszedłem za wzorem wielkiego Monteskiusza. Tak, popatrzyłem na lekarza, o tak – rzekł, obracając się półprofilem jak na swoim portrecie i wyciągając władczo rękę – i rzekłem:

...Cet esclave est venu;

*Il a montre son ordre, et n'a rien obtenu.*³⁶

Son ordre to ładny kalambur, który dowodzi, że pan prezydent Montesquieu zachował w agonii cały wdzięk swego geniuszu, gdyż nasłano mu jezuitę! Lubię ten pasaż... Ha ha! Pasaż! Jeszcze jeden kalambur: pasaż Monteskiusza.

36 Był tu ten niewolnik, pokazał swój rozkaz, ale nic nie uzyskał.

Młody Hulot spoglądał ze smutkiem na teścia, myśląc w duchu, że głupota i próżność mogą dać czasem siłę równą tej, jaką daje prawdziwa wielkość duszy. Przyczyny, które wprawiają w ruch sprężyny ducha, zdają się być zupełnie obce wynikom. Siła, którą okazuje wielki zbrodniarz byłaby tą samą, którą szczylił się taki Champcenez idący na stracenie?

Z końcem tygodnia pochowano, po strasznych cierpieniach, panią Crevel, Crevel zaś poszedł za żonę w dwa dni później. W ten sposób punkty interczyzy upadły, Crevel dziedziczył po Walerii.

Nazajutrz po pogrzebie adwokat ujrzał znów starego mnicha i przyjął go bez słowa. Mnich wyciągnął w milczeniu rękę; w milczeniu również mecenas Wiktor Hulot wręczył mu osiemdziesiąt tysięcy franków, wzięte z sumy, którą znaleziono w biurku Crevela. Młoda pani Hulot wzięła w spadku dobra Presles i trzydzieści tysięcy franków renty. Pani Crevel zapisała trzysta tysięcy baronowi Hulot. Skrofuliczny Staś miał otrzymać po dojściu do pełnoletności pałacyk Crevela i dwadzieścia cztery tysiące renty.

Pośród licznych i wzniosłych stowarzyszeń, będących dziełem miłosierdzia katolickiego w Paryżu, istnieje jedno, założone przez panią de La Chanterie, którego celem jest ułatwić cywilny i kościelny ślub biedakom żyjącym z sobą na wiarę. Prawodawcy, którzy dbają wielce o dochody z ksiąg stanu cywilnego, panujące mieszczaństwo, które dba o honoraria rejentów, udają, że nie wiedzą, iż trzy czwarte ubogich ludzi nie może zapłacić piętnastu franków za kontrakt ślubny. Izba notarialna stoi w tym niżej od izby adwokackiej w Paryżu. Adwokaci paryscy, stan dosyć spotwarzany, podejmują się bezpłatnie procesów ludzi ubogich, gdy rejenci nie uchwalili jeszcze sporządzania darmo kontraktów ślubnych biedakom. Co się tyczy Skarbu, trzeba by wstrząsnąć całą machiną rządową, aby uzyskać najłżejszy opust w tej mierze. Izba Skarbowa jest głucha i niema. Ze swej strony Kościół pobiera opłaty od ślubów. Kościół jest we Francji straszliwym fiskalistą; uprawia w domu Bożym niegodny handelek ławkami i krzesłami, którym gorszą się cudzoziemcy, mimo iż chyba nie mógł zapomnieć gniewu Zbawiciela wypędzającego przekupniów ze świątyni. Jeżeli Kościół niełatwo ustępuje ze swoich praw, trzeba przypuszczać, że te jego prawa, można rzec fiskalne, stanowią dziś jeden z jego środków istnienia: w takim razie błąd Kościoła spadałby na państwo. Współdziałanie tych okoliczności w epoce, która troszczy się zbyt wiele o Murzynów, o małoletnich przestępców, aby

się mogła zająć uczciwymi ludźmi w niedoli, sprawia, iż wiele dobrych małżeństw żyje w konkubinacie z braku trzydziestu franków, najniższej ceny, za jaką notariat, urząd stanu cywilnego, merostwo i Kościół mogą skojarzyć dwoje. Stowarzyszenie pani de La Chanterie, założone po to, aby sprowadzić ubogie stadła na drogę religii i legalności, poszukuje tych par i znajduje je tym łatwiej, iż zanim stwierdzi ich nielegalność, wspomaga je jako ubogich.

Skoro pani Hulot całkowicie odzyskała zdrowie, podjęła swoje zatrudnienia. Wówczas to czcigodna pani de La Chanterie zaprosiła Adelinę, aby włączyła legalizację nieślubnych związków w liczbę miłosiernych dzieł, których była pośredniczką.

Jedną z pierwszych prób tego rodzaju podjęła baronowa w osławionej dzielnicy zwanej niegdyś Petite-Pologne, a mieszczącej się między ulicami du Rocher, de la Pépinière i Miromesnil. Jest to jak gdyby filia przedmieścia Saint-Marceau. Aby odmalować tę dzielnicę, wystarczy powiedzieć, że właściciele niektórych domów, zamieszkanych przez przemysłowców bez przemysłów, przez podejrzanych handlarzy żelastwa, przez nędzarzy uprawiających niebezpieczne rzemiosła, nie śmieją upominać się o czynsze i nie mogą znaleźć komorników, którzy by zechcieli rugować niewypłacalnych. Spekulacja, która zamierza obecnie zmienić fizjonomię tego zaułka Paryża i zabudować pustą przestrzeń między ulicą Amsterdamską a Faubourg-du-Roule, przeobrazi zapewne i tamtejszą ludność, bo kielnia jest w Paryżu większą cywilizacyjną siłą, niż się przypuszcza! Budując ładne i wykwintne domy mające dozorców, okalając je chodnikami i umieszczając w nich sklepy, spekulacja wystrasza ceną mieszkań ludzi bez zajęcia, stała bez mebli i złych lokatorów. W ten sposób przedmieścia pozbywają się tych niemiłych mieszkańców i tych jaskiń, w których policja pojawia się jedynie na rozkaz Sprawiedliwości.

W czerwcu roku 1844 wygląd placu Laborde i jego okolic był jeszcze bardzo niepewny. Wytworny przechodzień, który idąc z ulicy de la Pepiniere, zabłądził przypadkiem w te straszne uliczki, dziwił się, że arystokracja ociera się tam o najniższy proletariat. W dzielnicach tych, gdzie wegetuje ciemne ubóstwo i nędza borykająca się z życiem, kwitną ostatni pisarze publiczni, jakich widuje się w Paryżu. Tam, gdzie widzicie te dwa słowa *Pisarz publiczny* wypisane dużymi literami na białym papierze w oknie jakiegoś półpięterka lub brudnego parteru, możecie śmiało twierdzić, że ta dzielnica mieści wielu analfabetów, a tym samym wiele nieszczęść, występków i zbrodniarzy. Ciemnota jest matką wszystkich zbrodni. Zbrodnia jest przede wszystkim ubóstwem rozumowania.

Otóż w czasie choroby baronowej dzielnicy tej, dla której była ona drugą opatrznością, przybył pisarz publiczny, osiadły w pasażu Słonecznym, którego nazwa jest jedną z antytez, tak zwyczajnych paryżanom, ile że pasaż ten jest szczególnie ciemny. Pisarz ten, podejrzewany o to, że jest Niemcem, nazywał się Wyder i żył na wiarę z młodą dziewczyną, o którą był tak zazdrosny, że pozwalał jej bywać jedynie u pewnych uczciwych zdunów z ulicy Saint-Lazare, Włochów jak wszystkie zduny i z dawna zamieszkałych w Paryżu. Zdunów tych pani Hulot, działająca z ramienia pani de La Chanterie, ocaliła od niechybnego i grożącego ruiną bankructwa. W ciągu kilku miesięcy dostatek zastąpił nędzę i pobożność zawitała do serc, które wprzódy złorzeczyły Opatrzności z energią właściwą włoskim zdunom. Rodzina ta była tedy jedną z pierwszych, które odwiedziła baronowa. Ucieszyła się widokiem, jaki nastroczył się jej oczom w domu, gdzie mieszkali ci dzielni ludzie przy ulicy Saint-Lazare, w pobliżu ulicy du Rocher. Nad magazynami, obecnie dobrze zaopatrzonymi, i nad pracownią, gdzie uwijali się uczniowie i robotnicy, wszystko Włosi z doliny Domo d'Ossola, rodzina zajmowała małe mieszkanie, w które praca wniosła dostatek. Przyjęto baronową tak, jakby się zjawiała sama Madonna. W czasie kwadransa rozmowy, zmuszona czekać na pryncypała, aby się wywiedzieć o stanie interesów, Adelina dopełniła dzieła swego świętego szpiegostwa,

wywiadując się o nieszczęśliwych, których mogła znać rodzina zdunów.

– Ach, moja dobra pani, która wybawiłabyś z piekła dusze zbłąkanych – rzekła Włoszka – jest tutaj w pobliżu młoda dziewczyna, którą można by ocalić od zguby.

– Czy znacie ją dobrze? – spytała baronowa.

– To wnuczka dawnego pryncypała mego męża, nazwiskiem Judici; przybył do Francji za czasów rewolucji w roku 1798. Stary Judici był za cesarza Napoleona jednym z pierwszych zdunów w Paryżu; umarł w roku 1819, zostawiając synowi ładny mająteczek. Ale młody Judici przeputał wszystko z łajdaczkami i ożenił się w końcu z jedną, bardziej szczwaną od innych. Z nią miał tę biedną dziewczyninę, właśnie skończyła piętnaście lat.

– Cóż się z nią stało? – rzekła baronowa, żywo uderzona podobieństwem charakteru owego Judici z jej mężem.

– Ta mała, proszę pani, imieniem Atala, opuściła rodziców, aby zamieszkać tu w pobliżu ze starym Niemcem, co najmniej osiemdziesięcioletnim, nazwiskiem Vyder, który załatwia wszelkie sprawy ludziom nieumiejącym czytać ani pisać. Gdyby choć ten stary rozpustnik, który, jak powiadają, kupił małą u matki za tysiąc pięćset franków, ożenił się z tym dzieckiem! Pewno niedługo pożyje, a gadają, że musi mieć jakichś parę tysięcy renty; wówczas biedne dziecko, istny aniołek, uniknęłoby złego, a zwłaszcza nędzy, która ją sprowadzi ku złemu.

– Dziękuję pani za wskazanie mi tego dobrego uczynku – rzekła Adelina – ale trzeba działać ostrożnie. Jakież jest ten starzec?

– Ach, pani, zacny człowiek, dobrze obchodzi się z małą i wcale rozsądny. Zdaje się, widzi pani, że on się wyniósł z sąsiedztwa Judicich, aby ocalić tę małą ze szponów matki. Matka była zazdrosna o córkę, a może zamierzała ciągnąć zysk z jej urody, zrobić z niej taką panienkę!... Atala przypomniała sobie o nas, poradziła swemu staremu, aby się osiedlił w pobliżu; pocziwina zmiarkował, cośmy za ludzie, i pozwala jej tu przychodzić. Niech ich pani pożeni, a będzie to dobry uczynek godny pani... Raz wyszedłszy za mąż, mała będzie wolna, wymknie się w ten sposób matce, która czyha na nią i chciałaby, aby z niej czerpać zyski, oddać ją do teatru lub też pchać ją wyżej w ohydny rzemieśle, w które ją wtrąciła.

– Czemu ten starzec z nią się nie ożeni!?

– Nie było potrzeby – rzekła Włoszka. – Mimo że stary Wyder nie jest najgorszy człowiek, sądzę, że ma na tyle sprytu, aby małą trzymać w garści; gdyby się zaś ożenił, ba, boi się, biedny starowina, tego, co wyrasta na głowie wszystkim starym...

– Czy mogłaby pani posłać po tę dziewczynę? – rzekła baronowa. – Pomówiłabym z nią, zobaczyłabym, czy jest sposób...

Zdunowa dała znak starszej córce, która pobiegła natychmiast. W dziesięć minut wróciła, trzymając za rękę piętnastoletnią dziewczynę o typie urody na wskroś włoskim.

Panna Judici wzięła po ojcu tę płęć żółtawą w dzień, która wieczorem, przy świetle, staje się liliowobiała, również oczy iście wschodniej wielkości, kształtu i blasku; gęste i w górę odchylone rzęsy podobne do czarnych piórek, hebanowe włosy oraz ten wrodzony majestat Lombardek, który sprawia, iż cudzoziemiec, przechadzając się w niedzielę po Mediolanie, każdą córkę stróża bierze za królowę. Atala, uprzedzona przez zdunównę o odwiedzinach wielkiej damy, o której już słyszała, włożyła naprędce ładną jedwabną sukienkę, trzewiczki i zgrabną mantylkę.

Czepeczek z wiśniowymi wstążkami podnosił urodę główki. Dziewczyna stała w pozie naiwnego zaciekawienia, przyglądając się spod oka baronowej, której nerwowe drżenie dziwiło ją wielce. Baronowa westchnęła głęboko, widząc to arcydzieło kobiece w błocie prostytucji, i przysięgła sobie wrócić ją cnocie.

– Jak się nazywasz, dziecko?

– Atala, proszę pani.

– Czy umiesz czytać i pisać?

– Nie, proszę pani, ale to nie szkodzi, bo pan umie...

– Czy bywałeś z rodzicami w kościele? Byłaś u pierwszej komunii? Umiesz katechizm?

– Tatko, proszę pani, chciał, żebym robiła te rzeczy, co pani mówi, ale mama nie dała...

– Matka!... – wykrzyknęła baronowa. – Czyż twoja matka jest taka zła?

– Biła mnie ciągle! Nie wiem czemu, ale ojciec i mama ciągle się kłócili z mojego powodu...

– Nigdy ci więc nie mówiono o Bogu? – wykrzyknęła baronowa.

Dziewczynka otworzyła szeroko oczy.

– A tata i mama mówią często: „Szlag by trafił Pana Boga!...” – odparła z rozkoszną naiwnością.

– Nie widziałaś nigdy kościoła? Nie przyszło ci nigdy na myśl tam wejść?

– Kościół?... A, Notre-Dame, Panteon, widziałam to z daleka, kiedy ojciec brał mnie do Paryża; ale to rzadko. Na przedmieściu nie ma takich kościołów.

– Na jakim przedmieściu mieszkaliście?

– Na przedmieściu...

– Jakim przedmieściu?

– No, na ulicy de Charonne, proszę pani...

Mieszkańcy przedmieścia Saint-Antoine nigdy nie nazywają inaczej tej dawnej dzielnicy jak przedmieściem. Dla nich to jest uosobione przedmieście, jedyne przedmieście, i nawet fabrykanci rozumieją pod tym słowem specjalnie przedmieście Saint-Antoine.

– Nigdy ci nie mówiono, co jest dobre, a co złe?

– Mama biła mnie, kiedy robiłam coś nie tak, jak chciała...

– Ale czyś nie wiedziała, że popełniasz zły uczynek, opuszczając rodziców, aby żyć ze starcem?

Atala Judici spojrzała dumnie na baronową i nie odpowiedziała nic.

„To dziewczyna zupełnie dzika!” – rzekła do siebie Adelina.

– Och, pani, dużo jest takich jak ona na przedmieściu – rzekła zdunowa.

– Ależ ona nieświadoma jest wszystkiego, nawet grzechu, mój Boże! Czemu mi nie odpowiadasz? – spytała baronowa, próbując ująć Atalę za rękę.

Atala rozgniewana cofnęła się.

– Pani jest stara wariatka – rzekła. – Rodzice nie jedli nic od tygodnia! Matka chciała zrobić ze mnie coś bardzo złego, bo ojciec zbił ją, nazywając ją łajdaczką! Wówczas pan Wyder zapłacił wszystkie długi tatusia i mamy i dał im pieniędzy... Och! Pełny worek!... I zabrał mnie, mimo iż biedny tatuś płakał... Ale trzeba było się rozstać!... Więc cóż, czy to źle? – spytała.

– I bardzo kochasz tego pana Wydera?

– Czy go Kocham... – rzekła. – Spodziewam się, proszę pani! Opowiada mi co wieczór ładne historie!... Dał mi piękne suknie, bieliznę, szal. Mam szmatek jak jaka księżniczka, nie noszę już sabotów! Przy tym już od dwóch miesięcy nie wiem, co to głód. Nie jadam już ziemniaków! Przynosi mi cukierki, pralinki! Och! Jakie to dobre, pralinki czekoladowe!... Robię wszystko, co zechce, za tutkę czekoladek! A przy tym ten starowina Wyder jest bardzo dobry, dba o mnie, stara się, tak że teraz widzę, jaką powinna była być moja matka... Ma przyjąć starą służącą do pomocy, bo nie chce, abym sobie wałała ręce przy kuchni. Od miesiąca zaczyna zarabiać sporo pieniędzy; przynosi mi trzy franki co wieczór, wkładam je do skarbonki! Tylko nie daje mi nigdzie chodzić, wyjąwszy tutaj... To złoto nie człowiek! Toteż robi ze mną wszystko, co chce... Nazywa mnie swoją koteczką! A matka nazywała mnie zawsze szelmą, k...ą! Łajdaczką, ścierwem! Czy ja już wiem jak!

– Więc czemu, moje dziecko, nie zostaniesz żoną pana Vydera?

– Ależ już jestem, proszę pani! – rzekła młoda dziewczyna, spoglądając na baronową z wyrazem dumy, bez rumieńca, z czystym czołem, spokojnymi oczyma. – Powiedział mi, że jestem jego żoneczką; ale to bardzo głupie być żoną mężczyzny!... Och, gdyby nie pralinki!

– Mój Boże – szepnęła do siebie baronowa – cóż to za potwór mógł nadużyć tej tak zupełnej i świętej niewinności? Wrócić to dziecko na dobrą drogę, czy to by nie było okupieniem wielu błędów? Ja wiedziałam, co czynię! – rzekła myśląc o scenie z Crevelem. – Ona nie wie nic!

– Czy zna pani pana Samanon? – spytała Atala pieszczotliwie.

– Nie, moja mała; czemu pytasz o to?

– Naprawdę? – rzekła niewinna istotka.

– Nie bój się nic tej pani, Atalo... – rzekła zdunowa – ta pani to anioł!

– Bo moje stare kocisko boi się, aby go nie znalazł ten Samanon, przed którym się chowa... a ja chciałabym, aby on został na wolności...

– A czemu?

– Zaprowadziłby mnie do „Bobino”! Może do „Ambigu”!

– Cóż za rozkoszne stworzonko! – rzekła baronowa, ściskając dziewczeczkę.

– Czy pani jest bogata?... – spytała Atala, bawiąc się koronkami baronowej.

– I tak, i nie – odparła baronowa. – Jestem bogata dla pocziwych dziewczynek jak ty, kiedy chcą poznać z ust księdza obowiązki chrześcijanina i wstąpić na uczciwą drogę.

– Na jaką drogę? – spytała Atala. – Ja dobrze chodzę na nogach.

– Na drogę cnoty!

Atala spojrzała na baronową z chytrą i roześmianą minką.

– Spójrz na panią, szczęśliwa jest, odkąd wróciła na łono Kościoła – rzekła baronowa, wskazując zdunową. – Tyś wzięła męża tak, jak się parzą zwierzęta!

– Ja? – odparła Atala. – Ależ jeżeli mi pani da to samo, co mi daje ojciec Wyder, bardzo bym była rada nie mieć męża. To piła! Czy pani wie, co to jest?...

– Skoro raz się kobieta połączyła z mężczyzną, tak jak ty – zauważyła baronowa – cnota wymaga, aby mu była wierna.

– Póki nie umrze?... – rzekła Atala ze sprytną minką. – Niedługo tego będzie. Gdyby pani wiedziała, jak ten stary Wyder sapie i kaszle!... Hu! hu! – dodała, naśladując starca.

– Cnota, moralność – podjęła baronowa – żądają, aby Kościół, który jest przedstawicielem Boga, i pan mer, który jest przedstawicielem prawa, uświęcili wasz związek. Spójrz na panią; jest legalnie poślubiona...

– Czy to będzie przyjemniej? – spytało dziecko.

– Będziesz szczęśliwsza – odparła baronowa – bo nikt nie będzie ci mógł wyrzucać tego związku. Staniesz się miłą Bogu. Spytaj panią, czy pojęła męża, zanim przyjęła sakrament małżeństwa.

Atala spojrzała na zdunową.

– I cóż ona więcej ma ode mnie? – spytała. – Ja jestem ładniejsza.

– Tak, ale ja jestem uczciwa kobieta – odparła Włoszka – a ciebie można nazwać brzydkim mianem...

– Jakże ty chcesz, aby Bóg się tobą opiekował, skoro depcesz prawa boskie i ludzkie? – rzekła baronowa. – Czy wiesz, że Bóg przyrzekł raj tym, którzy strzegą przykazań jego Kościoła?

– Co jest w tym raj? Są jakie teatry? – spytała Atala.

– Och, raj – rzekła baronowa – to wszystkie rozkosze, jakie możesz sobie wyobrazić. Jest pełen aniołów z białymi skrzydłami. Ogląda się tam Boga w jego chwale, ma się udział w jego potędze, jest się szczęśliwym w każdej chwili i na wieczność!...

Atala Judici słuchała baronowej tak, jakby słuchała muzyki; widząc, że dziewczynka nie jest w stanie jej zrozumieć, Adelina pomyślała, że trzeba obrać inną drogę i zwrócić się do starca.

– Wracaj do siebie, mała; przyjdę pomówić z panem Wyder. Czy to Francuz?

– Alzacyjnyk, proszę pani; ale on będzie bogaty, że strach! Gdyby pani zechciała zapłacić to, co jest winien temu paskudnemu Samanonowi, oddałby pani później! Powiada, że za kilka miesięcy będzie miał sześć tysięcy franków renty i pojedziemy sobie osiąść na wsi, daleko, het, w Wogezach...

To słowo Wogezy pogrążyło baronową w głębokiej zadumie. Ujrzała swoją wioskę! Obudziły baronową z tego bolesnego snu pokłony zduna, który przybył, aby jej zdać sprawę ze swej pomyślności.

– Za rok, proszę pani, będę mógł pani oddać to, co mi pani pożyczyła, bo to święte pieniądze! Pieniądze biedaków i nieszczęśliwych! Jeżeli dorobię się majątku, będzie pani kiedyś mogła czerpać z naszej sakiewki, pani rękami oddam innym tę pomoc, jakiej pani nam użyczyła.

– W tej chwili – rzekła baronowa – nie chcę pieniędzy, proszę tylko o pomoc w dobrym uczynku. Poznałam przed chwilą małą Judici, która żyje z pewnym starcem i chcę ich skojarzyć wobec religii i prawa.

– A, stary Vyder to zacny i godny człowiek, zawsze dobrze poradzi. Przez te dwa miesiące, które tu mieszka, starowina zyskał sobie wiele sympatii w dzielnicy. Przepisuje mi na czysto rachunki. Myślę, że to jakiś dzielny pułkownik, który dobrze służył cesarzowi... A jak on kocha Napoleona! Ma krzyż, ale nie nosi go nigdy. Czeka, aż się oczyści, bo ma długi, biedaczek!... Zdaje się nawet, że się ukrywa przed pościgiem komorników...

– Niech mu pan powie, że zapłacę jego długi, jeżeli się ożeni z tą małą...

– Ba, to pójdzie jak po maśle! Wie pani, chodźmy tam zaraz: to o dwa kroki, w pasażu Słonecznym.

Baronowa wyszła ze zdunem i skierowali się w stronę pasażu.

– Tędy, proszę pani – rzekł zdun, wskazując ulicę de la Pepiniere.

Pasaż Słoneczny szedł w istocie od ulicy de la Pepiniere, a wychodził na ulicę du Rocher. W połowie pasażu, niedawno stworzonego i mieszczącego sklepy o bardzo umiarkowanym czynszu, baronowa spostrzegła nad szybą, zasłoniętą zieloną firanką, tak aby przechodnie nie mogli zapuszczać niedyskretnych spojrzeń, ten napis: *Pisarz publiczny*, nad drzwiami zaś:

BIURO

Tu układa się podania, przepisuje na czysto rachunki etc.

Dyskrecja, pośpiech.

Wnętrze podobne było do owych poczekalni, w których omnibusy paryskie każą pasażerom czekać na komunikację. Wewnętrzne schody prowadziły zapewne do mieszkania na półpięterku, z oknem wychodzącym na pasaż; wejście było przez sklep. Baronowa ujrzała niepoliturowane, szerniałe biurko, teki z kartonu i nędzny fotel kupiony gdzieś na wyprzedzący. Daszek na oczy oraz mocno brudny abażur z zielonego jedwabiu i mosiężnego drutu świadczyły bądź to o chęci zachowania incognita, bądź o osłabieniu wzroku, dość naturalnym u starca.

– Jest na gorze – rzekł zdun – pójdę go uprzedzić i sprowadzę go tutaj.

Baronowa spuściła woalkę i siadła. Ciężkie kroki zaskrzypiały na drewnianych schodkach; Adelina nie mogła wstrzymać przeszywającego krzyku, widząc swego męża, barona Hulota, w szarej trykotowej kamizelce, w starych popielatych barchanowych spodniach i w pantoflach.

– Co pani każe? – spytał Hulot z dworską uprzejmością.

Adelina wstała, chwyciła Hulota i rzekła głosem zdławionym od wzruszenia:

– Nareszcie cię znajduję!...

– Adelina!... – wykrzyknął baron zdumiony, zamykając drzwi. – Józefie! – zawołał, zwracając się do zduna – wyjdź przez korytarz.

– Drogi mój – rzekła, wszystkiego zapominając w nadmiarze radości – możesz wrócić na łono rodziny, jesteśmy bogaci! Twój syn ma sto sześćdziesiąt tysięcy franków renty! Twoja emerytura jest czysta, zalega dla ciebie piętnaście tysięcy franków za prostym okazaniem dowodu, że żyjesz! Waleria umarła, zapisując ci trzysta tysięcy. Zapomniano już o tobie, wierzaj, możesz znów pokazać się w świecie; przede wszystkim znajdziesz majątek u syna. Pójdź, szczęście nasze będzie zupełne. Oto już blisko trzy lata, jak cię szukam, i tak byłam pewna, że cię odnajdę, że zupełnie gotowe mieszkanie czeka na ciebie. Och! Chodź stąd, wyjdź z okropnego położenia, w jakim cię znajduję.

– Chętnie – odparł baron oszołomiony – ale czy będę mógł zabrać z sobą tę małą?

– Hektorze, wyrzec się jej, zrób to dla twej Adeliny, która nigdy nie żądała od ciebie najmniejszej ofiary. Przrzekam ci, że wyposażę to dziecko, dobrze ją wydam za mąż, każę ją kształcić. Niech będzie powiedziane, że jedna z tych, które ci dały szczęście, będzie szczęśliwą, i nie popadaj już w występki ani w błoto!

– Więc to ty – odparł baron z uśmiechem – chciałaś mnie ożenić?... Poczekaj tu chwilę – dodał – pójdę się przebrać na górę, mam tam w walizce przyzwoite ubranie...

Zostawszy sama i rozejrzawszy się ponownie po tym okropnym sklepie, Adelina zalała się łzami.

„On żył tutaj – mówiła sobie – a my opływamy w dostatek!... Biedny człowiek! Cóż za kara dla niego, który był uosobieniem wykwintu!”.

Zdun przyszedł pożegnać się ze swą dobrodziejką; kazała mu sprowadzić dorożkę. Skoro wrócił, Adelina poprosiła, aby wziął do siebie małą Atalę Judici, aby ją zabrał natychmiast.

– Powie jej pan – dodała – że jeżeli zechce oddać się pod opiekę księdza proboszcza przy kościele św. Magdaleny, w dniu pierwszej komunii dam jej trzydzieści tysięcy franków posagu i dobrego męża, jakiego dzielnego chłopca!

– Mego najstarszego syna, proszę pani! Ma dwadzieścia dwa lata i szaleje za tą małą.

W tej chwili zeszedł baron, miał wilgotne oczy.

– Kazesz mi porzucić – szepnęła żonie do ucha – jedyną istotę, która kochała mnie prawie tak jak ty! Ta mała zalewa się łzami, nie mogę jej tak opuścić...

– Bądź spokojny, Hektorze! Znajdzie się w otoczeniu uczciwej rodziny i rękę za jej obyczaj.

– W takim razie mogę iść z tobą – rzekł baron, prowadząc żonę do dorożki.

Hektor, stawszy się z powrotem baronem d'Ervy, włożył błękitne sukienne spodnie i tużurek, białą kamizelkę, czarny krawat i rękawiczki. Kiedy baronowa zajęła miejsce, Atala wśliznęła się do powozu ruchem małej żmijki.

– Och, pani, niech mi pani pozwoli sobie towarzyszyć, jechać z panią. Przyrzekam, będę bardzo grzeczna, posłuszna, zrobię wszystko, co pani każe, ale niech mnie pani nie rozdziela z ojcem Vyder, z moim dobroczyńcą, który mi daje takie dobre rzeczy. Będą mnie bili...

– Przestań, Atalo – rzekł baron – ta pani to moja żona; trzeba nam się rozstać...

– Ona! Taka stara! – odparł dzieciak. – I tak się trzęsie jak liść. Och, ta głowa!

I zaczęła przedrzeźniać drżenie baronowej. Zdun, który gonił małą Judici, podszedł do powozu.

– Zabierzcie ją! – rzekła baronowa.

Zdun wziął Atalę na ręce i zabrał przemocą do domu.

– Dzięki za tę ofiarę, drogi mój! – rzekła Adelina, ujmując dłoń barona i ściskając ją w szale szczęścia. – Jakiś ty zmieniony! Jak ty musiałeś cierpieć! Co za niespodzianka dla twego syna! Dla córki!

Adelina mówiła, jak mówią kochankowie po długiej rozłące, o tysiącu rzeczy naraz. W dziesięć minut baron i jego żona przybyli na ulicę Louis-le-Grand, gdzie Adelina zastała następujący list:

Pani Baronowo!

Pan baron d'Ervy zabawił miesiąc przy ulicy Charonne, pod nazwiskiem Thorec, które jest anagramem imienia Hektor. Mieszka obecnie w pasażu Słonecznym, pod nazwiskiem Vyder. Podaje się za Alzacyjnyka, pisze podania i żyje z młodą dziewczyną, która się nazywa Atala Judici.

Niech Pani będzie ostrożna, bo ktoś poszukuje energicznie barona, nie wiem, w jakim celu.

Aktorka dotrzymała słowa i pisze się, jak zawsze, pani baronowej najniższą służą.

J.M.

Powrót barona wywołał uniesienia radości, które go pogodziły z życiem rodzinnym. Zapomniał małej Atali Judici, gdyż wyuzdania rozpusty doprowadziły go do owej ruchliwości wrażeń, która cechuje dzieciństwo. Szczęście rodzinne mąciły jedynie zmiany, jakie zaszły w baronie. Opuściwszy swoje dzieci jeszcze krzepkim, wracał niemal stuletnim starcem, złamanym, przygarbionym, z twarzą noszącą ślady przebytych upodleń. Wspomniały obiad, zaimprovizowany przez Celestynę, przypomniał starcowi, oszołomionemu dostatkiem rodziny, obiady śpiewaczki.

– Świąteczne powrót marnotrawnego ojca! – szepnął do ucha Adeliny.

– Cyt!... Wszystko zapomniane – odparła.

– A Bietka? – spytał baron, nie widząc starej panny.

– Niestety! – odparła Hortensja. – Leży w łóżku, nie wstaje już; stracimy ją niebawem. Spodziewa się zobaczyć cię, ojczulku, po obiedzie.

Nazajutrz rano o wschodzie słońca odźwierny dał znać młodemu Hulot, że żołnierze gwardii municypalnej otoczyli całą jego posiadłość. Komornicy szukali barona Hulot. Woźny trybunału handlowego, który wszedł za odźwierną, pokazał adwokatowi prawomocne wyroki sądowe, pytając, czy zechce zapłacić za ojca. Chodziło o weksle na dziesięć tysięcy franków, podpisane na rzecz lichwiarza nazwiskiem Samanon, który prawdopodobnie dał baronowi d'Ervy dwa albo trzy tysiące. Młody Hulot poprosił woźnego, aby odprawił swoich ludzi, i zapłacił.

„Czy to już wszystko?” – rzekł do siebie z niepokojem.

Bietka, już bardzo zboleła szczęściem, które zaświtało dla rodziny, nie mogła przenieść tego szczęsnego wypadku. Pogorszyło się jej tak dalece, że Bianchon nie dawał jej ani tygodnia życia; umarła, wyczerpana biegiem tej długiej walki, znaczącej się tyloma zwycięstwami. Zachowała tajemnicę swej nienawiści wśród okropnego konania na suchoty. Doznała zresztą tej ostatniej satysfakcji, iż ujrzała Adelinę, Hortensję, barona, Wiktora, Steinbocka, Celestynę i ich dzieci, wszystkich we łzach dokoła jej łoża, oplakujących ją niby anioła rodziny. Baron Hulot, pod wpływem posilnej kuchni, której nie zaznał od trzech lat, odzyskał siły i stał się prawie podobny do siebie. Powrót ten do sił przejął Adelinę szczęściem tak dalece, że nerwowe jej drganie znacznie złagodniało.

„I w końcu będzie jeszcze szczęśliwa!” – mówiła sobie Bietka w wilię śmierci, widząc oznaki czci, jakimi baron otaczał żonę, o której cierpieniach opowiedzieli mu Wiktor i Hortensja.

To uczucie przyśpieszyło koniec kuzynki Bietki, za której trumną szła cała rodzina we łzach.

Baronostwo Hulot, osądziwszy, że nadszedł dla nich czas całkowitego wypoczynku, oddali hrabiostwu Steinbock wspaniałe apartamenty na pierwszym piętrze, a sami pomieszcili się na drugim. Z początkiem roku 1845 baron otrzymał, dzięki staraniom swego syna, posadę przy kolei żelaznej z sześcioma tysiącami franków pensji, które w połączeniu z sześcioma tysiącami emerytury i majątkiem zapisanym przez panią Crevel dały mu dwadzieścia cztery tysiące rocznie. Ponieważ w czasie owych trzyletnich nieporozumień Hortensja uzyskała separację majątkową z mężem, Wiktor nie wahał się umieścić na imię siostry dwustu tysięcy franków fideikomisu i zapewnił Hortensji pensję dwunastu tysięcy franków. Wacław, zostawszy mężem bogatej żony, nie zdradzał jej; ale wałęsał się, bujał, nie mogąc się zdobyć na zaczęcie bodaj najmniejszej roboty. Zostawszy z powrotem artystą *inpartibus*, miał wiele sukcesów w salonach, gdzie lubili się go radzić amatorzy; słowem, zyskał reputację krytyka, jak wszyscy impotenci, którzy zadali kłam swoim początkom. Każde tedy z małżeństw posiadało odrębny majątek, mimo iż żyli w rodzinnej wspólności. Nauczona tyloma nieszczęściami, baronowa powierzyła synowi zarząd interesów, zostawiając baronowi tylko jego pensję, w nadziei, iż szczupłość tego dochodu nie pozwoli mu popaść w dawne błędy. Ale osobliwym szczęściem, na które ani syn, ani matka nie liczyli, baron – zdawało się – wyrzekł się płci pięknej.

Spokój jego, który kładziono na karb natury, uspokoił tak dalece rodzinę, iż w całej pełni rozkoszowano się wskrzeszonym wdziękiem i uroczymi przymiotami barona d'Ervy. Pełen względów dla żony i dzieci, towarzyszył im do teatrów, bywał z nimi znów w świecie i z niezrównanym taktem robił honory salonu swego syna. Słowem, ten odzyskany ojciec marnotrawny napełnił rodzinę najwyższym zadowoleniem. Był to miły staruszek, zupełnie zniszczony, ale pełen dowcipu; z dawnej swojej przywary zachował tylko to, co mogło z niej uczynić zaletę towarzyską. Rodzina napawała się zupełnym bezpieczeństwem. Dzieci i baronowa wynosiły pod niebiosa ojca rodziny, zapominając o śmierci stryja i wuja. Życie nie może istnieć bez takiego zapominania!

Pani Wiktorowa, która z wielkim talentem gospodyni, wyrobionym zresztą pod kierunkiem Bietki, prowadziła ten ogromny dom, była zmuszona przyjąć kucharza. Do kucharza okazała się potrzeba dziewczyny kuchennej. Dziewki kuchenne są to dziś ambitne istoty, silące się podpatrzeć sekrety kuchmistrza; skoro nauczą się przyrządzać parę sosów, zostają kucharkami. Zatem dziewczyny takie zmieniają się bardzo często. Z początkiem grudnia roku 1845 Celestyna przyjęła do kuchni tęgą Normandkę z Isigny, krępą, z grubymi czerwonymi rękami, o twarzy pospolitej, głupią jak... okolicznościowa sztuka; dziewczyna ta z trudnością zgodziła się porzucić klasyczny włóczkowy czepek, jaki noszą dziewczęta w dolnej Normandii. Istota ta, obdarzona kształtami godnymi mamki, robiła wrażenie, iż rozsadzi bawełniany stanik kryjący jej biust. Można by rzec, iż czerwonawą jej twarz wyciosano w kamieniu, tak jędrne były jej żółtawe kontury. Oczywiście nikt w domu nie zwracał uwagi na przybycie tej dziewczyny, imieniem Agata, jednej z tych sprytnych dziewczuch, których codziennie dostarcza Paryżowi prowincja. Agata nie przedstawiała pokus dla kucharza; zbyt była ordynarna w języku, dotąd bowiem usługiwała furmanom, ile że wyszła z podmiejskiej gospody. Zamiast podbić serce kucharza i wydobyć zeń tajemnice wysokiej sztuki kuchennej, stała się przedmiotem jego wzgardy. Kucharz umizgał się do Ludwika, panny służącej hrabiny

Steinbock. Toteż Normandka, lichy traktowana, żaliła się na swój los; ilekroć kuchmistrz kończył jakąś potrawę lub doprawiał sos, wyganiano ją z kuchni pod jakimś pozorem.

– Stanowczo nie mam szczęścia – powiadała – trzeba mi poszukać innej służby.

Mimo to nie odchodziła, chociaż już dwa razy prosiła o zwolnienie.

Jednej nocy baronowa, obudzona dziwnym hałasem, nie znalazła Hektora w łóżku przylegającym do jej łóżka, gdyż, jak przystoi starym, sypiali w dwóch sąsiadujących łóżkach. Czekala godzinę, a barona nie było. Zdjęta lękiem, przypuszczając jakieś nieszczęście, apopleksję, weszła najpierw na najwyższe piętro, gdzie na poddaszu sypiała służba. Zarówno światło bijące przez uchylone drzwi, jak i szept dwóch głosów skierowały ją w stronę pokoju Agaty. Zatrzymała się przerażona, poznając głos barona, który urzeczony wdziękami Agaty i podniecony oporem szpetnej pomywaczki doszedł do tego, iż wyrzekł te ohydne słowa:

– Moja żona nie pożyje długo Jeżeli zechcesz, mogłabyś zostać baronową.

Adelina wydała krzyk, upuściła świecę i uciekła.

W trzy dni później baronowa, przysposobiona poprzedniego dnia na śmierć, konała, otoczona całą rodziną we łzach. Na chwilę przed skonem ujęła rękę męża, ścisnęła ją i szepnęła mu do ucha:

– Mój drogi, już ci mogłam oddać tylko życie: za chwilę będziesz wolny i będziesz mógł pojąć nową baronową Hulot.

I ujrzano – a musi to być rzecz rzadka – łzy ciekące z oczu umarłej. Okrucieństwo występku zwyciężyło cierpliwość anioła, któremu na progu wieczności wymknęło się jedyne słowo wyrzutu, jakie wyszło z jej ust w ciągu całego życia.

Baron Hulot opuścił Paryż w trzy dni po pogrzebie żony. W jedenaście miesięcy potem Wiktor dowiedział się z boku o ślubie swego ojca z panną Agatą Piquetard, który odbył się w Isigny pierwszego lutego roku 1846.

– Rodzice mogą się sprzeciwić małżeństwu dzieci, ale dzieci nie mogą zapobiec szaleństwom zdziecinniałych rodziców – rzekł mecenas Hulot do mecenas Popinot, młodszego syna eks-ministra handlu, kiedy kolega wspomniał mu o tym małżeństwie.